



ALICJA
KRÓLOWA ZOMBI

GENA SHOWALTER

Wszyscy jesteśmy szaleni

Gena Showalter

Alicja królowa zombi

*Tłumaczenie:
Jan Kabat*



Dla mamy i taty. Po prostu.

*Róże to czerwień krwi,
Fiołki to błękit na niebie.
Dobrze zarygluj drzwi.
Idziemy po ciebie.*

Od Alicji

Jesteście na to gotowi?

Na romans i namiętność, zdradę, stratę, ból...

Na koniec?

Myślałam, że jestem gotowa. Zaczęłam się przyrównywać do monety, życie po jednej stronie, śmierć po drugiej. Czułam się tak, jakby rzucono mnie w powietrze, tylko po to, bym spadła na łeb, na szyję. A to, którą stroną do góry bym wylądowała, zależało całkowicie od losu. Przekonałam się jednak, że nie wszystko, co się dzieje, jest pisane.

Zastanówcie się tylko. Zjadłam na śniadanie rogalika z kremowym serkiem – to nie los, lecz głód.

Straciłam matkę, ojca i ukochaną siostrzyczkę w wypadku samochodowym – to nie los, lecz panika.

Czworo z moich przyjaciół zastrzelono w ciągu jednej nocy, a dwoje innych zabito wkrótce potem – to nie los, lecz ZŁO!

„Los” i „jest pisane” sprowadzają się do jednego. To narzędzie, jakie nam dano, byśmy kształtowali swe przeznaczenie. Wybór. Mój, twój, ich. Dobry. Zły. Brzydki.

Oto mój wybór: przed wieloma miesiącami postanowiłam przyłączyć się do grupy zabójców i poświęcać noce na walkę z zombi.

Tak. Zombi.

Te złe istoty żyją między nami, niewidzialne dla oka pozbawionego daru widzenia. Wylaniają się po zmroku, złąknione ludzkich dusz, esencji życia. Uczują i zatruwają. Jeśli cię ugryzą, twój duch powstanie wygłodzony, gotów pożerać.

Uważałam zombi za najgorszego wroga ludzi, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

Myliłam się.

Człowiek może być niebezpieczniejszy niż potwory.

Istnieje pewna firma. Anima Industries. To ona kontroluje zombi, a jej pracownicy uznali, że zabójcy są problemem, który da się rozwiązać tylko w jeden sposób: poprzez eksterminację.

I teraz zabójcy stają przed jedynym wyborem. Zejść do podziemia albo wyruszyć na wojnę. Innymi słowy, schować nasze monety albo nimi rzucić.

Tak wiele już straciliśmy, pozostali zaś nieliczni. Najmądrzej byłoby spakować walizki i gdzieś się ukryć. Przeżyć i przystąpić do walki innego dnia.

Pieprzyć „najmądrzej”!

Rzucamy monetą. W taki czy inny sposób zniszczymy ludzi Animy raz na zawsze – albo oni zniszczą nas.

Dokonaliśmy wyboru.

Gotowi czy niegotowi, nadchodzimy.

Do zobaczenia po drugiej stronie.

Ali Bell.

GÓRA TO DÓŁ, A DÓŁ TO GÓRA

– Rany. Co ty na to? – Moja najlepsza przyjaciółka, Kat Parker, wskazała przeciwny narożnik ze stolikiem zajmowanym przez trzech chłopców w naszym wieku.

Jeden z nich był dostatecznie gorący, by roztopić lód na biegunie. Drugi nie odznaczał się atrakcyjnością w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, ale zważywszy na jego oczy o barwie likieru chartreuse, nie miało to większego znaczenia. Trzeci wydawał się zdumiewająco szorstki; miał świeże zadrapanie na policzku i blizny na kłykciach.

No, no. W końcu znalazłyśmy bufet oferujący spory wybór męskich przekąsek.

– Doskonale – odparłam, kiwnąwszy głową.

– No, nie wiem. – Reeve Ankh, moja druga przyjaciółka, obrzuciła chłopców uważnym spojrzeniem i zagryzła wargę. – Czuję niebezpieczne wibracje ze strony tego trzeciego.

Tego po prawej – Blizny. Doskonale. Jej radar – radar zagrożenia – działał na optymalnym poziomie.

W naszym małym trio zawsze uosabiała głos rozsądku. Albo, jak zwykła mawiać Kat, „Siedź cicho i żyj umiarkowanie”.

Moja ukochana Kat wyrażała to oczywiście w możliwie najmielszy sposób. Nie miała żadnych oporów. Zawsze mówiła to, co myśli, zawsze broniła tego, w co wierzy – liczyło się tylko jej zdanie – i żyła zgodnie z dewizą: jadę niesamowitym pociągiem, a ty możesz do niego wskoczyć albo dać się rozjechać.

Czy można się zatem dziwić, że kochałam ją tak bardzo?

– To głupie, dziewczyny.

Ta mrukliwa uwaga padła z ust Mackenzie Love, niegdyś mojego największego wroga, obecnie kandydatki do grupy ulubienic.

Większość ludzi była zaskoczona naszą nagłą i niespodziewaną przyjaźnią, ale nauczyłam się już, że życie może się zmienić w mgnieniu oka.

Wszystko mogło się zmienić w mgnieniu oka.

Przyjęłam to do wiadomości i zaakceptowałam.

– Trudno. – Trina Brighton, ostatnia z naszej grupy, kopnęła Mackenzie pod stołem. – To był twój pomysł.

– Zgadza się. Poprosiłyście nas o pomoc, a my się zgodziłyśmy pod jednym warunkiem. Że będziecie robić to, co wam powiemy i kiedy wam powiemy. – Szczerząc zęby w swym szczęśliwym kocim uśmiechu, Kat zatarła dłonie. Podczas gdy ja przekonywałam się do Mackenzie, ona wciąż traktowała ją z rezerwą. – Będzie super. Dla mnie.

Nie chciałam tego przyznać, ale owszem, dla mnie też miało być super.

Siedziałyśmy w Choco Loco, barze czekoladowym, gdzie dziewczyny wybierały sobie smakołyki, a chłopcy wybierali dziewczyny. Nie oznacza to, że chciałam być wybrana.

Chodziłam z niesamowitym Cole’em Hollandem – oficjalnie, znowu – od ponad miesiąca. I, okay, był mały problem z naszym związkiem. W ciągu ostatniego miesiąca mieliśmy – dajcie mi chwilę, bym mogła policzyć – zero randek. Spędziliśmy łącznie... zaraz, zaraz... zero minut razem. A całowaliśmy się... och, nie wiem... zero razy.

Oto rzeczy, które wkurzają bardziej.

No dobrze, jest ich niewiele, ale są. To, że stanowiłam wyzerkę dla zombi. To, że walczyłam z najgorszą zombiczną toksyną w dziejach. No i mój faworyt: to, że Anima mnie zamknęła, traktowała prądem, głodziła i studiowała jak dziwoląga z ogrodu zoologicznego.

Zważywszy na wszystko, co przeżyłam, moje życie miłosne powinno być migoczącym diamentem w morzu życia. W morzu Cole'a, powiedzmy.

Dobre sobie. Próbowaliśmy się spiknąć, no, wiecie, wszystko-zaplanowane-co-do-sekundy, ale każda z naszych schadzek napotykała pewien mały problem.

Jego imię: babcia.

Poważnie, moja babcia przemieniła się w samozwańczą policję i okay, okay, nie muszę wysilać specjalnie mózgowicy, by wiedzieć dlaczego. Pewnej nocy Cole ocalał mnie przed bardzo bolesną śmiercią, więc postanowiliśmy to uczcić. Sami. Przekradł się do mojej sypialni i właśnie robiliśmy to, co zawsze (nie zamierzam podawać pikantnych szczegółów, ale tak właśnie było: pikantnie). Usłyszała nas – horror! – i wpadła jak burza.

Wciąż mieliśmy na sobie ubrania (z grubsza), ale Jezu, ta pozycja, w jakiej nas przyłapała...

Od tej pory babcia przywarła do mego boku jak rzep do psiego ogona. Uwalnia mnie od siebie tylko wtedy, kiedy jestem ze swoimi dziewczynami albo kiedy grasuję po ulicach, polując na zombi.

Nie zrozumcie mnie źle. Kocham babcię na zabój. I Cole też. Kiedy zejdziemy się we trójkę, naprawdę świetnie się bawimy. Ale chcę czegoś więcej. Potrzebuję więcej. Jestem uzależniona od dłoni Cole'a i jego ust... I – och, nienasycona Ali! – od kolczyka w jego sutku. Wstrzeźliwość wkurza!

– Na co czekacie, króliczki? – Kat walnęła dłonią w stół. – Czy nie dałam jasno do zrozumienia, że nie macie tu nic do gadania? Prawo grupy. Wiecie, co macie zrobić, więc zróbcie to.

Do naszego stolika podszedł kelner, zanim Mackenzie zdążyła odpowiedzieć. Przed każdą z nas postawił mus czekoladowy.

– Hm. – Reeve zmarszczyła czoło. – Nie zamawialiśmy tego.

– Ukłony od tych ogarów w kącie. – Kelner mrugnął i zniknął.

Jak na zawołanie, popatrzyłam wraz z przyjaciółkami na podżegaczy naszego czekoladowego nałogu. Gorący i Chartreuse podnieśli szklanki w geście toastu. Blizna tylko patrzył.

Przypominał mi Cole'a.

Kat wstała z miejsca i zawołała:

– Moja przyjaciółka MacLovin' podejdzie do was i podziękuje osobiście, kiedy tylko odzyska normalny puls. Jest w totalnym szoku...

Mackenzie pociągnęła ją za ramię, tym samym sadzając z powrotem na krześle i uciszając jednocześnie.

– Musisz mnie tak dołować?

Podczas gdy nasi dobroczyńcy przybijali piątkę, Kat poklepała Mackenzie po plecach.

– Co tak narzekasz? Przyszliśmy tutaj, żeby ci znaleźć chłopaka, i teraz, dzięki mnie, cel został osiągnięty. Przygotowałam odpowiedni grunt, a tobie pozostaje tylko podejść tam i wybrać swoją ulubioną zabawkę. Nie krępuj się.

Mackenzie walnęła czołem o blat stolika.

– Dlaczego zachowujesz się jak dzieciak? – Kat znowu klepnęła ją w plecy. – Jesteś przecież, jakby to powiedzieć, superwojownikiem ninja, który nocami łapie motyle i...

– Wielkie nieba – przerwałam jej. – Przestań tak mówić.
– Poważnie. – Mackenzie przestała uderzać czołem o stół i podniosła głowę. –
W twoich ustach brzmi to tak, jakbyśmy były... dziewczynami. – Wyraźnie się wzdrygnęła.
Choć Kat i Reeve zaliczały się do cywilów, nie do zabójców, wiedziały o mrocznym i sekretnym świecie, który wokół nich istniał. A Kat, no cóż, lubiła teraz określać zabijanie zombi jako łapanie motyli. Taka była słodka.
– Mnie nie przeszkadza nazywanie tego łapaniem motyli – wyznała Trina.
Kat uśmiechnęła się zadowolona.
Mackenzie gapiała się na Trinę.
– Co? – Wzruszyła ramionami Trina. – Jestem pewna swojej męskości.
Parsknęłam. Trina może i wyglądała jak ktoś, kto mógłby podnieść autobus, ale serce miała miękkie jak żelki.
– Powinnaś pogadać z tymi chłopakami i załatwić sprawę, Mac. – Reeve przesunęła palcem po brzegu szklanki i zlizwała z opuszki czekoladę. – Kat jest chyba gotowa, żeby cię tam zaciągnąć.
– Szczera prawda – potwierdziła Kat, skinąwszy głową. – Dzielę mnie od tego zaledwie sekundy.
– A jeśli to zrobi – ciągnęła Reeve – to ostatnie pięć minut wyda ci się najszcześniejszą chwilą w twoim życiu.
– Dobra. – Mackenzie, krzywiąc się gniewnie, wstała od stolika. – Ale nie zamierzam ich oczarować.
– Jakbyś mogła – zauważyła sarkastycznie Kat, a grymas na twarzy Mackenzie pogłębił się jeszcze bardziej.
– Masz to jak w banku. – Naprawdę w to wierzyłam. Mac nie musiała posługiwać się jakimkolwiek urokiem. Nie z taką twarzą.
Wszystkie moje przyjaciółki miały perfekcyjne twarze modelek. A jednak każda była inna.
Kat, ze swoimi prostymi, ciemnymi włosami i orzechowymi oczami, wydawała się swojsko urocza, jak dziewczyna z sąsiedztwa. Reeve, z kasztanowymi falistymi puklami i sarnimi oczami, olśniewała niczym miss autostopu. Mackenzie, z czarnymi lokami i szmaragdowymi oczami, przywodziła na myśl cudowną dziecinę-aniola. Trina zaś, ze sterczącym ostro jeżem i oczami w ciemnych obwódkach, była supercool niczym gwiazda punk rocka. Ja natomiast mogłabym uchodzić za wizualną ekscentryczkę – włosy o bladym odcieniu blond i oczy tak niebieskie, że aż dziwaczne.
Kiedy Mackenzie zbliżała się do chłopaków, na nasz stół padł jakiś cień.
Kat zapiszczała z radości i rzuciła się w ramiona nowo przybyłego.
Nie trzeba było szczególnie wyteżać wzroku, by się zorientować, kto właśnie się zjawił.
Szron, jej powracająco-odchodzący chłopak.
Łączył ich osobliwy związek, bo nawet gdy nie byli ze sobą, byli ze sobą. Na całego.
Nigdy nie spotkałam dwojga ludzi bardziej zakreconych na swoim punkcie.
Upstrzyła jego twarz pocałunkami.
– Przyszedeś!
– A ty wyglądasz niesamowicie.
– Jasne.
Ha! Tak doskonała, pewna odpowiedź. Tak bardzo w stylu Kat. Pomyślałam, że muszę to sobie przypomnieć, kiedy Cole obdarzy mnie następnym razem jakimś komplementem.
– Nie mogłem trzymać się z daleka. – Szron przesunął palcami po jej włosach. – Twój

ostatni esemes brzmiał chyba, cytuję: „Jeśli nie pojawisz się w ciągu następnych dziesięciu minut, prawdopodobnie zapomnę o tobie i zakocham się w kimś innym”.

Moja droga przyjaciółka odznaczała się niezwykłą poetycznością.

Zza pleców Szrona wyłonił się Lucas, atrakcyjny jak zawsze, w koszulce polo z podwiniętymi rękawami, które ukazywały idealnie opalone ręce. Skinął głową Trinie, przyglądając jej się przez kilka sekund, i nie było to grzeczne spojrzenie. Zdawało się, że przebiegł między nimi naelektryzowany łuk zauroczenia. No, no. Już wcześniej podejrzewałam, że spotykają się sekretnie, a to tylko potwierdziło moje przypuszczenia. Dobrze. Zasługiwali na gorącą dawkę szczęścia.

Kat, owinąwszy Szronowi palce wokół nadgarstka, przyciągnęła go bliżej.

– Zawsze uważałam, że szczerza i otwarta komunikacja to klucz do udanego związku.

A także prezenty. Masz coś dla mnie?

– I dla mnie! – Reeve pomachała rękami wyczekująco. – Dawaj.

Szron ją zignorował. Jak zwykle liczyła się tylko jego dziewczyna.

– Czyż moja egzaltowana obecność nie stanowi już dostatecznie cennego prezentu?

Porzuciłem Cole’a i Bronxa i pobiliem rekord prędkości, by przybyć tu i przetrząść kręgosłup każdemu, kto by zechciał cię uwieść. A ponieważ chce to zrobić każdy, musisz mi tylko powiedzieć, od kogo mam zacząć.

Nadstawiłam uszu na wzmiankę o Cole’u.

– Gdzie go zostawiłeś?

Szron, co oczywiste, mnie także zignorował.

– W salonie Tatty’s Ink – wyjaśnił Lucas. – Bronx tatuuje sobie imię Reeve na rękę. Co, jak sobie właśnie przypomniałem, ma być niespodzianką.

Reeve zapięła z radością, podniecona niespodziewanym darem ze strony swojego chłopaka.

Sama postanowiłam zrobić sobie dwa nowe tatuaże, więc dlaczego nie pojechać tam od razu? Cole trzymałby mnie cały czas za rękę, a potem uświadomiłby sobie, że nigdy nie było lepszej okazji, by znaleźć trochę nie-babcinego czasu. Dwie pieczenie przy rozkosznym ogniu. No i moglibyśmy... robić różne rzeczy. Zadrzałam z podniecającego wyczekiwania.

Wiedząc, że byłoby przestępstwem pozostawienie choć odrobiny musu czekoladowego, pochłonęłam go i oblizałam brzeg szklanki, potem znów, tak dla spokoju sumienia. Wiedziałam, że nie przesadzam, mrużąc:

– To najlepsza rzecz pod słońcem.

– Zgadza się – oznajmiła Reeve.

W końcu postanowiłam dzielnie wkroczyć między Szrona i Kat. Owszem, inni ludzie obrywali wcześniej za coś takiego, ale zdecydowałam się zaryzykować. Pragnęłam skupić na sobie całą uwagę swej najlepszej przyjaciółki.

– Wychodzę i zabieram Mackenzie. – Kierowała mną obsesja miłosna. – Nie będziesz się tak dobrze bawić beze mnie, ale mam nadzieję, że się poświęcisz.

Kat zasznurowała usta.

– A co z tą najszczerzejszą okazją? Dziewczyńskim dniem?

Szczerze?

– Wziął w łeb w momencie, gdy zjawili się Szron i Lucas.

– Hej – odezwał się Szron za moimi plecami. – W łeb biorą ode mnie ci, którzy twierdzą, że coś bierze w łeb z mojego powodu.

– Ale to prawda. – Kat spojrzała na mnie. – Pomijając to, dajmy spokój bzdurom i skupmy się na tym, o co ci tak naprawdę chodzi. Muszę wybierać między nim a tobą.

Gdyby miało mnie to ocalić przed koniecznością sporu: iść czy nie iść?

– Tak.

– Och. No dobra. Wybieram ciebie – oznajmiła z promiennym uśmiechem. – Ma się rozumieć.

Mogłam się tego spodziewać, niestety. Choć bardzo kochała Szrona, kochała też mnie. Może nawet więcej. Byłyśmy siostrami bardziej serca niż krwi i (prawie) zawsze każda z nas przedkładała potrzeby drugiej ponad potrzeby innych.

– Spadaj, Szron. – Pomachała nad moim ramieniem, jakby się opędzała od muchy. – Możesz później przypomnieć mi o moich uczuciach wobec ciebie.

– Ależ kotku – zwrócił się do niej błagalnym tonem. I było zabawne patrzeć, jak jeden z największych i najbardziej wrednych pogromców Z. zamienia się w grzecznego chłopca, ponieważ małeńki kłębuszek puchu postanowił się z nim nie bawić. – Mam gorączkę, a jedyny lek to... trochę więcej kociej wredności.

Kat popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Kociej wredności?

– Człowieku, chcesz stracić jądra? – mruknął Lucas.

– No dobra – przyznał Szron. – Jestem dostatecznie dorosły, by przyznać, że nie najlepiej to wyszło.

Chwyciłam Kat za ramię.

– Nie musisz martwić się o to, że zranisz moje uczucia. Aż się ślinię, żeby zobaczyć Cole'a.

– Zamierzasz się z nim migdalić?

– Tak – przyznałam, choć paliły mnie policzki.

– To takie lukrowe. I przekażesz mi wszystkie szczegóły?

Zaraz.

– Lukrowe?

– Moje nowe ulubione słówko, oznacza coś znacznie więcej niż „niesamowite”.

No cóż, dobra. Niebawem cały świat będzie je powtarzał.

– Jeśli nalegasz, to przekażę ci dokładne sprawozdanie. – Wiedziałam, że będzie nalegać.

Zastanawiała się przez chwilę, wreszcie westchnęła.

– Świetnie. Idź. Przełożymy to na kiedy indziej.

– Naprawdę?

– A co mogę powiedzieć? Jestem chodzącą życzliwością.

– Dzięki, dzięki, po tysiącokroć dzięki. – Pocałowałam ją w policzek i popędziłam do boku Mackenzie.

– ...pewnie przekreślony kontakt, bo ilekroć patrzę na ciebie, zapalam się – mówił właśnie Chartreuse.

Nie. I jeszcze raz nie. Powiedzonka zasłyszane w biegu nigdy nie są okay.

– Musimy lecieć – zwróciłam się do niej.

Chartreuse zmarszczył brwi.

– Ale dopiero do nas przyszła.

Mackenzie wręcz emanowała ulgą.

– Przykro mi, chłopcy. To było... – Nie powiedziała ani słowa więcej, ciągnąc mnie w stronę drzwi. Ona mnie, nie ja ją.

– Hej! – zawołała Reeve. – Nikt się ze mną nie pożegnał.

Pomachałam, wołając przez ramię:

– Cześć. Kochamy cię!

Posłała mi całusa.

Trina roześmiała się z czegoś, co powiedział Lucas, nieporuszona ani odrobinę naszą ucieczką.

Wyszliśmy na wietrzne popołudnie. Świeciło słońce, ale w powietrzu panował chłód. W okolicznych butikach krążyli klienci, każdy zagubiony w swym własnym małym świecie.

– Dzięki – powiedziała Mackenzie, wzdrygając się przy tym. – Jedyne facet, którym się w ogóle interesowałam, ani razu się do mnie nie odezwał.

– Niech zgadnę. Pan Blizna.

– Tak. Jak się domyśliłaś?

– Mamy podobny gust. – Dowód: obie chodziłyśmy z Cole'em. – Sama bym go wybrała. I nie tylko ze względu na szorstki powab.

Każdy zabójca biorący udział w wojnie przeciwko Z. tracił ukochanych z powodu ugryzień i ran bitewnych, a smutek i żal wznosiły pospołu bariery wokół naszych serc. Stawało się jasne, i to nieubłagane, że silni mają większą szansę przetrwania; Blizna był zdecydowanie najsilniejszy z tamtej trójki.

Co dość szokujące, Szron – który stracił więcej niż inni – nie potwierdzał mojej teorii, okazał się wyjątkiem. Zakochał się w Kat pomimo jej choroby nerek. Ale nie zamierzałam rozmyślać o jej przypadłości i bólu, który znosiła i miała jeszcze znieść. Załamalam się i musiałam szufladkować – ukrywać rozpacz w głębokim, mrocznym zakamarku swojego umysłu, by poradzić sobie z nią później.

Moje szufladki niemal całkowicie się zapełniły.

Mówiłam sobie, żeby z tym skończyć, z tym zamykaniem emocji na głucho, i żeby zająć się swoimi uczuciami, ale ten nawyk był zbyt silny. Szczerze mówiąc, nie spieszyło mi się do jakiegokolwiek zmiany.

– Dokąd teraz? – spytała Mackenzie, siadając za kierownicą pikapa. – Zbyt wcześnie na patrol.

O, tak. Tego wieczoru miałyśmy szukać zombi. W towarzystwie Gavina Podrywacza – kolejnego kandydata do grona ulubieńców pomimo spaczzonego poczucia humoru, jakim się odznaczał – i Bronxa, najbardziej milczącego ze wszystkich. Niewiele czasu nam pozostało.

– Jedziemy do Tatty's Ink – odparłam i wyjaśniłam dlaczego.

– Radziłabym ci zgrywać trochę niedostępna, ale słowo daję, to bez znaczenia, co zrobisz. Cole uważa, że to urocze. Mam ochotę dźgnąć każde z was w oko.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej cisnęłyby mi te słowa w twarz jak broń. Bo w chwili, gdy Cole okazał zainteresowanie moją osobą – a była to pierwsza chwila, owszem – znienawidziła mnie.

Ujęła ją ostatecznie moja skrząca się cudownie osobowość.

Dobra. Osobowość nie miała tu nic do rzeczy. Byłyśmy żołnierzami na wojnie i walczyłyśmy po tej samej stronie. Połączyła nas trwała więź.

– Jeśli dźgniesz nas oboje w oko, to będziemy nosić opaski i udawać piratów – odparłam. – A ty będziesz żałować, że sama się nie dźgnęłaś.

Wzdrygnęła się.

– Wciąż ujawnia się ta twoja zła strona, jak widzę.

– Tak, a pokarmem, którego łaknie, są twoje łzy.

Niewiele brakowało, by Mackenzie się uśmiechnęła.

Przesunęłam wzrokiem po parking, kiedy dotarliśmy na miejsce, i próbowałam stłumić rozczarowanie, gdy nie udało mi się zlokalizować dziupa należącego do Cole'a.

Może zjawił się tu na piechotę? Wiecie, z myślą o sprawności fizycznej. Jakby nigdy nie

miał dość siłowni, czyli bieżni mechanicznej, ciężarów i ringu. Ale w salonie go nie zastałam i moje rozczarowanie się pogłębiło.

Mogłam zadzwonić albo przesłać mu esemesa, jak przypuszczam, ale to nie był jedynie dziewczyński dzień. Także dzień chłopaków. Cole wciąż mógł być z Gavinem, Bronxem i nowym nabytkiem, Justinem. No cóż, ponownie „nowym”. Długa historia.

– Masz kilka wolnych godzin? – spytałam Mackenzie.

– Alternatywą jest powrót do Choco Loco?

– Tak.

– Więc mam.

Ruszyłam na zaplecze w towarzystwie Artysty, człowieka, który zrobił mi wcześniejsze tatuaże. Były dwa, na nadgarstkach; powód, dla którego wciąż dysponował formularzem zgody podpisanym przez moją rzekomą matkę, czyli Kat. Pierwszy przedstawiał białego królika, na cześć mojej siostry, Emmy. Nie żyła, ale wciąż mnie od czasu do czasu odwiedzała. Drugi, dwa miecze ułożone w krzyż, symbolizowały moich rodziców.

– Powiedz mi, czego chcesz – odezwał się, kiedy usiadłam w fotelu.

Zastanawiałam się nad tym od dość długiego czasu. Wszystko, co czuliśmy, zawsze manifestowało się zewnątrz. Uśmiechy, ruch brwi. Zmarszczki wywołane przez rozbawienie. Przez grymas gniewu. A to był mój sposób okazania miłości rodzinie i przyjacielom, których straciłam.

– Na początek chcę mieć feniksa na karku. – W tym wypadku chodziło o Cole’a. Nie straciłam go – i byłam pewna, że nie stracę! – ale mimo wszystko zasługiwał na honorowe miejsce. Z jego pomocą powstałam z popiołów swej przeszłości i wykułam nową przyszłość. – A potem chcę mieć parę rękawic bokserskich nad sztyletami.

W tym wypadku chodziło o mojego dziadka, którego zabiła zombiczna toksyna. Jako nastolatek uprawiał boks i przez resztę życia przyjmował twarde ciosy z odwagą i niewzruszonym spokojem.

Artysta zabrał się do pracy i choć przeżyłam to wcześniej i wiedziałam, czego mogę się spodziewać, bolało mnie. Bardzo. Nim skończył, szyja i ręka pulsowały mi bezlitośnie.

– No i jak? Co myślisz? – spytał.

Przyjrzałam się rękawicom bokserskim i uśmiechnęłam. Wyglądały jak zrobione z popękanej brązowej skóry i miały tasiemki, dzięki którym trzymały się na dłoniach.

– Perfekcja.

– Niczego innego nie uznaję.

Mężczyźni i ich ego.

Podeszłam do dużego lustra na ścianie. Odsunęłam drżącą ręką włosy i obróciłam się bokiem, żeby zerknąć przez ramię. Poczułam, jak oddech utyka mi w krtani z wrażenia. Głowa ptaka była jasnozielona i sięgała linii włosów. Skrzydła przypominały istną tęczę barw, każde skrzydło się złotymi płomieniami, obejmując swą rozpiętością moją szyję z obu stron i niemal dotykając uszu. Brzuch ptaka był połączeniem czerwieni i złota i widniał na kręgach mojego kręgosłupa, podczas gdy ogon odznaczał się kształtem i odcieniem pawich piór, kończąc się między łopatkami.

– To jest... to jest... – wysapałam. – Brakuje mi nawet słów.

– Wiem – odparł. – Jestem niesamowity. Najlepsza robota, jaką kiedykolwiek widziałas.

I tak dalej.

Wiedziałam, że Cole oszaleje.

– Pamiętasz, jak zapobiegać infekcji? – spytał.

– Tak.

Zapłaciłam mu i wróciłam do holu, gdzie czekała Mackenzie. Jej reakcja na widok tatuaży była podobna do mojej. Totalny szok i zachwyty.

– Choć bardzo chciałabym tu zostać i na to patrzeć, musimy ruszać. – Wskazała świat za drzwiami salonu. – Nadciąga mrok.

Spojrzałam przez okno i, oczywiście, blask słońca przygasnął. Cholera. Z każdym dniem noc nadchodziła wcześniej. Mieliśmy coraz mniej czasu na odpoczynek i relaks.

A mieliśmy go kiedykolwiek dość?

Ale próbowaliśmy. Wszyscy zabójcy – nie wyłączając naszych maskotek, Kat i Reeve – przeszliśmy na indywidualny tok nauczania, by nie pojawiać się w klasie. Biorąc pod uwagę nasze obowiązki, opuszczaliśmy lekcje albo, kiedy się pojawialiśmy w szkole, zasypialiśmy. Teraz sprawowaliśmy nad tym choć trochę kontroli.

Z nawyku szukałam na niebie chmury w kształcie królika. Ilekroć moja siostra dostrzegała gdzieś zombi poruszające się niespokojnie w swoim gnieździe, by wyruszyć na łowy i zapewnić sobie posiłek, formowała jedną chmurę wyłącznie dla mnie. W tej chwili nie było żadnej. Dobrze.

Tej nocy miałam penetrować osiedla miejskie, szukając Z. i chroniąc domostwa. Gdyby wszystko poszło dobrze – a tak się zapowiadało – miałabym wolne około trzeciej nad ranem. Chłopczyński dzień skończyłby się oficjalnie.

– Jedźmy – powiedziałam.

Wpakowałyśmy się do wozu i wyruszyłyśmy do siłowni. Po drodze zaczęłam korespondować z Cole'em.

„Będziesz dziś wieczór w domu, zgadza się?”

Jego odpowiedź nadeszła z prędkością światła.

„Tak. Masz w związku ze mną jakieś plany?”

Ja: „Jeśli nie pojawią się Z., to chyba będę musiała wrócić i dobrać się do ciebie”.

Cole: „Wróć. Będę czekał”.

Ja: „Tak przy okazji, mam dla ciebie niespodziankę”.

Cole: „Nagą niespodziankę?”

Ja: „Lepszą”.

Cole: „Nic nie jest lepsze”.

Ja: „Przygotuj się na to, że rozsądzi ci mózg!”

Ja: „TO ZNACZY ZMIENI SIĘ. ZMIENI”.

Cole: „Ha, ha! Wolę, żeby rozsądziło. I nawzajem, kotku”.

Schowałam komórkę.

– Promieniejesz szczęściem. – Mackenzie udała, że się krztusi ze śmiechu. – Powiedz mi, że wciąż potrafisz zabijać zombi i że nie zamierzasz przysypywać ich tęczowym pyłem.

Jakbym chciała go marnować na potwory.

– Nie martw się o mnie, maleńka. Chcesz wiedzieć, dlaczego nie ma śladu życia na Marsie? Bo tam byłam.

Starła się zapanować nad uśmiechem.

– Jeśli mi powiesz, że śmierć przeżyła kiedyś spotkanie z Ali, to chyba zaryzykuję zabawę w piratów i dźgnę cię w oko.

– Dlaczego miałabyś go pozbawić dziewczyny, która doliczyła do nieskończoności... dwa razy? Dziewczyny, która potrafi wygrać w kółko i krzyżyk w dwóch ruchach? Dziewczyny, która krzesa ogień, pocierając o siebie dwie kostki lodu?

– Zdecydowanie pozbawię cię oka – mruknęła.

Roześmiałam się.

– Mówię tylko, że jestem gotowa na dzisiejszą noc, cokolwiek się stanie...

O MAŁY WŁOS

Zegar wskazywał cztery minuty po trzeciej i – zgodnie z oczekiwaniami – ani śladu zombi. Miałam teraz wolne, ale nie spodziewano się mnie w domu aż do siódmej rano.

Życie nie mogło wyglądać wspanialej.

Och, zaraz. Mogło. Mackenzie i Bronx mieszkali z Cole’em i jego tatą, panem Tylerem Hollandem, i postanowili spędzić resztę nocy w siłowni. Nie powiedziałam słowa o swoich planach związanych z Cole’em, ale mógł mnie zdradzić mój uśmiech od ucha do ucha.

Gavin zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Dżentelmen w każdym calu, otworzył mi drzwi swojego wozu.

– Muszę zrobić parę osób i zobaczyć kilka rzeczy. – Wskazał fotel z przodu. – Wskakuj, babeczko.

– Dziękuję.

– Nie przyzwyczajaj się do tego.

Powiedział to ze śmiertelną powagą. Tylko się nie śmiej. Uwielbiałam gościa, ale nie byłam ślepa na jego wady.

A oto jedna z moich wad: każda z jego wad wydawała mi się czarująca.

Usiadł za kierownicą i podkreślił obroty; lód na szybie zaczął się roztopiać. Wyjechał na drogę i spytał:

– Kiedy dostaniesz prawo jazdy?

– W przyszłym tygodniu. – Był czas, gdy miałam ochotę zwymiotować na samą myśl o kontrolowaniu metalowej śmiertelnej pułapki zwanej samochodem, ale walka ze złą, zombiczno-bliźniaczą wersją mnie samej zmieniła nieco sytuację. – Dlaczego pytasz? Zmęczyłeś się, wożąc mnie wszędzie?

– Nie. Chcę się tylko upewnić, że zdążę zwać na czas do innego stanu. Jesteś uosobieniem nieuniknionego tragicznego wypadku. – Zaklął. – Przepraszam. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

– Nie przejmuj się. Oboje wiemy, że staruszkowie za kierownicą to dla mnie czempioni toru wyścigowego.

Mój stosunek do prędkości był zabarwiony miłością i nienawiścią. Kochałam „powoli” i nienawidziłam „szybko”.

– Właśnie o to mi chodzi – odparł Gavin. – Jest coś takiego jak szaleństwo autostrady. Mam to we krwi.

– Masz we krwi mnóstwo innych rzeczy – mruknęłam.

– Prawda, i wszystkie są niesamowite.

Przewróciłam wymownie oczami.

– Tak przy okazji, nie zawieszysz mnie do domu. Zawieszysz mnie do Cole’a. – Taką przynajmniej miałam nadzieję. Przesłałam mu esemesa, modląc się, by nie spał.

„Zadnych Z. – wystukałam. – Gotowy?”

Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach.

„Gotowy? Ali-gatorze, nie masz nawet pojęcia. Liczę, że masz ochotę zabawić się w Głodnego Zombi i Bezradnego Człowieka, bo łaknę smakowitego kaska. Jak szybko możesz tu

dotrzeć?”

Ja, z sercem trzepoczącym z podniecenia: „10 minut”.

Cole: „Skróć do 5”.

Ja, z sercem trzepoczącym tysiąc razy szybciej: „Załatwione!”.

Cole: „Bro i Mac z tobą?”.

Ja: „Nie. Kochają nas dość mocno, żeby dać nam dzisiejszą noc”.

Cole: „Idealnie. Wyłączę alarm i otworzę swoje okno”.

Gavin mrugnął do mnie.

– Więc dzisiaj jest ta noc? Wreszcie stracisz swój wianuszek.

Nie ma mowy. Wykluczone, by w to wniknął.

– Ale z ciebie świnia.

– Świnie są urocze.

– I brudne.

– Doskonałe połączenie.

Było rzeczą niemożliwą obrazić kogoś, kto nigdy się nie obrażał.

– Posłuchaj, nie zamierzam rozmawiać o swoim życiu seksualnym albo o jego braku, zwłaszcza z tobą.

– Jeśli nie złamiesz sobie po drodze karku, to od razu wskoczysz do łóżka tego chłopaka.

Wiemy o tym oboje – odparł niezrażony w najmniejszym stopniu.

Wielkie nieba. On i babcia dobrali się jak w korcu maku, tylko nie byłam pewna, które z nich odznaczało się lepszym prawym prostym.

– Więc... potrzebujesz kilku dobrych rad, dzięki którym zwykle przemieni się w nadzwyczajne? – spytał. – Jestem czymś w rodzaju seksperta.

– Prawdę powiedziawszy, jesteś czymś w rodzaju perwerta.

– Nie bądź śmieszna. Nie ma nawet takiego słowa.

Nie mogłam walnąć go ciosem karate w krtań. Straciłby panowanie nad wozem i spowodował wypadek.

– Może odetnę sobie uszy i oddam ci je? – mruknęłam do siebie. – Bolałoby mniej niż ta rozmowa.

– Świetnie. Zrób to. Zaczynaj się poruszać po omacku. Przekonasz się, czy mnie to rusza.

– Pewnie, że nie!

– No cóż, rusza. Jesteś moją ulubioną babeczką. Tak sobie myślę, że warto cię polukrować...

– Nie waż się kończyć tego zdania. Bo przysięgam, że drogo za to zapłacisz.

Uśmiechnął się szeroko.

– Zrobię to z przyjemnością.

– A może powiesz mi o swoim pierwszym razie, hm? Był szczególny? Obsypałeś łóżko płatkami róży?

– Był najszczególniejszy – odparł z kamiennym wyrazem twarzy. – Owszem, zrobiłem to.

Znowu przewróciłam oczami. Ciągłe mi się to zdarzało w jego obecności.

– Nieważne. Temat jest zamknięty, Barbie, więc możesz dać sobie spokój.

Nie dał sobie spokoju. Oczywiście.

– Barbie? Takie mi nadałaś przezwisko?

– Nie podoba ci się? – spytałam ze złośliwym uśmiechem. Musiałam się zrewanżować za tę babeczkę.

– Uwielbiam je, absolutnie. Zawsze podejrzewałam, że chcesz się mną pobawić.

Widzicie! Niemożliwe!

– Tak czy owak – ciągnął – jak zamierzasz uwieść Cole’a Szczęściarza Hollanda?
Parsknęłam.

– Mówisz poważnie? Jakby dziewczyna naprawdę musiała robić coś więcej, niż tylko oddychać.

Pokręcił głową i cmoknął, jakby chciał powiedzieć: „Żal mi ciebie”.

– Posłuchaj uważnie, babeczko, bo zamierzam rozrzucić kilka pereł mądrości.

– Choć wiem, jak rzadko to czynisz, proszę, daj sobie spokój.

– Jeśli chcę wciągnąć dziewczynę do łóżka, mówię: „Porozmawiajmy o tym”. Bum.

Ubranie fruwa, kończyny się splatają i dochodzi do niesamowitych zdarzeń. Ale jeśli powiesz coś takiego Cole’owi... To taki mięczak, że od razu dojdzie w swoich dżinsach, nim cokolwiek zacznie się naprawdę.

– Daj mi minutę, bym mogła się otrząsnąć z szoku i zrozumieć, że wciąż jesteś singlem.

– Wiem, w porządku. Choć będziesz prawdopodobnie potrzebować więcej niż minutę. To prawdziwa zagadka.

– Posłuchaj, niektóre pary mają coś więcej na względzie niż tylko seks. – Pomyślałam o tym, jak Cole patrzył na mnie czasem. Jakby słońce wschodziło i zachodziło tylko dla mnie. – Mają na względzie związek.

– Potwierdzasz mój punkt widzenia. Związek... fizyczny.

– Mentalny. Emocjonalny.

– Kotku, tylko połowa par myśli o mentalności i emocjonalności, i uwaga, nigdy nie jest to facet. No ale odbiegłem od tematu. Od razu chcesz się do niego dobrać, co? Żadnych ceregieli, zerwiesz z niego ubranie i pokażesz, kto tu rządzi. – Uniósł brwi. – No cóż, Ali Bell, nie wiedziałem, że z ciebie takie ziółko.

Pytanie: Gdybym wypatroszyła go jak jakiegoś zombi, czy ktoś naprawdę oskarżyłby mnie o zbrodnię?

Odpowiedź: Nie! Każdy by mi podziękował.

– Po prostu skoncentruj się na drodze – powiedziałam.

Posłuchał, co tylko wzbudziło moje podejrzenia co do następnego ruchu z jego strony. Przyglądałam się jego profilowi. Mógłby być wycięty z jakiegoś magazynu. Reklama bielizny. Stąd przydomek, jaki mu nadałam. Był uosobieniem pięknego chłopca o blond włosach i migoczących zielono-złotych oczach.

– Patrzysz na mnie – zauważył. – Myślisz o tym, żeby mnie od razu załatwić? No cóż, przykro mi to mówić, ale okazja minęła.

Po raz trzeci przewróciłam oczami.

– Próbuję cię rozgryźć.

– Chociaż – ciągnął, jak gdyby nigdy nic – mógłbym dać się ostatecznie przekonać i pokazać ci, jak prawdziwy mężczyzna zadowala kobietę po tym, jak Cole spieprzył sprawę. Wiesz, akt miłosierdzia.

– Wolałabym, żeby zombi mi to pokazał. Nigdy nie będziesz kandydatem.

Utrzymywanie go w stanie pokory było z mojej strony darmowe – i wciąż nie miałam pewności, czy mi się to opłaci.

Wzruszył ramionami.

– Twoja strata.

– Jesteś taki szczodry... – niemal udławiłam się przy tym słowie – bo nie lubisz słyszeć słowa „nie”.

– Albo dlatego, że dziewczyny są jak cukierki, a moją misją jest wypróbować wszystkie smaki.

Po raz czwarty przewróciłam oczami.

- Ledwie cztery tygodnie temu twierdziłeś, że chcesz znaleźć prawdziwą miłość i że zależy ci na poważnym związku.
- Ledwie cztery tygodnie temu byłem idiotą – odparł, wzdrygając się.

Pokręciłam zdesperowana głową.

- Jesteś tykającą bombą zegarową. HIV i tak dalej. Wiesz o tym, prawda?
- HIV? Hiperseksualne indywidualne vademecum? Czemu nie.
- Błąd. Hiperidiotyczne indywidualne vademecum. Nieuleczalne.

Pokazał mi środkowy palec, a kiedy się roześmiałam, nacisnął mi nos palcem.

- Jak rozumiem, tata Cole’a nie ma pojęcia, że zostaniesz u niego na noc i zdeprawujesz jego syna.

– Zgadza się. – I dodałam dla przekory: – Zamierzam zdeprawować go na całego.

Gavin westchnął dramatycznie.

- Gdybym nie lubił Cole’a tak bardzo, znienawidziłbym go. Ten palant zawsze dostaje to, co najlepsze. I najrzadsze. – Podjechał do krawężnika i zgasił światła.

Mój umysł od razu zmienił tor, serce zabiło mi z podniecenia. Za niespełna minutę miałam znaleźć się w ramionach Cole’a.

- Dzięki za podwiezienie, Gavin.
- Zawsze do usług, babeczko. Nawet jeśli podwiozłem cię nie tam, gdzie chciałem.
- Wielkie nieba. – Zdjęłam rękawiczkę i rzuciłam nią w niego.

Chwycił ją i ucałował.

No i... po raz piąty przewróciłam oczami.

Odpowiedzią był szeroki uśmiech.

Opuściłam ciepłe wnętrze samochodu na rzecz przenikliwego chłodu nocy; moje buty chrzęściły na lodzie, kiedy biegłam w stronę wielkiego parterowego domu z czerwonej cegły z białym obramowaniem. W całym tym pośpiechu nie zauważyłam kamienia na ścieżce i potknęłam się.

Brawo. Piątka z plusem.

Okno sypialni Cole’a znajdowało się na tyłach, pierwsze z lewej strony. Otwarte, tak jak obiecał. Wgramoliłam się do środka, robiąc jak najmniej hałasu, i zasunęłam za sobą szybę.

Nim zdążyłam się odwrócić i przyzwyczaić oczy do ciemności pokoju, zostałam unieruchomiona.

Usta zakryła mi twarda ręka, uciszając westchnienie. Druga ręka otoczyła mnie, unieruchamiając moje ramiona i łokcie.

- Powiedziałem „pięć minut”, panno Bell. – Niski, gardłowy głos Cole’a był jak pieszczota, pozbawiając mnie wszelkiej chęci do oporu. – Okazało się, że potrzebujesz ośmiu. Wiesz, co to znaczy?

Stłumiłam chichot.

- Muszę kupić sobie zegarek?
- Zasłużyłaś w końcu na klapsa, którego ci obiecałem.

Opuścił dłonie, a ja obróciłam się do niego, wlepiając z nawyku wzrok w podłogę.

Zwykle, kiedy nasze oczy spotykały się po raz pierwszy któregoś dnia, doznawaliśmy wizji dotyczącej naszej przyszłości. Widzieliśmy się wcześniej tego ranka, co oszczędziło nam teraz kłopotu.

Byłam zadowolona.

To, co widzieliśmy... Nie pozwalałam sobie myśleć o tym z obawy, że się załamie. Cole opierał się o drzewo, szkarłat znaczył głowę i pierś, spływał po dłoniach, na twarzy malował się

ból i bezgraniczny żal, ja zaś oddalałam się od niego.

Oddalałam się. Od niego.

Nie istniał jakikolwiek powód, bym mogła tak postąpić.

Czy został ciężko ranny? Kiedy ta wizja miała się ziścić? Za kilka dni? Tygodni?

Miesiące? Nigdy nie było żadnego terminu. Jedno nie ulegało wątpliwości: prędzej czy później wizja się urzeczywistniała. Nigdy jej nie powstrzymaliśmy.

Czerwony alarm! Czerwony alarm! Groźba emocjonalnego załamania.

Stłumiłam niepokój, wpychając go w głąb umysłu. Było ciężko, ale zdołałam zatrzasnąć wieko.

Chwilowo.

– Możesz na mnie popatrzeć – powiedział. – Nie ugryzę... zbyt mocno.

Moje spojrzenie powędrowało w górę i zwarło się z jego spojrzeniem, i nagle znalazłam się w pułapce tęsknoty i pragnienia, które zaczęły mnie prześladować od pierwszej chwili, w której się spotkaliśmy. Pragnienia jego... pragnienia tego... pragnienia czegoś więcej.

Kąciki jego szelmowskich ust uniosły się w leniwym uśmiechu.

Rany. Podczas gdy Gavin był po prostu atrakcyjny, Cole odznaczał się czystym, szorstkim seksapilem. Powinien mieć na czole wypisane ostrzeżenie: „Uważaj, bo roztopią ci się majtki”. Zalewał go blask księżyca i przez kilka sekund miałam wrażenie, że słyszę chóry anielskie. Czarne włosy sterczały mu cudownie na wszystkie strony, jakby zbyt często przeczesywał je palcami. Dlatego że pragnął mnie zobaczyć? Olśniewające fioletowe oczy były okolone rzęsami tak gęstymi i czarnymi, że zawsze zdawało się, jakby je malował.

A jeśli chodzi o resztę jego postaci...

Wielkie nieba! Znałam fizyczność ukrywającą się pod ubraniem. Skóra opalona na doskonały brąz. Muskuly doskonale wyrzeźbione. Doskonała pierś pokryta najbardziej doskonałymi tatuażami. Jeden sutek miał przebity kolczykiem – miauu! – i był, jak się już zapewne domyśliliście, doskonały.

Musnął kłykciami mój policzek, a ten przelotny dotyk od razu mnie naelektryzował.

– Tęskniłem za tobą.

Drżąc na całym ciele, spytałam:

– Jak bardzo?

– Co? Myślisz, że ty tęskniłaś za mną bardziej?

– Jestem tego pewna.

– Z radością ci udowodnię, że się myliłaś. Kiedy już pokażesz mi tę swoją niespodziankę.

– Przygotuj się na czystą niesamowitość. – Zgarnęłam włosy z karku i obróciłam się, pokazując szyję.

Zapadła cisza.

Zmarszczyłam czoło, zaniepokojona nagle. A gdyby mu się nie spodobało? Tuszu nie dało się usunąć.

– Ali. – Jego głos, tak gardłowy i głęboki, był pokusą i jednocześnie jedwabiem, które mnie głaskały. – Czy wymienię kiedykolwiek powody, dla których cię kocham?

– Nie. – Oblizyłam wargi i pokręciłam głową, zbierając się na odwagę, by spojrzeć mu w twarz. Miał ciężkie powieki, spojrzenie palące.

Podobał mu się ten tatuaż.

– Powiedz mi teraz – rozkazałam cicho.

– Wymienię dziesięć najważniejszych. Pierwszy... – Pocałował mnie w czoło. – Jesteś brutalnie szczerą. To tak rzadka i godna podziwu cecha.

Duży plus dla mojego mężczyzny: bardziej cenił osobowość niż wygląd zewnętrzny.

– Drugi... – Pocałował mnie w oko. – Masz perfekcyjne poczucie humoru... Perfekcyjne dla mnie. Leciutko spaczone i bardzo zakręcone. Potrafisz mnie rozbawić, kiedy nikt inny nie jest w stanie tego zrobić.

Niemal się roztopiłam. Niemal. Musiałam usłyszeć resztę.

– Mów dalej albo zrobię ci krzywdę. – Czy zdawało mu się, tak samo jak mnie, że mówię bez tchu?

Parsknął śmiechem.

– Trzeci... – Pocałował mnie w drugie oko, delikatnie, och, jak delikatnie. – Jesteś bystra. Chciałbym ujrzeć twój umysł obnażony.

Ha!

– Czwarty... Jesteś obłądnie gorąca.

– Jasne. – Okay, tak, za to też dostał punkty. Może dlatego, że tak często czułam się gorąca. A może dlatego, że tak desperacko pragnęłam następnego pocałunku. Mocniejszego. Na wargach. Z językiem i zębami. I myszkującymi dłońmi. A może dlatego, że chciałam, by on chciał mnie całą.

– Piąty... – Pocałował mnie w policzek, a ja zajęczałam. Więcej! – Jesteś niewiarygodnie miła. – Pocałował mnie w drugi policzek. – Szósty... Kochasz całym sercem, bez jakichkolwiek oporów.

– No dalej. Pocałuj mnie naprawdę.

Chciał, żebym go błagała? Bo zrobiłabym to, zmusiwszy go, żeby i on trochę błagał.

– Siódmy... – Przywarł wargami do mojej brody, omijając usta, niech go diabli. – Jesteś tak dobrym wojownikiem, że mógłbym stanąć z boku i patrzeć, jak odwalasz trudną robotę, i nie czułbym się niczym ostatnia sierota. Czułbym się niczym geniusz.

– Uwierzę, kiedy to zobaczę.

– Osiem... – Pocałował moją brodę z drugiej strony. – To, jak czasem na mnie patrzysz... jakbym był najslodszy deserem w cukierni, a ty desperacko pragniesz odgryźć jego kęs.

Tak, tak. Wielki smakowity kęs.

– Kiedyś – odparłam, zaskoczona chrapliwością swojego głosu, i objęłam go za szyję – to spojrzenie budziło w tobie lęk.

Nie bez powodu. Byłam nafaszerowana zombiczną toksyną i dosłownie miałam ochotę go zjeść. No cóż, nie ja, tylko moja bliźniaczka. Ali Zombi. A.Z.

– Dziewiąty... – Posunął się wyżej i skubnął moje ucho. – Jesteś jak najdoskonalszy na świecie narkotyk. Stuprocentowo czysty, gwarancja niepowstrzymanego nałogu po pierwszym razie. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie... Nie chcę sobie wyobrazać.

Poczułam, jak mrowi mnie skóra, a krew rozpała się do białości.

– Cole – powiedziałam przy akompaniamencie następnego jęku. Wplątałam mu palce we włosy i przechyliłam głowę, próbując przejąć inicjatywę. – Błagam. Przestań gadać i zacznij działać.

– Dziesiąty... – oznajmił i w końcu, szczęśliwie, przywarł ustami do moich warg. Tyle że było to miękkie, o wiele za miękkie. – Umarłabyś dla mnie, tak jak ja umarłbym dla ciebie.

– Tak, tak, umarłabym.

Czekałam na twardość.

Nie dał mi jej. Jego twarz widniała tuż nad moją, podczas gdy on... rozważał swe następne posunięcie?

Pomogłam mu z wielką radością.

– Ściągnij koszulę – poleciłam, ciągnąc już za materiał. – Natychmiast.

Obdarzył mnie przelotnym uśmiechem.

– Niecierpliwa?

– Zwierzęca. I nie waż się narzekać. Ty jesteś winien.

– Narzekać? Raczej świętować. – Wyjął swoją koszulę z moich dłoni. – Zdejmij płaszcz.

Zdziwiłam się, że ubranie jeszcze na mnie nie spłonęło. Taka byłam rozpalona. Dla niego.

Kiedy ściągnął przez głowę koszulę, ja szarpałam się z płaszczem i swetrem, zostając jedynie w podkoszulku, dzinsach i butach. Chwilowo... Moje spojrzenie, kontrolowane przez siłę, nad którą nie panowałam, wędrowało po nim całym – Boże, należy ci się złoty medal za stworzenie czegoś takiego – nim spoczęło na jego piersi. Wytatuował sobie moje imię pogrubionymi czarnymi literami, od jednego sutka do drugiego.

Wdychając go... mmm, mydło i truskawki... wodziłam po napisie drżącymi palcami.

Wydał z siebie cichy jęk.

– Nim zaczniemy, Ali-gatorze, muszę cię ostrzec.

– „Nim” zaczniemy?

Wziął w dłoń garść moich włosów i ostrożnie, zważając na mój obolały kark, przyciągnął mnie do siebie. Męska siła kontra kobieca miękkość. Jego spojrzenie było zawzięte, niewzruszone.

– Nie pójdę z tobą na całość.

Żar we krwi ostygł momentalnie.

– Ale dlaczego? – Tuż po tym, jak otarłam się o śmierć, był gotów. Bardziej niż gotów.

I ja też. Wciąż byłam. Wiem, że seks to coś, czego nie da się uniknąć, że zmieni charakter naszego związku i mnie. Choć nie należałam do wielkich fanów zmian, chodziło o Cole’a. Mojego Cole’a. Byłam gotowa.

– Po tym, jak twoja babcia przeszkodziła nam tamtego wieczoru, zacząłem się zastanawiać – powiedział. – Jego rysy przykryła twarda maska, ja zaś nabrałam podejrzeń, że nie tylko się zastanawiał. Prawdopodobnie wysłuchał wykładu swojego taty. – Mam osiemnaście lat. Ty masz szesnaście.

– Prawie siedemnaście.

– Jestem oficjalnie dorosły. Ty nie.

– Cole...

– Pozwól mi dokończyć. – Jego ton zrobił się teraz tak twardy jak rysy. Nieprzenikniony.

– Uważam, że powinniśmy poczekać.

Patrzyłam na niego. Przy wzroście stu siedemdziesięciu centymetrów byłam wysoka. Przy wzroście stu dziewięćdziesięciu centymetrów był wyższy. Bardziej barczysty niż ja, cięższy i ilekroć znajdowałam się w jego obecności, czułam się przez niego dosłownie pochłaniana. Zwykle to uwielbiałam. Tego dnia nie za bardzo.

– Dwa lata to...

– Rok i trzy miesiące.

– ...bardzo długo – dokończyłam.

– Nie w sytuacji, gdy mamy przed sobą całe życie.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować. W końcu jego usta wbiły się w moje.

Natychmiastowe inferno. Całowałam go całą sobą. Postanowiłam, że przedyskutujemy piętnastomiesięczny okres oczekiwania innym razem – może wtedy, gdy już zaspokoję pierwszy głód. W tej chwili zamierzałam po prostu cieszyć się nim... i wszystkim, co mógł mi dać.

Kiedy moje paznokcie ocierały się o jego skórę, jego dłonie zakotwiczyły na moich pośladkach, przyciągając mnie jeszcze bliżej; w moim brzuchu zapłonęły tysiącami ogniki, a potem rozlały się na resztę mojej istoty. Tak sobie wcześniej wyobrażałam inferno? Nie. Nawet w przybliżeniu.

Plomienie musiały objąć też jego, bo uniósł mnie i zaczął się o mnie ocierać. Objęłam go nogami w pasie; nasze ciała stopiły się ze sobą na dobrą sprawę. Zbliżył się do łóżka i położył mnie na nim; połowa mojego ciała wciąż znajdowała się poza krawędzią materaca. I pocałunek trwał cały czas. Bardziej gorący, bardziej niecierpliwy.

– Możemy robić inne rzeczy – oznajmił chrapliwie. – Jak przedtem.

– Tak. Jak przedtem.

Rzeczy, które robił, przyprawiały mnie o...

Położył dłonie na moich skroniach i uniósł głowę. Dysząc, powiedział:

– Ale może powinniśmy posunąć się tym razem nieco dalej.

Oblizала nabrzmiałe od pocałunków wargi i spytałam drżącym głosem:

– Dlaczego wciąż gadasz?

Na twarzy błąkał mu się leniwy i niegodziwy uśmiech, kiedy manipulował przy sprzączce mojego stanika pod materiałem podkoszulka.

Za drzwi sypialni dobiegł brzęk szkła.

Cole znieruchomiał i zmarszczył brwi.

– Co...

Na drewnianej podłodze zastukały liczne kroki.

Puk.

Puk.

Zszokowani usiedliśmy gwałtownie i jednocześnie. Znałam ten dźwięk. Strzał przyciszony przez tłumik. Ale... ale...

– Ktoś tu jest – powiedział Cole, podchodząc pospiesznie do stolika nocnego, żeby chwycić jedną ze sztuk broni, która tam leżała.

Kto mógłby zaatakować Hollandów? I dlaczego? To bez sensu... Najmniejszego...

Cole posłał mi ostre spojrzenie.

Słusznie. Oręż. Potrząsnęłam głową, żeby rozproszyć mgłę ogłupienia i wyciągnęłam z butów dwa sztylety. Nigdzie się bez nich nie ruszałam. Jednak ostrza te były przeznaczone do bezpośredniego starcia z zombi – chwycić i pchnąć. Strzały padały z broni palnej. Wiedziałam, że nie będę miała do czynienia z ożywionymi trupami.

Odrzuciłam sztylety i chwyciłam pistolet, który ukryłam wcześniej w płaszczu.

– Cole! Uciekaj! – krzyknął jego ojciec i w tym momencie okno sypialni pękło z hukiem.

Cole nie miał szansy ucieczki.

Znowu huk szkła, on zaś poleciał przez cały pokój niczym granat o napędzie rakietowym. Rąbnął o ścianę, a potem zsunął się na podłogę, zostawiając po sobie gęsty jasnoczerwony ślad krwi.

NIE WYPRULEŚ BEBECHÓW, NIE LICZ NA CHWAŁĘ

Co się, u diabła, działo?

Dyszając, osunęłam się na kolana.

– Cole? – wyszeptałam, podpełzając do niego spanikowana. Pistolet zastukał o deski podłogi, przywodząc mi na myśl tykający zegar.

Nienawidziłam tykających zegarów. Całe życie mogło się zmienić w przeciągu jednej sekundy.

Odłożyłam broń i przycisnęłam dwa palce do jego szyi, starając się wyczuć puls. Nie bądź martwy, nie bądź martwy, błagam, błagam, nie bądź martwy. Tak, okay, wiedziałam, że śmierć to nie jest nasz koniec. Przykładem moja siostra. Ale nie byłam gotowa utracić jakiegokolwiek cząstki Cole'a.

Puk... puk. Puk...

Dzięki Bogu! Niespiesznie, ale wyraźnie. Żył.

Zatrzepotał powiekami i otworzył oczy.

– Ali?

– W porządku – odparłam. – Nic ci nie jest. Nic ci nie będzie.

– Co się stało?

Oceniłam obrażenia. Miał dziurę w ramieniu. Krew przesączała się przez ubranie.

– Ktoś cię chyba postrzelił. Na moich oczach. Ten ktoś jest pewnie na zewnątrz. I może do nas celuje. – Dwie półkule mojego mózgu toczyły wojnę, nie pozwalając się skupić. – Nadzieja kontra przerażenie. – Co mam robić?

– Przewiąż – poprosił cicho; to słowo było nieledwie tchnieniem. – Ramię.

Oczywiście. Tak. Wiedziałam o tym. Ale przewiązanie mu ramienia niewiele by pomogło. Krew wylewała się szerokim strumieniem. Potrzebował ognia; ten dokonałby kauteryzacji.

Zabójcy potrafili wywołać ogień; był nieodzowny, żeby unicestwić potwory. I ja to potrafiłam. Wzniesione płomienie trzaskały na koniuszkach palców. Przywieraliśmy nimi do zombi, a oczyszczony żar się rozprzestrzeniał, wypalając zło i ciemność. W końcu monstra eksplodowała. Z jakiegoś powodu mogłam zapłonąć od stóp do głów i żeby zniszczyć zombi, potrzebna była tylko chwila kontaktu.

W przypadku ludzi ogień czasem leczył. A czasem powodował ostateczną śmierć.

Uleczył mnie i wiedziałam, że uleczy Cole'a. Oboje byliśmy zabójcami, to zaś decydowało o zasadniczej różnicy między uleczeniem a eksplozją.

Tak?

Musiałam spróbować. W przeciwnym razie by nie przeżył. Tracił wraz z krwią siły, głowa opadła mu na bok. Wargi zaczynały sinieć, skóra robiła się kredowo biała.

W przyływie desperacji zamknęłam oczy. Ludzie złożeni byli z trzech części. Duch, źródło życia, wiązał się z duszą, która z kolei składała się z umysłu, woli i emocji. Jedno i drugie zamieszkiwało w ciele – zewnętrznej powłoce. Wciągnęłam powietrze w płuca... odetchnęłam... i zmusiłam ducha i ciało, by się rozdzieliły; przypominało to zdjęcie rękawiczki. Ponieważ zombi były duchami, mogły walczyć tylko z innymi duchami. Nauczyłam się, jak dokonywać tej

separacji na zawołanie, w mgnieniu oka.

Otoczyło mnie zimne powietrze. Bez izolacji, jaką zapewniały skóra i mięśnie, mój duch doznawał spadku temperatury – zdawało się – o tysiąc stopni.

– Co robisz? – Jako zabójca, Cole potrafił wejrzeć w świat duchowy. We mnie.

Nie miałam czasu wyjaśniać. Kiedy dochodziło do podobnych sytuacji, byłam taką nowicjuską, że nie dawałam rady odpowiadać na liczne pytania.

Światło, pomyślałam, a wtedy koniuszki moich palców ogarnął żar. Spojrzałam. Płomienie obejmowały moją rękę aż do nadgarstka. Dobrze, dobrze. Sięgnęłam w głąb ramienia Cole'a.

Oddech uwiązał mu w krtani. I to wszystko, jego jedyna reakcja. Wiedziałam jednak, że cierpi straszliwie. Sama to przeżyłam. Na dobrą sprawę doznał poparzeń duszy trzeciego stopnia. Ale nie zamienił się w popiół, a to już było coś.

Stłumiłam płomienie i jednym ruchem sprowadziłam ducha na swoje dawne miejsce, a potem przyjrzałam się uważnie Cole'owi. Jego twarz znów odzyskała normalną barwę. Tak szybko. Chwyciłam koszulę, którą wcześniej ściągnął, i owinęłam nią wciąż krwawiącą, ale czerniejącą teraz ranę.

Co dalej? Nie wiedziałam, czy na zewnątrz są źli faceci z bronią wycelowaną w otwarte okno, które pozwalało zasypać pokój gradem pocisków. Nie wiedziałam, ilu złych facetów jest w domu, ani czy pan Holland jeszcze żyje.

Moje wnętrzości zamieniły się w płataninę bolesnych węzłów.

Bez względu na wszystko nie mogliśmy – nie zamierzaliśmy – zwać bez niego.

– Możesz iść? – spytałam.

Cole zacisnął zdeterminowany szczęki.

– Nieważne... czy... mogę. Zrobię to.

Zacinał się, ale głos miał mocny. Nie tylko dzięki ratunkowej kauteryzacji, ale też dlatego, że wzmacniała go żelazna wola i odwaga.

– Znajdę twojego tatę i spotkamy się...

– Nie. – Jego ton wykluczał jakikolwiek sprzeciw. – Trzymamy się razem.

– Liczy się każda chwila.

– Nieważne. Mój ojciec. Moja decyzja.

Bardzo dobrze.

– Potrzebujemy więcej broni.

Podczołgałam się do pistoletu, który upuścił, i pchnęłam go w jego stronę. Dotarłam do stolika nocnego i wzięłam małą kuszę, którą tam zostawił.

Dźwignął się na kolana.

– Przejdę przez drzwi... pierwszy. Ty... trzymasz się tuż za mną. Rozumiesz? – Wyjął z garderoby jakiś plecak, krzywiąc się przy tym.

Nie, nie rozumiałam, i nie zamierzałam robić tego, co mi kazał. To ktoś silny miał prowadzić kogoś słabego, nie odwrotnie.

– Ja pójdę pierwsza.

– Po prostu... – zmarszczył czoło i unióś palec, dając znak, bym umilkła.

Nasłuchiwałam podejrzanych odgłosów. Wiatr zawodził upiornie i... chrzęścił lód. Każdy mój instykt wołał: czerwony alarm, czerwony alarm!

Ktoś się zbliżał, i to na całego.

Odwróciłam się i wycelowałam w chwili, gdy jakiś zamaskowany mężczyzna przerzucił nogi przez parapet okna. Kiedy się wyprostował, nacisnęłam spust kuszy. Bełt utkwiał mu w krtani, odcinając dopływ powietrza i tłumiąc ryk bólu, nim zdołał się dobyć z jego ust.

Śmiertelne trafienie.

Zrobiłam to, co konieczne. Nie mogłam tego żałować.

Wciąż do niego celując, podeszłam tam, gdzie leżał. Głowę miał przekreśloną na bok, oczy otwarte, ale szkliste. Ani śladu pulsu. W jego uchu tkwiła słuchawka. Wyjęłam ją i podniosłam. Gwar głosów.

– Dostałem. Trafił mnie...

– ...chcesz, żebym kontynuował?

– Nie żyje...

Więcej głosów.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, a ja obróciłam się na pięcie. Rozpoznałam pana Hollanda w chwili, gdy nacisnęłam spust po raz drugi; zdołałam w ostatniej chwili wykręcić nadgarstek i posłałam strzałę we framugę.

– Na ziemię! – rozkazał Cole. W jego głosie pobrzmiwała troska i ulga.

Pan Holland wciąż stał w miejscu. Jedno oko miał opuchnięte i zamknięte; przesunął spojrzeniem drugiego oka po pokoju. Wciągnął gwałtownie powietrze w płuca, kiedy dostrzegł Cole'a, i odetchnął powoli, gdy dostrzegł i mnie. Po twarzy ściekały mu szkarłatne strugi.

– Było czterech. Trzech w środku, jeden na zewnątrz. Ale wygląda, że go załatwiłaś.

Przykuśtykał do Cole'a i odsunął przesiąknięty krwią materiał, żeby obejrzeć ranę.

Cole się skrzywił.

– Czysty strzał, na wylot. Brzegi osmalone. Krwotok się zmniejsza. – Pan Holland odrzucił koszulę, którą owinięty był jego syn, zdjął własną i przewiązał go. – Nie mamy dużo czasu. Jeden uciekł. Wróci z innymi.

– Już ich słyszałam – uprzedziłam. – Przez słuchawkę tego zabitego faceta.

– Nie ma ich tutaj. Są u Ankha.

U pana Ankha. Ojca Reeve. Nie był zabójcą zombi, ale wspierał naszą sprawę i pozwalał mieszkać u siebie mnie i babci.

– Babcia – sapnęłam gwałtownie. – Kat.

Zamierzała spędzić tę noc z Reeve. Czy coś im się stało?

Nie miałam pojęcia...

Powinłam tam być, powinłam je chronić.

– Przykro mi – powiedział pan Holland. – Nic nie wiem. To był zaplanowany atak, chodziło o to, żeby załatwić nas wszystkich jednocześnie.

Wszystkich?

– To znaczy... – Nie. Nie, nie, nie. Nie podobało mi się to, dokąd zmierzają moje myśli.

– Ankh do mnie zadzwonił. Ktoś wyłączył w domu system alarmowy. Ubierałem się, żeby tam pojechać i mu pomóc, kiedy dostałem kolejny telefon. Od Szrona. Krótco potem zadzwonił Bronx. Nie zdążyłem odebrać, ani od jednego, ani od drugiego. Przez tylne drzwi wtargnęło dwóch mężczyzn. Tak. Podejrzewam, że dziś wieczorem zaatakowano wszystkich zabójców z naszego zespołu.

Szron. Bronx. Trina. Lucas. Cruz. Collins. Gavin. Veronica. Mackenzie. Justin. Jacklyn. Jeśli komuś z nich coś się stało... Uderzyła mnie fala emocji, czyniąc to z siłą kija baseballowego. Ból, żal, troska i wściekłość jak ostra stal.

W mojej głowie zaczęła przybierać kształt lista rzeczy nieodzownych. Szufladkuj. Po kolei. Zawieźć Cole'a do lekarza. Odnaleźć pozostałych. Zniszczyć ludzi odpowiedzialnych za to wszystko.

Nie musiałam się zastanawiać nad sprawą. Anima Industries. Bez wątplenia.

– Ankhowie mają w swoim domu sekretne przejścia umożliwiające szybką ucieczkę –

zauważył Cole. Na jego twarzy malowała się zaciętość. – Ankh wyprowadził wszystkich, Ali-gatorze. Gwarantuję to.

Tak jak ja, brzydził się kłamstwem. Wierzyłam mu.

Zabrałam mu plecak, a on się skrzywił z bólu.

– Przepraszam – mruknęłam, zakładając pasek na ramię. Cokolwiek chował w środku, ważyło z tysiąc kilogramów. Co najmniej. – Wynośmy się stąd.

Dotarliśmy do garażu bez przeszkód; odmówiłam bezgłośnie modlitwę dziękczynną. Cole usadowił się na fotelu pasażera w swoim dziupie, a ja położyłam plecak u jego stóp.

Pan Holland rzucił mi kluczyki.

– Ty prowadzisz.

– Tak. – Prawo jazdy nie było w tej chwili ważne.

– Zawieź go do kościoła Świętej Trójcy. I zaprowadź do pokoju pastora. Półka z książkami. – Pan Holland spojrział na Cole'a. – Taki sam schowek jak ten, który urządziliśmy dla mamy.

Cole zeszytniał. Zawsze tak reagował na jakąkolwiek wzmiankę o matce. Była zabójczynią i owszem, miała schowek, ale i tak zginęła podczas ataku zombi.

Pan Holland napotkał mój wzrok.

– Tam właśnie będzie pan Ankh i twoja babcia, jeśli...

Przeżyli, dokończyłam w myślach i od razu rzuciłabym się w niepowstrzymany nurt paniki, gdybym nie przypomniała sobie zapewnienia, które padło z ust Cole'a: „Ankh wyprowadził wszystkich, Ali-gatorze”.

– Upewnij się, że mój chłopak tam dotrze, to wszystko – powiedział pan Holland.

Nic by mnie nie powstrzymało.

– A pan?

– Ruszę zaraz za wami.

Co miał do roboty? Zamierzał grzebać ciała?

Jezu. Prawdopodobnie.

Drżąc, zajęłam miejsce za kierownicą. Dłonie mi się pociły. Krew osiągała temperaturę wrzenia, ale skórę pokrywała lodowata skorupa. Porami wylewał się ze mnie cuchnący kwas. Gdy podniosły się drzwi garażu, Cole ścisnął mi rękę, próbując dodać odwagi. Skórę miał zimniejszą od mojej i lepką.

– Nie pozwolę, by stało ci się cokolwiek – obiecałam solennie, wcisnęłam do dechy pedały gazu i wyskoczyłam na drogę. Sprężyłam się cała, oczekując gradu pocisków zasypujących nasz pojazd. Wraz z upływem sekund i minut zaczęłam się odprężyć.

Gdyby tylko to ulaskawienie mogło trwać dłużej. Skręciłam na rogu i ujrzałam samochód Gavina owinięty wokół słupa latarni. Spod powyginanej maski dobywały się wiązki pary. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte, ale w środku nikogo nie dostrzegłam.

– Nie – sapnęłam zrozpaczona.

– Jest twardy – zapewnił mnie Cole. – Jest bystry. Przeszedł przez piekło i wrócił cały i zdrowy.

Czułam w oczach łzy, kiedy zatrzymałam się przed wrakiem wozu. Jeśli Gavin przeżył, to z pewnością był ranny. Pomyślałam, że powinien być gdzieś niedaleko, chowając się w pobliskich drzewach, czekając... Chyba że dokąś go zabrano.

Poszukiwania oznaczałyby marnowanie cennego czasu. Czasu, którego Cole nie miał zbyt dużo.

Musiałam dokonać wyboru.

Wiedząc, jak działa mój umysł, Cole oznajmił:

– Jestem ranny, nie martwy. Przestań się o mnie troszczyć... i zrób to, co musisz... dla Gavina. – Im dłużej mówił, tym cięższy stawał się jego oddech.

– Nie chcę cię zostawiać – wyznałam. – Potrzebujesz natychmiast pomocy lekarskiej i...
– Powód jedenasty – przerwał mi, a ja potrzebowałam chwili, żeby załapać. Wszystkie powody, dla których mnie kochał. – Jesteś gotowa zaryzykować... wszystko dla swoich... przyjaciół. Poza tym nie będziesz... sama. Dokąd pójdziesz... i ja pójdę.

Co!?

– Nie. Zostajesz w samochodzie.

– Ali...

– Cole, już masz kłopoty z oddychaniem. Wciąż krwawisz. Ruch pobudził krwiobieg. No i masz na sobie szorty.

Przesunął po mnie spojrzeniem.

– Ali-gatorze... masz na sobie tylko podkoszulek.

Znów ta żelazna determinacja.

– Z tobą u boku nie będę mogła działać szybko. Koniec dyskusji. Wystawiamy się tutaj na strzał jak kaczki.

Skrzywił się.

– Dobra. Tylko uważaj, bo oszaleję.

Pocałowałam go, szybko i mocno. Poczułam na odsłoniętej skórze ukąszenie zimnego powietrza, kiedy wyszłam z wozu. Moje stopy zmieniły się w ciężkie głązy, ale zdołałam utrzymać szybkie tempo marszu, idąc po śladach krwi wiodących od rozbitego wozu do drzewa z obdartą korą. Dalej prowadziły ślady butów o odpowiednim rozmiarze; ich głębokość odpowiadała muskularnemu ciężarowi Gavina.

Urywały się nagle.

– Gavin! – zawołałam, ryzykując zwrócenie uwagi Animy. Wszystko, byle pomóc przyjacielowi. – To ja, Ali.

Brak odpowiedzi. Nawet głosu owadów.

Ta cisza mnie zabijała.

– Gavin. Proszę.

I znów cisza.

Potok łez. Nic więcej nie mogłam zrobić. Pobiegłam z powrotem do samochodu. Cole był bledszy, a resztki sił, jakie jeszcze zachował, najwyraźniej go opuszczały.

– Jakiś ślad? – spytał.

– Na pewno tu był, ale czy jest nieprzytomny, czy znajduje się gdzieś indziej, nie mam pojęcia. Zawiozę cię do pana Ankha i wrócę tutaj. – Nim zdążył powiedzieć cokolwiek o zagrożeniu, z jakim będę miała do czynienia, spytałam: – Jak się trzymasz?

– Kotku, właśnie wróciliśmy z dalekiej podróży. – Zęby mu szczękały. – Nie ma mowy, żebym umarł.

Chciałam włączyć ogrzewanie, ale nie zrobiłam tego. Jego najlepszym przyjacielem była w tej chwili niska temperatura, opóźniająca krwawienie. Dzięki za wznowienie serialu *Ostry dyżur*.

– Obiecujesz? – spytałam.

– Obiecuję.

*

Podjechałam pod kościół. Piękny trzykondygnacyjny budynek z piaskowca, w kształcie litery M. Pośrodku znajdowały się strome kamienne schody prowadzące do wejścia. Oba

skrzydła stykały się na wysokości dachu w formie skomplikowanego żelaznego krzyża. Naliczyłam dziesięć witraży, wszystkie nietknięte. Parking świecił pustkami, paliła się tylko pojedyncza latarnia.

Spenetrowałam wzrokiem okolicę, szukając jakiegokolwiek śladu pana Ankha albo Animy. Było późno, sklepy i restauracje już pozamykano. Zdawało się, że nikt nie czai się w zacienionych miejscach. Po drugiej stronie ulicy stały tylko dwa samochody, oba puste. Żaden nie należał do nikogo znajomego.

Zaparkowałam dwie przecznice dalej. Ci z Animy wiedzieli najwyraźniej, gdzie mieszkamy. Musieli też wiedzieć, czym jeździmy. Nie chciałam zostawiać wozu w pobliżu kościoła, na wypadek gdyby kogoś za nami wysłali.

– Będziemy się trzymać w cieniu i posuwać na piechotę – powiedziałam.

Cole skrzywił się, zarzucając plecak na ramię.

– Miałaś... rację. Straciłem szybkość. Jeśli pojawią się kłopoty... nie zwlekaj... żeby mi pomóc. Uciekaj... do budynku.

Nie ma mowy.

– Trzymamy się razem, pamiętasz?

– Tylko wtedy... gdy będzie to dla ciebie korzystne.

– Właśnie. – Wysiadłam, zanim zdążył odpowiedzieć. Chłód pozbawił mnie od razu tchu.

Kiedy Cole stanął obok mnie w oparach mgły, która spowijała mu twarz, próbowałam odebrać mu plecak, ale popatrzył na mnie ze złością.

– Powód dwunasty. Uparta. Ale dopóki... oddycham... będę cię chronił... i niósł każdy ciężar, jaki zdołam udźwignąć.

Właśnie to. Jeden z wielu powodów, dla których się w nim zakochałam.

– Cole...

– Ja mężczyzna. Ty kobieta. – Wszystko było w nim twarde jak granit. Wskazał przed siebie ruchem brody. – Idziemy.

– Widzę, że ten postrzał przyprawił cię o zręczliwość.

Rozejrzałam się uważnie i ruszyłam do akcji. Noc skrywała w swych cieniach sekrety. Gdybym nie była ostrożna, któryś mógłby mnie ugryźć.

Cole potknął się kilka razy, ale zdołał dotrzymać mi kroku.

Dotarliśmy do niskiego ceglanego murku, wzniesionego bardziej dla ozdoby niż ochrony, i przykucnęłam. Nikt nie majaczył w mroku; pokonaliśmy tę przeszkodę z odrobiną wysiłku i znaleźliśmy się na tyłach kościoła. Podczas gdy ja wykorzystałam umiejętność nabytą od Szrona i sforsowałam zamek przy drzwiach, Cole opierał się o ścianę. Oddychał z jeszcze większym trudem. Miałam znowu posłużyć się ogniem?

Nie było na to czasu. Zawiasy pisnęły, kiedy pchnęłam drzwi ramieniem. Światła były zgaszone, smolista czerń powitała nas z otwartymi ramionami. Użyłam aplikacji „latarka” w komórce – miała aplikacje na wszystko – by rozproszyć cienie. Okazało się, że przebywamy w kuchni. Małej, ale czystej. Byliśmy sami. Przed nami widniał korytarz, który rozchodził się w trzech różnych kierunkach.

– Tędy. – Cole przejął prowadzenie, powłócząc nogami i podążając z każdym krokiem coraz wolniej.

Staralam się oświetlać drogę, kiedy mijaliśmy kolejne drzwi, by w końcu znaleźć się w prezbiterium. Wymamrotałam modlitwę w intencji siły i spokoju. Czy była tu babcia? Moi przyjaciele? Albo pakowaliśmy się w kłopoty.

W prawo. Przeszliśmy przez pokój ze sprzętem nagłaśniającym, magazynek pełen komży dla członków chóru kościelnego i wreszcie dotarliśmy do gabinetu pastora. Cole, który chwiał się

na nogach, zapalił górne światło, a ja schowałam komórkę do kieszeni. Zamrugałam, żeby przyzwyczaić wzrok do nagłej jasności, i zobaczyłam półkę na książki, biurko, komputer, szafkę na dokumenty i kilka krzeseł.

– Czegoś mi brakuje – powiedziałam. – Gdzie jest kryjówka?

– Tutaj.

Przykucnął i usunął rzeczy z przegródki na dolnej półce z książkami. Potem sięgnął w głąb, uruchomił ukryty zawias i odsłonił tunel dostatecznie duży, by mógł się w nim zmieścić dorosły mężczyzna.

– Wchodź – nakazał. – Szybko.

Opadły mu powieki, a potem znów się uniosły.

Jak bliski był omdlenia?

Na dobrą sprawę przeleciałam przez dziurę – i znalazłam po drugiej stronie drabinę. Kiedy schodziłam, otoczyła mnie zewsząd ciemność. Niczym rzeczywista Alicja w krainie czarów – pomyślałam z nerwowym śmiechem. Dłonie znów zaczęły mi się pocić; musiałam stłumić obraz Cole'a, który traci siłę w dłoniach i spada ku pewnej śmierci.

Dostrzegłam strużki sączącego się światła. Po dotarciu na dół zeskoczyłam na cementową podłogę. Przy mojej pomocy Cole zdołał zrobić to samo, cierpiąc jedynie minimalny ból.

– Anima za to zapłaci – obiecałam.

– Tak. I zapłaci... Krwią.

Mnóstwem krwi.

Znajdowaliśmy się w małym pudełkowatym pokoiku, ale zza przeciwległej ściany po prawej stronie dochodziły głosy. Głosy, które rozpoznałam.

Rzuciłam się do przodu.

– Babcia!

– Ali? – odpowiedziała.

Wokół narożnika rozjarzyło się światło, ja zaś przyspieszyłam kroku i niebawem weszłam do rozległego pomieszczenia pełnego łóżek na kółkach, sprzętu medycznego i broni. Babcia, w swojej ulubionej koszuli nocnej, ruszyła w moją stronę. Wzięłam ją w ramiona i przytuliłam mocno, starając się jej nie zasmarkać.

– Dzięki Bogu! Żyjesz. – Tylko ona pozostała mi z całej rodziny i wołałabym umrzeć, niż ją stracić. – Naprawdę żyjesz.

– Wierz mi, anioły mnie strzegły dzisiejszego wieczoru. Inaczej nie potrafię wyjaśnić, jakim cudem przetrwałam.

– Przepraszam, że nie było mnie z tobą.

– I bardzo dobrze. Nie chciałabym za żadne skarby świata, żebyś była świadkiem przemocy, jakiej się dopuściliśmy. – Jej drobną postać wstrząsnął dreszcz, a ja nie zdołałam wyznać jej, że swoje tego dnia też przeżyłam. – Pocieszała mnie myśl, że jesteś gdzieś daleko i że nic ci nie grozi.

Usłyszałam za plecami cichy odgłos szurających stóp i uwolniłam się z objęć babci.

– Zaraz wracam.

Cole przekroczył właśnie próg, a ja podbiegłam do niego.

Twarz miał ściągniętą, skóra była trupio blada. Zdobył się na nieznaczny uśmiech, kiedy przy nim stanęłam. Myślę, że w tym momencie funkcjonował tylko dzięki czystej adrenalinie.

– Mówiłem... nic... jej nie będzie.

– Chwal się do woli. – Tylko żyj! Zdjęłam mu plecak z ramienia, jego ciężar uderzył głucho o podłogę. – Musisz się położyć.

– Ali, powinnaś wiedzieć... nie boję się... umrzeć.

Wstrząs! I to niezbyt przyjemny.

– Wiem. – Ktoś, kto bał się umierać, nigdy nie potrafiłby naprawdę żyć, a Cole Holland zdecydowanie żył. – Dlaczego mi to teraz mówisz? Obiecałeś mi i musisz dotrzymać słowa.

Oparł się o mnie, żeby nie upaść. Objęłam go w pasie.

– Panie Ankh! – zawołałam. – Pomocy!

Zza zasłony wyłonił się mężczyzna. Nie miał na sobie koszuli i odznaczał się umięśnieniem godnym zabójców; wydawało się, że właśnie zszywa własne rany, ponieważ z rozwarcia na obojczyku zwieszała mu się igła z nitką. Jego ogorzała zwykle skóra była niemal tak blada jak skóra Cole'a i poznaczona rozcięciami i sińcami.

Zobaczywszy nas, przyspieszył kroku. Wspólnymi siłami dźwignęliśmy Cole'a na łóżko. Niełatwe zadanie. Zemdlał, nim zdołaliśmy go położyć, i zamienił się w martwy ciężar. Pan Ankh odsunął mnie na bok, żeby oczyścić i zaszyć ranę na jego ramieniu.

To chirurg, przypomniałam sobie. Wie, co robić.

– Nic mu nie będzie, prawda? – spytałam.

Nie odezwał się, dostrzegłam tylko, że drgnął mu mięsień pod okiem.

Zacisnęłam usta.

Po kolei. Szufladki.

Tak, ale ile mogło się w nich jeszcze pomieścić?

Obok stanęła babcia i ujęła mnie za rękę.

– Jak się tu dostałaś? – spytałam.

– Prowadzi tu jeden z tuneli w domu pana Ankha.

– Gdzie inni? – Przesunęłam spojrzeniem po pokoju i odpowiedziałam sobie na własne pytanie. Na jednym z łóżek leżała Kat, ciemne splątane włosy okalały jej twarz, której wyraz był dziwny. Pusty.

Zmarszczyłam czoło. Coś – ponad to, co oczywiste – było z nią nie tak.

Reeve leżała na sąsiednim łóżku, tak nieruchomo, że mogła być tylko...

Nie!

– Powiedz mi, że wszystko z nią w porządku.

– Tak. Trzeba było jej podać środek usypiający. – Babcia odetchnęła urywanie. – Kat również.

Okay. Okay. Mogłam się domyślić powodu. Reeve próbowała się zapewne wydostać z domu, żeby znaleźć Bronxa, a Kat zapewne darła się jak opętana, chcąc za wszelką cenę odszukać Szrona.

– Mam ci coś do powiedzenia, kochanie – powiedziała babcia, niemal emanując smutkiem.

Zesztywniałam.

– Nie. – Mogłam się zorientować, o co chodzi.

– Powinnaś wiedzieć. Dwoje... – Pociągnęła nosem. – Dwoje zabójców zostało... Jest...

– Nie – powtórzyłam.

– Lucas i Trina. Piękna Trina. Oni...

Pokręciłam gwałtownie głową. Nie chcę tego słyszeć.

– Lucas zadzwonił. Była z nim Trina. Ścigali ich. Ankh powiedział im, dokąd mają pójść. Potem on i ja zostawiliśmy tu dziewczęta śpiące w bezpiecznym pomieszczeniu i pojechaliśmy po innych.

Na tym się skupiłam – że pan Ankh zabrał babcię i naraził jej życie – a nie na słowach, które miały paść za chwilę. Nie... Nie mów tego. Proszę, nie mów tego.

– Przypuszczał, że będzie potrzebował mojej pomocy. Że będzie musiał im opatrywać

rany, a ja będę prowadziła samochód. Tak bardzo pragnęłam, by się nie mylił. To byłoby... –
Odchrząknęła. – Zjawiliśmy się pierwsi. Oboje wybiegli zza rogu.

Zamierzała... Zamierzała to powiedzieć.

– Babciu, przestań. Po prostu przestań.

Gdyby tego nie zrobiła, a ja bym nie usłyszała tych słów, toby się to nie wydarzyło.

Byłoby nierzeczywiste.

Pociągnęła jeszcze kilka razy nosem, potem dodała:

– Ankh próbował. Tak bardzo się starał zabić napastników. I zabił. Ale oni wcześniej
skosili te dzieciaki. Nie zdążyły dobiec do samochodu. Tak mi przykro, kochanie. Tak mi
przykro.

Nie byłam na to przygotowana.

Lucas i Trina. Martwi.

Martwi!

Dwoje przyjaciół. Którzy odeszli. Bo Anima postanowiła, że przestanie nas obserwować,
przestanie nam grozić i zacznie działać. Bo tak bardzo zasklepiliśmy się w naszym małym
świecie, że nie zdawaliśmy sobie z czegoś sprawy – z tego, że ktoś chce rozpętać malstrom bólu
i cierpienia.

Nie miałam szansy się pożegnać.

Tak po prostu, szufladki w moim mózgu pękły na złączeniach i każda emocja, którą
starałam się stłumić, wypłynęła na powierzchnię. Żal, zmartwienie i poczucie winy zmieszane
teraz z udręką, bólem i wściekłością wezbrały wielką falą, która mnie zalała.

Niemal utopiła...

Osunęłam się na kolana i załkałam.

SMAK MÓZGU JEST PRZECENIONY (I SŁONY)

Miałam przedziwny sen. Mała dziewczynka, prawdopodobnie trzyletnia, może czteroletnia, była przywiązana do krzesła, a przy jej boku siedziała pospolita, ale elegancka kobieta, trzymając ją za rękę. Kobieta odznaczała się taką szczupłością, że przypominała wróżkę z jakiejś książeczki z bajkami. Miała pofalowane, opadające na ramiona włosy koloru lnu i oczy tak blade, że wydawały się dziwaczne.

Widziałam je wcześniej. Wielokrotnie.

Za każdym razem, kiedy spoglądałam w lustro.

Rzadko się widywało oczy o podobnym odcieniu. A jednak ta dziewczynka też takie miała.

Czy to były matka i córka? Krewne, których nigdy nie poznałam?

Możliwe, jak przypuszczałam. Tylko dlaczego mi się śniły?

I dlaczego zakładałam, że to realne? Tylko dlatego, że takie się wydawało? Sny to tylko sny. Nie fakty.

– Nie martw się – powiedziała kobieta drżącym głosem. – Kiedy już skończą, zabiorę cię do domu i upiekę twoje ulubione pierniki.

– Chcę wrócić do domu już teraz. Nie zależy mi na piernikach.

– Wiem, że chcesz wracać do domu, kochanie. Wiem. Ale nie możesz. Jeszcze nie. To ważne.

– Dlaczego? – Łzy popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. – Krzywdzą mnie, mamó. Matka też zaczęła płakać.

– Jesteś tak niezwykłą dziewczynką. Potrafisz robić rzeczy, których nikt inny nie potrafi.

Dzięki tobie mogą pomagać ludziom. Ratować ich.

Mogą? Oni? Kim byli ci oni?

– ...nie zostawię jej. – Dotarł do mnie zatroskany głos babci.

Sen zniknął jak obłok dymu.

Próbowałam otworzyć oczy, ale nie miałam siły. Z powodu ospałości miałam wrażenie, że ktoś wypatroszył mi czaszkę i wypchał ją głazami.

– Musisz.

Teraz głos pana Hollanda. Powiedział coś jeszcze, ale w moje uszy wdarł się jakiś wysoki dźwięk, zakłócając dalszą część rozmowy.

Ugryzłam się w język, poczułam miedziany smak krwi. Rychły ból musiał wywołać reakcję chemiczną; tego było mi trzeba. Dzwonienie przycichło, poczułam przypływ siły, która rozpełzła się po mnie jak macki.

– ...w stanie wojny, a to oznacza, że jesteś celem. Ali nie będzie bojowniczką, jaką może być, jaką musi być, jeśli będziesz się o nią zamartwiała. – Pan Holland odznaczał się taką samą żelazną determinacją jak jego syn. Słowa, które padały z jego ust, wydawały się wykute z lodu. – Wycofujesz się, koniec dyskusji.

Uniosłam powieki, potem zamrugałam szybko, żeby wyostrzyć wzrok. Jednocześnie do drzwi mojego umysłu zaczęły się dobijać wspomnienia, domagając się wpuszczenia. Nim zdążyłam podjąć decyzję, czy otworzyć drzwi, czy nie, same rozpadły się na kawałki, które

uderzyły we mnie boleśnie. Cole postrzelony. Gavin zaginiony. Kat i Reeve uspię. Trina i Lucas...

Nie.

Nie!

Nie można jednak było od tego uciec. Byli martwi. Zastrzeleni. Straceni na zawsze.

Mój umysł wzbraniał się przed świadomością tej koszarnej straty. Nie mogłam pozwolić sobie na żal i rozpacz. Nie teraz. Później jednak...

Tak, później.

W tej chwili należało znów szufladkować. Dziewięcioro z moich przyjaciół stanowiło cel szaleńców z Animy i trzeba było ich odszukać.

Podniosłam się z jękiem. Doznałam nagle zawrotu głowy, jakby na mnie czekał.

Pojawiło się kolejne wspomnienie. O tym, jak się załamalam i zaczęłam płakać. Podszedł do mnie pan Ankh i starając się mnie uspokoić, wyjął z kieszeni strzykawkę i czymś mnie nafaszerował. Środkiem nasennym, pomyślałam i poczułam, jak zaciskam poirytowana szczękę.

– Spokojnie, kochanie. – Otoczyła mnie kojąco słodka woń perfum babci, a delikatna ręka objęła moje ramiona, żebym nie osunęła się na plecy.

Drżały mi dłonie, kiedy ocierałam piekące oczy. Oszołomienie ustępowało, ujrzałam wyraźnie pokój i znajdujących się w nim ludzi. Babcię z czarnym i lśniącym kokiem, w zbyt obszernym podkoszulku zamiast koszuli nocnej i spodniach od dresu. I pana Hollanda, stojącego u jej boku, z czystą i obandażowaną twarzą.

Dalej, w głębi, Kat i Reeve krążące po niewielkim pokoju o szklanych ścianach. Prawdopodobnie lustrach weneckich. Napotkałam spojrzenie Kat, ale odwróciła wzrok, jakby nie miała pojęcia, że tu jestem.

– Zamknięto je? – spytałam, a w sekundę później Reeve zaczęła walić pięściami w jedną ze ścian.

– Tak. Szron i Bronx nie zostali jeszcze znalezieni i dziewczyny pragną za wszelką cenę ich odszukać – wyjaśnił pan Holland. – Próbowwały się wymknąć.

Oczywiście.

– Niech pan je uwolni – poleciłam. – Natychmiast. Kat nie jest nawet na celowniku. Możemy odesłać ją do domu.

Byłaby tam bezpieczna.

Pokręcił zdecydowanie głową.

– Jest jedną z największych słabości Szrona i twoją. Oczywiście, że jest na celowniku. I oboje wiemy, że nie pojedzie do domu. Podąży za swoim chłopakiem, nieważne, co jej powiemy. Reeve także. I choć obie dziewczyny wiedzą co nieco o samoobronie, nie są gotowe na śmiertelną walkę, a z tym będą miały do czynienia. Zostają tutaj.

Zostają, przyznałam. Zamknięte? Nie. Postanowiłam, że wrócimy do tego jeszcze.

– Gdzie jest Cole?

Babcia ścisnęła mi mocno dłoń.

– Nie martw się o niego. Odzyskuje siły. Szybciej, niż się spodziewaliśmy. Ankh zabrał go do domu, żeby się nim zająć.

Ulga miała tak słodki smak.

– Więc można bezpiecznie wrócić?

– Jak najbardziej – zapewnił pan Holland, kiwając głową. – Kiedy Ankh nie bawi się w doktora, zajmuje się zabezpieczeniami. Gdy tylko się upewni, że nie ma w systemie żadnych słabych punktów, będziemy mogli korzystać z drzwi wejściowych do woli. Do tej pory musimy korzystać z tunelu.

– Co z innymi zabójcami?
Zobaczyłam, jak wigor i animusz opuszczają go w jednej chwili; przygarbił ramiona. Odwrócił wzrok, nie mogąc znieść dłużej mojego spojrzenia.

– Nie wiemy, gdzie są.
Ale coś wiedział. Nie chciał mi tylko powiedzieć. Poczułam, jak poca mi się dłonie.

– Niech pan prześle im esemesa. Żeby przyjechali tutaj i...

– Chcę to zrobić – przerwał mi, kręcąc głową. – Ale nie zrobię. Niewykluczone, że Anima przejęła ich komórki.

Miał rację. Do diabła!
Przesunął palcami po włosach.

– Każda stacja telewizyjna donosi o eskalacji „wojny gangów”, jaka miała miejsce ostatniej nocy. Twierdzą, że Cole to przywódca jednego z gangów, a jego rywal, uliczny bandyta River Marks, postanowił pozbyć się wroga i jego ludzi.

– Zaraz. Skąd wiedzą, że Cole był jakimś przywódcą? – I czy policja wiedziała, że zabiłam kogoś w jego domu?
Z moich ust dobyło się gwałtowne westchnienie. O Jezu, zastrzeliłam kogoś.
Szufladki.

– Nie. – Rysy pana Hollanda złagodniały, kiedy zorientował się, w jakim kierunku zmierzają moje myśli. – Przekradłem się dzisiejszego ranka do domu. Ktoś zjawił się tam wcześniej i uprzątnął... hm... zniszczenia uboczne. Policja stwierdziła, że doszło do włamania i że na ścianach jest krew Cole’a, ale nic więcej.

A więc Anima wróciła.

– Chwilowo musimy się przyczaić – dodał. – Niech się Anima zastanawia, kto przeżył. I kto nie, dokończyłam za niego, a potem przez kilka sekund oddychałam z wysiłkiem. Problem z takim planem polegał na tym, że i my musieliśmy się zastanawiać.

– Mimo wszystko nie rozumiem, jak policja zainteresowała się Cole’em. Musieli przecież zakładać, że jest ofiarą.

Pan Holland poruszył nerwowo szczęką.

– Wszystko wskazuje na to, że otrzymali informację z jakiegoś tajemniczego źródła. Tajemniczego. Innymi słowy z Animy.

Babcia wsparła głowę na moim ramieniu.

– Powiedz jej wszystko, Tyler. Lepiej, żeby usłyszała to od ciebie niż kogoś innego. Poczułam, jak zamiera we mnie serce.

– O co chodzi?
Zamknął oczy, ale wcześniej zdążyłam dostrzec cień żalu.

– Cruz... też nie żyje. Znaleziono go we własnym łóżku, z kulą w głowie.

Nie. Nie, nie, nie. Kolejny stracony przyjaciel. Piękne życie zakończone o wiele za szybko.

Szufladki!

– Ruszam za pozostałymi – oświadczyłam. Byli gdzieś i groziło im niebezpieczeństwo.

Żywi.

Musieli być żywi.

Zamierzałam ich znaleźć i sprowadzić.

Pan Holland się nie wahał. Skinął głową, zaskakując mnie.

– Zabieram Kat i Reeve ze sobą – dodałam. Nie były gotowe na wojnę, nie, ale nie mogłam prowadzić samochodu, prowadzić poszukiwań, bronić się i opatrywać rany zabójców bez pomocy.

Nawet superbohaterowie jej potrzebowali.

– Niech Bóg ma mnie w swej opiece – wymamrotał, przesuwając dłonią po twarzy. – Po tym, co stało się z Ethanem, Ankh nigdy ci nie pozwoli narazić córki na spotkanie z Animą.

Ethan. Zacisnęłam pięści. Reeve chodziła z Ethanem, nim zaczęła się spotykać z Bronxem. Pracował w tajemnicy dla Animy; wykradał jej sekrety, nasze sekrety i ostatecznie doprowadził do porwania Reeve i tortur, jakim mnie poddano.

– Przykro mi to mówić – oświadczyłam – ale to, co powiedział pan o Kat, dotyczy także Reeve. Już jest narażona. Czy będzie ze mną, czy nie, grozi jej niebezpieczeństwo.

Uśmiechnął się przelotnie.

– Zachowaj te argumenty dla Ankha.

Pan Ankh, najbardziej uparty osobnik męski na świecie. Nie byle jakie osiągnięcie, jeśli mierzyć się pod tym względem z Cole'em.

– Zachowam. – A teraz zatoczyć krąg do początku naszej rozmowy. – Niech pan uwolni dziewczyny. Zaprowadzę je do domu i w trójkę zrobimy wszystko, żeby przekonać pana i władcę.

– Sama je uwolnij. – Zdjął z szyi łańcuszek z kluczem i rzucił mi. – Nie zamierzam tam wracać. – Skierował spojrzenie na babcie. – Wywiozę ją poza granice stanu. Dla jej bezpieczeństwa – dodał z naciskiem.

Ach. Ich wcześniejsza kłótnia nabrała nagle sensu.

Babcia uległa gwałtownej metamorfozie – jej spokój przemienił się w plujący płomieniami ogień, i to w mgnieniu oka.

– Już ci mówiłam, ale powiem ponownie, bo najwyraźniej masz problemy ze słuchem. Nigdzie nie pojedę. Zrozumiałeś tym razem? Nigdzie.

Tym też trzeba się będzie zająć.

Położyłam dłonie na jej policzkach i spojrzałam w jej ciemne oczy, tak bardzo podobne do oczu mojej matki i siostrzyczki – oczy, które mnie zarówno łamały, jak i wzmacniały.

– Musisz – oznajmiłam łagodnie. – Dla mnie.

Zamieniła się w jedno wielkie zdumienie. Pokręciła zdecydowanie głową, wypowiadając jedno zwięzłe słowo:

– Nie.

– Ci ludzie są bezwzględni, babciu. Porwali mnie, torturowali, a skończywszy ze mną, zabiliby mnie w możliwie najokrutniejszy sposób. A wczoraj zabili troje moich przyjaciół. – Poczulałam na policzkach gorące łzy. – Trzeba ich zniszczyć.

– Ale...

Przerwałam jej stanowczo:

– Znam tych ludzi. Nie zawahają się skrzywdzić cię, byle do mnie dotrzeć. Więc błagam cię. Błagam! Jedź z panem Hollandem. Wiedząc, że jesteś bezpieczna, będę mogła się skupić na zadaniu.

Sekunda ciszy... jeszcze jedna... dosłownie brzemienne napięciem.

– Pojadę z nim – powiedziała ku memu zaskoczeniu. – Ale tylko wtedy, gdy pojedziesz z nami. – Dosłyszałam w jej głosie rozpacz. – Mój mąż nie żyje. Moja córka nie żyje. Moja druga wnuczka nie żyje. Nie mogę też stracić ciebie.

Niszcząc mnie.

– Babciu, jeśli tego nie zrobisz, i tak mnie stracisz. Nie będę... sobą. – Urodziłam się, by walczyć. Nie bałam się. Byłam gotowa.

– Pozwól przynajmniej, bym próbowała cię chronić.

Dostrzegłam kątem oka, że pan Holland wyciąga strzykawkę z kieszeni. Zamierzał ją

uśpić, tak jak pan Ankh mnie? Och, Jezu. Wiedziałam, że kiedy babcia się ocknie, będzie wkurzona na maksa.

Gra warta świeczki. Ujęłam jej dłoń.

– Jestem tu potrzebna – powiedziałam, a ona znów pokręciła głową. – Tylko zabójcy mogą walczyć z Animą i zombi. A wiesz, że będziemy stawiać czoło jednym i drugim.

Nakłut delikatnie.

Oczy jej się rozszerzyły, z ust dobyło się westchnienie.

– Proszę, zrozum – wyszeptalam. – I wiedz, że mi naprawdę przykro.

– Ali... razem... – Opadły jej powieki, głowa pochyliła się do przodu, kolana ugięły.

Pan Holland przytrzymał ją, nim zdążyła upaść, i wziął na ręce.

– Proszę z nią zostać – poleciłam, wpychając odrodzone poczucie winy do mentalnej szufladki. – I opiekować się nią. Niech pan jej strzeże nawet za cenę życia.

– Będę. – Jego oczy były twarde jak diament, zimne i niemal okrutne. – Nie chcę wyjeżdżać. Przydałbym się tutaj. Ale nie potrafię walczyć z zombi. Poza tym wyszedłem z wprawy, a ty nie. I znam Cole'a. Wiem, że chciałby zapewnić twojej babci bezpieczeństwo za wszelką cenę. Zresztą mogę działać zza kulis i przesyłać wam wszystkie informacje, jakie uda mi się zdobyć.

– Nie pozwolę, by cokolwiek stało się pańskiemu synowi – odparłam cicho.

Skinął zadowolony głową.

– Nie powiem ci, dokąd jedziemy. Lepiej żebyś nie wiedziała.

– W porządku.

– Dziś rano kupiłem dziesięć telefonów na kartę i dałem je Cole'owi. Mam jego nowy numer, a on ma mój. Jeśli coś się stanie, zadzwoń do mnie.

– Ma pan moje słowo. – Złożyłam delikatny pocałunek na policzku babci i odgarnęłam włosy z jej czoła. – Proszę jej powiedzieć, że będę się z nią kontaktowała przynajmniej raz dziennie.

Odwrócił się i po chwili zniknął.

Już za nią tęskniłam.

Pomaszerowałam zdecydowanym krokiem w stronę pomieszczenia na tyłach i przekręciłam klucz w zamku. Ledwie uchyliłam drzwi, gdy dziewczyny wpadły na mnie, odsuwając mnie z drogi. Zatoczyłam się, a one mnie wtedy zauważyły.

Reeve była gotowa do walki, dłoń miała zaciśnięte w pięści. Teraz odetchnęła z ulgą.

– Ali. Nic ci nie jest.

Kat też była gotowa do konfrontacji, mrużyła groźnie oczy, zęby obnażyła w pełnym zawziętości grymasie. Policzki wydawały się bledsze niż poprzedniego wieczoru, stres sytuacji odbijał się na jej zdeformowanych nerkach.

– Ali! – zawołała.

Nim zdążyłam choćby mrugnąć, obie doskoczyły i objęły mnie, całując mnie i płacząc na moich ramionach.

– Tak cholernie się boję – wyznała Kat. – Ta sytuacja jest tak nielukrowa. Pan Ankh powiedział nam, że zabójców zaatakowano wczoraj w nocy, że Lucas i Trina... że zostali... – Przełknęła, niezdolna dokończyć zdania.

– Wiem – odparłam. Pomimo drżenia mogłam mówić jakimś cudem. Podniosłam jej dłoń do swego policzka, pragnąc poczuć dotyk jej skóry. Była tu, cała i zdrowa. – Cruz... On... też zginął.

Obie dziewczyny znieruchomiały, a ja od razu pomyślałam, że się zastanawiają, ilu jeszcze nam odebrano... i jakie straty jeszcze poniesiemy, nim ta wojna się skończy.

– Widziałaś Bronxa? – spytała Reeve.

– Nie. Przykro mi. – Przygarbiła ramiona. Obdarzyłam ją słowami pociechy, którymi Cole obdarzył też mnie: – Jest twardy. Jest bystry. Przeszedł przez piekło i powrócił. A to? To jest nic.

– Co ze Szronem? – spytała Kat i potrząsnęła mną. Jej drobna postać nie mogła zapanować nad emocjami, które nią targały.

– Jego też nie widziałam – byłam zmuszona wyznać, ale jeśli znałam chłopców, a znałam, to mogłam się założyć, że daliby wszystko za wiadomości o swoich dziewczynach. Nie odeszliby daleko. – Nie martwcie się. Znajdziemy ich.

– Razem – oświadczyła stanowczo. – Nie próbuj odesłać mnie do domu. Nie pójdę. Nie pójdę! Zadzwoiłam już do taty i powiedziałam, że kilka następnych tygodni spędzę z Reeve. Może nawet więcej.

Coś wspaniałego na temat jej ojca: pozwalał jej robić, co dusza zapagnie.

– Jeśli wy, zabójcy, jesteście w niebezpieczeństwie, to i ja jestem – ciągnęła. – Nie chcę wpłatywać w to ojca. Poza tym, jeśli tu zostanę, mogę odwołać dializy w szpitalu, a pan Ankh będzie mi je aplikował tutaj.

Podniosłam dłonie w geście zgody.

– Dobra. A teraz pokażmy, jakie z nas duże dziewczyny, i przekonajmy pana Zawsze Słusznego, że się poważnie myli.

NIEMOŻLIWE? TYLKO NIEMOŻLIWAWE!

Reeve jechała wózkiem golfowym przez ciemny i wilgotny tunel, aż do samej piwnicy pod rezydencją. Miejsca, które często zwaliśmy lochem. Oczekiwałam, że będzie tam Cole, leżąc na jednym z przenośnych łóżek, racząc się białkami jajek i bekonem z indyka – zdrowe jedzenie, prawda? – ale się myliłam.

Dzięki czytnikowi dotykowemu Reeve otworzyła następne drzwi i weszła do samego domu. Kat i ja, już na własnych nogach, ruszyliśmy za nią po kondygnacji skrzypiących schodów, które pokonywałyśmy niezliczoną ilość razy. Tu, na górze, zwykle znikwały wszelkie ślady lochu, wyparte przez luksusy niezmiernego bogactwa. Wyłożone mahoniem ściany. Pluszowe dywany tkane zapewne przez wróżki. Lśniące antyczne meble. Ale nie dzisiaj. Na ścianach widniał kolaż graffiti we wszelkich możliwych kolorach.

Gdzieś daleko tęcza ronila łzy.

W dywanach widniały rozcięcia i dziury, a kilka mebli roztrzaskano w drobny mak.

Czy Anima dokonała tu zniszczeń, by uwiarygodnić domniemaną walkę gangów?

Tak. Prawdopodobnie. Jeszcze jedna zbrodnia na ich bezustannie wydłużającej się liście.

Reeve wcisnęła guzik na interkomie.

– Tato, gdzie jesteś? – spytała. W jej tonie pobrzmiwał niepokój.

– W gabinecie, księżniczko – odparł zmęczonym głosem. – Ali, Cole jest w twojej sypialni, pytał bezustannie o ciebie. Proponuję, żebyś go odwiedziła, nim będę zmuszony założyć mu kaftan bezpieczeństwa.

Uściskałam Reeve i Kat.

– Nie mówcie panu Ankhowi, co planujemy – powiedziałam. – Zajmę się tym, kiedy już zobaczę się z Cole'em.

Chyba skinęły głowami. Spieszyłam już przez hol, zbyt szybko, by zauważyć cokolwiek.

Pokonałam kolejne schody, pobiegłam korytarzem, pokonałam zakręt i wpadłam do sypialni. Natychmiastowa fala ulgi. Druga połówka mojej duszy wspierała się na wezglowiu, w objęciach puchowych poduszek. Jego skóra miała zdrowy odcień, a fioletowe oczy, które tak uwielbiałam, nie błyszczały już bólem, lecz były jasne i czujne. Lewą rękę miał na temblaku, a w prawej tkwiła igła kroplówki. Pierś zakrywały do połowy bandaże.

– Ali. – Jego spojrzenie nabrało żaru, gdy tylko zwarło się z moim, ja zaś mogłabym przysiąc, że ziemia się przechyliła.

Sekundę później otoczenie zbladło...

...i nagle Cole szedł wąskim korytarzem. Z wargi kapłała mu krew.

Niósł mnie przerzuconą przez ramię, okładałam go pięściami po plecach, moje kolana wbijały się w jego tors.

„Puszczaj!” – zażądałam.

„Nigdy więcej” – odparł.

„Wciąż to powtarzasz. Czego chcesz ode mnie?” – Jakbym go nie znała, czasem lepiej niż samą siebie.

„Chcę tego, czego zawsze chciałem. Wszystkiego...”

Wizja zniknęła tak szybko, jak się zaczęła.

Bo świat się przechylał. Upadłam, uderzając się w kolana.
– Ali! – Cole przerzucił nogi przez krawędź łóżka.
– Leż, bo wyrwę ci kroplówkę! Nic mi nie jest. – Wstałam, otrząsając się z chwilowej słabości, która mnie ogarnęła. Skutki działania środka uspokajającego, byłam tego pewna.
Cole nie usłuchał. Zamierzał wstać. Podbiegłam do niego i wskoczyłam na materac, napierając na niego biodrami i rzucając na plecy. Chwilowo nie przejmowałam się wizją. Pojawiła się przed tygodniami i znów miała się pojawić. Wiedzieliśmy, że ją rozgryziemy.
– Powinieneś być przyzwyczajony do dziewcząt padających u twoich stóp – zauważyłam.
Wykrzywił usta w nieznacznym uśmiechu.
– Wolałbym mieć jedną przy swoim boku.
Słodki gaduła.
– Jak się czujesz?
Splótł palce z moimi, podniósł nasze złączone dłonie i pocałował moje kostki.
– Teraz, kiedy tu jesteś, już mi lepiej.
Siedem drobnych słów, a mimo to moje serce wezbrało miłością. Czy wszyscy faceci mówili tak otwarcie o swoich uczuciach? Byli gotowi przyznać, kiedy potrzebowali, kiedy chcieli, kiedy musieli, bo jak nie, to...?
– Jak twój powrót do zdrowia?
– Szybszy, niż się spodziewałam. To, że mnie prawie spaliłaś żywcem, było słuszną decyzją.
Zrobiłam urażoną minę.
– Wątpiłeś w to kiedykolwiek?
– Tylko przez całą noc i odrobinę dzisiejszego ranka.
– A więc prawie w ogóle.
Znowu się uśmiechnął.
– Zeszłej nocy zacząłem słabnąć, więc sam zastosowałem na sobie ogniową sztuczkę. Od razu się doładowałem. Ale gdyby nie ty, nie wiedziałbym, że tak można.
– Więc jesteś moim dłużnikiem.
– Właśnie. Płacę pocałunkami.
– Dobrze, że przyjmuję taką walutę. – Uwielbiałam tę zartobliwą stronę jego osobowości. I myślałam z niechęcią o tym, że ten nastrój długo nie potrwa. – Powiedzieli ci o Trinie, Lucasie i Cruze? – spytałam cicho.
– Tak. – Przesunął dłonią po twarzy. – Ale to nie wszystko. Siłownia spłonęła. Przemknęło przeze mnie przerażenie. Na pełnym gazie.
– Bronx. Mackenzie. Byli tam.
Skinął nieznacznie głową.
– Dobra wiadomość jest taka, że nie znaleziono w środku żadnych ciał.
Okay. Więc okay. Uciekli albo zostali schwytani. Tak jak inni.
Skurcz żołądka.
– Nikt się dotąd nie odezwał. W telewizji trąbią o atakach, ale pomijając Cruza, nie zgłoszono żadnych innych morderstw. – Umilkłam, przygotowując się mentalnie na walkę. – Zabieram ze sobą Kat i Reeve. Wyruszamy na poszukiwania.
Zaskoczył mnie, kiwając ponownie głową.
– Wspaniale. – Musiał oczywiście dodać: – Idę z tobą.
Co mnie pozbawiło pewności siebie.
– Masz zostać w swoim łóżku bólesci przez co najmniej miesiąc, tak jak kazałeś mi zostać w moim. – Dochodziłam do siebie po ranie klutej, którą sam mi zadał.

Nie martwcie się. Nie był to przypadek przemocy domowej ani niczego w tym stylu. Nie zrobił tego specjalnie.

- Spróbuj mnie tu zatrzymać. Nawet się nie waż – powiedział, potem mrugnął.
- Wyzwanie? – Bo skończysz na tym materacu przy moim boku.
- O nie, tylko nie to – odparłam z udawanym dreszczem.
- Spryciara. – Musnął czubek mojego nosa. – Nawet w swój najgorszy dzień, mając związane na plecach ręce, bez broni, strzelam lepiej od ciebie.
- Może i tak – przyznałam, ociekając słodyczą. – Ale kiepsko ci idzie z mieczami.
- Zmrużył oczy.
- Cios poniżej pasa, panno Bell. Bardzo poniżej.
- Tak myślałam. – Poprawiłam włosy.
- Czy Ankh wie, co planujesz do spółki z jego najdroższą córką?
- Jeszcze nie.
- Naprawdę chcesz go poprosić o pozwolenie?
- Owszem.

Mogłam odejść wraz z dziewczynami bez jego wiedzy, jasne. Byłam niezła, jeśli chodzi o zwiewanie. Ale wpadłby w panikę i zaczął szukać córki, może nawet się zabił. Nie potrzebowałam nadmiaru winy.

– Nie ograniczy się do tego, że powie „nie” – oznajmił Cole. – Będzie cię próbował uśpić i zamknąć.

Tak. Prawdopodobnie.

- Widziałam jego działania na własne oczy. Ale znam teraz jego sztuczki. – Drugi raz nie mógł mnie zaskoczyć. – Musi mi zaufać i skończyć z tym zamykaniem Reeve w szklanej klatce.
- Wiem, o co mu chodzi – wyznał Cole, zamieniając się nagle w uosobienie miękkości. – Dla Ankha jego córka stanowi powód, żeby wstawać codziennie rano, nikt i nic nie jest dla niego ważniejsze. Tak samo myślę o tobie, panno Bell.

O, wielkie nieba! Babcia rozłożyła mnie swoją deklaracją, ale Cole... Cole dosłownie mnie zabijał...

- Jest pewna różnica między tobą i panem Ankhem – powiedziałam z miłym uśmiechem. – Wiesz, że potrafię się obronić, i wierzysz, że umiem podejmować rozsądne decyzje. Czyż nie, panie Holland? – Ojej, nie ma mowy, żebym posługiwała się mianem zarezerwowanym dla jego ojca. Przewinąć. – Panie Cole.

Pociągnął mnie za kosmyk włosów.

- Owszem. Wobec tego zachowam się jak dziewczyna, ponieważ zdaniem Kat to lepsze, niż zachowywać się jak mężczyzna, i pozwolę ci pójść...
- Zaraz. Pozwolisz? – przerwałam mu buńczucznie.
- ...bez kłótni – dokończył. – Poza tym nie pytałem, czy mogę iść z tobą. Mówiłem, że będę u twego boku.

Och – jak powiedziałby skunks Pepé Le Swąd. Determinacja Cole’a mogła znów wywołać awanturę.

- Jakie masz ciśnienie? Co z temperaturą? Potrafisz się choćby utrzymać na nogach?
- Uśmiechnął się.
- Powód numer trzynastcie. Zawsze zadajesz zbyt wiele pytań.
- Mógł powiedzieć mnóstwo rzeczy, ale tego się nie spodziewałam. Zdecydowanie miał gorączkę.
- To powód, dla którego mnie kochasz?
- Widzisz? Kolejne pytanie. Ale owszem. To czarujące.

No cóż, tylko on tak uważał. Inni ludzie uznawali to za irytujące. Delikatnie mówiąc! Nachyliłam się i pocałowałam go w czoło, starając się nie dotknąć rany, potem przywarłam do niego czołem.

– Nie myśl, że twoja niechęć do mówienia o swoim stanie zdrowia uszła mojej uwagi. Ale machnę na to ręką i pozwolę ci pójść ze sobą. Pod warunkiem jednak, że zostaniesz w samochodzie.

– Pozwolisz mi?

– Doskonale. Słuch masz w porządku.

Z jego twarzy zniknęła wszelka miękkość, jej miejsce zajęła pełna determinacji opiekuńczość i zimnokrwista agresja.

Ta druga nie była skierowana wobec mnie, jak wiedziałam, tylko wobec Animy.

– Zagrajmy w małą grę, którą lubię nazywać „Cole rządzi, a Ali nie”.

– Pas! Grałam w nią wcześniej i bardzo mi się nie podobała.

Znowu błysnął uśmiechem.

– Wiesz, co myślę, prawda? Jesteś tak wspaniała, że sięgasz samego nieba.

– Zgadza się. Tak jak ja wiem, że podstawiałeś mi drabinę i zaglądałeś pod spódnicę.

– Ale nie zamierzałaś mi tego wyperswadować – ciągnął. – No więc zejdź na dół i pogadaj z Ankhem. Ja się w tym czasie ubiorę.

Uparty chłopak.

– Zaproponowałabym, że ci wyjmę igłę od kroplówki, ale oznaczałoby to pomoc w autodestrukcji.

– Nie będzie to pierwszy raz, kiedy sam ją sobie wyjmę.

Opieka i karmienie osobnika alfa numer sto jeden. Czasem trzeba było im dogadzać i ustępować.

– Świetnie. Udanej zabawy.

– Nie odchodź beze mnie – rozkazał, kiedy wstałam z łóżka. – Mówię poważnie.

– Dobra, dobra. – Podniosłam dłonie, wcielenie niewinności. – Poczekam, aż zejdziesz na dół.

Poruszając się szybko jak błyskawica, nachylił się, chwycił mnie za szyję i przyciągnął do siebie. Pocałował mnie mocno i szybko – żadne czułe cmoknięcie w czoło, nie tym razem – a ja jęknęłam pod wpływem jego zawziętości.

– Nawet nie myśl o tym, żeby dać mi środek uspokajający.

– Okay – rzuciłam pospiesznie. Ograniczał poważnie moje możliwości.

Wyszłam z pokoju i ruszyłam po schodach, wystukując wiadomość dla babci. Nie mogłam się powstrzymać.

„Kocham cię. Tak bardzo. Mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczysz”.

Wiedziałałam, że obudzi się... gdzieś, a moja wiadomość będzie na nią czekać.

Wysłałam jej drugą.

„Pierwsza aktualizacja. Widziałam Cole’a. Odzyskał dawną apodyktyczność. Uwolniłam Kat i Reeve. Teraz zamierzam pogadać z Ankhem, potem odnaleźć pozostałych zabójców. Będę ostrożna, przysięgam!”

Pan Ankh siedział z dziewczynami w kuchni, wszyscy jedli kanapki.

Nie chcąc tracić czasu, jak zwykle zresztą, przedstawiłam swój plan poszukiwawczo-ratunkowy, przygotowując sobie w tym czasie sandwicza z masłem orzechowym i dżemem. Rozmowa przebiegła lepiej – i gorzej – niż miałam nadzieję. Nim zdążyłam skończyć, pan Ankh kręcił głową. Nie powstrzymało mnie to jednak. Tak naprawdę nie chodziło tylko o to, że potrzebuję Kat i Reeve. To one potrzebowały mnie. Prędzej by umarły, niż zostały w domu.

– Nie – powiedział. – Jesteś zbyt rozpoznawalna. Anima cię zauważy, podąży za tobą i zabije was wszystkie.

Mogłam zasugerować, żebyśmy przez kilka godzin farbowały włosy i zmieniały wygląd zewnętrzny, ale nawet to nie stanowiłoby gwarancji, że nie zostaniemy zidentyfikowane.

– Biorąc pod uwagę przypuszczalne nasilenie tej wojny gangów, policja będzie wszędzie. Anima nie odważy się nic zrobić publicznie. – Przynajmniej miałam nadzieję.

– To zbyt niebezpieczne – upierał się. – Kat jest chora. Potrzebuje odpoczynku i spokoju, a nie...

– Hej! Niech pan mnie nie zmusza, żebym trzepnęła pana po twarzy, doktorze Jekyll i panie A. – Kat podniosła rękę, by pokazać, że nie żartuje. – Jestem gotowa działać.

Wydął z dezaprobatą usta.

– Nie jestem człowiekiem pozbawionym rozsądku.

Ha!

– I wiem, że trzeba znaleźć pozostałych. Więc to ja pójdę z Ali, a wy, dziewczyny, zostanieie tutaj.

Oho, zanosiło się na jedno wielkie nie. Grał według zasad. My ustalałyśmy własne.

– Proszę się nie martwić. Będziemy miały ochronę. Cole z nami idzie.

– Cole? Nie bardzo. – Pan Ankh potarł się po czole. Żeby odpędzić ból? – Ten chłopak potrzebuje odpoczynku tak samo jak panna Parker.

– W gruncie rzeczy więc nie potrzebuje odpoczynku i może iść, prawda? – zażartowała Kat.

– Niech pan mu to powie – zwróciłam się do pana Ankha, a potem wskazałam kciukiem Kat. – I jej.

Wyrzucił w górę rękę, krótko mówiąc: „Jestem ostatnim normalnym człowiekiem we wszechświecie”.

– Po co się tak przejmuję? I tak nikt nigdy mnie nie słucha.

W porządku. Postanowiłam spróbować z innej strony. Takiej, która nie przyprawiłaby go o zawał, jak miałam nadzieję.

– Gdyby powiedział pan komukolwiek o kościele, można by tego uniknąć – powiedziałam. – Ale nie zrobił pan tego.

Obwiniać. Może to nie najlepsza taktyka. Ale prawda była prawdą i nie zamierzałam jej upiększać.

Popatrzył na mnie ze złością.

– Kiedy Justin nas zdradził, nie bardzo wiedziałem, komu mogę ufać, i chciałem, żeby Reeve miała możliwość ucieczki, o której nie wiedziałby nikt inny. Nie możesz mnie za to winić.

Dosłyszałam w jego głosie wyrzuty sumienia. Samooskarżenie.

– Nie, nie mogę.

Nie należałam do grupy, kiedy Justin zaczął dzielić się sekretami zabójców z Animą. Ale należałam do niej, kiedy jego równie winna siostra bliźniaczka została schwytana i torturowana wraz ze mną, a on uświadomił sobie, jak koszmarnie spieprzył sprawę. Pomógł nam zniszczyć cały kontyngent żołnierzy Animy.

– Jeśli ma pan lepszy pomysł, jeśli chodzi o odszukanie pozostałych – oznajmiłam, pochłaniając resztę kanapki – przychylę się do niego.

– Hej! – zawołały unisono obie dziewczyny.

Pan Ankh popatrzył na mnie złym wzrokiem.

– Tato – zwróciła się do niego Reeve. – Szkoliłam się. Nie jestem bezradna. I chcę pomóc. Muszę pomóc. Nie stawaj mi na drodze. Pozwól, żebym była dziewczyną, na jaką mnie

wychowałeś. Silną. Odważną. Taką, jaką chciałeś, żeby mama była.

Jej matka nie widziała zombi, ale mimo to bała się ich. Ten strach narastał i narastał, aż w końcu popełniła samobójstwo.

Moje myśli powędrowały ku mojej matce. Pochodziła z rodu zabójców, ale sama też nie potrafiła zobaczyć zombi. Była taka piękna. Niska, ciemne włosy, oczy i skóra. Zupełnie jak moja słodka Emma. Ludzie, widząc nas razem, podejrzewali, że ja – wysoka, jasnowłosa i blada – jestem adoptowana.

– Doskonale – oznajmił w końcu pan Ankh chrapliwym głosem. – Róbcie to, co uważacie za słuszne. Ale macie być w tym domu przed dziesiątą. Ani minuty później.

Skinęłam głową, nieco zdumiona jego akceptacją naszego planu. Nie musiałam go nawet błagać.

– Jeśli się zgadzasz tylko dlatego, żeby uraczyć mnie zniecałkowaniem środkiem usypiającym, zanim wyjdę za drzwi, to wiedz, że będzie to ostatni raz, kiedy ci zaufam – oznajmiła Reeve, spuszczać trochę powietrza z mojego triumfalnego balonika.

Patrzył jej długą chwilę w oczy spod przymrużonych powiek, a ja wiedziałam, co myśli. Pierwsze: „Cholera, przejrzała mnie”. Drugie: „Nie jest na to gotowa”.

I miał rację. Nie była gotowa.

W szkoleniu najlepiej było zacząć od czegoś prostego, wygrać i przejść do czegoś trudniejszego. Budować pewność siebie i umiejętności. Reeve wciąż znajdowała się w „prostej” fazie, więc jak mogłam oczekiwać, że przerwie treningi i zabije smoka?

Doskonale rozumiałam obawy pana Ankha. Po prostu nie chciałam mu ulegać. Miałyśmy wybór. Poddać się i pozwolić wrogowi na więcej i gorzej albo wykorzystać dostępne środki i pójść na całość.

Zamierzałam pójść na całość. I jeśli miałam przegrać, to przynajmniej chciałam odejść w płomieniach chwały.

– Dobrze – powiedział, wzdychając z rezygnacją. Położył dłonie płasko na stole, żeby uniknąć kuszącego kontaktu z jego igłami, jak mogłabym się założyć. – Idź z Ali. Szukaj. – Jego posępne spojrzenie przesunęło się w moją stronę, oczy się zwęziły. – Czynię cię odpowiedzialną za jej bezpieczeństwo. I za bezpieczeństwo Kat.

Nie on jeden.

Zacisnęła szczęki i oznajmił:

– Na parkingu kościelnym stoi samochód, który możecie zabrać. Nie wygląda z zewnątrz szczególnie, ale silnik pomrukuje ponad setką koni wyścigowych gotowych do biegu.

Typowy męski opis.

Zasalutowałam energicznie.

Pomaszerował do swojego gabinetu, mamrocząc pod nosem, my zaś pomaszzerowałyśmy do zbrojowni.

Nim skończyłyśmy obciążać się orężem – sztylety w butach, środki usypiające w torebkach, broń palna przy pasku, zapasowa amunicja w kieszeniach, kastety na dłoniach – Cole był ubrany i gotowy, bez kroplówki.

Policzki miał bledsze niż wcześniej – oznaka stresu, na jaki się naraził – kiedy wręczał każdej z nas komórkę na kartę.

– Macie już wklepany mój nowy numer.

– Jakie to słodkie – oznajmiła Kat z tym swoim opatentowanym uśmiechem. – Tracisz tylko trzy punkty w swojej skali samca alfa.

Jego odpowiedź była sucha.

– Jestem pewien, że kiedy dam klapsa takiej niegrzecznej małej dziewczynce jak ty, to

moje notowania znów osiągną godny podziwu poziom.

Spojrzenie szeroko rozwartych oczu Kat obróciło się w moją stronę.

– Nie powiedziałaś, że twój chłopak ma skłonności sadystyczne.

– Nie pytałaś. Ale owszem, ma. Codziennie grożą mi klapsy.

– Szczęściara – wyszeptała, przeciskając się obok mnie i kierując w stronę wejścia do sekretnego pasażu.

Usiadłyśmy na wózku golfowym, Reeve za kierownicą.

– Dokąd chcesz najpierw pojechać? – spytała. – To znaczy jak już znajdziemy się na górze.

– Nie wiem – odparłam. Istniało zbyt wiele możliwości. Samochód Gavina. Wciąż tam był? Dom Szrona. Dom Justina i Jacklyn. Na dobrą sprawę dom każdego zabójcy.

– Więc nie ma znaczenia, jaką drogę wybierzemy – zauważyła Kat. – Nie mając określonego celu, nigdy do niego nie dotrzemy.

Krótko – i delikatnie – mówiąc: podejmij wreszcie decyzję, idiotko.

– Pojedziemy do siłowni Cole'a.

Albo do tego, co z niej pozostało. Jacykolwiek zabójcy, którzy uciekali, mogliby się tam wybrać. Mogliby trzymać się w pobliżu po pożarze w nadziei, że zjawią się też inni.

Reeve zaparkowała na tyłach pokoju, tego z łózkami, i po chwili podeszłyśmy do drabiny.

– Co będzie, jak się rozdzielimy?

Licz na to, co najlepsze, planuj z myślą o tym, co najgorsze.

– Jeśli będziecie mogły, przywleczcie tu swoje tyłki. Jeśli nie, schowajcie się i zadzwonieć do mnie. Jeżeli zgubicie telefony, nie panikujcie. Znajdę was. Czegokolwiek będzie to wymagało.

Zastanawiałam się jednak siłą rzeczy, czy nie podjęłam właśnie najgorszej decyzji w swoim życiu.

JESTEM NAJLEPSZA

Siłownia była kupą szerniałego gruzu, tak jak można było się spodziewać, ale jej widok sprawił, że w moim sercu pojawiła się ropiejąca rana, która wymagała natychmiastowych zabiegów. Nie powinno tak być. Powietrze, ciężkie od dymu, nadawało okolicznemu krajobrazowi niesamowitą szarość. Dostrzegało się w tym przytłaczającą postapokaliptyczność. Jakbyśmy byli jedynymi ludźmi, którzy przeżyli, i musieli teraz poznawać ścieżki nowego świata.

Przynajmniej nie pojawiła się królicza chmura.

Przedstawiciele władzy przyszli już i odeszli, zostawiając po sobie barykady.

Reeve ukryła nasz samochód pod innym domem. Siłownia była – niegdyś – dużą czerwoną stodołą pośrodku okolicy, gdzie budynki stały oddzielone od siebie akrami pszenicy i otoczone przez las.

Każdy z moich przyjaciół mógł czekać w tym lesie. Niewykluczone, że ranny.

Niewykluczone, że ścigany.

– Reeve, trzymasz się Cole’a – powiedziałam, przejmując dowodzenie. – Kat, trzymasz się mnie.

– Stosujemy zasady silniejszego? – spytała Kat. – Najpierw zabijaj, potem zadawaj pytania?

Wyciągnęła rewolwer kalibru .38. Nie miał bezpiecznika, ale był zaopatrzony w celownik laserowy, który pomagał trafić w to, co zamierzała. No i spust stawiał opór, by nie oddała przypadkowego strzału.

Tak. Zdarzało się. Łatwo było ją przestraszyć.

Reeve wyjęła z torebki dwudziestkędwójkę. Broń miała niewielki odrzut i bardziej mogła zirytować potencjalną ofiarę niż ją zabić, ale nawet mierząc do przeciwnika pobieżnie, można było powstrzymać najpotężniejszych facetów.

– W gruncie rzeczy obowiązują zasady Hollanda – powiedział Cole. – Najlepszym zabezpieczeniem jest to. – Pokiwał im palcem wskazującym przed samym nosem. – Nie zbliżajcie swoich do spustu, dopóki nie będziecie gotowe strzelać. Uwaga na marginesie. Nie jesteście gotowe strzelać, dopóki Ali albo ja wam nie powiemy, że jesteście gotowe.

– Ale trzymajcie broń w pogotowiu – dodałam.

Cole pocałował mnie, nim wysiedliśmy z wozu, co przyspieszyło mi puls.

Z dziewczynami u boków pobiegliśmy w stronę lasu; zdawało się, że gałęzie wysuwają się celowo, by chłostać nas po głowach. Głęboko w zaroślach, pewni, że nikt nas nie widzi, zwolniliśmy kroku, kierując się w stronę siłowni.

– Gotowi się rozdzielić? – spytałam. – Wy idziecie od zachodu, my od wschodu.

Spenetrujemy dzięki temu większy teren.

– Dobry pomysł. – Cole wyciągnął rękę i zatrzymał mnie. Co zatrzymało też dziewczyny. Jego spojrzenie przewiercało mnie na wylot. – Nie daj się zranić. Mówię poważnie.

– Jakbym śmiała to zrobić. Ale ty też bądź ostrożny. Nie jesteś ozdobą dla świata. Jesteś moją ozdobą.

– A ty moją zabawką.

Wymieniliśmy spojrzenie nabrzmiałe od rozbawienia i obietnicy.

– Dziwni jesteście – zauważyła Kat. – Ale mam dobrą wiadomość. Cole jest prawdopodobnie silniejszy niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji, nawet z ręką na temblaku.

– Doskonały opis także w przypadku Szrona.

– Szczera prawda. – Troska w jej oczach szybko zniknęła.

Z każdym oddechem twarz tonęła mi w kłębach pary. Sygnał, który wyszkoleni tropiciele mogliby dostrzec, ale nie było rady. Dotarliśmy do siłowni od wschodniej strony i... dostrześliśmy ślady stóp! Podniecenie mieszało się z nadzieją, dodając sił. Kto zostawił te ślady? Bronx czy Mackenzie?

Ale dlaczego nie oboje? Dlaczego w ziemi widniały odciski butów tylko jednej osoby?

Moje podniecenie przygasło odrobinę.

– Dalej.

Podążaliśmy za śladami przez kilka metrów. Były duże. Zbyt duże, by mogła je pozostawić Mackenzie. Te po prawej wskazywały, że szedł tędy ktoś, kto powłóczył nogą. Obok widniała kropla krwi... i następna. Bronx, jeśli to chodziło o niego, był ranny.

Pokonywałam kolejne linie krzewów, zachowując czujność i trzymając w pogotowiu broń. Krople stały się gęstsze, ja zaś pomyślałam, że ta osoba musiała w końcu się zatrzymać. Rozejrzałam się. Nic nie zobaczyłam. W górę. W dół. W lewo. W prawo. Gdzie u diabła...

– Tam!

Podniecenie powróciło w jednej chwili. Wykorzystał kamuflaż ziemi i liści i gdyby nie zieleń jego oczu, nie dostrzegłabym go. Opierał się o drzewo i nie był to Bronx, lecz Gavin.

Podbiegłyśmy do niego, ja i Kat. Nie zareagował. Był nieruchomy, zbyt nieruchomy, głowa spoczywała na ramieniu. Przyjrzaawszy się dokładniej, zauważyłam, że krew jest zmieszana z ziemią; serce we mnie zamarało. Usta miał fioletowe i mimo zimna nie szczekał zębami.

Drżała mi ręka, kiedy starałam się wyczuć puls...

– Proszę, powiedz mi, że żyje – jęknęła Kat.

– Tak! – prawie krzyknęłam. – Żyje.

– Dzięki Bogu! – Odetchnęła z ulgą. Była jednak bledsza niż jeszcze chwilę wcześniej, ja zaś nie wiedziałam, czy to z powodu stresu, czy nerek. Czy jednego i drugiego.

– Gavin – powiedziałam, klepiąc go delikatnie po policzkach i starając się obdarzyć go choć odrobiną swojego ciepła. – Musisz nam pomóc, jeśli mamy cię podnieść. Jesteśmy silne, ale nie na tyle, żeby nieść cię na plecach, więc będziesz musiał iść. No dalej, Barbie. Proszę. Zrób to dla swej ulubionej babeczki.

Nawet nie mrugnął.

Dobra. Należało to zrobić radykalnie. Ryzykownie. Tak samo, jak pomogłam Cole'owi.

– Pilnuj mnie – nakazałam Kat. – Za kilku sekund Gavin może jęknąć albo krzyknąć. Nie dotykaj go. Nie dotykaj mnie.

Nie była zabójczynią. Nie mogła zobaczyć mnie w postaci duchowej i nie mogła poczuć mojego ognia – dopóki nie byłoby za późno, a ona leżałaby martwa.

Nie zadawała zbędnych pytań. Ufając mi, zajęła pozycję za Gavinem, wypatrując jakichkolwiek oznak zasadzki.

Zamknęłam oczy, zaczerpnęłam głębokiego oddechu. Wstrzymać go, wstrzymać. Kiedy uwolniłam powietrze z płuc, wyłonił się mój duch. Zadrżałam od nagłego i nowego zimna, poczułam w piersi kryształki lodu wielkie jak strusie jaja.

– Światło – rozkazałam swej dłoni.

Tym razem nie posłuchała.

Okay. Dobra. Wzniesienie ognia miało być trudne. Zanotowaliśmy.

Nie zamierzałam się jednak poddawać. Siła potrzebna do przywołania płomieni rodziła się z wiary. Duchowa broń dla duchowego źródła mocy. Nie pozwalałam sobie też na to, by się martwić. Troska osłabiała wiarę.

– Mogę to zrobić – powiedziałam. – Zrobię to. Teraz. Teraz! Teraz!

Słowa stanowiły kolejną duchową broń. Mogły być użyte dla mojego dobra albo mojego zła. Pozytywnie albo negatywnie. Tego dnia skupiłam się na pozytywności i oto koniuszki moich palców wystrzeliły ogniem, który rozprzestrzenił się z wolna na nadgarstek. Z wolna. Nie to, do czego byłam przyzwyczajona, ale w porządku. Uznałam, że wystarczy.

Niepewna obrażeń Gavina, przycisnęłam dłoń do jego piersi – do ospałego serca.

Nie spopielił się, dzięki Bogu, lecz wydał z siebie urywany krzyk, wyginając plecy w łuk. W innych okolicznościach odgłos jego bólu kazałby mi się skulić. A teraz? Uśmiechnęłam się.

Utrzymałam kontakt przez kilka sekund, nim cofnęłam rękę, gasząc płomień i powracając do ciała.

– Możesz już nas dotykać – poinformowałam Kat.

Gavin zajęczał.

– Dobry chłopak – powiedziałam, mając ochotę tańczyć i śpiewać. Nie straciłam go. – Wiem, że to boli, ale jesteś silniejszy od odrobiny bólu, prawda? A jeśli nie, no cóż, to i tak bez znaczenia, bo niedługo zakosztujesz z radością szerokiej palety środków leczniczych pana Ankha.

Próbował skupić na mnie uwagę, ale wodził oczami tam i z powrotem, niezdolny zatrzymać spojrzenia na czymkolwiek. Oznaka oszołomienia.

– Ali?

– Tak, jestem tutaj.

– I Kat. – Przysunęła się do jego lewego boku i ścisnęła mu rękę.

– Chcę, żebyś przesłała Cole'owi wiadomość – zwróciłam się do niej. – Powiedz mu, żeby wrócił do samochodu i że znaleźliśmy Gavina. I że chłopak jest poważnie ranny.

– Robi się – odparła, wyjmując komórkę.

A teraz trudniejsza część zadania.

– Możemy ci pomóc, Barbie, ale musisz się podnieść.

Nie sprawiał wrażenia, że mnie słyszy.

– Rozbity wóz... Gonili mnie, strzelali... Biegłem, zgubiłem ich... Dotarłem do siłowni... Ogień...

– Wiem. Zginęli wszyscy prócz Cole'a – oznajmiłam jak najłagodniej. Zamierzałam powiedzieć mu o śmierci innych potem, kiedy jego stan ulegnie poprawie.

– Szron – powiedział, potem skrzywił się i chwycił za bok.

Kat schowała komórkę, ujęła Gavina pod brodę i zmusiła, by na nią spojrział.

– Co z nim? Widziałeś go?

– Ali – powtórzył, jakby słowa Kat do niego nie dotarły. – Pomocy...

Rozczarowanie mogło powalić ją na ziemię, ale moja przyjaciółka wyprostowała ramiona, zdecydowana działać.

Byłam z niej niezwykle dumna.

– Zawieźmy go do pana Ankha.

Zdołał przy znacznym wysiłku z naszej strony dźwignąć się na nogi. Zachwiał się, a my usadowiliśmy się pod jego pachami, przyjmując funkcję podpór. Musiał to być komiczny widok – dwa patyki próbujące podtrzymać supersamca najwyższej klasy. Nogi mi się uginały pod jego

ciężarem i byłam pewna, że z Kat dzieje się to samo.

Kiedy poczłapaliśmy do przodu, Gavin wystękał:

– Zobaczyłem... Szrona. Przyszedł do siłowni... Ścigali nas... Odciągnął ich... ode mnie... ale wcześniej powiedział... spotkać się z nim... Wok and Roll.

Kat wezbrała na dobrą sprawę radością, a ja nie musiałam się zastanawiać, co myśli w tej chwili. Wok and Roll to była całodobowa knajpka chińska niedaleko stąd i jeśli Szron wciąż się tam znajdował, czekając na Gavina, to Kat mogła wpaść w jego objęcia w ciągu pół godziny.

Cole i Reeve krążyli niespokojnie obok samochodu. Cole, zauważywszy nasze nieporadne, żalosne trio, podbiegł i zajął miejsce mojej przyjaciółki. Reeve otworzyła tylne drzwi.

– Zauważyliście jakiś ślad Animy od waszej strony?

– Nic.

Usadowiliśmy wspólnymi siłami Gavina w samochodzie. Wyprostowałam się i powiedziałam:

– Zabierz go prosto do swojego domu, Reeve, nie do kościoła. – Gavin mógł uszkodzić sobie arterię, gdyby musiał wcisnąć się przez wejście do tunelu. – Ale zadzwoń po drodze do ojca i uprzedź go. Załatwi, żeby Animy nie było w pobliżu.

Skinęła głową.

– Załatwione. Na sto procent.

Kat pociągnęła mnie za rękę.

– Ali i ja jedziemy do Wok and Roll. Może tam być Szron i czekać na Gavina.

– Hm, Kat... – Zaparłam się w miejscu stopami. Witaj, trudna sytuacja. – Jedziesz z Reeve.

– Co? Nie. – Pokręciła głową, przyciągając moją uwagę do swojej bledości, głębszej niż wcześniej. – Nie ma mowy.

Jest mowa.

– Brak ci obiektywizmu, kiedy rzecz dotyczy Szrona. – Co więcej, miał na ogonie Animę. Może już go dorwali. Nie tylko pan Ankh nie pochwaląby tego, że naraziłam ją na coś niebezpieczniejszego niż obecna sytuacja. Szron też by tego nie pochwalał. – Musisz posłuchać...

– Nie! – Tupnęła nogą. – Ty posłuchaj. Jadę!

Okay. Zrozumiałam nagle, dlaczego Cole bywał taki twardy. Spory ze sprzymierzeńcami oznaczały stratę czasu.

– Kat, proszę. Bądź rozsądna.

Cole nie dał jej nawet szansy na odpowiedź.

– Masz dwie rzeczy do wyboru. Zrobisz tak, jak mówi. – Po czym dodał, jak dowódca, który nie znosi sprzeciwu: – Albo zrobisz tak, jak mówi. Wyczuwasz mnie?

Zmrużyła oczy, które przypominały teraz wąziutkie szparki, jej sylwetka zastygała w nieomylnym bezruchu drapieźnika.

– Och, wyczuwam doskonale. A teraz ty mnie wyczujesz.

Oparł się zdrową ręką o samochód, przypierając ją do metalu, i nachylił się.

– Chcesz czegoś spróbować? Śmiało.

Dzyń, dzyń. Zaczyna się pierwsza runda masakry.

– Gavin może się lada chwila wykrwawić. – Popatrzyłam gniewnie na jedno, potem na drugie. – Niewykluczone, że celują nam w plecy. Wsiadaj do samochodu i ruszaj, Kat.

Wciąż kręciła głową, zawzięta do upadłego.

– Ruszam za Szronem. Koniec, kropka.

Popatrzyłam na Cole'a. Dosłownie ociekał determinacją. Trudne decyzje szły w parze z trudnymi konsekwencjami, a on był gotów podjąć właśnie taką decyzję. Jedno z nas musiało z nią pojechać i oboje o tym wiedzieliśmy.

– Czas przywołać powód siódmy. – Że się wycofa i pozwoli mi walczyć. – Jesteś ranny. Ja nie. To ja poszukam Szrona.

Spodziewałam się sporu, ale on tylko skinął mi głową, chwycił Kat w tali i przytrzymując ją, wepchnął do samochodu. Walczyła, no cóż, jak wściekły dachowiec, sycząc, waląc pazurami, drapiąc. Rozdzierało mi się serce. Każda cząstka mojego ciała krzyczała, żeby jej pomóc, żeby to powstrzymać, dać jej to, czego pragnie, ale nie zламаłam się. Czasem to, czego pragniemy, nie jest tożsame z tym, czego nam potrzeba. Przeprosiłabym ją później, a ona by mi wybaczyła... bo Szron byłby ze mną.

Błagam, niech ze mną będzie.

Wsunęłam zabezpieczoną broń za pasek. Gdy samochód ruszył z piskiem opon spod krawężnika, moje spojrzenie zwarło się ze spojrzeniem Cole'a i przez zasłonę szyby doznaliśmy chwili totalnego porozumienia. Wiedziałam, że zrobi wszystko, by chronić dziewczyny. Nawet za cenę własnego życia.

Oby do tego nie doszło.

Gdy tylko samochód zniknął mi z oczu, ruszyłam biegiem do lasu, kierując się w stronę centrum handlowego, gdzie znajdował się Wok and Roll. Konieczność działania przygłuszyła mój żal; zaczęłam się rozgrzewać, krew w moich żyłach płynęła coraz szybciej.

W końcu powykrzywiane gałęzie ustąpiły miejsca utwardzonej drodze. Wspięłam się na wzgórze, zeszałam, przecięłam następne osiedle, przyglądając się z uwagą każdemu przejeżdżającemu samochodowi, by w końcu dotrzeć do celu wędrówki. Paliły mnie płuca. Pomimo chłodu czułam na plecach strużki potu.

Była sobota, wszędzie roiło się od ludzi robiących zakupy. Po obu moich stronach ciągnęły się budynki, jeden za drugim, we wszystkich mieściły się sklepy i restauracje. Bliskość tak wielu przechodniów wytrącała mnie z równowagi. Każdy mógł być z Animy. I czekać na okazję, by zaatakować.

Zaatakować i umrzeć.

Kiedy weszłam do lokalu, nad drzwiami zadźwięczał dzwonek. O razu uderzyła mnie woń pieczonego mięsa; omal nie zwymiotowałam.

W środku siedział tylko jeden gość. Mężczyzna w średnim wieku, który z pewnością nie był Szronem. Wątpiłam też, czy jest z Animy. Wyglądał tak, jakby lada chwila groził mu atak serca.

Poczułam ukłucie frustracji. Rozwścieczyłam Kat na darmo.

Nie, nie. Może Szron zabrał się stąd, ale zamierzał tu wrócić.

Wciąż była nadzieja.

Podeszła do mnie hostessa o jasnych oczach, krzywiąc usta w uśmiechu, który nie widniał w jej oczach.

– Ile osób?

Mogła być z Animy?

– Tylko jedna.

Zaprowadziła mnie do stolika pośrodku sali.

– Z tyłu, proszę – powiedziałam.

Sztywna jakby kij połknęła, ruszyła w stronę boksu ukrytego za ogromnym akwariem i zmarszczyła brwi, pytając w milczeniu: „Odpowiednie dla księżniczki?”

– Doskonale. – Usadowiłam się na kanapie i niby przypadkiem, ale celowo, otarłam się

o kobietę, żeby mogła wyczuć broń. Nic. – Dziękuję.

Zacisnęła usta, kładąc przede mną menu, i oddaliła się.

Wyciągnęłam komórkę i przesłałam Cole'owi wiadomość.

„Szrona tu nie ma. Będę czekała na wypadek, gdyby wrócił. Kat się uspokoiła?”

Cole: „Kat – nie. TY – NIE CZEKAJ JAK MAŁY SŁODKI CEL, WRACAJ DO DOMU”.

Mogłabym przysiąc, że słyszę wibrujący w moich myślach jego poirytowany głos. Pozwolił mi to zrobić, a teraz żałował. Jak zwykle.

Ja: „Wiadomość z ostatniej chwili, Holland. DUŻE LITERY MNIE NIE ZASTRASZA”.

Cole: „POWINNY. GNIEW C.H. TO NIE PRZELEWKI”.

Ja: „Ugryź mnie”.

Cole: „Masz to jak w banku – z przyjemnością. Ale chcę, żebyś wróciła i dobrała się do mnie. Obecnie nie ma dostępnych pojazdów. Tak przy okazji, rzecz nie podlega negocjacom”.

Ja: „Przykro, kotku, ale to była wymiana informacji, a nie prośba o rozkazy. Możesz wykorzystać wolną chwilę, żeby to negocjować”. (Dodałam emotikon, żeby się odczepił).

Cole: „Więc to ostrożne tak?”.

Wielkie nieba. Odłożyłam telefon, nim zdążył jeszcze bardziej mnie rozkojarzyć. Bardziej niż mu się to dotąd udało.

Myśl! Nawet jeśli Szron zamierzał wrócić do Wok and Roll, to nie mógł odejść daleko. Chyba że by go do tego zmuszono. Krążył zapewne po sklepach, skąd mógł obserwować wejście do restauracji i czekać niezauważony na Gavina.

Ale... jeśli to była prawda, to powinien mnie zauważyć i przybiec w te pędy.

– Już się pani zdecydowała? – spytała hostessa, obecnie kelnerka, kiedy zjawiła się ponownie przy moim stoliku.

– Czy doszło tu dzisiaj do jakiejś bójki? Jakiejś kłótni? – Czegokolwiek, co by wskazywało, że namierzono mojego przyjaciela?

Zmarszczyła brwi w odruchu zdumienia.

– Nie. A o co chodzi?

Zamiast odpowiedzieć, rzuciłam dwudziestkę na stolik.

– Nieważne. Muszę lecieć.

Nie próbowała mnie zatrzymać, kiedy wychodziłam na zewnątrz. Oparłam się o ceglana ścianę, jakbym chciała się przez chwilę ogrzać z powodu zimnego wiatru. Tak naprawdę obserwowałam sklepy. Ubrania. Ubrania. Kawa. Buty. Pieczywo. Ubra...

Kawa.

Tam mógłby siedzieć najdłużej, nie zwracając na siebie uwagi.

Pobiegłam i zagłębiłam się w ciepło i smakowitość pachnącego kofeiną wnętrza.

Przeglądałam się gościom, moje nerwy były napięte do granic wytrzymałości...

Znalazłam go!

Radość. Tak głęboka radość. Siedział w rogu, wyglądając przez witrynę. Jasne włosy ukrył pod czapką. Płaszcz, który miał na sobie, musiał być ukradziony, ponieważ nigdy nie widziałam, żeby taki nosił, zresztą nie pasował na niego. Poza tym był różowy w liliowe kwiatki.

Podeszłam do jego stolika, odsunęłam krzesło.

– Spadaj... – Nagle ulga wyparła wszelkie objawy gniewu. Nachylił się do mnie. – Dzięki Bogu to ty. Powiedz mi wszystko, co wiesz. Zaczynaj od informacji od Kat.

– Żyje, czuje się dobrze i rozpaczliwie pragnie cię zobaczyć.

Zamknął oczy, z których jedno było podbite, i osunął się na stolik.

– Nie masz pojęcia, jak ja też pragnę ją zobaczyć, ale kiedy przeszukiwałam dom Ankha

wczoraj w nocy, nie znalazłem jej.

– Jest tam sekretny tunel, który prowadzi do podziemnego pomieszczenia – wyjaśniłam. – Tam siedziała.

– Siedzi nadal?

– Od rana jest z powrotem u Ankha. Wzmocnił zabezpieczenia.

Jego dłoń zacisnęła się w pięść.

– Tak się martwiłem...

– Wiem. – Poklepałam go po ręku. – Dlaczego nie przyszedłeś do Wok and Roll, kiedy się tam zjawiłam?

Zmarszczył czoło.

– Nie widziałem cię.

– Ale miałeś się tam spotkać z Gavinem.

– Nie. Miałem się z nim spotkać w kawiarni naprzeciwko Wok and Roll.

Wy tłumaczyłam sobie to nieporozumienie tym, że Gavin stracił dużo krwi.

– Nic mu nie jest? – spytał Szron, nie kryjąc zdenerwowania.

Spodziewał się złych wiadomości.

– Nic mu nie będzie – odparłam stanowczo. – W tej chwili jest w kiepskim stanie. Cole też, choć szybko wraca do zdrowia. Został postrzelony. – Weź się w garść. – Są obaj z Ankhem.

– To dobrze. Bardzo dobrze. – Na jego twarzy pojawił się posępny cień. – Cruz...

– Tak. Wiem. – Piekące łzy. Powstrzymaj je. Natychmiast. – Trina i Lucas także.

Przycisnął pięści do oczu.

– Co z innymi?

– Chciałabym wiedzieć. Nie słyszałeś i nie widziałeś niczego?

– Tylko tyle, że nie ma Justina i Jacklyn.

Czy bliźnięta zostały uprowadzone? Czy też nie żyły?

Jacklyn i ja nie byliśmy przyjaciółkami, ale nie dzieliła nas już wrogość. Nienawidziłam myśli, że jest gdzieś tam, cierpiąc, albo że dzieje się z nią coś gorszego.

– Chciałem dać Gavinowi jeszcze pięć minut – oznajmił Szron. – Potem zamierzałem wyjść i zacząć szukać pozostałych.

Kolejny dowód na to, że tykające zegary wkurzają. Gdybym zjawiła się kilka minut później, nie spotkalibyśmy się.

– Co się stało w nocy? To znaczy z tobą?

Odparł posępnie:

– Byłem w domu, w łóżku, choć jeszcze nie spałem. Usłyszałem jakieś skrzypnięcie i próbowałem usiąść. Poczułem na ustach twardą dłoń, w szyję wbiła się igła. Od razu spieprzyło mi rozum. Byłem oszołomiony. Słaby i uległy. Facet musiał naszprycować też moich strażników, bo sprowadził mnie na dół i wyszedł ze mną na zewnątrz, a oni nie interweniowali. Potem popełnił błąd, sadzając mnie na przednim siedzeniu samochodu. Gdy tylko przestało mi się trochę kręcić w głowie, zdołałem go zmusić, żeby zjechał na pobocze, wyskoczyłem i pobiegłem do siłowni.

– Ale już się paliła na dobre – zauważyłam.

– Dostrzegłem uzbrojonych ludzi, którzy ścigali rannego Gavina. Staralem się za wszelką cenę zwrócić na siebie ich uwagę. Udało mi się, ale potrzebowałem prawie dwóch godzin, żeby ich zgubić, i dwóch kolejnych, żeby dotrzeć do domu Ankha. Cały czas odpływałem. Potem przyszedłem tutaj.

No tak. Ci z Animy nie chcieli zabić Szrona. Ale z pewnością chcieli zabić Cole'a. Dlaczego?

Jaki mieli plan? Cel?

– Wiesz, gdzie mogli się ukryć pozostali? – Bronx. Mackenzie. Veronica. Collins.

– Bronx... może. Zamierzałem pójść i sprawdzić miejsce naszego spotkania, kiedy już bym stąd wyszedł.

– Idę z tobą. Muszę tylko powiedzieć Cole'owi, co się dzieje.

– Kontrola?

– Coś w tym rodzaju.

Przesłałam wiadomość Cole'owi i Kat.

„Znalazłam Szrona. Cały i zdrowy. Mamy namiary na Bronxa. Wkrótce więcej informacji. Kat, przepraszam. Wynagrodzę ci to, przysięgam!”

Odpowiedź Cole'a nadeszła po kilku sekundach.

„Informuj mnie na bieżąco”.

Odpowiedź Kat nadeszła kilka sekund później i dopiero wtedy ochłonęłam.

„Sprowadź mojego ulubionego chłopca do domu, a wszystko będzie wybaczone”.

Och, jak bardzo kochałam tę dziewczynę. Nie zamierzała żywić urazy ani nawet wrzeszczeć na mnie.

– No dobra – powiedział Szron, kiedy wstaliśmy od stolika. – Muszę zadać ci pytanie natury osobistej, ponieważ nasz następny ruch opiera się na twojej odpowiedzi.

Spięłam się, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

– Pytaj.

– Co myślisz o kradzieży samochodów?

ZACHOWAJ SPOKÓJ I NOŚ BRONĀ

Fakt: życie to gigantyczna klasa szkolna, a każdy dzień to okazja, by nauczyć się czegoś nowego.

Fakt: musisz być przygotowany na niezapowiedziany sprawdzian, ponieważ może pojawić się znieca, a jego autorem może być każdy.

Także fakt: szkoda, że nie zadzwoniłam do szkoły i nie powiedziałam, że jestem chora.

Czego się dowiedziałam od profesora Szrona? Jak we właściwy sposób odpalać samochody. Ten facet potrafił robić niesamowite rzeczy z jednym kawałkiem przewodu.

– Jestem teraz przestępczynią – lamentowałam, kiedy pędziliśmy po autostradzie.

Zabijanie w obronie własnej nie liczyło się w tym wypadku. – Jestem współniczką przestępcy. Złodziejką.

– W gruncie rzeczy jesteś niezależnym pracownikiem parkingu. Przeprowadzasz tylko samochód z jednego miejsca do drugiego. Nie ma w tym nic złego, prawda?

Parsknęłam śmiechem, wszelkie obawy zniknęły w oparach rozbawienia.

– Niezależny pracownik parkingu?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu przyjmij to do wiadomości.

Dlaczego nie?

– No dobra, gdzie i jak się tego nauczyłeś?

– Powiem ci, ale nie możesz ryczeć jak dzieciak. Będziesz miała na to ochotę, bo to tragiczne. No wiesz, złamie ci serce i...

– Kapuję. Nikt nie cierpiał tak jak ty. Mów dalej.

Dąsał się przez minutę.

– Cole wie, że jesteś z lodu?

– Tak. Lubi mnie roztapiać.

– Mniejsza z tym. Było tak. Potrafiłem widzieć zombi od dnia narodzin. Płakałem bezustannie. Po jakimś czasie tata nie mógł już tego znieść i odszedł. Mama została sama i musiała mnie uspokajać, ilekroć darłem się o potwory. Przerażało ją to, więc posyłała mnie na wszelkie badania medyczne i psychiatryczne, na które nie było jej stać. Nikt nie mógł się zorientować, co mi dolega, i nim znalazła sobie nowego faceta, miała już dość ciągłego stresu. Skończyło się tym, że oddała mnie pod opiekę ciotki i wuja. Zacząłem się obracać w niewłaściwym towarzystwie.

Przyglądał mi się dłużej, niż było to konieczne, biorąc pod uwagę to, że prowadził samochód. Sprawdzał, czy nie ciekną mi łzy?

Przyznaję, kuśilo mnie, by na dowód pokory uronić kilka. Został porzucony. Zapomniany. Nie rozplakałam się jednak i uniosłam brodę.

– Przykro mi, że przeżyłeś coś takiego. Naprawdę. Ale każdy ma jakiś bagaż doświadczeń. Mówiłam ci kiedykolwiek, że straciłam w wypadku samochodowym całą rodzinę?

Parsknął chrapliwym śmiechem.

– Ty i Kat, jedyne dziewczyny na całej planecie, które potrafią wprawić mnie w zdumienie i zaskoczyć. Spodziewam się współczucia, a ty serwujesz mi frazesy. Miłe.

Nieco dwuznaczny komplement, ale postanowiłam go zaakceptować.

– Co więc stało się z twoją mamą?

Zacisnął palce na kierownicy, świadectwo bólu.

– Odwiedziła mnie kilka razy, a teraz, kiedy mam prawo jazdy, czeka na mnie z otwartymi ramionami, ale ma nową rodzinę, więc...

Jeszcze bardziej przygnębiające. Wyraziłam współczucie i zmieniałam temat.

– Jak poznałeś Cole'a?

Teraz skrzywił wargi w podstępny uśmiech.

– Jesteś obeznana z zasadami silniejszego, Ali-gatorze?

Głupie przezwiska. Były odpowiednikiem werbalnych narośli. Nie zawsze można się ich pozbyć.

– W jakimś stopniu. Kat twierdzi, że jest tylko jedna. Zabij teraz, zadawaj pytania później.

– W rzeczywistości jest ich dziesięć. Ale pierwsza i najważniejsza to ta: gdziekolwiek jesteś nowicjuszem, rozłóż na łopatki panującego króla, a nikt nie będzie z tobą zadzierał. No cóż, kiedy przeprowadziłem się na osiedle Cole'a, był akurat panującym królem, więc rzuciłem mu wyzwanie, i to na oczach wszystkich. To on mnie rozłożył na łopatki. Od tej pory jesteśmy przyjaciółmi.

– Bracia od pierwszego ciosu – zauważyłam, skinąwszy głową.

– Coś w tym rodzaju.

Zastanawiałam się, ile jest na świecie dzieciaków zdolnych widzieć zombi, ale nieobeznanych z prawdą.

Mój tata potrafił widzieć zombi, choć nie wiedział, czym są. Jako chłopiec widział, jak jeden zabija jego matkę. Z upływem lat strach przed nimi tylko w nim narastał, aż w końcu ojciec zaczął szukać ucieczki w alkoholu i zamykać mnie i moją siostrę.

No ale to był strach. Destrukcyjna siła, jaką dysponował, i dlatego byłam tak zdecydowana mu się opierać, bez względu na okoliczności.

Czasem jednak moja determinacja chwiała się – i dotyczyło to zazwyczaj jednej osoby.

– Mogę zadać ci pytanie? – odezwałam się.

– Czy nie to robisz cały czas?

Ha, ha.

– Choroba nerek Kat.

Chwila pełnej napięcia ciszy.

– Czekam na pytanie.

– Da się coś z tym zrobić?

– Myślisz, że nie zgłębiałem tematu? Że nie umawiałem się ze specjalistami, żeby porozmawiać o jej przypadłości?

– I nic?

– Nic – powtórzył głucho.

Popatrzyłam w milczeniu przez okno. Zasadniczo śmierć Kat była tylko grą na przeczekanie. Tykający zegar, który wyczerpałby się w końcu.

– Pogadajmy o czymś innym – zaproponował, pokonując zakręt szybciej, niżbym sobie tego życzyła. – O obecnej sytuacji na przykład. Anima miała mnóstwo okazji, żeby dobrać się do nas w ten sposób, ale nigdy tego nie zrobiła. Chociażby wtedy, kiedy mieli ciebie, Kat i Reeve. Nie walczylibyśmy, żeby zabić, bo obawialibyśmy się, że skrzywdziliby was w odwecie. Więc muszę zadać sobie pytanie: dlaczego teraz?

Nie tylko pytanie, ale też dobre pytanie.

– Przeanalizujemy to, co wiemy. Pracują nad sposobami kontrolowania zombi, żeby stwory atakowały każdego, kto przeszkodzi im w badaniach. Mają też nadzieję, że dzięki zombicznej toksynie stworzą serum zapewniające wieczne życie, bez konsekwencji, i przypuszczalnie ocalą ludzkość przed chorobami i śmiercią, a jednocześnie nie wahają się eksperymentować na niewinnych ofiarach i zabijać je.

Szron zastanawiał się przez chwilę.

– A jeśli im się udało?

– Podejrzewasz, że... co? Że chcą nas usunąć z pola widzenia, żeby nikt ich nie mógł powstrzymać, bo nikt o niczym nie będzie wiedział?

– Właśnie.

Sytuacja nie wróżyła w naszym przypadku niczego dobrego. Oznaczało to, że Anima uderzy ponownie. I to niedługo, podczas gdy byliśmy pokiereszowani i osłabieni.

Niemal słyszałam w głowie zegar odmierzający sekundy. Tik-tak, tik-tak, coś, przed czym nigdy nie zdołałabym uciec.

Zacisnęłam pięści. Spokojnie. Bez nerwów.

Żadnego strachu, pamiętasz?

Szron zatrzymał się na parkingu szkolnym. Asher High. Siedziba Tygrysów (Tygrysy Górą!). Zmarszczyłam czoło. Stało tu kilka innych samochodów, więc nasz by się nie rzucał w oczy, ale mimo wszystko...

– Myślisz, że Bronx się tu zjawiał? – spytałam.

– Może.

Okay wobec tego. To mi wystarczało.

Weszliśmy do budynku – drzwi nie były zamknięte, co oszczędziło nam konieczności dokonania kolejnego przestępstwa. Przekradaliśmy się ciemnymi korytarzami. Trzymałam dłoń w torebce, palce zaciskałam na rękojeści jednego ze sztyletów. Tak na wszelki wypadek. Nikt na nas nie wyskoczył z nienacka, więc mogliśmy wejść bez przeszkód do sali numer dwieście trzystaście.

Ale... niech to szlag! Nie było tu śladu Bronxa. Miałam ochotę tupnąć z gniewu nogą.

– Zastanawiasz się, czy nie wpaść we wściekłość? – Szron zbliżył się do tablicy. – Nie ma potrzeby. Miałem rację. Był tutaj.

Spojrzałam w lewo, potem w prawo. Nic nie zobaczyłam.

– Skąd wiesz?

Wskazał tablicę.

– Zostawił wiadomość.

Przeczytałam nakreślone na czarnej powierzchni słowa.

„Miłość to ja. Zraniona dusza. Na wylot. Przyjęciu przyświecały gwiazdy”.

Okay.

– Co to znaczy?

– Weź pierwsze słowo każdego zdania. Miłość zraniona. Na przyjęciu. Rozumiesz? Miłość, czyli Love. Mackenzie Love jest ranna, a on ją zabrał... dokąd?

Cholera. Jak poważne były jej obrażenia?

– Są... w jakiejś knajpie? Wątpliwe. – Mamrotał teraz, gadając coś do siebie, próbując rozgryźć tę zagadkę. – Miejsce, w którym balowaliśmy? Bardziej prawdopodobne. Ale nie wybrałby miejsca pierwszego z brzegu. Wybrałby coś, co bym zapamiętał... Ostatnie miejsce? Tak, tak, tak. Wiem, gdzie jest!

Serce załomotało mi pełnym podniecenia werblem.

– No to jedźmy.

*

Wylądowaliśmy na jakimś zapyziałym osiedlu, mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów za Birmingham. Po wytarciu naszych linii papilarnych porzuciliśmy samochód – może ktoś inny chciałby się zabawić w niezależnego pracownika parkingu i usunąć pojazd z tej okolicy na dobre – i ruszyliśmy w stronę budynku prezentującego się najgorzej ze wszystkich.

Obłąziła z niego farba, okiennice były połamane, szyby stłuczone. Z dachu zwieszały się oderwane klepki. Deski na ganku wydawały śmiertelny grzechot, kiedy zbliżaliśmy się do drzwi.

Szron zapukał. Pod drzwiami pojawił się cień, a ja się domyśliłam, że ktoś patrzy na nas przez wizjer.

– Najwyższy czas – oznajmił nieznany mi głos. Zawiasy jęknęły na wysokim C i obskurne wejście stanęło przed nami otworem. Drobną brunetką z płataniną blizn na jednym policzku odsunęła się na bok, przepuszczając Szrona.

– Gdzie oni są? – spytał ostrym tonem.

– W pokoju na tyłach.

Już miałam ruszyć w ślad za nim, ale stanęła mi na drodze dziewczyna, blokując skutecznie. Musiałam spuścić wzrok... Bardziej... Bardziej... Miała ledwie sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. I była szelmowsko ładna z tymi ciemnozielonymi oczami, w których połyskiwała pełna zawziętości opiekuńczość.

– Kim, u diabła, jest twoja przyjaciółka? – zawołała do Szrona. Ani na chwilę nie oderwała ode mnie spojrzenia zmrużonych oczu.

– To Ali. Wpuść ją.

Jej rysy wykrzywił grymas niejakiej odrazy.

– A więc ty jesteś niesławna Ali Bell, tak?

Wspaniale. Co jej o mnie powiedziano? Jak sugerował jej szyderczy ton, byłam tak zła, że sam diabeł zaprzedał mi duszę.

Skinęłam głową.

– Zgadza się. A ty to kto?

– Juliana, młodsza siostra Veroniki. I co z tego? – Czysta fizyczność, żadnej finezji.

Poczułam w piersi ucisk nieznośnej tęsknoty za moją własną siostrzyczką. Emma nie odwiedzała mnie już od wielu tygodni. Gdzie była?

Kiedy rozmawiałyśmy ostatnim razem, powiedziała mi, że nasza więź zanika i że będziemy się spotykać rzadziej. Czyli raz, dwa razy w tygodniu. Tak zrozumiałam. Szkoda, że nie pojęłam, iż „rzadziej” może oznaczać „nigdy więcej”. Tuliłabym ją mocniej, dłużej. Niewykłuczone, że nie wypuściłabym jej z objęć.

– Mogę? – spytałam cicho.

– Jak chcesz. – Juliana odsunęła się sztywno.

Weszłam do środka i rozejrzałam się. Na ścianach nie wisały żadne obrazy. Meble były zużyte, ale polatane i wypolerowane. Nigdzie nie zauważyłam telewizora ani komputera, ale na stoliku do kawy stał wazon ze świeżymi kwiatami. Powietrze przenikał ich słodki zapach; w przeciwnym razie byłoby pewnie zatęchłe.

Nie wiedziałam za Boga, że Veronica, moja wroga przyjaciółka, ma młodszą siostrę, ani że żyją w skrajnej nędzy, jak wszystko na to wskazywało. W nędzy, a jednak Bronx uważał, że to bezpieczne schronienie, choć nie było nim lokum żadnego innego zabójcy. Więc ten dom musiał umknąć uwadze Animy. Ale w jaki sposób?

I co z tym przyjęciem, o którym wspominał Szron? Odbyło się tutaj? Dlaczego? I kiedy? Cole był na nim obecny?

Czemu mnie nie zaproszono?

Rany. Tym ostatnim słowem towarzyszył pełen odrazy jęk. Jakby te bzdury miały jakiegokolwiek znaczenie w obliczu tego, co się wydarzyło.

– Gdzie twoi rodzice? – spytałam. Z głębi korytarza docierały głosy. Postanowiłam, że dam Julianie jeszcze trochę czasu, by mogła mnie zaprosić, a potem zamierzałam sama się wepchać, grzecznie czy niegrzecznie.

– Nie żyją – odparła oschle.

– Przykro mi.

– Pewnie, że ci przykro. Może spytasz na bis, skąd mam te blizny?

Okay.

– Skąd masz te blizny?

Zamrugnęła zdumiona i otworzyła usta. Najwyraźniej nie spodziewała się, że to zrobię.

– Poparzyłam się. – Jej słowa smagały jak biczem. – Choć to nie twój interes.

– Hej. – Uniosłam dłonie w geście obrażonej niewinności. – Sama to zaproponowałam.

I rany, nagle poczułam wyrzuty sumienia, że traktowałam Veronicę tak paskudnie, kiedy ją poznałam. Nie miała najłatwiejszego życia.

No ale, jak powiedziałam Szronowi, nikt z nas nie miał. Wszyscy cierpieliśmy w jakiś sposób.

Juliana wbiła wzrok w swoje stopy, przestąpiła z nogi na nogę, znów na mnie popatrzyła.

– Cole się odezwał? – spytała, tym razem niechętnie.

– Postrzelili go, ale dochodzi do siebie.

Odczuła ulgę, której nie umiała ukryć; było jasne, że szczerze się o niego martwi.

Ja też się martwiłam.

W porządku, nadszedł czas sprawdzić, co z moimi przyjaciółmi. Ruszyłam bez słowa w głąb korytarza.

– Hej! Nie możesz tam wchodzić! – Juliana deptała mi po piętach. – To nie twój dom.

Otworzyłam pierwsze drzwi, wewnątrz ziało pustką z wyjątkiem podwójnego materaca i koca; kontynuowałam wędrówkę. Był tam jeszcze tylko jeden pokój... i właśnie w nim znalazłam wszystkich. Na podłodze ułożono trzy duże materace. Po lewej leżała Mackenzie, Bronx usadowił się pośrodku, a Veronica po prawej.

Mackenzie spała. Wokół bladej skóry rozsypały się ciemne loki. Wargi miała pokaleczone od zagryzania, na twarzy widniało kilka zadrapań. Brzeg podkoszulka podjechał do góry; mogłam dostrzec bandaż, który owijał ją w talii.

Bronx i Veronica byli przytomni i czujni.

Wyglądał na zdrowego; siedział oparty o ścianę, jedną ręką trzymał się za kark, druga spoczywała przy boku. Ciemne włosy o ufarbowanych na zielono końcówkach były zmierzwione. Kolczyki, jeden nad okiem, drugi w dolnej wardze, lśniły w blasku elektrycznego światła. Żadnych widocznych sińców ani zadrapań.

– Oberwała nożem – powiedział, zaciskając z gniewu zęby. Anima powinna bać się nie na żarty. Był ze wszystkich zabójców najmniej ucywilizowany, a ja zawsze podejrzewałam, że człowieczeństwo stało się u niego jedynie maską, którą czasem nosił. – Napastnicy nie spodziewali się chyba, że ktokolwiek będzie w siłowni. Było ich dwóch i gdy się włamali, usłyszeliśmy ich. Przycupnęliśmy w cieniu, obserwując, czekając. Kiedy się zorientowaliśmy, że rozlewają wszędzie benzynę, zabraliśmy się do nich. Mackenzie oberwała nożem, potem zapłonęła zapalka i jeden z tych facetów zdołał uciec.

Podeszłam do materaca, na którym leżała, i usiadłam na brzegu; nasze biodra się zetknęły. Przesunęłam delikatnie dłonią po jej policzku. Poczułam dreszcze. Moje kończyny

z każdą chwilą stawały się coraz cięższe. Adrenalina płynęła zapewne niepowstrzymanym strumieniem. Możliwe, że nie miałam nawet siły uwolnić swego ducha i rozpaść płomień.

– Możesz wzniecić ogień, Szron?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Bo będziesz musiał dotknąć nim rany Mackenzie.

Jak na zawołanie, wszyscy obecni wyrazili protest.

– Akurat!

– Oszalałaś? Nic z tego!

– Wykluczone!

– Zamknijcie się! – rzuciłam i cud nad cudy, posłuchali. – Pamiętajcie, jak byłam chora?

Uleczyliście mnie swoim ogniem.

– Tak, ale byłaś po części zombi – przypomniał Bronx. – Ona nie jest. Ogień pomoże jej duchowi, ale uszkodzi wszystko inne.

– Nieprawda. Jedno z drugim jest połączone, duch z ciałem. Jeśli jedno odnosi ranę, odnosi ją też drugie. Więc dlaczego nie może to działać na odwrót?

Milczenie.

– Posłuchajcie, zrobiłam to z Cole'em. Sam nawet to sobie zrobił i teraz chodzi o własnych siłach. Dopiero co zrobiłam to Gavinowi. Pozbierał się niemal natychmiast.

– Chwileczkę. – Ton głosu Veroniki był twardy jak granit. – Chcesz nam powiedzieć, że naraziłaś Cole'a i Gavina? Że nie byłaś w stu procentach pewna, co się stanie, ale i tak to zrobiłaś?

W dużym skrócie... owszem.

– Już wcześniej byli narażeni – zauważyłam.

Mackenzie zajęczała, jakby ten spór zakłócił spokój, który zdołała osiągnąć.

– Zrób to, Szron – nakazałam.

– Nie jesteś jego szefem – warknęła Juliana.

Potarł kłykciami czubek jej głowy.

– Dzięki za wsparcie, dzieciaku, ale ona jest moim szefem.

Podszedł do Mackenzie.

Juliana posłała mi spojrzenie pełne sztyletów ociekających nienawiścią.

Ignorując ją, zwróciłam się do Szrona.

– Nie wymięknij. Zrób to.

– Obyś się nie myliła – mruknął i uwolnił ducha, z palców trysnął mu ogień. Dotknął Mackenzie, a ona sapnęła, odczuwając najwyraźniej ból. Zauważyłam, że spiął się i że chce się wycofać.

– Nie rób tego – przestrzegłam. – Nie przerywaj kontaktu, dopóki nie krzyknie.

Odsłonił zęby w pełnym zawziętości grymasie.

Z jej ust wyrwał się jęk, potem drugi. Głowa uderzyła o poduszkę.

– Ali... – poprosił.

– Jeszcze chwilę.

Wtedy Mackenzie otworzyła usta i krzyknęła. Uderzyła Szrona w dłoń, ale ponieważ był duchem, a ona nie, nie mogła go dotknąć. Nie mogła go powstrzymać.

Odsunął się od niej, ona zaś opadła na materac. Pochyliłam się nad nią, wypatrując jakiegokolwiek zmiany. Jej twarz nabierała koloru, policzki nasycały się różem, a cienie pod oczami blakły.

Tak szybko.

Dama nigdy nie uśmiecha się z wyższością.

Od kiedy to byłam damą?

Uśmiechnęłam się z wyższością.

Szron przewrócił wymownie oczami.

– Udało się. Tak jak mówiłaś.

I nie zapomnijcie o tym! Spojrzałam na Bronxa.

– Jesteś ranny?

Czy Szron miał dotknąć także jego?

– Mam kilka guzów – odparł. – Ale poza tym wszystko w porządku.

Skierowałam spojrzenie na Veronicę.

– Mnie też nic nie jest.

W jej zielonych oczach płonęła troska. Ciemne włosy były skołtunione, w kosmyki wplotły się żółta trawa i małe gałązki. Mimo wszystko przedstawiała sobą piękny widok. Fizycznie nieskazitelny – idealny odpowiednik Cole’a. Co zapewne tłumaczyło, dlaczego chodzili kiedyś ze sobą.

Tak. Cole nieodmiennie cieszył się powodzeniem...

– Może ktoś mnie wtajemniczy – powiedziałam. – Jakim cudem nikt nie wie o tym miejscu?

Veronica oblizwała wargi.

– Jules i ja nie jesteśmy nigdzie zarejestrowane. Nie kupuję ani nie wynajmuję niczego pod swoim nazwiskiem. Tylko ci, którzy tu są... i Cole... wiedzą, gdzie mieszkamy. – Niczym podejrzany podczas przesłuchania, odwróciła wzrok.

Cole wiedział i nie zdradził się nawet słowem. Nie powiedział mnie, swojej dziewczynie. Jedynej.

Brakowało mi słów.

Nie, to nie do końca prawda. Miałam mnóstwo słów – dla siebie. Wcale nie byłam zazdrosna. Albo Cole należał do mnie, albo nie. Koniec, kropka. Albo mu ufałam, albo nie.

Zerwał jednak ze mną na kilka tygodni i te kawalerskie dni spędzał z Veronicą. Nie oszukiwał mnie, zważywszy na to, że skończyło się między nami, ale odnosiłam inne wrażenie. Bo robili różne rzeczy. Rzeczy, o których nie chciałam myśleć.

Rzeczy, których nie chciał teraz robić ze mną.

No więc owszem, miałam jakby ochotę zedrzeć z niej twarz i napluć do czaszki.

Zbyt obrazowe? – odezwała się zasadnicza Ali.

Zbyt mało obrazowe – skomentowała żartobliwie krwiożercza Ali.

Witajcie, nowe osobowości. Tak miło was poznać.

No dobra, wracając do punktu wyjścia. Cole był mój. Nie podlegało to dyskusji, a ja mu ufałam. Totalnie i całkowicie. I wiedziałam, że nie interesuje się nikim innym. Nawet Veronicą. Ale... To przemilczenie dotyczące kryjówki bolało.

Daj spokój. Ludzie mają prawo do sekretów. Zresztą to teraz szczególnie ważne.

No tak, była jeszcze pragmatyczna Ali. Znałam ją dobrze.

– Wysłałam wczoraj wieczorem – ciągnęła Veronica. – Bywam regularnie w Hearts i poszłam z jednym... Mniejsza z tym. – Zarumieniła się i odchrząknęła nerwowo.

Nie chciała, by jej młodsza siostra dowiedziała się, że wyszła z klubu nocnego na małe co nieco z jakimś nieznajomym?

– W porządku – odezwała się Juliana, patrząc na mnie ze złością, jakby wszelkie zło na świecie było moją winą.

Jezu, nikogo nie osądzałam.

– Próbował wrzucić mi coś do drinka – wyznała drżącym głosem Veronica. – Nie

uświadamiał sobie, że jestem podejrzliwa. Zamieniłam szklanki, kiedy się akurat odwrócił. Wypił i zwałił się na podłogę, a wtedy do pokoju wpadł drugi facet, spodziewając się najwyraźniej, że to ja będę leżeć jak kłoda. Walczyliśmy. Wygrałam. Ledwo. Popędziłam do domu na piechotę i nie miałam pojęcia, co się dzieje, zakładając, że chodzi o próbę gwałtu, dopóki Bronx nie zaczął się tu dobijać kilka godzin temu.

Ci z Animy mieli swój rozum. Wiedzieli, jak tropić. Niepokoił mnie ten czas, jaki Veronica spędziła w tym miejscu.

– Nie wydaje mi się, byście byli tu bezpieczni. Trudno was znaleźć, tak, ale nie jest to niemożliwe. Prędzej czy później Anima się zjawi, a wszyscy wiemy, czym się to skończy.

Zbladła, ale oznajmiła:

– Potrafię zadbać o siebie i swoją siostrę, dzięki. Robię to od dawna.

– Nie zgrywaj dumnej – poradził Szron. – Ty i Juliana musicie znaleźć się w czterech ścianach domu pana Ankha i koniec. Ma kamery i system alarmowy, który się uruchamia, gdy tylko ktoś postawi stopę na jego posesji. Ty tego nie masz. Są tam też sekretne przejścia na wypadek kłopotów.

Veronica westchnęła.

– Okay, okay. Rozumiem. Moje lokum jest do niczego. A jego lokum jest super.

Posłuchała Szrona, ale nie mnie. Niesamowite.

– Chciałabym wiedzieć, jaką kryjówkę ty byś zaproponowała, Ali Bell – warknęła Juliana, podchodząc do siostry. Wzięły się za ręce, okazując sobie wsparcie.

Znów poczułam ucisk w piersi. Mnie i Emmę łączył podobny związek; tęskniłam za nim niemal tak samo jak za nią.

– Potem będziecie się klócić – odezwał się Bronx. – Jestem gotów ruszać. Muszę zobaczyć Reeve.

„Muszę” brzmiało silniej niż „chcę”, ale wiedziałam, że nie przesadza. Taka sama więź istniała między mną a Cole’em. Niewidzialna, lecz bezwzględna.

– Jeśli Kat nie znajdzie się w moich ramionach w ciągu godziny – oznajmił Szron, sprawdzając bezpiecznik swej broni – to stanę się drażliwy.

Po pierwsze: była to dość przerażająca myśl. Drażliwy Szron był Morderczym Szronem.

Po drugie: jeśli mieliśmy trzymać się razem, to potrzebowaliśmy SUV-a.

Cudownie.

– Wygląda na to, że każdy z nas wcieli się w niezależnego pracownika parkingu.

STUKNIĘTA DZIŚ, STUKNIĘTA JUTRO

W drodze do pana Ankha przesłałam Cole'owi wiadomość, że Mackenzie potrzebuje pomocy medycznej.

Odpowiedź zabrała mu trochę czasu, ale w końcu nadeszła.

„Ankh mówi, że będzie gotowy”.

Wysłałam też esemesa Kat i Reeve, by wiedziały, że ich mężczyźni jadą do nich i są gotowi do akcji. Dostałam blisko trzydzieści odpowiedzi.

Najciekawsze?

Kat: „Lukrowo! ZAJEBIŚCIE! Wiedziałam, że dasz radę, Ali najdroższa!”.

Kat: „CHWILA. Wiem, napisałaś, że jest gotowy do akcji, ale czy ma wszystko na swoim miejscu? Muszę wiedzieć, czy mogę wałnąć go kolanem w jego męskie przydatki. PRZEZ NIEGO MARTWIŁAM SIĘ O NIEGO!”.

Reeve: „Bronx mówi czy milczy? Powiedz mi! Błagam! Muszę wiedzieć, z którą stroną jego osobowości będę miała do czynienia, żeby wiedzieć, w jaką Reeve się wcielić na powitanie – kochankę czy uliczną macho-kobietę (tak, walczę. Nic ci do tego!)”.

Kat: „Czy zerwanie byłoby teraz straszne? A co tam! Zamierzam to zrobić. Narazić dziewczynę na niewypowiedziane zmartwienia? Powinno być karane śmiercią!”.

Kat: „Tak przy okazji, ilu ludzi musiał zabić, żeby przeżyć? Dlatego mnie porzuciłaś (i zyskałaś doświadczenia, których nie zapomnisz)? Bądź szczerą. Nie chciałaś, żebym oglądała trupy, prawda?”.

Reeve: „DLACZEGO JESZCZE CIĘ TU NIE MA? Stoczę z TOBĄ uliczną walkę, jeśli się nie pospieszysz”.

Kat: „Czy to źle, że jestem w tej chwili napalona?”.

Kiedy tam dotarliśmy, nie zdziwiło nas szczególnie, że pan Ankh, Reeve i Kat czekają na ganku frontowym. Pomyślałam, że Kat powinna być zarumieniona, biorąc pod uwagę jej ekscytację, ale wciąż była blada. Nie podobało mi się to. I gdzie podział się Cole?

Niestety pary nie miały szansy objąć się i obdarzyć pocałunkami – i czymkolwiek jeszcze. Pan Ankh, gdy tylko otworzyły się drzwi samochodu, zaczął rzucać szczekliwym głosem rozkazy, polecając Szronowi zanieść Mackenzie do pokoju, który sąsiedował z pokojem Gavina, a Bronxowi usuwać wszystko z drogi. Dziewczyny mogły tylko gadać jak nakręcone.

– ...dostać nagrodę za przetrwanie – mówiła Kat. – Możesz zacząć od zdjęcia ubrania i...

– Nie muszę tego słuchać, panno Parker – warknął pan Ankh.

– ...prysznic – dokończyła. – W pojedynkę, oczywiście. Lubię, kiedy moi mężczyźni są czyści.

– Co z Gavinem? – spytałam, idąc na końcu.

– Znacznie lepiej, niż się spodziewałam. – Pan Ankh przystanął, zmuszając mnie, bym zrobiła to samo. Zerknął przez ramię. – Przeżyje.

Zalała mnie fala ulgi, słodkiej i upragnionej.

– Dwaj chłopcy. Dwie rany. Dwa cudowne ozdrowienia. Jakież teorie, które mogłyby to wyjaśnić? – spytał, zaskakując mnie.

– Ogień zabójców – wyznałam.

Oczy błyszczały mu przez chwilę, jego medyczny umysł rozważał prawdopodobnie wszystkie za i przeciw. Potem pan Ankh przyspieszył kroku, żeby dogonić Szrona i Bronxa. Zamierzałam ruszyć w ślad za nimi, ale Kat zawróciła pod drzwiami, rzuciła się na mnie i objęła. Jej uścisk był słabszy niż zwykle.

– Dziękuję, Ali. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Też ją objęłam, czując w oczach łzy.

– Tak mi przykro. Wiem, przeprosiłam cię w esemesie, a ty odpisałaś, że wszystko wybaczone, ale musiałam to powiedzieć osobiście. Nie mogłam ryzykować... znalazłybyśmy go, a on byłby ranny, a ty byś się załamała, a ja musiałabym was holować...

– Tak, wiem. Cole wyjaśnił mi po drodze. – Odsunęła się ode mnie i obdarzyła bladym uśmiechem. – Przywiozłaś go, a tylko to się liczy.

I zniknęła, pędząc za swoim mężczyzną.

– Niech pan Ankh cię zbada! – zawołałam, wlokąc się w stronę drzwi. Zatrzymały mnie ukłucia dreszczu na plecach. Coś się wokół mnie działo i mój duch to wyczuwał. Umysł nie zdążył się jeszcze dostosować.

Próbując zachowywać się obojętnie, odwróciłam się powoli, penetrując wzrokiem teren. Wokół posesji rosły duże, gęste krzewy, ukrywające mieszkańców przed ciekawskimi oczami. Nie było żadnego...

Tam! Błada twarz w aureoli niezwykle jasnych blond włosów. Przez sekundę, tylko przez sekundę bladoniebieskie oczy patrzyły w moje, nim kobieta – w jakiś sposób znajoma, choć byłam pewna, że nigdy jej nie spotkałam – odwróciła się i zniknęła pośród zarośli.

Zaciskając dłoń na sztylcie, ruszyłam za nią. Kim była? Dlaczego się tu znalazła? Szpiegowała dla Animy?

Na pewno nie. Nie zdołałaby ominąć zabezpieczeń pana Ankha. Zgadza się? Więc pan Ankh musiał wiedzieć, że ona tu jest. Zgadza się?

Przystanęłam nagle tuż przed miejscem, w którym zobaczyłam ją po raz pierwszy. A jeśli nie wiedział? A jeśli to była jakaś zasadzka? Skupiłam się na otaczających mnie dźwiękach. Świst wiatru. Gdzieś w dali warczał samochód i szczekał pies. Żadnych głosów. Trzaskających konarów. Szurających stóp.

Jak każda dziewczyna w każdym horrorze, kiedykolwiek nakręconym, nie zawróciłam – moja specjalność. Posuwałam się ostrożnie do przodu, stąpając cicho między gałęziami i liśćmi. Znalazłam ją stojącą kilka metrów dalej, obok jednego z najwyższych drzew na posesji. Czekala na mnie. Choć było piekielnie zimno, miała na sobie tylko czarną koszulkę bez rękawów, żadnego płaszcza, ale nie zwracała uwagi na chłód. Przynajmniej na nogach miała bojówki, a na stopach buty wojskowe.

– Kim jesteś? – spytałam, pokazując jednocześnie nóż.

– Samantha – odparła, a jej postać emanowała taką tęsknotą, że zadrżało mi serce. – Sami.

– Sami. – Poczulałam w piersi dziwne pulsowanie. – To twoje imię?

– Nie. Nie moje. – Uśmiechnęła się ze smutkiem, a jej tożsamość od razu się wykryła. Kobieta z mojego snu. Ta z małą dziewczynką.

Obie były realne.

Ktoś z mojej rodziny?

Na pewno. Te oczy...

– Kim jest Sami? Kim jesteś? – powtórzyłam już ostrzejszym tonem.

– Mam dla ciebie dar – powiedziała, wyciągając rękę.

Przyjęcie daru, czymkolwiek był, dowodziłoby głupoty. Nie znałam jej tak naprawdę i z pewnością jej nie ufałam. Ale nie powstrzymało mnie to przed zbliżeniem się do niej. Cóż

mogę powiedzieć? Nie mogłam się oprzeć ciekawości.

– Jeden agresywny ruch, a wypatroszę cię – ostrzegłam. – Nie będę się dwa razy zastanawiała.

Jej spojrzenie napotkało moje – tęsknota i smutek były teraz o wiele silniejsze. Łamały mi serce. Ale w jej oczach dostrzegłam też dumę. Dlaczego?

– Co to za dar? – spytałam bezwiednie. – Jesteś spokrewniona z Phillipem Bellem? – Moim ojcem. Chciałam tego? – Z Mirandą Bradley?

– Czas ucieka, a dar jest koniecznością. – Skinęła na mnie, bym podeszła jeszcze bliżej. – Pomoże ci pokonać wrogów.

Prawda czy fałsz?

Czy mógł to być jakiś podstęp? Tak. Ale gdzieś głęboko, gdzie instynkt rządził logiką, odmowa wydawała się... niemądra.

Sprawdź ją.

Wyciągnęłam rękę, zbliżywszy ją do jej dłoni, gotowa cofnąć się błyskawicznie – albo przebić ją sztyletem, tak jak obiecałam. Zamknęła oczy. Wysunęły się z niej wiązki ciepła i przeniknęły we mnie. Po krótkiej chwili to ciepło otoczyło mnie ze wszystkich stron, pochłonęło, stało się gorętsze... Tak cholernie gorące. Jakby spalał mnie wewnętrzny ogień. A jednak nawet mnie nie dotykała.

Prawda czy fałsz – miałam teraz odpowiedź. Fałsz. Całkowity fałsz. Próbowałam się wyrwać, ale nie mogłam. Byłam uwięziona. Głowa opadła mi do tyłu, a w krtani wzbierał krzyk, pragnąc się uwolnić.

Nagle opuściła rękę wzdłuż boku. Krzyk zamarł. Żar ustał.

– Co... co mi zrobiłaś? – Mrowiła mnie skóra. Krew syczała.

Milcząc teraz, wskazała jakieś miejsce na drzewie, odwróciła się i odplynęła, znikając za najbliższym krzewem.

– Hej! – krzyknęłam, goniąc ją. – Jeszcze z tobą nie skończyłam!

Gdy wyminęłam ten krzew, jej już nie było. Na dobrą sprawę nie pozostało po niej nic. Nawet śladu stóp. Nawet zapachu niesionego wiatrem.

Szukałam, szukałam, ale na próżno.

Niezadowolona, powróciłam do drzewa, i spojrzałam na miejsce, które wskazała. Po pnium spływały pnącza i...

Zmarszczyłam czoło i przesunęłam po zwojach palcami. To nie były pnącza. Zbyt mocne, zbyt ciepłe.

Sznury? Przewody?

– Co ty robisz? – dobiegł z za moich pleców głos.

Obróciłam się na pięcie i napotkałam spojrzenie Cole'a. Cóż za postęp! Nie miał już temblaka i był najwyraźniej gotowy do akcji.

– Chodź tu – powiedziałam.

Przysunął się do mnie i stanął u mego boku. Jego żar od razu mnie objął, poczułam słodkie ukłucia. Zignorowałam je i wskazałam przewody.

Przyspieszył do setki w niespełną sekundę, jego spokój ulotnił się bez śladu.

– Nie Ankh je tu zamontował, ale mogę się założyć, że są podłączone do jego systemu. Wyjaśnialoby to, jak Anima mogła dostać się do wnętrza jego domu. – Skonfiskował mi nóż i przeciął wszystkie przewody, po kolei. – Jak je znalazłaś?

– Kobieta – wyznałam, nie wspominając słowem o tym palącym ciepłe, które we mnie wzbudziła. Nie było powodu go niepokoić, skoro sama nie wiedziałam, co zaszło.

– Jaka kobieta?

– Może mieć na imię Sami albo i nie. Czy Samantha.

I przekazała mi dar. Powiedziała, że chce mi „pomóc”.

– Zadzwoiła do ciebie i powiedziała o przewodach? Czy była tu naprawdę?

– Była tu.

Fioletowe oczy skupiły na mnie spojrzenie ostre jak promień lasera.

– Zobaczyłaś obcą osobę na tym terenie, dzień po brutalnym ataku, który doprowadził do śmierci trojga naszych przyjaciół, i zamiast wezwać pomocy, postanowiłaś podążyć za nią?

Hm. W tym sensie wysłałam na największą idiotkę świata. Prawdę powiedziawszy, czułam się jak największa idiotka świata.

– No tak, z grubsza – odparłam mimo wszystko.

Zmrużył oczy jeszcze bardziej.

– Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Uciekła.

Wziął mnie za rękę i pociągnął z powrotem do domu.

– Przejrzymy nagrania z kamer i wytropimy ją. Chciałbym z nią pogadać.

Nikt nie czekał na nas w holu wejściowym, dzięki czemu nie musieliśmy tłumaczyć, gdzie byliśmy ani co robiliśmy. Cole zamknął nas w gabinecie pana Ankha i zasiadł za biurkiem. Najwidoczniej znał wszystkie kody komputerowe, bo jego palce zatańczyły bez wahania na klawiaturze. Stałam nad nim, stosownie zachwycona.

Na ekranie ukazał się ganek frontowy. Czekali tam pan Ankh, Kat i Reeve. Pod dom podjechał SUV pożyczony tymczasowo przez Szrona i wszystko rozegrało się tak, jak zapamiętałam. Bronx szedł na czele. Szron niósł Mackenzie. Moja krótka pogawędka z panem Ankhem. Moja sesja uścisków z Kat. I ja – przystaję i rozglądam się.

Kiedy ruszyłam z miejsca, Cole nacisnął kilka klawiszy i na ekranie pojawił się trawnik frontowy.

I ani śladu tajemniczej blondynki.

– Ale... była tam – zapewniłam skonfundowana. – Widziałam ją.

Cole odchylił się w fotelu i przesunął palcami po brodzie.

– Posłuchaj, Ali-gatorze, jesteś zmęczona i zestresowana. Może...

– Nie doznałam halucynacji. Jakim cudem? Przecież pokazała mi przewody, o których wcześniej nie miałam pojęcia! Świadomie czy podświadomie.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Powiem panu Ankhowi o przewodach, ale nie będziemy chwilowo wspominać o kobiecie.

– Ale mi wierzysz, prawda?

– Oczywiście – odparł, jakbym nie mogła spodziewać się innej odpowiedzi. – Dzieją się z tobą dziwne rzeczy. Taka już jesteś. Dobrodziejstwo inwentarza. Zaakceptowałam to.

Wstał i objął mnie, a ja oparłam głowę o jego ramię, czerpiąc pociechę z jego przyspieszonego pulsu.

– Dziękuję.

– Powstrzymaj się od dziękowania, bo zamierzam na ciebie nawrzeszczeć.

U-hu.

– Nigdy przenigdy nie idź za kimś obcym, tak jak to zrobiłaś. Słyszysz mnie? – Nie wrzeszczał na dobrą sprawę, ale niewiele brakowało. – Mogła wprowadzić cię w zasadzkę.

– To samo przyszło mi do głowy.

Zesztywniał, po czym spytał cicho, lecz groźnie:

– Przyszło ci to samo do głowy, a mimo to ruszyłaś za nią?

Pomyślałam, że muszę się nauczyć trzymać usta na kłódkę.

– Nie zapominaj o powodzie numer siedem. Jestem tak dobrym fighterem, że mógłbyś stać z boku i patrzeć, jak załatwiam sprawę.

– To nie oznacza, że jesteś niezwykła. – Jego oddech wprowadził w taniec kilka kosmyków na moim czole. – Będę chyba żałował do końca życia, że wymieniałem ten powód numer siedem, co?

– I prawdopodobnie przez część życia po życiu.

Parsknął śmiechem.

– Chodź. Teraz ja ci coś pokażę.

Zaprowadził mnie na górę, do pierwszego pokoju po lewej stronie.

Na materacu przesunął się jakiś kształt, ja zaś znieruchomiałam. Kto...

– Jacklyn – powiedziałam, niemal osuwając się z ulgi na podłogę. Znalaziono kolejnego zabójcę.

Nawet pogrążona we śnie, rozpoznała mnie, odwracając głowę w stronę mojego głosu. Pokiereszowaną twarz otaczały splątane włosy. Jedno oko było czarno-niebieskie i spuchnięte, wargę rozcięta pośrodku. Jej skóra, odznaczająca się zwykle zdrowym oliwkowym odcieniem, miała bladą barwę. Wyglądała okropnie, ale żyła. A to oznaczało, że wyzdrowieje.

– Gdzie Justin? – spytałam. Jej brat bliźniak nigdy nie przebywał daleko od siostry.

– Wciąż go nie ma.

Bolesny upadek. Z najwyższych wyżyn na najniższe niziny.

– Coley-poley! – zawołała jakaś dziewczyna.

Obróciłam się na pięcie i zobaczyłam, jak Juliana rzuca się w otwarte ramiona Cole'a. Jego twarz złagodniała, pojawiła się na niej niemal... czułość.

Wciąż nie byłam zazdrosna. Może. Miewał dziewczyny, a ja miewałam chłopaków, i nie było w tym nic romantycznego. Nic złego. Ale między tymi dwojgiem coś istniało.

Niezaprzeczalna więź.

Niezaprzeczalna więź, którą przede mną ukrywał. Dlaczego?

Kiedyś Veronica przechwalała się, że ma „asa w rękawie”, coś, co gwarantowało, że mój związek z Cole'em się rozpadnie. Wtedy nie zastanawiałam się nad tym szczególnie. As? Żarty. Teraz też mi się wydawało, że nie będę tego rozważać.

Przynajmniej Juliana miała za dużo lat, żeby być latoroślą Cole'a (tak, przyznaję się do tego. Moją pierwszą myślą było sekretne dziecko).

Oboje oddali się jakiejś szeptanej rozmowie, a ja wahałam się, czy w niej uczestniczyć. Nie chciałam im przeszkadzać, ale też nie podobało mi się, że stoję z boku.

Cole przesunął kłykciami po bliznach Juliany. Uśmiechnęła się, nie okazując w jego obecności nawet odrobiny zakłopotania. Wiedziała, że jest kochana i akceptowana – taka, jaka jest.

Ruszyłam w stronę łóżka, zamierzając usiąść przy Jacklyn. Cole był jednak świadom mojej obecności, nawet jeśli zdawał się całkowicie pochłonięty Julianą, bo przyciągnął mnie do siebie łagodnie. Jego ramię otoczyło mnie w talii, ja zaś przywarłam do niego mocno. Emanował większym niż zwykle żarem, który oplatał mnie swą siecią, niewoląc przy okazji. No, ale byłam uległym więźniem. Z radością wdychałam jego słodką woń – owocowych ciastek, które jadł, gdy nikt nie patrzył – i tuliłam się do niego, do chłopaka, który stał się moją tarczą osłaniającą przed resztą świata, schronieniem w burzy, ale też ostoją. Sprawiał, że myślałam trzeźwo i nie chodziłam z głową w chmurach.

– Poznałaś moją dziewczynę Ali? – zwrócił się do Juliany.

Słodycz przemieniła się z miejsca w kwaśność.

– Tak, miałam tę nieprzyjemność. Nie powinnam przypomnieć, że nie jesteś fanem blondynek? To znaczy ty i Gavin kosiliście populację brunetek, czyż nie? Co się stało? Przeszło wam? Gdzie się podziała wasza aktywność?

Okay. Rany.

– Zważaj na buzię – przestrzegł Cole z westchnieniem.

– Obiecuję – odparła Juliana, kiwając głową. – Mam tylko jedną.

Pogroził jej palcem.

– Nie powinnaś mówić o koszeniu. Nie musisz nawet o tym myśleć.

– Mam czternaście lat, nie jestem cholernym dzieckiem. – Wsparła dłonie na biodrach. – Wolałbyś, żebym posługiwała się słowem piep...

– Nie! – Cole wyswobodził mnie, żeby zakryć jej usta dłonią. – Nigdy.

Zamrugła, patrząc na niego niewinnie.

– Tak do twojej wiadomości, teraz jestem nastawiony wyłącznie na blondynki. – Musnął ją po nosie. – A ta blondynka to ktoś szczególny.

Juliana skrzywiła się.

– Nieważne. Jesteście denni – oznajmiła i oddaliła się, ale wcześniej spojrzała przez ramię i pokazała mi język.

– Naprawdę dojrzała. – Najwyraźniej dziewczyna durzyła się w Cole’u. A on najwyraźniej nie miał pojęcia, że zmierza to w kierunku romantycznym. – Czuję się przy niej tak, jakbym wzięła prysznic blasku słonecznego i tęczy.

– Nie martw się. Zalezie ci za skórę.

– Jak grzyb?

Uśmiechając się, chwycił mnie za szyję i przesunął kostkami dłoni po czubku głowy.

– Nie. Nie jak grzyb.

– Jak pleśń? – zachichotałam.

Puścił mnie, a ja się wyprostowałam. Ujął moją twarz, zaglądając mi w oczy, intensywność jego spojrzenia stłumiła we mnie wesołość i przypawiła o łaskotanie wnętrzości. Tęskniłam za nim. Tęskniłam za tym. Za nami.

– Dziękuję, Ali.

Zamrugalam zdziwiona, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Za co?

– Za to, że znalazłaś moich przyjaciół. Że ich tu sprowadziłaś.

– To także moi przyjaciele.

– Wiem, ale mogłaś tu wrócić, w bezpieczne miejsce. Przyznam, że mi nawet na tym zależało. Ale nie zrobiłaś tego. Przedłożyłaś moje potrzeby nad moje zachcianki, swoje potrzeby ponad swoje zachcianki, i nawet ponad swoje życie, a ja ci będę dozgonnie wdzięczny.

Położyłam dłonie na jego ramionach. Och, ten ciężar, który musiały stale dźwigać. Ale nie był sam, już nie.

– Na tym polega miłość. Na dawaniu.

Jego spojrzenie zatrzymało się na moich wargach.

– No cóż, ja też chcę ci coś dać... – Głos miał niski, chrapliwy. – Powód numer czternaście. Jesteś niesamowitą blondynką. Te włosy... Lubię owijać je sobie wokół palców.

– Tak? – spytałam bez tchu.

– O, tak. Lubię mieć cię pod kontrolą. – Ujął moją głowę i przechylił, tak jak chciał. – To jedyna chwila, kiedy robisz, co ci mówię.

Czysta dominacja wyrażona tym gestem wzbudziła we mnie podniecenie.

– Mogłabym powiedzieć to samo.

Na polu bitwy byliśmy twardzi jak zbroja. W walce nigdy się nie cofaliśmy. Ale gdy obejmowaliśmy się ramionami, mogliśmy dawać i brać, żądać i błagać... I czyniło to chwilę tym słodsza.

Jacklyn jęknęła, zwracając naszą uwagę i zakłócając moment zauroczenia.

Podeszłam do łóżka, opierając się pokusie, jaką stanowił Cole. Jacklyn jeszcze się nie obudziła. Prześladowały ją koszmary senne.

– Potrzebuje ognia – zauważyłam.

– To właśnie robiłem, kiedy się zjawiłaś.

Jego nieobecność nabrała teraz sensu.

– Jak ją znalazłeś?

– Nie znalazłem. Sama tu przyszła. Powiedziała, że do jej domu włamało się dwóch facetów i odurzyło Justina. Kiedy próbowała ich powstrzymać, żeby go nie zabrali, pchnęli ją. Poleciała przez cały pokój. Udała, że jest nieprzytomna jak jej brat, którego zawlekli do furgonetki. Odpaliła na krótko wóz sąsiada i pojechała za nimi.

– I? – przynagliłam.

– I zemdłała, zanim zdążyła opowiedzieć, co było dalej.

Do diabła.

– Jeśli wie, dokąd Anima zabrała Justina, możemy ruszyć i odbić go.

– I zniszczyć Animę raz na zawsze. – Przysunął się do mnie, ujął kosmyk moich włosów.

– Zaniepokoiłem się, kiedy nie weszłaś z pozostałymi na górę.

– I właśnie wtedy postanowiłaś zabawić się na całego w Animal Planet i mnie wytropić?

Skrzywił usta w kącikach.

– Zgadza się. Głodny lew i kulawa gazela.

– Żarty. To ty jesteś ranny.

– Już nie.

– Chcesz powiedzieć, że zniknęło zupełnie?

Podkscytowana, odciągnęłam kołnierzyk jego koszuli. Na piersi miał bandaż; biały, bez jednej plamki krwi. Podniosłam go, żeby spojrzeć na ranę, czy raczej dziecięce zadrapanie. Środek niemal się zasklepił, bez pomocy szwów, krawędzie różowe i podrażnione, nie zaś zaognione i obtarte.

– Ja... nie mogę wprost... Ogień działa tak szybko.

A gdybyśmy dotarli dostatecznie szybko do Lucasa, Triny i Cruza? Czy można było ich uratować, ocalić im życie?

O, wielkie nieba. Kochałam odpowiedź tak samo, jak jej nienawidziłam. Tak. Można było ich ocalić.

Wina... Tyle winy. Mroczny towarzysz słów „a gdyby”.

Dławiła mnie; czułam się jak ta, która pociągnęła za spust, jak ta, która ich wykończyła.

– Nie możemy patrzeć wstecz. Dotrzemy donikąd – oznajmił Cole zdławionym głosem.

Jego myśli biegły tą samą ścieżką co moje. – Możemy tylko iść do przodu, uczyć się na własnych błędach.

Jacklyn znowu zajęczała, oczy poruszały się szybko pod powiekami. Śpiąca królewna miała się niebawem obudzić.

Pocałowałam Cole'a szybko i mocno.

– Chcę porozmawiać z Jacklyn na osobności.

Zaatakowali ją mężczyźni; bałam się, że Cole ją wystraszy.

Mógł odmówić albo zadać tysiące pytań. Ale on tylko odparł: „W porządku”

i zrewanżował mi się takim samym szybkim i mocnym pocałunkiem. Wyszedł, zamykając za

sobą drzwi – a ja zostałam, niezdolna zapanować nad drżeniem.

Zawsze miał działać na mnie tak bardzo?

Usiadłam na brzegu łóżka i poklepałam Jacklyn po dłoni. Jej skóra była lepka i zimna.

– Jesteś już bezpieczna. Nie pozwolę zrobić ci krzywdy.

Sapiąc, usiadła gwałtownie. Jej zdrowe oko, szeroko otwarte, spoglądało dziko; z trudem łapała oddech.

– Jesteś już bezpieczna – powtórzyłam. – Dotarłaś do domu pana Ankha.

– Ankha – powtórzyła, opadając z powrotem na łóżko. Jej twarz wykrzywił straszliwy ból. – Justin.

– Gdzie on jest, Jacklyn? Wiesz, dokąd zabrali go ci mężczyźni?

– Justin – powiedziała znowu, potem przekręciła się na bok i załkała. – Nie mogłam go ocalić. Próbowałam, ale nie mogłam walczyć z dwoma naraz, więc zaczekałam, aż zabiorą Justina, i ruszyłam za nimi. Skrzywdzą go. Tak bardzo skrzywdzą. Chcę, żeby był bezpieczny, Ali. Chcę, żeby był bezpieczny.

– Wiem. – Odsunęłam włosy z jej wilgotnego czoła. – Wiem. Dlatego musisz się uspokoić i pomyśleć. Rozmawiaj ze mną. Powiedz mi resztę.

Wzięła mnie za rękę.

– Ukradłam samochód sąsiada. Nasz został unieruchomiony. Wytropiłam tę furgonetkę bez większego trudu i dotarłam w ślad za nią do jakiegoś magazynu, to mniej więcej godzina drogi od domu. – Wydukała adres. – Na zewnątrz nikogo nie było, ale w środku siedziało wielu ludzi, którzy mieli mnóstwo broni. Krążyłam wokół budynku, ale nie mogłam znaleźć Justina. Wiedziałam, że potrzebuję pomocy, więc pojechałam do domu Cole'a, zobaczyłam, jak wygląda, i poszłam do Ankha. – Spojrzała na mnie błagalnie. – Kto szuka Justina?

Jako ktoś, kto nie umie kłamać, odparłam:

– Nikt.

– Co?! Dlaczego...

– Straciłaś przytomność – wyjaśniłam. – Nie wiedzieliśmy, od czego zacząć.

– Jak długo tu jestem? – spytała skrzeczącym głosem.

Sądząc tylko po tym, jak długo mnie nie było...

– Około sześciu godzin.

– Nie! – Przerzuciła nogi przez krawędź łóżka. – Im dłużej tam jest, tym większą mają szansę... – Łzy ciekły jej po policzkach, kiedy wstała. Ugięły się pod nią kolana. – Muszę mu pomóc.

Chwyciłam ją, żeby mogła się na mnie oprzeć jak na lasce. Nie poprowadziłam jej do drzwi, tylko z powrotem do łóżka.

– Posłuchaj mnie. Nie nadajesz się do tego, żeby dokądkolwiek jechać. Zbiorę pozostałych zabójców, tych, którzy nie zostali postrzeleni, pchnięci nożem albo pobici, i wyruszymy do tego magazynu. Znajdziemy Justina. Masz moje słowo.

Nigdy nie składałam obietnic pochopnie. Wiedziałam, że albo to zrobię, albo umrę.

– Pójdę z tobą – powiedziała, ponownie próbując się podnieść.

Pchnęłam ją na materac. Łagodnie, lecz zdecydowanie.

– Będziesz nam tylko przeszkadzać. Wiesz o tym.

– Nie. Z każdą chwilą czuję się coraz lepiej – zapewniła.

Prawda? Czy przesada? Tak, jej twarz miała już zdrowszy odcień, opuchlizna na oku zeszała.

– Alicjo.

Od progu dobiegł słodki głos, a jednak nie słyszałam, by ktokolwiek otworzył drzwi.

Obróciłam się gwałtownie, serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Wreszcie! Zjawiała się moja ośmioletnia siostra Emma – czy raczej jej duch. Wynurzyła się z niemal oślepiającego strumienia światła, jej proste jak drut włosy związane były w dwa kucyki. Miała na sobie różowy trykot, różową spódniczkę i różowe baletki. Strój, w którym zginęła.

Chciałam podbiec do niej i uściskać ją, pragnęłam tego bardziej niż następnego oddechu, ale była duchem, a tak jak w przypadku zombi duch nie mógł zetknąć się z ciałem.

Mrugnęłam więc do niej.

Ciemne oczy, które odziedziczyła po naszej matce, popatrzyły na mnie błagalnie.

– Alicjo – powtórzyła, a właściwie jęknęła.

Coś się stało.

Uśmiech zniknął mi z twarzy.

– Ali? – spytała Jacklyn.

Nie widziała Emmy. Mogliśmy ją widzieć tylko ja i Cole. Dlatego, że byłam związana z siostrą, a on był związany ze mną. Tak to sobie tłumaczyłam.

– Zaczekam na korytarzu – wyszeptala i zniknęła.

Poczułam dreszcz niepokoju.

– Zostań tu – powiedziałam do Jacklyn. – Mówię poważnie. Mogę zająć się Justinem albo mogę się zająć tobą. Twój wybór.

Westchnęła.

– Justin.

– Będę cię informowała na bieżąco.

Praktycznie wybiegłam na korytarz sprintem. Na szczęście Emma była jedyną osobą w zasięgu mego wzroku, a drzwi wszystkich sypialni zamknięte.

– Tak się cieszę, że cię widzę. – Mówiłam szczerze. Nawet jeśli zjawiała się z niedobrymi wiadomościami.

Złączyła dłonie i rzekła:

– Słyszałam, co się stało. Zabito czworo twoich przyjaciół i...

– Czworo? – przerwałam jej i pokręciłam głową. – Tylko troje.

Wlepiała wzrok w swoje baletki.

– Nie. Czworo.

– Jesteś pewna?

Oczywiście, że była pewna. Czy pomyliła się kiedykolwiek? Zamknęłam oczy, chłonąc jej słowa. Kolejne utracone życie. Kolejny przyjaciel, którego nam odebrano.

Brakowało jeszcze tylko dwóch zabójców. Justina i Collinsa. Więc o którego chodziło?

Ogarnęła mnie niepowstrzymana chęć, by osunąć się na kolana i krzyknąć: „Koniec! Mam dość! Nigdy więcej!”, ale jakimś cudem znalazłam w sobie siłę, która pozwoliła mi pozostać na miejscu i zachować spokój, powstrzymując istną burzę łez. Zbyt wiele było do zrobienia. Poczynając od obietnicy złożonej Jacklyn.

Szufladkować.

– Anima planuje coś jeszcze – oznajmiła Emma. – Coś dużego.

Tak podejrzewałam, ale potwierdzenie moich obaw prawie mnie rozdarło.

– Wiesz, co to takiego?

Zagryzła wargę, pokręciła głową.

– Wiem tylko jedno: to, co wydarzyło się zeszłej nocy, stanowiło zaledwie początek.

MÓDL SIĘ ZA MNIE

Przekazałam Cole'owi wszystko, czego dowiedziałam się od Jacklyn, a jego reakcja przypominała moją. Szok, gniew, ból. Trudno było patrzeć, jak cierpi. Gorzej niż zmagać się z własnymi nieokiełznanymi emocjami.

Ciągnął się za włosy, jakby miał ochotę je sobie wyrwać, i krążył po mojej sypialni. Jego buty stuknęły o drewnianą podłogę, potem o chodniczek, potem znów o podłogę. Zatrzymał się przed ścianą, wydał zwierzęcy pomruk i wyrąbał pięścią dziurę w tynku.

Zrobił tak już kiedyś, tamtego dnia, kiedy zerwał ze mną. Targały nim zbyt silne emocje, by mógł nad nimi zapanować.

– Nie możemy stracić następnego człowieka, Ali. Po prostu nie możemy.

Przyszło mi do głowy to samo, ale w rzeczywistości musieliśmy zmagać się z tym, z czym musieliśmy się zmagać. Takie było życie.

– Jest szansa, że ich jeszcze zobaczymy – powiedziałam, mając nadzieję pocieszyć jego i siebie. – Są teraz świadkami, jak Emma.

Martwymi, ale wciąż obecnymi.

Wybił następną dziurę w ścianie, a potem stał w chmurze pyłu, oddychając ciężko.

– Cole – powiedziałam łagodnie. – Chodź tutaj.

Zbliżył się do łóżka i usiadł obok mnie. Był jak lew z cierniem w łapie; musiałam postępować bardzo ostrożnie.

Uniósł spojrzenie posępnych fioletowych oczu.

– Przypomnij mi, że żyję – poprosił.

Bez wahania usadowiłam mu się na udach i przywarłam kolanami do jego boków, a usta przycisnęłam do jego warg.

– Jesteś tu. Jesteś mój. A ja jestem twoja.

Otworzył usta, by mnie wpuścić, nasze języki zetknęły się gwałtownie. Nie był to łatwy pocałunek. Ani delikatny. Jednak pociecha nie zawsze szła w parze z delikatnością. Nie zmierzaliśmy powoli ku czemuś więcej. Było to twarde i szorstkie. Pożoga.

Uchwycił się mnie jak liny ratowniczej.

Właściwie nie. Nie była to prawda. Przywarliśmy do siebie nawzajem, napawając się tą chwilą, doznaniem, przyjemnością. Tracąc z oczu świat z jego bólem.

Obrócił się, nie wypuszczając mnie z objęć, i pchnął na materac; jego umięśniony ciężar przygniótł mnie, ale on sam nie obdarzył mnie następnym pocałunkiem. Uniósł głowę. Zaczął dyszeć jeszcze bardziej, nozdrza rozdymały się, ilekroć nabierał powietrza w płuca. Czoło pokrywała mu cienka warstewka potu. Oczy błyszczały napięciem.

– Mam dla ciebie prezent, Ali.

Chciałam wyrazić krzykiem protest – wiedziałam, że nie mówi o prezencie, którego naprawdę pragnęłam. O sobie. Wiedziałam, że jego umysł pracuje gorączkowo. Przerwał sesję pieszczot, nim osiągnęła punkt krytyczny, i nie miał zamiaru zaczynać od nowa. Nie krzyknęłam jednak. Nie chodziło o mnie, lecz o nas.

– Pokaż mi – wydusiłam z siebie.

Nachylił się, wsunął dłonie pod poduszkę i otarł się o mnie. Podstępne i niegodziwe

wrażenie, jakiego doznałam, przyprawiło mnie o szaleństwo.

Może jednak miałam ochotę krzyknąć.

Wyprostował się. Popatrzyliśmy sobie w oczy.

Zachowałam milczenie. Dobra Ali. Jednak oblizalam wargi, co było oznaką niegodziwej zachęty. Zła. Zła!

Przyglądał mi się w napięciu i pochylił – by zaraz się wyprostować. Z jego piersi dobył się pomruk.

– Stanowisz zbyt wielką pokusę.

Najwidoczniej nie dość wielką. Jęk, dąsy.

– To dla ciebie – wyrzucił z siebie te słowa jak pociski z broni.

Co było poniekąd zabawne, biorąc pod uwagę to, że naprawdę trzymał broń. W każdej dłoni ścisnął mały topór. Ciemny metal połyskiwał w świetle, ja zaś mogłam dostrzec słowa wyryte na ostrzach.

Usiadłam i ujęłam obie bronie, by przyjrzeć im się dokładniej.

Na jednej było napisane: „Nie ma miejsca dla ciemności, gdy świeci Światło”.

Okay. Naprawdę piękne.

Na drugiej: „Cole należy do Ali, teraz i zawsze”.

A to, no cóż, przewyższało wszelkie piękno.

– Och, Cole. – Napotkałam jego niepewne spojrzenie, a moje serce roztopiło się całkowicie i absolutnie.

– Kazałem je zrobić dla ciebie. Przesłano je tydzień temu. Czekałem na odpowiedni moment, żeby dać ci ten prezent.

– Ale... jak... Przecież twój dom...

– Były w plecaku.

W wążącym tonę plecaku, którego nie chciał zostawiać. W moich oczach zalśniły łzy.

– Dziękuję – wyszeptalam i przycisnęłam broń do piersi, nim ją odłożyłam. Potem objęłam go i uściskałam mocno.

Doprowadziło to do następnego pocałunku – tak! – i podejrzewam, że ten doprowadziłby do czegoś więcej, gdyby nie rozległo się pukanie. Nie potrafiłby się oprzeć, nie tym razem... Na pewno.

– Zebranie. Gabinet Ankha. Pięć minut! – zawołał Szron.

Wzdychając, Cole wziął mnie za rękę i pomógł wstać z łóżka.

– Tak jest pewnie lepiej.

– Nie dla mnie – mruknęłam.

Uśmiechnął się lekko.

Kiedy zmierzaliśmy w stronę drzwi, zaćwierkała moja komórka, dając znak, że przyszedł esemes. Sprawdziłam.

Babcia: „Jestem bezpieczna”.

Dzięki Bogu!

Ja: „Przepraszam za to, co ci zrobiłam, ale cieszę się, że nic ci nie grozi. Kocham cię”.

Babcia: „Jest ci wybaczone. Z tobą zrobiłabym to samo – uśpiła cię i odesłała – ale mnie uprzedziłaś. Skop kilka zombicznych tyłków, kochanie. Spoko!”.

Roześmiałam się. Babciny slang zawsze rozjaśniał mi dzień.

Druga wiadomość przyszła tuż po pierwszej.

„Tak przy okazji, zauważyłam twoje nowe tatuaże. Są cudowne. Ale chyba miałas zaczekać, aż będę mogła pójść z tobą”.

Byłam rozkojarzona i omal nie wpadłam na ścianę.

Kolejna piątka z plusem. Dla mnie.

Cole chwycił mnie za ramię i skierował we właściwą stronę.

– Dzięki.

– Zawsze do usług. – Odezwała się jego komórka. Też dostał esemesa. Spojrzał na ekran, rozpromienił się, potem skrzywił. – Tata mówi, że są bezpieczni, on i twoja babcia. I że wykorzysta kilka swoich kontaktów, żeby sprawdzić, czy ktoś coś wie o przyszłych planach Animy. I jeszcze jedno. To, że go tu nie ma, nie oznacza, że mogę jeździć na cielesnej karuzeli ze swoją dziewczyną.

Sapnęłam z wrażenia.

– Nie napisał tak.

Cole pokazał mi tekst.

Poczułam, jak palą mnie policzki.

Weszliśmy do gabinetu pana Ankha, gdzie siedzieli już pozostali. Pan Ankh wygłosił mowę na temat właściwego odżywiania się i odpoczynku. Musimy być silni. Rano, oznajmił, zastanowimy się nad strategią. Mówił też o czasie, jaki powinniśmy poświęcić na nasz indywidualny program nauczania i że zawsze powinniśmy przysyłać do szkoły prace domowe. Ta wojna nie oznacza, że jesteśmy zwolnieni z obowiązków.

Cole zrelacjonował, co widziała Jacklyn, nie wspominając o czwartej ofierze. Wiedziałałam dlaczego. Rozkojarzenie było główną przyczyną śmierci wśród zabójców. No cóż, także zombiczna toksyna, spiski Animy i brak prośby o pomoc, kiedy była potrzebna. To jednak nie miało związku z tematem.

Po krótkiej debacie postanowiliśmy – w możliwie najmiły sposób – pieprzyć plan pana Ankha, czyli „zaczekajmy do jutra”. Uzналиśmy, że trzeba najechać magazyn od razu. Czas nie był naszym przyjacielem, ale w przypadku Justina albo Collinsa mógł być najgorszym wrogiem.

Cole, Szron, Bronx, Veronica i ja uzbiliśmy się po zęby. Wzięłam swoje nowe, niesamowite topory! Gotowi i pełni chęci, usadowiliśmy się w SUV-ie pana Ankha (ten, który ukradliśmy... to znaczy, wypożyczyliśmy... został już dokładnie wytarty i usunięty).

Gdy Szron uruchamiał silnik, z domu wypadła Jacklyn.

Westchnęłam.

– Jadę – oznajmiła, zajmując jedyne wolne miejsce z tyłu i patrząc na mnie złym wzrokiem, który mówił: „Spróbuj mnie powstrzymać”.

Po co się przejmuję?

Wspaniale. Teraz przypominałam nieodparcie pana Ankha.

Kat, Reeve i Juliana patrzyły z podjazdu, jak ruszamy, a każda uosabiała coś innego. Kat: troskę. Reeve: determinację. Juliana, zabójca w trakcie szkolenia: gniew.

Zostawały, żeby pomóc panu Ankhowi przy Mackenzie i Gavinie. Tak im w każdym razie powiedziano. Tylko Juliana narzekała.

– Mogę pomóc. Jestem gotowa! – darła się.

Jakim cudem mogła być gotowa, skoro żywiłam głębokie przekonanie, że my sami nie jesteśmy gotowi?

*

Szron zaparkował w odludnej i zapuszczonej alejce, kilka przecznic od namierzonego celu. Wyszliśmy z wozu na światło dnia, ledwie świadomi zimnego powietrza, które nas owiewało. Wyglądaliśmy jak sześcioro normalnych nastolatków, których łatwo przeoczyć i zapomnieć. Nasze tożsamości kryły się pod kapturami, a kurtki maskowały broń.

– Rozdzielamy się i atakujemy magazyn z trzech stron – oznajmił Cole, przejmując

dowodzenie. Było to coś, co robił najlepiej. – Trzymajcie się parami. Jacklyn i Bronx, idziecie od północy. Szron i Veronica, idziecie od południa. Ali i ja idziemy od zachodu.

Wszyscy skinęli głowami, po czym się rozeszli.

Ja i Cole dotarliśmy do wylotu alejki i włączyliśmy się w strumień przechodniów. Wziął mnie za rękę – nasze palce się splotły – i utrzymywał niespieszny krok, żeby uniknąć niepotrzebnej uwagi. Magazyn stał pośród sklepów odzieżowych, restauracji i apartamentowców. Niektóre budynki były stare i zaniedbane, niektóre nowe – chrom migotał w słońcu.

Dlaczego Anima miała magazyn w tak widocznym miejscu?

Co się stanie, jeśli tam wejdziemy?

Najlepszy scenariusz: odwet.

Najgorszy: stracimy kolejnych zabójców.

Nie na mojej służbie.

– Dziś wieczorem zastosuję coś specjalnego – oświadczyłam i pomyślałam o „darze”, który przekazała mi kobieta. Co to było? Coś? Nic? W tej chwili przydałaby mi się każda przewaga.

– Nie ty jedna.

– Tak?

– O, tak.

Uśmiechnęłam się.

– Myśl o zniszczeniu Animy to dla mnie synonim szczęścia.

– Nie moje łóżko? Uznałaś, że na nic więcej mnie nie stać?

Dosłyszałam dąs w jego głosie?

– Nie jesteś zainteresowany, by iść na całość. Więc owszem, uznałam, że na nic więcej cię nie stać.

– Ali Bell. – Złapał się prawą dłonią za serce. – Naciskasz mnie, byśmy uprawiali seks?

– Tak!

Cmoknął.

– A myślałem, że i tak dobrze się ze mną bawisz. Chyba będziemy musieli częściej to robić.

O, wielkie nieba. Lepiej, żeby nie żartował. Już miałam mu odpowiedzieć – czy „Zacniemy dziś wieczorem” nie brzmiało zbyt natarczywie? – kiedy obrócił mnie w bok i przycisnął do ściany jakiegoś budynku.

Nagle czujna, spytałam:

– Co się dzieje?

– Widzę magazyn i potrzebuję chwili, żeby mu się przyjrzeć bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. – Nachylił się i musnął nosem mój policzek, tak przechylając głowę, by skupić wzrok na obiekcie naszego zainteresowania.

Napięcie mnie opuściło, nie potrafiłam opanować burzliwej reakcji na chłopaka, który stał przede mną. Zaczęłam czuć mrowienie, płonąć. Zignoruj to! Skup się!

– Nie widzę żadnych kamer – powiedział. – Ani cieni w oknach, wskazujących na czyjąś obecność. – Urwał. Jak mógł być tak spokojny? – Na drzwiach jest tabliczka „Do wynajęcia”.

– Może wykorzystują ten budynek tylko do ataków, ale tak naprawdę nie należy do nich?

– Istnieje jeden sposób, żeby się przekonać. – Wyprostował się, ciągnąc mnie ku zachodniej stronie magazynu.

Dotarliśmy do drzwi garażu zabezpieczonych wielką metalową kłódką. Uważna obserwacja potwierdziła, że nikt od strony ulicy nie patrzy na nas. Pogrzebałam w torbie na ramieniu i znalazłam małe szczypce przegubowe, którymi przecięłam kłódkę na pół. Metal spadł

i zabręczał o betonowe podłoże.

– Nieźle – pochwalił Cole.

– Włamania to moja nowa umiejętność. Dzięki Szronowi.

Zamieniłam szczypcę na topory i skinęłam głową, dając Cole'owi znak, że jestem gotowa. Chwycił swoją minikuszę, a drugą ręką uniósł bramę garażu; rolki zaczęły się obracać i skrzypieć, obwieszczając naszą obecność. Serce waliło mi o żebra szybkim, nierównym rytmem. Gdy do środka budynku wdarło się światło dnia, dobywając z mroku niewielki zakurzony korytarz, nikt nie zażądał od nas wyjaśnień, co robimy. Panowała tylko niesamowita, koszmarna cisza.

Weszłam głębiej, woń starych miedziaków sprawiła, że się skuliłam.

Krew.

– Nikogo tu nie ma. – Cole wyciągnął rękę i przekreślił kontakt na ścianie.

Cały budynek zaalało światło, niczego nie ujawniając. Nie było żadnego sprzętu.

Samochodów. Ludzi. Niczego... Nawet krwi. Jediną osobliwość stanowił wzniesienie piasku na podłodze.

Budziło to rozczarowanie. I przyprawiało o dreszcz.

– Nie rozumiem – powiedziałam.

Z parapetu okiennego zeskoczył Szron ze sztyltem w dłoni, tuż za nim ukazała się Veronica, trzymając w rękach dwa krótkie miecze. Przez drzwi frontowe wpadli do środka Bronx i Jacklyn. On dzierżył pałkę policyjną, ona pistolet SIG Sauer.

– Nie – oznajmiła Jacklyn, kręcąc głową. Obracała się, chłonąc wzrokiem otoczenie. – Coś tu jest nie tak. Nie opróżniliby tak szybko tego miejsca. Tu były samochody, półki, pudła.

– Może pomyliłaś adres – zasugerował Szron.

– Nie! – Tupnęła wściekle, a podłoga wydała dziwny brzęk. – Nie.

– Nie byłaś do końca przytomna – przypomniała jej Veronica. – Może...

– Nie, ja...

– Bądźcie cicho – nakazałam, robiąc kilka kroków.

Zatrzymałam się przed Jacklyn i odsunęłam ją delikatnie na bok. Tupnęłam, raz, drugi, i usłyszałam ten sam dźwięk. Brzdęk, brzdęk. Poczułam nawet lekką wibrację.

Właz. Nie inaczej.

Osunęłam się na kolana, odgarniając gorączkowo piasek i szukając uchwytu.

– Co cię tak podnieciło? – spytał Szron, kucając przy mnie, żeby popatrzeć.

– Cole – powiedziałam. Potrzebowałam jego pomocy.

– No przecież wiem, że nie on cię w tej chwili tak podniecił – zastrzegł Szron.

Cole usadowił się przy mnie i zaczął odgarniać piasek zamaszystymi ruchami ramion.

– Sięgnij głębiej.

Sięgnęłam. Pozostali przyłączyli się do mnie. Coraz więcej piasku lądowało z boku. Po chwili to zobaczyłam. Małą dziurkę wielkości palca. Poczułam jednocześnie ekscytację, przerażenie i nadzieję.

Wszyscy zebrali się wokół.

– Powód numer piętnaście. Nieustraszona – powiedział Cole, uśmiechając się do mnie szeroko. – Otwórz to i cofnij się.

Zauważyłam nagle, że celuje we mnie pięć różnych sztuk broni. Celuje we właz, ściślej mówiąc. Przypadkowo znalazłam się na linii ognia.

Co zamierzaliśmy znaleźć? Po raz drugi w tym tygodniu poczułam się jak Alicja w krainie czarów, gotowa wpaść w dziurę i zmuszona przeżyć nową przygodę. Przelknęłam z wysiłkiem. Drżała mi dłoń, kiedy wsunęłam palec w otwór i spróbowałam unieść właz. Omal

nie naciągnęłam sobie mięśnia, ale kłapa ani drgnęła.

– Przesuń to – zasugerował Bronx tonem pełnym napięcia, jakby starał się powstrzymać śmiech.

Popatrzyłam na niego ze złością. Potem pchnęłam i rzeczywiście, wieko odsunęło się na bok. Wykonałam salto w tył, ale z dziury nic nie wyskoczyło, żeby mnie złapać.

– Widzę schody – oznajmił Bronx.

Woń starych miedziaków nasiliła się. Jeszcze bardziej. I usłyszałam kilka wyraźnych dźwięków. Grzechot łańcuchów. Szuranie stóp. Jęki niepowstrzymanego głodu.

Wymieniliśmy z Cole'em pełne zdumienia spojrzenie. Zombi.

Uniósł kuszę, nieznaczny zapach wosku do cięciwy mieszał się z narastającym smrodem rozkładu. Przejmując dowodzenie, zaczął schodzić na dół. Zająłam pozycję tuż za nim, pozostali trzymali się blisko mnie. Ze ściany zwieszały się małe lampki, ale było ich niewiele i znajdowały się w dużych odstępach; nie świeciły zbyt intensywnie, więc towarzyszyła nam przytłumiona iluminacja.

Cole przystanął nagle. Poczułam, jak bije z niego napięcie.

Spojrzałam mu przez ramię i zobaczyłam...

Collinsa.

Stłumiłam żalony krzyk. Nikt nie musiał słyszeć, jak tracę panowanie nad sobą. Collins zawsze golił sobie głowę, ja zaś widziałam duże rozcięcie na czubku jego czaszki. Siedział oparty plecami o ścianę, oczy miał otwarte, lecz puste. Smugi krwi znaczyły jego twarz i pierś – pierś, która nie unosiła się i nie opadała, pozostawała nieruchoma, tak bardzo nieruchoma.

W rękach i nogach widać było sterzące kości, ja zaś się zastanawiałam, czy nie został tu wrzucony żywy i cierpiący, a potem zapomniany.

Nie powstrzymałam dostatecznie szybko następnego krzyku.

Zza moich pleców dobiegł chór pytań: „Co się stało?”

Przecisnęłam się obok Cole'a i uklękłam przed Collinsem. Poklepałam go po twarzy. Nie zamrugał, nie drgnął. Zdesperowana, trzepnęłam go w policzek.

– Nie! – rzucił ktoś zdławionym, chrapliwym głosem. – Nie!

– Tylko nie Collins.

– Nie... nie mogę...

– Powiedzcie, że nic mu nie jest!

Przywarłam czołem do jego czoła i zaczęłam na ślepo wymacywać puls w jego szyi.

Minęła minuta, a ja czekałam, żywiłam nadzieję, modliłam się; to była najdłuższa minuta mojego życia. Życia każdego z nas. Ale... nic. Nie poczułam ani jednego uderzenia.

– On... nie żyje. – No tak. Powiedziałam to. Urzeczywistniłam. W moich oczach wezbrały piekące łzy. – Ale może wystarczy trochę ognia, żeby postawić go na nogi. – Nie wiedzieliśmy wszystkiego, co ogień jest zdolny uczynić. – Połóżmy na nim dłonie.

– Ali – powiedział chrapliwie Cole.

Podniosłam wzrok. W jego spojrzeniu wyczytałam udrękę, żal, nienawiść. Zwierciadło moich oczu.

– Musimy spróbować.

I spróbowaliśmy. Każde z nas. Wszyscy jednocześnie. Bez jakiegokolwiek rezultatu.

Uderzyłam go w pierś, raz, dwa razy, emocje, których doznawałam, nabierały z każdą chwilą natężenia, dzikości. Cole przycisnął mi ręce do boków.

– Dosyć, kochanie.

Ale... Ale to nie było fair!

– Nie możemy...

Grzechot łańcuchów nasilił się; jęki głodu stały się bardziej niecierpliwe.

– Musimy zająć się zombi – powiedział.

Roześmiałam się gorzko. Czy Anima sporządziła listę tortur, jakim chciała nas poddać, nimby nas wykończyła? „Zabić po kolei ich przyjaciół. Skonfrontować ich z zombi, kiedy oplakują swych towarzyszy”.

Co ci ludzie zrobiliby w następnej kolejności?

Nie. Było lepsze pytanie. Co ja zrobiłabym w następnej kolejności? Wciąż uczestniczyłam w tej grze, wciąż stanowiłam siłę, z którą należy się liczyć – wciąż mogłam dokonać spustoszeń w ich szeregach. Wyprostowałam się, ujmując topory.

Cole pokonał pozostałe stopnie, w jednym ręku ścisnął czterdziestkęczwórki, w drugim sztylet. Reszta trzymała się tuż za nim, nasza determinacja była namacalną siłą. Tego dnia nie istniała alternatywa: zabić albo zostać zabitym. Wybór sprowadzał się do jednego: ZABIĆ.

Dotarliśmy na dół i pokonaliśmy narożnik. I oto byli, przedstawiciele większego wroga. Dokonałam inwentaryzacji. Obserwowało nas co najmniej sto par krwawoczerwonych oczu. Każdy zombi odznaczał się zapadniętą, cienką jak papier skórą, bardziej szarą, niż kiedykolwiek widziałam. Żadna z tych istot nie mogła pochwalić się bujnymi włosami, a nieliczne miały na głowach kilka strąków. Były zatem starsze. Silniejsze.

Czas schwytać w siatkę kilka motyli.

Zaparłam się mocno nogami o podłogę i przygotowałam do separacji dwóch połówek samej siebie – do zmiany w totalnie szalonego kapelusznika. Zombi ruszyły w moją stronę... i zatrzymały się w odległości kilkudziesięciu centymetrów, jakby natrafiły na niewidzialną ścianę.

W moim umyśle wirowały pytania, kiedy się rozglądałam po pomieszczeniu. Niby dlaczego... Ach. Dlatego. Podczas gdy zabójcy wykorzystywali chemikalia – Linie Krwi – dzięki którym nieożywione obiekty nabierały fizyczności w świecie duchowym, a tym samym zombi nie mogły wkraczać do domów ani naruszać konkretnego terenu, Anima stosowała impulsy elektryczne. Nędzna imitacja, ale jednak imitacja. Po obu stronach znajdowały się skrzynki, pośrodku każdej jarzyła się mała czerwona kropka.

Zyskaliśmy chwilę, by złapać oddech i rozważyć najlepszy sposób działania.

– Nie obchodzą mnie te impulsy – warknął Bronx. – Zamierzam wybić zombi co do jednego.

– Nie mamy czasu na twoją rzeź – oznajmiła Jacklyn. – Tam jest Justin. Potrzebuje naszej pomocy.

– Nie możemy zostawić tu zombi. – Cole poruszył ramionami. Był najczystsza agresją, która czeka na uwolnienie. – Wiesz o tym.

Wszyscy wiedzieliśmy. Anima użyłaby tych stworów przeciwko nam, tyle że później.

– Impulsy osłabną, a zombi uciekną i zabiją niewinnych, przysparzając nam jeszcze więcej wrogów – dodał.

Podczas gdy Z. preferowały zabójców – smakowaliśmy im bardziej, jak sądzę – nie gardziły też zwykłym obywatelem, zwłaszcza jeśli głodowały. A te zdecydowanie głodowały.

– Moglibyśmy zakreślić Linie Krwi przed drzwiami, ale niewykluczone, że ktoś się zjawi i ją usunie.

– Zdarza się. – Szron patrzył na zombi i oblizywał wargi, jakby smakując już ich ponowną śmierć.

– Nie wygłupiaj się. Nie ma tu dość miejsca, żebyśmy mogli zrobić to, co musimy, by wygrać – powiedziała Veronica.

– Możemy wyrównać szanse. – Cole odbezpieczył swoją broń.

Zombi drapały pazurami i kopały niewidzialną ścianę. Musiały być zszokowane, bo pierwszy ich szereg cofnął się tylko po to, by drugi ruszył do przodu i zrobił to samo. Ten schemat się powtarzał, ale jedno było niezmiennie. Czarna ślina ściekająca z ich ust. Wyczuwały posiłek i nie zamierzały odpocząć, dopóki go nie dopadną.

Bum, bum, bum. Cole strzelał w tłum Z., one zaś padały jeden po drugim.

– Dosyć gadania. Do roboty.

Postrzeliliśmy i zraniliśmy tyłu, ilu nam się udało, aż zabrakło amunicji. Wciąż jednak spoglądały na nas czerwone oczy. Zbyt wiele oczu.

Jacklyn pokręciła głową, gdzieś w jej mózgu odezwały się mroczne wspomnienia.

– Nie mogę... ból...

Nie wiedziałam dokładnie, co Anima jej robiła przez te wszystkie miesiące uwięzienia, ale po tym, co sama przeszłam, zdawałam sobie sprawę, że było to koszmarnie. Od czasu naszej ucieczki barykadowała się w domu, okazując lęk przed światem.

– Nie musisz walczyć – powiedziałam. – Możesz wrócić na górę i poczekać.

Moje słowa nie docierały do niej; błędziła myślami gdzieś bardzo daleko.

Zwróciłam się do Szrona.

– Nie może tu zostać. Może ją stąd zabierzesz? I nakreślisz Linie Krwi pod drzwiami?

W ten sposób zombi nie mogłyby opuścić pomieszczenia i jej dorwać. Z drugiej strony nie moglibyśmy się też wydostać stąd w postaci duchowej.

– Robi się. – Przystąpił bezzwłocznie do działania.

Gdy tylko wrócił, powiedziałam:

– Rozpalę się, a wy zajmijcie się rzucaniem zombi w moją stronę.

Mogliśmy ranić kulami i dźgać potwory, nawet obcinać im głowy, obezwładniając je chwilowo, ale nie powodowało to ich śmierci, jak dowodziła nasza wcześniejsza kanonada. Musieliśmy je spopielić.

Cole napotkał moje spojrzenie.

– Będę blisko ciebie.

– Wiem.

– Jeśli twój ogień zamrze...

Co już się zdarzało. Wielokrotnie.

– Nie martw się. Wciąż wiem, jak walczyć.

– Oczywiście, że tak. Sam cię uczyłem.

Arogancka sexy bestia.

– Zróbmy to. – Szron opuścił swą doczesną powłokę.

Pozostali poszli w jego ślady. Cud, który przyoblekł się w ciało, czy raczej w ducha.

Jedna wersja moich przyjaciół zamigotała; druga zastygła, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

Wspięłam się na palce i pocałowałam Cole'a.

– Kocham cię. Lepiej wyjdź z tego żywy.

– Wyjdę. Wszyscy wyjdziemy.

Ufając mu, rozwaliłam kopniakiem jedną ze skrzynek.

WOJNA I POKRÓJ (NA KAWAŁKI)

Zombi ruszyły en masse; makabryczny, przerażający widok.

Pojawiła się prawdziwa ja, zostawiając za sobą ciało i krew, skorupę, którą zombi ignorowały. Nie obchodziły ich dosłowne mózgi i dosłowne mięso. Pragnęły tego, co dobre. Mojej esencji. Źródła mojego każdego oddechu. Mojego ducha.

No cóż, nie zamierzałam im tego dawać.

Duch nosił i dźwigał wszystko, co nosiło i dźwigało ciało, więc byłam obwieszona bronią. Nie zważałam na zimniejsze powietrze, przerażające odgłosy – teraz głośniejsze – jaśniejsze światła, ostrzejsze zapachy. I cięłam w pierś zombi.

Odwróciłam się. Rąbnęłam w głowę jakiegoś Z. Odwróciłam się. Poderżnęłam gardło innego. Odwróciłam się. Moje ostrze przebiło usta następnego. Wyciekła czarna maź i zachlapała mi dłonie, paląc do żywego. Na ból też nie zważałam. Musiałam pozostawać w bezustannym ruchu, gdy monstra otaczały mnie i napierały – bo w przeciwnym razie...

Machnęłam toporami i odgięłam się do tyłu, żeby uniknąć kłapiących zębów, potem wyprostowałam się, żeby ciąć sprawcę w krtań. Padł na podłogę, ale już bez głowy. Wyciągały się ku mnie ręce – usuwałam je. Kłapały na mnie zęby – waliłam w szczęki, zamieniając i tak już rozpadającą się emalię w proszek. Potem unicestwiłam jednego ze stworów za sprawą metalu zagłębionego w mózg.

Przeklinałam niezdolność do odpowiedniego działania. Musiałam koniecznie zapłonąć. Teraz, teraz, teraz. Mój ogień to jedyna nadzieja na zwycięstwo. Jedno stawało się jasne: nie dana mi była choć jedna chwila spokoju.

Działaj w miarę możliwości.

Zapłoń, rozkazałam w chwili, gdy cięłam kolejnego zombi. Zapłoń...

Jeden ze stworów zatopił dłoń w moich włosach i szarpnął. Poczułam ostry ból w czaszce, ale zignorowałam go jak wszystko inne i schyliłam się, wykonując obrót i tnąc przeciwnika w brzuch. Podłoga zrobiła się śliska od zgnitych wnętrzności, które na nią spłynęły.

Spokojnie.

Ponieważ rozdzielał nas tłum zombi, Cole musiał wyrąbać sobie drogę, żeby do mnie dotrzeć. Rysy miał napięte, a ja podejrzewałam, że jego rana, choć zabliźniona na zewnątrz, wewnątrz wciąż była wrażliwa i delikatna. Ale parł do przodu, chroniąc mnie tu i teraz, później zaś innych.

Szron przebijał się przez wrogów u boku Cole'a, obaj tworzyli przede mną ścianę mięśni. I Bronx, druga ściana. I Veronica. Nagle znalazłam się w ich kręgu. Ci zabójcy, moi przyjaciele, zapewnili mi chwilę spokoju.

Znieruchomiałam, zamknęłam oczy. Odetchnęłam głęboko. Powiedziałam sobie, że mogę to zrobić, wzmacniając swą wiarę.

Wyprostowałam palce, zakrzywiłam je. Mogę zapłonąć... teraz!

Nic się jednak nie wydarzyło. Ani odrobiny żaru.

No dalej. Zapłoń!

I znowu nic.

Zmartwienie przenikało we mnie, próbując mnie złamać. To mógł być ten jeden raz, gdy

moja zdolność mnie zawiodła. Moi przyjaciele zginęliby i byłaby to moja wina.

Zamknij się, zdołowana Ali!

Odwołałam się z całych sił do swej wiary, wiedząc, że muszę żywić niezachwiane przekonanie, iż dam radę to zrobić, wbrew odczuciom, wbrew okolicznościom, wbrew temu, co się działo – albo nie działo – nim zrobiłabym to naprawdę. Bo tak działa wiara. Gdyby wszystko przebiegało łatwo, nigdy nie poddawałabym się próbom i nie ćwiczyła, nigdy nie stałabym się silniejsza.

Jak na siłowni. Z początku moje mizerne kończyny mogły podnosić jedynie dziecięce ciężary. Im dłużej trenowałam, tym mocniejsza się stawałam. Im dłużej wytrwałabym teraz, tym gorętszy i jaśniejszy byłby mój ogień, zjawiwszy się w końcu.

I zjawiłby się w końcu.

– Możesz to zrobić – przynaglił mnie Cole.

Uniosłam powieki, gdy złamał kark jakiemuś zombi.

– Dasz radę, Ali. – Szron przejechał swoim mieczem po tułowiu drugiego.

Tak, tak, pomyślałam, przypomniawszy sobie, że orężem w tej chwili są słowa.

Cokolwiek zabójca mówił w duchowej postaci, w tym świecie, spełniało się.

No cóż... dopóki w to wierzył.

Dzięki Bogu inni wierzyli w to, co mówią; poczułam w sobie ostrze siły.

Zamknęłam oczy, skoncentrowałam się. Zapłon.

– Możesz to zrobić – powiedziała Veronica.

– To? – rzucił Bronx. – To dla Ali Bell drobnostka.

Ich wiara szczepiła się z moją, oplotła mnie, ochroniła przed jakimkolwiek zmartwieniem. Zapłoniesz, Ali Bell! Natychmiast... teraz!

Na koniuszkach moich palców ożyły płomienie, rozlewając się szybko na nadgarstki, łokcie i ramiona.

Czas na skopanie tyłków w starym dobrym stylu.

Pławiłam się teraz w ogniu, który sięgał wyżej, niżej, wszędzie... i skupiłam się na walce.

Ale... jak... W ciągu dosłownie kilku sekund wszystko się zmieniło. Jeden z zombi przygwoździł Veronicę do podłogi i teraz wgryzał się w jej szyję. Bronx próbował zważyć z niej stworę, ale ten był jak pies, który dorwał kość, zatapiał zęby coraz głębiej, potrząsając wściekle głową. W końcu jednak Bronxowi się udało, ale miejsce pokonanego zajęło szybko trzech innych. Walczył, czwarty wskoczył mu na plecy, powalając go na podłogę w płataninie kończyn.

Podbiegłam i zaczęłam dotykać stworów koniuszkami palców. Natychmiastowy popiół. Jednak to małe zwycięstwo nie było tak słodkie, jak się wydawało. Veronica i Bronx wypadli z gry, pokonani przez toksynę. Wili się z bólu.

Ich też dotknęłam, oboje krzyknęli. Więcej cierpienia sprawiało wypalenie zła niż zaleczenie rany, ale trzeba było to zrobić.

Szron doskoczył do nich, pragnąc pomóc, ale pojawiła się horda zombi, jakby znikąd, a on zderzył się z nią i poleciał do tyłu. Jakaś para stworów rzuciła się na niego, nim zdążył odzyskać równowagę, i przygwoździła go do podłogi; po chwili dopadła go cała grupa, gryząc zjadle.

I znów ruszyłam, i przesuwając palcami po stworach. I znów zamieniały się w popiół, i znów zobaczyłam jednego ze swoich przyjaciół wijącego się na ziemi.

Dotknęłam go; krzyknął, tak jak Veronica i Bronx. Tyle że nie omieszkał mnie przekląć przy okazji.

Wiedziałam, że później mi podziękuję.

– Tam – zajączkał Bronx, wskazując grupę zombi, które zalegały stosem w kącie.

Podbiegłam do nich. Palce, palce. Popiół, popiół. Palce, palce. Popiół, popiół! Jacklyn! Wróciła, żeby nam pomóc, i została pokonana. Nie ruszała się. Kiedy przycisnęłam dłoń do jej piersi, zza moich pleców dobiegło warczenie. Odwróciłam się błyskawicznie. Ruszył na mnie zombi żeńskiego rodzaju, gotów do posiłku. Uderzyłam go, a on się spopielił.

Gdzie był Cole? Rozejrzałam się po pomieszczeniu... Tam! Na drugim końcu. Nie miał żadnych śladów ugryzień i stał pewnie na nogach, dobrze, dobrze, ale jego ruchy były powolne, ospałe.

W jego policzek wgryzł się jakiś zombi. Pobiegłam tam, gotowa pomóc. Albo próbowałam pobiec. Na mojej drodze stanęły inne potwory.

Za jego plecami podkładał się jeszcze jeden.

– Cole! – krzyknęłam.

Błąd.

Spojrzał w moją stronę, zapominając o tym, co działo się przed nim.

Wiedziałam, że nie dotrę do niego na czas. Zombi zdążył chwycić go za rękę, pochylić głowę i obnażyć zęby, gotów ucztować na jego duchu.

– Nie! – Wyciągnęłam rękę, chcąc, by potwór ugryzł mnie, nie jego. Jednak, do diabła, nie znajdowałam się dostatecznie blisko, by spełnić swój zamiar.

Potem dystans przestał mieć znaczenie. Wystrzelił ze mnie jakby piorun zelektryfikowanej mocy, a w powietrzu rzeczywiście zaczęły trzaskać maleńkie błyskawice.

Wszystkie zombi w pomieszczeniu nagle znalazły się w górze i... pozostały tam.

Co się stało, u licha? Jak? Potknęłam się o własne stopy i upadłam na kolana. Dysząc, zszokowana, zerwałam się na równe nogi i obróciłam wokół własnej osi. Zabójcy wciąż leżeli na ziemi, a zombi wciąż unosiły się nad nami.

Niemożliwe.

Oszołomiona, pokonałam w końcu odległość dzielącą mnie od Cole'a i chwyciłam go za rękę. Mój ogień przeniknął jego ubranie i skórę i dokonał uleczenia w jego wnętrzu. Odetchnął z sykiem, padając ciężko, ale nie trwało to długo. Dźwignął się z podłogi, po skroniach spływał mu pot, kiedy popatrzył na zombi, potem na mnie, potem znów na zombi, próbując zapewne pojąć to, co widzi.

Powodzenia. Mnie się to jeszcze nie udało.

– Ulecz wszystkich zabójców, którzy potrzebują ognia. – Nie miałam pojęcia, jak długo Z. będą zawieszane w powietrzu. – A ja zabiję tych popaprańców.

Ale... jak? Nie mogłam ich dosięgnąć.

Kiedy spieszył do naszych przyjaciół, zombi próbowały go kopnąć, ale nie dosięgały. Znajdowały się zbyt wysoko. Dotknął ręki Jacklyn swoją dłonią pogrążoną w ogniu i pomógł jej wstać. Syknęła, tak jak on, ale nie upadła.

Odetchnąłam z ulgą. Wiedziałam, że dojdzie do siebie.

Potem, pewna, że Cole zajmie się też innymi, skupiłam uwagę na swoich przeciwnikach. Wyciągnęłam wciąż rozżarzone ręce w stronę najbliższego... i rozdziawiłam usta, kiedy pozostałe obróciły się w moją stronę.

Przetarłam oczy i całe gniazdo zombi runęło na podłogę, waląc się na zabójców, zbijając ich z nóg; w całym pomieszczeniu rozbrzmiały przekleństwa. Wyrzuciłam ręce w górę i horda stworów pofrunęła z powrotem ku sufitowi.

Poważnie! Co...? Jak...?

Potwory powtarzały ruchy moich rąk? Jakby ten piorun mocy, który odczułam, stworzył między nami pewną więź?

Sprawdzając tę teorię, wykręciłam nadgarstki. Zombi obróciły się, naśladując to, co

zrobiłam. Wykręciłam nadgarstki w przeciwną stronę. I znów – zombi się obrócili.

Istniała więź.

Czyżby kolejna umiejętność? Może. Prawdopodobnie. Kogo chciałam oszukać? Zdecydowanie kolejna umiejętność. Nigdy o czymś takim nie słyszałam, ale nie miało to większego znaczenia.

Odnotowałam sobie w pamięci, żeby zajrzeć do dziennika, który miałam w domu. Napisanego jakimś duchowym szyfrem przez jednego z moich przodków, też zabójcę. Dzięki własnej umiejętności znał sekrety ludzi naszego pokroju i ich talentów.

Poczułam, jak w ramionach narasta zmęczenie, narasta coraz bardziej, jak spływa do moich palców; nagle odniosłam wrażenie, że moje ręce ważą po pięćdziesiąt kilogramów. Dłonie zaczęły mi opadać coraz niżej, a zombi przesunęły się nieznacznie ku podłodze.

– Jeszcze nie! – krzyknął Cole, pomagając Veronice wstać.

Zacisnęłam zęby, skupiając uwagę na jednym potworze w szczególności. Pokiwałam na niego placem. Jeśli naprawdę sprawowałam kontrolę nad tymi istotami, to mogłam położyć kres ich męce – i własnej. Zamachał rękami, opierając się, ale rzeczywiście przybliżył się do mnie. Podekscytowana, podskoczyłam i dotknęłam go.

Zamienił się w chmurę popiołu – białego popiołu, który, wielkie nieba, był naprawdę piękny, kiedy tak połyskiwał, opadając.

Skąd taka zmiana?

Czy miało to naprawdę znaczenie? Jestem SuperAli.

Uśmiechnęłam się, a potem przeskakiwałam od jednego stwora do drugiego, dotykając, spopielaając, dotykając, spopielając. I czerpiąc z tego niebывалą radość.

W końcu nie pozostały żadne zombi.

Nie ma powodów do zmartwień.

Ogień w moich dłoniach zamarł, a zmęczone ręce opadły wzdłuż boków.

– Musisz uważać na tę umiejętność.

Ten głos mnie poraził. Nie powinien tu rozbrzmiewać, w tym pomieszczeniu.

Zaskoczona, obróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z tajemniczą blondynką.

– Ty – wysapałam. – Jak się tu dostałaś? Podążałaś za nami?

– Ali – usłyszałam Cole'a. Był wyraźnie zmieszany. – Zechcesz mi powiedzieć, z kim rozmawiasz?

– Z nią. – Wskazałam. – Z Sami.

– Ali – zwrócił się do mnie, tym razem łagodnie. – Tam nikogo nie ma.

Zaraz. Nie mógł jej zobaczyć? Ale... była tam. Wiedziałam, że jest.

Przypomniałam sobie, że nie widział też Ali Zombi, ilekroć oddzielała się ode mnie. Ale to nie była A.Z., duch zdolny maskować swoją obecność.

Tylko czy ta kobieta należała do świata duchów? Była świadkiem, jak Emma? To by z pewnością wyjaśniało, dlaczego kamery pana Ankha nie zarejestrowały jej postaci.

Cole jednak mógł widzieć Emmę. Dlaczego nie widział tej kobiety?

– Przekazałam ci moją zdolność dobywania strumieni mocy – oznajmiła.

Przekazała? Szukałam w głowie, nic nie znalazłam.

– Nie rozumiem.

– Dzielisz wizje z tym chłopcem, Cole'em. Potrafisz zapłonąć od czubka głowy aż do stóp. Jedno ugryzienie twego ducha i zombi odczuwają obrzydzenie.

Prawda. Prawda. Po trzecie prawda.

– I?

– I duch nie traci swych nadprzyrodzonych zdolności poprzez śmierć. Są ostatecznie

tworem ducha. Mogą się jednak przenosić. Co oznacza, że możesz przekazać swoje zdolności komuś innemu, a inni zabójcy mogą ci przekazywać swoje, ale tym, co dajesz, nie możesz się już więcej posługiwać.

Zatem... przekazała mi swoją zdolność, wiedząc, że sama nie będzie już w stanie jej wykorzystywać? Dlaczego?

– Zdolności można też kraść. Ale to lekcja na inny dzień. – Ściągnęła brwi. – Anima wie to wszystko. Dlaczego ty nie wiesz?

Dobre pytanie.

– Jak to robisz, Sami? To znaczy jak to przekazałaś? Dlaczego to zrobiłaś?

Przygarbiła ramiona, jakby spodziewając się ciosu.

– Nie mam na imię Sami. Jestem... – Spojrzenie jej jasnoniebieskich oczu musnęło Cole'a. – Helen.

– Helen – powtórzyłam i usłyszałam kilka pełnych przerażenia westchnień.

Przełknęła.

– To, co ci o mnie powiedzą...

– Nie martw się o nich. Skoncentruj się na mnie. Kto to Sami? – spytałam.

Za ramię chwyciła mnie twarda dłoń i nim się zorientowałam, co się dzieje, poczułam, że mnie odciągają. Moje dwie części złączyły się, wskakując na swoje miejsce; odetchnęłam chrapliwie, rozglądając się za Helen, ale już zniknęła.

Kim była? Dlaczego mi pomagała?

I robiła to. Pomagała mi. Najwyraźniej. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

Zabójcy ustawili się przede mną, jakby domagając się ode mnie pełnej uwagi.

Pokiereszowani i poranieni, przyglądali mi się, emanując wściekłością o różnym stopniu natężenia.

– Co? – spytałam ostro.

– Nie rozmawiaj z nią więcej. – Cole nachylił się do mnie, nasze nosy niemal się zetknęły. – Nie wiem, jakim cudem widzisz martwą kobietę, z którą nie masz powiązania, a ja jej nie widzę, ale jeśli jeszcze raz cię nawiedzi, odejź. Nie słuchaj jej. Nawet na nią nie patrz.

Zaraz.

– Więc ją znasz? – spytałam, zaskoczona intensywnością jego agresji.

– Słyszałem o niej – odwarknął. – Temat zamknięty.

Rany. Nigdy go jeszcze takim nie widziałam. Nie wtedy, kiedy był ze mną.

– Dlaczego?

– Temat zamknięty – powtórzył.

Doskonale. Chwilowo. Ale gdy tylko zostaniemy sami...

Szron przesunął dłonią po twarzy.

– Ostatnim razem, kiedy Ali wykazała się dziwną zdolnością, omal nas wszystkich nie pozabijała.

Dzięki za przypomnienie, palancie. Posłałam mu słodkiego buziaka.

– Ocaliła nas dzisiaj – oświadczyła Jacklyn. – Więc może dasz jej spokój, do diabła.

Obdarzyłam ją pełnym wdzięczności uśmiechem.

Szron podniósł dłonie.

– Nie skarżyłem się. Stwierdziłem tylko fakt.

Jasne.

– Czy ktoś został ugryziony, ale nie dotknięto go ogniem?

Wszyscy zabójcy zaprzeczyli.

Przez lata zabójcy musieli polegać na antidotum, które zwalczało Z-toksynę. Miało ono

zasadniczą wadę: przy dłuższym zażywaniu przestawało w końcu działać, co oznaczało, że musielibyśmy zaprzestać walki. Na-cholerne-zawsze.

W moim przypadku przestało działać.

Ogień ocalił mnie przed czymś więcej niż śmierć.

– W porządku – rzucił Cole. – Zabierajmy się stąd. – Wciąż przypominał przewód elektryczny pod napięciem. – Anima może tu wrócić, a my nie nadajemy się do walki.

Powinniśmy...

– Chwilę! Co z Justinem? – przerwała mu Jacklyn.

– Nie ma go tutaj – odparł Bronx, jego głos był boleśnie łagodny. – Pewnie go dokądś przenieśli.

– Nie. – Kręciła, kręciła, kręciła głową, włosy chłostały ją po policzkach. – Musi tu być.

Widziałam go.

Stałam przed nią i popatrzyłam jej niewzruszenie w oczy.

– Przypomnij sobie, co ci powiedziałam. Znajdziemy go. Nie spoczniemy, dopóki do nas nie wróci. – W taki czy inny sposób. – Ale potrzebujemy czasu, żeby dojść do siebie, bo w przeciwnym razie na nic mu się nie przydamy.

W jej oczach błysnęły łzy, ale skinęła głową.

Opuściliśmy magazyn i, niestety, zostawiliśmy Collinsa. Nie mogliśmy go wynieść z budynku, nie zwracając na siebie niepożądaną uwagę. Zamierzaliśmy jednak wjechać do środka SUV-em i zabrać go potem. Zapewnić mu odpowiedni pochówek.

Wiem, wiem. To było dalekie od ideału. Jego rodzina zasługiwała na to, by się z nim pożegnać.

Musieli się o tym dowiedzieć inaczej. Wezwanie gliniarzy nie wchodziło w rachubę. Może uwierzyliby, że znaleźliśmy go przypadkiem; a może nie. Zważywszy na to, że wszędzie zostawiliśmy odciski palców, nie wolno nam było ryzykować.

Kiedy dotarliśmy do alejki na tyłach, Bronx zaklął. Szron kopnął pojemnik na śmieci. Odpadki pofrunęły we wszystkie strony.

SUV pana Ankha zniknął. Ukradziony albo odprowadzony gdzieś przez niezależnego pracownika parkingu.

Przeszłe uczynki... Karma wkurzała.

Szron wymierzył śmietnikowi kolejnego wściekłego kopniaka.

– Kiedy dorwę tego pieprzonego skur...

– Mamy większe problemy – powiedziała Veronica, wskazując niebo. Słońce zachodziło pospiesznie, horyzont przypominał kalejdoskop ciemniejących nieubłagane kolorów.

Czy zombi miały wyjść tej nocy?

Jeśli nie nadawaliśmy się do walki z Animą, to tym bardziej nie nadawaliśmy się do następnej walki ze stworami. Nawet gdybym posłużyła się nową, niesamowitą umiejętnością krzesania mocy, którą otrzymałam od tajemniczej i niewątpliwie zniechęconej Helen. Nie byłam pewna, czy miałabym się jej użyć. Nie wiedziałam nawet, jakim sposobem w ogóle jej użyłam.

Poszukałam wzrokiem króliczej chmury... i odprężyłam się, dostrzegając jedynie bezkształtne kłęby bieli.

– Zadzwoń do Ankha – oznajmił Cole. – Przyśle po nas furgonetkę. Do tej pory będziemy spacerować jak porządni turyści i nie wystawiać się na cel. Potem zabierzemy Collinsa.

Otrzeźwiający przypomnienie.

Witajcie, świeższe.

Przynajmniej zagłuszały dźwięk mego złamanego serca.

– No dobra. – Spletliśmy palce. – Chodźmy.

Nasza grupa ruszyła po ulicy, każdy był zatopiony w swoich myślach, ogarnięty smutkiem wywołanym odejściem Collinsa. Na ulicy pojawiło się więcej samochodów niż wtedy, gdy się zjawiliśmy, i nawet więcej ludzi, ale przynajmniej mogliśmy się wmieszać w wieczorny tłum.

Rozpaczliwie spragniona chwili szczęścia, żałowałam, że nie jesteśmy po prostu na randce. Normalnej randce – naszej pierwszej.

Od chwili, gdy zostaliśmy parą, nigdy nie poszliśmy na kolację.

Tego się uczepiłam. Wszyscy nasi przyjaciele wciąż żyli. Czuliśmy się szczęśliwi. On był po prostu chłopcem, ja dziewczyną. Podobałam mu się, a on podobał się mnie, a martwiło nas jedynie to, jak daleko byśmy się posunęli, kiedy już dotarlibyśmy pod moje drzwi.

Odpowiedź: tak daleko, jak by na to pozwolił!

Hej! To była moja fantazja. Posunęlibyśmy się dalej.

Cole podniósł moją dłoń do ust i pocałował, przywołując mnie do teraźniejszości... do bólu. Pojęłam, że nigdy nie przywołam Lucasa, Triny, Cruza i Collinsa do życia.

– Przepraszam, że na ciebie warknąłem. Byłem zaskoczony.

Byłabym najgenialniejszym narzędziem na świecie, gdybym sprawiła, że błagałby o przebaczenie, zwłaszcza po tym, jak babcia i Kat okazały mi tak chętnie wyrozumiałość.

– Możesz mi to wynagrodzić, fundując masaż. Ale kim jest...

Pełne udreki fioletowe oczy musnęły moją postać, potem ich spojrzenie uciekło w bok.

– Nie wypowiadaj jej imienia. Proszę.

– Nie wypowiem. – Teraz jednak ciekawość przerodziła się w żywą istotę.

– Nie wiem nawet, czy kobieta, którą widziałas, to ta sama, o której myślę. Są tysiące ludzi o tym samym imieniu. Ale jeśli chodzi właśnie o nią, to nie możesz jej ufać. Po prostu nie możesz. Jest zła pod każdym względem. Najgorsza z najgorszych. Kłamczyni i zdrajczyni.

Okay. Czy to oznaczało, że była kiedyś zabójcą?

Czy Cole z nią pracował?

Prawdopodobnie nie. Powiedział, że o niej „słyszał”, nic więcej.

– Cokolwiek się wydarzyło w magazynie – dodał – rozgryziemy to. Jak zawsze.

Dlaczego jego nadzieja mi się nie udzieliła?

– A jeśli to coś złego? – Nie zdołałam stłumić drżenia w głosie. – Jak wtedy, gdy mieszkała we mnie moja zombiczna bliźniaczka?

Ścisnął mi rękę.

– Pytasz, czy zerwę z tobą?

– Tak.

Raz już to zrobił. A takiej rozpacz się nie zapomina.

– Dobrze mi tak – mruknął. – Odpowiedź brzmi: nie. Nigdy więcej. Z jakiegokolwiek powodu. Jesteś moją dziewczyną, Ali. To się nigdy nie zmieni. Nie istnieje nikt, kogo kiedykolwiek pragnęłam bardziej – i nigdy nie będzie istniał. Tak, jesteś moją dziewczyną, i zamierzam ci to udowadniać przez resztę życia.

Ta żarliwość, jaka z niego była...

Wierzyłam mu. I roztapiałam się.

– Czekałam z niecierpliwością.

– Powinnaś. Mam plany.

Poczułam gęsią skórkę.

– Plany, hej?

– O, tak. Przygotuj się na powody od szesnastego do dziewiętnastego.

Nim zdążyłam otworzyć usta – powiedz mi teraz! – przy boku Cole’a pojawił się Szron, dotrzymując mu kroku.

– Przykro mi przerywać tę grę wstępną, ale sądzę, że mamy ogon.

– Ilu? – spytał Cole, sztywniejac od razu.

– Tylko czworo. Trzech facetów, jedna dziewczyna.

Anima?

– Rozdzielimy się. – Cole odetchnął, wokół jego twarzy pojawiła się mgiełka. – Będzie im trudniej nas wytropić.

Kolejna pogoń. Wspaniale!

– Gdzie chcesz się spotkać? – spytał Szron.

Cole zastanawiał się przez chwilę.

– U Ankha. Już wiedzą, że tam przebywamy, i jeśli zajdą tak daleko, jego kamery zarejestrują ich twarze, a my będziemy mogli zidentyfikować tych ludzi.

Już otworzyłam usta, chcąc zaprotestować, ale natychmiast je zamknęłam. Miał rację. Potrzebowaliśmy identyfikacji.

– Podoba mi się, jak pracuje twój umysł – powiedziałam. Był równie sexy co cała reszta.

– Mnie też. Załatwione. Zobaczymy się później. – Szron został w tyle i wziął Veronicę za rękę. – Jesteś ze mną, Ron. I wiesz co. Zespół Szronver zamierza...

Nie usłyszałam dalszej części. Oddalali się już ulicą.

Cole skinął głową Bronxowi, który ujął dłoń Jacklyn. Oni także ruszyli w inną stronę.

Skoczyła mi adrenalina i po chwili, rzecz ciekawa, byłam gotowa na wszystko.

Niewykluczone, że właśnie ci ludzie zabili moich przyjaciół. Jeśli chcieli mnie ścigać, to proszę bardzo. Niech spróbują. Ale to nie skończy się dobrze – dla nich.

– Jesteś gotowa? – spytał Cole.

– Jestem, ale mogę cię zapewnić, że oni nie są.

TO TY, NIE JA

Tak nonszalancko, jak to tylko możliwe, Cole wprowadził mnie czym prędzej do jednego ze sklepów. Zadzwieczał dzwonek nad wejściem. Witajcie, stojaki z ubraniami. Witajcie, manekiny. Przyspieszyliśmy kroku i skoczyliśmy za ladę.

Kiedy sprzedawczyni krzyknęła: „Hej!”, ruszyliśmy w stronę napisu „Tylko dla personelu”. W małym wąskim korytarzu znajdowało się troje drzwi. Wybraliśmy te po prawej – barek dla pracowników – po czym skierowaliśmy się w stronę tylnego wyjścia, nad którym świecił napis „Wyjście”.

Przy stoliku siedziało dwoje ludzi ze sklepu. Jeden zerwał się na równe nogi i zmarszczył czoło.

– Klientom nie wolno tu wchodzić.

– No to dzięki Bogu, że nie jesteśmy klientami – rzuciłam, kiedy mijaliśmy ich biegiem.

Pchnęliśmy barkami drzwi, które się za nami zatrzasnęły, i pobiegliśmy zacienioną alejką; drzwi trzasnęły po raz drugi. Byliśmy ścigani. Dobrze. Spojrzałam przez ramię, oceniając przeciwników. Mężczyzna, w naszym wieku, z nożem, którego rękojeść wystawała zza paska skórzanych spodni. Kobieta, trochę starsza, trzymająca już broń w ręku. Oboje byli ubrani na czarno.

Anima chciała pewnie, by wyglądało, że robotę dokończyli członkowie jakiegoś gangu.

Zapłonął gniew. Przed nami ukazała się następna alejka. Pokonaliśmy narożnik na najwyższych obrotach, cały czas pozostając w cieniu budynków. Serce waliło mi o żebra, wojenny werbel, którego nie zamierzałam uciszać. Zabić... zabić... zabić...

– Może zdołałabym ich zatrzymać – rzuciłam.

Nowo odkryta zdolność budziła we mnie samej wątpliwości, ale chciałam, by nasi prześladowcy znaleźli się na mojej łasce, bym mogła robić z nimi, co mi się podoba. Cokolwiek, czego wymagałaby sytuacja.

„Musisz być ostrożna, jeśli chodzi o tę umiejętność” – powiedziała Helen.

Dlaczego? W tej chwili nie widziałam stron ujemnych.

– Tak jak zombi? – upewnił się Cole. – Może tak, może nie. Nie podniosłaś żadnych zabójców, więc nie jestem pewien, czy udałoby ci się to teraz z jakąkolwiek realną osobą. Poza tym jest tu za dużo świadków.

No tak, kiepsko. Musiał uosabiać zdrowy rozsądek, prawda?

Mogłam się domyślać, jak cywile zareagowaliby na widok ludzi rzuconych w powietrze za sprawą – cóż – powietrza. Wpadliby w panikę, nastąpiłby chaos. Co gorsza, Anima dowiedziałaby się, do czego jestem zdolna, i stracilibyśmy znaczną przewagę.

Chwilowo zaszufładkowałam swą nową zdolność w głębi umysłu pod hasłem: ulubiona zabawka. Dopisek: „Zombi bum, bum, lecą do góry. Ludzie? Nie jestem pewna”.

Cole jednym ruchem nadgarstka podniósł wieko kontenera na śmieci i przez sekundę myślałam, że naprawdę chce, żebym wgramoliła się do środka, ale on pociągnął mnie gwałtownie za następny narożnik i w końcu się zatrzymał, przyciskając mnie do ściany i osłaniając niczym tarcza. Jak zawsze. Usłyszałam dźwięk opadającego wieka i zrozumiałam, o co mu chodziło.

Oby poskutkowało.

Gdy jego ciepły oddech owiewał mi twarz, sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam „Sędziego”, mały rewolwer, na naboje karabinowe. Ta broń mogła wyrządzić poważną krzywdę. Byłam w nastroju do wyrządzania krzywdy.

Echo szybkich kroków... wolniejszych w miarę zbliżania się do kontenera.

Wymieniliśmy spojrzenia pełne wyczekiwania. Cole czekał w napięciu.

Potem kroki ucichły na dobre. Para nie dotarła do nas, więc musiała się zatrzymać przy pojemniku, sądząc, że byliśmy na tyle głupi, by się w nim ukryć. W chwili, gdy usłyszeliśmy jęk stalowych zawiasów, Cole wysunął się zza narożnika i wycelował ze swej czterdziestkiczwórki.

– Rzućcie broń – rozkazał.

Rozbrzmiały paskudne przekleństwa. Szelest ubrania, tępy odgłos.

– Wiem, kim jesteś. – Kobieta. – Nie zabijesz mnie.

– Chcesz się przekonać? – spytał Cole.

– Nie możesz zabić nas jednocześnie – oznajmiła szyderczo. – Możesz zabić tylko jedno, ale zanim zdążysz wycelować w drugie, będziesz martwy, a ja wyruszę na poszukiwania twojej małej przyjaciółki. Jest cywilem, prawda? Och, pomyśl tylko, co będę z nią robiła. A jak już skończę, to może nawet ruszę za twoją dziewczyną. To podobno kawał bestii... Zawsze chciałam zarznąć kogoś takiego.

Czas na złego glinę i gorszego glinę. Wyłoniłam się zza rogu, z bronią wymierzoną i gotową do strzału.

– Nikt mnie nigdy tak nie określił, ale aprobuję. Aha, i jeśli zrobisz ruch w jego kierunku, to ty zostaniesz zarżnięta.

Facet klęczał, a Cole przyciskał broń do jego głowy. Dziewczyna stała u boku Cole'a, celując mu w pierś.

Popatrzyła na mnie gniewnie. Upłynęła chwila krótka jak uderzenie serca. Druga. Trzecia. Napięcie narastało.

– Ty jesteś bestią? – spytała.

– Nie inaczej.

Siliła się na jakąś odpowiedź, w końcu nie pozostało jej nic innego, jak powiedzieć:

– Nie pociągniesz za spust.

W moim uśmiechu były lód i groźba.

– Chcesz się przekonać? – spytałam, naśladując Cole'a. – Proszę. Potrzebuję tylko wymówki.

Minęła kolejna chwila krótka jak uderzenie serca. W końcu rzuciła broń na ziemię i pchnęła ją nogą w moją stronę. Mądrze.

– Na kolana – rozkazałam. – Połóż ręce na karku.

– Naoglądałaś się dramatów policyjnych? – spytała szyderczo.

– Na kolana! Już!

Zawahała się w pierwszej chwili, ale potem wykonała polecenie.

Czy byłoby czymś złym, gdybym poklepała się po plecach?

Przyjrzałam się dokładnie naszym prześladowcom. Dziewczyna miała krótkie, rozjaśnione włosy. W brwiach nosiła dwa srebrne kolczyki, w dolnej wardze ćwiek. Rozpięta czarna kurtka ze skóry odsłaniała koszulę z dekoltem do pępka. Każdy widoczny skrawek ciała pokrywały tatuaże.

Chłopak był niski i krępy, krótki zarost nadawał mu wilczy wygląd. Odznaczał się takimi mięśniami, że podniósłby nad głową ciężarówkę i nawet się przy tym nie spocił.

– Wierzcie mi, dzieciaki – powiedział Krępy z uśmiechem tak zimnym jak mój. – Nie

chcecie tego robić.

– Pomyłka – odparłam. – Uwielbiamy to robić. Zabawa pierwszej klasy.

– Igracie z ogniem i nie macie o niczym pojęcia. – Wytatuowana obrzuciła mnie spojrzeniem złotych oczu. – Ale skąd taka delikatna, mała istota jak ty miałaby o tym wiedzieć? – dodała z szyderczym uśmiechem. – Wyobrażasz sobie, że mogłabyś poruszać się po ciemnej stronie, ale tak naprawdę wystarczyłby jeden krok i rozpadłabyś się w kawałki.

Okay, przyznaję. Paliły mnie policzki. W naszym świecie określenie „delikatna, mała istota” było równoznaczne z dostaniem po twarzy.

– Ale ty – ciągnęła, spoglądając na Cole’a – jesteś niezłe ciacho, co?

Przycisnęłam język do podniebienia. Bez względu na to, gdzie akurat byliśmy albo co robiliśmy, Cole zawsze zaskarbiał sobie żeńskie uznanie. Był niczym miód, a kobiety Ignęły do niego jak muchy.

Tym samym ja przemieniałam się w packę.

– Dałabym sobie na twoim miejscu spokój. – Uśmiechnęłam się odrobinę zbyt słodko, pewnie trzymając broń. – Palec, który opieram na spuście, może w każdej chwili drgnąć.

Cole odciągnął kurek swojego pistoletu i przycisnął lufę jeszcze mocniej do głowy Krępego.

– Dosyć. Powiedzcie, kim jesteście.

Uwielbiałam obserwować go w akcji. Był nieustraszony. Opanowany. Skąła, której nie da się ruszyć z miejsca.

– Przyznajcie, że jesteście z Animy.

Krępy splunął na ziemię.

– Do diabła, nie jesteśmy z Animy. Słyszeliśmy o tym, co zrobiła twoim ludziom i jak próbuje zwalić na nas winę.

Wiarygodne.

– Kim jesteście? – spytałam.

Wypiął dumnie pierś.

– Ludźmi Rivera. Najlepszymi.

Może i byli z gangu Rivera Marksa, o którym mówiono w telewizji, ale nie czyniło to z nich sojuszników. Cole ani na chwilę nie opuścił broni.

Krępy, jakby zachęcony, wyjaśnił:

– Anima napuszcza nas na siebie, mając pewnie nadzieję, że sami się wykończymy i oszczędzimy jej kłopotu.

– Jeśli nie spodoba mi się kilka twoich odpowiedzi, to jej pragnienie się spełni – uprzedziłam. – Dlaczego za nami szliście? I co z dwoma pozostałymi? Jeśli coś się stało naszym przyjaciółom...

– Nie mieliśmy wam zrobić krzywdy – przerwała mi ostro Wytatuowana. – Tylko was zatrzymać. Posłuchaj, oglądaliśmy wiadomości. Wiemy, że winią nas za śmierć paru waszych ludzi. Myśleliśmy, że jesteście tu, żeby się odegrać, ale nie wydaje mi się, żeby tak było, skoro nie odstrzeliliście nam jeszcze twarzy. Wszystko to robota Animy, zgadza się?

Cole zdjął w końcu palec ze spustu i wsunął sobie broń za pasek od spodni. I coś zdumiewającego: wciąż był równie niebezpieczny.

Nie miałam tyle zaufania co on i gdy chowałam broń do torebki, ujęłam rękojęść sztyletu.

– Widzieliście Animę w działaniu tamtej nocy, kiedy zabito moich przyjaciół? – Cole pomógł się podnieść Krępemu. – Wciąż mają jednego z naszych chłopców.

– Nic nie widzieliśmy. – Wytatuowana sama się podniosła. – Ale River widział.

– No to chcę z nim pogadać.

Jeśli ostry ton jego głosu nie wystraszył jej dostatecznie, to załatwiła to determinacja w jego oczach.

– On też chce z tobą pogadać. Może nawet złączyć siły. Odwalasz dobrą robotę. – Znow obrzuciła go drapieżnym spojrzeniem i oblizła wargi. – Naprawdę dobrą.

Postąpiłam krok w jej stronę, gotowa zaatakować. Cole wyciągnął rękę i powstrzymał mnie. Wytatuowana odsłoniła w uśmiechu zęby, a potem podniosła z ziemi swoją broń, tak jak Krępy.

– Tędy. – Chłopak skinął na nas.

Nie ruszyliśmy od razu. Udawałam, że podziwiam otaczające mnie piękno. Księżyc, choć stojący wysoko, przypominał sierp. Gwiazdy świeciły niczym diamenty rozrzucone po czarnym aksamitnym morzu. Doskonale tło dla zdrady.

Okay. Dosyć tego.

Kiedy tamci wysforowali się do przodu, wyszeptałam do Cole'a:

– To może być pułapka.

Musnął kłykciami mój policzek.

– Zaufaj mi, kochanie. To nie jest pułapka. Wiem trochę o Riverze. Nie jest najbardziej moralnym zabójcą, bo nie przestrzega żadnych reguł z wyjątkiem swoich, a czasem nawet te łamie, ale nienawidzi zombi tak samo jak my. Nie będzie próbował nas powstrzymać przed tym, co robimy.

Przytuliłam się do niego, chłonąc to czułe słowo, którego użył w stosunku do mnie.

– Okay, ale jeśli ci zagrozi, nie rękę za siebie.

– Idziecie czy nie? – warknęła z daleka Wytatuowana.

Cole złożył na moich ustach miękki pocałunek.

– Jeśli tobie zagrozi, będzie martwy przed upływem nocy.

Musiałam być chyba krwiozerczą niewiastą, bo się uśmiechnęłam.

Ruszyliśmy z kopyta, trzymając się zacienionych miejsc i bocznych alejek, spoglądając bezustannie przez ramię. Spodziewałam się następnego ogona. Albo gniazda zombi. To była właśnie jedna z tych nocy.

Po drodze dostałam wiadomość od Szrona, a potem od Bronxa, obaj informowali mnie, że zgubili swoje ogony i że wszystko w porządku. Wyjaśniłam im naszą sytuację i obiecałam, że skontaktujemy się z nimi, jak tylko będziemy mogli.

W końcu dotarliśmy pod wysoki, zaniedbany budynek z czerwonej cegły – kompleks mieszkaniowy. Jedynym luksusem w holu był wytarty i postrzępiony chodnik; recepcję obsługiwała dziewczyna na niepewnych nogach; jej przedramiona pokrywały tatuaże.

Krępy i Wytatuowana rzucili jej swoje kurtki. Złapała je bez słowa skargi, jakby zasługiwała na to, by traktować ją niczym wieszak na ubrania. Moja reakcja w takiej sytuacji mogłaby być nieco odmienna. Też bym się nie skarżyła, ale podpaliłabym te łachy.

Pokonaliśmy zakręt korytarza i wewnątrz przeszło natychmiastową zmianę. Od obskurności do ekskluzywności. Ściany były świeżo pomalowane i ozdobione portretami, które wyszły spod fachowej ręki. Wisiały tam podobizny Krępego i Wytatuowanej, a także co najmniej dwadzieścioro innych osobników, których nie rozpoznałam. Dywany były pluszowe, a meble prawdziwie antyczne, na ich drewnie widniały płaskorzeźby ptaków i cherubinów.

Przemaszerowaliśmy przez kuchnię wysokiej klasy, wyposażoną w stalowe urządzenia; wokół piecyków i parujących garnków kręciło się co najmniej dziesięcioro młodych ludzi. W powietrzu unosiła się aromatyczna woń kurczaków, a niebawem pojawił się aromat kremu wiśniowego. Ślina napłynęła mi do ust. Kusilo mnie, żeby porwać garść ciastek z wysokiego na półtora metra podgrzewacza przy tylnych drzwiach; leżały tam po prostu, jakby prosiły, by się

poczęstować.

Ale wzięłam tylko jedno. Nie więcej.

Pochłaniałam smakołyk, kiedy wyszliśmy na podwórze. W moje uszy wdarły się pełne ekscytacji wiwaty, głośne i buńczuczne. Pewna, że podskoczył mi poziom cukru, rozejrzałam się po tłumie. I znów młodzi ludzie w liczbie piętnaściorga, których wiek wahał się od dwunastu do dwudziestu pięciu lat.

W co myśmy wdepnęli?

Gdy tylko zauważono naszą obecność, zapadła głucha cisza. Tłum rozsunął się pośrodku, ja zaś poczułam się jak Mojżesz przechodzący przez Morze Czerwone. Niejeden chłopak obrzucił mnie taksującym spojrzeniem od stóp do głów i muszę szczerze przyznać, że przeszły mnie ciarki. Uwielbiałam być podziwiana – kto nie chce czuć się pożądanym – ale ci faceci nie patrzyli na mnie jak na potencjalną dziewczynę; patrzyli na mnie jak na potencjalną potrawę z obiadowego bufetu.

Jeden zdobył się nawet na obsceniczny gest językiem i dwoma palcami.

Cole to chyba zauważył, bo zwolnił nieco kroku i stuknął się z tamtym piersią, co odczytałam jako ostatnie ostrzeżenie.

– Jeśli chcesz zachować swój język, to nie zrobisz tego jeszcze raz – powiedział cicho. Z groźbą w głosie.

Tamten posunął się do przodu, prostując ramiona, a jego spojrzenie mogłoby powalić z miejsca solidny mur, ale Cole nie miał w zwyczaju się cofać – nigdy – i niebawem facetowi puściły nerwy; wlepił wzrok w swoje stopy.

Cole, wibrując siłą wyzwania, popatrzył złym wzrokiem na pozostałych.

– Ktoś jeszcze chce obrazić moją dziewczynę?

Wiem, że atmosfera była gorąca i że nie należało się na tym zbyt skupiać, ale nadmiar testosteronu wydał mi się magicznie cudowny.

– No, no – odezwał się męski głos, pełen rozbawienia i sarkazmu. – Przynajmniej raz plotki odpowiadają prawdzie. Cole Holland jest naprawdę zwierzęciem w ludzkiej skórze.

Odwróciłam się na pięcie i zobaczyłam, jak przez rozstępną w Morzu Czerwonym kroczy grecki bóg. Rany. Był wysoki jak Cole i odznaczał się włosami o tak bladym odcieniu, że wydawały się czyste niczym świeżo spadły śnieg. Oczy miał ciemne, niemal czarne i nie nosił koszuli; skóra była pokryta malunkami jak u Wytatuowanej.

Nie mógł być wiele starszy od nas. Miał z dziewiętnaście lat. Może dwadzieścia.

Obok niego siedział chłopak, którego rozpoznałam. Blizna z Choco Loco. Mogłam się wtedy domyślić.

Greki rozłożył ramiona i uśmiechnął się szeroko.

– Witajcie w moim domu.

Cole się nie odezwał.

NieZRęczne.

– Dzięki za zaproszenie – powiedziałam. – Następnym razem zastanów się, czy wysłać w charakterze eskorty czterech jeźdźców apokalipsy. Nieładnie to wyglądało.

Przyjrzał mi się dokładnie i przybrał nieodgadniony wyraz twarzy.

– Wiem, że jesteś Ali Bell, ale... – Zmarszczył czoło. – Nie obraż się, Słodka, ale odbiegasz znacznie od mojego wyobrażenia twojej osoby.

Słodka? Bo jestem napakowana owocami i supersmakowita? Dzięki.

– A twoje wyobrażenie to...

– Ktoś... – Zastanawiał się przez chwilę, potem wzruszył ramionami. – Nie z książeczki dla dzieci.

Oto, panie i panowie, coś, co nazywa się grubym nietaktem.

Dlaczego ludzie zawsze przyrównywali mnie do omdlewającej, sarniej księżniczki, zbyt słabej, żeby ocalić samą siebie? Co by szkodziło, gdyby ktoś nazwał mnie odrażającym, budzącym popłoch wśród ludu smokiem? Potrafiłam ugryźć, do diabła!

Cole zeszytniał.

– Przepróż. – Temu pojedynczemu słowu towarzyszyła istna moc furii. – Natychmiast.

– Ale ja nic nie zrobiłam – próbowałam się tłumaczyć.

Przewrócił oczami.

– Nie ty. On.

– Za to, że powiedziałem prawdę? – spytał Grek, szczerze zaciekawiony.

– Jest prawda i jest to, jak się ją przedstawia. Nie podobało mi się, jak ją przedstawiłeś.

Teraz to Grek przewrócił oczami.

– Proszę, powiedz mi, że nie jesteś jednym z tych, którzy wyznają filozofię „mów coś miłego albo się nie odzywaj”.

– Jestem jednym z tych, którzy zjawiają się w pokoju... aż nadchodzi chwila, by wszystkich pokroić.

Grek zacisnął usta w wąską linię. Właśnie spotkał się z groźbą na własnym podwórku. Wyznawane przez Szrona zasady silniejszego, które wszyscy chłopcy znali instynktownie, przewidywały też stosowną odpowiedź – a miałam wrażenie, że zaraz będę jej naocznym świadkiem.

– Chcesz się bić? – spytał Grek. – Załatwione. Ale nie wyjdiesz z tego bez szwanku.

No tak. Nie myliłam się.

– Oczekuję tych przeprosin – oznajmił Cole. – Na początek.

Grek patrzył to na mnie, to na Cole'a, czemu towarzyszył wachlarz emocji. Mój duch je rejestrował i przekazywał do mózgu. Gniew, rozbawienie, afront, wyrzuty sumienia, zazdrość.

Dlaczego zazdrość? Stracił kogoś, kogo kochał? Kogoś, kogo niegdyś bronił?

O dziwo, zdecydował się na rozbawienie.

– Bardzo dobrze. Moje przeprosiny, panno Bell. Następnym razem nikt nie wspomni o księżniczkach. Co najwyżej o wrednych wiedźmach.

– Doceniam. – No dobrze. Czas powrócić na właściwy szlak. – Ty jesteś River. Niewiele o tobie słyszałam i jeśli mam być szczerą, nawet to, co wiem, wystarczy mi aż nadto, jak sądzę.

Uśmiechnął się szeroko.

– No cóż, mimo wszystko masz w sobie trochę ognia. To dobrze.

Trochę?

– Kotku, nie masz pojęcia jak dużo.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Macie do mnie pytania, czego jestem pewien, tak jak ja mam dla was odpowiedzi. Ale najpierw musicie udowodnić, że jesteście tym, kim jesteście.

Szok, i to niemały.

– Nie chodzi ci o to, żebyśmy pokazali dokumenty w rodzaju prawa jazdy, co?

– Zgadza się.

– Wymieniłeś moje imię. Wiesz, kim jesteśmy – zauważyłam. – Inaczej by nas tu nie było.

Wzruszył ramionami.

– Mimo wszystko musicie to udowodnić.

– Damy radę – szepnęła do mnie Cole.

– Wiem, jak to zrobicie. – River zatarł dłoń. – Doświadczycie pewnej drobnostki, którą

nazywamy Nocą Strachu.

MÓJ ZOMBI ZJADŁ TWOJEGO NAJLEPSZEGO STUDENTA

Morze ludzi znów się rozstąpiło, odsłaniając ogrodzenie ze stalowej siatki z kopułą u góry. Ciekawość walczyła o dominację z przerażeniem, kiedy podążałam przed siebie z Cole'em u boku. Zatrzymaliśmy się na krawędzi kręgu, spoglądając w dół... w dół... w zagłębienie.

Nikogo tam nie było. Ale na ścianach pozostały ślady krwi.

Zmarszczyłam czoło.

– Każesz walczyć ze sobą swoim ludziom?

River stanął obok mnie.

– Czasami. Za karę. Na ogół jednak zabójcy walczą z zombi.

Zatem niektóre z tych bitew zabójcy kontra zombi musiały mieć charakter fizyczny, nie zaś duchowy. Co było jak najbardziej możliwe. Dla Animy.

– Pracujesz z wrogami.

Tylko oni znaleźli sposób, jak uczynić zombi dotykalnymi dla człowieka za sprawą tych obręczy na szyjach, które emitowały impulsy elektryczne.

Zewsząd rozległy się posykiwania gniewu.

– Nie – odparł River i w jego głosie po raz pierwszy pojawił się groźny ton. –

Chcielibyśmy puścić tę firmę z dymem, a razem z nią tych, których zatrudnia. Pracować z nimi? Wolałbym już, żeby kruki wyżarły mi wnętrzności.

Miłe.

– Tak bardzo nienawidzisz Animy, ale nie masz nic przeciwko temu, żeby korzystać z ich technologii?

Poklepał mnie po głowie.

– Korzystanie z ich technologii jest mądre, anielskie złotko. Pomaga nam zrozumieć, co robią i jak możemy ich skutecznie pokonać.

Okay. To akurat pojęłam.

– Nie jest twoim anielskim złotkiem ani cukierkiem – warknął Cole. – Jest moja.

Nie śmieję się. I nie chichocz.

– Tak – potwierdziłam. – Jestem jego.

Okay, zachichotałam. Ale tylko trochę!

Cole posłał mi spojrzenie pełne irytacji. Zatrzepotałam rzęsami, czyli: co takiego znów zrobiłam?

– Mógłbym ją mieć, gdybym chciał – oświadczył River, odsłaniając ego, by wszyscy mogli je dokładnie obejrzeć. – Ale nie mam, więc ta dyskusja jest bezzasadna.

Czy mógł być jakimś zbiegiem okoliczności spokrewniony z Gavinem?

A tak poważnie, to mógł sobie darować i się odpieprzyć.

– Tylko idiota by jej nie chciał. – Oho. Cole osiągał właśnie wyższy stopień wściekłości.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś idiotą?

River zmarszczył czoło.

– Próbujesz mnie sprowokować?

Chłopcy!

Klasnęłam w dłonie, żeby przyciągnąć ich uwagę.

– W porządku. Czas wstępnej prezentacji dobiegł końca. Co dalej?

River wsunął dwa palce w usta i zagwizdał; w dole otworzyły się drzwi, których wcześniej nie zauważyłam. Na środku areny, przy szyderczych krzykach tłumu i gwizdach, pojawiły się zombi z obrożami na szyjach.

– Hej, baby. Chcesz mnie zjeść na obiad?

– Uroczy z ciebie wór robactwa. Tak, do ciebie mówię. O, tak.

– Pomóc ci? Podać ci rękę? Hej? A może mam ci wetknąć palec w tyłek?

Dostrzegłszy ludzi nad sobą, zombi zaczęły wyciągać dłonie. Czarne poplamione wargi odsłaniały jeszcze czarniejsze zęby, z pokiereszowanych szczęk ściekała ślina.

Walka z taką liczbą stworów ku uciesze innych nie byłaby zła; zdarzały się gorsze rzeczy. Szczerze lubiłam uprawiać Z-mord. Ale w tej chwili nie znajdowałam się u szczytu formy. W chwili, gdy sobie uświadomiłam, że jesteśmy bezpieczni, moja siła pękła jak bańka mydlana i wypaliła się, pozbawiając mnie wszelkiej radości. Zostały tylko zmęczenie i lęk.

Nic dziwnego. Byłam na nogach od czterdziestu ośmiu godzin z okładem. Sen zawdzięczałam tylko lekom. Mój ostatni posiłek składał się z ciastka. Straciłam czworo przyjaciół, zużyłam tyle adrenaliny, że powaliłoby nosorożca (prawdopodobnie), i byłam ścigana po ulicach.

– Zrobię to. Będę walczyć – oświadczyłam mimo wszystko.

Nie widziałam wyjścia. Moglibyśmy przedrzeć się przez tłum zabójców i uciec, ale nie dostalibyśmy odpowiedzi, na których nam zależało.

– Och, jakież to słodkie. – River stanowił ucieleśnienie szyderstwa. – Chodzi o to, słodziutka, że nie przypominam sobie, bym cię prosił. Wejdiesz do tej klatki, czy tego chcesz, czy nie.

Gniew usztywnił mi kręgosłup. Och, nie, nie prosił.

– Masz rację – powiedział Cole, a łatwość, z jaką się zgodził, wprowadziła mnie w zdumienie. – Ale zrobimy to nie dlatego, że nam kazałeś. Zrobimy to, bo chcę, żebyś zobaczył i poznał bestię, którą sprowokowałeś.

Rozległa się wrzawa podniesionych głosów. Zawierano zakłady.

Na twarzy Rivera pojawił się niespieszny, zimny uśmiech.

– Z każdą upływającą sekundą podobasz mi się bardziej, Holland. Słowo daję.

Skinął głową dwóm swoim ludziom i chłopcy otworzyli część kopuły.

Buńczuczna Ali poczuła smak zemsty. Głowa do góry, dziewczyno. Wygraną masz w kieszeni.

A zdołowana Ali zareplikowała przyganą. Tyle ryzykujesz. Możesz wszystko zrujnować. Postanowiłam, że pewnego dnia uduszę zdołowaną Ali własnymi rękoma.

Wyprostowałam ramiona i napotkałam wyczekujące spojrzenie Cole'a. Wyczekujące. Dobrze. Nie stracił pragnienia walki. Dałby sobie radę nawet z rękami związanymi na plecach. Mogłam stać z boku i patrzeć.

– Pamiętasz powód numer siedem? – spytał.

Dobry Boże. Tylko nie powód siódmy. Nie teraz.

– Tak – odparłam, starając się nie skomleć.

– Do dzieła – powiedział.

Wykluczone. Po prostu wykluczone, by stanął z boku i pozwolił mi wykonać całą robotę – błagam!

Owinął sobie wokół palca kosmyk moich włosów.

– Będzie niezła zabawa.

O, cholera. Zamierzał stanąć z boku, prawda? Ale dlaczego? Wiedziałam, że nie z powodu odniesionej rany. Jak tego dowiedział, mógłby umierać i wciąż mnie osłaniać jak tarcza. Więc musiało to oznaczać... Co? Że nie chce, by River zorientował się w jego umiejętnościach, co pozwoliłoby mu przypuścić później zaskakujący atak?

Może. A może miał dość szyderczych uwag pod moim adresem i chciał, żebym pokazała tym ludziom, że stanowię siłę, z jaką należy się liczyć.

„Żebyś poznał bestię, którą sprowokowałeś...”

Tak. Właśnie tę bestię.

Okay, naprawdę się szykowałam na show.

Nie mogę go zawieść. Wspięłam się na palce i pocałowałam go, nie zważając na publikę.

– Mam nadzieję, że jesteś gotów na wrażenia.

– Żyję wrażeniami.

Chwycił mnie za kark, przytrzymał i pocałował jeszcze mocniej.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie i popatrzyliśmy jedno na drugie z uśmiechem, w tłumie zapadło dziwne milczenie. Zastanawiałam się dlaczego – szok? Obrzydzenie? Tak szczerze, guzik mnie to obchodziło. Kiedy Cole podprowadził mnie do klatki, uświadomiłam sobie, że wciąż dochodzi do zakładów.

– Dziesięć na tego Z. w muszce.

– Dwadzieścia na to, że Ali Bell zostanie ugryziona w ciągu pierwszych pięciu sekund.

Cole mrugnął do mnie i machnął ręką, wskazując zombi.

– Pani pierwsza.

– Ależ dziękuję, uprzejmy panie – odparłam i zaczęłam szukać drabiny, ale jej nie znalazłam. Wspaniale. Trzeba skoczyć.

Nieważne.

Nie dając sobie czasu na myślenie ani lamentowanie, wyszłam poza krawędź i stoczyłam się w dół. Lądowanie było twarde, jednak zdołałam się wyprostować bezzwłocznie i przemienić jedną Ali w dwie. Zaroilo się wokół mnie od zombi. Rąbnęłam jednego, potem drugiego, zaczerpnęłam głębokiego oddechu, przytrzymałam go... przytrzymałam... gromadząc wszelką siłę w samym środku swej istoty i przywołując ogień, którego potrzebowałam, by zabijać te stwory. Pojawił się pomimo mego kiepskiego stanu. Moja wiara została wcześniej wzmocniona i jej zasoby płynęły niepowstrzymanym strumieniem, więc płomienie były jasne i gorące.

Rozpalałam się... rozpalałam... i rozpalałam, aż w końcu niemal płonęłam żywcem, ogień obejmował niemal każdy centymetr mnie samej. Musiałam tylko tam stać i pozwalać, by stwory mnie dotykały. Jeden spopieleny. Potem następny. Dotyk, dotyk, dotyk. Popiół, popiół, popiół, aż nie pozostał ani jeden zombi.

Takie... proste.

Poszło lepiej, niż mogłam mieć nadzieję.

Zatrzymałam się i spojrzałam w górę. Zabójcy potrafili widzieć innych zabójców w postaci duchowej, nawet jeśli sami takiej postaci nie mieli, i odwrotnie. Gapiała się na mnie każda twarz w tłumie.

Uśmiechając się z zadowoleniem, złączyłam na powrót swe połówki. Moje płomienie jednak nie zgasły i tańczyły na skórze. Nie uległam dezintegracji, ale ubranie to była inna sprawa. Zniknęło w chmurze dymu.

Cholera! Raz już się tak stało, kiedy A.Z. przypuściła na mnie finalny atak. Mój duch rozklekotał się wówczas odrobinę, próbując przetrwać. Znów coś pewnie zaczęło szwankować; posunęłam się pewnie za daleko.

Przynajmniej Cole był ze mną w tej dziurze. Oparł się o ścianę, polerując jeden ze swoich

sztyletów, jakby nic się nie stało.

– Hm, problem – oznajmiłam.

Napotkał moje spojrzenie, zmarszczył czoło.

– Chodź tutaj – powiedział, przywołując mnie gestem dłoni. – Nie pozbywaj się płomieni.

Pewnie, że nie! W tej chwili tylko one chroniły mnie przed uczestnictwem w pełnym peep show na oczach mnogiej publiczności. Zdrętwiała, podeszłam do Cole'a, i choć syknął, chwytając mnie za nadgarstki, przyciągnął mnie do ściany i osłonił przed wścibskim wzrokiem.

– Dam ci swój ogień – oświadczył.

– Ale to pogorszy wszystko!

– Albo polepszy. Mój może tchnąć w ciebie siłę, której potrzebujesz, by kontrolować swój.

Ryzykowne, ale okay. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Rozszczępił swe połówki na krótką chwilę, by przysunąć ogniste dłonie do mojej piersi.

Poczułam to, pomimo swego stanu – co mnie zaszokowało – i poznałam nową część samej siebie. Podróżniczka Ali. Mogła powiedzieć co nieco o bólu, jaki to spowodowało.

Mój ogień zaczął przygasać.

– Nie gaś go jeszcze – ostrzegł Cole, łącząc się ze swą doczesną powłoką. – Zdejmę kurtkę i koszulę. Gdy tylko to zrobisz, zdusisz płomienie. Ubiore cię.

Nie wiem dlaczego, ale żałowałam, że nie zginęłam w walce z zombi.

– Gotowa? – Czekał na moje skinienie głową, potem zdjął kurtkę i ściągnął jednym ruchem podkoszulek. – Teraz.

Zamknęłam oczy, żeby zdusić żar – zduś się, zduś się, zduś się, do diabła. Sukces! Cole przeciągnął podkoszulek przez moją głowę i wsunął mi ręce w rękawy. Materiał sięgał pół uda. Następnie przewiązał mi talię kurtką, która teraz pełniła rolę spódnicy. I, co wydawało się poniżające, także bielizny.

– Wszystko zakryte – oznajmił i pocałował czubek mojego nosa. Przelotnie i słodko.

Pociecha. – Dobrze się spisałaś, Ali-gatorze. Naprawdę dobrze.

– Dziękuję... dziękuję – odparłam, podzwaniając zębami.

Wziął mnie w ramiona i przytulił mocno.

– A teraz pogadamy! – powiedział podniesionym głosem, obracając się w stronę tłumu i skupiając wzrok na Riverze.

Oślupiały River skrzyżował ręce na piersi.

– Jak to zrobiła?

– Mam lepsze pytanie – odparłam z czystej przekory. – Dlaczego ty nie potrafisz tego zrobić?

Przesunął językiem po siekaczu i przez chwilę byłam pewna, że pozostawi nas w tym dole, dopóki jego ciekawość nie zostanie zaspokojona. Skinął jednak na swoich chłopców i niebawem spuszczone nam drabinę. Cole wy dostał się pierwszy, potem pomógł mi przejść przez krawędź, pilnując przy tym, by wszystkie części mojego ciała były zasłonięte.

– Potrzebuje ubrania – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Dostanie je. – River wyciągnął rękę i ujął kosmyk moich włosów. – Jestem pod wrażeniem.

Odsunęłam się gwałtownie, a Cole jednocześnie go odepchnął.

– Żadnego dotykania.

Niezrażony, River się uśmiechnął.

– Tędy. – Obrócił się na pięcie i ruszył w głąb budynku.

Towarzyszili mu Wytatuowana i Blizna, oboje obrzucając mnie po drodze

zaciekawionymi spojrzeniami. Wspaniale. Byłam teraz dziwolągiem z cyrku osobliwości.

Nie po raz pierwszy.

Pomimo ciepła panującego wewnątrz wciąż miałam gęsią skórę. Cole otulił mnie starannie, co pomagało, ale też stanowiło skazę na mym wizerunku zimnokrwistej Z-zabójczynie.

Och, mniejsza z tym.

Nasza wędrówka skończyła się wewnątrz wielkiego salonu. Stało tu kilka sof i krzesel w różnych kolorach. Na stoliku do kawy leżało mnóstwo broni palnej i liczne jej elementy. Zobaczyłam także miecz.

Wytatuowana zniknęła, lecz pojawiła się po chwili z ubraniami.

– Masz – powiedziała, rzucając mi rzeczy.

– Bądź grzeczna wobec naszych gości – upomniał ją River, potem zwrócił się do mnie. – Proszę, wybaczyć mojej siostrze. Milla niechętnie zawiera nowe przyjaźnie.

Parsknęłam.

– Naprawdę? Nie zauważyłam tego.

Zdałam sobie jednak nagle sprawę z czegoś ważnego. River był przebiegły. Walka z zombi nie miała nic wspólnego z udowadnianiem naszej lojalności czy niechęci wobec stworów i Animy. Chciał wiedzieć, co potrafimy – czy jesteśmy warci sojuszu, czy może lepiej nas odstrzelić. Najwyraźniej zdecydował, że zasługujemy na przychyłność, bo był teraz słodki jak miód.

– Zabierz ją do swojego pokoju – nakazał Wytatuowanej Milli. Delikatne imię w przypadku tak twardej dziewczyny. – Może się tam przebrać.

Milla zaprzeczyła zdecydowanym ruchem głowy, ale gdy tylko River popatrzył na nią gniewnie, usłuchała.

Cole ścisnął mi rękę. Ogarnęło mnie niezdecydowanie. Wyjść i stracić interesującą rozmowę albo zostać i migać golizną na ogólnym widoku.

W końcu ruszyłam za Millą.

– Jak to zrobiłaś? – spytała. – Czy wszyscy zabójcy Cole’a tak potrafią? Co jeszcze umiesz?

– Nie znam cię i nie ufam ci. Nie odpowiem na twoje pytania. Chcesz się przekonać?

– Świetnie. – Otworzyła drzwi sypialni i spojrzała na mnie ze złością. – Dotknij tylko moich rzeczy, a cię zabiję.

Spróbowałabyś.

– I nawzajem, Milla.

Jeśli umiała czytać między wierszami, to wiedziała, że właśnie złożyłam deklarację. Cole był mój.

Zadarła nos.

– Jestem Milla dla swoich przyjaciół, a jak przed chwilą zauważyłaś, nie jesteśmy przyjaciółkami. Możesz nazywać mnie Camillą. Albo, jeszcze lepiej, panną Marks. – Z tymi słowami zamknęła mnie w pokoju, zatrzasnąwszy z impetem drzwi.

Nieważne. Włożyłam pospiesznie bieliznę pod postać szortów i spodnie od dresu, rozglądając się po wnętrzu. Było nieduże, ale czyste. Starannie zasłane pojedyncze łóżko, narzuta w kolorze księżniczkowo różowym. Nie jestem w mieście jedyną postacią z książeczki dla dzieci, pomyślałam.

– Tutaj – wyszeptał jakiś głos.

Zesztywniałam, uświadomiwszy sobie po chwili tożsamość rozmówcy.

Helen.

Poczułam, jak przeszywają mnie strzały strachu i ekscytacji. Stała obok biurka, wciąż

ubrana w czarną koszulkę i džinsy. Twarz miała pobladłą i wykręcała nerwowo dłonie.

Oczekiwała, że ją porażę płomieniem?

– Dlaczego się pojawiaasz? – spytałam cicho. – Nie. Wiesz co? Nie odpowiadaj. I tak bym ci nie uwierzyła.

Może. Prawdopodobnie.

Uhm. Uwierzyłabym, czyż nie? A Cole nie posiadałby się ze złości.

Ignorując mnie, Helen wskazała plik papierów.

– Przeczytaj – powiedziała i zniknęła.

Zrobiłam krok do przodu, zatrzymałam się. Znow zrobiłam krok, zatrzymałam się.

Naruszyć prywatność Milli czy nie?

Jeśli Helen kłamała, jak sądził Cole, to mogła szykować mi upadek. Ale jeśli nie...

Serce biło mi jak oszalałe. Wciągając skarpetki, dotarłam podskokami do biurka.

Rzuciłam okiem na pierwszą stronę i uświadomiłam sobie, że jest zapisana kodem. Linie, liczby i symbole, wszystko splecione ze sobą. Tym samym kodem posługiwał się w swoim dzienniku mój pięciokrotny pradziadek ze strony matki. Papier był kruchy i świeży, najwidoczniej miałam przed sobą kopię. Ale nie kopię dziennika – spoczywał w pudle z dziecinnymi pamiątkami matki przez lata.

Dlaczego Camilla to miała?

Przez głowę przelatywało mi tysiąc możliwości jednocześnie. Jednej nie potrafiłam pominąć: mój pięciokrotny pradziadek mógł nauczyć posługiwania się tym kodem innych zabójców, a umiejętność była przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Papier mógł należeć do kogokolwiek.

Dlaczego Helen chciała, żebym to zobaczyła?

Robiłam właśnie zdjęcia komórką, kiedy rozległo się energiczne pukanie.

– Pospiesz się – nakazała Camilla.

– Jasne, jasne.

Pstryknęłam ostatnią fotkę, podbiegłam do drzwi i otworzyłam je, nim zdążyłaby wpaść do środka i mnie przyłapać. Staralam się nie dyszeć.

Przyjrzała mi się z uwagą, kiedy wkładałam buty, i skrzywiła twarz. Dlaczego? To nie były jej rzeczy, tyle wiedziałam. Nawet na mnie wisiały, a ona nie odznaczała się wysokim wzrostem.

– Należą do Rivera – poinformowała mnie. – Będziesz musiała je zwrócić. Jak już je wypierzesz i wysuszysz – dodała z naciskiem.

Co za słodka dziewczyna.

– Jaki masz problem, jeśli o mnie chodzi?

Patrzyła mi długą chwilę w oczy, wreszcie westchnęła.

– Posłuchaj. Właśnie tak jak sama powiedziałaś: nie znam cię, więc ci nie ufam, a nie lubię tego, czemu nie ufam. To nic osobistego.

Trudno mi było z nią dyskutować – tym bardziej że przytoczyła moje własne słowa!

– No cóż, trzeba ci wiedzieć, że nigdy nie kłamię. Bez względu na to, ile mnie to kosztuje, zawsze mówię prawdę.

– Tak łatwo powiedzieć, ale zrobić... Niemożliwe.

– Zgadzam się, że łatwo powiedzieć, ale nie zgadzam się, że to niemożliwe. To wyzwanie, a ja przypadkiem lubię wyzwania. Nigdy przed nimi nie uciekałam i nigdy nie ucieknę.

Znow mi się przyjrzała, jej animozja straciła trochę na sile. Skinęła głową, jakby podjęła jakąś decyzję.

– River ma swoje wady, ale to dobry gość. Lepiej żebyś nie zrobiła niczego, co mogłoby mu zaszkodzić.

– Nie zrobię... jeśli nie będzie bruździł mnie ani mojemu facetowi.

– Jasna sprawa. – Pchnęła mnie lekko. – Wracajmy i upewnijmy się, że nasi chłopcy jeszcze się nie pozabijali.

WIELKIE UMYSŁY SMAKUJĄ PODOBNIĘ

Wróciłam do salonu, gdzie zastałam Cole'a na kanapie; River siedział naprzeciwko niego w fotelu. Blizna zdążył już wybyć.

– ...twój problem. Grasz według ich zasad – mówił właśnie River.
– Chcesz powiedzieć, że nie narażam swoich ludzi na niepotrzebne niebezpieczeństwo – odparł Cole.

– Czasem warto podjąć ryzyko.

– Nie ma życia, które warto by stracić.

– No to spotkałeś niewłaściwych ludzi – zauważył kwaśno River.

Camilla odchrząknęła. Żaden z chłopców nie okazał nawet odrobiny zdziwienia, patrząc na nas, co dowodziło, że nigdy nie tracą świadomości otoczenia, w jakim się akurat znajdowali.

Uśmiechnęłam się do Cole'a, a on mi odpowiedział tym samym, dzielące nas powietrze wypełniły ładunki elektryczne. Zawsze istniała między nami niezaprzeczalna chemia, wezwanie do wzajemnej fascynacji.

– No cóż, nie jest to w ogóle krępujące – zażartował River.

Cole przywołał mnie; podeszłam do niego, chcąc powiedzieć mu o papierach; zamierzałam to zrobić, kiedy już będziemy sami, nie byłam jednak pewna, czy mam wspominać o Helen. Jeśli naprawdę mi pomagała, nie mogłam pozwolić, by zlekceważył te dokumenty tylko dlatego, że to ona zwróciła na nie moją uwagę.

Co robić?

Usadowił mnie obok siebie i objął ramieniem. I znów otoczyło mnie jego ciepło; tym razem przypominało narkotyk. Musiałam zwalczyć chęć, by przysunąć się bliżej... bliżej... Do diabła, dlaczego nie usiąść mu na kolanach?

Camilla przesunęła się za Rivera, ignorując wolne krzesło; wołała stać. Byłam pewna, że nie chce tracić przewagi wzrostu, skoro tak rzadko ją miała.

– Co zatem wiesz o naszym przyjacielu Justinie? – spytałam, przejmując inicjatywę w rozmowie.

Camilla i Krępy wspominali, że River ma dostęp do wewnętrznych informacji.

– Rzeczowa do bólu. – River uśmiechnął się do Cole'a. – To mi się podoba.

– Justin – rzucił przynaglająco Cole.

Odchylając się w fotelu, River pociągnął ze szklanki z bursztynowym płynem. Coś alkoholowego, sądząc po intensywnym zapachu.

– Mam szpiegów wewnątrz Animy i choć nie wiedzieli dokładnie, co planuje szefostwo, zdawali sobie sprawę, że ma się wydarzyć coś dużego. Obserwowaliśmy ich magazyny.

Liczba mnoga. Nie pojedyncza.

– Przyda się nam adres każdego magazynu, o którym wiecie.

Skinął głową.

– Oczywiście. Ale zostały już opróżnione. Wszystkie, nie tylko ten, który sprawdziliście. Jak dotąd bez sprzeciwu. Było jasne jak słońce, że zażąda czegoś w zamian.

– Powinieneś nas ostrzec – zauważył Cole.

– A ty byś mnie ostrzegł? – spytał River, unosząc brwi.

– Nie – przyznał Cole. – Ale to coś, co należy zmienić. – Stwierdzenie, nie pytanie. –
Walczyliśmy w tej wojnie po tej samej stronie.

River zamrugał ze zdziwienia. Najwyraźniej oczekiwał, że Cole'a nie da się do niczego przekonać.

– W ciągu ostatniego tygodnia wzrosła aktywność we wszystkich czterech magazynach, ale nie zauważyliśmy niczego nadzwyczajnego. Dopiero dwa dni temu.

Spięłam się, nie chcąc tak naprawdę poznawać makabrycznych szczegółów śmierci Collinsa, ale wiedząc, że muszę. Musieliśmy.

Cole był równie spięty jak ja.

– Najpierw przywieźli ze sobą faceta z ogoloną głową – zaczął River.

– Collinsa – wyszeptałam.

– Gdzie byłeś w tym momencie, że to widziałeś? – spytał Cole.

Zamrugałam, czując piekące łzy.

– Na belkach dachowych – odparł River.

Odtworzyłam ten magazyn w myślach, oglądając go oczami pamięci. Sufit miał grube drewniane belki, jak sobie uświadomiłam.

– Zawlekli go na środek pomieszczenia – ciągnął tonem coraz bardziej posępnym. – I zmusili, żeby ukląkł. Ten drugi, ciemnowłosey, pojawił się kilka minut później. Był tak odurzony, że ledwie się trzymał na nogach, więc rzucili go obok tego pierwszego... Collinsa, jak go nazwaliście.

Trzymaj się.

– Ludzie z Animy pogadali przez chwilę między sobą. Zdecydowali, że jest im potrzebny tylko jeden zabójca. – Jakby River przekreślił coś w rodzaju kontaktu. Dotąd był ożywiony, a po sekundzie całkowicie obojętny. – Wyjęli broń i strzelili do waszego chłopaka z przyłożenia, potem wrzucili go do dziury w podłodze. Przykro mi.

Cole odetchnął przez zaciśnięte zęby.

Wiedziałam, że odtwarza w głowie wszystko, o czym mówił River; wiedziałam, bo robiłam to samo. Już na zawsze miało pozostać w nas mentalne wideo, na którym siła pocisku wstrząsa ciałem Collinsa, a przez dziurę w potylicy tryska mózg. Jego ciało pada na podłogę.

Nic dziwnego, że było tam tyle piasku. Użyli go, by wchłonął krew.

Co za okrutna i koszmarna śmierć. Niewłaściwa na każdym poziomie.

Wbiłam paznokcie w uda. Tak chciałam pocieszyć Cole'a, ale nie potrafiłam pocieszyć nawet samej siebie. Musiałam użyć całej swej siły, by nie zwinąć się w kłębek i nie załkać.

– Zapakowali ciemnowłosego chłopaka do samochodu i odjechali – wyjaśnił River. – Postawiłem na drodze zabójcę, czekał tam i ruszył za nimi, ale od tej pory się nie odezwał. Szuka go kilku moich ludzi.

Nie chciałam za wszelką cenę tak myśleć, podejrzewałam jednak, że człowiek Rivera był martwy. W przeciwnym razie przekazałby informację.

– Dasz nam znać, jak tylko się znajdzie – powiedział Cole.

– Oczywiście. – Ułynęła chwila, nim River dodał: – Ale oczekuję czegoś w zamian.

Cole skinął głową, jakby przekreślił ten sam kontakt, pogrążając się w emocjonalnym chłodziu.

Gdybym go tak dobrze nie znała, pomyślałabym sobie, że nie ma serca. Ale go znałam i wiedziałam, że stara się z całych sił panować nad sobą, tak jak ja. Wsparłam głowę na jego ramieniu. Od razu zaczęły mi ciężać powieki i musiałam mrugać szybciej niż zwykle, żeby nie zamknąć oczu na dobre.

– Zwykle żądam bardzo wysokiej ceny za tego rodzaju informacje – powiedział River. –

Ale chcę od ciebie tylko tego samego. Przekażesz mi wszystko, czegokolwiek się dowiesz.

Żarty. Wiedziałam, że zażąda więcej, i to niebawem, bez dwóch zdań. Miał wypisane na czole słowo „dawaj”.

– Załatwione – zgodził się Cole. – Co z twoimi szpiegami? Dowiedzieli się czegoś jeszcze?

– Nie za bardzo. Nie dotarli jeszcze do samej góry, ale zdobywają informacje i nie przestaną, dopóki się do czegoś nie dokopią. Sprawa jest jasna. Anima skrzywdziła twoich ludzi, skrzywdziła cholernie, ale zrzuca winę na moich, co oznacza, że jest gotowa wykończyć was i nas, i to szybko.

– A jeśli jej się nie uda, to będzie zadowolona, jeśli wykończymy się nawzajem – oznajmił Cole, trąc się po brodzie.

River skinął głową.

– Właśnie. Tak przy okazji, gdy tylko wyszliście z magazynu, wysłałem tam zespół, także w alejki, i kazałem usunąć wasze odciski palców. Zabrali twojego chłopaka i pochowali z naszymi zabójcami. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Czyżby wstali i oddalili się ode mnie? Ich głosy dobiegały gdzieś z daleka, jakby przeszli na drugi koniec pokoju. Próbowałam otworzyć oczy, ale na próżno. A potem nawet ich nie słyszałam. Odpyływałam... dryfowałam...

I och, pojawiła się Helen z małą dziewczynką. Przebywały w małej sypialni. Dziewczynka, teraz być może pięcioletnia, siedziała na brzegu niepościelonego łóżka, podczas gdy Helen wrzucała zabawki i ubranka do torby.

– Nie chcę cię opuszczać, mamó. Proszę.

– Przykro mi, kochanie, ale tak trzeba.

Po policzkach dziecka spływały łzy.

– Mama popełniła tyle błędów. To jedyny sposób, żeby wszystko naprawić, zapewnić ci życie, na jakie zasługujesz.

– Nie chcę życia, na jakie zasługuję. Chcę ciebie.

Helen zastygła. Była obrócona plecami do dziewczynki, ale widziałam jej twarz. Tłumiła w sobie cichy szloch; kroilo mi się serce, i tak już pokiereszowane. Jej wewnętrzny ból był tak przerażający, że nie wiedziałam, jak jest w stanie znieść go dłużej.

Pozbierała się jednak jakoś, otarła oczy i odwróciła, by obdarzyć córeczkę sztucznie radosnym uśmiechem.

– Potraktuj to jako przygodę.

– Nie – odparła dziewczynka kapryśnie.

– Poznasz w końcu swojego ojca. Mówiłam ci o nim. Bardzo chce cię zobaczyć.

– Nie obchodzi mnie to.

Helen uklękła przed nią.

– Posłuchaj. Wiem, że nienawidzisz tej chwili, kiedy odwiedzamy ludzi w białych fartuchach. Prawda? Kłują cię igłami. Przywiązują do stołów i choć bardzo się szarpiesz, nie potrafisz się uwolnić.

Dziewczynka zadrżała.

Musiałam odwrócić wzrok. Moją uwagę przykuł kalendarz wiszący na ścianie. Wynikało z niego, że działo się to jedenaście lat wcześniej. Dziewczynka musiała być o rok starsza niż ja w tamtym czasie.

– Chcą cię tym razem zatrzymać. Zabrać mi ciebie na zawsze.

Uporczywe kręcenie blond główki.

– Nie chcę tego – powiedziała Helen. – Dlatego musisz odejść. Tata cię ochroni.

– Jedź ze mną. Zostań ze mną i z tatą. Proszę, mamó. Proszę.
Ból... rozpacz... tak silne, że nawet ja odczuwałam je w głębi duszy. Nie odsyłaj jej, pomyślałam. Potrzebuje cię, tak jak ty jej potrzebujesz.
Helen była jednak nieprzejeđnana i znów zaczęła pakować rzeczy.
– Wszystko już załatwiłam. Zaplanowałam w najdrobniejszych szczegółach. Pomyślą, że jesteś... No cóż, nigdy więcej nie będziesz musiała się nimi przejmować.
Scena pograżyła się w mroku, ja zaś odpłynęłam. Próbowałam utrzymać się na powierzchni, chwytając się ścian, wbijając w nie paznokcie.
– Ali, kochanie, ocknij się.
Głos Cole'a wystraszył mnie, przywrócił do rzeczywistości; wyprostowałam się gwałtownie i westchnęłam.
Otoczyły mnie silne ramiona, przyciągając do ciepłej i mocnej piersi. Znajomej. Piersi Cole'a. Wtuliłam się w niego.
– Strasznie się rzucałaś. Wszystko w porządku? – spytał, przesuając opuszkami palców po moim kręgosłupie.
Poczułam dreszcz.
– Koszmar senny.
O Helen i jej małej córeczce. Dlaczego widziałam je w swoich snach?
– Tak się składa, że jestem dobrym zabójcą koszmarów – powiedział Cole. – Chcesz mi o tym opowiedzieć?
Ani trochę.
– Gdzie jesteśmy? – spytałam.
Niewielki pokój, którego nie poznawałam, tonął w blasku księżycowego światła. Były tam biurko, komoda i łóżko. Ściany pokrywała miejscami tapeta, a ciemny dywan miał dziury.
– Jesteśmy w domu Rivera – przypomniał łagodnie. – Pamiętasz? Oddał nam jeden z pokoi, żebyśmy mogli tu przenocować.
Wszystko w porządku, ale...
– Możemy mu zaufać i tu zostać?
– W tej chwili nie mamy większego wyboru. Potrzebujemy jego pomocy.
– A on potrzebuje naszej – przypomniałam nam obojgu.
– Tak. Rano razem z Millą pojedzie z nami do Ankha. Widzieliśmy ich bazę, a teraz oni chcą zobaczyć naszą.
Po pierwsze: Cole mógł posługiwać się przezwiskiem siostry Rivera, a ja nie?
Oburzające!
Po drugie: to, że River chciał zobaczyć dom pana Ankha, byłoby podejrzane, gdyby nie zrozumiałe okoliczności. Nie mogłam go za to winić.
– Trudno mi uwierzyć, że zasnęłam i przegapiłam resztę rozmowy – mruknęłam.
– A mnie nie. Za długo funkcjonowałaś na wysokich obrotach. Potrzebowałaś wypoczynku. – Poglaskał mnie po policzku, brodzie, szyi. Za każdym razem zsuwał się coraz niżej, w końcu nakreślił linię między moimi piersiami. – Ale teraz jesteś przytomna – wyszeptał chrapliwie. – Najwyraźniej potrzebujesz odskoczni.
Znów poczułam dreszcz; tym razem jego źródłem było słodsze, gorętsze doznanie.
– Zamierzasz coś z tym zrobić?
– Zdecydowanie. – Pochylił głowę, przywierając ustami do moich warg.
Rozwarłam je, zachęcając go, a jego język wślizgnął się do moich ust, przetaczał się po moim, niemal leniwie, smakując mnie, uwielbiając. Moje ramiona objęły go, jakby obdarzone własną wolą, przyciągając go bliżej. Położył mnie na plecach, obdarzając całym swoim ciężarem.

Ważył niemało, ale było coś prawdziwie wspaniałego w tym, że tak mnie przygniata. Jawił się jako moja tarcza. Chronił przed strachem, żalem i bólem. Mogła mnie tu osiągnąć jedynie przyjemność.

Podniósł głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. Wargi miał różowe i nabrzmiące od pocałunku.

– Nie przerywaj – poprosiłam błagalnie.

Wodził kciukami po moich policzkach.

– Jesteś taka piękna.

Kiedy patrzył na mnie w ten sposób, czułam to. Wsunęłam mu palce we włosy i stosując nieznaczny nacisk, przyciągnęłam go z powrotem.

– Daj mi więcej.

Może uświadomił sobie moją desperację. Może moja prośba sprawiła, że przestał się tlić, a zaczął płonąć. W każdym razie ton jego pocałunku zmienił się w mgnieniu oka i nie było w nim już niczego leniwego. Wsunął we mnie język z pełną determinacją siłą, domagając się odpowiedzi, więc mu jej udzieliłam, nie wahając się ani trochę. Jakbym mogła się wahać. Krew mi wrzała, a każda cząstka ciała mrowiła.

Przerwał pocałunek. Zajączałam z rozczarowania. Wtedy pochylił głowę i pocałował skórę, którą odsłonił. To było... to było... takie dobre. Raz po raz przenikały mnie ostrza rozkoszy. Posługiwał się wargami, zębami i językiem i niebawem wiłam się na materacu.

– Cole – wyjęczałam. – Lepiej... doprowadź to do końca...

Och! Tak!

– Doprowadzę.

Nareszcie!

Chwyciłam go za ramiona.

– Dasz mi wszystko?

Czy te pozbawione tchu, błagalne słowa naprawdę dobyły się z moich ust?

– Nie wszystko. – Powieki miał ciężkie, gdy jego umęczone spojrzenie zwarło się z moim. Jeśli pragnął mnie z taką samą żarliwością, jak ja jego, to kontrola, którą nad sobą sprawował, wisiała na bardzo cienkim włosku. – Nie tu będzie ten pierwszy raz. Ale dam ci więcej.

Więcej. Tak.

– Zrób to!

Znów zanurkował głową, by mnie pocałować. Bezwzględnie i bardzo gorąco.

Niepohamowanie i bardzo nieprzyzwoicie. Byłam tym zachwycona. Jego dłonie wędrowały po mnie całej... całej. Wszędzie, gdzie czułam bolesne pragnienie. Nigdy wcześniej mnie tak nie dotykał.

Kiedy wpiłam się w niego wygięta w łuk, mamrocząc coś bez związku, więź, którą z nim odczuwałam, pogłębiła się jeszcze bardziej, jakbym nie była już Ali Bell, lecz miała na duszy wypalone słowa „Własność Cole’a Hollanda”. Jakbym nie była sama i nigdy już miała nie być sama. Jakby jego część zawsze mi towarzyszyła, nawet gdybyśmy znajdowali się na dwóch krańcach świata.

– Powiedz mi, kiedy trafię na właściwe... – zaczął.

Westchnęłam, moje biodra uniosły się gwałtownie nad łóżkiem.

– ...miejsce – dokończył.

Mój umysł był całkowicie owładnięty szczęściem, myśli spalały się, nim mogły przybrać określoną formę. Zmagałam się z oddechem, oblewając się potem. Wszystko, co za jego sprawą czułam... było zbyt przemożne... to, co robił... było zbyt przemożne, ale niewystarczające... i... i... ciśnienie narastało... i narastało...

Potem...

Coś we mnie pękło. Nie tylko pękło, roztrzaskało się na kawałki. Było to wspaniałe, olśniewające, ale też nieodwracalne, jakby każda cząstka mnie samej została odsłonięta. Czułam się wrażliwa i bezbronna jak nigdy przedtem. Tym samym nie miałam żadnych sekretów. Żadnych barier. Żadnej ochrony w jakiegokolwiek postaci.

Tylko Cole'a.

Poczucie więzi stało się jeszcze głębsze. Wzniesione na nowy poziom. Taki, o którego istnieniu nie miałam nawet pojęcia. Uświadomiłam sobie, że zawierałam mu nie tylko życie, ale też przyszłość. By mnie strzegł jak skarbu i nigdy nie porzucił. By zawsze traktował mnie uczciwie. By uwzględniał moje uczucia i dobro przy każdej kolejnej decyzji.

Wciąż dyszałam, pokryta teraz kropelkami potu od stóp do głów, ale nie zwracałam na to uwagi. Chciałam się śmiać.

– To było zdumiewające.

– Tak – zamruczał Cole.

Nie wydawał się równie uszczęśliwiony jak ja. Żrenice miał rozszerzone, rysy ściągnięte napięciem; nie trzeba było szczególnej przenikliwości, by się zorientować, na czym polega problem. Pragnął czuć to, co ja właśnie poczułam. Pragnął... pęknąć.

– Powiedz mi, co mam robić – poprosiłam.

Żrenice powiększyły mu się jeszcze bardziej, niemal tłumiąc cały fiolet.

– Jesteś pewna?

Tak.

Och, tak.

Zaczął mi udzielać instrukcji chrapliwym i stłumionym głosem. Posłuchałam, dodając to i owo od siebie.

Chwycił mnie za włosy, potem zacisnął palce na prześcieradle.

– Ali.

Moje imię było jedynie zmysłowym tchnieniem.

Choć w tej rundzie nie chodziło o mnie, przeżywałam to tak jak on. Tak samo złączona z nim jak przedtem. Świadomość, że czuje to, co ja czułam, że to dzięki mnie, że to ja sprawiam, iż tak właśnie czuje, że mógłby mieć na każdej swej cząstce odcisnięte słowa „Własność Ali Bell”, była słodka i odurzająca.

– Ali!

Tym razem usłyszałam głuchy pomruk.

Idealne zakończenie.

Potem leżeliśmy przytuleni do siebie, moja głowa spoczywała na jego piersi. Serce waliło mu młotem.

– Zawsze tak jest? – spytałam. Nie posunęliśmy się do końca, ale jednak... określiłabym to doświadczenie jako „blisko”.

– Kiedy jest się zakochanym, to robi to ogromną różnicę.

Wierzyłam w to. Wiedziałam też, że nie kochał innych dziewczyn – i nie twierdził, że kochał. Mimo to byłam zazdrosna w niezrozumiały dla mnie sposób.

– Wiem, że to wiesz, ale powtórzę – powiedział, wyczuwając zapewne, że zeszytniałam.

– Kiedy jesteśmy razem w łóżku, nie ma z nami nikogo innego. Tylko ty i ja. Nie porównuję cię z nikim. Jak mógłbym to robić? Nikt nie mógłby się z tobą równać.

Pozbawił moją zazdrość obezwładniającym wigoru, ja zaś nie miałam pojęcia, czy zareagować ekscytacją, czy wkurzeniem. Może jednocześnie tym i tym? Pociągnęłam zębami kolczyk w jego sutku.

– Jak na wielkiego, twardego faceta, jesteś odrobinę uległy – zażartowałam złośliwie.
– Narzekasz? – Owinął sobie wokół palca kosmyk moich włosów. Nawyk, jak przypuszczałam. – Bo nie zapomniałem, że jestem ci winien klapsa.

Parsknęłam i roześmiałam się w tej samej chwili, co nie zabrzmiało zbyt pociągająco. Cole wyszczerzył zęby.

– Szkoda, że moja matka nie żyje. Uwielbiałaby cię.

Może. Każdemu wolno marzyć.

– Była zabójcą – odparłam, przypominając sobie, co mi kiedyś powiedział. Została zaatakowana przez hordę zombi i pogryziona. Antidotum nie podziałało i później powstała z grobu jako zombi.

A potem zaatakowała Cole’a.

Pan Holland był zmuszony ją zabić – ponownie.

– Tak, i to dobrą. Ale lepiej jej wychodziła rekrutacja nowych kandydatów do drużyny. To ona sprowadziła mamę Veroniki, dawną pracownicę Animy.

Dzielił z Veronicą więcej, niż sobie uświadamiałam. Nic dziwnego, że łączyły go z Julianą tak silne więzy. Dorastali zapewne razem.

No cóż, witaj. Zazdrość powróciła.

Po tym wszystkim, co właśnie robiliśmy, co przeżywaliśmy wspólnie, nie powinno mnie to irytować. Kluczowe słowa: nie powinno.

– Jak to jest? Ufać byłemu pracownikowi Animy? – spytałam. – Twoja mama i tata nie bali się, że pojawił się szpieg?

– Z początku. Ale znajdowała się jakiś czas w stanie nieświadomości, a tego nie udaje się łatwo. Kiedy doszła do siebie, straciła pamięć, ale zasłużyła na ich lojalność, ratując mojej mamie życie.

Tak, ale nawet to mogło być trikiem. Zaplanowanym z góry podstępem. Nie znaczy, że było, ale owszem.

– Jak twoi rodzice zareagowali, kiedy zaczęliście chodzić ze sobą, ty i Veronica?

– Moja mama już nie żyła.

Cholera! Przecież kiedy odeszła, był jeszcze za młody, żeby się umawiać z dziewczynami.

– Przepraszam.

– Ale bardzo by się jej podobało – dodał cicho, a ja znowu zeszywniałam. – Matka Veroniki nie interesowała się swoimi dziećmi, więc moja mama przez jakiś czas otaczała je czymś w rodzaju opieki. Faworyzowała zwłaszcza starszą dziewczynkę.

Biedna Veronica. Biedna Juliana. Wiedziałam, że nie miały łatwego dzieciństwa, ale ilekroć o nim słyszałam, wydawało się jeszcze gorsze. Mimo to zastanawiałam się siłą rzeczy – ziewając jednocześnie – czy związek obu kobiet nie był tym „asem w rękawie”, o którym wspominała Veronica.

Cole pocałował mnie w czoło.

– Śpij, kochanie. Jutro wielki dzień.

– Jeszcze nie. Muszę ci coś pokazać. – Ziewając jeszcze szerzej, chwyciłam telefon – zobaczyłam milion wiadomości od Kat i jedną od babci i zaznaczywszy sobie w pamięci, żeby się z nimi skontaktować, wyświetliłam zdjęcia. – Znalazłam to w pokoju Camilli. – Postanowiłam nie wspominać o Helen. Jeszcze nie teraz. – Potrafisz to odszyfrować?

Im silniejsze były nasze duchy, tym łatwiej otwierał się przed nami kod. Tym razem jego duch był silniejszy od mojego.

Oparł się o wezglowie, oglądając z uwagą każde zdjęcie. Ja też usiadłam, oczarowana

nim. Mógłby uchodzić za uosobienie koncentracji. I po chwili, och, wielkie nieba, po chwili jego oczy wypełniło płynne srebro, pochłaniając fiolet całkowicie.

Coś więcej niż okna duszy. Zwierciadła. Było to niesamowite.

I cholernie odlotowe.

– „We właściwym czasie, we właściwym miejscu, poświęcenie jednej doprowadzi do wyzwolenia wielu – przeczytał. – Bądźcie gotowi. Musicie być gotowi. Niebawem. Ona nadejdzie niebawem. Bądźcie gotowi”. – Urwał. – Te słowa powtarzają się raz po raz.

Ukłucia strachu, niczym tysiące szpileczek na mojej skórze. Dziennik, który czytałam, spisywany był w czasie przeszłym, ten jednak mówił o przyszłości. Kto go napisał? I skąd autor wiedział, co się stanie? Umiejętność zabójcy? Na przykład wizje?

– Kim jest „ona”? – spytałam, myśląc głośno. – Ta „jedna”, która się poświęci?

– Nie wiem.

– Może... – Kiedy ziewnęłam po raz trzeci, Cole musnął palcami moje powieki, zmuszając mnie, bym zamknęła oczy.

– Śpij – powtórzył, kładąc mnie na poduszkach. – Do zobaczenia rano, Ali-gatorze.

– Ale mam wiadomości i muszę... – Potem już nic nie wiedziałam.

*

Na łóżku rozlewał się blask słońca, budząc mnie. Zamrugałam i otworzyłam oczy, by zorientować się po chwili, że Cole kołysze mnie w ramionach; uśmiechnęłam się. Nie wypuścił mnie z objęć przez całą noc, trzymał mnie blisko siebie, jakby nie mógł znieść myśli, że pozostanie beze mnie, choćby na sekundę.

Pocałowałam go i usiadłam, włosy opadały mi na ramiona.

– Pośpij sobie dłużej – mruknął, próbując położyć mnie na łóżku.

Chichocząc, obróciłam się do niego. Powieki miał do połowy opuszczone, ale to wystarczyło. Nasze spojrzenia spotkały się i sypialnia rozplynęła się gdzieś...

...byliśmy w lesie, księżyc stał wysoko, pełny i złoty. Lód zniknął już w większości, ale musiał roztopić się niedawno, bo ziemia była mokra i błotnista. Cole klęczał przed grubym pniem drzewa. Na policzkach i koszuli miał krew, widniała też na jego rękach. Na rękach, w które się wpatrywał, jakby nie wierząc własnym oczom.

Przeszłam obok niego, jakbym go w rzeczywistości nie dostrzegała.

Popatrzył na mnie, po twarzy spłynęła mu samotna łza. „Próbowałem – wychrypiał. – Tak bardzo...”

...ktoś załomotał do drzwi, wrywając nas gwałtownie z tej wizji.

Do diabła! Głupia ingerencja! Co sprawiło, że Cole’a spotkało takie poníženie? Czy był ranny? Co zasnuło mi oczy mgłą?

Nie mogę pozwolić sobie na troskę.

Po moim policzku także spłynęła samotna łza.

– Nic mi nie będzie – zapewnił, tuląc w dłoniach moją twarz.

Znowu łomot do drzwi.

Cole rzucił warkliwie pod adresem tego, kto pukał:

– Wstaliśmy!

– Wychodzimy za dwadzieścia minut. Przygotujcie się albo zostanieie.

Milla. Żaden z niej ranny ptaszek, jak widzę.

– Życzę szczęścia, jeśli spróbujecie dostać się bez nas do domu pana Ankha! – odkrzyknęłam.

Cole pocałował mnie w czoło i wstał – popatrzyłam na niego z otwartymi ustami. Był

nagi i nie przejmował się w najmniejszym stopniu, że widzę jego doskonale pośladki.

– Weź prysznic – powiedział, wciągając bokserki.

Rozczarowanie.

– Zrób, co trzeba – dodał. – Ja zrobię to samo po tobie.

Nie zamierzaliśmy rozmawiać więcej o wizji.

Wizja.

Świadoma tego, co zobaczyłam, pognałam do łazienki i zabarykadowałam się w środku.

Wiedziałam, że to na nic. Gdyby Cole chciał wejść, toby to zrobił. Zamknięte drzwi nigdy wcześniej go nie powstrzymały. Po prostu nie chciałam, żeby widział, jak płaczę.

Szufladkuj.

Próbowałam. Naprawdę próbowałam. Ale ściany się chwiały, grożąc ponownie zawaleniem. Po policzkach spływały mi piekące łzy. Przeszliśmy ostatnio tak wiele i wiedząc, że tyle jeszcze przejdziemy...

Odkręciłam prysznic, żeby zagłuszyć szlochanie.

Jeśli powiedzenie „co cię nie zabije, to cię wzmocni” jest prawdą, to zamierzałam być najsilniejszą dziewczyną na całym cholernym świecie.

W tej chwili każda decyzja, którą musiałabym podjąć, była istotna. To, co bym powiedziała, co bym zrobiła, komu bym zaufała, pomogłoby mi albo zaszkodziło – pomogłoby Cole’owi albo mu zaszkodziło. Uratowałyby nas przed sztormem albo sprowadziło na nas jeszcze większy. Tak, wiem, czasem sztormy są konieczne. Nawet kwiaty potrzebowały wody. Ale...

Łzy wciąż płynęły, a ja weszłam pod prysznic i umyłam się. Odzyskawszy w końcu spokój, wytarłam się, włożyłam rzeczy, które miałam na sobie, idąc do łazienki – fuj, brudne rzeczy. Podkoszulek, bez stanika. Szorty udające spodnie. Musiałam wyglądać jak obszarpany włóczęga.

Wysłałam z łazienki w chmurze pary. Cole wiedział często, czego mi trzeba, jeszcze nim otworzyłam usta, i teraz właśnie był taki moment. Położył na łóżku parę czystych spodni od dresu i kurtkę.

Każda dziewczyna powinna mieć swojego Cole’a Hollanda. Tylko nie mojego!

– Tata przesłał mi wiadomość – powiedział. – Wytropił człowieka, który pracował kiedyś dla Animy. Na samej górze. Facet twierdzi, że Anima to jedna z wielu agencji będących własnością firmy patronackiej, która zarabia głównie na patentach medycznych i jest zarządzana przez kobietę, Rebecę Smith.

Smith.

– Jak tajemniczo – mruknęłam.

– Tak. Nazwisko jest prawdopodobnie fałszywe, ale to już coś. Tata bada sprawę i poinformuje nas, jeśli dowie się czegoś więcej. – W jednej ręce trzymał ubranie, a drugą musnął mi brodę, przechodząc obok. Wiedziałam, że zauważył różowe ślady po łzach. – Wszystko będzie okay – powtórzył i zamknął się w łazience.

Włożyłam nowe rzeczy, wysuszyłam włosy ręcznikiem i zadowoliliam optymistyczną Ali. W wizji jest zakrwawiony, owszem, ale żyje. To coś znaczy, zgadza się?

Tak, zgadza się bardzo.

Wiedząc, że zdołowana Ali znajduje się w odległości zaledwie kilku uderzeń serca, zaczęłam śpiewać w duchu „la, la, la”, wkładając skarpetki i buty, które też czekały na mnie już przygotowane. La, la, la, dzisiaj będzie dobry dzień. Ochronię Cole’a. Dowiem się czegoś o Justinie.

Wzięłam telefon ze stolika nocnego i sprawdziłam wiadomości, które Kat i babcia przesłały mi zeszłego wieczoru.

Kat: „Słyszałam, że jesteś z zabójcami. Łapiesz motyle? Czy może mam tam przygnać z łomem i alibi? Nigdy nie zawadzi być przygotowaną!!!”.

Kat: „Przy okazji, jesteś mi winna dziewczynski dzień na mieście. Ustalimy datę, jak tylko dotrzesz do domu!”.

Babcia: „Tęsknię za swoją dziewczynką. Mam nadzieję, że wszystko z tobą w porządku. Kocham cię!”.

Kat: „Powiedz mi, jeśli już słyszałaś ten dowcip. Co zombi powiedział swojej dziewczynie?”.

Kat: „Kocham kobiety z MÓZZZGIEM”.

Uśmiechnęłam się i szybko wystukałam odpowiedzi. Powiedziałam Kat, że ani łom, ani alibi nie są potrzebne, ale że dziewczynski dzień ma jak w banku. Babci napisałam, jak bardzo ją kocham, jak za nią tęsknię i że wszystko jest w porządku.

Cole wyłonił się z łazienki ubrany w te same rzeczy, które nosił poprzedniego dnia. Włosy miał mokre, czarne kosmyki wydawały się niebieskie. Ze skroni spłynęło na brodę kilka kropelek i spadło na podłogę. Podeszłam do niego, żeby przetrzeć mu włosy ręcznikiem.

Objął mnie i przytulił, chłonąc moją postać przez kilka chwil.

– Chcesz poznać powód szesnasty?

– Tak bardzo, że prawdopodobnie uszkodzę ci kręgosłup, jeśli nie zechcesz mi powiedzieć.

Powody, dla których mnie kochał, były dla mnie równie ważne jak oddychanie.

– Nawet jeśli będziesz wiedzieć, że nadchodzi koniec, nie pozwolisz mi odejść.

Koniec? Nie, nie, nie, to niemożliwe.

– Dopiero zaczęliśmy – powiedziałam, opuszczając ręcznik na jego ramiona. – Nie będzie końca. – Przez kilkadziesiąt najbliższych lat. – Mówiłeś, że nic się nie stanie.

– Wiem, kochanie. Wiem. Nie mówię o wizji.

Odrężyłam się, ale tylko trochę.

– Więc o czym?

– Kiedy mieliśmy tę wizję, w której obściskiwaliśmy się z Gavinem...

– Hej! Nie obściskiwaliśmy się. A.Z. próbowała go zjeść.

Cole pocałował mnie w czubek głowy.

– Wiem. Chodzi o to, że przestałem ci ufać, przestałem ufać w to, co o tobie wiedziałem, i zamiast tego uwierzyłem w to, co widziały moje oczy albo umysł. Ale ty nie. Kochałaś mnie i byłaś gotowa za mnie walczyć. No cóż, chcę, żebyś znów mi zaufała. Żebyś uwierzyła, że nigdzie nie odejdę.

Ufać. Miał rację.

W nocy zawierzyłam mu swoim ciałem. Tego dnia byłam gotowa zawierzyć temu, co mówił.

– Tak jak już mówiłem, zdołałem cię odzyskać. Nic i nikt nie odbierze mi ciebie, Ali. Nigdy więcej.

NIE MA TO JAK KOŚCI

Podczas godzinnej jazdy do domu pana Ankha sporządziłam mentalne drzewo decyzji. Pytanie na poziomie korzenia: gdzie Camilla i River zdobyli zakodowane dokumenty?

Pień: spytać czy nie spytać?

Konary: gdybym spytała, toby się zorientowali, że je widziałam. Gdybym nie spytała, nie dostałabym odpowiedzi.

Czy to, że się dowiedzą, byłoby takie złe?

Niezupełnie. Co najgorszego mogłoby mnie spotkać? Oskarżenie, że węszyłam?

Więc zrobiłam to. Spytałam.

– Jak śmiałaś! – warknęła Camilla. – Grzebałaś w moich rzeczach.

– Nie, tak naprawdę. – Może trzeba było nakreślić konary nieco większe i wybrać inne miejsce na tę rozmowę. Zatłoczony samochód – zła decyzja. – To moja wina, że zostawiłaś papiery na biurku, żeby każdy mógł je zobaczyć? Chwila. Pozwól, że odpowiem za ciebie, bo jestem szczerą. Nie. No dobra, kto to napisał i czy wiecie, co to jest?

Pytanie, które w rzeczywistości pragnęłam zadać: „Czy wiecie, kim jest »ona«?”.

River popatrzył na mnie z gniewem.

– Jeden z naszych szpiegów zobaczył ten dokument w jakimś biurze Animy i zrobił kopie. Nie, nie potrafiliśmy tego odszyfrować.

Prawda czy kłamstwo? Ufać mu czy wątpić w jego słowa? Nie mogłam skutecznie jednocześnie jednego i drugiego.

– A ty potrafisz? – spytała ostrym tonem Camilla. – To znaczy odszyfrować ten tekst?

No cóż, do diabła. Bez względu na konsekwencje, nie mogłam – nie umiałam – kłamać. Czy nie to właśnie powiedziałam jej wcześniej?

– Tak – odparłam. – Mówi o poświęceniu jednej osoby, co doprowadzi do wyzwolenia wielu innych, i o przyjsciu jakiejś „onej”. Ale nie wspominają, kim jest ani co ma zrobić.

– Jak zdołałaś to odszyfrować? – spytał River.

Zacisnęłam usta, nie chcąc wspominać o dzienniku.

– To kwestia duchowa. – Cole postukał palcami w kierownicę SUV-a pana Ankha. Ludzie Rivera zabrali go, ale wóz został nam zwrócony w geście dobrej woli. – Musicie patrzeć na te stronice oczami ducha, nie umysłu.

Zabręczała moja komórka, jej dźwięk w nagłej ciszy rozbrzmiał niczym sygnał trąbki.

Spojrzałam na ekran. Następna wiadomość od Kat.

„CZERWONY ALARM. Są tu gliniarze, pytają o Trinę, Lucasa i Cruza. Co robiliśmy poprzedniej nocy. Ankh gada jak trzeba, nie wspomina o ranie Cole’a, Z. ani też Animie. Powiedział im nawet, że tu jedziecie. Tak do twojej wiadomości: wyjaśnił, że tata Cole’a wyjechał w interesach, a twoja babcia z nim pojechała jako nowa asystentka, tak mi się zdaje. Czas wracać do jaskini lwa. Powiedziałam im, że muszę się wysikać, i nie chcę, żeby myśleli, że zwiąlam. Albo, rozumiesz, musiałam się wysikać. Do zobaczenia, jak się zobaczymy. Powodzenia!”

– Słuchajcie. – Westchnęłam. Jakby potrzeba było nam jeszcze więcej kłopotów. W dodatku natury prawnej. – Mamy mały problem.

Odczytałam wiadomość. No cóż, z grubsza.
River i Camilla zakłękli zgodnie.
– Zapukali już do moich drzwi – poinformował River.
Cole przestał bębnić w kierownicę.
– Co im powiedziałaś?
– Że nie miałem nic wspólnego z tym, co się stało. Potem podałem im alibi mur-beton.
Mogłam się założyć, że alibi dostarczyli mu jego ludzie, co oznaczało, że policja tego nie kupiła. I gdyby kiedykolwiek znalazła Collinsa...
– To, że teraz pokażemy się razem, zaszkodzi nam czy pomoże?
– Pomoże – oznajmił Cole, a River powiedział jednocześnie: „Zaszkodzi”.
Wspaniale.
– Może powinni wiedzieć, że współpracujemy, by znaleźć tych, którzy chcą nas załatwić?
– dodał Cole. – Bo jeśli będą nas śledzić, a jestem tego pewien, to zobaczą nas razem i zaczną się zastanawiać, dlaczego nie powiedzieliśmy słowa o naszym przymierzu.
River zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.
– W porządku. Ale jeśli mnie zdradzisz, zabiję cię.
O, do diabła, nic z tego. Śmiertelne groźby były niedopuszczalne.
– Powtórz to, a zrobię koszmarnie rzeczy z twoimi wnętrznościami – oświadczyłam.
River wzruszył ironicznie ramionami.
Cole pociągnął mnie za płatek ucha – siedziałam na fotelu pasażera.
– To słodkie z twojej strony, kochanie. Chciałbym nawet, żeby to powtórzył. Później. Na razie każdy przybiera radosną minę. Jesteśmy na miejscu.
Żelazna brama oddzielająca posesję pana Ankha od reszty świata otworzyła się automatycznie, reagując na sensor zamontowany w tablicy rozdzielczej wozu. Ani River, ani Camilla nie wyglądali na specjalnie poruszonych widokiem rozległej rezydencji z alabastrowymi kolumnami i balkonami otaczającymi dom, a ja się zastanawiałam, czy ma to coś wspólnego z dumą. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy mają więcej niż inni.
Na kolistym podjeździe stał nieoznakowany sedan. Cole zaparkował za nim, my zaś wyjęliśmy broń i schowaliśmy ją pod fotele i do skrytek, nie zostawiając niczego na widoku.
Uporałam się z tym pierwsza i wyszłam na zimny poranek, oddychając głęboko. Twarz spowijały mi kłęby pary. Myślę, że moje mokre włosy zamieniły się w sopłe, kiedy szukałam na niebie króliczej chmury. Kiedy ją dostrzegłam, moje serce puściło się wespół z zębami w istne tango. Na domiar złego czekała nas tej nocy walka z zombi.
Wspaniale! Nie mieliśmy na to czasu.
Hm. Zabójca, który nie ma czasu dla zombi? Chyba zasługiwałam ostatecznie na tego klapsa, skoro byłam taka tępa.
Cole stanął obok mnie. Weszliśmy do środka ręka w rękę, River i Camilla podążali tuż za nami.
– Pojawiała się królicza chmura – powiedziała szeptem.
Zauważyłam, że zeszywniał, ale odparł:
– Będziemy gotowi. Nie martw się.
Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, ogarnęło mnie ciepło, ale nie czułam się przytulnie.
Jakie nas oczekiwało przesłuchanie?
– Cole? – zawołał pan Ankh.
– Tak – odpowiedział zwyczajnie, jakby niczym się nie przejmował.
– Bądź tak dobry i przyjdź do mojego gabinetu. I zabierz ze sobą pannę Bell.
Okay. Trudno.

Gra się rozpoczęła.

Ruszyliśmy we czwórkę do gabinetu, nasze buty stukały hałaśliwie o marmurową posadzkę. Drzwi pokoju były otwarte, dzięki czemu mogliśmy zobaczyć jego wnętrze, jeszcze nim weszliśmy do środka. Siedziało tam dwoje detektywów. Mężczyzna i kobieta. On wyglądał na trzydzieści kilka lat, ona była po czterdziestce. Żadne z nich nie powitało nas uśmiechem, ale oboje obrócili się na swoich miejscach, by przyjrzeć się nam dokładniej.

Pan Ankh przedstawił wszystkich z wyjątkiem Rivera i Camilli. Skinęłam głową detektywowi nazwiskiem Gautier i detektyw nazwiskiem Verra.

– Mają kilka pytań, jeśli chodzi o tę noc, kiedy doszło do strzelaniny – powiedział. – Wasi przyjaciele powinni chyba zaczekać...

– Nie – przerwał mu Gautier. – Ich też to dotyczy. Mogą zostać.

Obecni byli wszyscy prócz Mackenzie, Veroniki i Juliany. Kat i Reeve, siedzące razem na kanapie, posyłały mi lakoniczne sygnały. Szron i Bronx stali obok pana Ankha, który zajął miejsce za biurkiem. Jacklyn i Gavin usadowili się na jego brzegach. Niesamowite, że widziałam Gavina już na nogach.

Zauważył, że na niego patrzę, i mrugnął, ja zaś z trudem powstrzymałam chęć, by do niego podbiec i uściskać go. Nie wyglądał na gościa, który niedawno odniósł śmiertelną ranę. Sprawiał wrażenie zdrowego, krzepkiego. I dzięki Bogu, znowu mógł być cholerną zadrą w moim tyłku.

Cole zajął jedyne wolne miejsce na kanapie i posadził mnie sobie na kolanach. River usiadł na podłokietniku sofy; spodziewałam się, że Camilla pójdzie w jego ślady i przycupnie po drugiej stronie, ale postanowiła zostać tam, gdzie była.

– Proszę nam powiedzieć, co się wydarzyło w noc ataku – odezwała się Verra, spoglądając z uwagą na Cole'a. Stanowiła uosobienie rzeczowości. – A potem proszę wyjaśnić, dlaczego przebywa pan w towarzystwie swego największego rywala.

Cole tylko zamrugął.

– Rywala?

Gautier postukał się długopisem o udo.

– Prowadzicie ze sobą wojnę, czyż nie?

– Naprawdę wierzy pan w to, co mówią w wiadomościach? Że stanowimy dwa zwalczające się gangi? – Cole parsknął ironicznie. – Sorry, ale to chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Oboje detektywi spojrzeli na niego ze złością.

– Mam grupę przyjaciół – ciągnął. – Trzymamy się razem. To wszystko.

– Już o tym mówiliśmy – odezwał się pan Ankh.

– Podobno pojawiacie się w szkole pokaleczeni i posiniaczeni, i to bezustannie – powiedziała Verra, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Cole'a.

– A to jakieś przestępstwo? – spytałam.

Teraz detektywi skupili uwagę na mnie. Myśleli chyba, że zacznę się niespokojnie wiercić, ale bywałam już w gorszych sytuacjach i nie cofnęłam się.

Nim któreś z nich zdążyło się odezwać, Cole wtrącił:

– Posłuchajcie, oglądałem akurat telewizję, kiedy Ali przesłała mi wiadomość. Pytała, czy może przyjechać. Odpowiedziałem, że tak.

– O której godzinie? – spytał Gautier, zapisując coś w notatniku. – I co konkretnie pan oglądał?

– Było około trzeciej nad ranem. Lecieli *Pogromcy kaczek*.

– Nawet jeśli tego akurat nie nadawali? – spytała Verra, sądząc bez wątplenia, że

przyłapała go na kłamstwie.

– Ściągnąłem z Netfliksu.

Ledwie dostrzegalny grymas irytacji, nim zwróciła się do mnie.

– A ty? Co robiłaś? Dlaczego kontaktowałaś się z nim o tak późnej porze?

Gdyby mogli wejść w posiadanie naszych esemesów – a zgodnie z tym, co pokazywano w serialach policyjnych, mogli jak najbardziej – to pojawiłyby się problemy. Musiałam załatwić to od razu.

– Polowałam na zombi – odparłam, czym zaskarbiłam sobie zszokowane spojrzenia większości przyjaciół. – Młodzi ludzie lubią gry wideo, rozumie pani.

Ani krztyny kłamstwa.

Rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

– Dlaczego skontaktowałaś się z panem Hollandem tak późno? – powtórzyła detektyw.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mogłam zasnąć. – Była to prawda, pomijając kilka istotnych dla sprawy szczegółów.

– Przyjechała – ciągnął Cole. – My... – Spojrzenie jego fioletowych oczu przesunęło się po pokoju, powieki zmrużyły. Wiedziała, że nie chce za żadne skarby omawiać spraw osobistych w obecności innych ludzi. Zwłaszcza obcych. – Byliśmy zajęci. Ktoś strzelił. Roztrzaskał szybę w moim oknie.

Gautier znowu zaczął stukać długopisem.

– Byliśmy w pańskim domu. Ktoś próbował posprzątać sypialnię, ale jeśli czegoś nie widać, to nie oznacza wcale, że tego nie ma. Znaleźliśmy ślady krwi na podłodze.

– Kula drasnęła mnie w ramię. Już wyzdrowiałem.

Nieźle. Tak, kula drasnęła go w ramię... Przebiła skórę i mięsień i wyszła po drugiej stronie.

– Krew jest moja – ciągnął. – Możecie pobrać ode mnie próbkę i porównać z tym, co znaleźliście. I owszem, mój tata próbował posprzątać. Nie chciał, żebym mieszkał w bałaganie. Kawalkach szkła i zaschniętej krwi. Nie wiedziałem, że to przestępstwo.

– Utrudnianie pracy policji jest zawsze przestępstwem. – Verra też sporządziła jakieś notatki. – Został pan postrzelony. Dlaczego nie poszedł pan na policję? Albo chociażby nie zadzwonił? Dlaczego nie pojechał pan do szpitala?

Cole oparł brodę na moim ramieniu.

– Jak pani widzi, wszystko ze mną w porządku. Nie musiałem jechać do szpitala i wydawać tysięcy dolarów na bandażę i środki przeciwbólowe. A nie zadzwoniłem na policję, bo w pierwszej chwili nie wiedziałem, co się stało i co jest z pozostałymi. Kiedy się dowiedziałem, no cóż, nie miałem pojęcia, komu mogę zaufać.

Szczerze i niepodważalnie.

– Gdzie jest teraz pański ojciec? – spytał Gautier.

– Zajmuje się podróżopisarstwem, nie mam na ogół pojęcia, gdzie akurat przebywa.

Mieszkam pod jego nieobecność u pana Ankha.

Pan Holland zajmował się podróżopisarstwem? Naprawdę?

– Dziwne, że zostawił swojego syna dzień po jego postrzeleniu – zauważyła Verra.

Cole obdarzył ją nieznacznym, ironicznym uśmiechem.

– W świetle prawa jestem dorosłym człowiekiem, który potrafi o siebie zadbać. Ojciec wie o tym.

Gautier jeszcze nie skończył.

– Wie pan, dokąd poleciał? Mamy do niego kilka pytań.

- Nie – odparł Cole. – Z tego co wiem, miał się dokądś wybrać samochodem.
- Rozumiem. – Verra skupiła uwagę na mojej osobie. – A twoja babcia też wyjechała?
- Tak – potwierdziłam. – Ja także mieszkam u pana Ankha.

Teraz przeniosła zainteresowanie na pana Ankha.

- Jest pan odpowiedzialny za wielu nastolatków.

– Nie wszyscy są nastolatkami. Ale owszem, nic im tu nie grozi – powiedział, opierając złożone dłonie na biurku. – Dysponuję zabezpieczeniami, o jakich inni ludzie mogą tylko pomarzyć.

- A potrzebuje ich pan, bo...

Nie zamierzała odpuszczać, bez dwóch zdań.

– Rozumiem, że wykonujecie swoją pracę – odezwał się Cole, zanim pan Ankh zdążył udzielić odpowiedzi. – Że pragniecie znaleźć tych, którzy zabili moich przyjaciół i próbowali zabić mnie przy okazji. Cieszę się. Chcę, żebyście schwytali ludzi za to odpowiedzialnych i by musieli za to zapłacić. Ale mój tata nie ponosi żadnej odpowiedzialności, podobnie jak pan Ankh. Oczywiście, że potrzebuje zabezpieczeń. Popatrzcie na ten dom i na wszystkie cenne rzeczy, które się tu znajdują. – Nie dał im czasu na odpowiedź. – River też nie jest odpowiedzialny. Tak, ja też słyszałem to, co podano w wiadomościach, więc jak najszybciej się z nim skontaktowałem. Przekonał mnie, że tego nie zrobił, że został wmanewrowany, więc proponuję, byście zaczęli odwalać lepszą robotę, zanim sami ustalimy prawdę.

Gautier wyprostował się na krześle, jak szarpnięty niewidzialnym drutem doczepionym do kręgosłupa.

– Nawet nie myśl o zemście, synu. Przeszkodzisz nam w śledztwie, a sam wylądujesz za kratkami.

Nikt z nas nie poczynił żadnych obietnic.

Jak na dany znak, oboje detektywi wstali z miejsc.

– Myślę, że to na razie wszystko. Dziękuję, że poświęciliście nam swój czas – powiedziała Verra. – Będziemy w kontakcie.

Nie wątpiłam w to ani przez chwilę.

Ich kroki odbijały się echem, kiedy ruszyli w stronę drzwi. Trzask. Minutę później ożył z warkotem silnik ich samochodu. Dopiero wtedy wszyscy odetchnęli z ulgą.

Cole objął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Wyświadczyć mi przysługę i zabierz stąd dziewczyny – poprosił szeptem. – Chcę, żeby River powiedział zabójcom o Collinsie i Justinie.

Biedny Cole. Musiał przechodzić ten horror ponownie.

Postanowiłam, że później mu to wynagrodzę. Pocałowałam go i podniosłam się.

– Kat, Reeve, chodźcie ze mną. Umieram z głodu i kiedy będę pochłaniała zawartość spiżarni, wy zrelacjonujecie mi wszystko, co się wydarzyło pod moją nieobecność. Albo zamęczycie mnie pytaniami, co się wydarzyło po mojej stronie.

Obie dziewczyny wstały pospiesznie, wyraźnie zachęczone.

– Najpierw mnie przedstaw. Proszę – odezwał się River, skupiając całą uwagę na Kat.

Oho. Ktoś miał lada chwila obudzić groźnego niedźwiedzia.

– Wszystko, co musisz o niej wiedzieć... – powiedział Szron, podchodząc do Kat, ujmując ją za kark i całując mocno, czym udowodnił, że groźny niedźwiedź się przebudził – ...to tyle, że jest moja i że z nikim się nie dzielię. – Zwrócił się do Kat. – Tęsknij za mną, jak mnie nie będzie.

– Nigdy.

– Okrutna. Bo ja będę tęsknił za tobą.

– To dlatego, że kochasz mnie bardziej niż ja ciebie.
Parsknął śmiechem i dał jej klapsa w pośladki.
– Wszyscy wiedzą, że kochasz mnie bardziej niż ja ciebie. A teraz zmykaj stąd, nim każę ci to udowodnić.
Uśmiechała się szeroko, wychodząc z gabinetu.
– Nie rozmawiaj z tą drugą ani nawet nie patrz na nią – uprzedził Bronx, wskazując kciukiem Reeve. – Przypadkiem jest moja.
Reeve pomachała mu.
Pan Ankh opuścił głowę i wsparł ją na dłoniach.
– Małe zaborcze sukinsyny, hę? – zwrócił się River do Camilli. – Co się stało z życzliwymi przyjaciółmi, którzy dzielą się wszystkim?
Ale ona patrzyła na Cole'a, jakby czekała na jego odpowiedź.
Przewróciłam oczami, wzięłam Reeve pod rękę i wyprowadziłam ją z pokoju. Kat siedziała już w kuchni, przyrządzając mi kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. Byłam jej winna ekstra zabawę! Usiadłam przy stole.
– Dzięki – powiedziałam, nie posiadając się z wdzięczności, kiedy postawiła przede mną talerz. – Jak się czujesz?
– Lepiej – odparła.
I tak też wyglądała.
– Więc gdzie są Veronica i Juliana? – spytałam.
– Zamknięte w swoim pokoju – wyjaśniła Reeve, zajmując krzesło po mojej lewej stronie.
– Mój tata nie chciał, żeby się pokazywały. Prosił też, żebyśmy nie wspominały o nich policji.
A więc naprawdę funkcjonowały poza oficjalnym obiegiem. Zastanawiałam się dlaczego.
– Hm, Ali... – zaczęła Kat, zajmując miejsce po mojej prawej stronie.
Oho.
– Co jest? – spytałam, czując, jak ostatni kęs zamienia się w ołowianą kulkę. – O co chodzi?
Obie wymieniły spojrzenia przeładowane grozą.
– Chłopcy rozmawiali o twojej nowej umiejętności – odparła Kat, splatając nerwowo palce. – Powiedzieli, że to... no... tak nielukrowe, jak to tylko możliwe.
Z pewnością dla zombi.
– I? – przynagliłam, odprężając się trochę.
– Cóż – odezwała się Reeve, przejmując pałeczkę od Kat. – Kiedy mój tata się o tym dowiedział, to zbladł. Osunął się na fotel i, wierz mi, bałam się, że zwymiotuje obiad, który mu przez godzinę szykowałam.
– I? – spytałam. Wyciąganie odpowiedzi od tych dwóch dziewczyn było gorsze niż wrywanie zęba.
Kat zagryzła wargę.
– Powiedział, że zna tylko jedną osobę, która potrafiła to co ty, i że nazywała się Helen Conway.
Helen Conway.
Helen.
Moja Helen.
No cóż, to dowodziło tego, co Helen powiedziała wtedy w lesie. Naprawdę wydarzyło się to wczoraj? Choć wydawało się, że wieki temu? Jej dłoń zawisła nad moją, a mnie przeniknęło ciepło, przekazując jej umiejętność. Dar.
– Ali – zwróciła się do mnie Kat drżącym głosem. – Dziesięć lat temu Helen zginęła,

wykonując zadanie... dla Animy.

MASZ MÓZG?

Helen zginęła, wykonując zadanie dla Animy.

Te słowa kłębiły się w mojej głowie, sprawiając, że dosłownie wibrowałam od zdumienia i frustracji. Jeśli pracowała dla wroga, to dlaczego teraz mi pomagała? Żeby mnie zwabić, tym łatwiej podejść w przyszłości?

Sprytne, owszem. Ale niezbyt prawdopodobne.

Po pierwsze była świadkiem, a świadkowie pracowali dla Drużyny Dobra, nigdy Drużyny Zła. Po drugie, potwór nie przejmowałby się tym, że pozbywa się własnej córeczki.

Ale jej wyrzuty sumienia... Sen, nic więcej.

Nie. Nie wydawało mi się. Już nie. Emocje były prawdziwe, scena wyrazista. To się wydarzyło, nie miałam żadnych wątpliwości. Moje serce zaakceptowało coś, czego rozum nie potrafił jeszcze pojąć. W jakiś sposób wniknęłam w czyjąś przeszłość.

Tak, tu pojawiała się następna zagadka. Helen zmarła dziesięć lat wcześniej, mniej więcej rok po oddaniu swojej córeczki. A więc gdzie podziała się ta mała dziewczynka? No, już nie taka mała. Pamiętałam kalendarz, wiedziałam, że skończyłaby teraz siedemnaście lat... może osiemnaście.

Czy łączyło nas pokrewieństwo? Chyba tak. Nikt nie miał takich oczu jak nasze. Zawsze uważałam, że odziedziczyłam swoje po tacie, choć jego były ciemnoniebieskie. Jabłka i pomarańcze, jak musiałam teraz przyznać.

Zastanawiałam się, co Cole na to powie.

Spojrzałam na Kat.

– Znienawidzisz mnie, jeśli kolejny raz przełożę dziewczyński dzień?

– Tylko przez minutę. Potem przestałabym mieć o sobie zbyt wygórowane mniemanie.

Uśmiechnęłam się.

– Gdybym się interesowała dziewczynami...

– Wiem! Dobrałabyś się do mnie. Nie mogłabyś się powstrzymać. Ale to dotyczy każdej osoby na świecie.

Zdrowe ego jak zwykle nienaruszone? Zapamiętam. Pocałowałam ją w policzek i uściskałam Reeve.

– Dzięki.

– Zauważyłam, że mnie nie spytałaś o nienawiść – zażartowała Reeve.

– Mało prawdopodobne, byś zechciała podrapać mi twarz w ataku złości.

Skinęła głową.

– Fakt.

Chodziłam tam i z powrotem pod gabinetem pana Ankha przez dziesięć czy piętnaście minut, ale w środku toczyła się ważna rozmowa, a ja nie mogłam przeszkadzać. W końcu dałam spokój i zaszłam się w swoim pokoju, żeby ślęczeć nad dziennikiem i porównywać jego stronice ze zdjęciami w moim telefonie.

Wyśłek się opłacił. Znalazłam brakującą kartkę w dzienniku, papier wydarty tuż przy szysciu. Mój umysł przeskoczył od jednej myśli do drugiej. Skopiowana strona pochodziła od Animy. Helen dla niej pracowała. Jeśli wywodziła się ze strony mojej matki, to mogła mieć

dostęp do dziennika. Niewykluczone, że to ona wydarła stronicę i przekazała ją komuś.

Tym samym byłaby zdrajczynią, jak z absolutnym przekonaniem twierdził Cole.

Nie miałam czasu, by to przemyśleć. Do pokoju wszedł Cole i zamknął drzwi. Zdyszana, winna, zamknęłam dziennik i zerwałam się na równe nogi.

– Jesteś tutaj – oznajmiłam i przełknęłam z wysiłkiem.

Zmarszczył czoło.

– Nie chcesz, żebym tu był?

Tak. Nie. Może.

– Czy... – Cholera. – Powiedz mi, co wiesz o Helen Conway. – Nie mogłam już dłużej unikać tego tematu, nie zamierzałam. – Proszę.

– Co chcesz wiedzieć?

Wszystko.

– Cokolwiek.

– Dlaczego?

– Powiedz mi. Wtedy podam ci swoje powody.

Potań się po twarzy.

– Pracowała dla Animy z mamą Veroniki. Mieszkały razem, były przyjaciółkami. Potem mama Veroniki przeszła na drugą stronę. Ona nie.

– Jak zginęła?

– Mój tata ją zabił.

Okay. Tyle mogłam przewidzieć.

– Bo pracowała dla Animy?

Zmrużył oczy, w ich głębi kryła się nienawiść.

– Zombi być może stanowiły broń, która zabiła moją matkę, ale to ona pociągnęła za spust. Ona je wysłała. Potem założyła obręcz duchowi mojej matki i nasłała go na mnie i mojego tatę.

A ja, jak wszystko na to wskazywało, byłam z nią spokrewniona? Mogłabym zwymiotować.

– Tak mi przykro, Cole.

Zbył moje współczucie gestem dłoni, za bardzo poruszony, by zrobić na nim wrażenie.

– Skąd wiesz, że była winna? – spytałam.

– Dopadła tydzień wcześniej mojego tatę i przechwalała się tym, co zamierza zrobić.

Zaraz. Pokręciłam głową, nie wiedząc, co myśleć. Przechwalała się czy ostrzegała?

Nie chcę myśleć o niej jak najgorzej, prawda? Bez względu na mnóstwo dowodów, które przeciwko niej przemawiały.

– Potem po śmierci matki ojciec ruszył za nią – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Zastrzelił ją. I jeśli chcesz wiedzieć na ten temat coś więcej, będę musiał go spytać.

Przypuszczałam, że było to dla niego koszmarnie, jak rozdrapywanie starych ran, i nienawidziłam tego, ale nie powstrzymało mnie to.

– Tak, proszę. – Chciałam za wszelką cenę znać prawdę. – Spytaj go.

Ruszył na drugi koniec pokoju, żeby zadzwonić. Wystukałam numer babci.

– Ali! – Dźwięk jej głosu stłumił trochę chłód, który we mnie narastał. – Jak się czujesz?

– No... w porządku.

– W porządku? Nie brzmi to zbyt zajebiście, co?

Zajebiście? Och, babciu, tylko nie to słowo, błagam.

– Co u ciebie? – Wydawało mi się, że słyszę w tle pluskające fale.

– O dziwo, jestem wyluzowana. Przyznaję to z niechęcią, ale... to miłe. Od śmierci

twojego dziadka byłam... No, sama wiesz. Nie zdawałam sobie sprawy, że tego potrzebuję. I powiem ci, że czuję się winna! Dlatego, że tam jesteś, robiąc nie wiadomo co, a ja pewnie nie chcę nawet wiedzieć co.

Prawda.

– Nie musisz się o mnie martwić. Kopię tyłki i nie przejmuję się, do kogo należą.

– Och, kochanie. To wspaniale. Ale czy odżywasz się prawidłowo? Odpoczywasz?

Uprawiasz horyzontalne bara-bara z Cole'em?

Omam się nie udławiłam własnym językiem.

– Babciu!

– To usprawiedliwione pytanie, moja droga. Takie, które zasługuje na odpowiedź.

– Nie! – wypaliłam, pewna, że moja twarz ma przyjemny odcień homarowej czerwieni. –

Nie. – Nie do końca. Odchrząknęłam i zmieniłam temat. – Nic ci nie grozi?

– Nigdy nie czułam się bezpieczniejsza.

– Dobrze. To dobrze. – Urwałam na chwilę. – Babciu – zwróciłam się do niej, sugerując pośpiech. – Czy jestem spokrewniona z niejaką Helen Conway?

Cisza.

Tak przejmująca cisza.

– Babciu?

– Ali – odezwała się w końcu. Usłyszałam, jak odchrząkuje. – To moja siostrzenica.

Kuzynka twojej matki. Dlaczego pytasz?

Jej jowialność ulotniła się bez śladu.

No tak. Istniało rodzinne powiązanie. Co oznaczało, że mam krewną, która po pierwsze pracowała dla Animy i po drugie zabiła mamę Cole'a. Niesamowite.

– Dlaczego nigdy wcześniej o niej nie słyszałam? Nie przypominam sobie, żebyś o niej kiedykolwiek mówiła. Mama też o niej nie wspominała. Czemu?

Znowu cisza, ja zaś nie bardzo wiedziałam, co myśleć.

– Zniknęła zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Potem już się nie odezwała – wyjaśniła w końcu babcia.

– A jej rodzice?

– Nie żyją – odparła. – Tak jak Helen.

– Co z...

– Ali, nie mówmy o tym, dobrze? – Jej desperacja poruszała mi serce i gdybym była słabsza, zrobiłabym to, o co prosi.

Ale nie byłam słabsza.

– Nie mogę o tym nie mówić. – Nikt z jej rodziny, a tym samym z mojej rodziny, nie wiedział, że Helen pracuje dla Animy. W przeciwnym razie wiedzieliby o zombi, a nikt nie miał o nich pojęcia. – Muszę wiedzieć wszystko. Zasługuję na to.

Cole stanął przede mną. Mięśnie jego twarzy przypominały głaz albo lód wyrzeźbiony ostrzem hartowanym w ogniu wściekłości i trochę mnie to przerażało. Nigdy wcześniej tak na mnie nie patrzył.

– To twój szczęśliwy dzień, babciu – powiedziałam. – Opuścę ci. Ale zadzwonię jutro i oczekuję, że odpowiesz na moje pytania. Wszystkie.

– W porządku – odparła i westchnęła. – Jutro. Wiedz tylko, że bez względu na to, co się stanie, kocham cię. Tak bardzo. Nigdy o tym nie zapominaj.

Czego nie chciała mi powiedzieć? Cokolwiek to było, wyraźnie budziło w niej strach. I to niemały. Sądziła, że koniec końców... Co? Znienawidzę ją? Nigdy w życiu.

– Też cię kocham. Zawsze będę cię kochać.

Drżąc, odłożyłam komórkę. Otworzyłam usta, żeby spytać Cole'a, o co chodzi, ale on podał mi bez słowa telefon.

– Pan Holland? – spytałam.

Tata Cole'a nie tracił czasu na uprzejmości.

– Ukończyłem szkołę rok przed twoimi rodzicami.

Hm, okay.

– To... miłe.

– Posłuchaj – warknął, przyprawiając mnie o lęk. – Śledziłem losy młodszych uczniów, zawsze szukając nowych rekrutów. Byłem zwłaszcza zainteresowany twoim tatą. Ale to już wiesz. Wiesz także, że nie przejawiał zainteresowania moją osobą.

– Nie...

– W ostatniej klasie zaczął się spotykać z Helen.

Zaraz.

Co? Mój tata i Helen?

– Próbowałem zwerbować ich oboje, szczerze mówiąc. W przeciwieństwie do twojego taty była zainteresowana. Potem, o ile potrafiłem się zorientować, twój tata poznał twoją mamę na jakimś zjeździe rodzinnym i tej samej nocy porzucił Helen. A następnego dnia zaczął się spotykać z Mirandą. Kilka miesięcy później wszyscy troje ukończyli szkołę. Twój tata i mama pobrali się niemal natychmiast, a Helen gdzieś zniknęła. Nie mam pewności, kiedy zaczęła pracować dla Animy. Wiem tylko, że wróciła do Birmingham sześć lat później. Krążyły plotki, że miała córkę, ale ta mała dziewczynka, Samantha, zmarła.

Zaraz, zaraz, zaraz. Chwileczkę. Ta słodka mała dziewczynka nie żyła?

Szok.

– Jak umarła?

– Ugryzienie zombi.

Nie podobało mi się to, nie chciałam uwierzyć, dopóki nie dysponowałabym konkretnym dowodem. Plotki nie zawsze pokrywały się z prawdą. W przeciwnym razie Cole miałby rogi, kły i rozdwojony ogon, a ja byłabym He-Manem. A jeśli ta dziewczynka, Samantha, gdzieś żyła?

Czy mogła być moją siostrą?

Co o niej wiedziałam?

Helen spakowała jej rzeczy. Zamierzała odesłać ją do taty.

– Kto był ojcem? – spytałam, po czym zamarłam, naprawdę czując, jak lód ścina mi żyły.

Mroczne podejrzenia przypominały niepowstrzymany podmuch wiatru. A jeśli nie była moją siostrą, ja zaś byłam...

– Tego też nie wiem – odparł.

Reakcja babci na moje pytania.

Słowa Helen: „Pomyśl, że...” – skierowane do małej dziewczynki.

„Nie żyjesz”, dokończyłam i wiedziałam, że się nie mylę.

Pan Holland nazywał małą dziewczynkę Samantha. Sami. Imię, które wymówiła Helen, kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy. Sądziłam wtedy, że mi się przedstawia. Ale najwyraźniej wypowiadała imię swej córki, patrząc na mnie. Nazywając mnie...

Nie!

Przypomniałam sobie wyraziście mamę – swoją prawdziwą mamę – jak mówiła, że dała mi w momencie narodzin imię po matce mojego ojca. Więc po co zagłębiałam się w to wszystko? Nie miałam żadnych wspomnień związanych z Helen.

No cóż, z wyjątkiem snów.

Zmagałam się z oddechem. Na dobrą sprawę nie miałam żadnych wspomnień związanych

z pierwszymi pięcioma latami życia.

Pięcioma, nie sześcioma.

To jednak różnica. Nie mogłam być Sami. Pierwsze przypuszczenie było słuszne. Siostra. Ale nie dawały mi spokoju dwa fakty. Po pierwsze, zachowało się niewiele zdjęć z moich wczesnych lat, w dodatku byłam na nich tylko ja. Sama. Nigdy wcześniej nie wydawało mi się to dziwne.

Teraz – tak.

Po drugie, zawsze czułam się w domu dziadków jak odmieniec. Jakby widzieli w Emmie coś, czego nie widzieli we mnie.

Odetchnęłam gwałtownie.

Czas uporządkować fakty. Helen chodziła z moim ojcem. Prawdopodobnie z nim spała. Zniknęła tuż po ukończeniu szkoły. By uciec przed bólem, jaki sprawiał jej widok taty i mamy razem, by ukryć ciążę?

Potem, po śmierci, wróciła, żeby pomóc jakiejś dalekiej i zapomnianej krewnej, córce człowieka, który ją zdradził, a nie firmie, dla której pracowała? Nie. Ale czy pomogłaby komuś, kto był jej bliższy? O wiele bardziej prawdopodobne.

Daty urodzin można było zmienić równie łatwo jak imiona.

Jeśli Helen... Jeśli to miało okazać się prawdą... Nie, niemożliwe. Dlaczego czekała tak długo, by się ujawnić? Dlaczego przyszła do mnie dopiero teraz, a nie, dajmy na to, kiedy straciłam rodziców? Albo kiedy walczyłam z Ali Zombi?

Pytania, pytania. Tak wiele pytań.

– No i masz – oznajmił pan Holland, przywołując mnie do rozmowy i rzeczywistości. – Wszystko, co wiem. A teraz chcę, żebyś mi powiedziała, dlaczego ta informacja jest dla ciebie taka ważna.

Czy podejrzewał to, co ja?

Pokręciłam głową, choć wiedziałam, że nie może tego widzieć. Moje spojrzenie spoczęło na Cole'u. Nie patrzył na mnie, tylko gdzieś ponad moim ramieniem; oczy miał zmrużone, usta zaciśnięte w wąską linię. Jeśli Helen była moją matką – nie, nie mogła być moją matką; nie chciałam w to wierzyć – to kobieta, która wydała mnie na świat, pomogła zabić kobietę, która wydała na świat jego, a jego ojciec, kierowany chęcią zemsty, zamordował ją.

Co za paskudna, powikłana historia! Jak dwoje ludzi zaangażowanych w związek uczuciowy mogło kiedykolwiek mieć nadzieję na to, że się z tego otrząsną?

Podeszłam do okna i spojrzałam w przygasające światło dnia. Słońce się schowało, niebo poszarzało. Królicza chmura wciąż trwała uparcie, tyle że ciemniejsza. Złowieszcza, jak mój nastrój.

– Muszę już kończyć, panie Holland – oznajmiłam cicho. Miałam mnóstwo do przemyślenia, tymczasem w ogóle nie chciałam o tym myśleć.

Westchnął.

– Rozumiem. Ale musimy porozmawiać. Niebawem.

– Niebawem. – Rozłączyłam się.

Potrzebowałam natychmiast Emmy. Powiedziałyby mi, jakie to nierozsądne z mojej strony martwić się. A to właśnie robiłam. Coś, czego zgodnie ze swoją obietnicą miałam nigdy więcej nie robić. Co gorsza, robiłam to na próżno.

– Jesteś spokrewniona z zabójczynią mojej matki – powiedział Cole. – A ja jestem spokrewniony z zabójcą kuzynki twojej matki, ale damy sobie z tym radę.

Nie rozumiał. Nie wiedział, co podejrzewam. Zmieniłby wtedy zdanie?

Moje spojrzenie przyciągnęło ogrodzenie, które otaczało całą posesję. Otworzyłam

szeroko oczy.

– Nie.

Obraz się jednak nie zmienił. Zombi wyszły już ze swych kryjówek i podeszły aż tutaj.

– Postaramy się – dodał.

Setki tych stworów zaciskało dłonie na żelaznych prętach, trzęsąc nimi. Monstra nie mogły przekroczyć ogrodzenia spryskanego Liniami Krwi, ale mogły się zmęczyć czekaniem, skupić uwagę na innych domach w okolicy i zabić niewinnych ludzi.

Jak zdołały ominąć zabezpieczenia pana Ankha? Zainstalował monitory zdolne rejestrować zombi – na ekranach jarzyły się czerwono jak ich oczy – i wiedział, ilekroć ich horda się zbliżała. Teraz jednak nie miał o tym pojęcia. W przeciwnym razie rozległby się alarm.

– Cole. – Niemal się zakrztusiłam. – Zombi. Są tutaj.

Podszedł do okna i spojrział. Wyczułam, że sztywnieje.

– Musimy ostrzec pozostałych – powiedział.

Biegając korytarzem, walił w każde drzwi, krzycząc:

– Mamy gości. Więcej Z. niż kiedykolwiek.

Z pokoi dobiegł łomot kroków. Zaskrzypiały zawiasy i ze środka wypadli nasi przyjaciele, ubierając się jednocześnie. River i Camilla też.

Zebrałiśmy się w lochu, gdzie pan Ankh trzymał zapas broni.

– Myślałem, że nie macie jaj – oznajmił River jowialnym tonem. – Ale najwyraźniej wiecie, jak podkreślić atmosferę.

– Tak – odparł Gavin, kiwając głową. – Jesteśmy w tym dobrzy. Możesz się przyłączyć.

Nie zwracając na nich uwagi, Kat powiedziała do Szrona, który przypasywał dwa krótkie miecze:

– Nie łap motyli. Idź na dach i pozbawiaj je skrzydeł za pomocą karabinu czy czegoś innego.

– Gdyby kule je zabijały, Kitty, byłoby wspaniale – odparł. – Ale potrzebny jest ogień w moich dłoniach.

– Nie musi być twój. Inni zabójcy też go mają.

– Tak, i ci inni zabójcy potrzebują czasem kogoś, kto będzie ich chronił.

– Dlaczego jesteś taki logiczny? – Kat walnęła go po ramionach, potem westchnęła. –

Wiem, wiem. Masz rację. Nie podoba mi się to, ale rozumiem. – Zagryzła wargę. – Szkoda, że ich nie widzę. Że nie mogę wam w jakiś sposób pomóc.

– Świadomość, że jesteś tu i czekasz, pomaga. – Pocałował ją pospiesznie w czubek nosa, tak jak często robił to ze mną Cole. – Zaufaj mi. Nie pozwolę, żeby cokolwiek nie pozwoliło mi wrócić do ciebie.

Reeve milczała, wsuwając magazynek do SIG-a i podając broń Bronxowi. Jacklyn patrzyła bez ruchu na miecz. Wszyscy pozostali mamrotali o tym, nad czym sama się wcześniej zastanawiałam – jak to możliwe?

Pan Ankh siedział przy długim biurku z mnóstwem komputerów, ściana naprzeciwko zakryta była monitorami. Uderzał wściekle w klawiaturę. Pojawienie się tutaj mnóstwa zombi jednocześnie dowodziło, że przysłała je Anima i prawdopodobnie kontrolowała za pomocą obręczy.

Ale nie mogłam sobie przypomnieć, bym widziała wiele stworów z obręczami.

– Co robisz? – spytał ostro Cole, trącając mnie. – Do broni.

– Tak jest.

Popatrzył na mnie ze złością, potem podszedł do Szrona, żeby omówić plan działania.

– Jesteś jak cholerny promyk słońca, wiesz o tym?! – zawołałam.

Nawet na mnie nie spojrział.
Chwyciłam swoje topory, miecz i dwa pistolety; zbliżył się do mnie uśmiechnięty River.
– Podobno odznaczasz się czymś szczególnym na polu walki – powiedział. – Czymś lepszym niż to, co widziałem w naszej dziurze.
– Zdarzają mi się chwile wielkości – przyznałam, ciesząc się z momentu odprężenia.
– No cóż, zasługujesz na nagrodę. Ja też mam chwile wielkości. Na dobrą sprawę wszystkie, które przeżywam. Więc wyświadczy sobie przysługę i urozmaicimy trochę sprawy.
– Wyzywasz mnie i proponujesz rywalizację w zombicznym pogromie?
– Ten, kto zabije więcej złych duchów wygrywa? – Skinął głową. – Stoi.
– Nie stoi. Nie ma sposobu ich liczyć. Spopielałam całe hordy za jednym zamachem. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.
– Gadka szmatka?
– Gadka prawda.
– Jeśli nie jesteś na tyle dobra, żeby liczyć swoje ofiary, to już przegrałaś. Spróbuj się przynajmniej zrehabilitować. – Poklepał mnie po ramieniu, po czym stanął u boku Camilli.
– Nie zgodziłam się na żaden zakład! – zawołałam.
– Dobrze słyszałem? Mam pogrom do odstawienia? – spytał Gavin, stając obok mnie. Poważnie?
Nieuleczalni nałogowcy adrenaliny.
Podczas gdy pozostali zabójcy wybiegli z lochu, kierując się na zewnątrz, Cole wrócił i powstrzymał mnie.
– Kocham cię bardziej, niż książkowe zombi kochają mózgi – powiedział. – Powiedz mi, że o tym wiesz.
Oblizalam wargi i wyszeptalam:
– Wiem o tym. Wierz mi.
– Bez względu na wszystko.
Naprawdę miałam taką nadzieję.
– Bez względu na wszystko – potwierdziłam.
Skinął głową.
– Dobrze. – Zwrócił się do pana Ankha. – Domyślam się, że będzie mógł nas pan obserwować na monitorach. Problem nie jest związany z pańskim systemem, tylko z czymś, co Anima zrobiła z zombi. Więc jak tylko pan nas zobaczy, proszę włączyć halogeny.
Spojrzał na mnie po raz ostatni i wyszedł z pomieszczenia.
– Zostańcie tutaj – nakazałam Kat i Reeve, po czym ruszyłam za Cole’em. Nie zobaczyłam go, ale po drodze wpadłam na Mackenzie. Trzymała się nieźle i zmierzała w stronę lochu. Wyglądała na zdrową. – Walczysz?
– Nie tym razem. Już mi lepiej, ale nie wszystko działa w stu procentach. – Podciągnęła brzeg bluzki i pokazała patchwork czarnych strupów. – Jeszcze kilka dni i strzeżcie się, zombi. Nasz świat może i przedstawiał się paskudnie, ale przynajmniej potrafiliśmy ulecać się nawzajem.
– Wyświadczy mi przysługę i przypilnuj dziewczyn. Niewykluczone, że spróbują jakiegoś numeru.
Wskazała głową wewnątrz za moimi plecami.
– Dlatego tu jestem. Żeby odstawić niańkę.
Pan Ankh usłyszał ją chyba, bo zawołał:
– Napisałem w esemesie „teraz”, panno Love, nie za pięć minut.
– Chrzań się – mruknęła.

– Słyszałem to, panno Love.
– Właśnie mi oto chodziło, panie Ankh!
Ruszyłam w stronę wyjścia, kiedy Kat zawołała:
– Ali!

Zatrzymałam się i spojrzałam przez ramię.

– Nieważne, co będziesz musiała zrobić, ochraniaj mojego chłopaka.

Innymi słowy wykorzystaj bez względu na okoliczności swą nową umiejętność. Tę, którą miałam wykorzystywać ostrożnie, jak uprzedziła mnie Helen, tę, przed której użyciem przestrzegali mnie Cole, nie dlatego, że niewiele o niej wiedzieliśmy, jak sobie teraz uświadamiałam, tylko dlatego, że mogła pochodzić od kobiety, która zabiła jego matkę.

Co za masakra.

Ruszyłam przed siebie, nie odpowiadając. Nic już nie było takie jak dawniej. Nabrało charakteru osobistego, ja zaś nie miałam pojęcia, co z tym zrobić.

ZOMBI ZJADŁY MOJĄ PRACĘ DOMOWĄ

Zamiast ruszyć tunelem, który prowadził poza Linie Krwi, a tym samym za ogrodzenie, zabójcy zatrzymali się przed nim w odległości kilku kroków. Stałam obok nich, mając Cole'a po prawej stronie, a Rivera po lewej. W powietrzu unosiła się ciężka woń rozkładu, a jęki i pomrukiwania głodu tworzyły niesamowitą pieśń – odległą od kołysanki o lata świetlne.

Przesunęłam spojrzeniem po stworach, które śliniły się, podniecone perspektywą spożycia naszych ciał. Kilka miało na szyjach obręcz. Większość nie miała. Wszystkie były równie paskudne co...

– Trina? – Ogarnął mnie bezbrzeżny horror.

Jak wszyscy nie-martwi, piękna niegdyś Trina miała na sobie to, w czym zmarła. Jej odwieczny strój to był czarny podkoszulek i szare spodnie od dresu – w tym nieodmiennie zwalczała zombi. Uwielbiała zaczesywać do tyłu krótkie włosy, ale tej nocy sterczały jej dziko na głowie. Niebawem miały wypaść, pozostawiając po sobie łysinę. Jej skóra odznaczała się szarawym odcieniem, a urocze niegdyś oczy były teraz czerwone, a ich kąciki opadały.

Ja... ja...

Kochałam tę dziewczynę. Wciąż ją kochałam. Kiedy rozstałam się z Cole'em i byłam w koszmarnym dołku, robiła wszystko, by podnieść mnie na duchu. Trenowałam z nią. Uczyła mnie prowadzenia samochodu. A teraz...

To było jej życie. Nie-życie. Niekończący się głód. Aż doświadczyłaby drugiej śmierci – zadanej przez najdroższych przyjaciół. Przez nas.

Musielśmy położyć kres jej istnieniu.

Brakowało mi słów.

Nie, to nieprawda. Te słowa to: ból, wina, żal, wyrzuty sumienia, smutek, męka.

Tak, właśnie. Męka. Byłam wewnętrznie zdruzgotana. I nie wiedziałam, czy tym razem zdołam się na nowo pozbierać.

– Nie tylko ona – powiedział Cole, wskazując coś.

Kiedy Trina – już nie Trina, już nie, po prostu skorupa – wsunęła rękę przez szczelinę między prętami ogrodzenia, pragnąc nas desperacko dosięgnąć, dwa inne zombi odsunęły ją na bok, a ja znów poczułam, że oddech utyka mi w piersi. Lucas i Collins też byli potworami.

Zakryłam usta roztrzęsionymi dłońmi. Anima nie tylko wysłała na nas hordę; wysłała też naszych zamordowanych przyjaciół, wiedząc doskonale, jakie to będzie dla nas bolesne skończyć z nimi na dobre, i sądząc zapewne, że zawahamy się przed zadaniem ostatecznego ciosu, dzięki czemu inne zombi skończą z nami.

Nie mogę dać im tej satysfakcji.

– Ruszamy – rzuciłam rozkazującym tonem. Im dłużej tu przebywaliśmy, gapiąc się, tym trudniej byłoby potem działać. Rozpacz wzięłaby górę, pokonała nas. – Teraz!

Ruszyliśmy się z miejsca i w końcu znaleźliśmy się u wylotu tunelu, ukrytego za ścianą altany. Jak dobrzy mali żołnierze pokonaliśmy zatęchły, wąski korytarz gęsiego.

Przy wyjściu czekał monitor z widokiem na dziedziniec. Wydawało się, że nigdzie nie czają się zombi, które można by dopaść, ale na ekranach wewnątrz domu też nie było ich widać.

– Posłuchajcie – zwrócił się do wszystkich Cole. – Jacklyn, zostaniesz tu i będziesz

pilnować ciała. Jeśli ktoś odniesie śmiertelną ranę, wezwiesz Ankha. Ja wyjdę pierwszy. Szron, idziesz ostatni. Zamkniesz drzwi i będziesz ich strzegł. Pozostali zaatakują od tyłu i zranią jak najwięcej zombi, a potem rzucają je w stronę Ali, gdy tylko zapłonie. – Zwrócił się do mnie. – Twoja jedyna robota to wzniecić płomień.

Skinęłam głową, walcząc już z nerwami. Żadnych nacisków, tak?

Wszyscy przywarli do ściany, pozostawiając wolną ścieżkę, żeby pan Ankh miał dość miejsca, gdyby zaszła taka konieczność. Zamknęłam oczy i rozszczepiłam się, czując uderzenia wiatru na odsłoniętej skórze.

Cole wszedł po drabinie i otworzył właz, jedno i drugie spryskane było Liniami Krwi, a zatem dotykalne. Cisnął na zewnątrz minigranat. Bum! Rozległy się jęki i pomrukiwania. Przez otwór wpadła noga, pozbawiona buta stopa wciąż podrygiwała. Ładunek wybuchowy nie mógł zrobić krzywdy zombi w obręczach. Nie przebywały w świecie duchowym, w którym doszło do eksplozji, tylko w rzeczywistości fizycznej. Musielibyśmy zmagać się z nimi w inny sposób.

Szron przykucnął i położył rozjarzoną teraz dłoń na drabinie, a my zaczęliśmy się wspinać.

Wkroczyliśmy w prawdziwą strefę wojny.

Las otaczający posesję pana Ankha roił się od zombi. Granat zabił te w bezpośredniej bliskości, ale horda innych nie znajdowała się zbyt daleko. Wyczuły nas i ruszyły do przodu zwartą masą.

Moi przyjaciele spotkali się z nimi pośrodku.

Zostałam na miejscu. Miałam jedno zadanie i zamierzałam je wykonać. Zapłonąć.

Mały ogień zniknął.

No dalej, dalej. Mogę to zrobić. Potrząsnęłam rękami. Zapalcie się!

Kolejny błysk, kolejna zamierzająca próba.

Nie musiałam szukać odpowiedzi. W głębi ducha nie chciałam tego robić. Trina, Lucas i Collins byli tutaj. Naprawdę zamierzałam ich spopielić?

Musisz. I tak już nie żyją.

Oho. Nadchodzą. Wyciągnęłam broń i wypaliłam, trafiając zombi w szyję. Stwór upadł na ziemię, ale szybko się podniósł. Wypaliłam jeszcze raz i znowu, celując w rzepki kolanowe, żeby pozbawić go możliwości ruchu. Zwalił się i choć już nie wstał, zaczął pełznąć w moją stronę.

Więcej stworów skupiło na mnie uwagę. Zdażyłam oddać trzy strzały, nim moja broń się zacięła. Nie mogę panikować. Odciągnęłam zamek i spróbowałam ponownie. Klik, klik. Zakląłam. Coś takiego zdarzało się rzadko; nie używaliśmy taniej broni. Dlaczego teraz, dlaczego tutaj? Rzuciłam bezużyteczny kawałek żelaza na ziemię i wyciągnęłam topory, po czym skoczyłam do przodu, dokonując przy okazji dekapitacji osobnika leżącego na ziemi.

Ciach. Poleciała głowa.

Trach. Poleciała druga głowa.

Łup. Ostrze topora przecięło pierś stwora, ale utkwilo w niej na dobre.

Machnęłam lewą ręką, żeby ciąć zombi za jego plecami drugim toporem, ale mnie zablokował. Jednocześnie puściłam rękojeść unieruchomionej broni i wyjęłam nóż, żeby przeciąć przeciwnikowi kręgosłup. W przypadku człowieka byłby to cios śmiertelny. Zombi nachylił się, próbując mnie ugryźć. Zrobiłam unik, obróciłam się i zadałam cios obu oponentom jednocześnie. Jeden stracił głowę; drugi dolną szczękę i kawałek języka.

Oparłam stopę o pierś zombi, który wciąż wiewził w sobie mój topór, łamiąc mu mostek i żebra, i wyszarpnęłam broń.

Roznieć płomień. Teraz!

I znów mały ogieniek zniknął. Wyczerpanie... Zirytowałam się – zombi zyskiwały przewagę, i to z mojego powodu.

Potrzebowałam czasu. Czasu, który mogła mi dać umiejętność przekazana przez Helen.

Nie mogę tracić cennych sekund na podejmowanie decyzji. Użyj tego!

Spełnię twoją prośbę, Kat.

Wyciągnęłam ręce... czekałam... Ale nic się nie stało. Jak właściwie zamierzałam dobyć energię ze swojego ducha?

Potrząsnęłam rękoma. Spróbowałam ponownie, z tym samym fatalnym rezultatem. Jak mi się to udało ostatnim razem?

Zastanów się. Szybko! Widziałam w pewnym oddaleniu, jak Cole'a otacza coraz więcej zombi. Udawało mu się posługiwać jednocześnie kuszą i mieczem samurajskim; szył bełtami, pozostając w ciągłym ruchu, siekąc różne części wroga. Otaczał go stos odciętych członków. Ale wystarczyłby jeden fałszywy ruch...

Kilka kroków dalej Camilla chwyciła zombi za rękę i pchnęła go w stronę Rivera. Potem chwyciła drugiego i następnego, i jeszcze jednego, jakby stanowili elementy taśmy produkcyjnej. Szeroko uśmiechnięty River pozbawiał ich po kolei głowy. Doskonała współpraca dwojga zapaśników.

Nie mogłam odszukać Bronxa. Gavin przebijał się przez tłum zombi, posługując się swoimi sztyletami, by ciąć jednego w oko... potem w genitalia. Niedaleko jeden ze stworów zdołał wczepić się palcami we włosy Veroniki i zwałił ją na ziemię, ale Gavin był zbyt zajęty walką, żeby to zauważyć.

Popędziłam tam, a ponieważ znajdowałam się w postaci duchowej, mogłam się poruszać z szybkością, jakiej moje fizyczne stopy nigdy nie mogłyby zapewnić. Między jednym uderzeniem serca a drugim znalazłam się w miejscu docelowym. Moja obecność tutaj okazała się jednak zbyt cenna. Veronica kopnęła zombi w twarz i stanęła błyskawicznie na nogach, dobywając jednocześnie miecza z pochwy na plecach. Potem zaczęła rąbać ostrzem.

Poczułam na karku tchnienie ciepłego powietrza, a w uszach rozbrzmiał mi pełny głodu pomruk. Obróciłam się błyskawicznie, wymachując toporami. Przecięłam otwarte usta zombi, nim zdołały wgryźć się we mnie. Padając na ziemię, trysnął czarną mazią. Z rany buchnęła para.

Camilla pojawiła się nagle przede mną, unosząc miecz, jakby chciała mnie ciąć. Uchyliłam się, a instynkt mi podpowiedział, że powinnam ją zaatakować pierwsza. Nim zdążyłam posłuchać, jej ostrze przecięło następnego zombi, który podkradał się za moimi plecami; znieruchomiałam. Spryskała mnie piekąca maź.

– Rozpal się – rzuciła Camilla.

– Próbuje! – machnęłam toporem, żeby pozbawić głowy stwora z prawej strony.

– Próbuje bardziej.

– Nie rozumiesz – odparłam.

– Och, rozumiem. Rozumiem, że jesteś nowa i że potrzebujesz trochę zachęty, żeby twoje umiejętności zaskoczyły. No cóż, pozwól, że ci to ułatwię.

Zaczęła wyrąbywać sobie drogę, zmierzając w stronę Cole'a.

Tnąc i kawałkując zombi, które mnie otaczały, nie spuszczałam z niej oka. Nie było to rozsądne podzielać tak uwagę, ale co innego mogłam zrobić? Wyjęła dwa pistolety i zaczęła strzelać z bezpośredniej bliskości do zombi wokół Cole'a. Padały szerokim kręgiem, niezdolne, by cokolwiek widzieć, niezdolne gryźć; ich twarze rozpadały się na kawałki.

Cole odwrócił się do niej, chcąc zapewne jej podziękować, ale wymierzyła swoją broń – w niego. W jego pierś. Potem spojrzała na mnie, jakby chciała powiedzieć: „I co teraz zrobisz?”.

Jego oczy się rozszerzyły, kiedy i on podniósł broń. Żeby ją zabić, nim ona zabiłaby jego?

Może. Ale nie zdążyłby.

– Nie! – krzyknęłam.

Fala desperacji uczyniła to, czego ja nie mogłam uczynić, dobywając ze mnie potężne uderzenie mocy. W powietrzu zadrgały małe błyskawice. Wszystkie zombi wokół nas wyrzuciło nagle w górę, jak z katapuły.

Camilla opuściła broń, gapiąc się w zdumieniu. Nigdy nie widziała, jak wykorzystywałam tę konkretną umiejętność.

Cole znieruchomiał.

Stałam w miejscu, oddychając ciężko, ręce miałam uniesione, dłonie zaciśnięte w pięści. W końcu mi się udało. Ale nie obchodziło mnie to. Camilla zagroziła miłości mego życia. Niedopuszczalne! Nie zamierzała wprowadzić swej groźby w czyn, wiedziałam o tym, ale wypadki się zdarzały.

Zalała mnie fala wściekłości, dobiła się na zewnątrz, jakby niepowstrzymany napór mocy uczynił we mnie jakąś wyrwę. Po kolei, zombi w obrożach zaczęły eksplodować, ich ciała rozrywały się, chlustając na wszystkie strony czarną mazią. Ani razu ich nie dotknęłam.

Zauważyłam Trinę, szukała jakiegoś oparcia, i nagle moja wściekłość została przyćmiona przez bezbrzeżny smutek. Próbowałam ugasić swoją siłę. Może zdołalibyśmy ją schwytać i gdzieś zamknąć. Może któregoś dnia znaleźlibyśmy jakieś lekarstwo na Z. Gdyby tak się stało, mogłaby żyć jak Emma i Helen, w postaci świadka. Tyle że...

Trina eksplodowała.

Krzyknęłam rozpaczliwie. Kolana ugięły się pode mną. Powstrzymaj to, musisz to powstrzymać.

Potem przyszła kolej na Lucasa.

Nie, nie, nie! Popatrzyłam na pozostałe zombi. Wciąż eksplodowały. Wyłącz to, wyłącz, do diabła...

Ale Collinsa też rozerwało.

W ciągu kilku sekund zombi bez stalowej obroży też zniknęły, pozostawiając po sobie jedynie biały popiół. Moje kolana w końcu spełniły groźbę i ugięły się pode mną. Uderzyłam o ziemię, mózg załomotał mi o czaszkę. Ale byłam zbyt słaba, by się podnieść, i niebawem leżałam twarzą do dołu.

Nie mogę się ruszać. Coś jest nie tak... Co?

– Ali.

Kroki. Cole ukląkł przy moim boku.

Chciałam obrócić głowę, żeby napotkać jego spojrzenie, ale nie mogłam. Dlatego Helen mnie ostrzegała, że powinnam być ostrożna? Im więcej energii bym zużyła, tym słabsza czułabym się potem?

Sekundę później się unosiłam. Nie, byłam niesiona. Otaczały mnie silne ramiona, gdzieś obok ucha rozbrzmiewało silne bicie serca. W nosie zakręciło mi się od zapachu truskawek. Poczulałam wstrząs, gdy Cole... zaczął schodzić po drabinie? Prawdopodobnie. Nie miałam siły otworzyć oczu i tego sprawdzić.

Jeszcze silniejszy wstrząs, gdy... nie wiem co.

– Jej duch nie chce się połączyć z ciałem – zauważył Cole, szczerze zaniepokojony.

Och. Musiał się jednak mylić. Wystarczył jeden dotyk i duch zawsze powracał do swej skorupy. Do swego domu.

Poruszał moją ręką, przesuwając ją do przodu i tyłu, potrząsał nią, ale nic się nie stało.

– Wyprostujmy ją od góry do dołu – dotarł do mnie głos Rivera.

Zostałam postawiona siłą w pozycji horyzontalnej, podtrzymywało mnie mnóstwo dłoni.

Para z nich musiała być wciąż w ogniu – nie, dwie pary, jedna wyżej, druga niżej – bo ogarnęła mnie fala ciepła, wypełniając moje wnętrze, spajając mnie i nagle wszystko się naprawiło. Mogłam oddychać. Mogłam się ruszać.

– Będzie dobrze – wyszeptał jakiś miękki głos.

Helen?

Uniosłam gwałtownie powieki. Leżałam jak długa na podłodze tunelu, wokół mnie kręcili się niespokojnie zabójcy.

Usłyszałam Jacklyn:

– ...podobno jest tam jakiś chłopak, od południowej strony, i nie jest zombi.

– Szpieg? – spytali jednocześnie Bronx i Szron.

– Sprawdźmy to – rzucił Cole tonem zimnej determinacji.

Nie martwił się już, nie majaczył nade mną; musiało to oznaczać, że nic mi nie będzie.

– Pomogę. – Przemknął obok mnie River, odsuwając na dobrą sprawę Szrona, żeby wspiąć się po drabinie.

Zdołałam usiąść – i rzeczywiście dostrzegłam Helen. Siedziała obok mnie, cerę miała woskowatą, jej postać zanikała.

– Będzie dobrze – powtórzyła. – Zająłam się już tym problemem.

Zatamowała wyciek mojego ducha i dała mi siłę, tak samo jak dała swą umiejętność, prawda? Poświęcając własną.

Uśmiechnęła się nieznacznie, nim zniknęła na dobre.

WCIAŻ TRAWIĘ TWOICH PRZYJACIÓŁ

– Ali? Dobrze, pozbierałaś się. – Bronx przywołał mnie ruchem ręki. – Gavinowi przyda się pomoc.

Tak, bez wątplenia. Został ugryziony, jego szyja zamieniła się w zbitą masę krwi, mięsa i czarnej mazi.

Wstałam bez jakichkolwiek trudności i pospieszyłam do niego, jednocześnie ciało oddzieliło się od ducha. Gdy tylko znalazłam się obok niego, wsunęłam obie dłonie w jego ranę. Przynajmniej raz nie musiałam przywoływać ognia. Pojawił się jakby z własnej woli. Czy i to zawdzięczałam Helen?

Ścisnęło mi się serce. Pragnęłam rozpaczliwie z nią porozmawiać.

Gavin drgnął gwałtownie i walnąłby mnie, czego jestem pewna – nie był do końca sobą – gdyby Bronx nie chwycił go i nie przytrzymał. Gdy przesunęły się po nim płomienie, wyrzucił z siebie najmroczniejsze przekleństwa, jakie kiedykolwiek słyszałam. Niektóre świadczyły o dużej inwencji autora, który sugerował, że uprawiam seks z własną bronią. W innej sytuacji wybuchnęłabym śmiechem.

Camilla stała z boku, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Te rzeczy, które robisz... Nie rozumiem.

Nie zamierzałam wyjaśniać.

Skupiałam uwagę na Gavinie. Rana zasklepiła się na moich oczach. Nim dwie Ali stały się jedną, jego skóra posklejała się skutecznie. Tak szybko?

Skąd taka zmiana?

Jacklyn wyciągnęła do niego rękę, żeby pomóc mu się podnieść.

Popatrzył na nią ze złością, nawet trzepnął ją po ręce.

– Wyszłaś z tunelu wbrew rozkazom!

– Bo potrzebowałam pomocy.

– Pozwoliłaś się otoczyć przez zombi – ciągnął, nieporuszony jej słowami. – Pobiegłem, żeby cię wesprzeć, a ty postanowiłaś użyć mnie jako ludzkiej tarczy. Co gorsza, zostawiłabyś mnie tam, gdyby znowu cię nie otoczyły. Mam przyjąć teraz twoją pomoc, Bambi? Nie.

Wstał o własnych siłach.

Bambi. Urocze i jednocześnie obraźliwe.

– Nie chciałam... To był wypadek... Kiedy uświadomiłam sobie, że leżysz, ruszyłam w twoją stronę.

Zlekceważył jej argumenty jako nieistotne i wszedł w swoje ciało.

– Proszę – powiedziała, znowu wyciągając rękę, by ująć jego dłoń. – Musisz mi uwierzyć.

Jego spojrzenie przesunęło się po niej, było w nim zbyt dużo złośliwości jak na zwykłą przyganę; dziewczyna opuściła ręce.

– Nic nie muszę. Nie muszę nawet udawać, że mi się podobasz. Dowód? Nigdy nie fantazuję, że robię to z tobą, a fantazuję, że robię to z każdą. Jesteś dla mnie za płaska.

Okay. Dosyć.

– Gavin! – warknęłam ostrzegawczo.

– Co? – spytał, jakby nie miał pojęcia, że postępuje niewłaściwie.

Nie uświadamiał sobie, jak krucha jest Jacklyn? Całymi miesiącami obnosiła minę małej zagubionej dziewczynki jak drugą skórę.

– Przynajmniej mam jaja większe od twoich – rzuciła szyderczo, wprawiając mnie w szok.

Okay. Nie taka zagubiona.

– Jesteś pewna? – odciął się równie szyderczo Gavin. Nie mogłabym przysiąc, ale wydało mi się, że próbuje stłumić uśmiech. – Zdejmij majtki i mi pokaż.

– Jeśli kiedykolwiek zdejmę majtki w twojej obecności, to tylko po to, żeby cię nimi udusić na śmierć.

– Dzieciaki, proszę was. – Bronx klasnął w dłonie. – Wasza słowna gra wstępna nie jest dla nas szczególnie zabawna.

Jacklyn pokazała mu środkowy palec.

Gavin wzruszył ramionami, nie odrywając spojrzenia od obiektu swego gniewu czy pożądania?

– Może powinniśmy pójść do domu – powiedziałam.

Byliśmy wszyscy zbyt wzburzeni i zdenerwowani, żeby czekać cierpliwie na powrót Cole'a, Rivera i Szrona. Co ważniejsze, uważałam, że powinien nas jak najszybciej obejrzeć pan Ankh.

– Dobry pomysł. Zabieramy się stąd – nakazał Bronx.

Kiedy wszyscy ruszyli w głąb tunelu, spojrzałam przez ramię na nieruchomą postać Cole'a. Nie chciałam jej zostawiać. Zajmij się wszystkim, potem wróć.

Kat rzuciła mi się w ramiona, gdy tylko przekroczyłam próg lochu.

– Przeżyłaś! Jakbym mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Motyle nie mają szans w starciu z Ali Zabójczynią. Ale gdzie jest Szron? Cały i zdrowy, prawda? – Odsunęła się i potrząsnęła mną. – Powiedz mi, że nic mu nie jest.

– Czuje się świetnie. Zapina sprawy na ostatni guzik. – Prawda, pomijając to, że polował na potencjalnego szpiega.

Rozpromieniła się.

– Zuch chłopak.

– Ali, proszę tędy. – Pan Ankh zaprowadził mnie do łóżka i zbadał moje funkcje życiowe.

Reeve schowała się w ramionach Bronxa, a Juliana odciągnęła Veronicę na bok, żeby szepnąć jej coś do ucha.

– O co chodzi z tym twoim duchem, który nie mógł się połączyć z ciałem? – spytał pan Ankh.

– Mogło to wynikać z wyczerpania – powiedziałam, nie chcąc wspominać o Helen.

Jego uniesione brwi sugerowały tysiące pytań.

– Ale ktoś wzniecił ogień i wszystko skończyło się dobrze – dodałam, racząc go uspokajającą informacją.

Poskutkowało; zajął się badaniem pozostałych. Wykorzystując chwilowe zamieszanie, wymknęłam się bez słowa. No, prawie się wymknęłam.

– Zaczekaj! – zawołała Veronica.

Nie miałam odpowiedniego nastroju, żeby zajmować się nią w tej chwili. Uważała, tak jak jej siostra, że świat bez mnie byłby lepszym miejscem. Już się o tym przekonałam. I nikt nie musiał mi tego powtarzać.

– Dokąd się wybierasz? – spytała, podchodząc do mnie.

– Wracam do tunelu.

Zamierzałam stać na warcie i biada każdemu, kto spróbowałby skrzywdzić Cole'a.

– Pójdę z tobą.
Mój nowy dylemat: dać do zrozumienia, że chcę być sama, czy powiedzieć to wprost?
Nigdy nie lubiłam aluzji.
– Posłuchaj, nie chcę...
– Żeby z tobą poszła? Tak, wiem. Niestety, nic z tego. Jest coś, o czym musimy pogadać.
– Wykluczone.
Posłała mi pełne irytacji spojrzenie.
– W tej chwili poszłabym za tobą do samego piekła.
Cholera. Nie było sposobu przeciwstawić się takiej determinacji.
– Dobra. Nieważne. Rób, co chcesz.
– Zaplanowałam to.
– Zaplanowałaś – powtórzyłam ironicznie.
Dotarliśmy do końca tunelu. Usiadłam u stóp Cole’a, opierając głowę o ścianę za moimi plecami. Veronica usadowiła się przede mną.
– Mów, o cokolwiek chodzi – ponagliłam. – Zniosę to. – Może. Prawdopodobnie. –
Potem sobie pójdiesz.
Przesunęła dłoń po swoim kucyku.
– Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że mam asa w rękawie, który może rozbić twój związek z Cole’em?
Nie. Zapomniałam.
– Posłuchaj, Veronica, naprawdę wierzę, że potraktujesz to zgodnie z moim zamiarem, czyli jako obelgę. To najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek usłyszałam.
– Mów, co chcesz. Moim asem była Helen.
Zesztywniałam, prostując gwałtownie plecy.
– Co o niej wiesz?
– Wiem, że jest... Posłuchaj, to będzie trudne, ale nie sposób odpalić taki ładunek delikatnie. Muszę to powiedzieć. Helen to... Ali, ona jest twoją biologiczną matką.
Biologiczną matką. Te słowa rozbrzmiewały echem w mojej głowie.
Chciałam parsknąć jej śmiechem w twarz.
Nie byłam jednak do tego zdolna.
Sama żywiłam tę myśl, owszem. Ale gdy Veronica sformułowała ją tak bezpośrednio, z taką pewnością siebie...
Poczułam, jak wybucha we mnie gniew.
– Nic nie wiesz.
Patrząc na mnie szmaragdowymi oczami, powiedziała:
– Wiem znacznie więcej od ciebie.
– Najwidoczniej nie. Jej dziecko zmarło.
– Chciała, by ci z Animy tak właśnie sądzili.
Cios w brzuch.
– Owszem. Ale nie jestem tą dziewczynką. – Nie mogłam być. – Wiek się nie zgadza.
Chwyć się tego, jak tonący brzytwy.
– Jesteś. – Uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem. – I wiek się zgadza. Data twoich urodzin nie jest tą właściwą. Ty to Samantha.
Samantha. Sami. Kolejny cios, tym razem mocniejszy, pozbawiający tchu.
– To nie ja. Pamiętałabym.
– Czyż nie to właśnie robisz?

Robiłam? Już niczego nie byłam pewna.

– Kiedy Cole odprawił mnie z kwitkiem i wrócił do ciebie, zaczęłam grzebać w twojej przeszłości, szukając czegoś, czym mogłabym cię pograżyć. Elementy zaczęły pasować do siebie, a ja prawie mu powiedziałam. Chciałam, tak bardzo. Helen zdradziła nie tylko jego matkę... Zdradziła też moją. Pracowały dla Animy, zamierzały odejść razem. Tyle że Helen zwróciła się przeciwko Erin, mojej mamie. Walczyły, dla Erin skończyło się to wstrząśnieniem mózgu i utratą pamięci.

Utrata pamięci...

Te słowa nie dawały mi spokoju.

Veronica podkręciła tempo.

– Nie bardzo wiem, jak się to stało, ale moi bliscy wylądowali na progu domu Cole'a. Jego rodzina nas przyjęła, ale mama nigdy już nie była taka sama. Nie pamiętała ani Jules, ani mnie. Nigdy więcej się nami nie zajmowała.

– Przestań – powiedziałam. Za wiele tego. Potrzebowałam czasu, by wszystko przetrawić. Zignorowała mnie, prąc do przodu.

– O ile się orientuję, byłaś dokładnie taka sama jak Helen, zdrajczyni. Chciałam przyłapać cię na czymś okropnym. Ale im lepiej cię poznawałam, tym bardziej sobie uświadamiałam, że nic o niej nie wiesz i że nie zamierzasz nikogo krzywdzić. Wręcz przeciwnie, pomagałaś.

Wstałam i zachwiałam się na nogach, czując zawroty głowy.

– Przestań, Veronica. Proszę.

– Nie chcesz usłyszeć prawdy? – spytała. – Ty, która się brzydzisz kłamstwem, nie chcesz przyznać, że tkwisz w nim przez całe życie?

– O ile dobrze wiem, mówisz to, żeby rozbić nasz związek, mój i Cole'a. Uważasz, że nie zechce się spotykać z córką tej, która zabiła jego matkę.

Tonący chwyta się brzytwy.

Opuściła rzęsy, jakby nie potrafiła w tej chwili spojrzeć na mnie, jakby nie chciała dostrzec swego odbicia w moich oczach.

– Widziałam, jak zachowywał się dziś wieczorem wobec ciebie. Wie albo przynajmniej podejrzewa, ale wciąż się o ciebie troszczy. Prawdę powiedziawszy, robi coś więcej. Uwielbia. – Chwila milczenia, w którym wyczuwało się zdumienie. – Tak naprawdę nigdy go nie znałam, prawda? Nigdy nie zamierzał cię opuszczać. Mój as nigdy nie miał znaczenia.

Dreszcz, który mną wstrząsnął, omal nie zwałił mnie z nóg.

– Dlaczego jesteś taka pewna, że Helen jest... że mogłabym być...?

– Erin i Helen nie tylko razem pracowały. Mieszkały razem. Dwie samotne kobiety z córkami w tym samym mniej więcej wieku. Pamiętam, jak bawiłam się z Sami ciężarówkami. Napelniałyśmy je piaskiem i powodowałyśmy wypadki. Sami była piękna, miała włosy blond i oczy, których nie dało się zapomnieć. Twoje oczy. Ale zawsze emanowała smutkiem, rzadko się uśmiechała. Nigdy się nie śmiała. Wymyślałyśmy historie o naszych ojcach.

Poczułam wielką gulę w gardle i przełknęłam z wysiłkiem.

– Erin i Helen rozmawiały o nich. W koszmarnych relacjach Erin pojawiał się grubiański Todd, podczas gdy Helen rozpływała się w poetyckich zachwytach nad mężczyzną, który od niej odszedł. Nad Phillipem.

Phillip.

Phillip Bell.

Mój ojciec.

Osunęłam się na podłogę, nim zdążyłam upaść. Pokręciłam głową.

– Pamiętałabym. – Nie tylko w snach.

Veronica nie zamierzała okazywać mi współczucia.

– Mam zdjęcia, na których jesteście obie. Helen sądziła, że udało jej się zniszczyć wszystko, co posiadała, ale było inaczej.

Nie ma sposobu, by udowodnić, że to ja jestem na tych zdjęciach.

Jeśli jednak Helen sfingowała śmierć Sami i oddała dziewczynkę ojcu, to fragmenty i szczątki mojej przeszłości nabierały sensu. Przypomniałam sobie, jak ojciec co noc krążył po domu z bronią w ręku. Przypuszczałam, że wypatrywał potworów, choć kule nie mogły zrobić im krzywdy, ale może wypatrywał ludzi. Tych, którzy mogliby się zjawić po jego małą córeczkę.

Replika: nie wiedział o Animie, zabójcach i zombi, a Helen by mu powiedziała, pragnęła, by wiedział.

Oczywiście, mogłaby mu powiedzieć, a on mógłby jej nie uwierzyć.

I dlaczego wróciła do Animy? Dlaczego nie odeszła, tak jak zamierzała? Dlaczego obróciła się przeciwko Erin?

Tylko jedna odpowiedź miała sens, który spajał całą tę koszmarną historię. Żeby chronić córkę, którą kochała.

Chronić... mnie?

Jakąś część siebie chciałam to zaakceptować. Pławić się w świadomości, że moja matka była w pobliżu, pomagając mi. Inna część buntowała się głośno.

– Pokaż mi zdjęcia – zażądałam.

Veronica skinęła głową.

– Kiedy walczyliśmy, Jules położyła je w twoim pokoju, żeby Cole mógł je znaleźć.

Chce, żebyście rozeszli się na dobre, tak abym mogła połączyć się z Cole'em na nowo. – Gorycz mieszała się z niewiarą. – Nie uświadamia sobie, że to się nigdy nie stanie, no ale ona go kocha. Ocalił jej życie, kiedy Todd celowo ją podpalił i porzucił na pastwę losu. Bo owszem, jest naszym ojcem, a kiedy Erin zadecydowała, że nas nie chce, uzyskał prawną opiekę nad nami. Wciąż ją sprawuje nad Jules. To przez niego się ukrywamy.

Właz tunelu otworzył się nagle i coś wpadło do środka. Czując gwałtowne bicie serca, otarłam twarz.

To „coś” jęknęło.

Zbliżyłam się szybko i odetchnęłam z ulgą, uświadomiwszy sobie, że to nie Cole ani Szron, ani River. Był to jeden z najlepszych zabójców Animy. Facet, który kiedyś postrzelił i zabił na moich oczach niewinnego człowieka.

Facet, który próbował mnie zabić. Mnie.

Instynktownie sięgnęłam po sztylet. Ten mężczyzna był nieprzytomny albo przynajmniej takiego udawał. Odnaczał się przebiegłością i nie należało mu ufać.

River wskoczył do środka, po czym wyprostował się jednym zwinnym ruchem. Przycisnął obutą stopę do karku faceta i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Wygrywam.

Cole pojawił się jako następny i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Wszystko w porządku?

Zawsze się troszczył najpierw o mnie, tylko o mnie. Chciałam płakać. Nie, chciałam go objąć i nigdy już nie puścić.

Mogłam go teraz stracić...

– Wszyscy przeżyli – zdołałam z siebie wydusić.

Popatrzył spod przymrużonych powiek na Veronicę.

– Jeśli powiedziałaś coś, żeby ją zranić, Ronnie, to... – Zauważyłam, że drgnął mu mięsień w szczęce. – Veronica. Jeśli powiedziałaś coś, żeby ją zranić, to...

– To nie to, co myślisz – przerwałam mu, czerpiąc nadzieję z faktu, że przestał nazywać ją Ronnie, bo kiedyś mu wspomniałam, jak bardzo mnie to denerwuje. – Porozmawiamy o tym, kiedy będziemy sami.

Albo nigdy. Opowiadałam się za „nigdy”.

Patrzył to na Veronicę, to na mnie. W końcu zrozumiał i zeszywniał.

– Helen.

Czasem chłopcy obdarzeni bystrym rozumem stanowili utrapienie.

Ugryzłam się w język i skinęłam głową.

Cole się odwrócił i moje serce zwolniło bieg.

– Szkoda, że nas nie widziałyście – powiedział River nieświadomy nagłego napięcia albo całkowicie na nie obojętny. – Facet był szybki, ale nie dość. Zapoznaliśmy go z naszymi pięściami.

– I łokciami – dorzucił Cole.

– I kolanami, i butami – dodał River. – Nie miał szans.

– Jak zdołał ominąć zabezpieczenia? – spytała Veronica.

Cole potarł się po karku.

– Dobre pytanie. Zamierzam to sprawdzić.

– No dobra, przymknijmy go.

A ja z powrotem do swojego pokoju, gdzie mogłabym obejrzeć te zdjęcia.

– Potem pogadajmy o tym, co zrobiłaś tam na górze – zwrócił się do mnie River. Potem popatrzył na Veronicę, jakby dostrzegł ją po raz pierwszy, i się uśmiechnął. – Może przyłączysz się do pogawędki, kochanie?

Twarda i nieprzejeđnana Veronica Lane, która wiedziała o mnie więcej niż ja sama o sobie, nie potrafiła obronić się przed odrobiną niewinnego flirtu i zaczerwieniła się. Coś takiego!

– W porządku. Jasne.

Co za dzień!

Cole i River chwycili faceta z obu stron za ramiona i pociągnęli ze sobą. Veronica i ja zamykałyśmy pochód.

– Zabawa zacznie się na całego, jak się ocknie – zauważył River.

– Powiedziałem ci już. – Cole westchnął. – Nie zabijemy go.

– Nie wspominałem o zabijaniu, prawda? Chodziło mi o to, że będziemy go torturować, żeby coś z niego wyciągnąć.

– Nie tak załatwiamy sprawy.

River spojrział przez ramię i mrugnął do Veroniki.

– Ty zaczniesz.

TĘDY. NIE, TAMTĘDY. OJEJ, ŚLEPA ULICZKA!

Oto co już wiedzieliśmy: płatny morderca miał dwadzieścia lat i nazywał się Benjamin Ostrander Junior. Złapaliśmy go kilka tygodni wcześniej i wypuściliśmy. Nasz błąd. Przed uwolnieniem pan Ankh i pan Holland porównali jego odciski palców z jakąś bazą danych. Jak się okazało, stary dobry Benji uciekł z domu w wieku trzynastu lat i został kilkakrotnie aresztowany za włamanie, a także czynne napaści. Tuż po ukończeniu piętnastego roku życia zniknął jak kamfora.

Właśnie wtedy musiała go zwerbować Anima.

Mieliśmy teraz nadzieję dowiedzieć się, co planują jego pracodawcy i gdzie jest przetrzymywany Justin. Mijały jednak godziny, a Benjamin się nie obudził, nawet porządnie trącany.

Zbyt zmęczona, by czekać dłużej – i nie tylko dlatego – wyszłam z lochu.

Cole ruszył za mną jak cień.

– Możemy tego nie robić dziś w nocy? – spytałam, gotowa błagać.

– Przykro mi, Ali-gator. Możemy. I zrobimy.

Uparty chłopak.

Przystanął u szczytu schodów, wsunąwszy palce w moje włosy, tak że musiałam napotkać jego rozpalony wzrok.

– Jesteś zdenerwowana, ja jestem zdenerwowany, więc pogadajmy. Niedobrze iść do łóżka w takiej sytuacji. Rano będzie gorzej.

Próbowałam odwrócić wzrok. Napał jeszcze bardziej, skupiając na sobie moją uwagę. Westchnęłam.

– Okay. Zgoda. Pójdziemy do mojego pokoju. Ale chcę zauważyć, że zachowujesz się jak dziewczyna, która musi powiedzieć coś od serca.

Nie wstydząc się ani trochę, odparł:

– Przyjmuję do wiadomości.

Otoczył mnie ramieniem, przyciągając do siebie. Opiekuńcza postawa, uścisk nie do pokonania.

Musiałabym walczyć, żeby się oswobodzić. Ale tak szczerze, jego gest był zarówno sexy, jak... W dużym stopniu sexy.

Cole sięgnął do gałki przy drzwiach i zmarszczył czoło. Spod dolnej framugi dobiegły chichoty.

– Spodziewasz się gości?

– Nie.

Weszłam do środka i zastałam tam Kat i Reeve siedzące na moim łóżku. Spojrzały na mnie i zerwały się na równe nogi.

– Ali! – Kat podbiegła i objęła mnie. Jej uścisk był słabszy niż jeszcze przed kilkoma dniami, ja zaś przeklełam jej chorobę. – Klóćmy się o pewien dowcip. Ja twierdzę, że jest wspaniała, ona – że denny. Potrzebujemy ostatecznego werdyktu.

No, na to było mnie stać.

– Dawaj.

– Co powiedział zombi podczas meczu zapaśniczego?
Hm... co?
– O gryzieniu nie ma mowy.
Cole parsknął.
– Widzisz! – Kat pokazała Reeve język. – Nawet temu tradycjonalistom się to podoba.
Werdykt?
– Sądzę, że dowcip jest i wspaniały, i denny.
– Uznam to za zwycięstwo. – Pokiwała palcem przed nosem Cole'a. – Tak przy okazji, to przyjęcie w piżamach tylko dla dziewczyn. Chłopcy nie są zaproszeni. Musisz sobie pójść.
Nie zamierzał ustępować.
– Tak naprawdę to wy musicie sobie pójść. Ali i ja mamy ze sobą do pogadania.
– Cole – powiedziała, trzepocząc rękami. – Dzielą mnie sekundy od tego, bym poruszyła w tej rozmowie kwestię twojego penisa. Jesteś pewien, że chcesz zostać i tego doświadczyć?
Westchnął.
– Zagroźysz mu, prawda?
– Zagrozę? – Kat pokręciła głową. – Nie, kochany Cole'u. Usunę? Owszem.
Reeve też podeszła i wypchnęła go na korytarz.
– Możesz pogadać ze swoim Ali-gatorem jutro, King Cole. Dziś wieczór przyjaciółki są przed chłopakami i jeśli się stąd nie zabierzesz, to słowo daję, stracisz klejnoty, którymi cię nakarmię.
– Jestem pewien, że Bronx byłby zachwycony, słysząc, jak zamierzasz położyć ręce na moim interesie – odparł, stojąc twardo w miejscu. – Zostanę i przypilnuję prywatnej własności. Ali lubi mnie nietkniętego.
Wzruszyłam ramionami. Tak szczerze, co mogłam na dobrą sprawę powiedzieć? Nigdy nie wypowiedziano prawdziwszych słów.
– Przyznaj się do porażki, Cole – oznajmiła Kat. – To były dwa ciężkie dni, a my potrzebujemy oddechu. Tylko jeden wieczór. Będziemy szczodre i oddamy ci jutro twoją dziewczynę. Może. – Po czym zatrzęsnęła mu drzwiami przed nosem.
Spodziewałam się, że wtargnie z powrotem, ale nie zrobił tego. Niemal się roześmiałam, wpełzając na łóżko. Mogłam wreszcie odsapnąć.
– Myślałam, że będziecie w towarzystwie Bronxa i Szrona – powiedziałam.
Zauważyłam na stoliku nocnym dużą kopertę. Zdjęcia! Schowałam je pospiesznie do górnej szuflady, nie chcąc oglądać domniemyanych dowodów w niczyjej obecności. Nie byłam pewna własnej reakcji.
– Szron jest już ode mnie uzależniony. – Kat zarzuciła włosy za ramię. – Jeśli spędzę z nim więcej czasu, zamieni się w bełkoczącego idiotę. Szczerze? Lubię utrzymywać go na głodzie. Poza tym nie kłamałam Cole'owi. Potrzebuję skoku w bok razem z tobą, żeby po prostu... sama nie wiem, odetchnąć. Być normalną nastolatką.
Tak. Brzmiało to jak najbardziej niesamowicie i kusząco.
Reeve rzuciła się na łóżko obok mnie, obie podskoczyłyśmy na materacu.
– Chciałabym powiedzieć to samo o Bronksie. Jest w ponurym nastroju. Straszny, okropny nastroju i nie mam pojęcia, co z nim robić. Jest nieobecny. Oschły. Myślicie, że chce ze mną zerwać?
– Oczywiście, że nie. – Bronx nie był typem faceta „kochaj i porzucaj”, tylko typem „jest moja i kropka”. – Ale musisz pamiętać, że stracił właśnie czworo przyjaciół. W ciągu jednej nocy. – A potem, zaledwie kilka godzin temu, widział, jak rozrywam ich na kawałki. Wielkie nieba. Czułam, że to wspomnienie będzie mnie już zawsze prześladować. – I jeszcze jednego

wciąż brakuje. Bronx jest w żałobie.

– Nie wątpię też, że martwi się o twoje bezpieczeństwo – dodała Kat, zajmując miejsce na brzegu łóżka i krzyżując nogi. – Wiem, że Szron dostaje lekkiego świra, kiedy dochodzi do ataku. Nie oszukujmy się. Nigdy jeszcze nie było tak groźnie.

– Wiem, ale mimo wszystko. – Reeve uderzyła pięściami w poduszkę. – Chciałabym po prostu, żeby porozmawiał o tym ze mną. Jesteśmy parą. Mamy się wspierać. Chcę mu pomóc, naprawdę, ale nie daje mi na to najmniejszej szansy.

Zatlił się płomień winy, paląc mnie. To samo robiłam z Cole’em. No cóż, nigdy więcej. Postanowiłam, że nazajutrz wszystko mu powiem. Cokolwiek się stanie, to się stanie. Będę dużą dziewczyną i kropka.

– Odszukaj Bronxa i wyjaśnij mu, jak się czujesz – poradziłam. – Nie możesz dłużej tak tego ciągnąć. Coś pękło i musisz to naprawić. Natychmiast. Jeśli będziesz czekać, coś innego będzie wymagało szybko naprawy, a potem jeszcze coś innego, aż w końcu okaże się, że jest mnóstwo do zrobienia i obie strony rozejdą się przygnębione i pokonane.

– Tak, okay – odparła, ale wciąż sprawiała wrażenie żalostnej.

Wiedziałam, że robi to, co sugerowałam, albo nie robi. Nie mogłam jej zmusić.

– Odłożmy chwilowo dyskusję o naszych chłopakach. – Kat wzięła telefon, żeby zrobić Reeve fotkę. – Czas na selfie!

Skrzywiłam się, a ona zrobiła mi zdjęcie.

– Doskonale – pochwaliła, klikając bez opamiętania. – Kochaj się z aparatem.

Obróciła telefon na siebie i uśmiechnęła się tak szeroko, że odsłoniła usta pełne perlistej bieli. Klik, klik.

– Rany! Chyba spłodziliśmy właśnie dziecko, ja i aparat.

Parsknęłam śmiechem, przypominając sobie znowu, dlaczego tak cholernie ją kocham.

– Dosyć – powiedziała Reeve ze śmiechem, odbierając jej komórkę.

– Świetnie – oznajmiła Kat. – Wyobraźcie sobie, kilka godzin temu dzwoniła do mnie

Wren.

– Co?! To powinno trafić na nagłówki w całym kraju. – Wren była przez lata przyjaciółką Kat i porzuciła ją, a w konsekwencji także i mnie, żebyśmy nie wciągnęły jej w swoje szaleństwo i nie zrujnowały przyszłości. Co nie znaczy, by miała choć blade pojęcie, czym w gruncie rzeczy jest nasze szaleństwo. Potem zaczęła chodzić z Justinem, nie uświadamiając sobie, że chłopak tkwi w tym szaleństwie tak samo jak my. – Co powiedziała?

– Same posłuchajcie. Zostawiła wiadomość. – Kat odebrała od Reeve telefon i nacisnęła kilka klawiszy.

„Kat, tu Wren. Posłuchaj, wiem, że za mną nie przepadasz, i w porządku. Ale Justin zniknął. Także Jacklyn. Ich rodzice odchodzą od zmysłów, rozumiesz. Zjawiała się policja, zadawali mi mnóstwo pytań, ale nic nie powiedziałam, przysięgam. Boję się, że coś się stało. Widziałas ich? Kontaktowali się z tobą? Oddzwoń. Proszę”.

Kat westchnęła.

– Nie oddzwoniłam. Nie wiem, co jej powiedzieć.

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Pozwól, że przedyskutuję to z Cole’em. Chcesz znać moje zdanie? Nie wiemy, czy mówi szczerze, czy może policja ją namówiła, żeby spróbowała nas sprowokować i żebyśmy powiedzieli coś, czego nie powinniśmy mówić. Albo czy Anima ma jej telefon na podsłuchu.

Kat usadowiła się między Reeve a mną.

– Twoja rada jest tak doskonała, że mogłaby paść niemal z moich ust. I żeby nie zmieniać tematu, ale... zamierzam zmienić temat. Skupić się na sobie! Postanowiłam nie czekać, aż umrę,

nie pozwolić, by troska zatruwała dni, jakie mi jeszcze pozostały, i zacząć planować realną przyszłość.

Oparłam głowę na jej ramieniu.

– Dopóki będziesz robić dializy, jestem całym sercem po twojej stronie.

– Możesz być pod tym względem spokojna.

– Więc powiedz mi wszystko. W najdrobniejszych szczegółach.

– No cóż – oznajmiła, sadowiąc się wygodniej. – Oto, co dotąd zaplanowałam. Pójdę na studia i zrobię doktorat z dziedziny „jestem niesamowita”. Nieźle, co? Wszyscy będą mnie nazywali doktor Kitten i płacili mi megadolce, żebym diagnozowała ich problemy. Bo, oczywiście, będę znała wszystkie odpowiedzi.

Przeżycia tego dnia w końcu dały znać o sobie. Moje powieki zrobiły się ciężkie. Staralam się nie zamykać oczu; głos Kat był najsłodsza kołysanką.

– Zamierzam żyć ze Szronem, który będzie spełniał każdą moją zachciankę. Kiedy już zdecyduję, że zasługuje na to, by być panem Kat Parkerem, wyjdę za niego. A wy oczywiście będziecie druhnami. Zmuszę was, byście włożyły najohydniejsze suknie, jakie kiedykolwiek uszyto. Nikt przecież nie może pomyśleć, że jesteście ładniejsze od panny młodej.

Było to, jednym słowem, doskonałe.

Zastanawiałam się nad własnymi planami na przyszłość. Albo próbowałam. Nie potrafiłam sięgnąć myślą poza tę wojnę z Animą. Było mi...

Mmm, tak ciepło...

Kiedy Kat mówiła o swoim miesiącu miodowym, odplynęłam...

Kończył się najsmutniejszy dzień mego życia.

W moją świadomość wniknął jakiś szepczący głos. Nie należał do mnie. Ani do Kat czy Reeve...

Nagle znalazłam się gdzieś na zewnątrz. Helen i Sami stały obok siebie na polnej drodze, za nimi parkował ciemny sedan. Nikt w nim chyba nie siedział. Podjechał inny sedan i zatrzymał się obok pierwszego. Zaskrzypiały drzwi wozu, gdy – w tym momencie doznałam szoku – wysiadł z niego mój tata.

Był taki młody. Nie miał zmarszczek ani podkrążonych oczu. Skóra nie przybrała jeszcze ziemistego odcienia od wieloletniego picia. Przystojny mężczyzna, promieniujący zdrowiem i gniewem.

Zbliżył się do Helen, patrząc co chwila na małą dziewczynkę.

– Jak mogłaś ją przede mną ukrywać?

Helen uniosła dumnie brodę.

– Postąpiłbyś inaczej, gdybyś wiedział? Nie. Ożeniłbyś się z Mirandą. Oboje to wiemy.

Drgnął gwałtownie, a mała dziewczynka schowała się błyskawicznie za nogą Helen.

Ojciec złagodniał. Przyklęknął, żeby spojrzeć dziecku w oczy.

– Witaj – powiedział. – Jestem Phi... twój tata.

Sami nie drgnęła nawet.

– Nie może wiedzieć, kim jestem – powiedziała Helen. – A ty nigdy nie możesz mówić jej o mnie. Cały świat ma wierzyć, że urodziła ją Miranda, dokumenty to potwierdzą.

Rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem. Niczego nie rozumiem. Potrzebuje nas obojga. Ona...

– Jeśli nie przystaniesz na moje warunki, to nie będziesz jej miał. – Chwyciła Sami za rękę, żeby zabrać ją ze sobą.

– Zrobię to – obiecał, a Helen znieruchomiała. – Co mam jej powiedzieć, kiedy o ciebie spyta?

– Nie pyta. Nie będzie mnie pamiętała.

Zmarszczył czoło, ale nie zadawał już żadnych pytań.

– Jest w niebezpieczeństwie. Pewnym ludziom na niej zależy. Złym ludziom. Jeśli wpadnie w ich ręce, to ją skrzywdzą. – Po policzkach Helen spłynęły łzy. – Tylko jedna osoba wie, że jesteś jej ojcem i zamierzam... No cóż, nie ma to znaczenia. Ta osoba się nie liczy. Będziesz musiał zmienić imię Sami. Na jakieś inne, znaczące dla twojej rodziny. Daj jej nową przeszłość, a potem żyj tak, jakby każde słowo dotyczące tej przeszłości było prawdą. Mów tak, jakby było prawdą.

Tata się wyprostował, skinął głową.

– Zrobię wszystko, o co prosisz. Tak jak robi to Miranda. Nie pozwolę, by ktokolwiek skrzywdził tę małą.

Helen stała przez kilka sekund, tocząc bez wątpienia wewnętrzną walkę. W końcu oznajmiła:

– Wracaj do samochodu. Przyprawdżę ją za chwilę.

Zaczekała, aż mój tata zrobi to, co powiedziała, potem obróciła się i uklękła przed Sami, opierając dłonie na jej ramionach.

– Kocham cię. Tak bardzo. Nigdy się to nie zmieni.

– Nie odchodź – wyszeptala zrozpaczona dziewczynka. – Proszę.

– Tak musi być. Nigdy się nie dowiesz, jak mi przykro.

Helen znowu podniosła głowę. Przesunęła dłonie, które znalazły się na skroniach małej dziewczynki. Nie wyglądało, by robiła coś szczególnego. Po prostu dotykała swej córki. Jednak po kilku sekundach z oczu Sami zniknęły przerażenie i rozpacz. Jej twarzyczka się wygładziła.

– Wiesz, kim jesteś? – spytała Helen, opuszczając ręce. – Wiesz, kim jestem?

Sami zastanawiała się przez chwilę, potem zbladła.

– Ja... Nie. – Przeważenie i rozpacz powróciły w mgnieniu oka. Obróciła się, szukając czegoś, czegokolwiek znajomego. – Gdzie jestem? Kim jesteś?

Helen, znowu ze łzami na policzkach, wzięła ją za rękę.

– Chodź. Ojciec na ciebie czeka. Tak jak i... matka.

*

Następnego dnia próbowałam zaszufadkować ten sen – wspomnienie – z zerowym powodzeniem. Może dlatego, że nie potrafiłam otrząsnąć się z jednej myśli: byłam Sami. To ja. Nie mogłam zaprzeczyć prawdzie w jasnym świetle poranka.

Helen, pogromczyni zombicznych zabójców, była moją matką. I lubiłam ją.

Czy postępowałam niewłaściwie? Czy zdradzałam Cole'a?

Zostawiwszy Kat i Reeve śpiące w łóżku, wzięłam prysznic, ubrałam się i poszłam go poszukać, gotowa na naszą rozmowę. Nie znalazłam go w jego pokoju. Najbardziej prawdopodobnym miejscem był loch, ale tam też go nie zastałam. River w końcu miał zabawę z Benjaminem, pomagał mu w tym Szron, o dziwo. Obaj przywiązali mordercę do krzesła i na przemian zapoznawali jego twarz ze swoimi pięściami.

– Chłopcy – zwróciłam się do nich. – To nie jest metoda.

River popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Kiedy przyjdzie ci do głowy inna, to pogadamy. – Szron podszedł do drzwi i zatrzasnął mi je przed nosem.

Mogłam zaprotestować. Ale miał rację – nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Postanowiłam pomówić o tym z Cole'em; musiałam go tylko wpierv znaleźć. Zajrzałam do siłowni. Ćwiczyli tam Bronx i Gavin, ale mojego chłopaka znów nie było w pobliżu. Nikt nie

wiedział, dokąd poszedł.

Wspaniale!

Skupiłam wysiłki na osobie babci. Stojąc w holu, wystukałam wiadomość.

„Wiem o Helen. Wiem, kim dla mnie jest. Powinnaś była mi powiedzieć”.

Czekałam minutę. Dwie...

W końcu moja komórka zadzwoniła. Babcia. Ale oczywiście dzwonek przy drzwiach musiał się odezwać sekundę później. Z miejsca, w którym stałam, widziałam dokładnie drzwi z mleczną szybą.

Detektywi powrócili.

Z gabinetu wyłonił się pan Ankh, twarz miał ściągniętą.

– Będzie zabawa.

W moim telefonie włączyła się poczta głosowa.

Pan Ankh nie zaprosił policjantów do środka, stał po prostu w wejściu, uosobienie spokoju.

– Wszelkie pytania powinny być kierowane do mojego prawnika.

– Nie zjawiliśmy się tutaj z pytaniami – oznajmiła Verra na swój rzeczowy sposób. – Chodzi nam o Jacklyn Silverstone. Ma szesnaście lat i tym samym jest niepełnoletnia. Ktoś zadzwonił do jej rodziców i powiedział, że przebywa tutaj.

Ktoś z Animy?

Pan Ankh stał bez ruchu przez kilka wlokących się w nieskończoność sekund.

– Zawolałam ją. – Zamknął drzwi. Jego posępne spojrzenie napotkało mój wzrok. –

Musimy to zrobić.

– Wiem.

Wiedziałałam też, że nie mogę jej o tym powiedzieć. Sprzeciwiłaby się, a ja mogłabym pomóc jej w ucieczce. Już czułam, jak kroi mi się serce.

Pan Ankh ruszył po schodach i pojawił się pięć minut później z płaczącą Jacklyn przy boku. Towarzyszył im nachmurzony Gavin. Zatrzymał się przy mnie, dłonie miał zaciśnięte w pięści.

Naprawdę był wściekły z powodu jej odejścia?

Wyszliśmy na ganek. Jacklyn rozplakała się jeszcze bardziej, kiedy detektywi pomogli jej wejść do samochodu.

Silnik wozu ożył z warkotem.

Spojrzała przez szybę, napotkała moje spojrzenie.

„Pamiętaj o mojej obietnicy” – wymówiłam bezgłośnie.

Pełne męki skinienie głową. Wóz odjechał i zniknął niebawem za bramą.

Nie mogę zareagować.

– Ja i ona mieliśmy wizję – powiedział Gavin, kiedy weszliśmy z powrotem do domu. – Byliśmy razem w łóżku.

– Co?! Naprawdę? Jak? Kiedy?

Przesunął dłonią po twarzy.

– Owszem, mieliśmy wizję. I nie wiem jak. Miałem wizje tylko z tobą i Cole’em i, jak sądziłem, dlatego że nasi rodzice byli zabójcami, więc odznaczamy się czymś ekstra. No cóż, żadne z jej rodziców nie było zabójcą, a jednak, kiedy zobaczyłem ją dziś rano, czas zatrzymał się w miejscu, a my nagle... Po prostu była odbiorczynią moich najlepszych posunięć.

Powiedzieć, że to wszystko brzmiało dziwacznie, to nic nie powiedzieć.

– Pociąga cię? Dlatego byłeś dla niej wcześniej taki twardy?

W jego oczach błysnęły ogniki rozbawienia.

– No cóż, babeczko. Właśnie dlatego byłem taki twardy. – Podkreślił to ostatnie słowo. Szur rynsztokowy o wyjątkowo brudnych myślach.
– Jesteś pewien, że ta wizja nie była po prostu jedną z twoich fantazji? Choć twierdziłeś, że o niej nie fantazjujesz?
Musnął czubek mojego nosa.
– Jestem pewien. Zaufaj mi. Taki seksekspert jak ja potrafi dostrzec różnicę. No, czy nie było to wspaniałe? Mieliśmy kolejną zagadkę do rozwiązania.
– Muszę o tym pomyśleć.
– Zrób tak. Tymczasem pójdę na górę i zaaplikuję sobie nowy tatuaż w formie napisu: „Kobiety wkurzają, czasem nawet bardzo”. Mam nadzieję, że pomoże mi się to uspokoić.

*

– Alicjo.
Właśnie dowlokłam się na piętro, zdecydowana przetrząsnąć wszystkie pokoje w poszukiwaniu Cole’a – wciąż go nie znalazłam – i omówić tę najnowszą zagadkę. Na podeście promieniowało jasne światło, a w jego środku znajdowała się Emma.
Jak zawsze moje serce wezbrało miłością do niej; uśmiechnęłam się szeroko, wszystko inne zostało natychmiast zapomniane. Szybkie spojrzenia w lewo i prawo potwierdziły, że na korytarzu nikogo nie ma.
– Tak się cieszę, że jesteś.
Przestąpiła z jednej stopy w pantofelku na drugą.
– Nawet jeśli zjawiam się jak zwykle w charakterze Posłańca Złych Wieści?
– Nawet.
Też się uśmiechnęła.
– No cóż, dzisiaj mam dobrą wiadomość... i, okay, złą też. Stłumiłam jęk zawodu. Nie chciałam, by czuła się gorzej.
– Oświeć mnie, siostrzyczko. Najpierw zła wiadomość.
Poskubała dolną wargę.
– Justin jest ranny. To znaczy koszmarnie ranny. Słyszymy, jak jego krzyk bólu odbija się echem w wieczności.
Zgodne z podejrzeniami. Biedny Justin.
– A dobra wiadomość?
– Jeszcze żyje.
Jeszcze. Limit czasu kładł się cieniem na radości związanej z tą nowiną.
– Wiesz, gdzie Anima go przetrzymuje?
– Nie. Otacza go jakaś blokada.
Oczywiście.
Gdybym wierzyła w szczęście, to powiedziałabym, że go nie mamy.
– Chodź do mojego pokoju – powiedziałam. – Zależy mi na twojej obecności, kiedy będę przeglądała zdjęcia, które zmieniają zapewne bieg mojego życia.
Na szczęście Kat i Reeve już wyszły, oszczędzając mi kłopotu ich eksmisji. Usiadłam na brzegu łóżka i położyłam sobie kopertę Juliany na kolanach. Emma zajęła miejsce na parapecie.
Przechyliła głowę i zmarszczyła czoło.
– Babcia martwi się o ciebie. Powinnaś do niej oddzwonić.
– Potrafisz wyczuwać nasze emocje?
– Nie tak skutecznie jak z początku, ale owszem, potrafię.
– Wiesz zatem, że jestem na nią zła. Skrywała przede mną sekrety.

– Tak jak mama i tata, ale nie możesz ich winić, bo nie żyją, skupiasz się więc na niej. Robiłam to, prawda?

– Kiedy to stałaś się taka mądra?

– To, że nie uświadamiałaś sobie, iż zawsze byłam taka mądra, nie świadczy dobrze o twojej inteligencji.

Rzuciłam w nią poduszką, ale ta tylko przeleciała przez nią. Wzięłam do ręki komórkę i wystukałam nowy numer babci.

Gdy tylko odebrała, od razu przeszłam do rzeczy.

– Mam do ciebie dwa pytania i chcę, byś tym razem była ze mną całkowicie i bezwarunkowo szczerą.

– Będę – odparła zdecydowanie.

– Czy Helen Conway to moja biologiczna matka? Czy Miranda musiała mnie adoptować? Milczenie.

– Ali – odezwała się w końcu. Wyobrażałam sobie, że siedzi gdzieś, sama w ciemności, z zamkniętymi oczami, by powstrzymać łzy.

Trzymaj się.

– To nie jest odpowiedź.

– Tak – wyszeptala babcia. – Helen to twoja matka. Ale Miranda nie mogła cię adoptować, w każdym razie legalnie. Twój tata powiedział, że wzbudziłoby to podejrzenia, więc postarał się o nową tożsamość dla ciebie. O nowe imię, nową datę urodzin, nową biologiczną matkę.

No cóż. Oto się pojawił. Niepodważalny dowód. Helen była moją matką. Nadano mi na chrzcie imię Samantha. Przez pierwsze pięć lat życia stanowiłam dla Animy ulubioną poduszczkę do szpilek.

Zdrada – odhaczyć.

Udręka – odhaczyć.

Ludzie, którzy twierdzili, że kochają mnie ponad wszystko, skrzywdzili mnie bardziej niż ktokolwiek inny, ale już nie żyli. Nie mogłam na nich wrzeszczeć. Nie mogłam domagać się od nich odpowiedzi. Choć znałam już powody, jakimi się kierowali. Nie mogłam im powiedzieć, jak bardzo ich postępowanie zaważyło na moim życiu.

– Ale to nie oznacza, że kocham cię choć odrobinę mniej – dodała babcia.

– Nie, to oznacza, że mnie okłamywałaś przez większość życia. Oznacza, że rodzice mnie okłamywali.

– Ali, kochanie, przykro mi, naprawdę, lecz taka była ich decyzja. Chcąc cię widywać, musiałam obiecać, że nie pisnę słowa.

– Opiekowałaś się mną przez dziesięć miesięcy – przypomniałam. – Przez cały ten czas to była twoja decyzja.

– Ty, taka szczerą i uczciwą, znasz wartość obietnicy.

Cios poniżej pasa.

I prawda.

– Ale jest mi przykro – powtórzyła. – Postanowiłam o niczym ci nie mówić, bo tyle już przeszłaś. Nie chciałam, byś musiała przechodzić przez coś więcej. I szczerze powiedziawszy, nie ma to dla mnie wielkiego znaczenia. Jesteś moją wnuczką. Zawsze nią byłaś i zawsze będziesz.

Miałam wrażenie, że moją pierś zalewa kwas.

– Muszę kończyć. Ja...

– Nie! Nie waż się rozłączyć – powiedziała, jej głos wzniósł się niemal do krzyku. – Jeśli

tak zrobisz, wrócę pierwszym samolotem do Alabamy. I tak mogłabym wrócić. Chcę cię objąć i odpowiedzieć na wszelkie pytania. Niewiele o tobie wiem, bo rodzice nie chcieli o tym mówić, ale wyjaśnię ci wszystko w miarę możliwości.

Westchnęłam.

– Nie. Zostań z panem Hollandem. Nie jestem na ciebie zła, wierz mi. Potrzebuję tylko czasu, żeby sobie ze wszystkim poradzić. Zadzwoń, jak już będę gotowa. Okay?

– Okay. W porządku. Powiedz mi tylko jedno. Że wiesz, że cię kocham.

– Tak. Wiem. I ja cię kocham.

Pożegnałyśmy się i rozłączyłyśmy. Wstałam z łóżka, zdjęcia spadły na podłogę. Jak we mgle, zbliżyłam się do swej siostrzyczki i osunęłam się przed nią na podłogę. Nie mogłam jej dotknąć, tak jak i ona nie mogła mnie dotknąć, ale mimo wszystko przesunęła palcami po moich włosach.

– Jesteś tylko moją siostrą przyrodnią – powiedziałam cicho.

– I z tego powodu darzysz mnie mniejszym uwielbieniem? – spytała.

– Nigdy!

– No cóż, tak samo jest w moim przypadku.

– Ale kobieta, która mnie urodziła, była zła. Okropna. – Tylko nie dla mnie. – Obróciła się przeciwko najlepszej przyjaciółce. Pomogła zabić matkę Cole'a.

– Wobec tego mam dla ciebie jeszcze jedną dobrą wiadomość. Nie jesteś nią. Jesteś jedyną i wyjątkową Alicją, doskonałą pod każdym względem.

Nie bardzo.

– Odznaczam się tą jej umiejętnością, Em. Jestem pod wieloma względami taka jak ona.

– No cóż, inni zabójcy też będą pod wieloma względami tacy jak ona.

Hm... Co?

– Wyjaśnij.

Westchnęłam.

– Kiedy Helen przekazała ci swoją umiejętność, przełamała tym jakąś tarczę ochronną i zmieniła cię.

– Tyle wiem.

– Zmieniła bardziej, niż to sobie uświadamiasz – powiedziała. – Bardziej niż sama to sobie uświadamiała. Teraz, ilekroć użyjesz siły ognia wobec jakiegokolwiek zabójcy, podzielisz się z nim swą umiejętnością.

Chciałam temu zaprzeczyć, ale istniał już dowód świadczący o czymś przeciwnym. Wykorzystałam ogień w przypadku Gavina i Jacklyn, oni zaś doznali po raz pierwszy wizji.

– Helen powiedziała, że gdy tylko umiejętność zostanie przekazana, jej pierwotny posiadacz ją utraci. Ja wciąż ją mam.

– Może chodzi o doświadczenia, jakim byłaś poddana w dzieciństwie. Może chodzi o leki i toksyny, które ci wstrzykiwano podczas tortur. Bez względu na powód jesteś inna.

Kogo jeszcze uleczyłam? Czy ten ktoś też rozwinąłby w sobie nowe umiejętności? Jeśli tak, to czy podziękowałby mi za to, czy też mnie przeklął?

Emma wskazała zdjęcia.

– Może je przejrysz? Sądzę, że będziesz zaskoczona tym, co zobaczysz.

ŚCIAĆ CI POKRĘCONĄ GŁOWĘ

Przerzucałam drżącą dłonią zdjęcia Helen, Sami, Erin i Veroniki. Było to dziwne widzieć silną, zdeternowaną kobietę z moich snów – i z paru spotkań – odprężoną, niemal szczęśliwą.

Veronica jednak miała rację. Sami – ja – rzadko się uśmiechała.

Na wszystkich fotografiach z wyjątkiem jednej byłam nadąsana, tuląc się do Helen. Na tej jedynej siedziałam w piaskownicy z odrobinę starszą Veronicą; wiedziałam, że to ona. Te ciemne loki stanowiły niezbity dowód.

Po moim policzku spłynęła łza, gorąca i piekąca, i po chwili, po prostu, tama puściła i rozpętała się niepowstrzymana burza. Szloch, potem następny... i następny. Wszystko, co zdołałam zaszufładować, co zamierzałam rozważyć później, wydostało się z uwięzienia.

– Och, Alicjo – powiedziała tylko Emma, nie odzywając się więcej.

Smutek. Trina, Lucas, Collins i Cruz – martwi, spopieleni.

Rozpacz. Ja, dziewczyna, która ceniła prawdę ponad wszystko, żyłam w splątanej pajęczynie kłamstw.

Szok. Moja matka nie była moją matką.

Jeszcze więcej rozpacz. Co by się stało, gdyby Cole został ranny w lesie, jak przepowiadała nasza wizja? Czy bym go straciła?

Wina. Skrywałam sekret przed Cole'em.

Choć pragnęłam pogrążyć się bez końca we wszystkim, co czułam, wiedziałam, że muszę uwolnić emocje. Ostatecznie. Raz na zawsze. Stanowiły nieodłączną część przeszłości, ja zaś nie mogłabym podążać przed siebie, gdybym bezustannie patrzyła wstecz.

Nigdy jeszcze nie chciałam tak bardzo podążyć dalej niż teraz. Ale wiedziałam tylko tyle, że muszę wpełznąć emocje z powrotem do szufladek. I mogłam to zrobić, tyle że ściany nie zwalały się po prostu – one ujawniły ranę i gdybym znów otoczyła ją murem, pewnego dnia mogłabym znaleźć się w tragicznym miejscu.

– Ali? Emma powiedziała, że dzieje się coś złego.

Nagle stwierdziłam, że siedzi obok mnie Cole, obdarzając ciepłem i siłą swych objęć.

Wtuliłam się w niego, przywierając twarzą do jego szyi, i zapłakałam. Tak bardzo, że zaczęłam drżeć konwulsyjnie. Nie puścił mnie ani na chwilę, trzymał mocno, przesuwając palcami po moich włosach i szepcząc mi pełne pociechy słowa do ucha. Takie jak „kocham cię, Ali-gatorze” i „to nas nie rozdzieli”, i „przezwyćziemy to”.

Kiedy się w końcu uspokoiłam, wyniósł mnie z pokoju, z dala od zdjęć i bólu. Oczy miałam spuchnięte; paliły mnie tak, jakby zetknęły się z prawdziwymi płomieniami. Nos miałam tak zapchany, że ledwie oddychałam; pozbyłam się każdej cząstki energii. W tej chwili nie byłam niczym więcej niż tylko wielką kałużą śluzu. Zażenowanego śluzu. Zapewne upaćkałam nim koszulę Cole'a.

Wszedł do następnej sypialni; jarzyła się zapalonymi świecami. Była przepastna, dzieliła się na dwie odrębne części. Sypialnia i salon z wygodną kanapą i stolikiem do kawy, na którym piętrzyło się jedzenie. Moje ulubione smakołyki. Fettuccine Alfredo. Grzyby nadziewane.

Smażony ser. Pierniki czekoladowe z kremem waniliowym.

– Urządziłem kryjówkę dla nas – powiedział, sadzając mnie na brzegu łóżka. W tle grała

cicha muzyka. – Pomyślałem sobie, że w końcu moglibyśmy mieć naszą pierwszą randkę.

Uklucie w piersi zalanej kwasem.

– Nie powinieneś był tego robić. Nie dla mnie, Cole. Helen jest...

– Wiem, kochanie. Wiem.

Wiedział? Naprawdę? Musiałam powiedzieć to głośno.

– Jest moją matką.

Skinął głową, zrobił to powoli i bez wysiłku.

– Veronica potwierdziła to, co zacząłem podejrzewać.

Iskry gniewu. To nie jej historia.

– Zmieniono mi datę urodzin. Jestem starsza, niż to sobie uświadamialiśmy.

– Dobrze wiedzieć.

– Śnię o Helen. Ukazuje mi się.

Uklął przede mną i oparł dłonie na moich udach.

– Zignoruj sny, zignoruj tę kobietę.

Ale... nie chciałam tego.

– Pomaga mi.

– Kłamie. Zdradzi cię, skrzywdzi.

– Nie, ona...

– Kłamie. Zdradzi cię. – Jego twarz stwardniała, zamieniła się w granit. – Ale to, kim jest i co robi, nie zmienia tego, kim jesteś... a jesteś moja.

Jego zapewnienie spełniło swe zadanie. Natchnęło mnie pewnością. Mimo to nie potrafiłam zapanować nad nerwami. On widział jedną stronę monety. Ja widziałam drugą. Była dla niego kimś złym, ale dla mnie dobrym. Chciał, żebym o niej zapomniała. Ja zaś pragnęłam nawiązać z nią bliższą relację i zyskać jak najwięcej.

Dałby radę się z tym zmierzyć?

– Mam dość tego, jak postępuje Anima – powiedziałam, zmieniając temat. – Wykonuje ruch, a my musimy się potem pozbierać. Stara historia. Więc rano zacznę szukać Justina. Obiecałam to Jacklyn.

– Choć podoba mi się twój entuzjazm – powiedział – nie masz nawet pojęcia, od czego zacząć poszukiwania.

– Owszem, mam pojęcie. Wiemy, że Justina wywieziono z magazynu. Po drugiej stronie ulicy znajduje się apartamentowiec. Może ktoś obserwował to z okna. Będę chodzić od drzwi do drzwi, jeśli trzeba, i pytać. Zadzwoń też do Ethana. Pracował kiedyś dla Animy i wie, jak ta firma działa.

– Niewykluczone, że wciąż dla nich pracuje.

– Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć.

Milczenie. Westchnienie.

– Okay – powiedział. – Pomogę ci.

Te słowa zatoczyły pełny krąg, aż do początku naszej rozmowy – do sedna moich obaw.

– Jeśli pomówię z Helen i zorientuję się, co wie, to pomyślisz, że pracuję dla Animy?

Przyglądając mi się, oświadczył zdecydowanym tonem:

– Okay, czas na klapsa.

Usiadł obok mnie i przełożył mnie przez kolano.

Krzyknęłam, kiedy położył swoją dużą dłoń na moich pośladkach, ale tylko je potarł zamiast uderzyć.

– Skupiłaś się? – spytał. – Dobrze. Chcę, żebyś mnie wysłuchała, i to z uwagą. Dałem się wcześniej podejść Animie? Tak. Ale uczyłem się na własnych błędach i nie popełniam tych

samych dwa razy. Uwierz mi choć odrobinę. I sobie też. Zależy ci na przyjaciółkach. Jesteś serdeczna i uczciwa, i tak bliska doskonałości, jak to tylko możliwe w przypadku ludzkiej istoty. Nienawidzisz Animy tak bardzo jak my. Nigdy byś im nie pomogła, nawet ze względu na nią. – Ostatnie słowo niemal z siebie wypluła. – Kiedy otrząsniesz się z tego szoku, o jaki przyprawia cię twój związek z tą kobietą, uświadomisz sobie, że to potwór o anielskiej twarzy. Koniec, kropka.

Tego właśnie chciał. Może tego właśnie potrzebował.

Ale nie byłam pewna, czy tak się stanie, i to mnie przerażało.

Głupi strach!

Pomógł mi się wyprostować.

– Obiecałeś, że dasz mi klapsa, i nie dotrzymałeś słowa – zauważyłam.

– Twoje oczy. Potrafią odwieść mnie od wszystkiego.

– A co dokładnie ci mówią?

– Zazwyczaj: „jesteś zdumiewający, Cole”. I „chcę być twoją niewolnicą, Cole”.

Ha!

– Co z naszą randką?

– Proszę bardzo.

Zjedliśmy. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się, obejrzelśmy nawet film. Zagubiliśmy się w swoim własnym małym świecie. Ale intymny czas spędzony razem sprawił, że... poczułam mrowienie. Chciałam więcej.

Chciałam jego. Wreszcie.

Myślę, że moje oczy mogłyby sprawić, że zdjąłby ubranie.

Usiadłam mu na kolanach, objęłam za szyję i otoczyłam nogami w pasie.

– Tak bardzo przywykłam do tego, że nie masz na sobie koszuli. Jeśli czujesz się w niej nieswojo, po prostu ją zdejmij. Oczywiście, mam na względzie tylko twoje dobro.

Parskając rozbawiony, wstał wraz ze mną, oplatając go niczym boa dusiciel, i poszedł do łazienki. Posadził mnie na marmurowym blacie, po czym zdjął koszulę – hura, oklaski – i poszukał myjki. Odkręcił wodę, zmoczył szmatkę i delikatnie zwilżył mi twarz.

Cholera!

– Muszę wyglądać koszmarnie – wymamrotałam. Nic dziwnego, że mnie powstrzymał, zanim w ogóle zaczęłam. – Moje wcześniejsze chlipanie zrujnowało naszą randkę.

– Hej. Twoje chlipanie było dla mnie główną atrakcją.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– Czy ktokolwiek powiedział ci, że jesteś słodki? Nie? To dobrze.

– Powiedziałaś, że smakuję słodko. – Rzucił myjkę na podłogę. – Gotowa na drugi punkt wieczoru?

– Zależy od tego, co masz na myśli.

– Pocałunek przy drzwiach. Albo, w naszym przypadku, przy drzwiach od prysznicza. – Przesunął po mnie leniwym spojrzeniem spod przymrużonych powiek. – Nie zamierzałem posuwać się tak daleko, nie dzisiaj wieczór, ale jesteś brudna. Bardzo, bardzo brudna.

Nieprzyzwoicie brudna, powiedziałbym. Muszę spełnić dżentelmeński obowiązek i umyć resztę twojego ciała.

Moje serce zabiło szalonym rytmem.

– W bieliznie czy bez bielizny?

– Wybór należy do pań.

Byłam wkurzona, bo wiedziałam, że nie spodoba mu się moja odpowiedź. Czy raczej spodoba aż za bardzo.

– Bez.

Jęknął, manipulując przy kranach wewnątrz kabiny.

– Próbujesz mnie zabić, co?

– Próbuję złamać twój opór, owszem. Podziękujesz mi później.

– Jestem pewien.

Spadł deszcz wody, powietrze wypełniła para. Ściągnął z siebie buty, dżinsy i broń.

Mnóstwo broni. Sztylety. Gwiazdy ninja. Znowu sztylety. Pistolet. Jeszcze jeden. Amunicję.

Słynną minikuszę. Znowu sztylety. Metal stukał dźwięcznie o metal, a każdy ruch Cole'a budził moją fascynację.

– Twoja kolej – powiedział tonem pragnienia i rozkazu.

Bawiłam się koniuszkami włosów.

– Mogę ci najpierw zadać pytanie?

– Już zadałaś. Rozbieraj się.

Zabawny facet. Zsunęłam się z blatu.

– Czeakałbyś rok i trzy miesiące także w przypadku innych dziewczyn?

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Bez względu na to, jak odpowiem, i tak wydam się dupkiem.

Widzicie? To słowo będzie mnie prześladowało już zawsze.

– Więc nie uwzględniaj czasu, który spędziłam w śpiączce, tylko powiedz mi prawdę.

– Doskonale. Nie. Nie. Nie czekałbym. Odszedłbym. I zanim zaczniesz zasypywać mnie pytaniami z szybkością karabinu maszynowego... Nie, nie zmęczone się czekaniem na ciebie i nie, nie odejdę.

Nadeszła chwila na przypomnienie powodu siedemnastego.

– Dlaczego czekasz w moim przypadku? – Przesunęłam po nim spojrzeniem, płonęły mi policzki. – Jest jasne, że wolałbyś nie czekać.

– Bo jesteś moja. Nie tylko teraz, ale zawsze. Chcę robić to, co jest słuszne według ciebie. I zrobię to, co jest słuszne.

– Inne dziewczyny też były twoje – zauważyłam. Powietrze wciąż gęstniało od pary.

Przypominało to mgłę jak ze snu. – Kiedyś.

– Nie były moje. Stanowiły... wprawkę.

Ładne słowa. Prawie się roztopiłam.

– Skąd wiesz, że nie stanę się wprawką przed jakąś inną dziewczyną?

Przysunął się, przyciskając mnie do blatu, jego najtwardsza część umościła się w mojej najmniejszej części. Ściągnął mi koszulę przez głowę.

– Musisz mi po prostu zaufać. – Jego palce spoczęły na pasku moich spodni, rozpięły guzik. – Ufasz?

– Tak.

– To dobrze.

Posadził mnie na blacie i zdjął mi buty.

Odchyliłam się, opierając ciężar ciała na łokciach i unosząc biodra, żeby łatwiej było mu ściągnąć mi spodnie. W ten sposób sama byłam słodka.

Kiedy już dżinsy zsunęły się z moich nóg, zostałam w staniku, majtkach i swoim arsenale. Uwolnił mnie z broni, sztuka po sztuce. Miałam mnóstwo sztyletów, ale nie pistolety. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, potem znowu, jakby po prostu nie mógł tego zrobić.

– Nie przeszkadza ci, że jestem dość płaska? – spytałam, a te słowa wyrwały się z moich ust jeszcze przed otrzymaniem pozwolenia ze strony mózgu.

Uniósł gwałtownym ruchem głowę i napotkał mój wzrok.

– Jesteś doskonała. Dlaczego zastanawiasz się nad czymś takim?

- Gavin powiedział...
- Gavin skomentował twój biust? – Cole chwycił jeden ze sztyletów. – Zabiję go.

Brutalnie zamorduję.

Złapałam go za nadgarstek, wyjęłam z dłoni ostrze i roześmiałam się.

- Nie powiedział tego do mnie. Ani nawet o mnie.

Mój bardzo zaborczy, bardzo opiekuńczy chłopak odprężył się, ale tylko odrobinę.

- Dobra. Będzie żył.

Rozebrałam się do końca i Cole wprowadził mnie do kabiny. Wszedł do niej za mną, zasuwając drzwi i zamykając nas w środku; para zgęstniała.

– Będę nienormalnie wściekły, jeśli przyjdiesz kiedykolwiek do domu z implantami – powiedział, pchając mnie lekko pod strumień wody. – Wiem, że się powtarzam, ale jesteś doskonała.

- Dziękuję.

Nie skończył jeszcze.

– Każdy facet, przez którego dziewczyna czuje, że musi mieć z przodu większy sprzęt, nie jest wart kopniaka w du... tylek.

– Du-tylek? – spytałam, znowu się śmiejąc i kochając go bardziej z każdą sekundą, jaka upływała. Był niezrównany. – Brzmi jak coś ze słownika mojej babci.

– Nieważne. Ktoś powinien powiedzieć Gavinowi, żeby zafundował sobie implant prąciowy – mruknął Cole.

- Jacklyn wyprzedza cię o krok. Poradziła mu, żeby wyhodował sobie większe jaja.

- No cóż, dobry początek.

Stojąc za mną, Cole namydlał mnie powoli. Jego dłonie zatrzymywały się na dłużej to tu, to tam. Polał szamponem i odżywką moje włosy, przywierając do mnie całym ciałem i niebawem nie tylko woda zasnuwała parą szklane ściany.

- Twoje nowe tatuaże już się zagoiły – zauważył, całując mnie w kark.

Poczułam dreszcz.

- Wciąż ci się podobają?

– Zdecydowanie. – Jego kciuk przesunął się w zmysłowej pieszczocie po gruzelkach mojego kręgosłupa. – Nigdy mi jednak nie powiedziałaś, co oznacza ten feniks.

- Nie domyślasz się?

- Tak – zapewnił, skubiąc mi płatek ucha – ale chciałbym też to usłyszeć.

Trudno było zmusić mój mózg do pracy, ale zdołałam jakoś wyjaśnić swój ówczesny proces myślowy – że stał ze mną w ogniu, trzymając mnie za rękę, pomagając podnieść się z popiołów mojego życia. Kiedy skończyłam, obrócił mnie i złożył na moich wargach miękki pocałunek.

- Sprawiasz, że jestem szczęśliwy – wyznał.

- Przekonajmy się, czy mogę sprawić, byś poczuł się jeszcze szczęśliwszy.

Wyjęłam mu mydło z dłoni i zaczęłam go namydlać tak powoli i dokładnie, jak on wcześniej mnie, podziwiając bezbrzeżnie każdą jego cząstkę.

Kiedy już go spłukałam, pomasowałam ramiona stwardniałe niczym granit od napięcia, a potem skupiłam uwagę na piersi, wodząc palcami po tatuażach, sięgając niżej, do brzucha. Brzucha, który drgał, zapierając mi dech w krtani... I mój brzuch też drgnął.

– To był bardzo, bardzo zły pomysł. – Przyparł mnie do ściany, wzrok mu płonął. – Jeden z najgorszych, na jaki wpadliśmy.

Poczułam na plecach chłód kafelków i westchnęłam.

- Albo najlepszy.

– Może testowałem swoją wytrzymałość. Nie zaliczyłem, tak na marginesie.
Opuścił głowę i obdarzył mnie twardym, gorącym pocałunkiem. Głębokim pocałunkiem.
Druzgocącym duszę. Słodszym od wody spływającej po naszych wargach.
Objęłam go za szyję, a on ocierał się o mnie.
– Ilekroć jestem z tobą tak jak teraz – powiedział – mam wrażenie, że odnalazłem wreszcie drogę do domu.
Zajęczałam. Rzeczy, które mówił mi ten chłopiec, tak przekonujące jak jego dotyk, rozpałały, roztopiając moje wnętrze.
– Cole.
– Chcę więcej... Nie powinienem.
– Powinieneś! Jestem starsza, niż się wydawało, pamiętasz?
– Tak, ale potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić. – Podniósł głowę, marszcząc czoło.
Wyprostował się po kilku sekundach, odrywając spojrzenie od moich oczu. – Coś jest nie tak.
Tak, prawda. Nie koncentrował się już na mnie.
– Skąd wiesz?
– Czuję się tak, jakbym miał wizję. Tyle że niczego nie widzę. Tylko czuję.
Nie zadawałam dalszych pytań. Potrafił dostrzec niebezpieczeństwo w mig, to była jego specjalność. Wskoczyłam z kabiny, wytarłam się szybko i ubrałam. Cole zrobił to samo i oboje chwyciliśmy za broń. On za kuszę, ja za czterdziestkęczwórke. Przykręciłam tłumik do lufy.
– Zombi? – spytałam.
Jego fioletowe oczy spoglądały posepnie.
– Nie. Coś gorszego.

PAŚĆ CUDOWNYM TRUPEM

Porzuciliśmy intymność tej chwili, ból pragnienia, i po cichu wyszliśmy z łazienki, nie zakręciwszy wody. Zamknęłam za sobą drzwi, ale nie do końca. Świece w pokoju wciąż płonęły miękko, rzucając przytłumione promienie światła. Cole zdmuchnął te na komodzie, potem przykucnął za nią, dając mi znak, żebym zrobiła to samo.

Stary zegar stojący, tuż obok nas, wybił północ; kuranty zagrały melodyjnie, a ja zeszywniałam. Nowy dzień. Od tej pory nie mogłabym spojrzeć Cole'owi w oczy, by nie doznać wizji.

Jakiegokolwiek rozproszenie uwagi było w takiej sytuacji niebezpieczne.

Choć nie wiedziałam, co się właściwie dzieje.

W pokoju panowała tak głęboka cisza, a krew przepływała przeze mnie tak szybko, że dzwoniło mi w uszach. Nic dziwnego, że nie usłyszałam, jak otwierają się drzwi sypialni i jak do środka wchodzi mężczyzna ubrany na czarno; ruszył w stronę łazienki i pojawił się w polu mojego widzenia. Doznałam szoku.

Benjamin, z własnym pistoletem kalibru .44 w dłoni. Broń, tak jak moja, zaopatrzona była w tłumik.

Cole nie tracił czasu na rozmowy. Podniósł kuszę i strzelił.

Bełt zagłębił się w ramieniu Benjamina, siła uderzenia pchnęła go na drzwi łazienki, które się rozwarły, on zaś wleciał do środka. Potknął się o broń, którą zostawiliśmy na podłodze, ale padając obrócił się błyskawicznie i wycelował do nas.

Miał pecha, że celowałam już w jego pierś, a mój palec spoczywał na spuście. Nacisnęłam go.

Poczułam w ramionach wibracje odrzutu, w nozdrza uderzyła mnie woń dymu i spalonego prochu, podczas gdy tamten poleciał do tyłu i runął na plecy. Próbował wstać, ale nie dał rady. Spoczywał nieruchomo na podłodze.

– Ostrożnie – rzuciłam, gdy Cole ruszył do przodu, z wyciągniętą przed siebie kuszą.

Gdy przykucnął, chcąc przewrócić Benjamina na brzuch i związać mu z tyłu dłonie, został zwalony z nóg. Padając, wystrzelił bełt, trafiając przeciwnika w pierś. Jednak rąbnął głową o brzeg wanny i stracił przytomność albo doznał chwilowego oszołomienia, dzięki czemu napastnik podniósł się do pozycji siedzącej – i z kolei wcelował broń w jego pierś.

Instynkt. Wściekłość. Panika. Nie jestem pewna, co dodało mi sił. Oddałam kolejny strzał, trafiając Benjamina w rękę; jego pistolet poleciał w górę. Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. Nacisnęłam spust – by posłać tym razem śmiertelną kulę – ale usłyszałam tylko metaliczny klik.

Koniec amunicji, choć Cole bezustannie ładował broń? Czy znowu zawodny pistolet? Jakże istniało prawdopodobieństwo... Chyba że ktoś grzebał przy naszym sprzęcie. Nieważne. Nie było czasu. Zerwałam się z podłogi. Zmierzyliśmy się już kiedyś, Benjamin i ja. Wygrałam. Mogłam wygrać znowu.

Poza tym ktoś w domu musiał usłyszeć łoskot padających ciał. Ten ktoś, on czy ona, nie wiedziałby, skąd dokładnie dotarł ten hałas. Ani w którym pokoju przebywałam z Cole'em. Zaczęłyby się poszukiwania. Benjamin miał trochę czasu, ale nie za wiele.

– Jak widać, uciekłeś z klatki – powiedziałam. – Gdzie Szron i River?
Otarł usta, rozmazując krew wyciekającą z kącików.
– Nietrudno było dorwać klucz. Więc gdy tylko zostawili mnie samego... – Uśmiechnął się, jakby mówił: „I oto jestem”.

– Zabiłeś kogoś przy okazji? – Siliłam się na beztroski ton.
– I zaryzykować wszczęcie alarmu? Nie. Postanowiłem poczekać na swoją ofiarę.
Na mnie. Bez wątpienia.
Nie spytałam dlaczego, ale i tak udzielił mi odpowiedzi.
– Wynajęto mnie miesiąc temu, żebym cię sprowadził albo zabił. Uciekłaś i teraz na mojej nieskazitelnej przeszłości widnieje paskudna plama. To nic osobistego, kochana, ale chcę tę plamę zmasać.

– Życzę szczęścia.
Choć oberwał dwa razy z kuszy i raz z broni palnej, trzymał się zadziwiająco dobrze, zgarniając z podłogi w łazience dwa noże i krótki miecz. Skrzywił usta w niespiesznym, lodowatym uśmiechu.

– Nie potrzebuję szczęścia. Wystarczą mi umiejętności.
Poruszając się tak szybko, że z trudem za tym nadążałam, rzucił jednym ze sztyletów. Ostrze musnęło mnie po wewnętrznej stronie nadgarstka, naruszając żyłę. Moje receptory bólu zareagowały bezzwłocznie; ręka drgnęła mi gwałtownie, a i tak już bezużyteczna broń spadła na podłogę.

Przewaga – Benjamin.
Tak. Po. Prostu.

Ruszył na mnie, w każdym kroku dostrzegałam groźbę. Cofałam się, zmiierzając na prawo, bardziej w stronę drzwi. Były zamknięte, prawdopodobnie na klucz. Wielka szkoda! Chciałam wywabić Benjamina na korytarz, odciągnąć go od Cole’a – błagam, oby nic mu się nie stało – gdzie ktoś mógłby nas zauważyć i usłyszeć. Ale i on skierował się w tę samą stronę, zmuszając do zmiany kierunku; w przeciwnym razie groziło mi ostrze. W końcu oparłam się zgięciem kolan o łóżko.

Zatrzymał się w odległości kilkudziesięciu centymetrów, znów się uśmiechając.

– Biedna Ali – powiedział i cmoknął. – Nie ma dokąd uciekać.

Wiedziałam, że samobójstwem będzie próbować wykopać mu nóż z dłoni. Zagranie hollywoodzkie w stylu i głupie. Tata mi kiedyś powiedział, że w razie czego posłużyła się czymkolwiek, co jest pod ręką. Czymkolwiek. Wszystkim.

– Sprawi mi to przyjemność – oznajmił Benjamin.
A potem to zrobił. Wymierzył mi cios krótkim mieczem. Cofnęłam się przed ostrzem i chwyciłam go za nadgarstek, powstrzymując rozpęd, a drugą ręką walnęłam go w krtań.

Chwytając spazmatycznie powietrze, zatoczył się do tyłu.

Posłużyłam się tym, co miałam pod ręką – świecą. Chlusnęłam mu w twarz gorącym, roztopionym woskiem. Jęknął, ocierając sobie oczy, oślepiiony na chwilę. Wtedy wykopałam mu nóż z dłoni. Nie musiałam unosić wysoko nogi, co oznaczało, że miałam większe szanse utrzymać się pewnie na stopach, gdyby się uchylił.

Nie uchylił się.

Kiedy stał poleciała z brzękiem po podłodze, wymierzyła następny cios i kopnęłam go w krocze. Zawarczał głucho jak zranione, rozzłoszczone zwierzę, ale nawet się nie przygarbił. Zdolny w jakiś sposób przezwyciężyć ból, rzucił mnie na łóżko. Podskoczyłam na materacu, potem zwałił się na mnie całym ciężarem ciała i unieruchomił.

Mogłabym ulec panice, wiedziałam jednak, że emocje to w tej chwili mój największy

wróg. Zachowałam więc spokój, nawet gdy wymierzył mi silny cios w szczękę.

Ból. Gwiazdny wybuch. W sekundzie gwałtownego ruchu szarpnęłam się, tworząc szczelinę między naszymi ciałami. Musiał się chwycić wezglowia, żeby zachować równowagę. Nie mógł mnie trzymać, mając dłonie zajęte czym innym, ja zaś złapałam go za biodra i prześlizgnęłam się między jego nogami, po czym usiadłam i obróciłam się błyskawicznie.

Położyłam płasko dłoń na jego potylicy i pchnęłam z całej siły. Rąbnął czołem o wezglowie, całe łóżko zatrzęsło się od siły tego uderzenia. I znów, nie odniósł takich obrażeń, jakie powinien. Umiejętność zabójcy?

Chwycił mnie za rękę i zrzucił na podłogę. Impet, z jakim o nią walnęłam, pozbawił mnie powietrza w płucach.

Benjamin skoczył na równe nogi.

– Ali!

Spojrzałam. Nie chciałam, ale z nawyku szukałam Cole'a wzrokiem, ilekroć zawołał. Z absolutnego nawyku. Nasze spojrzenia spotkały się, gdy wypadł z łazienki, i świat zniknął...

...nagle Cole przemierzał zdecydowanym krokiem jakiś korytarz. Zwieszałam mu się przez ramię, tłukąc go i wierzgając nogami.

„Puść mnie” – zażądałam.

„Nigdy więcej” – odparł.

„Wciąż to powtarzasz. Czego ode mnie chcesz?”

„Tego, czego zawsze chciałem. Wszystkiego”.

„Nie możesz tego mieć. Nie znam cię, nie chcę cię znać...”

...co!? – niemal krzyknęłam.

Scena zmieniła się momentalnie.

...staliśmy nos w nos, wrzeszcząc na siebie.

„Tak, do cholery, tak! – Tupnęłam wściekle. – Pamiętasz, co było napisane na tamtych stronach. Jedna osoba odda życie, by ocalić wiele istnień”.

„To nie ty”.

„To ja!”

„Nie” – powtórzył bardziej zdecydowanie...

...w tej sekundzie wizja zniknęła, a ja znów chciałam krzyczeć. Bo to ja mogłam być „nią”. Straciliśmy z oczu mordercę, ja zaś prawdopodobnie byłam pocięta nożem na całym ciele.

Zamrugalam szybko i popatrzyłam po sobie. Trzymałam się na własnych nogach, z szyi ciekła mi ciepła krew. Odszukałam wzrokiem Cole'a. Stał w odległości kilkudziesięciu centymetrów, dłonie trzymał przy bokach, na jego twarzy malowała się wściekłość. Próbował do mnie podejść, ale Bronx go powstrzymał. Na skroni Cole'a dostrzegłam szkarłatną plamę.

– Cole.

– Nic mu nie jest. – Pojawił się przede mną Szron, przyglądając mi się badawczo.

– Morderca...

– Nie żyje – odparł z zadowoleniem. – Jeszcze ułamek sekundy i przecięłby ci żyłę szyjną. Nie mogłem ryzykować i strzeliłem mu między oczy.

Jedna misja... skończona... niemal umarłam... nie miałabym... szansy... pożegnać się. Coś było ze mną nie tak – i pogarszało się coraz bardziej. Oddychałam z wysiłkiem, myśli mi umykały. Każda rana i każde obrażenie odniesione podczas walki darły się wniebogłosy, rzucając mnie na kolana.

– Myślę... że Cole... ma wstrząśnienie mózgu – zdołałam z siebie wydusić. Zaczęły mi ciążyć powieki.

– Mam to w nosie – powiedział, ja zaś wiedziałam, że jest przy mnie. Prawdopodobnie

odsunął Bronxa i Szrona z drogi.

W mojej głowie eksplodował ostry ból.

– Coś... jest nie w porządku. – Otworzyłam usta, żeby powiedzieć więcej, ale zabrakło mi siły.

– Ali? – spytał. Wydawało się, że jest gdzieś daleko. – Mów do mnie. Powiedz mi, co się dzieje.

Odplynęłam od niego, wznosząc się coraz wyżej, niezdolna słyszeć go ani czuć.

Wkurzało mnie to. I jednocześnie nie wkurzało. Tu, na górze, nic nie czułam.

– Alicjo.

Zawołał mnie znajomy, ukochany głos, a powieki, które przestały już ciążyć, uniosły się. Moja mała siostra stała w odległości paru kroków, wokół jej postaci tańczyła biała mgiełka, tworząc magiczną otoczkę.

– Śnię? – spytałam.

– Nie. – W jej wzroku malowały się troska i jednocześnie uwielbienie. – Unosisz się gdzieś między życiem i śmiercią.

Śmiercią? Od razu się wzdrygnęłam.

– Nie jestem gotowa umrzeć. Jest tyle do zrobienia.

Musiałam ocalić Justina, zgodnie z daną obietnicą. Musiałam zniszczyć Animę. Musiałam spędzać czas z Helen.

Musiałam stworzyć bezpieczny świat dla Cole'a, Kat i babci.

– Więc walcz – powiedziała.

Chciałam nią potrząsnąć.

– Właśnie to robię.

– Walcz – powtórzyła. – Alicjo, walcz! – Ostatnie słowa wykrzyczała.

Nie, Emma nie krzyczała. Ja krzyczałam. Ból mnie pochłaniał, wygięłam plecy w łuk, unosząc się nad podłogą. Nad podłogą. Tak. Tam właśnie byłam, nie w obłokach. Leżałam na plecach, trawił mnie ogień, pot wylewał się ze mnie strugami. Coś twardego uderzyło mnie w pierś, łamiąc mi niemal żebra.

W końcu jednak ogień przygasł, a ja opadłam na deski, jakby pozbawiona kości. Ale uderzenia trwały.

– ...musiał ją czymś zatruć – mówił Szron.

Podniosłam z trudem powieki. Cole obejmował mnie w talii kolanami, dłonie trzymał płasko na mojej piersi i naciskał.

Masaż serca?

– Cole – powiedział Bronx. Ukląkł przy mnie. Jego duch, nie ciało. Połyskiwał tak pięknie. Wyjął swe dłonie z wnętrza mojej ręki, płomień w jego palcach przygasł. – Cole! Ona żyje. Możesz przestać.

Cole znieruchomiał, jego oczy napotkały mój wzrok. Ból wykrzywił mu rysy. Przycisnął dwa palce do mojej szyi i wyczuł powolne, lecz miarowe puk, puk.

– Serce ci stanęło – rzucił chrapliwie. – Naprawdę stanęło.

Mimo to nie doświadczyłam bólu. Nie teraz. Nie czułam go nawet w szczęce, w miejscu, gdzie uderzył mnie Benjamin.

Choć otaczała mnie mgła zamroczenia, jeden fakt wydawał się oczywisty. Nabieraliśmy siły. Wszyscy. Przeszliśmy przez coś, co złamałoby każdego. Robiliśmy coś, czego nigdy wcześniej nie robiliśmy.

I mieliśmy jeszcze robić to, czego nigdy wcześniej nie robiliśmy.

Jedno życie za wiele istnień.

Co ważniejsze, byliśmy zdolni do rzeczy, z którymi Anima nie potrafiłaby sobie poradzić.

– Ali – powiedział Cole. – Mów do mnie.

– Dziękuję. – Westchnęłam i zamknęłam oczy. Uśmiechałam się, odpływając w sen.

*

Budziłam się stopniowo, rozkoszując się otaczającym mnie ciepłem... i mocną pierśią, którą wyczuwałam pod sobą.

Uniosłam głowę, moje policzki oblały się gorącem, kiedy sobie uświadomiłam, że obśliniłam nagą skórę Cole'a. Otarłam kompromitujące plamy, najostrożniej jak potrafiłam, muskając koleczyk w jego sutku.

Długie rzęsy się rozsunęły i te cudowne fioletowe oczy zmarszczyły się w kącikach, kiedy się do mnie uśmiechnął.

– Dzień dobry, promyku poranny.

Zamierzaliśmy bawić się w czułe określenia?

– Dzień dobry, słodki chrupku.

Uśmiechnął się szerzej.

– Teraz jestem słodkim chrupkiem?

– No cóż, lepsze to niż dupek.

– Tak chcesz mnie nazywać?

– Może. – Odgarnęłam mu włosy z czoła, czekając na nadejście wizji. Spojrzałam na zegar na nocnym stoliku. Trzynaste po jedenastej wieczorem? To oznaczało, że doznaliśmy już tego dnia jednej wizji i że nie przytrafi się nam następna aż do jutra.

I wtedy napłynęły niepowstrzymaną falą wspomnienia. Płatny morderca. Strzelanina. Wizja, którą już mieliśmy. Emma.

– Umarłam. – Zamrugalam ze zdumienia. – Tak jakby.

Zauważyłam, że jego skóra przyoblekła się bladością.

– Tak, serce ci się zatrzymało. Nigdy jeszcze nie byłem taki przerażony. Lecz Bronx rozpalił się jak raca na święto niepodległości, dostarczając ogień, podczas gdy ja prowadziłem reanimację. Powróciłaś do mnie.

Przytuliłam się do niego mocno.

– Jak zawsze.

Objął mnie z zapalem.

– Ankh zbadał cię, kiedy chrapałaś w najlepsze, i ocenił, że jesteś zdrowa jak ryba.

Teraz musiałam taka pozostać.

– Hej, właśnie sobie przypomniałam. Emma powiedziała, że ilekroć posługuję się ogniem, to dzielę się swoimi umiejętnościami z innymi zabójcami. Coś w rodzaju zarażania duchowymi wszami, jak sądzę.

Zastanawiał się przez chwilę, potem skinął głową.

– To wyjaśnia, dlaczego Szron i Bronx mieli wizję.

– Mieli? – Poważnie? – Jeśli mi powiesz, że Szron widział siebie w łóżku z Bronxem, tak jak Gavin widział siebie w łóżku z Jacklyn, to domagam się, absolutnie i na sto procent, miejsca w pierwszym rzędzie, kiedy już do tego dojdzie.

Roześmiał się, tak jak śmiał się tylko ze mną, szczerze i beztrąsko.

– Sorry, Ali-gatorze, ale widzieli samych siebie w walce. Bronx próbował odciągnąć Szrona od czegoś, a ten próbował to dorwać, cokolwiek to było.

Burza mózgu: co mogło skłonić dwóch najlepszych braterskich kumpli do walki, skoro nigdy wcześniej ze sobą nie walczyli?

– Dlaczego wizja nie ujawniła czegoś więcej? – mruknęłam niezadowolona. – Dlaczego pojawiają się tylko przelotne obrazy?

– Może to, co widzimy, jest wszystkim, czym dysponujemy. Może te obrazy nie mają na celu zmienić naszej ścieżki, tylko przygotować nas na to, z czym przyjdzie się nam zmierzyć.

Tak. Może. Usiadłam, włosy rozsypały mi się na ramiona.

– Mamy dziś mnóstwo do zrobienia.

Cole bawił się moim zakreconym kosmykiem, jakby nie potrafił znieść choćby chwilowej rozłąki.

– Tak, prawda.

Potem pociągnął za kosmyk, pozbawiając mnie równowagi. Osunęłam się na jego pierś, a wtedy obrócił mnie i przycisnął do materaca. Popatrzyłam na niego gniewnie.

– Nie będziemy pod żadnym pozorem robić tego, co robią w książkach i na filmach sztuczni ludzie.

– Czyli?

– Nie będziemy się całować przed umyciem zębów. Nie waż się zbliżyć do mojego porannego oddechu.

– Próbujesz pozbawić mnie nagrody? Ocaliłem ci życie. Teraz należy do mnie.

– No cóż, nagroda wymaga dobrego szorowania.

– Ale ja chcę szorowania wstępnego.

Nigdy w życiu.

– Jeśli mamy do tego podchodzić formalnie, to Bronxowi też jestem winna nagrodę.

Powinniśmy go tu zawołać, żeby odebrał to, co mu się należy.

– Woli inne rozrywki – odparł Cole z kamiennym wyrazem twarzy. – Ali?

Ogarnęły mnie senność i rozmarzenie.

– Tak, Cole?

– Zamierzam zrobić coś, czego, jak twierdzisz, nie lubisz, ale oboje wiemy, że desperacko tego pragniesz. Wiemy, prawda? – Po czym przywarł ustami do moich warg, a ja pisnęłam.

Znowu się śmiejąc, skoczył na równe nogi i rzucił mi komórkę.

– Kat przesyłała całą noc wiadomości. Możesz je przeczytać, kiedy będę brał prysznic.

Nie, nie jesteś zaproszona do wspólnej kąpieli. Ostatnia noc stanowiła zbyt wielką pokusę, a teraz czas goni.

Czy to oznaczało, że uległby pokusie, gdyby czas nie gonił?

Wielkie nieba!

Przywierał do mnie spojrzeniem, gorącym i spragnionym, kiedy zamykał drzwi łazienki.

Po chwili usłyszałam metaliczny odgłos zamka.

Pojękując, usiadłam i wlepiłam wzrok w naszpikowany wiadomościami ekran komórki.

Było ich dwadzieścia trzy. By zachować normalność, odpowiedziałam tylko na pierwszych pięć.

1. „CO JEST? PODOBNO UMIERAŁAŚ? Musisz mi mówić o takich rzeczach. Dobra przyjaciółka informuje swoje przyjaciółki na bieżąco, nawet będąc po tamtej stronie”.

Moja odpowiedź: „Jestem cała i zdrowa – słowo daję!”.

2. „Ali Bell. Masz 5 s, żeby się ze mną skontaktować, albo wtargnę do twojego pokoju i zabiję cię, tym razem naprawdę... Mała zmiana planów. Szron przywiązał mi rękę do łóżka. WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI: może mnie to powstrzymać przed wyjściem z pokoju, ale nie powstrzyma przed naszą konwersacją. Czuj się swobodnie. Teraz jednak obrzuca mnie nieprzyzwoitym spojrzeniem. Wydaje mi się, że to fetyszysta ze skłonnością do krępowania”.

Odpowiedź: „Przeczytawszy wcześniej wszystkie twoje wiadomości, wiem, co się teraz wydarzy, szczęściaro”.

3. „Co ma dwa kciuki i właśnie umarło i też poszło do nieba??? Ta szczęściara! Szron ma nieodparty argument. Posługuje się dłońmi!”

Odpowiedź: „CHYBA CZYMŚ INNYM”.

4. „Teraz poważnie. Wszystko w porządku? Bo zerwałam ze Szronem, co jest karą za to, że mnie trzymał z dala od ciebie”.

Odpowiedź: „Naprawdę w porządku. Słowo daję!”.

5. „Jesteś najbardziej irytującą przyjaciółką, jaką miałam. Tylko Szron cię przebija. Jest gorszy. Próbuje mi zabrać telefon. Mówi, że muszę dać ci spokój i pozwolić odpocząć. Akurat! Nie wie, że beze mnie byłabyś zgubiona”.

Odpowiedź: „Naprawdę mi przykro z powodu zwłoki! Przespałam tę historię ze śmiercią. Ale teraz chcę, żebyś to zaakceptowała, poświęciła się i wprawiła Szrona w dobry nastrój. Będzie ze mną później, pomagając w walce z wrogiem, i zawsze zamienia się w bestię, kiedy z tobą zrywa”.

Moja komórka zabręczała, sygnalizując nową wiadomość.

Kat: „Świetnie. Ale tylko dlatego, że poprosiłaś. Masz szczęście, że cię uwielbiam tak bardzo!”.

Ja: „Wiem!”.

Kat: „Masz też szczęście, że ze mnie taka dobra przyjaciółka. **TE RZECZY, KTÓRE DLA CIEBIE ROBIĘ!** Chyba nie dam Szronowi wiersza, który o nim napisałam. Posłuchaj: Róże są czerwone, fiołki niebieskie jak błękit na niebie, mam pięć palców, a środkowy jest dla ciebie”.

Parsknęłam śmiechem. Potem przeczytałam ten genialny kawałek liryczny Cole’owi, kiedy wyszedł z łazienki. Miał na sobie czysty czarny podkoszulek i podarte dżinsy. Na nadgarstkach nosił skórzane obręcze, a do pasa miał przypięty łańcuch. Wyglądał w sam raz do schrupania.

Umieścić to na liście rzeczy do zrobienia.

Uśmiechając się, wytarł rękami mokre włosy.

– Ta dziewczyna to istny wulkan.

– Tak, ale jest lojalna, słodka i zabawna – odparłam. – I gdybym nie była zakochana w tobie, i interesowała się dziewczynami, i ona interesowała się dziewczynami, tobym dobrała się do niej na całego. Gwarantuję, że Szron nie miałby szans. Już mnie zapewniała, że jestem nieodparta.

Przestał się wycierać i popatrzył na mnie z podnieceniem.

– Udawajmy. Przez jeden dzień. Że interesują cię dziewczyny.

– Rany. Nigdy byś mnie nie odzyskał. – Pozbierałam swoje rzeczy i wyminęłam go, po czym wyszłam z pokoju.

– Ale miałbym ubaw, próbując to zrobić – powiedział, kiedy zamknęłam drzwi.

SŁODKA DZIKA MIŁOŚĆ

Wzięłam prysznic, uczesałam się, wyczyściłam zęby i włożyłam obcisłą czarną koszulę z długimi rękawami i spodnie biodrówki. Cole zostawił w kącie stos mojej broni. Wypolerował nawet sztylety i naładował pistolet. Może udałoby mu się ostatecznie mnie odzyskać.

Na stoliku nocnym znalazłam karteczkę.

„Muszę pomówić z Ankhem, zanim zaczniemy penetrować ten budynek przy magazynie – kupował w tajemnicy nieruchomości na terenie całego stanu. Nasze nowe kryjówki. Może zjesz śniadanie i posiedzisz z dziewczynami? Przyjdę po ciebie, kiedy będziesz gotowa.

Pozdrowienia, Cole.

PS Powinnaś prawdopodobnie ucałować Kat, kiedy ją zobaczysz. Wiesz, przeprosić za zmartwienia. Z języczkiem. Ja bym tak zrobił”.

Ha! W krainie ColeHollandville moje usta należały do niego i tylko do niego.

Ruszyłam do kuchni. Były tam Juliana i Camilla, gawędziły beztrzesko; Camilla smarowała grzanekę.

– ...nie fair – mówiła właśnie Juliana. – Nie jest nikim szczególnym.

Wspaniale.

Chodziło jej chyba o mnie.

– Nie tobie o tym decydować – oznajmiła Camilla, dodając mi otuchy tym dowodem wsparcia. – Poza tym faceci tacy jak Cole Holland nie chodzą z dziewczynami w twoim wieku.

– Jestem tylko dwa lata młodsza od Ali!

– Tak, ale nastolatki pod względem wieku są odpowiednikami szczeniąt. Dla Cole’a jesteś noworodkiem.

Nieźle.

Juliana zastanawiała się nad tym.

– Nie jestem! – warknęła. – Cofnij to!

– Słyszysz samą siebie? Wiesz, jaka jesteś niedojrzała?

Młodsza dziewczyna patrzyła wilkiem.

– Tak czy owak, musisz to przeczekać – ciągnęła Camilla beztrzesko. – Tych dwoje nie pobierze się ani nic takiego. Szkolne miłości nigdy nie trwają długo.

No, to już było bardziej w stylu Camilli, którą znałam. Odchrząknęłam i obie dziewczyny obróciły się w moją stronę. Juliana zaczerwieniła się od zażenowania i gniewu, podczas gdy Camilla przybrała obojętny wyraz twarzy, niczego nie zdradzając.

– Zostawcie wszystko na stole, jak już skończycie jeść – powiedziałam.

– Zdążyłam stracić apetyt. – Juliana zarzuciła włosy za ramię i wymaszerowała z kuchni. Szczeniak.

– Jestem w nastroju śniadaniowym – oznajmiła Camilla. – Może zrobię ci kanapkę?

Oferta pokoju?

– Dziękuję.

– Dżem truskawkowy czy winogronowy?

Przed naszą erą – przed nastaniem Cole’a – wybrałabym winogronowy. A teraz?

– Truskawkowy.

Ten chłopak był moim nałogiem.

Szykując jedzenie, wyjaśniła:

– Próbowałam odszyfrować te papiery, ale kiedy czytam je w postaci duchowej, potrafię zrozumieć tylko kilka słów. Więc zaczęłam się zastanawiać – dodała, nim zdążyłam odpowiedzieć – czy nie mogłabyś zastosować w moim przypadku ognia i użyczyć mi swej umiejętności.

– Skąd wiesz o dzieleniu się ogniem?

– Rozmawiano o tym.

Już?

Wciąż stanowiła nieznaną mi istotę, więc nie spieszyłam się, by użyczyć jej swoich umiejętności czy podzielić się swymi sekretami.

– Pomyślę o tym – obiecałam, biorąc od niej grzanekę.

Cień irytacji, której nie zdołała ukryć.

– Zrób to. Tymczasem przejdę się po terenie.

Skierowała się do tylnych drzwi. Zjadłam tosta i ruszyłam w przeciwnym kierunku. Cel: pokój Reeve. Przypuszczałam, że zastanę tam Kat. Gdy jednak pokonałam połowę dystansu, zauważyłam Helen. Czekwała u szczytu schodów.

Przestraszona, potknęłam się. Nieźle, Ali-gatorze.

Wspaniale. Teraz nawet ja posługiwałam się tym śmiesznym określeniem. Umysł płatał mi figle. Co było zrozumiałe. Po raz pierwszy widziałam Helen od chwili, gdy się dowiedziałam, kim dla mnie jest i kim ja dla niej jestem.

Cole nalegał, bym się jej pozbyła. Ale nie mogłam. Po prostu nie mogłam.

– Wiesz, kim jestem – oznajmiła z wahaniem.

– Tak – wyszeptalam, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Popatrzyłam w lewo, w prawo. Ani śladu jakiegokolwiek zabójcy. Nadal. Lepiej dmuchać na zimne.

Dałam jej znak, żeby poszła ze mną do mojego pokoju. Jak miałam się do niej zwracać? Helen? Czy „mamo”, jak kiedyś?

Zamknęłam oczy, czując przypływ bólu. Czy nazywanie jej „mama” oznaczałoby zdradę wobec kobiety, która mnie wychowała? Która kochała mnie jak własną córkę?

Trzymaj się.

– Miałam nadzieję, że sobie przypomnisz – powiedziała, kiedy zamknęłam drzwi.

Jej słowa przywołały mój ostatni sen.

– Wymazałaś moje wspomnienia, kiedy byłam małą dziewczynką?

Ktoś inny mógłby zblednąć w konfrontacji z moim gniewem, ale nie ona. Patrzyła mi nieugięcie w oczy.

– Tak i nie. Podobnie jak ty, urodziłam się obdarzona kilkoma nadprzyrodzonymi zdolnościami. Jedna z nich pozwala wnikać memu duchowi w czyjąś głowę i zakryć wspomnienia. Jakbym kładła koc na umysł. To mechanizm obronny, jak sądzę, na wypadek gdyby ktoś nieuprawniony zobaczył coś, czego nie powinien widzieć.

– Zakryłaś moje wspomnienia. – Tamto spojrzenie moich oczu... Wróciłam do taty jako tabula rasa.

Skinęła głową, wyraźnie zawstydzona, ale też pełna determinacji.

– Odkryj je. Teraz. – Były moje. Pragnęłam poznać każde z nich. Zasługiwałam na nie.

– Ali...

– Nie miałaś prawa – warknęłam. – Żadnego prawa.

Te wspomnienia by mi pomogły. Wtedy i w tej chwili.

– Przykro mi, ale to działa tylko w jedną stronę. Mogę zakrywać wspomnienia, ale nie

odkrywać.

Zignorowałam narastającą falę złości.

– Jak więc w ogóle pamiętam? Czy wspomnienia odkrywają się same z siebie?

– Znowu: i tak, i nie. Siedzę od dawna przy twoim łóżku, opowiadając ci historie. Dzielać się swoimi wspomnieniami. Wydaje się, że koc okrywający twój umysł zanikał, że się tak wyrażę.

Przypuszczałam, że to lepsze niż nic. Próbowала.

I znowu starałam się w niej widzieć to, co najlepsze.

Usiadłam na brzegu łóżka.

– Czego ode mnie chcesz? Dlaczego tu jesteś?

– Pilnuję cię. Robiłam to i robię.

– Nigdy cię nie widziałam, ale zawsze widziałam Emmę.

– Pamiętasz, jak Ali Zombi potrafiła ukryć się przed postronnym wzrokiem? No cóż, odziedziczyła tę umiejętność po mnie.

Dlaczego ja nie odziedziczyłam?

– Ile takich umiejętności posiadasz?

– Trochę. Upprzedzę twoje pytanie. Nie, nie ze wszystkimi się urodziłam. Kiedyś...

kradłam je innym zabójcom.

Innymi słowy dręczyła i zabijała, żeby zdobyć to, czego pragnęła.

– Kradzieży można się nauczyć. – Wyciągnęła rękę. – Pozwoliłabym ci przećwiczyć to na mnie, ale masz mało czasu. Pozwól, że przekażę ci umiejętność zakrywania wspomnień.

Upewnisz się w ten sposób, że nigdy więcej jej nie wykorzystam.

Nie możesz jej ufać, powiedział Cole.

Nie powinnam jej ufać po tym wszystkim, co mi powiedziała.

A jednak wyciągnęłam rękę, wsuwając ją pod jej dłoń. Chciałam wmawiać sobie, że jesteśmy w stanie wojny z Animą i że potrzebujemy każdej dostępnej broni, ale byłoby to kłamstwo. Sedno sprawy sprowadzało się do tego, że zawsze pragnęłam się z nią porozumiewać, na jakimkolwiek poziomie.

– Dałabym ci wszystko od razu, ale obawiam się, że byłoby to dla ciebie zbyt wielkim obciążeniem.

Zamknęła oczy. Poczułam na dłoniach strumień ciepła, który przeniknął mi skórę i wdarł się do mojego wnętrza.

Transfer okazał się łatwy, żadnego palącego bólu, żadnej chęci dzikiego wrzasku; w ciągu kilku sekund było po wszystkim.

– No – powiedziała. – Wystarczy, że przesuniesz dłonią swego ducha po umyśle jakiejś osoby. Jedyny minus polega na tym, że zakryjesz wszystkie jej wspomnienia. Nie ma możliwości ich selekcji czy wyboru, to, ale nie tamto. Wszystko zostanie ukryte.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, bym mogła potrzebować tej umiejętności. Albo pozwolić sobie na jej użycie.

– Nie chciałam spać ci życia po raz drugi – wyznała. – I pozostałabym w cieniu, ale Anima zabiła twoich przyjaciół, ja zaś uświadomiłam sobie, że spróbuje dobrać się do ciebie, i to nie na żarty. Wiedziałam, że muszę działać. Z myślą o tobie. Zrobię dla ciebie wszystko, Sami.

– To nie moje imię – rzuciłam pospiesznie.

– Ali – poprawiła się cichym głosem.

Głęboki wdech i wydech.

– Dlaczego pomogłaś Animie zabić mamę Cole'a? Wiedziałaś już, kim ci ludzie są, i zamierzałaś odejść.

Odwróciła się na pięcie, pokazując mi plecy.

– Miałam wybór. Dokonałam go.

Kiedy nie powiedziała nic więcej, spytałam:

– Jaki wybór?

– Gdy oddałam cię twojemu tacie, zaczęłam wariować. Ci z Animy doszli do wniosku, że rozpaczam po twojej śmierci, i dali mi czas. Mogłam odejść. Powinnam była odejść.

Postanowiłam jednak zostać, i to z dwóch powodów. Uważałam, że mogę ich zniszczyć, a gdyby okazało się to daremne, chciałam się dowiedzieć, czy niczego nie podejrzewają w związku z tobą. A ponieważ zostałam, musiałam wypełniać rozkazy albo sama wzbudzić podejrzenia.

Prosta sprawa.

W mojej głowie uporczywie tkwiło coś, co powiedziała Veronica.

– A mama Veroniki? Wymazałaś jej pamięć?

– Tak.

Żadnych wyrzutów sumienia. Tylko bezlitosne, twarde fakty.

Czy było źle, że pomyślałam: przynajmniej nie zabiła tej kobiety?

Drzwi otworzyły się, do środka wszedł Cole. Od razu ogarnął mnie chłód paniki.

Wiedziałam, że ją zobaczy; domyśli się, co robiłam.

On jednak przystanął i oznajmił od niechcienia:

– Właśnie dostałem wiadomość od ojca. Zasięgnął informacji o tajemniczej pani Smith i ustalił, że poza salą posiedzeń zarządu jest znana jako specjalistka od przesłuchań. Każdy, kto łąduje przywiązany do jej stołu, umiera. Jeśli delikwent mówi to, czego ta kobieta chce się dowiedzieć, umiera szybko. Jeśli nie, to umiera powoli.

Rozejrzałam się za Helen – zniknęła. Panika ustąpiła, dopuszczając do głosu frustrację. Tak bardzo chciałam podzielić się z Cole'em tym, czego się dowiedziałam i co mi przekazano.

Nie mogłam.

– Opowiedz mi o tych kryjówkach – poprosiłam.

– Mamy teraz jedną niedaleko siedziby Rivera.

– To dobrze. – Moja frustracja trwała uparcie. – Nie ćwiczyliśmy już od jakiegoś czasu – zauważyłam i walnęłam go w ramię. To, w które go postrzelono. Kiedy się mierzyliśmy ze sobą, to na całego. Nie było żadnych zasad. Żadnych oporów ani forów.

– Potrzebujesz praktyki, Ali-gatorze?

Lubił być przedmiotem ataków i nie cofał się, nie robił uników. Po prostu chwycił mnie za rękę, a gdy znów próbowałam wymierzyć mu cios, obrócił mnie i pchnął na kolana.

Tak naprawdę pragnęłam znaleźć ujście dla emocji.

Wymierzyłam mu kopniaka w nogi. Jego ucisk zelżał, a ja obróciłam się z powrotem i uderzyłam drugą ręką. Znał mnie jednak i spodziewał się frajerskiego ruchu z mojej strony; zdołał go zablokować.

– Stać cię na więcej, kochanie – oznajmił z uśmiechem.

Tak. Było mnie stać. Przywarłam do jego ramienia, żeby go odepchnąć, ale trzymał mnie mocno, nie puszczając ani trochę. Zaczęliśmy się kręcić w kółko, dopóki nie podstawił mi nogi. Upadliśmy, tocząc się siłą rozpędu. Kiedy znieruchomieliśmy, okazało się, że leży na mnie.

Objęłam go za szyję i uniosłam biodra, ocierając się o niego. Od razu poprawił mi się nastrój.

Odetchnął chrapliwie.

– Walczysz teraz nieczysto.

– Tylko tak się walczy, Coleslaw.

Otoczył moje biodra kolanami. Co oznaczało, że chce przejąć kontrolę i zamienić

sparring zapaśniczy w sesję obściskiwania? Chwyciłam go za kark i pchnęłam na plecy. Potem uklęknęłam nad nim, obejmując go udami.

– Muszę przyznać, że uwielbiam widzieć cię w takiej pozycji. Całkowicie zdanego na moją łaskę.

Wzrok mu złagodniał.

– Jestem zdany na twoją łaskę bez względu na pozycję, w jakiej się akurat znajduję.

Moje poczucie triumfu ulotniło się pod wpływem winy i pragnienia. Zawsze pragnienia.

Jak mogłam skrywać przed nim jakiś sekret?

Podniosłam się.

– Dokąd idziesz? – spytał, chwytając za kostkę, ja zaś wylądowałam na podłodze, twarzą do przodu. Łup! Znowu znalazł się na mnie. – Nie skończyliśmy jeszcze. Są rzeczy, które chcę ci powiedzieć... które chcę ci robić.

– Hm, przeszkodziłam w czymś? – W otwartych drzwiach stała Jacklyn, patrząc na nas ze zdziwieniem.

Pomyślałam: tak. Nie. Cholera! Spokojnie, bez nerwów.

Cole zsunął się ze mnie, pomógł mi wstać i popatrzył na dziewczynę z morderczym błyskiem w oku.

– Rodzice pozwolili ci wrócić? – spytałam.

Pokręciła głową.

– Nie. Myślę, że odpoczywam w swoim pokoju.

– Twoje wycucie chwili jest... W porządku. Wyruszamy na poszukiwania Justina. – Cole westchnął ciężko i napotkał moje spojrzenie. Co się działo w tej jego cudownej głowie?

– Tak przy okazji, Kat z nami jedzie.

– Co!?

Nie było mowy, by Szron na to pozwolił.

– Najwidoczniej wyznaje zasadę „żyj na całego” i Szron może albo się zgodzić, albo ją stracić. Postanowił się zgodzić, co doprowadza go do szału, więc lepiej nie patrzcie nawet w jego stronę. Bo pożałujecie. Radzę w to uwierzyć.

No cóż, niech i tak będzie.

Kiedy nasza duża grupa miała stłoczyć się w dwóch różnych SUV-ach, na zewnątrz wymaszerowała Juliana, bardziej obwieszona bronią niż ja i Cole.

Veronica wskazała palcem drzwi.

– Z powrotem do domu.

– Dziewczyna z chorymi nerkami to cholerny cywil i jedzie z wami – odwarknęła młodsza siostra. – A ja mogę naprawdę pomóc.

Rany, ktoś tu zaraz oberwie.

Cole mnie powstrzymał.

– Pogadam z nią.

Zbliżył się do niej, szepnął jej coś na ucho.

Wyraźnie zmiękła, mruknęła: „Dobra” i podreptała z powrotem do rezydencji.

– Co jej powiedziałaś? – spytałam, kiedy usadowił się na tylnej kanapie SUV-a.

Usiadł obok mnie i wziął za rękę.

– Że musi przez kilka godzin dziennie trenować z Mackenzie.

Nie wierzyłam, by Mackenzie przejmowała się wiekiem dziewczyny. Po prostu by ją rozniosła.

– Gdy tylko Mackenzie uzna ją za dostatecznie dobrego wojownika, zacnie z nami jeździć – dodał.

– Mackenzie nie uzna jej za dobrego wojownika przez... dwa lata?

– Przynajmniej.

River zajął miejsce za kierownicą, Camilla obok niego, Jacklyn pośrodku. Gavin usadowił się za nią, na dobrą sprawę odpychając Bronxa. O nie, to mogło oznaczać tylko jedno...

Spuściłam szybę, wysunęłam głowę na zewnątrz i powiedziałam:

– Kat, zamień się miejscami z Gavinem. Natychmiast.

– Sama chciałam to zrobić.

Ruszyła w stronę naszego SUV-a, ale Szron złapał ją w połowie drogi i zawlókł z powrotem do drugiego wozu. Wcześniej pokazał mi środkowy palec.

*

Piętnastominutowa jazda była niesamowita i stanowiła jednocześnie czystą i niczym nieskażoną torturę. Cole obejmował mnie, bawiąc się koniuszkami moich włosów, ale Gavin i Jacklyn warczeli na siebie przez całą drogę.

– Zamierzasz znowu mnie zabić, słodziutka? – zaczął.

– Daruj sobie – odcięła się. – Zachowaj siły na później, kiedy będziesz musiał zająć się swoją dmuchaną lałą.

– Prawda. Zrobię tak. Wiesz, co jest smutne? – Nie dał jej szansy na odpowiedź. – I tak będzie stanowiła lepsze towarzystwo od ciebie.

Jacklyn pogroziła mu pięścią.

– Jeśli się nie zamkniesz, pomogę ci połknąć własne zęby.

– Nawet wtedy będziesz mnie pragnęła. Bo do tego sprowadza się cała ta twoja animozja, nieprawdaż? – Poruszył znacząco brwiami. – Może wyświadczysz wszystkim przysługę i przyznasz się do tego? Wszyscy już wiedzą na dobrą sprawę, że koniec końców polecisz na mnie. Jedyne rozwiązanie, żeby cię wziął do łóżka.

Jej pełne szyderstwa parsknięcie odbiło się w wozie głośnym echem.

– Ja. Polecieć na ciebie? Kotku, ty byś nic nie zdziałał nawet w burdelu pełnym napalonych dwudziestek.

– Zdziałałbym, i to jak najbardziej. I kiedy przekradnę się dziś w nocy do pokoju twojej mamy, udowodnię to.

Nie. Żadnych uwag na temat matek.

– Dosyć – powiedziałam.

– Marzysz o tym, jak będę cię zaspokajał? – spytał Gavin tonem zwyczajnej rozmowy, ignorując mnie całkowicie.

Obnażyła zęby w gniewnym grymasie.

– Mógłbyś mnie zaspokoić w łóżku tylko w jeden sposób, zostawiając mnie w moim własnym... samą!

– Mówię poważnie. Dosyć! – River oznajmił to głośniej niż ja. – Jestem zazwyczaj wielkim fanem napięcia seksualnego, ale to tutaj przypomina obsceniczne zajęcia w przedszkolu, kiedy dwa szczeniaki podkochują się w sobie, zbyt głupie, żeby powiedzieć to głośno.

Błogosławiona cisza.

Dopóki Jacklyn się nie odezwała:

– Nie podkochuję się w nim. Traktuje dziewczyny jak cukierki. Wiesz co? Sklep ze słodyczami jest zamknięty. Na zawsze.

Gavin ziewnął, potem wyrzwał przez okno wozu, jakby znudzony.

– Doszedłem do wniosku, że dziewczyny są jak choroby. Ty akurat jesteś ebolą. Powoduje wymioty, zgadza się?

– I masywny wewnętrzny krwotok. – Jacklyn srożyła się i stroszyła, czekając, aż Gavin coś powie. Cieszyłam się mimo wszystko, że dziewczyna zaczyna zdradzać ożywienie.

– Milczenie jest łatwe – zauważył River. – Spróbuj go.

– Gdyby było łatwe – wtrąciła Camilla – to byłoby twoją mamą.

– Moja mama to twoja mama.

– I co z tego? Nigdy jej nie lubiłam.

– Kiedy wrócimy – zwrócił się do mnie szeptem Cole – chcę cię zabrać na naszą drugą randkę.

– Jesteś niezwykle romantyczny – odparłam z uśmiechem.

– Romantyczny i zdesperowany, żeby dorwać cię sam na sam. Jedno i to samo.

– I co zamierzamy robić na tej drugiej randce? Trudno będzie przewyższyć doznania, jakie wywołuje bliskie spotkanie ze śmiercią.

Popatrzył na mnie spode łba.

– Uwielbiasz wstępne żarty, co?

– Cóż mogę powiedzieć? To jeden z moich licznych uroków.

– Dziś wieczorem zobaczysz jeden z moich.

Jakby wrzucił do mojego wnętrza zapalnik. Zapłonęłam nagle i zaczęłam cierpieć w najłagodniejszy sposób. Właśnie zapewnił mnie, że posunie się... że posuniemy się do samego końca?

Skoncentruj się!

– Wciąż wypowiadasz się aluzyjnie o swoich planach w stosunku do mnie. Powiedz mi...

– Nie. Za późno – przerwał trochę zbyt szorstko. – Będziesz musiała poczekać, żeby się dowiedzieć, o co mi chodzi. Dotarliśmy na miejsce.

Cholera! Miał rację.

River zaparkował na wschodniej posesji, niewidocznej od strony magazynu.

Zamierzaliśmy zacząć od parteru budynku mieszkalnego, a potem wchodzić na wyższe piętra, pukając do każdych drzwi.

– Zajmiemy się parterem i pierwszym piętrzem – powiedział Cole do Gavina i do mnie.

Potem zwrócił się do Jacklyn i River: – Wy sprawdzacie piętro trzecie i czwarte.

– A pozostali? – spytałam.

– Będą patrolować teren na zewnątrz, żeby się upewnić, że nie zastawiono na nas pułapki.

Albo, innymi słowy, utrzymać Kat z dala od budynku i nie dopuścić, by Szron dostał szau i potraktował brutalnie jakiegoś biednego, Bogu ducha winnego przechodnia.

Budynek był trochę zaniedbany, farba na ścianach obłaziła, wykładzina się strzępiła.

W powietrzu unosił się zapach stęchlizny albo zastarzałego kurzu, jakby nie sprzątano tu zbyt często.

Przeszukanie parteru nie przyniosło spodziewanych rezultatów. Jednak na pierwszym piętrze zapukaliśmy do drzwi na końcu korytarza z oknem wychodzącym na magazyn. Otworzył nam mężczyzna o gniewnym wyglądzie. Trochę niższy ode mnie, włosy koloru piasku miał rozczochrane i zmierzwił. Podkrążone oczy, rozcięta warga. Nosił poplamiony, pomięty podkoszulek i spodnie, zbyt obcisłe jak na jego masywną sylwetkę.

Nie spytaliśmy go o noc, kiedy doszło do morderstw, a on mimo to podsunął mi komórkę.

– Masz – warknął. – Do ciebie.

Po czym zatrzasnął nam drzwi przed nosem.

Zdumienie. Próbowałam zrozumieć z tego cokolwiek.

Cole się naprężył.

Gavin chwycił za broń, jakby oczekując, że telefon może lada chwila eksplodować.

Podniosłam go ostrożnie do ucha.

– Halo?

– Ali Bell. Miło znów cię słyszeć.

Doznałam gwałtownego szoku.

– Ethan?

– We własnej osobie.

Cole nie musiał dłużej słuchać. Rąbnął w drzwi, wrywając je z zawiasów; na podłogę posypały się kawałki drewna. Wpadli do mieszkania z Gavinem.

Oparłam się o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

– Czego chcesz?

Skąd wiedział, że się tu pojawię?

– Odzyskać moją siostrę.

Isabelle, piętnastoletnia dziewczyna umierająca na raka.

– Nie mamy jej.

Roześmiał się gorzko.

– Wiem. Ale ci z Animy mówią, że ją przywrócą, jeśli cię sprowadzę.

Zaraz.

– Przywrócą? Tak jak...

– Umarła, Ali – powiedział, a ja wyczułam po drugiej stronie ból. – To było koszmarnie.

Bolesne.

Przygarbiłam ramiona. Kolejna strata.

– Przykro mi, naprawdę.

– Ale nie z powodu raka – ciągnął, jakby moje słowa w ogóle do niego nie dotarły. –

Można było ją ocalić tylko w jeden sposób. Zabić. Wstrzyknęliśmy jej zombiczną toksynę. Duch się uwolnił, tak jak przewidywaliśmy. Ale kontrolowaliśmy otoczenie i schwytaliśmy go. Teraz trzymamy go w zamknięciu, a jej ciało jest zakonserwowane.

Mówił w pierwszej osobie liczby mnogiej. Jakby stanowił z Animą jedność. Jak miałam na to odpowiedzieć? Odpowiedzieć na cokolwiek?

– Więc... – Ethan odchrząknął. – Najwyższy czas powiedzieć, że mam Justina i pewnego zabójcę, którego złapaliśmy, kiedy chciał go uwolnić.

O pierwszym wiedziałam. O drugim nie. Z miejsca ogarnęło mnie przygnębienie.

Cole i Gavin wyszli z mieszkania, miny mieli jednak ponure. Cole pokręcił głową, a ja wiedziałam, co chce mi powiedzieć. Facet zwiął w jakiś sposób.

– Jestem gotów dokonać wymiany – oznajmił Ethan. – Ty za chłopców.

Żarty. Wiedziałam, że zdradziłby mnie w mgnieniu oka.

– To wykluczone...

– Pomyśl o tym. Zatrzymaj telefon, a prześlę ci dowód życia. Porozmawiamy jutro.

Trzask.

PODAŻAJ SKRWAWIONĄ DROGĄ

Kiedy przetrząsaliśmy mieszkanie człowieka Animy, powiedziałam chłopcom o handlowej propozycji Ethana. Ich odpowiedź?

Cole:

– Jasne, wymienimy cię. Nigdy w życiu!

Gavin:

– Chcę zabić tego faceta. Na śmierć!

Teraz, kiedy miałam trochę czasu, żeby o tym wszystkim pomyśleć, moja decyzja nie była już taka niepodważalna. Ceniłam życie przyjaciół ponad własne i jeśli leżało w mojej mocy ocalić je, to bym to zrobiła.

Tak, Ethan zdradziłby mnie, zgodnie z podejrzeniem. Ale ja spodziewałabym się tego i miałabym możliwości, by go przechytrzyć. A nawet gdyby on potrafił przechytrzyć mnie, to wciąż mogłoby to oznaczać dla nas zwycięstwo. Gdybym znalazła się w jakiejś filii Animy, mogłabym uwolnić chłopców i zniszczyć część firmy.

Jedynymi minusami byłyby tortury i śmierć, ale to drugie groziło mi każdego dnia, bez względu na to, gdzie się akurat znajdowałam.

Przeszukaliśmy mieszkanie. Poza kilkoma meblami i telewizorem niczego tam nie było. Żadnych skrytek ani schowków, które moglibyśmy znaleźć – tylko krzesło i kilka pustych opakowań po chipsach i puszki po napojach. Wyglądało na to, że facet się tu zaszył, czekając, aż się pojawimy.

Skończyliśmy obchodzić budynek i niebawem wpadliśmy na trop, którego tak desperacko poszukiwaliśmy. Czterdziestokilkuletnia kobieta wyszła na papierosa tamtej nocy, kiedy zaatakowano; pamiętała, jak wpychano kilkunastoletniego chłopaka do ciemnego sedana, i słyszała, jak dwaj faceci w czerni mówili o tym, dokąd go zabrać. Do doktora Doziza czy do doktora Rangarajana. Pośmiali się i ustalili, że do tego pierwszego.

Mieliśmy nadzieję, że jego nazwisko widnieje w książce telefonicznej.

Ale kiedy to cokolwiek było równie proste?

Zapadł zmierzch, nim skończyliśmy, a zdjęcia z dowodem życia wciąż nie zostały przesłane.

– Co dalej? – spytałam.

W oczach Rivera malowało się napięcie.

– Będziecie mile widziani w moim lokum.

Spojrzałam na Cole'a. Moglibyśmy pojechać do nowej kryjówki.

On jednak pokręcił głową i zwrócił się do Rivera:

– W porządku.

No dobrze, niech będzie.

– Moi chłopcy pobawią się w magię komputerową i dowiedzą się w miarę możliwości o doktorze Dozizie. – River uśmiechnął się bez humoru. – Im więcej się dowiemy, tym większe prawdopodobieństwo, że ugodzimy go boleśnie i uzyskamy potrzebne odpowiedzi.

Pełna zgoda.

Spotkaliśmy się z drugą grupą. Cole odciągnął Szrona na bok i obaj rozpoczęli ożywioną

dyskusję.

Nie słyszałam, o czym mówili.

– Powiedziałam Szronowi, że nie będzie żadnych problemów, i nie myliłam się – powiedziała Kat, stojąc obok mnie. – Teraz jest jeszcze bardziej wkurzony, bo sądzi, że chcę mu towarzyszyć w każdej misji.

– Ma rację? – spytałam.

– Nie bardzo. To mnie wkurza.

Dobrze.

Chłopcy wrócili, ale Cole unikał mojego wzroku.

Okay. Najwyraźniej miał jakiś problem. Zastanawiał się może nad moją propozycją wymiany za Justina?

Tak. Zdecydowanie. Innymi słowy noc randki zmieniła się właśnie w noc wykładu.

Wspaniale!

Wszyscy wsiedli do samochodów. Nasz ruszył przodem, Szron podążył za nami. Skupialiśmy uwagę na ulicach, wypatrując śladów zombi. I, co gorsza, detektywów.

– Zostańcie na dziedzińcu – powiedział River, kiedy weszliśmy do budynku. – Muszę powiedzieć swoim geniuszom komputerowym, czego potrzebujemy. Wróć za kilka minut. – Po chwili przystanął. – Może pójdziesz ze mną, Veronica?

– Z przyjemnością. – Uśmiechając się, stanęła u jego boku.

– Idę z nimi. – Cole musnął mój policzek i oddalił się.

– Ale...

Już go nie było.

No cóż, do widzenia.

– Dziedziniac to nie dla nas. Chcemy pokoju – oznajmił bardzo spięty Szron, obejmując ramiona Kat.

Posłała mi całusa. Mrugnęłam do niej.

– Toni! – zawołała Camilla pod adresem jakiejś młodej dziewczyny, która zbliżyła się czym prędzej. – Zaprowadź tych dwoje do jakiegoś pokoju.

Cała trójka ruszyła na górę.

Camilla zerknęła na mnie i westchnęła, po czym skierowaliśmy się w stronę dziedzińca, gdzie po jednej stronie toczyła się kolejna śmiertelna rozgrywka, a po drugiej przyjęcie z tańcami. Było tu około pięćdziesięciorga zabójców, wszyscy osiemnasto-, dziewiętnastoletni albo po dwudziestce.

Samotnej dziewczynie mogłoby się to wydać zakątkiem raj.

Moi przyjaciele nie pojmowali być może radosnej wrzawy panującej wokół zombicznego dołu, ale przyciągała ich jak magnes.

– Przedstaw mnie.

Pojawił się przed nami jakiś chłopak, zatrzymując nas przy okazji, i skinął Mackenzie głową. Był Azjatą – mojego wzrostu, dość szczupły, włosy ufarbowane na zielono. Pod prawym okiem miał wytatuowane trzy łzy.

– Hiroaki, to są przyjaciele Cole'a i Ali. – Camilla wymieniła szybko ich imiona. Chłopcy skłonili się sztywno. Dziewczyny uśmiechnęły się uprzejmie.

Hiroaki wciąż skupiał uwagę na Mackenzie.

– Miło cię poznać.

– I nawzajem – odparła z formalną grzecznością.

Czekałam, aż dygnie.

Zbliżyli się jeszcze dwaj chłopcy i stanęli po bokach Hiroakiego. Jednym z nich był

Blizna, i on także przejawiał zainteresowanie osobą Mackenzie, jakby właśnie ujrzał swój następny – i ostatni – posiłek.

– Co my tu mamy? – spytał drugi. Był czarny i nieokrzesany, emanował czystym seksapilem. Ale miał dziewczyny w nosie. Wpatrywał się w Gavina, jego oczy mówiły: zbliż się tylko. – Mógłbym cię zjeść, kawałek po kawałku.

Gavin napuszył się jak paw. Uważał chyba, że pociąga każdego, bez względu na płeć, więc to, co właśnie usłyszał, stanowiło potwierdzenie tego przypuszczenia.

– Naprawdę, przykro mi to mówić – oznajmił – ale jestem smakowitym kąskiem dla dziewczyn, a one nie lubią dzielić się mną z kimkolwiek.

– Domyślam się. – Chłopak wzruszył ramionami, dając do zrozumienia: musiałem spróbować. – Jestem Joshua. Josh dla przyjaciół. Możecie dzwonić o każdej porze – dodał, mrugając przy tym.

– Jestem Chance – przedstawił się Blizna, a ten jego głos, o rany! Aniołowie płakali na jego dźwięk. Ujął dłoń Mackenzie, podczas gdy ona stała jak wykuta z kamienia.

– Już się poznaliśmy – zauważyła.

– Wiem.

Gdy Chance skierował uwagę na Jacklyn, Gavin przesunął się za nią i skrzyżował ramiona, patrząc na Chance'a z groźbą w oczach, jakiej u niego jeszcze nie widziałam. Było to niemal komiczne.

Muskularny Chance, który nie wyglądał na szczególnie zastraszonego, ośmielił się ująć dłoń Jacklyn.

Zaczerwieniła się, a ta odrobina koloru dodała jej jeszcze urody.

Z krtani Gavina dobył się głuchy pomruk. Sapiąc gwałtownie, Jacklyn odwróciła się na pięcie. Kiedy zobaczyła, jak blisko niej stoi i jaką agresją pała, cofnęła się odruchowo.

– Czy było to konieczne? – spytała Mackenzie Chance'a.

– Nie. Zabawne? Owszem.

– Różnimy się, jeśli chodzi o definicję określenia „zabawne”.

Uśmiechnął się przelotnie, ale nie mniej efektownie.

– Przedstawiłem ci swoją definicję. Może ty mi przedstawisz swoją?

– Poważnie? Nie odezwałeś się do mnie przy pierwszym z dwu dotychczasowych spotkań i od razu przejmujesz pałeczkę?

Wzruszył ramionami, absolutnie niezrażony.

– Może powalczycie obaj w dole? – zaproponowała Camilla Gavinowi i Chance'owi. – A my będziemy na was stawiać.

– W dole? – spytał Gavin, wyraźnie zaintrygowany.

– Tędy. – Ruszyła przed siebie, a moja grupa, na ślepo i z zadowoleniem, podążyła za nią. Obserwowali aktualnie toczoną walkę przez kilkanaście minut.

– Dwadzieścia dolarów na dziewczynę w spodniach do biegania – zawołał Gavin, a Josh poklepał go po plecach, jakby usłyszał właśnie najgenialniejszą rzecz pod słońcem.

Jacklyn chwyciła się za brzuch i cofnęła.

Chance zauważył to i przysunął się do niej.

– Chodź. Zaprowadzę cię w spokojniejsze miejsce.

Skinęła głową i oboje zniknęli niebawem wewnątrz budynku. Gavin obserwował ich rejteradę spod zmrużonych powiek.

– Miała być ze mną – rzucił wściekle.

Rany. Naprawdę mu się podobała.

– Jesteś pewien? Wizje nie zawsze oznaczają to, co nam się wydaje. Widzieliśmy się

całujących nawzajem, ale to się w ogóle nie wydarzyło.

– Wykazałem się jednak odrobiną aktywności, prawda?

Przewróciłam oczami.

– Powinieneś być miłszy dla Jacklyn.

– Dziewczyny nie chcą czegoś takiego – mruknął.

– Kto ci to powiedział?

– Nikt. Ale umiem dostrzec pewne rzeczy. Wiem, że dziewczyny chcą tego, czego nie mogą mieć. A chcą być tym szczególnym wyjątkiem zdolnym okiełznać chłopaka, którego nie umie okiełznać nikt inny, nawet jeśli nie okażą się tym wyjątkiem.

Miał poniekąd rację.

– Jacklyn nie jest jak inne dziewczyny. Jest krucha i...

Parsknął ironicznym śmiechem.

– Nie jest krucha, Ali-kocie. Jest twarda jak stal.

– Wcale nie.

– Owszem, Ali, jest. – Popatrzył na mnie. – To, co postrzegasz, nie zawsze jest prawdą.

Jak w przypadku wizji. Skupiasz się na wrażliwości, jaką Jacklyn wokół siebie roztacza, i nigdy nie starasz się przeniknąć zewnętrznej warstwy, żeby zobaczyć kipiącą w środku wściekłość, która szuka ujścia.

– Nie...

– Nianczysz ją – ciągnął. – A to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje.

Tupnęłam ze złością.

– Nie widziałeś jej podczas naszego uwięzienia albo po ataku.

– To bez znaczenia. Widzę ją teraz.

Ktoś poklepał go po ramieniu. Mackenzie.

– Zamierzasz stać tu całą noc, Gav, czy pójdziesz po swoją dziewczynę?

Innymi słowy chciała odciągnąć Chance'a od Jacklyn.

Co za noc.

Podczas gdy zombi wciąż walczyły w dole, zauważyłam, że Camilla zawędrowała na koniec dziedzińca, żeby napić się w samotności piwa.

Przylączyłam się do niej.

– Jak je łapiecie?

Zacisnęła usta, udając, że mnie nie ma. Nie odeszłam jednak. W końcu westchnęła.

– Patrolujemy ulice każdej nocy, zombi wychodzą od czasu do czasu, wtedy zakładamy obręczę ilu się tylko da, pozostałe zabijamy. I jeśli powiesz mi, że jesteśmy dla nich okrutni, to chyba zmasakruję ci twarz.

– Pozbawione uczuć i pełne zła manekiny nigdy nie zyskają mojej sympatii.

– Wobec tego w porządku – odparła. Popatrzyła ponad moim ramieniem i skinęła głową.

– Musisz mi wybaczyć. Potrzebują mnie gdzie indziej.

Oddaliła się, żeby... Nieważne.

Nie siedziałam długo sama. Zjawił się przy mnie hybrydowy chłopiec-mężczyzna i podał mi puszkę piwa. Podziękowałam mu, wiedząc, że nie wypiję jej zawartości. Mój tata był alkoholikiem; widziałam, jak się stacza. Na ogół unikałam alkoholu jak zarazy.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś czuła się samotna – oznajmił z uśmiechem. Miał na twarzy co najmniej dziesięć długich i grubych blizn, które czyniły pospolitość jego rysów przejmująco tragiczną.

– Dziękuję – powtórzyłam.

– Żaden problem. Hej, widziałem, jak walczysz w dole. Choć trudno to nazwać

prawdziwą walką. Byłaś za twarda, żeby mówić o grze fair. Ale słuchaj, normalnie ścięło mnie z nóg. W życiu czegoś takiego nie widziałem. – Popatrzył na mnie spod gęstych rzęs. – Więc... jak to robisz?

– To po prostu coś, co potrafię.

– No cóż, powinnaś się zastanowić, czy nie wskoczyć dziś wieczorem do dołu.

Rozmawialiśmy o tobie. Ci, którzy tego nie widzieli, zrobią wszystko, żeby zobaczyć cię w akcji.

– Może innym razem – odparłam. Zabijanie zombi było dla mnie biznesem i przywilejem, ale nie sportem.

U mego boku pojawił się Cole, patrząc gniewnie na chłopaka, który uniósł przepaszającym gestem dłoń i wycofał się czym prędzej.

– Dowiedzieliśmy się, co oznacza Doziz – poinformował mnie Cole, gdy tylko zostaliśmy sami.

Reprimenda, którą chciałam go właśnie uraczyć, zamarła mi w gardle.

– No i? Powiedz.

Poruszając się jak zawsze zwinnie, zabrał puszkę piwa i odstawił na bok.

– Dłonie oferujące zgon i zniszczenie. W skrócie doziz.

O cholera.

– Ludzie Rivera znaleźli też doktora Rangarajana – dodał. – Wysyłamy zespół, który go zgarnie i przywiezie tutaj. Może zdoła nam powiedzieć, gdzie trzymają chłopaków.

Patrząc przez ramię, obserwowałam, jak River rozmawia z Gavinem i Bronxem, wyjaśniając prawdopodobnie sytuację. No cóż, nie „prawdopodobnie”. Wszyscy trzej, plus jeszcze dwóch innych, opuścili dziedziniec.

– Nie wybierasz się z nimi? – spytałam.

– Wydelegowałam ich. Chodź. – Wyprowadził mnie na zewnątrz, na drugą stronę zimnej, skąpanej w nocnym mroku ulicy.

– Dokąd idziemy?

– Do kryjówki.

Sami? Razem? Na wykład czy coś innego?

Budynek był mniejszy niż siedziba Rivera, trochę bardziej zaniedbany, ale zastosowano już środki bezpieczeństwa. Cole musiał wystukać kod, żeby otworzyć drzwi wejściowe.

W środku to, co niegdyś służyło zapewne jako hol hotelowy, zostało przekształcone w atrakcyjny salon z dużym ekranem telewizyjnym, dwiema kanapami i licznymi fotelami. Przy marmurowym kominku leżał piękny ręcznie tkany chodniczek.

– Umieblowano to – zauważyłam ze zdziwieniem.

– Tylko ten pokój. – Rozpalił ogień. – Posłuchaj. Znam cię i wiem, co myślisz. Uważasz, że postąpisz okay, jeśli wymienisz się za Justina.

Wykład. Wspaniale. Usadoviłam się wygodnie na chodniczku.

– Ale to nie jest okay – dodał. – Ani teraz, ani później. I nawet nie próbuj się spierać. To ja dowodzę zabójcami. Tym samym dowodzę tobą. Podejmuję decyzje, a ty robisz to, co mówię.

Uważał, że sprawa załatwiona?

– Nie rzucę cię w tej chwili na kolana i nie zmuszę, byś błagał mnie o litość, tylko z jednego powodu. Wiem, że kieruje tobą głęboka troska. A tak szczerze? Cholernie mnie irytujesz, Cole.

Usiadł przede mną. Szarpnęłam za kołnierz jego koszuli.

– Jesteś albo moim chłopakiem, albo moim szefem – powiedziałam. – Nie możesz być tym i tym jednocześnie. Wybieraj.

Przysunął się bliżej, tak blisko, że musiałam położyć nogi na jego udach, żeby zachować

równowagę. Trudna sprawa. Jego pierś ocierała się o moją i, przypadkowo czy celowo, czułam się podekscytowana.

– Jeśli oznacza to twoje bezpieczeństwo, to wybieram szefa – oświadczył.

Różnorakie emocje wyprawiły przedziwne rzeczy z moim sercem, a woń truskawek drażniła mi przyjemnie nozdrza.

– Najlepszy z możliwych scenariuszy: nie będę przedmiotem wymiany. Przekonam Ethana, że jestem gotowa przystać na jego propozycję, i uderzę w niego. Owszem, będzie próbował nas podejść, tak samo jak my będziemy próbowali podejść jego. Ale ty zachowujesz się tak, jakbyśmy nie mogli wygrać. – Próbowałam ukryć jakoś swój bezdech, kiedy przesunął mi opuszkami palców po kręgosłupie. – Jest szansa, że ocalimy chłopców i jednocześnie zadamy Animie poważny cios.

– Szansa, że będziesz torturowana i umrzesz.

Pomyślałam o tym samym. I co z tego?

– Ale przynajmniej coś zrobię. – Musiałam coś zrobić. – A jeśli jestem właśnie „nią”, dziewczyną, która poświęci się, by ocalić wielu? A jeśli muszę umrzeć?

– Nie musisz. To, co czytaliśmy, może być fałszywką.

– Nie jest. To część dziennika.

Opuścił głowę, nasze nosy się zetknęły.

– A jeśli nią nie jesteś? Narazisz się na darmo.

Miał argument na wszystko.

– Nie na darmo. – Okay, wiedziałam, o co mu chodzi. – Bez względu na cokolwiek, musimy sprowadzić tych chłopców z powrotem. To priorytet.

Upłynęła chwila, napięcie rozpałało się we mnie.

– Masz rację – powiedział i skinął głową. – Ale zrobimy to po mojemu.

– Zgoda. Jeśli po twojemu oznacza po mojemu.

Parsknął.

– Zapomnij chwilowo o tym, jak to zrobimy. Po mojemu to znaczy tak, jak trzeba.

– Już zapomniałam. A teraz dosyć gadania. Znam lepsze zastosowanie dla twoich ust. – Musnęłam wargami jego wargi i pchnęłam go na chodniczek.

Przewrócił mnie niezwłocznie na plecy. Jego ruchy były zwinne jak u pantery, kiedy położył się na mnie i przygwoździł do podłogi.

– W ten sposób chcesz mnie zdekoncentrować? – Zaczął całować mnie po brodzie, a moje żyły zamieniły się w kanał mrowiącego ciepła. – Bo to skuteczne.

– Obiecałeś mi drugą randkę, pamiętasz?

– Owszem.

– No cóż, to jest właśnie to, co chcę robić.

– Leżeć tutaj, rozmawiając? – Na jego ustach pojawił się leniwy, niegodziwy uśmiech.

Krew w moich żyłach rozpałała się do białości.

– Całując, dotykając. Więcej. Wszystko.

Wykrzywiając boleśnie twarz, powiedział:

– Ali...

– Omal nie umarłam wczoraj – przerwałam mu. – Mogę umrzeć jutro albo nawet za godzinę. Chcę być z tobą, Cole.

– Ali... – powtórzył.

– Nie. Wydaje ci się, że ta decyzja jest twoja. Albo twojego taty. No cóż, wiadomość z ostatniej chwili. Jest nasza. A ja jestem gotowa. Od dawna. Ty też jesteś gotowy.

Wydawało się, że w jego umyśle rozgrywa się bitwa.

– Przez cały dzień wmawiałem to sobie i perswadowałem.
A więc rozważał to.
– Co mówią ci moje oczy?
Przywarł do mnie czołem.
– Zbyt wiele.
– I jestem pewna, że każde słowo jest fascynujące. Słuchaj ich.
Zanurzyłam palce w jego włosach i obsypałam brodę palącymi pocałunkami. Niebawem
pochylił głowę, przywierając do moich ust, kradnąc mi oddech.
– Jesteś pewna? – spytał chrapliwie. Jego dłonie zaczęły błądzić.
Otrzymał odpowiedź, kiedy to ja przewróciłam go na plecy i wykonałam swój ruch.

TO KOSZMARNE MARNOWAĆ UMYSŁ

Chciałam wyjść na dach i krzyżeć: „Hej, świecie! Cole i ja uprawialiśmy wreszcie seks!”.

Wielkie wydarzenie znalazło swój finał godzinę wcześniej, ale nie ruszyliśmy się z chodniczka. No cóż, ja się nie ruszyłam. On tak, ale tylko na chwilę, żeby wyrzucić kondoma. Potem wrócił i przytulił mnie do siebie. Byłam zadowolona. I wciąż pod wrażeniem. Ja i Cole. Cole i ja. My dwoje. Razem.

Czy było czymś obsesyjnym myśleć, że nasze dusze złączyły się ze sobą?

Prawdopodobnie. Ale nic mnie to nie obchodziło! Uprawialiśmy seks!

Tak jak ja należałam do niego, tak i on należał teraz do mnie. Nie tylko w słowie, ale i w czynie. Była odpowiedzialność. Społegliwość. Tak, to stanowiło wcześniej część naszego związku, ale... wszystko miało teraz inne znaczenie. Bardziej intensywne.

Trzymał mnie w ramionach, jakbym była bezcennym skarbem. Biorąc pod uwagę to, co właśnie zrobiliśmy – połączone dusze – lepiej żebym była tym skarbem. Czułam puk, puk jego serca, nieokiełznane uderzenia, tak zgodne z rytmem mojego serca.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Wsparłam brodę na dłoni i popatrzyłam na niego. Jego ciemne włosy były zmierzwione i sexy, powieki do połowy opuszczone. Wargi lekko nabrzmiały od siły moich pocałunków. Szczerze? Nigdy nie wyglądał lepiej.

– Tak sądzę. – Ogarnęło mnie głębokie poczucie bezbronności, nie po raz pierwszy. – A ty? Chciałbyś, żebyśmy czekali dwa lata, tak jak zamierzałeś?

– Ten plan był skazany na klęskę, oboje o tym wiedzieliśmy. I głupi. Stanowił zbrodnię przeciwko naturze.

Pocałowałam miejsce tuż nad kolczykiem w sutku.

– Bardzo się o to postarałeś.

– To wszystko, co facet może tak naprawdę zrobić – powiedział, bawiąc się moimi włosami.

– No cóż, piątka za starania.

– Och, będziemy się teraz licytować?

– Nie! – wypaliłam i zagryzłam wargę. – Tak?

Parsknął śmiechem.

– Jesteś niezrównana, kochanie. Najlepsza. Moja ulubiona. Nikt się do ciebie nie umywa.

– Ma się rozumieć – odparłam wyniosłym tonem.

Jego śmiech przerodził się w niepowstrzymane parskanie.

Znowu ogarnęło mnie to poczucie bezbronności.

– Kochasz mnie, prawda? Teraz i zawsze?

– Oczywiście, że cię kocham. A ty mi wierzysz, ponieważ wiesz, że zawsze będę wobec ciebie szczerzy.

Tak jak ja zawsze byłabym szczerą wobec...

Do diabła! Nie byłam wobec niego szczerą. Nie powiedziałam mu o Helen. Uprawiałam z nim seks, ale nie wspomniałam cholernym słowem o Helen.

Wiedziałałam, jak niszczące może być jedno kłamstwo. Jak może zniweczyć całe życie wypełnione zaufaniem. A to było kłamstwo. Kłamstwo przemilczenia. Ale teraz nie mogłam mu powiedzieć. Teraz, gdy nasze ubrania leżały porozrzucane, a my grzaliśmy się ciepłem ognia.

Zatem kiedy?

Jutro. Tak. Byłam pewna, że mi wybaczy. Zrozumie. Że dzięki temu, co właśnie przeżyliśmy, wszystko będzie szło nam łatwiej, że każde z nas będzie bardziej skłonne do kompromisu.

Podając rozpaczliwą próbę zmiany tematu, powiedziałam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy:

– Byłeś kiedykolwiek z kimś takim jak ja?

Miałam ochotę wymknąć się i schować.

Myśl, że mógłby być z inną dziewczyną – nawet z dziewczynami sprzed mojej epoki – działała na mnie w określony sposób. Inny niż dawniej. Miałam ochotę posłać każdą z nich do szpitala. Tak na kilka dni. Dopóki nie przestałyby krwawić.

– Z kimś takim jak ty? Nikt taki nie jest.

– Z tak niedoświadczoną.

Westchnienie.

– Z jedną – odparł wymijająco.

– Kochałeś ją? Jak zachowywała się potem?

Westchnął.

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać?

– Tak.

Przesuwając pieszczotliwie palcami po moim kręgosłupie, oznajmił:

– Nie, nie kochałem jej. Byłem na etapie „każda, byle chętna”. I nie wiem, jak się potem zachowywała. Jej rodzice wrócili do domu, a ja musiałem wymknąć się przez okno.

Wciąż pragnęłam, by krwawiła, ale może przyniosłabym jej też kwiaty. Nie podobało mi się, że została sama. I bezbronna, tak jak ja teraz.

– A jak ty się czujesz?

– Naprawdę cię to interesuje, czy pytasz w rzeczywistości, jak czuję się, jeśli chodzi o nas?

– Jeśli chodzi o nas.

Przytulił mnie mocniej.

– Chcę cię całą, na zawsze, ciebie ze mną, każdego dnia.

Hm.

– Zacytowałaś właśnie fragment *Pamiętnika* Nicholasa Sparksa? Czy raczej słowa Ryana Goslinga z filmu?

Chwila milczenia, potem śmiech.

– Miałem nadzieję, że się nie połapiesz.

Fatalnie.

– I nie umierasz ze wstydu, że zapamiętałeś coś z wyciskacza łez?

– Kotku, to nie wyciskacz łez. To najlepszy wspomagacz wszech czasów. Każdy facet po projekcji ma zapewniony numer. Poza tym sama myśl o Ryaniu Goslingu wprowadziła cię w marzycielsko-słodki nastrój.

Tak. Jak najbardziej. Dobrze rozegrane, Cole’u Hollandzie. Dobrze rozegrane.

– Zdarzały ci się pojedyncze wyskoki? – Znów byłam na początkowym kursie.

Pocałował mnie w skroń.

– Skąd ci to przychodzi do głowy?

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Czuję się w tej chwili tak bardzo poza wszelką kontrolą, że mogłabym wrywać sobie włosy, potem tobie, a jeszcze potem obejmować cię i całować, i może zjeść wielki stos pierników czekoladowych.

– To... Okay, rany. Jesteś osobliwa w najdoskonalszy sposób.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Pauza. Westchnienie.

– Tak. Miewałem pojedyncze wysoki.

– Z kim? – spytałam, już zazdrosna o tę dziewczynę bez twarzy. Albo dziewczyny.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam nawet ich imion.

Imion. Liczba mnoga. Ile dziewczyn musiałabym hospitalizować?

– Więc kim chcesz być, kiedy dorosniesz? – spytał. – Zakładając, że wszystkie zombi zostaną do tego czasu zlikwidowane.

Tym razem uchwyciłam się nowego tematu. Jak liny ratunkowej.

– Poważnie? Kiedy dorosniesz? Tak to ujmujesz?

– Dlaczego nie?

– Kiedy będę starsza – oznajmiłam z naciskiem – chcę być... Tylko nie waż się śmiać! Chcę być terapeutką albo czymś w tym rodzaju.

– Dlaczego miałbym się śmiać? Będziesz świetną terapeutką, pomagającą ludziom bredzić o swoich...

Wykręciłam koleczyk w sutku.

– Au! – Odsunął moje palce od piersi. – Tyle przeszłaś – zauważył, teraz już poważnie. – Rozumiesz ludzi i ból w sposób, w jaki wielu innych nie rozumie.

– A ty? Co chcesz robić?

– Wszystko już sobie obmyśliłem. W wolnych chwilach zajmę się survivaliem. Będę zabierał ludzi do lasu i uczył ich, jak przetrwać.

– I mówił, co mają robić.

– Dodatkowy plus.

– No cóż, coś w sam raz dla ciebie. A co będziesz robił zawodowo?

– Będę pracował jako stróż prawa.

Jeszcze lepiej.

– Będziesz miał do czynienia z rozwydrzonymi dziećmi.

Błysnął w uśmiechu zębami.

– Taka karma. Wszystko do nas wraca.

– Drań. – Ziewnęłam, kiedy zalała mnie fala zmęczenia.

– Śpij.

– Nie. Rozmawiajmy.

Jego ciepło pogrążało mnie coraz głębiej w morzu ciemności i niebawem odpłynęłam...

Nie wiem, ile czasu minęło, nim mnie obudził pocałunkiem.

– Trzeba wracać do siedziby Rivera, kochanie. Muszę się dowiedzieć, czy pojawiło się coś nowego.

– Mhm... Okay – powiedziałam i przekręciłam się na bok, żeby pospać jeszcze trochę. Śmiejąc się, dał mi lekkiego klapsa w pupę.

– Wstawaj albo zacznę cię łaskotać.

– A ja zacznę cię walić.

– Wstrzymajmy się z grą wstępną do chwili, kiedy będziemy tam, gdzie trzeba.

*

Cole spotkał się z Riverem, a ja znów poszłam spać. Kiedy się obudziłam, co prawda o wiele później, Cole siedział na brzegu łóżka, przyglądając mi się z czułością.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem.

Usiadłam, wymamrotałam: „Tak, tak”. Byłam obolała, a mój umysł wykrzykiwał raz za razem jedno słowo – seks, seks, seks.

– Mam nadzieję, że jesteś głodna. – Postawił mi na udach tacę ze stosem naleśników. – Nie są to pierniki czekoladowe, ale pomyślałem, że i tak będą ci smakować.

Nie mam pojęcia, jak zdołał się położyć, a potem wstać, żeby mnie nie obudzić, ale zrobił to i teraz tonął w objęciach jasnego światła nowego dnia, wyglądając bardziej seksownie niż kiedykolwiek, ja natomiast przedstawiałam sobą zapewne wyjątkowo koszmarny widok.

– Rumienisz się – zauważył.

Bo niedawno uprawialiśmy seks!

– Irytujesz mnie – mruknęłam.

Obdarzył mnie śmiechem przeznaczonym wyłącznie dla mnie.

– Muszę to sobie zapamiętać. Ali-gator zamienia się w Ali-kota, kiedy ma za mało wypoczynku.

– Podrapię cię, żebyś mógł się o tym przekonać na własnej skórze.

– O, nie. – Podniósł dłonie. – Nie chciałbym, żebyś wbijała mi gdziekolwiek paznokcie... znowu.

Pokazałam mu język.

Potarł mnie kłykciami po czubku głowy.

– Przestań!

– Jedz.

– Świetnie.

Zjadłam, wzięłam prysznic – sama – i ubrałam się w czyste rzeczy, które naprawdę pasowały – dzięki, komukolwiek to zawdzięczałam! – i starałam się nie myśleć o tym wszystkim, co robiliśmy w swoich ramionach. Dopiero gdy wycierałam włosy ręcznikiem, uświadomiłam sobie, że nie przytrafiła się nam jeszcze wizja. Próbowалам nie panikować. Ostatnim razem, gdy wizje się skończyły, doszło między nami do rozstania.

– Cole – powiedziałam, stając przed nim pospiesznie i zawiązując skórzane opaski na nadgarstkach. Wszystko, co utrudniało zombi gryzienie, stało się istotnym elementem mojej garderoby. – Nie mieliśmy wizji.

Zmarszczył czoło, ale odparł:

– Będzie w porządku. – Pochylił się i złożył na moich wargach miękki pocałunek. – Nadejdzie...

...i nagle znaleźliśmy się w wąskim korytarzu. Zwieszałam się przerzucona przez jego ramię i tym razem czułam, jak kość wbija mi się w brzuch, odcinając dopływ powietrza. Miałam w nozdrzach woń środka antyseptycznego, odór miedziaków i dymu.

Z dali dobiegał odgłos strzałów i jęki bólu; skuliłam się.

„Puść mnie!” – zażądałam.

„Nigdy więcej”.

Podczas gdy tłukłam go po plecach i waliłam kolanami w tors, uniósł broń i strzelał do każdego człowieka, który miał na tyle odwagi, by się zbliżyć. Trach, trach, trach. Wokół padały ciała.

Ludzkie ciała. Nie zombiczne.

„Mówię poważnie. Puszczaj” – zażądałam.

„Nigdy więcej”.

„Wciąż to powtarzasz. Czego chcesz ode mnie?”

„Tego, czego zawsze chciałem. Wszystkiego”.

„Nie możesz tego mieć”.

Na końcu korytarza mógł pójść w lewo albo w prawo. Po lewej Szron przebijał się ogniem broni palnej przez grupę ludzi, jego ręce poruszały się tak szybko – od jednego celu do drugiego – że z trudem nadążałam za nimi wzrokiem. Wokół niego też padały ciała. Bum, bum, bum. Na ściany bryzgała krew.

Nigdy nie widziałam go tak zawziętego. Oczy błyszczały mu szaleństwem i nienawiścią.

Na prawo leżały na podłodze zombiczne obręcze – bez zombi.

Z obu stron dobiegał trzask broni.

Cole skręcił w prawo, oddalając się od Szrona i zaskakując mnie. On...

...pukanie do drzwi wyrwało nas gwałtownie z wizji.

Zamrugałam i znalazłam się z powrotem w sypialni, powietrze było czyste i świeże, przez okna wpadał blask słońca.

– Rangarajan tu jest – oznajmiła Camilla. – Jeśli chcecie zorientować się w sytuacji, to zejdźcie na dziedziniec.

Cole i ja popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. I napięciu.

– To było bardziej wyraziste niż kiedykolwiek – powiedziałam.

– Wiem. Nasz silniejszy związek musi też wpływać na wizje.

– Ale skąd ta zwłoka?

– Bo bardziej wszystko kontrolujemy i naprawdę jej pragnęliśmy? Nie wiem. – Przesunął dłońią po włosach. – Odłóżmy to na chwilę.

W porządku. Okay. Bo nie było to: życie albo śmierć.

Może jednak?

– Hej – powiedział, głaszcząc mnie delikatnie pod brodą. – To nic złego. Wizje są naszymi przyjaciółmi, nie wrogami. Pomogły nam wielokrotnie.

Prawda.

– Ale też nas raniły.

– Tylko dlatego, że nie wiedzieliśmy, jak je interpretować.

– Ta wydawała się pewna.

– Ktoś jest dzisiaj w dołku, prawda? – zauważył z uśmiechem.

Poklepałam go po policzku.

– Owszem, jest. I nie zapominaj o tym albo stracisz coś cennego.

– Jeśli mówisz o moim penisie, to sądzę, że jest cenny także dla ciebie.

O, wielkie nieba.

Śmiał się, wyprowadzając mnie z pokoju na dziedziniec. Zostało tam niewielu ludzi. River, Camilla i Blizna – to znaczy Chance – plus nasza drużyna. Słońce stało wysoko, ciepła pieśczęta promieni kontrastowała z chłodnym powietrzem.

Ktoś zaciągnął na środek szerokie drewniane koło. W jego środku znajdował się niewątpliwie doktor Rangarajan; ręce miał przykute u góry obręczy, nogi u dołu, jego sylwetka tworzyła więc idealne X. Był niskim, krępyim człowiekiem, prawdopodobnie po sześćdziesiątce, z włosami koloru soli z pieprzem i opaloną, pomarszczoną skórą. Zabójcy wyglądali w porównaniu z nim jak wikingowie z dawnych czasów.

Doktor został rozebrany do bielizny, a zimne powietrze musiało działać na jego odsłoniętą skórę. Na rzęsach i policzkach zastygały mu łzy, a pod nosem śluz.

Kat przeszła szybkim krokiem przez dziedziniec i stanęła przed nim. Nie powiedziała słowa, spojrzała tylko na mnie, ja zaś zrozumiałam, co myśli. Powinniśmy zaprotestować. Byłam

wcześniej torturowana, a ona widziała rezultaty na własne oczy. Gdybyśmy to zrobiły, zniżyłybyśmy się do poziomu Animy, zwalczając zło złem.

Ale tak jak w przypadku Benjamina, nie widziałam innego wyjścia. I jeśli doktor wiedział, gdzie jest Justin, to musieliśmy coś zrobić.

– Proszę – wyjąkał doktor Rangarajan. – Puśćcie mnie. Mam rodzinę.

– Tak jak ludzie, których zabiłeś. – Zbliżył się do niego River, na czubku wskazującego palca wirował mu nóż. Z rany zadanej przez ostrze ściekała krew, ale nie zwracał na to uwagi. – Niewiele brakuje, żebym stracił do ciebie cierpliwość. Pracujesz dla Animy, a ja chcę słyszeć, jak to przyznajesz. Za każdym razem, kiedy odmówisz odpowiedzi albo skłamiesz, wytnę literę icks na twojej skórze. Kiedy zabraknie mi już miejsca, wytnę tę literę na twoim sercu.

Doktor Rangarajan oblizwał wargi, spoglądając nerwowo na grupkę widzów. Jedno oko miał spuchnięte i podbite, na jego szczęce widniał guz. Już go bito, ale najwyraźniej nie wydał żadnych sekretów.

– Gdzie jest mój brat? – Podeszła do niego Jacklyn i wymierzyła mu cios w brzuch.

Gavin chwycił ją za nadgarstek i odciągnął. Zaczęła się szarpać, uderzyła go nawet, ale nie puścił jej, a ona w końcu ustąpiła, opierając głowę na jego ramieniu i łkając. Przesunął palcami po jej włosach, tak jak zrobiłby to z zagubionym dzieckiem.

River uśmiechnął się do doktora.

– Więc – powiedział, wymachując ostrzem przed twarzą doktora Rangarajana. – Przyznaj, że pracujesz dla Animy.

Po policzku Kat spłynęła łza.

Poczułam, jak moje stopy poruszają się, obdarzone własną wolą. Cole położył mi dłoń na ramieniu, żeby mnie zatrzymać, ale Kat ją strzepnęła, ja zaś ruszyłam do przodu. Odsunęłam łagodnie River'a i stanęłam przed doktorem.

Popatrzył na mnie w milczącym błaganiu.

Co, u licha, miałam zrobić?

– Ali? – spytała Camilla.

– Ja...

Ukazała się przede mną Helen. Sapnęłam głośno i kilkoro ludzi za moimi plecami zaczęło pytać, co się dzieje.

Cole, jak to on, przesunął mnie za siebie.

– Spokojnie z tą troskliwością – powiedziałam, znowu stając przed nim. – Nic się nie stało. Wszystko w porządku.

Powrócił niechętnie do Kat i Szrona, a ja przesunęłam spojrzeniem po tłumie. Nikt chyba nie uświadamiał sobie, że Helen stoi obok doktora. Była zawoalowana.

Patrząc na nią, choć z pozoru skupiałam uwagę na doktorze Rangarajanie, spytałam:

– Możesz nam pomóc?

– Straciłam w ciągu tych lat orientację – odparła. – Ale od pierwszej nocy, kiedy doszło do ataków, badałam sprawę, tak jak Holland. Oto czego się dowiedziałam. Doktor Rangarajan podlega bezpośrednio Rebecce Smith. Znam ją, pracowałam z nią. To ona wszystkim rządzi i jest tą, o którą wam chodzi. Jej ojciec założył Animę i gdy umarł dwa lata temu, Rebecca przejęła po nim ster. Jeśli spotkasz ją kiedykolwiek, nie wierz w ani jedno jej słowo. Kolega Rangarajana, doktor Wyatt Andrews, jest nazywany Dozizem.

– Doktor Wyatt – powiedziałam głośno. – Nim musimy zająć się w następnej kolejności. Rangarajan otworzył szeroko oczy.

– Skąd to wiesz?

Szelest za moimi plecami, kroki. Najwidoczniej ktoś nabrał podejrzeń.

– Justin wciąż żyje, ale nie drugi chłopak. Umarł wczoraj w nocy – ciągnęła Helen. Obwieściłam to z ciężkim sercem.

Przekleństwa. Płacz. Szloch ulgi ze strony Jacklyn.

Doktor Rangarajan zaczął się zmagać z więzami. Czy doszedł do wniosku, że potrafię czytać w jego umyśle? Bał się mnie bardziej niż ostrza Rivera?

– Anima chce cię mieć, Ali – oznajmiła Helen. – Pobrali ci krew, kiedy cię przetrzymywali miesiąc temu, i przeprowadzili kilka testów. Może i zabiłaś człowieka ponoszącego za to odpowiedzialność, ale nie zniszczyłaś próbek. Ludzie Animy wiedzą, kim jesteś. Wiedzą, że jesteś moją córką, dziewczyną obdarzoną szczególnym duchem zdolnym niszczyć zombi. Chcą cię odzyskać i nie cofną się przed niczym.

Przekazałam z grubsza to wszystko, a Helen zniknęła. Tak szybko, jak się pojawiła.

Już miałam się odwrócić, kiedy przyszło mi coś do głowy. Myśl, że gdy tylko się oddalę, doktor Rangarajan zostanie zabity. Nie mogliśmy dopuścić, żeby wrócił do Animy i doniósł na nas, a to właśnie by uczynił, gdybyśmy pozwolili mu żyć.

Czy ja mogłabym żyć ze świadomością jego śmierci? Zwłaszcza gdy mogłam go ocalić i powstrzymać dzięki swej nowej umiejętności.

Umiejętności, o której stosowanie żywiłam do Helen pretensje.

Czy naprawdę miałam wybór? Zapędzono mnie do narożnika i wiedziałam o tym. Tak jak i ona.

Oblizując wargi, położyłam dłonie na skroniach doktora. Szarpnął się, chcąc uciec przed moim dotykiem, ale nie drgnęłam.

– Co robisz? – spytał ostro.

Helen powiedziała, że muszę tylko przesunąć duchową dłoń po jego umyśle. Więc to zrobiłam. I było to dziwne. Ani zimne, ani gorące. Ale ciepłe. Poczułam na palcach nieznaczne ukłucia – elektryczne?

Znieruchomiał, zmarszczył czoło. W jego inteligentnych oczach pojawiła się szklistość. Cofnęłam się gwałtownie. Udało się?

– Jak się pan nazywa? – spytałam.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się jeszcze bardziej.

– Nie... nie wiem. Dlaczego nie wiem?

Udało się. Naprawdę się udało.

Zabójcy za moimi plecami od razu się uciszeli.

Obróciłam się w stronę swej widowni, wkładając ręce do kieszeni.

– Jak się tego nauczyłaś? – spytał River. – Co zrobiłaś z jego umysłem?

Moje spojrzenie zatrzymało się na Cole'u. W odpowiedzi dojrzałam ciekawość i może cień gniewu. Domyślał się prawdy?

Poruszyłam się niespokojnie.

– Jeden świadek mi o tym powiedział. Zastosowałam tę umiejętność.

Odmienne reakcje. Szok. Zmieszanie. Tylko reakcja Cole'a się liczyła. Narastanie gniewu.

O, tak. Domyślał się.

Jakiś chłopak przecisnął się przez tłum i stanął u boku Rivera.

– Jest tu dwoje detektywów, chcą mówić z tobą i Cole'em.

– Znowu? – jęknął River. – To zaczyna być męczące.

Cole potarł się po karku.

– Skąd wiedzieli, że tu jestem?

Wszyscy doszli do identycznego wniosku. Śledzili nas zeszłej nocy.

Zesztywniałam. Zeszłej nocy nie dostrześliśmy nawet ich śladu. Co więc oni dostrzegli?
– Pozbądź się Rangarajana – polecił River. – I niech nieletni się schowają. Reszta pójdzie pogadać z detektywami.

ZOMBI TEŻ BYŁY LUDŹMI

Czy ten dzień mógł okazać się jeszcze gorszy?

Zaraz. Wymaż to. Kiedy zadawałam to pytanie, działa się na ogół coś złego.

Detektywi rzeczywiście nas namierzali – przyznali się do tego bez oporów – ale jeśli widzieli, jak robiliśmy coś nielegalnego, to nie wspomnieli o tym słowem i nawet nie zamierzali nas przesłuchiwać. Na dobrą sprawę patrzyli na nas z jawną nieufnością. Jakby ich oczy otwarły się wreszcie na prawdę, oni zaś pojęli, że jesteśmy zabójcami, jedynym murem między nimi a zombiczną apokalipsą.

Zjawili się, bo znaleziono zwłoki. Kilkunastoletniego chłopca.

Pokazali Riverowi i Cole’owi komplet zdjęć, licząc na ustalenie tożsamości; River oznajmił w końcu stłumionym głosem:

– To Cary. Jest mój. Nie ma żadnej rodziny.

Detektywi podali niewiele szczegółów dotyczących morderstwa i szybko odeszli z enigmatyczną przestrożą: „Uważajcie”.

Co wiedzieli? I czy miało to związek z nami?

– Wracajmy do rezydencji Ankha. – Cole otoczył mnie ramieniem i po raz pierwszy nie był to gest czułości ani pociechy, tylko oczywiste zabezpieczenie, bym nie próbowała uciekać. Zwrócił się do Rivera: – Zadzwoń rano i powiem ci o naszym następnym ruchu.

River ukrył rozgoryczenie za maską irytacji.

– Ty mi powiesz?

– Zdecydujemy razem – wtrąciłam pojednawczo. Potrzebowaliśmy każdego umysłu, zaprogramowanego wyłącznie na atak. Musieliśmy wykazywać się bystrością i zimną głową, żadnych emocji. Zależało od tego życie Justina.

Cole odprowadził mnie na bok.

– Helen – powiedział cicho.

Chciałam skłamać. Nie mogłam.

– Tak.

– A ta sprawa z pamięcią?

– Helen – wyszeptalam.

Wbił mi palce w ramię.

– Myślałem, że jesteś mądrzejsza. Ona kłamie, Ali. To zdrajczyni.

– To moja matka, Cole.

Odetchnął gwałtownie.

– Czyżbym wyczuwał w twoim tonie cień jakiegoś uczucia?

Nie. Tak.

– Może.

– Nie wierzę, że robisz coś takiego. Porzuciła cię. Zdradziła nas. Zabiła moją matkę! Przemieniła ją w zombi. Z powodu Helen musiałem patrzeć, jak mój ojciec spopiela moją matkę po tym, jak mnie zaatakowała, własnego syna.

Tęskniąc do chłopca, jakim był niegdyś, i do mężczyzny, jakim się stał, wyszeptalam:

– Nie zamierzam zaprzeczać. To, co zrobiła Helen, było złe, bez względu na powody.

– Właśnie. Żaden powód nie stanowiłby usprawiedliwienia.

Mimo to oznajmiłam:

– Nie wiesz jednak, że była zrozpaczona. Czowała, że nie istnieje dobry wybór. – Te słowa brzmiały kulawo, nawet w moich uszach. – Ale teraz jest inna.

– Ludzie się nie zmieniają, Ali.

– Wręcz przeciwnie.

– Zamierza cię zabić. Nas wszystkich.

– Cole...

– Nie. Nie waż się mnie przekonywać, bym jej wybaczył.

– Nie mam zamiaru – spróbowałam ponownie. – Cole...

Znowu mi przerwał.

– Czy ostatnia noc znaczyła dla ciebie cokolwiek? – Klnąc pod nosem, puścił mnie i przyspieszył kroku, oddalając się.

Uświadomiłam to sobie z siłą ciosu. Chłopak, któremu zawierzyłam ciało i któremu dałam swe serce, właśnie mnie zostawił. Nie było mowy o żadnej dyskusji. O żadnym kompromisie.

Przyszło mi nagle do głowy, że seks niczego nie ułatwia. Wręcz przeciwnie, wszystko komplikuje.

– Znaczyła cokolwiek dla mnie? – zawołałam za nim. – A dla ciebie?

Zignorował mnie.

Zraniłam go. Wiedziałam o tym. Ale on też mnie zranił. A teraz... Teraz byłam zdana na własne siły. Zagubiona, bardziej bezbronna niż kiedykolwiek.

Wlokłam się za resztą naszej grupy. To nie była moja wina. Cole mylił się, każąc mi wybierać między nim a moją matką. Mylił się? Ha! Czy ja się myliłam, oczekując, że w jakiś sposób ją zaakceptuje?

Kat podeszła do mnie, nasze palce się splotły.

– Mam wrażenie, że twój chłopak jest równie beznadziejny jak mój.

– Nie wiem, co myśleć. – Zerknęłam na niebo. Zobaczyłam króliczą chmurę i westchnęłam.

Nabrała zdecydowanie złowieszczego kształtu.

– Zawsze zrzucaj winę na faceta – poradziła. – To moja nowa dewiza. Poza tym knuję zemstę. Mniej więcej taką. Uciekamy razem, pobieramy się, tak jak tego chcesz, o czym doskonale wiem, a potem, tak dla jaj, wysyłamy chłopcom kartkę, cytując: „Wciąż planujecie morderstwo listonosza?”.

Ta dziewczyna... Światło mojego życia.

– Wchodzę w to!

W połowie drogi do samochodu Cole przystanął i zmarszczywszy nos, zaczął węszyć w powietrzu.

– Rozkład – oznajmił.

Zaczęłam niuchać i wyczułam charakterystyczną woń.

– Ale jest dzień.

– To może być zdechłe zwierzę. – Mimo wszystko dobył swej kuszy. – Jacklyn, powiedz Riverowi, co się dzieje. Szron, zaprowadź Kat do środka.

Podczas gdy Jacklyn popędziła z powrotem do budynku, a Szron przerzucił sobie Kat przez ramię jak worek kartofli, pozostali zabójcy wyciągnęli broń, szykując się do bitwy. Spenetrowałam wzrokiem okolice, spodziewając się dostrzec gdzieś na przykład rodzinę zmasakrowanych szopów. Niech spoczywają w pokoju. Mogłam sobie nawet wyobrazić, co się

wydarzyło. Przechodziły przez ulicę, mając nadzieję zacząć nowe życie na frontowym trawniku pod domem Rivera, ale jakiś kierowca je przejechał i zwiął z miejsca tragicznego zdarzenia. Nie spodziewałam się ujrzeć...

Zombi.

Tam.

Co najmniej dwadzieścioro wybiegło z sąsiedniego magazynu. Żaden niepewny krok, tylko sprint; machały ramionami, próbując nas chwycić. Nad zapadniętą skórą unosiła się para, jasne promienie słońca działały niczym piec.

Zauważyłam obrożę. Ktoś je kontrolował.

Zabójcy zaczęli opuszczać swe ciała i rzucać się do potyczki. Ja? Rozejrzałam się po okolicy. Chciałam wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny. Ulica – pusta. Zaparkowany samochód – pusty. Drugi zaparkowany samochód – pusty. Dwaj ludzie idący po chodniku, każdy z teczką w ręku. Nieświadomi. Zaparkowany samochód – dwie osoby z przodu z twarzami zwróconymi w tę stronę.

Mój cel.

Rzuciłam się biegiem w tamtym kierunku, sztylet zasłonięty przedramieniem. Nie wydawali się zaskoczeni, kiedy się do nich zbliżyłam. Nie wyciągnęli też broni. Odrzucili piloty i odjechali błyskawicznie, nim ich dopadłam.

Tchórze!

Niespełna dwie minuty później zombi padły na ziemię – pilot działał zapewne tylko na niewielką odległość. Duchy wiły się, słońce wciąż paliło je niczym ogień szynkę na Wielkanoc. Ciemność nigdy nie potrafiła zwyciężyć ze światłem.

Podczas gdy zabójcy spopieliłali stwory i wracali do swych ciał, ja zastanawiałam się, co Anima zamierzała w ten sposób osiągnąć. Gdyby ci ludzie liczyli na bitwę, to ci dwaj w samochodzie wytrwaliby na miejscu.

– Ktoś jest ranny? – spytałam.

– Nie. – Cole schował kuszę. – Zombi nie potrafiły się skupić na określonym celu.

Wymachiwały tylko rękami.

Z budynku wypadli Jacklyn i River, dziesięciu jego bojowników tuż za nimi. Zauważyli popiół unoszący się w powietrzu i przystanęli gwałtownie.

– Co się stało? – spytał River.

– Wygraliśmy – odparł Cole.

Opowiedziałam o facetach w samochodzie; zapadła cisza.

– Mamy więcej do przemyślenia, niż zdawaliśmy sobie z tego sprawę – powiedział Cole do Rivera, a ten skinął głową.

*

Pod domem pana Ankha Cole wysiadł z samochodu, nie odzywając się do nikogo. Nawet do mnie. Może powinnam powiedzieć: zwłaszcza do mnie. Wciąż był wściekły. Rozumiałam.

Szron szedł tuż za nim, przyjmując ten sam modus operandi – wciąż był wściekły.

– Myślałam, że chodzę z chłopakiem, a nie z dzieckiem – mruknęła Kat, kiedy weszłyśmy do domu. – Najwidoczniej się myliłam.

– Szron martwi się o ciebie, to wszystko.

– A jaki problem ma Cole? Bo, Ali-gatorze, nastrój tego chłopca może zawstydić pozostałych.

– Nie idzie po jego myśli. – Takie w gruncie rzeczy było sedno sprawy.

– Domyślam się.

Kiedy dotarliśmy do schodów, nadeszła wiadomość od babci. Zwolniłam kroku. „Jesteś bezpieczna? Bez względu na to, jakie żywisz wobec mnie uczucia, zasługuję na odpowiedź”.

Ja: „Jestem. Nie martw się”.

Babcia: „To dobrze. To lubię słyszeć. Albo widzieć”.

Ja: „Jakie żywię wobec ciebie uczucia? Babciu, kocham cię”.

Przypomniałam sobie, jaka byłam bezbronna z Cole’em, jak bardzo potrzebowałam jego pociechy. Domyślałam się, że babcia znajdowała się w identycznym, burzliwym nastroju.

Babcia: „Nadal?”.

Wyobrażałam sobie, jak drży.

Ja: „Zawsze”.

Teraz to rozumiałam. Naprawdę. Dlaczego mi nie powiedziała. Z tego samego powodu, dla którego nie mówiłam Cole’owi o Helen. Strach przed niewiadomym. Jak mogłabym ją za to winić?

– Ali! Kat! Jak lukrowo. – Reeve wychylała się za poręcz schodów. – Wydawało mi się, że słyszę wasze głosy. Bronx wrócił z wami?

– Tak – odparła zwięźle Kat. – Ale nie spodziewaj się, że go szybko zobaczysz. Jest z Cole’em i Szronem. I wścieka się.

Przez chwilę Reeve była uosobieniem rozczarowania. Potem się otrząsnęła i zaproponowała:

– Może przyjdziecie do mojego apartamentu? Będziemy się chronić nawzajem przed ich negatywnością.

Ruszyła przodem. Kanapę i stół do kawy w salonie okrywała brezentowa kapa, ale wszystko inne zostało wyniesione. Ściany pod sufitem oklejone były taśmą.

– Malujesz? – spytałam.

– Tak. Chcąc zapomnieć o horrorze, jakim jest czekanie na wasz powrót z misji, postanowiłam odnowić swoje lokum.

Przeszliśmy przez mały aneks kuchenny do sypialni, gdzie na ekranie komputera migotał portret Szrona. Zatkalo mnie. Nosił uroczystą togę, tak różową, jak niegdyś ściany apartamentu Reeve, z falbanami i kokardami.

– Podoba ci się? – spytała Kat, dostrzegając kierunek mojego spojrzenia. – To małe co nieco, które dla niego przygotowałam. Kazałam powiększyć i oprawić. Najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostał. Z klasą. Nie mogłam nie podzielić się jego pięknem z Reeve i z połową uczniów w naszej szkole. Występuje w roli tapety na monitorze.

Bezcenne.

– Chciałabym mieć portret Cole’a w tym samym stroju. Tylko bez rękawów.

– Załatwione!

Reeve zachichotała.

Zabręczała moja komórka; spodziewałam się kolejnej wiadomości od babci. Ale kiedy zerknęłam na telefon, ekran był ciemny. Zmarszczyłam czoło – dopóki sobie nie przypomniałam, że wciąż mam telefon Ethana. Drżąc, wyjęłam go z drugiej kieszeni. Patrzyła na mnie twarz Justina. Żył, tak jak powiedziała Helen, i trzymał gazetę z aktualną datą. Jedno oko miał zamknięte z powodu opuchlizny. Wargi były rozerwane w dwóch miejscach, na brodzie widniał guz. Potrzebował natychmiastowej pomocy medycznej. Nie, potrzebował naszego ognia.

Pod zdjęciem Ethan napisał: „Przepraszam za zwłokę. Straciliśmy drugiego chłopaka. Wciąż jesteśmy chętni na wymianę, a ty?”.

Dłonie miałam tak mocno zaciśnięte, że boczne ścianki telefonu pękły. Przegrałam tekst

na swoją komórkę i przesłałam Cole'owi.

Cole: „Powiedz mu, że odpowiesz jutro. Potrzebujemy czasu na zaplanowanie akcji”.

Zrobiłam, jak kazał.

Ethan: „Do usłyszenia”.

Ja do Cole'a: „Ustalone. Gdzie jesteś? Pomogę przy planowaniu”.

Cole: „Znajdę cię później”.

Zacisnęłam zęby. Czy sądził, że powiem Helen o naszych planach? Już mi nie ufał?

Przesłałam mu jeszcze jedną wiadomość: „Musimy obgadać wizję”.

Cole: „Później”.

– O co chodzi? – spytała Kat, wyraźnie zaniepokojona.

Odłożyłam oba telefony z przesadną złością. Nikt w świecie nie pozwoliłby jej uczestniczyć w nadchodzących wydarzeniach, więc nie było sensu dyskutować o czymkolwiek albo wspominać o stanie Justina.

– Cole i ja uprawialiśmy seks – oświadczyłam, zmieniając temat. – Jeśli chodzi o inne wiadomości, to mam ochotę zmasakrować mu twarz!

W jednej chwili wszystko zostało zapomniane.

– Co!? – wykrzyknęły jednocześnie dziewczyny.

– Jak było? – spytała Kat. – Totalnie lukrowo?

– Tak. Mnóstwo polewy i posypki.

– Z tego, co słyszałam ostatnim razem, nie byłaś gotowa – zauważyła Reeve. – Co się zmieniło?

Wszystko!

Rzuciłam się na łóżko i zakryłam sobie twarz narzutą.

– Prawie umarłam, kiedy pojawiła się Ali Zombi, a coś takiego wpływa na człowieka, same wiecie. Chciałam żyć i zasadniczo błagałam Cole'a, żeby wykonał następny ruch. Nie zrobił tego, aż niemal znowu zginęłam, i teraz zmieniło się między nami. Ja się zmieniłam. Czuję mu się bliższa niż kiedykolwiek, więc oczywiście trudniej jest znosić jego gniew. To znaczy nienawidziłam jego gniewu wcześniej, ale teraz jest jak cierń w moim boku. Nie mogę machnąć na niego ręką. Nie potrafię myśleć o czymkolwiek innym. Jestem zagubiona i zdenerwowana, i, okay, bardziej zła na niego niż on na mnie. Jak śmiał się na mnie wściec! Jasne, ma powód, ale jestem jego dziewczyną. Nie powinien skupić się na mnie zamiast na przeszłości?

Milczenie.

– Nie wydaje mi się, byś kiedykolwiek wypowiedziała aż tyle słów jednym ciągiem – mruknęła Kat. – Ale sprawdźmy, czy połąpałam się w tym, co mówiłaś. Cole'a należy wykastrować?

Zna mnie tak dobrze.

– Właśnie!

Przez kilka następnych godzin odsądzałyśmy chłopaków od czci i wiary, zastanawiając się, jak wyglądałby bez nich świat. Końcowy wniosek: wspaniale. Nie musiałybyśmy golić już sobie nóg ani układać włosów. Gdybyśmy chciały przytyć o pięćdziesiąt kilogramów – proszę bardzo, nie ma sprawy. Nikt nie oskarżałby nas o brak rozsądku, bo wszyscy głupi ludzie by zniknęli.

Reeve poklepała mnie po ręku.

– Dlaczego Cole jest zły na ciebie? Co takiego według niego zrobiłaś?

– Ja... – Jak mogłabym to wyjaśnić? – Moja mama... nie była moją matką biologiczną.

Ta prawdziwa pracowała dla Animy i nawet pomogła doprowadzić do śmierci jego matki.

Dlatego chłopcy byli tacy zaskoczeni tą moją nową umiejętnością. Pochodziła od mojej mamy.

A ja... rozmawiam z nią, tak jak rozmawiam ze swoją młodszą siostrą. Ufam jej. A Cole nie chce, żebym jej ufała.

– Och – mruknęła, a to jedno słowo zawierało w sobie tysiąc emocji. Najwyraźniej zgadzała się z Cole'em.

– Nie jest to zbyt pomocne – oznajmiłam z westchnieniem.

Powinłam przeprosić Cole'a?

Odpowiedź nadeszła natychmiast. Nie! Helen była moją matką. Jedyłą, jaka mi pozostała. Nie chciałam jej stracić tak, jak straciłam wszystkich innych. Rozmawiałabym z nią – wierzyła jej – gdyby chciała.

Kat poklepała się po brodzie.

– Rozważmy tę sytuację jak test matematyczny. Istnieją cztery możliwe rozwiązania. A: Cole się myli, a ty masz rację. B: Cole ma rację, a ty się mylisz. C: Oboje się mylicie. I wreszcie D: oboje macie rację. Ty wybrałaś A, a on wybrał B. Co oznacza, że oboje obłaliście. Prawidłowe rozwiązanie to D i jeśli jesteście zbyt uparci, żeby to dostrzec, to straciecie się nawzajem.

Przekreśliłam się na bok i westchnęłam.

– Muszę pomyśleć.

– Mój geniusz zazwyczaj odnosi taki skutek. Myśl tak długo, jak to konieczne.

Kat i Reeve poruszały wszelkiego rodzaju tematy, a ja mogłam się przyłączyć... gdybym nie widziała Helen kłęczącej przy moim łóżku. Źródło mojego problemu.

Tak naprawdę, to nie ona nim była, tylko Cole.

Nasze oczy – tak identyczne pod względem koloru – spotkały się, ja zaś stwierdziłam, że nie mogę się jej oprzeć. Nie mogłam nawet wzbudzić w sobie iskierki niechęci. Była tutaj. Dla mnie. W jakimś sensie kochałam ją za to.

Wyciągnęła rękę, jakby zamierzała odsunąć mi włosy z czoła, uśmiechnęła się smutno tuż przed dotykem, który nigdy nie mógłby się spełnić, i opuściła dłoń wzdłuż boku.

– Zamknij oczy – powiedziała.

– Dlaczego? – spytałam.

– Co „dlaczego”? – wtrąciła Reeve.

Pamiętać na przyszłość: gryźć się w język.

– Zamknę na chwilę oczy – powiedziałam, wciąż skupiając uwagę na Helen. –

Kontynuujcie beze mnie.

Kat poklepała mnie po ramieniu.

– Skoro nalegasz.

– Kiedy miałaś pięć lat, zrobiłam odlew twoich dłoni... – Gdy mówiła, w moim umyśle skryzalizował się zapach.

Siedziałam na brzegu czerwono-czarnego dywanika i bawiłam się samochodzikiem, jeżdżąc nim po lalkach. Otaczały mnie miseczki z wodą i proszkiem. Helen kłęczała przede mną, obok siebie położyła czarną poduszkę do pieczętek i kilka ręczników.

– Zrobiłam odlew twoich dłoni – powiedziała wizyjna Helen. – A teraz uzupełnimy je o odciski twoich palców. W ten sposób będę mogła wgrać je do systemu Animy. – Uśmiechnęła się do mnie. – Jedną z ich największych skaz jest obsesyjne trzymanie wszystkiego w sekrecie. Dział medyczny nigdy się nie dowiaduje tego, co robi dział ochrony, tak żeby nikt nie ujawnił ich działań. Stworzę dla ciebie fałszywą tożsamość, nazwę cię agentem, dam ci tę samą możliwość wglądu w tajne informacje, jaką ja dysponuję, a oni nigdy się nie dowiedzą, nigdy niczego nie usuną, bo nigdy nie zostaniesz zgłoszona jako ktoś zaginiony czy martwy. – Umyła mi dłonie, uśmiechając się triumfalnie, niemal maniackalnie. – Jeśli cię kiedykolwiek złapią, będziesz mogła

się uwolnić. Po prostu przysuń dłoń do skanera. Mam nadzieję, że uda mi się zniszczyć Animę, nim dojdzie do czegoś takiego. Ale jeśli nie... – Przciskała mi palce do poduszki. – Chcę cię zabezpieczyć.

W mojej głowie kłębiły się myśli. Helen naprawdę mnie kochała. Teraz też. Cole mylił się co do niej. Nie zjawiała się, żeby mnie skrzywdzić albo zdradzić. Prędzej by umarła – tak jak tego dowiodła.

Dzięki niej mogłam dostać się do Animy i wyjść stamtąd. Mogłam uwolnić Justina, dotrzymując słowa danego Jacklyn.

Musiałam go po prostu odnaleźć. Ale Ethan pomógłby mi w tym.

– Dziękuję – powiedziałam bezgłośnie.

– Przepraszam, że nie pojawiłam się wcześniej – powiedziała prawdziwa Helen. – Przepraszam, że zostałaś schwytana i poddana torturom. Mogłaś się w każdej chwili stamtąd wydostać, nie wiedziałas tylko jak. Mają sposoby, by nie dopuszczać świadków do swoich budynków. Nie mogłam się do ciebie dostać. A nawet gdybym mogła, to wiedziałam, że byś mi nie uwierzyła. Ludzie nie słuchają tego, czego nie są gotowi słuchać. Teraz wiesz wszystko i jeśli chcesz, żebym odeszła i nigdy nie wróciła, zrobię to dla ciebie. Dla ciebie wszystko.

Nigdy więcej jej nie zobaczyć?

Tego chciał Cole.

– Zostań – powiedziałam.

ZOMBI WIDZĄ, ZOMBI JEDZĄ

Myślałam o Helen – swojej matce... swojej ukochanej matce – przez całą noc. Sama. Cole nie zajrzał do mojego pokoju ani razu.

Na jego usprawiedliwienie powiem, że i ja nie zajrzałam do jego pokoju ani razu.

Nazajutrz rano zapukał jednak do moich drzwi.

– Gabinet Ankha. Natychmiast.

To wszystko? Tylko na tyle było go stać? Gdzie się podział czuły kochanek, którego zostawiłam u Rivera?

Wzięłam szybko prysznic, wyczyściłam zęby, ubrałam się. Cole, River, Szron i Bronx już zebrali się w gabinecie.

Cole nie miał ochoty spojrzeć mi w oczy.

– Dzwon do Ethana. Ustal warunki wymiany.

Jakbym krwawiła w środku.

Ale dokonałam wyboru, prawda? Utrzymywałabym więź z Helen, bez względu na wszystko.

Przełknęłam z wysiłkiem i wystukałam numer. Telefon dzwonił uparcie, lecz Ethan nie odbierał.

Przesłałam mu wiadomość i choć czekaliśmy pięć minut... dwadzieścia... czterdzieści... nie odpowiedział.

Zaczęłam się niepokoić. Czy Justin żył, czy może...

Nie, daj spokój.

Resztę dnia poświęciliśmy na poszukiwania doktora Wyatta Andrewsa. Takie nazwisko podała nam Helen. Nie znaleźliśmy jednak nawet najdrobniejszego śladu.

Kiedy wchodziliśmy z powrotem do domu pana Ankha, Cole popatrzył wreszcie w moją stronę, a ja żałowałam, że to zrobił. Jego fioletowe oczy były wymowne jak słowa: a nie mówiłem?

Był przekonany, że Helen kłamała, jeśli chodzi o tożsamość doktora.

Przestałam cierpieć, przestałam krwawić i znowu pogрузyłam się w gniewie i złości.

Minął dzień, potem następny, i jeszcze jeden. Żadnej wiadomości od Ethana.

Cole i ja ledwie ze sobą rozmawialiśmy, napięcie między nami przypominało szpilki w mojej skórze. Czuł się tak, jakbym go zdradziła, i poniekąd miał rację. Ale i on mnie zdradził. Każde z nas miało myśleć najpierw o drugim. Teraz byliśmy bliscy tego, by myśleć o drugim na samym końcu.

Co noc kładłam się do łóżka sama i zapłakana. Nie zdarzały się nam już nawet wizje.

Z wyboru?

Jeśli tak, to był to jego wybór, nie mój.

Helen zjawiała się tylko raz. Podejrzewałam, że pomimo mojej prośby, żeby została, zachowywała dystans, by mnie i Cole'owi łatwiej było dojść do porozumienia. Czułam ulgę – i coraz większy gniew.

Spytałam, jak udaje jej się przychodzić do mnie, skoro Emma ma z tym coraz większe problemy, w miarę jak więź między nami słabnie. Odparła, że to dzięki naturze zabójcy –

nawykła do działania w sferze duchowej, mogła więcej niż zwykła martwa dziewczynka.

Powiedziała mi też, gdzie znajduje się jedno z laboratoriów Animy. Przekazałam to Cole'owi. Wiedział, skąd wzięłam tę informację, i odrzucił ją zdecydowanie. Zrobiłam więc jedyną rzecz, jaką mogłam zrobić. Zadzwoiłam do Rivera i wspólnie opracowaliśmy plan dokonania najazdu na budynek.

Kiedy Cole się o tym dowiedział, dostał szału.

Wpadł do mojego pokoju, zatrzaskał drzwi.

– Nie będziesz zwracała się do Rivera w żadnej sprawie. – Był dziki, nabuzowany. – Będziesz się zwracała do mnie.

Właśnie zbierałam swoje rzeczy, spodziewając się w każdej chwili Rivera.

Znieruchomiałam i spojrzałam ze złością.

– Zwróciłam się. Zignorowałeś mnie.

– Nie zignorowałem. Nie wspominałem tylko, że powiedziałem o laboratorium tacie i że zamierzałem urządzić dziś w nocy obserwację.

Zaraz.

– Chciałeś to zrobić, nic mi nie mówiąc? Dlaczego? – Naprawdę musiałam wysilać mózgowicę? – Mniejsza z tym. Nie chciałeś, żebym ostrzegła Helen.

Pod okiem drgnął mu mięsień.

Bingo.

Czując, jak wrze we mnie krew, wskazałam drzwi.

– Wyjdź. Natychmiast.

Stał w miejscu z kamienną, lodowatą twarzą.

– Zmuś mnie.

Pchnęłam go.

Nie drgnął.

Znowu go pchnęłam, tym razem mocniej, wreszcie się ruszył, zataczając się o krok do tyłu. Czułam pod dłonią, jak wali mu serce. Tylko to pozwalało mi zachować przytomność umysłu. Był poruszony. Może nie chciał tego okazać, ale był.

– Próbuję cię tylko chronić – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Helen zamierza cię zdradzić i nawet jeśli nie zginiesz, to złamie ci to serce.

– Nie potrzebuję twojej ochrony, Cole. Potrzebuję twojego wsparcia.

Czemu nie potrafił tego dostrzec?

– Nie licz na to. Nie w tej sprawie. Zawsze dam ci to, czego potrzebujesz, nawet jeśli tego nie chcesz.

– To, czego według ciebie potrzebuję, chciałeś powiedzieć?

– Nie jesteś obiektywna.

– Ani ty!

Owinął palce wokół mojego nadgarstka, zaciskając je dostatecznie mocno, żebym znieruchomiała. W pierwszej chwili sądziłam, że chce podnieść moją dłoń do ust i pocałować. Pobożne życzenie. Puścił mnie, przerywając gwałtownie nasz kontakt.

– Idę z tobą – oznajmił.

Spokojnie.

– Doskonale. Nie mogę cię powstrzymać. – Nie chciałam go powstrzymać. – Ubierz się na czarno. I nie przestaniemy na obserwacji.

Otworzył usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale się rozmyślił. Po chwili zaproponował:

– Spróbujmy przywołać wizję. Zobaczyć, co się wydarzy.

Teraz chciał próbować?

– Nie – odparłam i odwróciłam się. Nie chciałam oglądać naszej przyszłości. Już nie. Wyszedł z pokoju bez słowa – i to on złamał mi serce, nie Helen. Szufladkuj.

Nie. Po prostu nie. Nie zamierzałam zaczynać tego od nowa. W najlepszym razie było to rozwiązanie tymczasowe. Postanowiłam, że cały swój gniew i ból poświęcę na zniszczenie Animy.

Skończyłam się zbroić i pomaszerowałam do holu. Czekali tam już River, Camilla i Chance. Tak jak i Cole, Szron, Bronx, Veronica, Gavin i Mackenzie. Jak Cole zdołał tak szybko zebrać oddział?

Dam radę.

Skupiałam uwagę na osobie Rivera.

– Wzięłeś wszystko, co trzeba?

– Nawet więcej.

Dobrze.

Wyszliśmy na zewnątrz.

Szron objął mnie i wyszeptał:

– To trudne dla Cole’a. Ta sytuacja go przeraża, to wszystko.

– Nie tylko jego – odmruknęłam.

– Tak, ale ty jesteś dziewczyną. Odważniejszym gatunkiem.

– To prawda.

Laboratorium znajdowało się tuż za granicami Birmingham. Zaparkowaliśmy w pewnej odległości, obserwując wejście, robiąc zdjęcia pracownikom, którzy pojawiali się i znikali. River poinformował Cole’a o naszej strategii i choć mojemu chłopakowi znowu zaczął drgać mięsień pod okiem, zgodził się, że plan jest rozsądny.

W końcu zapadła ciemność. Czas brać się do roboty. Poczułam gwałtowny przypływ adrenaliny, kiedy zajęliśmy miejsca wokół budynku. W recepcji przebywało tylko dwóch strażników.

– Pięć... cztery... trzy... – W małej słuchawce w moim uchu rozbrzmiał szept Rivera. – Dwa. Jeden.

Do oszklonych drzwi frontowych zbliżyła się Camilla i zapukała wściekle. Koszulę miała zbroczoną sztuczną krwią i trzymała się za „ranę”, jakby cierpiąc straszliwy ból; chwiała się nawet na nogach, gotowa w każdej chwili upaść.

Strażnik Numer Jeden zerwał się z miejsca. Strażnik Numer Dwa chwycił go za ramię i przytrzymał w miejscu. Z ciemności panującej na zewnątrz widziałam, jak Pierwszy i Drugi rozmawiają gorączkowo. W końcu Drugi chwycił telefon, żeby zadzwonić. Na policję? Do swojego szefa?

Dodając sytuacji nieco dramatyzmu, Camilla osunęła się na kolana, a potem na ziemię, gdzie znieruchomiała niczym trup. Pierwszy zignorował swojego kumpla i popędził do drzwi. Gdy tylko je otworzył i pochylił się, by pomóc Camilli, strzeliła mu z bliska z broni ze środkiem usypiającym.

Cole wyskoczył z cienia przy wejściu i rzucił się błyskawicznie do drzwi, przeskakując nad Camillą i strażnikiem, żeby też poczęstować Drugiego środkiem usypiającym. Facet upadł, a Cole złapał telefon i przystawił go do ucha.

– Nie zdążył się połączyć – powiedział.

Szron i Bronx wciągnęli Pierwszego do budynku. Pozostali weszli za nimi. Zamknęłam drzwi od środka. Kiedy przemierzaliśmy na palcach wąski korytarz, niemal oczekiwałam, że z ukrycia wyłoni się milion strażników, a Szron wpadnie w szal i zacznie ich zabijać. Kiedy

wizja miała się spełnić?

Dotarliśmy bez przeszkód do masywnych czerwonych drzwi. Czytnik po lewej stronie był niczym neon pulsujący słowami „Nigdy nie przekroczysz tego punktu”.

Czy mogłam? Choć Helen mnie zapewniała, że moje odciski palców nie zostały usunięte z systemu Animy, jedenaście lat to długi okres. Wszystko się mogło wydarzyć.

Chance wyciągnął mnóstwo sprzętu, którego przeznaczenia nie rozpoznałam, przytwierdził to do tego, to do tamtego, nacisnął kilka klawiszy, pozamieniał przewody i bum: Sezamie, otwórz się. Identyfikacja linii papilarnych okazała się niepotrzebna.

Dzięki Bogu, zapewne. Cole chodziłby po ścianach, a wszyscy twierdzili, że Helen zrobiła to, żeby złapać mnie w sidła. Nas złapać w sidła.

Znaleźliśmy biura i, kierując się wskazówkami Camilli, skopiwaliśmy zawartość twardych dysków. Znaleźliśmy pokoje ze sprzętem medycznym i mnóstwem medykamentów; i znów, kierując się wskazówkami Camilli, pobraliśmy próbki.

– Potrzebujemy tego. I tego. I tego – wskazywała, oczekując, że spełnimy jej polecenia.

Jako siostra Rivera nawykła do wydawania rozkazów. Rozumiałam to. Ale nie byłam jej pacholkiem, a ona nie była moim szefem. Jej polecenia działały mi na nerwy.

W głębi znajdowały się niezamknięte drzwi. Spojrzałam przez ramię. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Przekroczyłam szybko próg i oto stałam w jakimś holu. Sama. Na końcu zauważyłam następne drzwi, ale te były zamknięte. Oblizując wargi, rozejrzałam się szybko dokoła, nim przyłożyłam dłoń do ekranu czytnika. Pomiedzy rozsuniętymi palcami zajaśniało światło. Czekałam, wstrzymując oddech...

I zamek ustąpił.

Niemożliwe... To było... Rany. Po prostu rany. Działo.

– Ali – warknął Cole.

Drgnęłam, pełna winy.

Popędziłam za narożnik, goniąc za dźwiękiem jego głosu. Wszyscy zebrali się na tyłach budynku, gdzie pod ścianą stało co najmniej pięćdziesiąt klatek z pomrukującymi zombi. Spopieliliśmy te stwory i zabraliśmy ich obręcze.

Spenetrowaliśmy resztę pomieszczeń, nie znaleźliśmy nic ani nikogo i wyciągnęliśmy nieprzytomnych strażników na zewnątrz. Potem zrobiliśmy to, na co z takim utęsknieniem czekaliśmy. Zniszczyliśmy. Wszystko.

River twierdził, że jest czymś w rodzaju eksperta pirotechnicznego, i założył ładunek. Cała struktura eksplodowała od wewnątrz, po czym się zawaliła, wzbijając tumany kurzu bez jednego odłamka, który mógłby poranić Bogu ducha winnego cywila. Poczucie triumfu.

W domu pana Ankha ruszyliśmy do pokoju gier, żeby to uczcić.

Straciłam zainteresowanie, nastrój miałam mroczny.

Cole stał z boku, gawędząc z Camillą.

Czułam ukłucia zazdrości, podchodząc do nich. Położyłam dłoń na jego ramieniu i unosząc się na palcach, wyszeptalam mu prosto do ucha:

– Chyba Helen nie kłamała mimo wszystko.

Zesztywniał, odwracając się do Camilli plecami, żeby obrzucić mnie gniewnym spojrzeniem.

– Tylko tym razem.

– Nigdy.

– Dlaczego nie potrafisz dostrzec prawdy? Jest pająkiem, a ty muchą. Zwabiła cię w swoją sieć.

Zacisnęłam dłoń w pięści i spojrzałam znacząco na Camillę.

– To samo mogłabym powiedzieć o tobie. Bawcie się dobrze.
Odeszłam, nienawidząc go... nienawidząc siebie.

*

W ciągu kilku następnych dni działo się niezmiennie to samo. Pan Ankh badał próbki, które ukradliśmy, i okazywał coraz większe niezadowolenie. Wszystko było bezużyteczne. Ludzie biegli w informatyce rozbierali każde słowo każdego pliku ściągniętego z dysków i też nie znaleźli nic wartościowego.

Jakby Anima wiedziała, że się zjawimy, usunęła wszystkie kompromitujące materiały i pozwoliła nam przejąć laboratorium. Marnować czas na poszukiwanie odpowiedzi, których tam nie było. Albo żeby nas uspokoić, albo żeby zbić z tropu.

Jeśli tak, oznaczało to, że jest wśród nas kret – co mogło też wyjaśniać, jak zawodowy morderca Benjamin się uwolnił, wbrew temu, co mówił.

Ta myśl przyprawiała mnie o mdłości. Ufałam wszystkim w naszej grupie; walczyliśmy razem i razem przelewaliśmy krew. I chciałam ufać Riverowi i jego przyjacielom. Ale czy mogłam? Mieli ponoć swoich szpiegów w Animie, a jednak nie napływały stamtąd żadne nowe informacje.

Cole powiedziałby, że należało winić za to wszystko Helen. Tylko Helen.

Ścisnął mi się żołądek, wylewając z siebie żółć. Och, wielkie nieba. A jeśli miał rację?

Nie mogę wątpić teraz w swój instynkt. Tkwię w tym zbyt głęboko.

Każdego ranka zabójcy ćwiczyli w siłowni. Nasza praca miała charakter fizyczny; musieliśmy zachować formę. Nieraz zauważyłam, jak Camilla wodzi wzrokiem za Cole'em, dając (coraz bardziej) do zrozumienia, że chce go schrupać. Tego dnia polazła za nim nawet, kiedy wszedł z bieżni mechanicznej. Musiałam powstrzymać się z całych sił, żeby za nimi nie pójść.

Głupia klótnia. I głupi Cole!

Głupia Camilla!

Przynajmniej zerknął przez ramię i napotkał moje spojrzenie. Każda komórka mojego ciała zajaśniała blaskiem. Niemal wykrzyknęłam jego imię. Niemal.

Nie zamierzałam łamać się pierwsza.

Odwrócił się i dalej szedł przed siebie. Wciąż nie doszło do spontanicznej wizji.

Nie wiedziałam, jak długo jeszcze będę w stanie to znosić.

Choć chciałam za nim pobiec, wskoczyłam na bieżnię, którą właśnie opuścił, analizując wizje, które przydarzały się innym zabójcom. Ledwie tego ranka Szron widział samego siebie, przebijającego się przez stosy gruzów, a Bronx widział, jak trzyma w ramionach płaczącą Reeve.

Gavin z kolei widział, jak walczy, by dotrzeć do rannej Jacklyn i nieprzytomnego Justina, a Jacklyn widziała samą siebie, jak dostaje postrzał w nogę.

Kiepsko, ale przynajmniej wiedzieliśmy, że Justin, pomimo braku odzewu ze strony Ethana, wciąż żyje.

Kolejny punkt na naszą korzyść: żadnych więcej dziennych zombi. Jednakże wychodziły każdej nocy i gromadziły się wokół granic posesji pana Ankha. To znaczy każdej nocy z wyjątkiem poprzedniej, a ja nie bardzo wiedziałam dlaczego. Mimo wszystko częste ataki pozwalały mi doskonalić nową umiejętność. Byłam w tym coraz lepsza. Skupiałam się, koncentrując energię w samym środku swojej istoty, a potem wyobrażałam sobie, jak ze mnie wystrzela. I tak było! Pozwalałam sobie na jeden ruch i koniec. Dotąd nie doświadczyłam kolejnego wycieku ducha.

Częste ataki sprawiły, że do rezydencji przenosiło się coraz więcej zabójców Rivera.

Potrzebowaliśmy wsparcia.

Nowe dziewczyny nie dawały Cole'owi spokoju. Nie tylko Camilla, ale też większość jej przyjaciółek. A to ukradkowe dotknięcie. A to znacząca uwaga. Nie byłam już pewna miejsca, jakie zajmowałam w jego życiu, więc siedziałam cicho. W głębi duszy jednak kipiałam wściekłością.

Nie zamierzałam upuszczać im tylko krwi; zamierzałam powodować u nich trwałe obrażenia.

Nie trzeba nadmieniać, że napięcie wzrastało. Nie tylko u mnie. Wszyscy zabójcy byli wyczerpani. Nasz obecny harmonogram był morderczy. Niebywale. Gdyby miało to trwać dłużej, nie wytrzymałibyśmy.

Ale może na tym właśnie polegał plan Animy. Wykończyć nas, a potem załatwić jednego po drugim.

Toczące się wokół mnie rozmowy urwały się nagle. Cole wrócił do siłowni, minę miał mroczną. Serce zabiło mi żywiej, i to nie z powodu ćwiczeń na bieżni.

Zatrzymał się obok mnie.

– Ktoś do ciebie dzwoni.

Otarłam pot z czoła, odsunęłam wilgotne włosy z twarzy.

– Kto?

– Ethan.

Wreszcie! Stuknęłam palcem w wyłącznik, maszyna znieruchomiała. Zeskoczyłam na podłogę i pobiegłam, żeby uświadomić sobie po chwili, że nie wiem, dokąd mam pójść.

– Komórka jest wciąż w gabinecie Ankh – wyjaśnił.

Pan Ankh podłączył ją do jakiegoś urządzenia lokalizującego.

Przyspieszyłam. Ankh siedział przy biurku i nie wyglądał na zadowolonego.

– Ethan chce rozmawiać tylko z tobą – powiedział.

Wszyscy modliliśmy się, by ten dzień nadszedł.

Ledwie tego ranka Kat poklepała mnie po plecach, skrzywiła usta w swym najbardziej chytrym uśmiechu i oznajmiła: „Niech myślą, że zrobimy tak, jak chcą, podczas gdy my zrobimy to po swojemu... Najlepiej!”

Poczułam, jak oplatają mnie nitki niepokoju; musiałam przeciąć je w myślach, sięgając po telefon.

Pan Ankh włożył słuchawki, żeby nie uronić ani słowa z rozmowy. Skinął mi sztywno głową.

– Witaj, Ethan – powiedziałam, dumna ze swego spokoju.

– Witaj, Ali. – Był równie opanowany.

– Gdzie się podziewałeś? Skąd taka zwłoka?

– Pojawilo się coś nowego, to i owo. Nic jednak, czym musiałybyś się martwić. Justin nie padł trupem ani nic w tym rodzaju.

Cudowna informacja. Rozejrzałam się po pokoju. Cole wszedł za mną do gabinetu, tak jak Veronica i Juliana. Następnie pojawił się River, a Szron i Bronx deptali mu po piętach.

Przybiegła też Jacklyn, w szeroko otwartych oczach malowała się nadzieja.

Dowiedzieli się o telefonie.

Wysunęłam kciuk do góry.

– ...tam? – spytał Ethan.

– Tak, jestem tu. – Spokojnie. – Wciąż chcę dokonać wymiany – zapewniłam. – Ale będę potrzebowała nowego dowodu życia.

– Dostaniesz go. Ale ktoś chciałby najpierw z tobą porozmawiać.

Trzaski. Potem:

– Witaj, panno Bell. – Głos kobiety. Całkowicie mi obcy.

– Ma pani nade mną przewagę. Zdaje się, że pani mnie zna, ale ja nie mam pojęcia, kim pani jest.

– Nazywam się Rebecca Smith. Możesz mówić mi po imieniu. Rebecca.

Sama szefowa Animy. Dlaczego nie mówić jej Becky?

Albo Szatan?

– Sprawiałaś mi tyle kłopotu – oznajmiła – że postanowiłam sama się tobą zająć.

– Zrozumie pani, jeśli nie będę w tym wypadku życzyła szczęścia, pani Smith.

Moje spojrzenie odszukało Cole'a – jego twarz stała się jeszcze bardziej mroczna. To była kobieta, przed którą ostrzegali nas jego ojciec i Helen. Ta znana ze swej „techniki” przesłuchania.

Parsknęła śmiechem, jakby nie oczekiwała innej odpowiedzi.

– Urodzona buntowniczką. Wykapana matka.

Jakby mnie znała.

– Odstawiłyśmy razem kilka numerów – ciągnęła. – Oczywiście, nie ten z matką twojego chłopaka. To była robota wyłącznie Helen. Ale inne zakończyły się podobnym sukcesem.

Działałabym teraz w terenie, gdyby antidotum nie przestało w moim przypadku działać.

Żółć wezbrała mi w krtani, jednak wyraz mojej twarzy pozostał niezmienny. Nie zamierzałam zdradzać niczego widzom.

– Może skupimy się na tym, co jest tutaj i teraz, hm?

– Doskonale. – Usłyszałam palce stukające w klawiaturę. – Jak się zapewne domyślasz, stanowisz klucz naszego sukcesu. Z twoim udziałem możemy wykorzystywać z powodzeniem dobre zombi, pozbywając się złych.

– Jak?

Zignorowała moje pytanie.

– Przesyłam Ankhowi mejla. Dołączam nagranie. Zechcesz je obejrzeć. To twój dowód życia.

Okay, dobrze, na razie posuwałyśmy się do przodu.

– Więc jak pani chciałaby to zrobić?

Nie wahała się.

– Chciałabym wysłać Ethana pod twoje drzwi i dokonać w ten sposób wymiany, bo to najprostsze rozwiązanie, ale wiemy obie, że byście go tylko zabili i zabrali swojego chłopaka. Więc spodziewam się, że zobaczę cię...

– Wie pani co? – przerwałam jej, tak jak było to przewidziane. – Nie pani będzie o tym decydować. Zjawi się pani za dwie godziny w Hearts, w nocnym klubie w śródmieściu, z Justinem, bo on jest pani kartą wstępu. Jeśli pani nie posłucha, moją misją stanie się zniszczenie wszystkiego, co pani drogie.

Tak naprawdę, to już od dawna było moją misją.

Trzask.

Miałam ochotę zgiąć się wpół i zwymiotować. Czy popełniłam właśnie koszmarny błąd, upierając się, że pani Smith spotkała się z nami w Hearts, zamiast grać według jej zasad? Miałam nadzieję, że nie. Pan Ankh był właścicielem klubu, a nasi zabójcy znali rozkład budynku. Mielibyśmy przewagę.

Potrzebowaliśmy każdej przewagi, jaką tylko mogliśmy uzyskać.

– Trafił pan na jakiś ślad? – zwrócił się Cole do Ankha.

– Nie. Zmieniali drogę sygnału tysiące razy. Domyślam się, że z mejlem będzie podobnie,

bez względu na to, ilu ludzi do tego zaprzęgnę.

Wspaniale.

Wstrzymując oddech, czekaliśmy na charakterystyczny dźwięk, sygnalizujący przesłanie wiadomości. A kiedy to się stało, zebraliśmy się przy biurku pana Ankha, który włączył nagranie.

Na ekranie ukazał się Justin – Jacklyn upadłaby, gdyby Gavin jej nie podtrzymał.

Justin kulił się w głębi klatki. Miał na sobie tylko bokserki, nic więcej. Obok znajdowały się toaleta, umywalka i pojedyncze łóżko. Tak bardzo schudł, że widać mu było żebra. Miał podkrążone oczy, na rękach ślady po nakłuciach.

Czy Anima odurzała go narkotykami? Czy pobierała krew?

Do diabła. Pewnie jedno i drugie.

Obok klatki stały dwie inne, a w nich tłoczyły się niezliczone zombi w obręczach.

Kamera oddaliła się od niego, ekran przygasł, a Jacklyn krzyknęła:

– Nie!

Poczułam w oczach łzy.

– Wątpię, czy naprawdę dokonają wymiany – powiedział Cole, sprawdzając magazynek w swojej broni. – Mamy pięćdziesięcioprocentową szansę. Albo spróbują nas wszystkich schwytać, albo zabić. Możemy rzucić monetą.

Nie mylił się. Wiedziałam to od samego początku, a jednak – tutaj, teraz – w obecności stojących wokół mnie zabójców, których chciałam zawsze tylko strzec, wydawało się, że nie ma racji.

– Zrobię to wobec tego. Dokonam wymiany.

Żadnych podstępów.

– Nie! – odwrócił się na pięcie, patrząc na mnie gniewnie. Tyle że nie dostrzegłam w jego oczach gniewu. Dostrzegłam ból. – Nie.

– Tak, do cholery, tak! – Tupnęłam wściekle. – Ile razy mam ci przypominać? Jedna osoba odda swe życie, by ocalić wiele istnień? To właśnie mam zrobić.

Wrzasnął mi prosto w twarz:

– A ile razy ja mam ci powtarzać, że nie możesz być tego pewna? Że nie chcę cię stracić?

– Dziwnie to okazujesz!

Cofnął się o krok, odetchnął głęboko.

Wyprostowałam plecy.

– Dokonam wymiany, Cole.

– Nie. – Pokręcił zdecydowanie głową. – Nawet jeśli jesteś „tą”, nie pozwolę na to. Nikt z nas nie pozwoli. Ani słowa więcej. Weź broń. My zrobimy to samo. Wszyscy spotkają się w holu za dziesięć minut.

– Cole...

– Ani słowa więcej! Pójdziemy tam tak, jakby miało dojść do wymiany. Będziemy walczyć, zabijemy, ilu się da, i dokonamy ostatecznie wyłomu w ich szeregach.

Nie panując prawie nad sobą, odszedł, obrzuciwszy mnie pełnym złości spojrzeniem.

NA ROGU ZBRODNI I CHAOSU

Zaczęło się odliczanie.

Pięć minut i byłam gotowa i uzbrojona.

Sześć minut i zjawiłam się wraz z innymi w holu; uściskałam na pożegnanie Reeve i Kat.

– Wróc do mnie, Ali-kocie – wyszeptała Kat. – Beze mnie jesteś niczym.

– Mówi się chyba: nikiem.

– Jedno i drugie.

Uśmiechnęłam się pomimo napiętej sytuacji.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. I lepiej, żebyś uważał, Szron! – zawołała. – Dobrze ci radzę.

– Zawsze, kotku.

Zeszli się. Chwała Bogu. Popatrzyłam ze ściśniętym sercem na Cole'a. Zauważyłam ku swemu osłupieniu, że wbija już we mnie spojrzenie. Uważne, badawcze. Jak zwykle, wywołujące dreszcz. Chciałam mu powiedzieć tysiąc rzeczy, a tysiąc więcej zrobić.

Odwróć wzrok.

Zdołałam to jakoś zrobić.

Osiem minut i zabójcy zmierzali w stronę dwóch SUV-ów stojących na zewnątrz.

Ruszyłam do pierwszego i sięgnęłam do klamki przy tylnych drzwiach. Ktoś chwycił mnie raptownie za nadgarstek i obrócił, po chwili poczułam, jak do stalowej karoserii przyciska mnie jakiś twardy ciężar. Sapnęłam.

Cole!

Serce ścisnęło mi się jeszcze bardziej.

Dotknął moich policzków, dłonie miał ciepłe. Jego oczy błyszczały czystym fioletowym ogniem.

– Przepraszam. Bez ciebie jestem do niczego. Nie jadłem ani nie spałem. Tylko pragnąłem. I jest wykluczone, bym pozwolił ci wziąć udział w tak niebezpiecznej akcji, nie mówiąc ci wcześniej czegoś.

Zadrzałam, czując się pokonana. W końcu jedno z nas zrobiło wyłom w dzielącym nas murze. To, które było silniejsze, jak sobie uświadomiłam.

– My...

– Jeszcze nie skończyłem. Kocham cię – mówił dalej. – Tęskniłem za tobą. Nie podoba mi się, że rozmawiasz z Helen. I nigdy mi się nie spodoba. Nie ufam jej i boję się, że wynikną z tego tylko straszne rzeczy. Ale ufam tobie i twojemu instynktowi, więc biorę to na wiarę, którą pokładam w tobie. Ustępuję.

Chwyciłam go za kołnierz kurtki.

– Ja też przepraszam. Kiepsko to rozgrywałam i...

Pokręcił głową.

– Nie skończyłem, kochanie. Jest jeszcze jedna rzecz, która trochę odbiega od tematu, więc spróbuj mnie wysłuchać. Gotowa? Camilla dobierała się do mnie. Musisz mi uwierzyć, jeśli powiem, że odrzuciłem jej zaloty i do niczego nie doszło.

– Co!?! – wybuchnęłam.

Przywarł ustami do moich ust. Roztopiłam się w jego ramionach. Ten pocałunek był jak balsam. Ból, który mnie prześladował przez ostatnie dni, rozplątał się w nicość. Poczucie odrzucenia. Gniew, gorycz także. Dałam się porwać naszej więzi; zdawało mi się, że jego żar przydaje mi więcej mocy.

Gwizdy. Pomruki irytacji. Przynaglające głosy. Wszystko to przebiło się przez moją świadomość, kiedy Cole podniósł głowę. Byłam zbyt oszołomiona, by się poruszyć, więc obrócił mnie, dał klapsa w tyłek i pomógł wsiąść do samochodu. Potem zajął miejsce obok mnie. Trzymaliśmy się przez całą drogę za ręce.

Camilla miała szczęście, że jechała w drugim wozie. Postanowiłam, że później utniemy sobie pogawędkę. Może z użyciem noży. Nie pozwoliłabym jej odejść – musiałyby się czołgać.

Kiedy zajechaliśmy na parking pod klubem, mój wewnętrzny zegar zaskoczył z powrotem. Mieliśmy niespełna półtorej godziny przed wymianą.

Nie wiem, jak pan Ankh zdołał tego dokonać, ale opróżnił lokal. Weszliśmy do środka, tupot naszych wysokich butów odbijał się echem od ścian. Zajrzałam tu wcześniej kilka razy, ale w klubie zawsze panował tłok. Teraz byliśmy jedynymi gośćmi.

Szron i River zajęli stanowisko przy drzwiach frontowych, pozostali ruszyli ku środkowi parkietu. Chance i Mackenzie, tworząc jeden zespół, poszli dalej, by obstawić tylne wyjście; zastanawiałam się siłą rzeczy, czy doszło między nimi do czegoś. Moi towarzysze utworzyli wokół mnie krąg, każdy obrócony w inną stronę. Pan Ankh zainstalował kamery w środku i na zewnątrz. Cole, Szron i River mieli słuchawki w uszach, dzięki czemu mogli utrzymywać stały kontakt.

Dwadzieścia minut upłynęło bez jakichkolwiek incydentów. Trzydzieści. Czterdzieści. Wszystko to mogło potoczyć się bardzo różnie; w głowie kłębiły mi się myśli. Anima mogła przywieźć Justina albo go zostawić. Wtargnąć przez drzwi frontowe albo próbować zająć nas od tyłu. Albo jedno i drugie! Mogli się nie zjawić albo przysłać jednego człowieka lub stu.

Gdyby doszło do najgorszego i zaatakowali na całego, nie mając ze sobą Justina, walczylibyśmy, jak powiedział Cole. Zdołalibyśmy osłabić ich siły i wziąć nawet zakładników. Przeprowadzić małe śledztwo. Dałabym Riverowi wolną rękę. Nie przejmowałam się już niczym.

Nagle Cole zeszywniał.

– W stronę głównego wejścia zmierzają dwie dziewczyny.

Dziewczyny? Bez Justina?

Czekałam, próbując złapać oddech, każda sekunda przypominała mękę. Potem zza narożnika wyłonił się Szron, ciągnąc za sobą Wren i Poppy.

To chyba żarty. Przepchnęłam się przez krąg zabójców.

– Co tu robicie?

– Jakiś facet do mnie zadzwonił – odparła Wren, biorąc się pod boki. Była bystrą, piękną ciemnoskórą dziewczyną, która uporem biła mnie na głowę. – Powiedział, że powinnam przyjść tu jak najszybciej, bo w przeciwnym razie rozminę się z Justinem.

– I uwierzyłaś mu?

Poppy, rudowłosa dziewczyna o urodzie modelki, rozejrzała się wokół.

– Co się dzieje?

Musieliśmy zabrać stąd te dziewczyny. Nie mogliśmy jednak odesłać ich ot, tak sobie. Istniało ryzyko, że Anima czeka, by je schwytać. I nie powinnismy zwolnić ani jednego żołnierza, by je eskortował. Potrzebowaliśmy każdej pary rąk. Anima wiedziała o tym i liczyła na to, że uda jej się przerzedzić nasze szeregi.

– Zabierz je do biura na tyłach – powiedziałam. – I zamknij.

Obie popatrzyły na mnie szeroko otwartymi oczami.

– To dla waszego bezpieczeństwa.

– Mówię poważnie. Co się dzieje? – powtórzyła Poppy.

– Wkroczyłyście w sam środek wojny. – Przywołałam Jacklyn. – Cokolwiek usłyszycie, nie wolno wam opuszczać tego biura. I jeśli wpadnie tam ktoś, kogo nie znacie, strzelajcie. – Wsunęłam w dłoń Wren rewolwer kalibru .38. Odznaczał się dużą siłą odrzutu w rękę nowicjusza. – Posługiwałaś się kiedyś czymś takim?

– Nie – wyjąkała. – I nie chcę.

Kiepsko.

– Nie ma bezpiecznika, więc jeśli pociągniesz za cyngiel, padnie strzał. Jest jednak samopowtarzalny, co oznacza, że nie wypali, dopóki nie pociągniesz za spust do końca. Nie kieruj lufy na siebie ani na Poppy, rozumiesz?

Jacklyn chwyciła obie dziewczyny za ramiona.

– Chodźcie.

– Broń? Wojna? – krzyknęła Poppy, zapierając się nogami i oddychając chrapliwie. Miała chyba atak paniki. – Jaka wojna?

– Nie mamy na to czasu. – Zbliżyła się Camilla i objęła Poppy zdecydowanym ruchem w pasie, po czym zaczęła ją ciągnąć do holu.

Bum!

Zatrząsał się cały budynek. Podmuch rozpalonego do białości powietrza rzucił mnie na drugi koniec pomieszczenia; poczułam, jak uderza mnie coś twardego.

Pulsując boleśnie każdą cząstką ciała, zdołałam jakoś usiąść. Dzwoniło mi w uszach. Wszędzie wił się dym, niemal mnie dusząc. Zakaszlałam, próbując pojąć to, co widzę. Małe ognie, i to wszędzie. Wyrwana ściana klubu, w całości. Przyjaciele, rozrzuconi bezładnie po parkiecie zasłanym gruzem.

Gavin pełził w stronę Jacklyn, która wydawała się cała i zdrowa, kiedy pomagała wstać Wren i Poppy. Też były całe i zdrowe. Dzięki Bogu!

River i Szron odsuwali kawał tynku z piersi Veroniki.

Camilla próbowała odciągnąć Riverę... w stronę drzwi wejściowych? Opędzał się od niej, zdecydowany pomóc Chance'owi, który trzymał w ramionach nieprzytomną Mackenzie.

Bronx leżał na podłodze, próbując się podnieść.

Cole... Gdzie był Cole?

Obróciłam się błyskawicznie, szukając go rozpaczliwie wzrokiem.

– Cole!

Zasłona dymu przerzedziła się trochę; miałam nadzieję, że zobaczę, jak się przez nią przebija.

Zamiast niego zobaczyłam zombi.

Więcej, niż zdołałabym policzyć. Bez obręczy na szyjach.

– Zombi! – wrzasnęłam i rozszczępiłam się na pół.

Potem dobyłam toporów i przecięłam kręgosłup nie-martwego osobnika, potem drugiego, i następnego, pozostając bezustannie w ruchu. Zombi napierały na mnie ze wszystkich stron. Walczyłam, walczyłam tak zajadle, wymierzając więcej ciosów, niż ich przyjmowałam. Ale je przyjmowałam. Mnóstwo. Zważywszy na to, że i tak już byłam kontuzjowana, każde uderzenie bolało bardziej niż zwykle.

Świsł! Obok mnie przeleciał bełt i zatopił się w oku zombi, który szykował się, by mnie ugryźć.

Cole pojawił się sekundę później, cały pokryty sadzą. Pchnął sterczący koniec strzały, wbijając grot głębiej w mózg potwora. Potem wyciągnął krótki miecz i uciął mu głowę.

– Nic ci nie jest! – zawołałam.

– Tak. Wyrzuciło mnie tylko na zewnątrz.

Od tyłu zbliżyły się do niego dwa stwory. Cisnęłam toporami, trafiając oba między oczy. Zatoczyły się do tyłu, a kiedy upadły, Cole do nich doskoczył i też pozbawił je głów. Mimo to nadal kłapały na nas zębami.

Poczułam, jak w moje włosy zaplątują się palce, szarpiąc mnie w dół. Upadłam, obracając się jednocześnie i kopiąc napastnika. Zachwiał się, a ja wyprostowałam, wykonując ruch ręką i przecinając mu gardło, z którego wyciekła czarna maź.

Rzuciłam się po swoje topory, ale wyciągnęła się błyskawicznie jakaś ręka i przewróciła mnie. Upadłam na twarz, w oczach błysnęły mi gwiazdy. Nim się otrząsnęłam, przygniółł mnie twardy ciężar, pozbawiając tchu w płucach. Ale niemal natychmiast zniknął. Cole postawił mnie jednym szarpnięciem na nogi.

Kopnął zombi, który chciał mnie złapać, potem nadepnął mu na rękę, łamiąc kości. Nie czując bólu, potwór nachylił się i zatopił zęby w bucie Cole'a. Ten dźgnął ostrzem w sam środek czaszki, podniósł ją nadzianą na miecz i cisnął na drugi koniec pomieszczenia.

Wzięłam głęboki oddech – błąd. Rozdzierający kaszel. Załzawione oczy. Wciąż za dużo dymu.

Chcąc odzyskać panowanie nad sobą, poruszyłam ramionami i wyciągnęłam ręce. Jeśli zamierzaliśmy wygrać to starcie, musiałam posłużyć się swoją nową umiejętnością. Miałam dość wiary, by to zrobić, czułam nawet wzbierającą we mnie energię. Mogłam to zrobić. Wiedziałam, że zrobię. Że zombi uniosą się i zamienią w popiół, i taki będzie koniec.

Teraz! Podniosłam ręce... i każdy zombi w pomieszczeniu wystrzelił w górę jak z katapuły.

Ogarnęło mnie poczucie triumfu, dodając jeszcze bardziej sił.

Bronx i Mackenzie leżeli na ziemi, każde wiło się z bólu. Szron rzucił się w ich stronę biegiem, potem osunął na kolana u boku Bronxa. Wzniciwszy ogień w dłoniach, uderzył w piersi przyjaciela. Chłopak drgnął gwałtownie, wyginając plecy w łuk.

Chance przykucnął obok Mackenzie i po chwili wahania zrobił to samo co Szron.

Jakiś ruch dostrzeżony kątem oka. Skierowałam uwagę w tamtą stronę, zobaczyłam dwóch ludzi w kombinezonach wynoszących moje ciało przez gigantyczną wyrwę w ścianie. Wielkie nieba! Na tym od początku polegał plan Animy. Odwrócić naszą uwagę za pomocą zombi i ukraść moje ciało. Dokądkolwiek by się udało, duch by za nim podążył.

– Cole! – krzyknęłam, rzucając się do przodu. Wszystkie zombi pospadały, uderzając o podłogę. Zewsząd dobiegły pojękiwania i pomruki, a ich źródłem były nie tylko stwory.

W jednej chwili znajdowałam się poza swym ciałem, a w następnej znalazłam się tuż obok niego. Jedno dotknięcie i połówki złączyły się na powrót.

Chwyciłam niczego niepodjęrzewających mężczyzn za karki i walnęłam ich głowami o siebie. Puścili mnie i zatoczyli się do tyłu; upadłam.

Jeden z nich ocknął się szybko i ruszył w moją stronę, żeby mnie uderzyć.

Przygotowałam się na cios i jednocześnie wyciągnęłam minikuszę z buta, po czym uniosłam ją między nami. Nim któreś z nas zdążyło zaatakować, znikąd wyłoniła się Poppy i rąbnęła faceta w twarz kawałkiem drewna. Maskę zachlapała mu krew. Pomimo oszołomienia, jakie musiał odczuwać, zdołał się utrzymać na nogach i warknął na nią.

Pociągnęłam za spust, strzelając mu w szyję; belt przebił skafander. Mężczyzna runął do przodu z szeroko otwartymi oczami i przygniółł mnie. Cole doskoczył sekundę później i pomógł mi wstać. Też połączył się ze swoim ciałem, bo mogliśmy się dotykać.

– Dzięki! – zawołałam.

Nie było czasu, by powiedzieć cokolwiek więcej. Z ciemności wyłonili się dwaj kolejni ludzie w skafandrach. Pchnęłam Poppy w stronę Cole'a.

– Zabierz ją do środka.

Gdybym ja to zrobiła, ci w skafandrach rzuciliby się w pogoń; dziewczyna mogłaby oberwać. Ja byłam ich celem. I to ja musiałam walczyć.

Cole posłuchał, znikając w okamgnieniu.

Obaj mężczyźni doskoczyli do mnie. Blokowałam ich ciosy przedramionami. Siła uderzeń bolała; wypuściłam z rąk kuszę. Gdy tylko nadarzyła się okazja, kopnęłam pierwszego w kolano – zawył z bólu i osunął się na ziemię – po czym obróciłam się błyskawicznie i walnęłam drugiego w krtań.

Zwycięstwo. Niezupełnie. Ktoś chwycił mnie od tyłu za włosy i szarpnął. Straciłam równowagę i upadłam. Do diabła! Nim sprawca zdołał uczynić cokolwiek więcej, pojawiła się Camilla...

Nie. To Camilla była sprawcą.

Niespodzianka! Przyłożyła mi w szczękę, potem w brzuch i zawołała:

– Bierzcie ją, nim będzie za późno!

W moją stronę ruszył szybko następny skafander.

Co u diabła...?

Nim zdołałam otrząsnąć się z szoku, wbił mi igłę w szyję. Ukłucie... Skuliłam się, przez moje żyły przepłynęła oziębająca fala. Zajęczałam i zadrzałam, niezdolna do walki, moje mięśnie tężały w bryły lodu, kiedy mnie odciągano.

Camilla przyglądała się temu z uśmiechem satysfakcji.

– Do widzenia.

Zdrada... Kret... Moje myśli rozpadły się na kawałki... Wszystko zanikało, oblekając się w czerń...

– Okay. W porządku. Nie pozwolę, by cię zabrali. – W mojej głowie zaszeptał miękki głos. Głos Helen. – Potrafię coś więcej, niż tylko dawać, Ali. Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że potrafię kraść?

Lód się roztopił, moje myśli znów zbiegły się w jednym punkcie, w pole widzenia powróciły kolory. Kiedy mnie ciągnięto, moja matka przeszła przeze mnie raz, dwa razy... trzy razy... Przenikała moją istotę, tak jak niegdyś Emma, ale dostrzegłam, że jej twarz jest coraz bardziej ściągnięta, wargi coraz bardziej sine... jakby wyciągała ze mnie zimno i wchłaniała je w siebie.

Próbowałam poruszyć palcami. Tak! Sukces! I palcami u stóp. I znowu sukces.

Helen osunęła się wyczerpana na ziemię. Nasze oczy się spotkały i sędzę, że zaczęła się uśmiechać zachęcająco. Może się myliłam; zniknęła.

Rozczarowanie? Tak, czułam je. Wściekłość? To także. I miałam swój cel. Camillę. Musiała za to zapłacić.

Mój prześladowca tragarz oparł mnie o swoje udo, otwierając drzwi furgonetki.

Wykręciłam się, walnęłam go z całej siły w krocze. Kiedy zgiął się gwałtownie w pół, zbyt obolały, by chociażby jęknąć, wyprostowałam się i rąbnęłam go łokciem w potylicę. Runął twarzą na ziemię. Kiedy próbowałam umknąć do klubu, chwycił mnie za kostkę nogi i przewrócił. Teraz to ja runęłam. Znalazł się na mnie w mgnieniu oka i zacisnął dłonie na szyi tak mocno, że wiedziałam jedno – będę miała sińce na skórze przez wiele dni.

Zamiast uwolnić się od jego palców, sięgnęłam za siebie, przesunęłam dłońmi po jego pasie i wymacałam rękojeść sztyletu. Wszystko, czego potrzebowałam. Wyciągnęłam ostrze z pochwy i dźgnęłam go w udo.

Puścił mnie, wijąc się na ziemi.

Nagle odzyskałam oddech. Wstałam. Nie ruszył za mną.

Pognałam z bijącym szaleńczo sercem z powrotem do zdewastowanego klubu.

Camilla pomagała bratu poskromić trio zombi, jakby nie próbowała przed chwilą podpisać mojego wyroku śmierci.

Poczułam, jak potęguje się we mnie wściekłość. Dobyłam z siebie następny strumień energii i uniosłam ręce, a zombi wystrzeliły w powietrze. Camilla zbladła, potem powiodła spojrzeniem po wnętrzu klubu, aż w końcu zatrzymała wzrok na mojej postaci.

Ruszyłam w jej stronę. Zombi nad moją głową eksplodowały, gdy przechodziłam pod nimi. Popiół spadał niczym deszcz. A potem wszystkie ciała zniknęły, bitwa dobiegła końca.

Ale nie wojna.

– Ty. – Wytrąciłam jej kopniakiem broń z dłoni. Pieprzyć rozsądek! Potem rąbnęłam ją stopą w pierś. Zatoczyła się do tyłu.

– Co ty wyprawiasz?! – warknął River, zasłaniając sobą siostrę. Podniósł pięść, jakby zamierzał mnie uderzyć. – Przestań.

Cole stanął przede mną.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu.

– Jest zdrajczynią! – wyrzuciłam z siebie. – Wydała mnie Animie.

Pokręciła zdecydowanie głową.

– Nie, mylisz się. Byłaś otumaniona jakimś środkiem, nie wiedziałaś, co się wokół ciebie dzieje.

– Skąd wiesz, że byłaś otumaniona, co? Jeśli nie byłaś tam ze mną?

Zbladła.

– Widziałam, jak jeden z ludzi w skafandrze robi ci zastrzyk.

– Jeden z ludzi, któremu kazałaś przyjść i mnie zabrać! – krzyknęłam. – To dzięki tobie zombi dotarły do posesji pana Ankha niezauważone. To dzięki tobie znaleźliśmy w tamtym laboratorium tylko bezużyteczny chłam. To dzięki tobie tamten morderca się uwolnił. – Nagle uderzyła mnie mroczna myśl. – To dzięki tobie moja broń się zacięła.

Kręciła teraz głową energiczniej.

Twarz Rivera zdradzała szok, nawet furję.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Bell. Moja siostra nie jest zdrajczynią. Mylisz się. Tak jak powiedziała.

– Nie myślę się! – wrzasnęłam. Zalała mnie fala koszmarnego zmęczenia, ale zdołałam ją powstrzymać. Dobycie energii po raz drugi było błędem, ale nie mogłam tego żałować.

– Nie wyglądasz nawet na kogoś, kogo naszprycowano – zauważył River.

– To bez znaczenia – powiedział Cole. – Było dokładnie tak, jak mówi Ali.

– Nie widziałeś – upierał się przy swoim River.

– Nie musiałem. Wierzę w to, co mówi. Koniec dyskusji.

Niespełna minutę później obecni w klubie podzielili się na dwa obozy. Ich i nasz. River, Camilla i Chance stanęli po jednej stronie. Moi przyjaciele i ja po drugiej. To świadectwo poparcia niemal mnie przytłoczyło, bo nie zawsze mogłam na nie liczyć.

– Tu wszystko się kończy – oznajmił Cole. – Od tej chwili nasza współpraca nie istnieje. Nie chcemy od was żadnych informacji i żadnych wam nie przekazujemy.

River zacisnął pięści.

– Jesteś nierozsądny. Twoja dziewczyna rzuca oskarżenia i nagle wszystko ma być jasne? Nie zastanawiałeś się ani przez chwilę, że może panna Bell próbuje odsunąć moją siostrę? Odsunąć od ciebie?

Wskazałam Camillę, mój palec drżał.

– Robisz głupca ze swojego brata i obie o tym wiemy. Kochaj go przynajmniej dostatecznie mocno, żeby okazać mu szczerłość.

Na jej twarzy pojawiły się ból i żal. Niezdecydowanie.

Ale to wystarczyło. River spojrzał na nią raz, potem drugi. Pokręcił głową.

– Nie, to nieprawda. Powiedz mi, że to nieprawda.

Jej opór skruszał.

– Zrobiłam to dla ciebie. Pamiętasz, jak rok temu nas przyciskali, a ty stałeś się głównym celem? Chcieli cię zabić i prawie im się udało. Więc poszłam do nich. Powiedziałam, że będę im przekazywała informacje w zamian za twoje życie. Zgodzili się. I dotrzyмали obietnicy, Riv. – Na jej twarzy malowała się głęboka nadzieja, jakby go błagała, by potwierdził, że podjęła słuszną decyzję. – Nie odniosłeś przez cały ten czas nawet najmniejszej rany.

– Nie. Nie! – River zatoczył się do tyłu, jakby uderzony z całej siły. – To niemożliwe.

Znasz nasze zasady. Wiesz, jak kończą zdrajcy.

Jak?

Camilla złapała go za koszulę.

– Zrobiłam to dla ciebie – powtórzyła. – Dla nas. Nie mam nikogo innego.

– A nasi przyjaciele? – wyrzucił z siebie. – Dzieciaki, których musimy strzec i które są od nas zależne? Jeśli pomagasz Animie, to narażasz je na niebezpieczeństwo.

– Ale oznacza to bezpieczeństwo dla ciebie – odparła piskliwie. – Dlaczego nie możesz tego zrozumieć?

River przesunął dłonią po twarzy. Jego ciemne oczy były szkliste, oddech wytężony.

– Wiedziałaś, co się ma dzisiaj stać?

Przełknęła, oblizując wargi.

– Nie... do końca.

Roześmiał się ponuro.

– I zamiast nas ostrzec, pomóc zorganizować kontratak, wprowadziłaś nas prosto do rzeźni.

– Chodziło im tylko o nią. Gdyby ją zabrali, ataki by ustały.

Znowu pokręcił głową.

– Ali ma rację. Zrobiłaś ze mnie głupca. Ale i oni zrobili głupca z ciebie. Teraz za to zapłacisz. – Wyjął SIG-a i skierował lufę w jej pierś.

Zewsząd dobiegły westchnienia pełne grozy.

Camilla otworzyła usta.

– Riv, nie mówisz poważnie. Nie chcesz mnie chyba zabić. Jestem twoją siostrą.

Cofnęła się, ale Chance stanął jej na drodze i unieruchomił. Właściwie chwycił ją za ramiona i przytrzymał, czyniąc z niej idealną tarczę strzelecką.

Zamierzali ją zabić. Skuteczne, ale niepotrzebne. Pomimo gniewu, jaki odczuwałam, nie chciałam brać jej śmierci na swoje sumienie.

I, pomimo wszystkiego, nie chciałam też tego River. Nie mógł widzieć tego teraz, ale byłam pewna, że pewnego dnia będzie inaczej.

– Zaczekajcie – powiedziałam. – Mogę usunąć jej wspomnienia.

Stałam się nagle centrum zainteresowania.

Ignorując wszystkich z wyjątkiem Rivera, oznajmiłam:

– Mogę. Tak jak zrobiłam to z doktorem. Nie będzie pamiętała, kim jest ani kim wy jesteście, ale nie będzie też pamiętała Animy.

Rozgorzał płomień nadziei, potem gniewu. Domyślałam się, że River rozważa za

i przeciw obu rozwiązaniom. Śmierć kontra zapomnienie.

W końcu skinął głową.

– Zrób to.

– Co? – wyrzuciła z siebie panicznie Camilla. Zaczęła się szarpać, kiedy się do niej zbliżyłam, i może zdołałaby uciec, gdyby Chance nie założył jej na szyję nelsona. Nie na tyle mocnego, by straciła przytomność, ale wystarczająco, by ją unieruchomić. – Riv, nie możesz jej na to pozwolić. Proszę!

Złączyłam kolana. Przysunęłam dłonie do jej skroni, moja pierś pulsowała. Dzisiejsza lekcja życia? Jedna błędna decyzja może oznaczać konsekwencje ponoszone do śmierci.

– Nie musiało tak być – powiedziałam i zamknęłam oczy.

NA ZAWSZE TO POJEDYNCZA SEKUNDA

Reszta nocy upłynęła w oszołomieniu, ja zaś odzyskiwałam świadomość tylko w istotnych momentach – i tylko dlatego, że Cole dzielił ze mną swój ogień, lecząc moje rany, wzmacniając mnie.

Odcisnęło się to na nim; wchłaniał moją słabość. Czułam ogromną wdzięczność. Dozgonną.

Odwieźliśmy Wren i Poppy do domu. Były trochę pokiereszowane i posiniaczone, ale poza tym całe i zdrowe; trajkotały bezustannie o tym, jak to wszyscy nagle zastygliśmy w miejscu.

Nie widziały zombi ani naszych duchów i gdy Cole próbował to wyjaśnić, obie nie chciały przyjąć tego do wiadomości. Za dużo jak na jeden raz.

Wiedziałam, że nazajutrz, kiedy już odpoczną, zaczną sobie wmawiać, że jesteśmy szaleni, albo zaakceptują prawdę. Nie było innej możliwości.

Przygnębiony River i na pierwszy rzut oka nieporuszony Chance wrócili do siebie razem z Camillą. Wymazanie wspomnień okazało się skuteczne i teraz dziewczyna przypominała czystą, niezapisaną kartkę. Tak naprawdę było to smutne. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by ratować brata, ale ponieważ starała się dokonać tego w niewłaściwy sposób, i tak go straciła.

W drodze do rezydencji Cole dostał od swojego taty wiadomość z możliwą lokalizacją Justina.

Choć byliśmy zmęczeni i obszarpani, na dobrą sprawę potłuczeni na miazgę, zmieniliśmy kierunek i ruszyliśmy tak szybko, że przekroczyliśmy chyba barierę dźwięku. Zmówiłam szybką modlitwę w intencji naszego bezpieczeństwa.

Gdy wypowiedziałam słowo „amen”, za naszym samochodem błysnęły czerwono-niebieskie światła.

Cole, spięty, zjechał na pobocze i zatrzymał się. Słońce właśnie wschodziło, rzucając przytłumione promienie złota, ja zaś w ogóle się nie zdziwiłam, widząc w blasku porannego światła detektyw Verrę, kiedy zbliżała się do naszego wozu od strony kierowcy.

– Dokąd się tak spieszycie? – spytała.

– Niewykluczone, że znaleźliśmy Justina – wyznał Cole i przez chwilę byłam zszokowana.

Ale czy istniał tak naprawdę lepszy sposób, by wyrwać chłopca z łap Animy niż w policyjnej eskorcie?

Verra zadała jeszcze tylko jedno pytanie.

– Gdzie?

Gdy tylko Cole jej wyjaśnił, oznajmiła:

– No cóż, w porządku. Jedź za mną. Po drodze wezwę wsparcie.

Wróciła do swojego sedana i wciąż z włączonymi światłami alarmowymi wyprzedziła nas. Jechaliśmy za nią aż pod budynek.

Tyle że został już opróżniony.

Papiery i próbówki paliły się w piecu na odpadki, a klatki były pootwierane i puste.

– Nie wiem dokładnie, w co się bawicie – wyznała detektyw Verra, przesuując

opuszkami palców po warsztacie zasłanym resztkami. – Ale mogę wam powiedzieć, że obserwowałam was i widziałam rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić. Rzeczy, których nie chcę wyjaśnić. Więc bierzcie to, co jest wam potrzebne, i wracajcie do domu.

Co widziała?

Czy była po części zabójczynią?

Czułam się zbyt zmęczona, by się tym przejmować.

Wzięliśmy tyle papierów, ile zdołaliśmy, i ruszyliśmy w stronę domu. Pan Ankh wciąż był na nogach i zestresowany maksymalnie. System bezpieczeństwa spędzał mu sen z powiek i choć podejrzewał, że to sprawka Animy, nie potrafił się zorientować, jak ci ludzie robią to, co robią. Do zmroku próbował to rozgryźć, a potem przeniósł nas wszystkich do nowych kryjówek.

Kat zbiegła po schodach i rzuciła się Szronowi w ramiona.

Reeve nie pozostała daleko w tyle i zrobiła to samo z Bronxem.

Juliana też pospieszyła i podbiegła do Cole'a, by zatrzymać się wpół kroku i popatrzeć na mnie ze złością.

Zastanawiałam się dlaczego...

Krzyknęłam, gdy Cole porwał mnie w objęcia.

– Spokojnie, Ali-gatorze.

Wsparłam mu głowę na ramieniu.

Veronica chwyciła siostrę za rękę i odciągnęła ją, podczas gdy Cole zaniósł mnie po schodach do mojego pokoju i posadził na łóżku.

– Jesteś dostatecznie przytomna, żeby spróbować wizji? – spytał.

Nie, ale to mnie nie mogło powstrzymać.

– Zróbmy to.

– Jak mamy zacząć?

– Ostatnim razem pomyśleliśmy o tym, żeby mieć wizję, i popatrzyliśmy na siebie.

– Dość łatwe. – Spojrzał mi głęboko w oczy.

Ja spojrzałam w jego, zatracając się w ich fiolecie. Upłynęło kilka minut.

Uśmiechnął się.

– Nie działa.

– Co chcemy zobaczyć?

– Siebie nawzajem nagich?

Z pewnością.

– Oprócz tego.

– A co powiesz na naszą następną bitwę z Animą?

– Doskonale. Pomyślmy o tym i o niczym więcej.

Skinął głową i znów spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. Upłynęła chwila... i nic się nie stało. Jednak nim rozczarowanie zdążyło zapuścić korzenie, świat zaczął przygasać.

Działo...

...a potem byliśmy w lesie. Cole klęczał cały we krwi. Przeszłam obok niego, moje spojrzenie było nieobecne. W powietrzu unosił się gęsty dym. Tak gęsty, że się dławiłam. Słyszałam za plecami szloch. Męski szloch. Coś, co nieczęsto się zdarzało. Tylko wtedy, gdy wielki samiec alfa stracił coś cennego.

Ten dźwięk kazał mi przyspieszyć kroku; zostawiałam Cole'a coraz dalej za sobą.

Wszędzie wokół mnie szalał ogień. Popioły, białe i czarne, mieszały się ze sobą, krążąc w powietrzu, tańcząc w świetle płomieni. W drzewach tkwiły rozbite samochody. Dziwne. Ziemia była zasłana ludzkimi ciałami, pozbawionymi życia, ich skórę pokrywały bąble zombicznej toksyny. Smutne.

Ale ja szłam dalej, nieporuszona tym wszystkim.

A jednak, w terażniejszości, scena przygasła... przygasła... aż las zniknął, a ja byłam z powrotem w sypialni.

Dlaczego to przygasło?

Musiałam wymówić to pytanie głośno, ponieważ Cole powiedział:

– Chodzi być może o punkt zwrotny. O chwilę, kiedy będziesz musiała podjąć decyzję.

– A więc przyszłość nie jest jeszcze ustalona. – A co z jej resztą?

– Dobra wiadomość jest taka, że w końcu zyskaliśmy kontrolę nad wizjami. Możemy decydować kiedy i gdzie.

– Zła jest taka, że ta wizja mówi o tym, co stanie się w następnej kolejności – powiedziałam, broniąc się przed naporem strachu. – Jak do tego dojdziemy?

– Nie wiem.

Czy mogliśmy wykorzystać wizje, by się dowiedzieć?

– Pomyśl o tym, jak dotarliśmy do tego punktu. – Ziewnęłam, ujmując go za kark, wpatrując się w niego intensywnie, ale dostrzegłam tylko mignięcie twarzy Juliany, co było dla mnie niezrozumiałe.

Chyba że nie stanowiła elementu wizji, a ja po prostu zapamiętałam jej postać, która pojawiła się, nim ruszyliśmy do pokoju.

Albo zniknęła, bo sama musiała podjąć decyzję?

– Cokolwiek się stanie, poradzimy sobie – oznajmił. – Tak jak dotąd sobie radziliśmy.

– Skąd ta pewność?

– Odzyskałem cię. Potrafię poradzić sobie ze wszystkim. A teraz się prześpij. –

Szturchnął mnie delikatnie. Nie zamierzałam się opierać.

– A ty? – spytałam, łamiąc sobie niemal szczękę, kiedy ponownie ziewnęłam. Oczy mi się już zamykały.

– Pomogę Ankhowi, potem przyjdę do ciebie.

– Poprzytulamy się – powiedziałam, jak mi się wydaje.

Roześmiał się ciepło.

– Niczego innego nie pragnę bardziej.

Ja pragnęłam. Powiedziałam to. Choć byłabym zażenowana, gdybym odznaczała się większą przytomnością, odpłynęłam w głęboki sen z pełnym wyczekiwania uśmiechem.

*

Unosząc się gdzieś między jawą i snem, mój umysł skupił się wyłącznie na dzienniku mojego pradziadka. Spisywał go w czasie przeszłym z wyjątkiem fragmentów dotyczących „jej”, która miała umrzeć w imię dobra wielu innych. Zatem dziewczyna, co oczywiste, zjawiała się po nim.

Ale przedstawiał to tak, jakby miała zjawić się natychmiast. Jeśli tak, to nie byłam nią. Ona już żyła i zmarła.

Nie mogło być to prawdą, ponieważ dobro wielu nie zostało jeszcze osiągnięte.

A może?

Czy był jakiś element układanki, którego jeszcze nie dostrzegłam?

Coś twardego i ciepłego usadowiło mi się na ramieniu, potrząsając mną. Obudziłam się, wymachując pięściami.

Ten ktoś odskoczył, ledwie unikając mojego ciosu i podbitego oka.

– Hej! – zawołała, marszcząc czoło i prostując się gwałtownie.

– Juliana? – Przetarłam oczy i poczułam, jak oplata mnie nić niepokoju. – Co ty tu robisz?

– Pojawił się problem – odparła i naprawdę wydawała się zatroskana. – Cole chce, żebyś wyszła na dwór.

Cole? Sprawdziłam łóżko. Nie zauważyłam najmniejszego wgłębienia, które by dowodziło, że do mnie wrócił.

– Jaki problem?

Zmrużyła oczy, które zamieniły się w wąskie szparki.

– A myślisz, że by mi powiedział? Jestem dzieciakiem, pamiętasz?

Słuszna uwaga. Czy miało to coś wspólnego z naszą ostatnią wizją?

Juliana odsunęła się ode mnie.

– Miałam przekazać wiadomość i zrobiłam to. Cole chce, żebyś spotkała się z nim na zewnątrz, i to jak najszybciej. No, mówił tak pięć minut temu. Ale śmiało, nie spiesz się. Może w końcu zmądrzeje i skopie ci twój chudy tyłek. – Wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Szczeniara.

– Jesteś słodka jak miód. Nikt ci tego nigdy nie powiedział? – wymamrotałam i gdy spuszczałam stopy na podłogę, zadzwoniła moja komórka. Jeśli Cole sądził, że może mnie przynaglać...

Odebrałam i warknęłam:

– Co jest?

– Wyprowadź wszystkich z domu! – usłyszałam podniesiony głos Rivera. – Natychmiast! Nie trać czasu na wątpliwości. Po co miałbym kłamać? Po prostu wyprowadź wszystkich. Przejrzałam papiery Camilli. Oni zainstalowali bomby, Ali. Mają wybuchnąć dzisiaj. Już do was jadę. Pomożemy wam je znaleźć i rozbroić. Okay? W porządku? Zaufaj mi w tym wypadku. Proszę.

Bomby? Serce mi przyspieszyło. Dlatego Cole chciał, żebym wyszła na zewnątrz?

Nie. Niemożliwe. Nigdy nie posłałby Juliany do domu.

Popędziłam do okna. Słońce stało wysoko i świeciło jasno. Widziałam wyraźnie ogromny dziedziniec, ale nigdzie nie dostrzegłam śladu Cole'a.

– Słyszysz mnie, Ali? – zawołał River.

– Tak. Pytałeś, po co miałbyś kłamać. No cóż, na zewnątrz mogliby czekać ludzie z Animy, gotowi nas schwytać.

Naprawdę sądziłam, że mógłby zrobić coś takiego? Że pomagał Animie jak jego siostra?

Nie, chyba nie.

– Ali... – powiedział, a w jego głosie dosłyszałam udrękę.

– Okay, ja... – słowa zamarły mi w krtani.

Helen wyszła właśnie z domu, a z zarośli wyłonili się dwaj ludzie w kombinezonach, chcąc ją najwyraźniej schwytać, nie uświadamiając sobie, że jest duchem, nie istotą cielesną.

Jeśli mogli ją widzieć, to byli zabójcami, a ona zrzuciła swoją zasłonę. Ale dlaczego miałyby to zrobić?

Walnęłam ręką w szybę, ale oczywiście nikt nie popatrzył w moją stronę. Odwróciłam się i popędziłam do drzwi.

– Co jest? – spytała Reeve.

Bum! Cały dom zadrżał w posadach. Spadał tynk. Powietrze wypełniły kurz i dym; zakrztusiłam się, wychodząc na korytarz.

Bum!

Bum!

Wielkie nieba. Bomby!

– Ali! – zawołał River.

– To już się dzieje.

Próbując nie panikować, dotarłam niepewnym krokiem do schodów i popatrzyłam w dół. Przez ściany przenikały niezliczone zombi, wkraczając do rezydencji. W jakiś sposób zdołały przekroczyć Linie Krwi.

Albo Camilla je usunęła, nim wyruszyliśmy do klubu.

Zaschło mi w gardle. Zombi nosiły obręcze na szyjach, jak zwykle, ale dzisiaj każdy miał przytroczony niewielki pakunek z materiałami wybuchowymi.

Boże, ocal mnie. Działania ludzi Animy podejmowane w ostatnich tygodniach nabrały sensu. Powód, dla którego za pierwszym razem wysłali zombi w blasku dnia – to był test, chcieli sprawdzić, jak długo te istoty zniosą promienie słoneczne. Nas też testowali, pragnąc się przekonać, jak zareagujemy. Potem zaczęli, aż będziemy zmęczeni, i zastawili na nas pułapkę.

Zostaliśmy przechytrzeni.

Bum!

Dom znowu zadrżał od impetu eksplozji.

Albo Anima przestała się przejmować tym, by utrzymać mnie przy życiu, postanawiając wyeliminować nas wszystkich, albo... – o nie! Tylko nie albo. Błagam, tylko nie to – ...albo Juliana pracowała dla nich. Próbowwała wywabić mnie na zewnątrz, żeby ci w kombinezonach mogli mnie wywieźć w bezpieczne miejsce, podczas gdy moi przyjaciele ginęliby tutaj. Helen zauważyła ich pewnie i poszła sprawdzić, jak się mają rzeczy, i mnie ostrzec.

Rzuciłam telefon i pobiegłam korytarzem, wołając:

– Cole! Kat!

Dym gęstniał, kaszlałam coraz bardziej. Musiałam ich stąd wyciągnąć. Natychmiast.

Krzyki bólu, jęki cierpienia. Kiedy próbowałam zejść po schodach, podłoga pod moimi stopami po prostu się zapadła. Zamachałam rozpaczliwie rękami, lecąc w dół... w dół... w dół...

Lądując, straciłam resztki tchu. Mój mózg oplotła mroczna pajęczyna; ból przeszył mnie od głowy po czubki palców.

Choć odznaczałam się licznymi umiejętnościami, w tej chwili byłam bezradna.

Nie! Nigdy bezradna.

– Cole! Kat! – Piekły mnie załzawione oczy. Wokół kurz i gruzy, które pętały moje ruchy, kawałki, które nakłuwały różne części mojego ciała. Krwawiące części. Gdzie oni byli? – Cole! Kat! – Panika napierała bezlitośnie... – Odezwijcie się! Błagam!

Jakiś ruch po lewej stronie. Próbowalam się uwolnić, wołając:

– Tutaj!

Dostrzegłam obrócone w moją stronę czerwone oczy i zastygłam. Zombi. Wygrzebywał się spod gruzów, starając się do mnie dotrzeć, kłapiąc zębami. Szarpałam się z całej siły i uwolniłam w końcu, po czym zatoczyłam do tyłu. Nagle skuliłam się, słysząc jakiś wysoki dźwięk. Ból... Więcej bólu... Skurczyłam się w sobie, zakrywając uszy dłońmi.

Bum!

Flaki i potrzaskane kości zamieniły się w szrapnele, uderzając mnie, tnąc mnie.

Zombi właśnie eksplodował.

Przynajmniej ten dźwięk zamarł. Stałam na drżących, niepewnych nogach.

– Cole? Gdzie jesteś?!

Zatoczyłam się. Szok trzymał mnie w swych stalowych objęciach, niemal odcinając dopływ powietrza. Wszędzie zniszczenie...

– Kat! Błagam, odezwij się do mnie!

Nie potrafiłam odróżnić mebli od tynku albo pokoju od pokoju. Były tylko gruzy, gruzy i...

Ręka!

Serce zastukało mi o żebra. Osunęłam się na kolana i zaczęłam dźwigać głazy różnej wielkości, każdy cięższy od poprzedniego. Proszę, bądź żywy, proszę, proszę, bądź żywy. Wreszcie pokazały się jasne włosy. Twarz, którą kochałam.

Gavin! Oczy miał spuchnięte i zamknięte, usta rozwierały się w jęku. Żył!

Jego żalorny stan wzbudził mój gniew; poczułam przypływ siły. Wiedziałam, że Anima za to zapłaci.

Zostawiłam swoje ciało i zapłonęłam. Byłam ranna, więc udało mi się skrzesać tylko maleńkie iskierki płomienia. Mimo wszystko wystarczyły. Przysunęłam je do policzka Gavina, a jego jęk przeszedł w ryk. Po kilku sekundach opuchlizna zeszła mu z oczu, dzięki czemu mógł zamrunąć i wyostrzyć wzrok.

– Co się stało? – spytał.

– Są tu zombi naszpikowane ładunkami wybuchowymi. – Moje połówki złączyły się.

Pomogłam mu wstać.

– Inni zabójcy?

– Jesteś pierwszym, jakiego znalazłam.

Moją uwagę przyciągnęło słabe wołanie o pomoc.

Ruszyłam w tamtą stronę, potykając się o gruzowisko, zbliżając do źródła głosu.

– Kat, Kat, to ty?

Bum!

Bum!

Znów wstrząs.

Znów kurz.

Ile eksplozji miałam jeszcze znieść, nim odnalazłabym przyjaciół?

Bum!

Podmuch roztopionego powietrza rzucił mnie do tyłu. Wylądowałam na ziemi, tracąc resztki oddechu, który udało mi się odzyskać. Gavin i River przybiegli do mnie i pomogli się podnieść.

Nie, to się nie działo naprawdę. Nie mogło się dziać.

– Nic ci nie jest? – spytał River.

Nie bardzo.

– Dotarłeś tu – powiedziałam.

– Z pięcioma najlepszymi ludźmi – odparł. – Zjawilibyśmy się w większej liczbie, ale nie wiedziałem, komu mogę zaufać. Odnaleźliśmy już Reeve. Chance prowadzi ją do naszej furgonetki. Chodź, zabiorę cię tam.

– Zapomnij o tym. Zostaję. Szukam. – Chronię. – Tak przy okazji, na podwórzu było dwóch facetów z Animy. Zombi to nie jest nasz jedyny problem.

– Kapuję.

Wbiłam paznokcie w dłonie i uświadomiłam sobie, że zaciskam pięści.

– Widziałeś Cole'a albo Kat?

– Nie. Przykro mi.

Okay. Okay. Szkoda marnować czasu.

– Pomóż nam szukać.

River ruszył przed siebie, Gavin i ja powlekliśmy się za nim, nasłuchując krzyków – tyle że wszystkie ucichły.

– Kat! Kat, gdzie jesteś... – W naszą stronę zmierzał zombi. – Nadchodzi! – wrzasnęłam, ciągnąc chłopaków na ziemię.

Bum!

Gdy tylko drzenie ustało, zaczęliśmy przetrząsać gruzowisko. Za dużo pyłu. Trudno oddychać. Trudno cokolwiek dostrzec, ale wypatrzyłam jakiś ruch, rozsypane ciemne włosy... Mackenzie, jak sobie uświadomiłam; stanęło mi serce, gdy wygrzebała się spod zwałów betonu i osunęła na ziemię.

Przyspieszyłam kroku, ale chłopcy byli szybsi ode mnie.

Gavin sprawdził jej puls, potem wziął ją na ręce. Głowa dziewczyny opadła na pierś.

– Żyje.

Jak długo jeszcze? Była skrwawiona, już czarno-sina.

– Zanieś ją do furgonetki Rivera – poleciłam. – I ulecz swoim ogniem. Ja poszukam pozostałych.

Nie zamierzałam rezygnować, dopóki nie odnalazłabym wszystkich.

Rozdzieliliśmy się.

– Cole! Kat! – Ruszyłam w stronę gabinetu pana Ankha. Dym rozstępował się pod wpływem mojego ruchu...

I w końcu, o niebiosy, zobaczyłam Cole'a!

Trzymał w ramionach bełkoczącą Julianę, obok szła, kulejąc, Veronica.

– Ali!

Moja ulga była tak ogromna, że niemal ugięły się podę mną kolana.

– Tak mi... przykro – powiedziała Juliana. – Mi... Milla powiedziała, że zabiorą Ali.

Tylko Ali. Potrzebowała jedynie czasu, żeby pokazać Cole'owi, że mo... może żyć bez niej.

Sens jej słów dotarł do mnie; wzdrygnęłam się. Domyślałam się już wcześniej prawdy, ale jej potwierdzenie bolało jak ukąszenie. Pomogła Camilli... Razem pomogły Animie dokonać tego. Pozbyć się mnie. Naprawdę byłam taka zła?

– Co zrobiłaś? – Cole omal ją puścił.

Zacisnęła mocno powieki, nie mogąc dłużej na niego patrzeć, po jej policzkach ciekły łzy.

Już otworzył usta, żeby się na nią wydrzeć.

– Daj spokój – powiedziałam. Później mielibyśmy na to dość czasu. – Znajdźmy Kat i pozostałych. Trzymajcie się z dala od zombi. Ekspłodują.

Szron musiał usłyszeć nasze głosy. Wyłonił się zza narożnika. Przesunął dzikim spojrzeniem po naszych twarzach, rozpoznając nas po kolei.

– Widzieliście Kat?

– Nie. – Panie, dopomóż nam. Ona, ze wszystkich, była najsłabsza, najbardziej krucha.

Zawołałam: – Kat!

Bum!

Kiedy ziemia się zatrzęsła, Cole pchnął Julianę w ramiona Veroniki.

– Zabierz ją stąd. Natychmiast. Nie mogę na nią patrzeć.

Juliana zaszlochała. Veronica skinęła nieznacznie głową.

– Na końcu podjazdu stoi furgonetka – powiedział River. – Siedzą w niej już Gavin i Mackenzie.

– Reeve? – Dobiegł zza moich pleców rozgorączkowany głos.

Obróciłam się na pięcie. W naszą stronę biegł Bronx, twarz miał umazaną krwią i sadzą.

Wskazałam drzwi wejściowe albo to, co z nich zostało.

– Znaleźli ją chłopcy Rivera. I zanim zdążysz cokolwiek zrobić, wiedz, że są po naszej stronie i chcą nam pomóc. Na końcu podjazdu stoi samochód. Reeve tam jest.

Bronx nie zadawał zbędnych pytań.

Unikając zombi i ładunków wybuchowych, Cole i Szron pomogli mi rozgrzebywać

pobojowisko. Nie wiem, ile upłynęło czasu, gdy z dali dobiegł dźwięk syren.

Bum!

Robiłam dalej swoje, czując na policzkach gorące łzy. Oprócz Kat brakowało nam Jacklyn i pana Ankha. Wmawiałam sobie, że nic im się nie stało. Że nie mogło się stać.

Ale jakie istniało prawdopodobieństwo, że wszyscy przeżyjemy taką masakrę?

Nie byłam najlepsza z matematyki, ale nawet ja znałam odpowiedź na to pytanie.

NIECH NIKT NIE ZWLEKA, GDY WAŻNA RANDKA GO CZEKA!

Anima musiała coś zrobić, by odwrócić uwagę władz od domu, ponieważ pomimo syren, które słyszeliśmy, do pomocy zjawił się tylko River ze swoim chłopcami. Byliśmy zdani na własne siły, z każdą chwilą coraz bardziej zrozpaczeni.

Furgonetka, nasz najszybszy środek ucieczki, została właśnie wysadzona w powietrze. Dzięki Bogu, że wszyscy zdążyli ją opuścić na czas.

– Dokonywałem wcześniej selekcji rannych. – River skinął na Bronxa i Veronicę, by położyli swe podopieczne na płaskim kawałku terenu. – Utrzymujcie zombi z daleka, a ja zajmę się dziewczynami.

Bronx i Veronica, wraz z dwoma ludźmi Rivera, utworzyli wokół niego ochronny krąg. Pozostali kontynuowali przeszukiwanie ruin – kopaliśmy, walczyliśmy, umykaliśmy przed zombi, znowu kopaliśmy. Zmuszałam się do coraz większego wysiłku, wołając imię Kat aż do ochrypięcia. Z upływem pierwszej godziny drżałam tak gwałtownie, że wyglądałam prawdopodobnie na kogoś, kto zaraz dostanie ataku nerwowego.

– Ali, idź tam i niech River cię zbada – nakazał Cole.

– Nie! – Odrzuciłam na bok kawał betonu. Musiałam znaleźć Kat.

– Musisz odpocząć. Jeśli będziesz tak dalej harować, to padniesz z nóg. Jesteś nam potrzebna.

– Nie zemdleję. – Mój wzrok przyciągnęło coś wystającego ze stosu kamieni. Zaczęłam kopać głębiej, zobaczyłam... rękę pana Anka! – Pomóżcie mi go wyciągnąć.

Wszyscy skupili się przy mnie. Wspólnymi siłami zdołaliśmy usunąć gruz. Oczy miał otwarte i...

Spoglądały wprost przed siebie, jak sobie uświadomiłam. W przestrzeń. Moje podniecenie przygasło. Jego usta rozwierały się w bolesnym oddechu, który nigdy nie wydostał się na zewnątrz. Klatka piersiowa była zmiażdżona i nienaturalnie płaska.

Nie żył już, my zaś nie mogliśmy zrobić nic, by go ocalić.

Poczułam się tak, jakby ktoś pociął mnie brzytwą. Reeve straciła właśnie wszystko. Ojca, jedynego bliskiego człowieka. Dom i schronienie. Cały majątek.

Nie. Nie wszystko. Wciąż miała Bronxa. Wiedziałam jednak, jaki ból będzie odczuwać. Jak strasznie będzie cierpieć. Jak będzie się obwiniać i nienawidzić, przeżywać wciąż na nowo to, co się wydarzyło.

Nie możesz się załamać. Nie teraz.

Kat wciąż mnie potrzebowała.

Odrzucałam za siebie drewno, kawały tynku i szkło, krzycząc:

– Kat! Kat! Jesteśmy tu. Nie odejdziesz bez ciebie. Trzymaj się. Spróbuj.

Trach, trach, trach.

– Strzały – zawołał River, przykładając jakąś szmatkę do rany Juliany. – Anima przysłała swoje oddziały. Jesteśmy załatwieni, jeśli tu zostaniemy.

Nie obchodziło mnie to.

Trach, trach, trach.

– Broń? – rzucił Cole.

Gdy każdy z zabójców mówił mu, jakim orężem dysponuje, moją uwagę zwrócił cichy jęk.

– Zostanę na miejscu, żeby... – zaczął Szron.

– Zamknij się! – wrzasnęłam piskliwie. Nieruchoma niczym posąg, nasłuchiwałam. Znowu strzały. Syk płomieni. Trzask pękającego drewna. Nie zwracałam uwagi na hałas, koncentrując się. Potem...

Znowu jęk, cichy, lecz wyraźny.

Pobiegłam tam, skąd dochodził, i zaczęłam odrzucać kawałki drewna i szkło, nie zważając na ostre ukłucia w dłoniach. I wtedy ją ujrzałam. Moją słodką, słodką Kat.

Miała złamany obojczyk, jego czubek przebijał skórę. Na miednicy widniała paskudna rana, a jedna noga skręcona była w niewłaściwą stronę. Miała jednak otwarte oczy i w przeciwieństwie do pana Ankha wzrok przytomny. Żyła! Zalała mnie niepowstrzymana fala szczęścia i ulgi.

Obejmowała nieprzytomną Jacklyn, jakby stanowiła pierwszą linię obrony. Nawet teraz. Uśmiechnęła się słabo, z kącików ust wypływała krew.

– Jest tutaj! – krzyknęłam.

– W końcu – wyszeptała. – Musiałam... zjawić się... na imprezie... ostatnia. Wejście z przytupem... moja specjalność.

– Cicho, cicho, kociaku. – Szron odsunął mnie i ukląkł przy niej. – Oszczędzaj siły.

Stałam czym prędzej przy jej drugim boku, mówiąc do Szrona, do wszystkich, którzy mogli mnie słyszeć:

– Musimy zawieźć ją do najbliższego szpitala. I niech ktoś zadzwoni do detektyw Verry.

Ona... Nie! – sapnęłam przerażona.

Kat miała na rękach ślady po ugryzieniach. Ciało było czarne, ociekało mazią.

Zombiczna toksyna.

Szron też chyba to zauważył, bo odetchnął gwałtownie.

Możesz tu siedzieć i ulegać panice albo możesz działać.

– Czy ktoś ma antidotum?

Kiedy tylko się zorientowałam, co może uczynić ogień, przestałam je nosić przy sobie.

Jednak cywile tacy jak Kat nie tolerowali ognia. Spopielali się równie szybko jak zombi.

Czekaliśmy ze Szronem w napięciu. W desperacji.

Nikt się nie odezwał.

– Ktokolwiek! – krzyknęłam. – Błagam!

Po chwili usłyszeliśmy najsłodsze słowa po tej stronie niebios.

– Ja mam. – Chance zbliżył się od strony rannych z małą plastikową fiolką w dłoni. – To tylko połowa dawki. Nie przyszliśmy z dostatecznie dużym zapasem dla każdego, więc musiałem wydzielać po trochu. Powstrzyma chwilowo jej objawy, dopóki nie zaaplikujesz jej odpowiedniej ilości.

Szron wlał zawartość pojemniczka do ust swojej dziewczyny.

– Kat – powiedziałam, starając się za wszelką cenę stłumić strach. Czas nie był naszym sprzymierzeńcem. Stał się właśnie głównym wrogiem zabójców.

Właśnie?

Obróciła na mnie oczy i uśmiechnęła się leciutko.

– Moja Ali. Pomagała mi... żyć.

– I nie ma mowy, by się to zmieniło. Słyszysz mnie? Będziesz żyła. Obiecuję. A wiesz, że nigdy nie kłamie. – Napotkałam wzrok Szrona. – Zrób to.

Wziął ją ostrożnie na ręce. Ból musiał być rozdzierający, ale nawet nie drgnęła.

Niedobrze. Wiedziałam, że to niedobrze.

Chance wziął Jacklyn i zaniósł ją do Rivera.

– Zabierzemy cię do szpitala, kociaku – powiedział Szron.

– Po drodze jest dom Cole’a. – Słowa same ze mnie wypływały. – Znajdziemy tam więcej antidotum.

Ruszył przed siebie ostrożnie, by nie sprawić jej bólu.

– Wszystko będzie dobrze, kociaku. Nie pozwolę, by coś ci się stało.

– Kocham cię – wyszeptala. – Chciałam tylko... przyrzadzić ci... lunch... i żyć... ty i Ali... dzięki wam życie było warte tego... by o nie walczyć... dziękuję wam.

To mnie zabijało.

– Nie myśl o nas. Żyj! Walcz!

Trach. Trach. Trach. Ogień broni palnej przybliżał się coraz bardziej.

Bum!

Bum!

I coraz więcej zombi.

– Szron. – Zmusiłam się, by iść przed siebie, zachowując umiarkowane tempo. – Musimy się pospieszyć.

– Zamknij się, Ali. – Ton jego głosu, pomimo ostrej nagany, pozostał łagodny. – Nie mogę ryzykować jakiegokolwiek wstrząsu.

– Wiem.

Ale ja nie mogę ryzykować jej utraty.

Trach. Trach. Trach. Zatrzęsła się ziemia. W zaroślach wykwitły małe ogniki, grzyby ciemnego dymu pełzły ku szczytom drzew.

– Bronx, zabierz wszystkich do najbliższej kryjówki – rozbrzmiał donośnie głos Cole’a. – Chance, daj mi swoją broń. – Potem stanął obok mnie i wsunął mi do ręki jeden z pistoletów. – Będę pilnował przodu. Ty zajmiesz się tyłem.

Trzeźwość do kwadratu. Dobrze. Dokładnie to, czego potrzebowałam.

Im bardziej zagłębialiśmy się w las, tym bardziej gęstniał dym i tym silniejsza była woń rozkładu. Niebawem odkryliśmy, dlaczego przedstawiciele władz nie dotarli do domu. Zombi zaatakowały ich samochody en masse i wyciągnęły z nich policjantów i strażaków, po czym urządziły sobie duchową ucztę.

Niebawem ci ludzie mieli powstać jako potwory.

Poprawka. Żadne „niebawem”. Niektórzy z nich już wypełzali ze swoich ciał.

Niezliczone oczy o czerwonej barwie wlepiły w nas spojrzenia. I nagle, jakby rozbrzmiał sygnał do startu, zombi przystąpiły do działania i rzuciły się w naszą stronę. Niektóre miały na sobie obroże i bomby, te nowe – nie.

– Uciekaj, Szron! Poradzę sobie.

Opuściłam swe ciało i wypaliłam z broni. Trach, prosto między oczy. Trach, prosto w usta. Trach, prosto w serce. Pociągałam za spust, aż skończyły mi się naboje, potem użyłam kolby, żeby rozplatać kilka czaszek w bezpośredniej bliskości. Wzniesienie ognia okazało się nieskuteczne.

Wymierzyłam cios jakiemuś zombi, potem następnemu, potem uskokczyłam, żeby uniknąć kłapiących zębów. Wysunęłam błyskawicznie nogę i zbiłam z nóg kolejnego stwora. Walcząc, pomyślałam: pieprzyć ogień; spróbowałam dobyć z siebie strumień energii, ale to też mi się nie udało.

Na moim ramieniu zacisnęły się od tyłu zdeformowane palce. Wylądowałam na ziemi. W blasku księżyca błysnęły niezliczone zęby. Przeturlałam się i wymierzyłam kopniaka, trafiając

dwa zombi w twarz, potem się obróciłam, waląc jedną ręką tego obok mnie, a drugą się podpierając.

Order Złotej Gwiazdy, Ali. Stwory padły szybko.

Zerwałam się na równe nogi, a wysoki, przenikliwy dźwięk sprawił, że się skuliłam.

Dźwięk, który znałam.

– Bomba! – krzyknęłam i rzuciłam się na ziemię.

Bum!

Kolejny podmuch roztopionego powietrza owionął ze świstem moje plecy i być może osmalił mi nawet koniuszki włosów. Obsypały mnie fragmenty zombi. Krztusząc się, odsunęłam od siebie kopniakami gnijące kończyny.

Potem pobiegłam. Nasłuchując. Jęk. Pękające kończyny. Tam. Ruszyłam za tym dźwiękiem, skręcając w lewo, zwiększając tempo, przedzierając się przez baldachim suchych liści. Dostrzegłam pełne paniki rysy Szrona, kiedy się do mnie zbliżał. Kat, podrygującą w jego ramionach. Ludzie Animy zbliżali się do niego ze wszystkich stron.

Dwaj żołnierze unieśli broń. Wycelowali.

– Nie! – krzyknęłam, rzucając się do przodu.

Ale byłam zbyt powolna. Kule zbyt szybkie.

Jedna utkwiała w udzie Szrona – druga w ramieniu Kat.

Upadł, obracając się w powietrzu, by przyjąć na siebie impet uderzenia. Kat wysunęła mu się z objęć, przetoczyła i znieruchomiła w odległości kilku kroków ode mnie. Szron wstał, pragnąc chwycić ją za wszelką cenę, ale dostał w pierś i poleciał do tyłu.

Posuwając się na czworakach, zdołałam dotrzeć do swej najlepszej przyjaciółki. Oczy miała zamknięte, policzki umazane ziemią.

– No dalej! Dalej, Kat, musisz mnie posłuchać.

Zerwałam z siebie koszulę, nie zważając na to, że zostałam w staniku, i obwiązałam jej krwawiące ramię. Drżałam, starając się wyczuć puls.

Nic.

Nie. Po prostu go nie znalazłam, to wszystko. Był tam. Musiał być. Może gdybym nacisnęła mocniej, głębiej...

– Obudzisz się. Słyszysz mnie?

Z ust wyciekała jej krew. Wciąż nie wyczuwałam uderzeń, które by sygnalizowały, że jej serce znów pracuje.

Zakrztusiłam się szlochem.

Trach. Trach.

Jeden kombinezon runął po lewej, drugi po prawej. Nieważne. Ci ludzie nic dla mnie nie znaczyli.

– Kat, to ja, Ali. Czas się obudzić. Okay? W porządku?

Milczenie.

Odpowiedz!

– Posłuchaj mnie – zaskrzeczałam, przynięcioną rozpaczą, tak wielką rozpaczą. Nie było miejsca na nic innego. – To nie jest lukrowe. Masz się ocknąć. Musisz zaplanować ślub i wybrać dla mnie najkoszmarniejszą sukienkę, jaką kiedykolwiek nosiła drużna. Zgniła, przyprawiająca o mdłości zieleń. Z różowymi kokardami.

Żalodne milczenie.

Ona...

Ona była...

Przykucnęłam, łapiąc oddech. Anima to zrobiła, skrzywdziła niewinną dziewczynę.

Zniszczyła niewinną dziewczynę. Kat była – nigdy – nie! Nie chciałam w to wierzyć – pogodną, piękną dziewczyną. Mądrą i dowcipną. Serdeczną i troskliwą. Nie mogła tak po prostu umrzeć w tym lesie, pełnym zombi, ognia i wrogów. Nie. Jeśli miała umrzeć, to na własnych warunkach. W blasku chwały.

Cole przykucnął obok Szrona, próbując go objąć i podnieść. Ranny Szron odepchnął jego ręce i podpełzł do Kat. Mojej Kat, która wciąż wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Wziął ją delikatnie na ręce i ułożył sobie na kolanach.

– Kociaku, mów do mnie – rzucił chrapliwym głosem.

Pocałował ją w czoło, jego łzy skapnęły na jej twarz. Gdyby to była bajka, to zostałaby od razu uleczona, prawdziwa miłość by ją obudziła. Niestety! Nie obudziła się. Nie uśmiechnęła się i nie zaczęła z nas kpić, że zachowujemy się jak dzieci.

I... nie zamierzała tego zrobić, prawda?

Czułam coś jeszcze. Wściekłość, smutek i furję. Tak wielką furję.

– Powiedz mi, że nic ci nie jest – zażądał Szron.

Nie mogła. Po prostu... odeszła. Odeszła, a ja skłamałam. Nigdy nie dowiozłam jej do szpitala i wiedziałam, że nigdy już nie wyzdrowieje.

Moje policzki załyły gorące, piekące łzy. Uniosłam twarz ku niebu i krzyknęłam. Tak przeraźliwie, że mogłabym roztrzaskać szkło. Ale mój głos, nieważne jak donośny, nie mógł zagłuszyć płaczu Szrona. Był cierpiącym mężczyzną, któremu odebrano jego największą miłość.

Musiałam odejść. Musiałam odejść natychmiast.

Spłynął na mnie dziwny spokój. Dźwignęłam się na drżące nogi i otoczyłam ramionami. Ruszyłam niepewnie przed siebie. Dostrzegłam Cole'a. Może został postrzelony. Klęczał, dłonie trzymał na udach. Głowę miał pochyloną, pierś przesiąkniętą krwią.

Poza, w jakiej tkwił bez ruchu, wydała mi się znajoma. Wizja urzeczywistniła się w końcu. Nic mnie to nie obchodziło, nie miałam zamiaru się zatrzymać.

Popatrzył na mnie.

– Próbowałem. – Zacisnął mocno powieki, między rzęsami błysnęły łzy. – Tak bardzo starałem się ich załatwić, zanim dorwą Szrona i Kat.

Brnęłam dalej, nie mając na myśli żadnego celu. Każde miejsce było lepsze od tego. Wiedziałam w głębi serca, że znalazłam się na mentalnym rozdrożu; musiałam podjąć decyzję. Dać sobie czas, by się uleczyć, jeśli w ogóle było to możliwe, albo oddać się w ręce Animy, by to szaleństwo dobiegło końca.

Wiedziałam, co powinnam zrobić, chociaż niekoniecznie chciałam to zrobić.

Dotarłam do ulicy. W pewnej odległości parkował samochód, obok stało dwóch mężczyzn z pilotami w dłoniach. Zauważyli mnie i znieruchomieli, jakby zszokowani faktem, że ich ofiara sama do nich przyszła – i to bez wahania.

Mogłam krzyknąć. Cole i Szron przybiegliby mi na pomoc. Zdołałabym wtedy uciec i się schować. Ale nie zrobiłam tego. Anima chciała mnie schwytać. Świetnie. Niech i tak będzie.

Decyzja podjęta.

Wygrali. Zabrali mi następny kawałek serca. Jeden z najcenniejszych. Niech mają swoją zdobycz, nawet bez koszuli.

Wściekłość pochłonęła swym ogniem wszystko inne. Zamierzałam ich zniszczyć – nawet gdyby to oznaczało, że zniszczyłabym przy okazji i siebie.

Ruszyłam wprost na nich, znalazłam się niemal w zasięgu ich rąk.

– Nie będę stawiała oporu, ale musicie to przerwać. Natychmiast.

Jeden z nich mnie chwycił, drugi zarzucił mi na głowę czarny worek. Skrępowano mi ręce na plecach, potem obmacano w poszukiwaniu broni. Ten jeden raz niczego przy sobie nie

miałam.

Poczułam, jak mnie podnoszą i wrzucają do samochodu.

NIECH ŻYJE KRÓLOWA!

Kiedy samochód podążał drogą, moja mama wyszeptwała:

– Tak mi przykro, Ali. Słyszałam, jak Juliana rozmawia z kimś przez komórkę.

Powiedziała, że wyciągnie cię na zewnątrz za pięć minut, żeby oddziały czekały w pogotowiu. Miałam nadzieję, że uda mi się odciągnąć je od domu, nie wiedziałam jednak, że nadchodzą zombi ani że eksplodują ładunki, a ty zostaniesz uwięziona w środku. Tak mi przykro.

To było miłe – wiedzieć, że jest ze mną.

– Emma szaleje, próbując tu dotrzeć, żeby się z tobą zobaczyć, ale w ciągu tych lat zyskałam wielu przyjaciół i poprosiłam ich, by ją powstrzymali. Łagodnie.

– Dziękuję. – Nie chciała, by moja siostrzyczka widziała mnie w takim stanie.

– Spokój! – warknął jeden z kombinezonów.

– Ukazałabym się Cole’owi – ciągnęła Helen. – I powiedziała mu, gdzie jesteś, co się dzieje i gdzie wylądujesz, ale nigdy by mi nie uwierzył.

Nie. Nie zrobiłby tego.

Może tak było lepiej. Nie chciałam być znaleziona.

– Coś wymyślę. Tylko pamiętaj to, co ci powiedziałam – oznajmiła Helen, a potem mnie chyba opuściła.

Pamiętać... co?

Nie musiałam się długo zastanawiać, nim doznałam olśnienia. Identyfikacja papilarna. Umarła, chroniąc mnie. Podjęła środki z myślą o mojej przyszłości. Nie mogłam jej zawieść.

Wystarczyło, że zawiodłam Kat.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy. Wreszcie samochód stanął i wyciągnięto mnie na zewnątrz. Mężczyźni zawlekli mnie do ciepłego budynku, a potem wepchnęli do... jakiejś klatki. Modus operandi w przypadku Animy. Zatoczyłam się, ocierając ramieniem o zimny metalowy pręt. Tak. Klatka.

Kroki. Gniewne pomrukiwania.

Usiadłam. Coś pociągnęło za więzy na moich nadgarstkach i nagle byłam oswobodzona. Ściągnęłam z głowy kaptur i zamrugałam, by odzyskać ostrość wzroku. Klatka miała rozmiary metr dwadzieścia na metr dwadzieścia i kraty z każdej strony. Podłoga była zwykłym klepiskiem. Miałam pryczę i toaletę, nic więcej. Już to przeżyłam. Anima potrzebowała nowego materiału.

Jedynym meblem poza klatką był długi metalowy stół. Na blacie leżały rozrzucone papiery. Pióro.

Broń.

Przy moim uchu pstryknęły palce.

Przynajmniej nie kręcili się tu ludzie w laboratoryjnych kitlach, udając, że nie obserwują każdego mojego ruchu.

Palce znowu pstryknęły.

– Ali.

Obróciłam powoli głowę i zamrugałam, uświadomiwszy sobie, że sąsiednią klatkę zajmuje Justin. No, no. W końcu go znalazłam. Na wideo – dowodzie życia – nosił tylko bieliznę. Teraz był ubrany.

Ściągnął koszulę i podał mi przez szczeble. Włożyłam ją przez głowę, podczas gdy on zacisnął dłonie na kratkach, które nas rozdzielały. Opuchlizna na oku zeszała, ujawniając desperację w jego spojrzeniu.

– Powiedz mi, co się wydarzyło – poprosił błagalnym głosem. – Przychodzą tu ludzie i mnie prześladowają. Przechwalają się, ilu zabójców wykończyli, a ja nie wiem, co jest prawdą, a co nie. Jak się czuje Jacklyn? Wszystko w porządku?

– Jest... – Urwałam. Ostatnim razem, kiedy ją widziałam, była nieprzytomna. – Wciąż oddycha. – Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. – Trina, Lucas, Cruz i Collins nie żyją. Od dnia, w którym zostałeś uprowadzony. Dzisiaj Anima zbombardowała dom pana Ankha. Wszyscy tam byliśmy. Pan Ankh zginął. – Zadrzała mi broda. – Kat... – Nie zdołałam wydusić z siebie nic więcej.

Czy było dość czasu, żeby antidotum oczyściło ją z zombicznej toksyny? Czy było dostatecznie silne?

Czy jej duch miał powstać, mroczny i głodny?

Nie wiedząc, co się ma stać...

Będąc od niej tak daleko...

W pewnym sensie czułam się tak, jakbym spadała w bezdenną dziurę rozpacz. Nie, nie w dziurę. W grób. Jakbym spadała coraz szybciej, bez szans na ratunek. Ale prawda była taka, że już rąbnęłam o kamienne dno.

Kat pragnęła życia, postanowiła walczyć o więcej czasu. Czasu tak cennego. Liczyła się każda sekunda. A teraz żadna nie pozostała. Wszystkie jej zabrano. Każdą. Pojedynczą. Sekundę.

Nigdy nie udało mi się jej powiedzieć, że jest mi przykro. Albo że ją Kocham. Albo że znaczy dla mnie więcej niż tlen.

Miałam już nigdy jej nie objąć. Nie zobaczyć. Zdjęcia, które robiłyśmy tamtego wieczoru w moim pokoju, kiedy to wdziękzyła się na całego do aparatu, przepadły. Zagubione w gruzach domu pana Ankha.

Wściekłość... Coraz silniejsza...

Justin osunął się na kraty.

– Nienawidzę siebie. Pracowałem z tymi ludźmi. Pomagałem im niszczyć Cole'a. – Roześmiał się gorzko. – Jaki byłem głupi!

– Zachowaj swój żal na później. – Dobra rada. Chciałabym wziąć ją sobie do serca. – Często siedzisz tu sam?

– Dość często.

– Czy ludzie, którzy mnie tu sprowadzili, mówili coś o następnej wizycie?

– Nie. Narzekali, że muszą wrócić i posprzątać bałagan, który właśnie zrobiono.

Dobra. Wstałam, dowlokłam się do drzwi i pomodliłam, by się udało. Wsunęłam rękę między szczeble i przycisnęłam kciuk do czytnika. W przypadku zabójców Anima nigdy nie stosowała klasycznych zamków. Wielu z nas wiedziało, jak sobie z nimi poradzić.

Zamek ustąpił. Tak szybko. Tak łatwo. Niemal komicznie.

Justin zerwał się na równe nogi i przysunął błyskawicznie do drzwi swojej klatki.

– Jak to zrobiłaś?

– Moja matka – odparłam tylko.

– Myślałam, że to cywil.

Nie zamierzałam niczego wyjaśniać. Podeszłam do jego klatki i przycisnęłam kciuk do czytnika. Drzwi otworzyły się, a on wyskoczył na zewnątrz.

– Chodźmy. – Był już w połowie drogi do wyjścia, kiedy uświadomił sobie, że podeszłam do stołu. – Ali! Pospiesz się! – Pomachał na mnie.

Wsunęłam pióro do kieszeni. Posłużyć się każdą bronią, tato? No to patrz. Potem wróciłam do klatki, zamykając – i zatrzaszkując – za sobą drzwi.

Ruszył niepewnie w moją stronę, jego ciemne oczy połyskiwały niepokojem.

– Nie idziesz ze mną?

– Nie. – Byłam dokładnie tam, gdzie chciałam być.

– Ale...

– Żadnych ale. Uciekaj stąd. Daj Cole'owi znać, że żyję i że mam plan.

Gapił się na mnie.

– Ali, nie rób tego. Nie zostawaj tu. Skrzywdzą cię. Zginiesz... bez względu na to, co zamierzasz.

Uśmiechnęłam się do niego leciutko.

– To już przesądzone. A teraz idź. Nim będzie dla ciebie za późno.

Cofnął się o krok, przystanął. Zrobił następny krok, przystanął. Odwracając się co chwila. Wiedziałam, że toczy wewnętrzną walkę. Jako mężczyzna nie chciał zostawiać damy w potrzebie. Pragnął mnie strzec. Ale logika podpowiadała mu, że i tak mnie nie przekona.

– Zbiorę pozostałych. Wrócimy po ciebie.

– W porządku. – Byłam pewna, że mnie stąd zabiorą, nim zdoła dotrzeć do Cole'a, wiedziałam jednak, że potrzebuje jakiegoś bodźca, by ruszyć w drogę.

Zniknął za drzwiami.

Odetchnęłam z ulgą. I czekałam.

*

Czas mijał. Nie wiem, jak dużo go upłynęło. W końcu pojawiło się trzech żołnierzy Animy. Jeden sączył kawę z kubka; wszyscy byli rozluźnieni. Nie mieli na sobie kombinezonów ochronnych. Tylko podkoszulki i dzinsy. Zatrzymali się, kiedy sobie uświadomili, że klatka Justina jest otwarta i pusta.

Przeklinając, przystąpili bezzwłocznie do działania, przeszukując prowizoryczne więzienie. Bez skutku.

Skupili uwagę na mojej osobie.

– Gdzie on jest? – spytali.

Do pomieszczenia wszedł jeszcze jeden mężczyzna; on także popijał kawę. Miał na sobie fartuch lekarski. Był niski i szczupły, szare włosy zaczynały się przerzedzać. Czyżbym dostrzegła w jego brodzie okruchy babeczki?

Wydawał się w jakiś sposób znajomy, ale żywiłam pewnością, że nigdy go nie spotkałam. W przeciwnym razie pamiętałabym...

Pamiętała. Słowo to rozbrzmiewało echem w moim umyśle, przypominając, że Helen zakryła mi wspomnienia. Że spędziłam pierwsze pięć lat życia – nie, sześć – jako ofiara testów Animy. Ten człowiek musiał w tym uczestniczyć.

– Doktorze Andrews – zwrócił się do niego jeden ze strażników. – Chłopak zniknął.

Jak miło. Ów mężczyzna z mojej przeszłości był tajemniczym Wyattem Andrewsem – Doizem. Tym, który krzywdził Justina. Doskonale. Ułatwiało mi to nieco robotę.

Doktor Andrews zatrzymał się przy stole, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Odstawił kubek z kawą i przesunął językiem po zębach.

– Zamierzaliśmy wyświadczyć wam obojgu przysługę i przenieść was do czystszej pomieszczenia o lepszych warunkach. Teraz będziemy musieli zacząć od tego, by sprawić ci ból.

– Skupił uwagę na mężczyznach. – Zwiążcie pannie Bell dłonie na plecach i przyprowadźcie ją tutaj.

Wyjął z kieszeni koszuli małą welwetową saszetkę i rozłożył ją. Błysnęły kawałki srebra. Broń w moim przekonaniu.

Trzej osobnicy podeszli do drzwi mojej klatki.

– Ilu dupków z Animy potrzeba, żeby otworzyć klatkę? – spytałam, mając wrażenie, że mój zblazowany ton trochę ich wystraszył. – Trzech. Bo boją się małej dziewczynki uwięzionej w środku.

Jeden wydał z siebie pomruk.

Drugi uśmiechnął się zimno, wyobrażając sobie zapewne, jak chwyta mnie za szyję.

Trzeci rozkodował zamek i otworzył drzwi.

– Słyszeliście to wcześniej? – spytałam, wstając. Pióro, które wzięłam wcześniej ze stołu, ścisnęłam już w dłoni, chowając je pod palcami.

Pierwszy mężczyzna zatrzymał się przede mną i wyciągnął ręce. Ugodziłam go w szyję z prędkością światła. Gdy trysnął krwią, obróciłam się błyskawicznie, robiąc to samo z drugim. Obaj runęli na podłogę, sikając krwią. Ten trzeci, ostatni, już pędził w stronę wciąż otwartych drzwi, ale wskoczyłam mu na plecy i dźgnęłam, gdy upadliśmy.

Wszyscy byli martwi albo umierali. Tak po prostu. A ja nie miałam najmniejszych wyrzutów sumienia.

Wstałam, nie spuszczać wzroku z Doziza. Jego twarz pokrywała się bladością, cofał się przede mną. Na jego drodze pojawił się stół. Mebel się przewrócił, runął na ziemię, a on skoczył za niego. Sięgnął po komórkę w kieszeni i wystukał jakiś numer.

Pani Smith?

Och, dałby Bóg.

Cmoknęłam.

– I do czego mnie pan zmusił, Doziz. Żeby użyła własnych dłoni, siejąc śmierć i zniszczenie. Ale nie zawsze byłam taka bezwzględna. Płakałam nawet po swoim pierwszym zabójstwie. Płakałam z powodu człowieka, który skrzywdził mnie i moich przyjaciół. Wie pan, co czuję teraz?

Przerażony, pokręcił głową.

– Pragnienie, by posunąć się jeszcze dalej.

Wyciągnął ręce, jakby chciał mnie powstrzymać.

– Nie zbliżaj się.

Rozpostarłam ramiona i wypuściłam z dłoni skrwawione pióro. Chciałam, żeby umarł – zamierzałam dopilnować, by tak się stało – ale najpierw pragnęłam, by coś dla mnie zrobił.

– Proszę się nie obawiać. Jeszcze z panem nie skończyłam. Niech pan mnie zaprowadzi do pani Smith – poleciłam.

OFERUJĘ SWĄ DUSZĘ

Musiał zadzwonić do pani Smith i nie rozłączył się, ponieważ gdy dwie i pół godziny później zaparkował ciemnego sedana pod bramą wspaniałego chromowo-szklanego budynku w sercu Atlanty, czekała na nas armia uzbrojonych strażników.

Drzwi po mojej stronie otworzyły się na oścież i zostałam wyciągnięta na zewnątrz. Skuto mi nadgarstki na plecach. Żadnych więzów. Już nie.

Nie walczyłam. Zdałam się po prostu na bieg wypadków.

Wsadzono mnie do innego samochodu, w którym siedziało już czterech dobrze zbudowanych mężczyzn w czerni. Nikt nie odezwał się słowem, kiedy wjechaliśmy na pełnym gazie do podziemnego parkingu. Obróciłam się, dostrzegając z ulgą, że Doziz jedzie za nami.

Gdy się zatrzymaliśmy i wysiedliśmy z wozu, muskularni faceci wpakowali mnie do windy. Z wycelowaną we mnie bronią. Wszystko ze względu na moją małą, skromną osobę.

– Naprawdę umiecie sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyróżniona, chłopaki. Moje uznanie.

Brzęknął dzwonek, drzwi się rozsunęły. Wyprowadzono mnie do holu, dokładnie na wprost znajdowała się szklana ściana – za nią zaś laboratorium pełne pracowników.

– Witaj. – Pod ścianą stała piękna kobieta w doskonale skrojonym kostiumie, dłonie złączyła skromnie na wysokości talii. Nie musiałam się zastanawiać, kto to jest. Błada cera. Krwistoczerwona szminka. Uosobienie profesjonalizmu. Pani Smith we własnej osobie. – Spotkałyśmy się w końcu. Jestem Rebecca.

W okamgnieniu powróciła mordercza wściekłość; z trudem ją stłumiłam.

– Zabiłaś moich najlepszych przyjaciół.

– Ja? – Podniosła dłoń do piersi. – Niczego takiego nie zrobiłam. Byłam tu, w Atlancie.

– Kazałaś to zrobić. Więc bez względu na to, kto pociągnął za spust, ty strzeliłaś.

Wzruszyła ramionami, niezrażona w najmniejszym stopniu.

– Mów, co chcesz. Ja mówię: wygraliśmy. – Jej wargi skrzywiły się w idealny półksiężyc, kąciaki powędrowały w górę. – Mam już dla ciebie wszystko przygotowane. Zaczniemy, dobrze?

Dwaj spośród strażników zawlekli mnie za szklaną ścianę do laboratorium. Na końcu stało łóżko na kółkach, zaopatrzone w skórzane rzemienie do krępowania nadgarstków i kostek u nóg. W końcu wybuchłam. Walczyłam z całych sił. Kopałam. Uwolniona od kajdanek, wymierzałam ciosy. Ugryzłam nawet jednego z facetów w ucho.

Jęknął z bólu i walnął mnie w szczękę, żeby się wyswobodzić. Ale zagryzałam mocno zęby i wyrwałam mu kawałek ciała. Jęknął i zamienił się w skowyt.

Splunęłam mu w twarz skrwawioną chrząstką.

Bez względu na to, jak bardzo się opierałam, w końcu położono mnie na płask i skrupowano. Tak jak się tego spodziewałam. Nawet przy swoich zdumiewających umiejętnościach musiałam godzić się z ograniczeniami. Ale okay. Doszłam do wniosku, że powiedzenie – „co mnie nie zabiło, uczyniło mnie tylko silniejszą” – jest głęboko prawdziwe.

Chciałam być silniejsza.

Strażnicy wyszli, a do mnie zbliżyła się pani Smith.

Popatrzyłam na nią ze złością.

– Możesz mnie związać i unieruchomić. Nie zmieni to tego, co z tobą zrobię. Zamierzam sprawić ci ból i zabić... i sprawi mi to ogromną radość.

Nie zwracając uwagi na moje słowa, spytała:

– Wolisz Ali czy Sami? A co powiesz na Alammi? Samali? – Zachichotała, naciągając na dłonie lateksowe rękawiczki i biorąc do ręki strzykawkę pełną przezroczystego płynu. – Oto co się stanie. Przez kilka następnych dni będę wstrzykiwała ci wszelkiego rodzaju specyfiki, a ty będziesz cierpieć. Jeśli twój duch, a tym samym twoja krew posiadają właściwości zgodne z naszymi oczekiwaniami, staniesz się chodzącym lekiem na zombizm. Jeśli nie... No cóż, staraj się nie przejmować tym, że wszyscy spośród naszych poprzednich delikwentów zmarli podczas badań. Z tobą wiążemy większe nadzieje.

Uśmiechnęłam się ponuro.

– Zrób to. Zrób, co chcesz. Nie umrę, dopóki nie napluję ci na grób.

Sądzę, że w końcu zauważyła brak jakiegokolwiek strachu z mojej strony. Zbladła.

– Może zechcesz łaskawie zmienić ton. Jestem jedyną osobą, która może pomóc twojej przyjaciółce Kat.

– Nie wymawiaj jej imienia! Nie śmieję go nawet wymawiać w myślach!

Nieporuszona, odparła:

– Zdołaliśmy pozyskać i zakonserwować jej ciało i teraz przetrzymujemy jej ducha. Jej zombicznego ducha. Tak. Została zainfekowana. Jeśli to przedsięwzięcie okaże się udane, będziemy mogli przywrócić ją do życia. Więc wyświadczyć sobie, nie, nie sobie, tylko swojej przyjaciółce, przysługę i nie spieraj się ze mną.

– Ja...

Umilkłam. W mojej głowie zaczęły kłębić się myśli. Nagle zamigotała nadzieja i przybrała niepokojąco konkretny kształt.

Przywrócić Kat do życia? Tak, proszę. Dałabym wszystko. Absolutnie wszystko, by tak się stało.

Jednak to migotanie nadziei zaczęło szybko przygasać. Mogę to zrobić? Mogę dobrowolnie i z ochotą pomóc Animie? Ethana zmieszałam za to z błotem. Justina i Jacklyn za to nienawidziłam. Camilli zabrałam za to pamięć. A ja próbowałam rozpaczliwie wierzyć pani Smith, że mówi prawdę. Że Kat da się przywrócić do życia. Że ktoś martwy nie jest tak naprawdę martwy.

To nie miało nic wspólnego z naturalnym porządkiem rzeczy.

A nawet gdyby się udało – wielkie „gdyby” – to czy Kat byłaby w ogóle Kat? Dziewczyną, którą znałam i kochałam? Czy kimś i czymś całkowicie innym?

Znowu zaczęłam się szarpać, a pani Smith westchnęła.

– Doskonale zatem. Zrobimy to radykalnie. – Wbiła mi igłę w szyję.

Ostry ból. Kaskada ognia, od którego moja krew natychmiast zawrzała.

Wygięłam gwałtownie plecy i krzyknęłam. Ciśnięto mnie w płomień piekielny, roztapiałam się od środka, moje organy dosłownie się rozplywały. W każdej chwili mogłam się spopielić. Spopielić jak zombi.

Całą wieczność później żar zaczął przygasać. Opadłam na łóżko. Lał się ze mnie pot, przenikając włosy i ubranie. Dyszałam, nie mogąc złapać tchu.

Pani Smith nie posiadała się z radości.

– Przeżyłaś pierwszą rundę, tak jak na to liczyłam. – Przesunęła dłonią po moim czole, a ja cofnęłam się gwałtownie. Nie wydawała się tym zrażona. – Odpocznij trochę. Spędzisz tu jakiś czas. Nie mogłabym ci zaufać, gdybyś znalazła się sama w jakimś pokoju. Nie zamierzam ryzykować utraty takiej zdobyczy.

Odsunęła się, podeszli trzej ludzie w kitlach, żeby rozciąć mi ubranie i zdjąć je ze mnie. Wszystko. Stanik, majtki. Zabrane. Szarpałam się, ale zdołali wsunąć mi między nogi cewnik i wprowadzić do żyły igłę kroplówki. Było to poniżające, całkowicie upokarzające.

Po kilku sekundach napompowano mnie taką ilością środków uspokajających, że przestałam się czymkolwiek przejmować, moje powieki zrobiły się zbyt ciężkie, bym mogła je unosić, moje członki zbyt ciężkie, bym mogła nimi poruszać.

Muszę być potem silna... ranić... zabijać...

Głowa opadła mi na bok, myśli straciły ostrość, pociemniały... Odpłynęłam...

– Przetrwiała już dwie dawki – powiedziała pani Smith. – Jeszcze dwie i będziemy gotowi ją przetestować.

– Jest silniejsza, niż to sobie uświadamialiśmy. – Doziz. – Nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko stworzenia leku. Pomyśl, co moglibyśmy dotąd osiągnąć, gdyby Helen jej nie zabrała.

– Helen – parsknęła pani Smith. – Doprowadziła tę firmę niemal do ruiny. Prawdziwa ironia, że odbuduje się dzięki jej córce.

Ich głosy zamierały...

Potem zaczęły nabierać mocy...

– Kto ma ją najpierw ugryźć? – spytał Doziz.

– Ta dziewczyna, Kat – odparła pani Smith. – Jeśli wszystko przebiegnie tak, jak podejrzewam, Ali stanie po naszej stronie. Nie będzie się sprzeciwiać ani walczyć, kiedy przyjdzie kolej na mojego ojca.

Kat... zombi... Zamierzali ją mną nakarmić. Pozwolić, by spożywała mojego ducha, kawałek po bolesnym kawałku.

– Smith... nienawidzę cię – wyszeptalam, ponownie odpływając.

*

– Panno Bell. – Poczułam, jak po policzku klepie mnie jakaś dłoń. – Panno Bell. Musi się pani obudzić. Zombi mogą zjadać śpiącego ducha, owszem, ale nie jest to tak skuteczne. Jak żarówka, której nie zapalono.

Zamrugalam i otworzyłam oczy.

– Dobra dziewczyna.

Do pokoju wlewało się jasne światło... nie, do kolejnej klatki. Nie byłam już przywiązana do łóżka. Byłam przykuta do tylnej ściany, na szyi miałam metalową obręcz i teraz nosiłam szpitalną koszulę. Choć wciąż byłam pozbawiona stanika i majtek. Wyprostowałam się gwałtownie i natychmiast doznałam zawrotu głowy.

Doziz cofnął się czym prędzej i zatrzasnął drzwi klatki, zamykając mnie w środku – z zombi.

Nie pierwszym z brzegu. Z Kat.

Natychmiastowy zwrot w grze. Mój największy koszmar – moja największa nadzieja.

Człowiek w kombinezonie pod klatką. Trzymał pilota, a ona miała na szyi obręcz. Jej skóra odznaczała się lekko szarawym odcieniem. Włosy były skłębione, oczy bardziej różowe niż czerwone, pod nimi widniały ciemne półksiężyce. Złamany obojczyk wciąż przebijał skórę. Noga była skręcona pod dziwnym kątem.

Czy w tej istocie kryła się jeszcze choć cząstka mojej przyjaciółki?

Pomrukując i pojękując, wyciągnęła do mnie rękę. Skoczyłam na nogi, zachwiałam się.

– Teraz – powiedziała pani Smith.

Kat się zbliżyła niepewnym krokiem.

Nie mogłam zmusić się do tego, by z nią walczyć. Po prostu... nie mogłam.

Kiedy zatopiła zęby w mojej szyi, zatoczyłam się do tyłu, uderzając o ścianę. Ostry ból, ogień płonący w żyłach. Zamiast ją odepchnąć, objęłam jej barki i przytrzymałam.

– Weź, czegokolwiek potrzebujesz – wyszeptalam. Po policzkach spłynęły mi łzy.

– Dosyć – oznajmiła zniecierpliwiona pani Smith. – Najmniejsza dawka powinna wystarczyć aż nadto.

Kat oderwano ode mnie. W jej zębach pozostał kęs mojego ciała.

Osunęłam się na kolana, modląc się, czekając. Żywiąc nadzieję.

– Działa! – wykrzyknęła pani Smith. – Naprawdę działa. Obie pozbywają się infekcji.

Szarość zniknęła ze skóry Kat całkowicie. Róż spłynął z oczu, ukazując orzechową barwę, którą tak kochałam.

– Nie ma toksyny – zauważył Doziz.

– Dziewczyna jest teraz świadkiem – dodała pani Smith.

Ich podniecenie było zaraźliwe. Nie ma toksyny. Świadek jak Emma i Helen.

To był cud. Coś więcej, niż mogłam sobie wymarzyć.

Gdybym uzyskała tę umiejętność wcześniej, mogłabym też ocalić Trinę, Lucasa i Collinsa.

Radość i rozpacz – bolesna kombinacja. Zacisnęłam zęby. Winiłam panią Smith za to, co powinno być, a nie było. Za jej obojętność wobec skutków ubocznych. Za jej brak etyki. Za nią samą. Stanowiła większe zło niż zombi, z którymi walczyłam. One były tylko bezrozumnymi istotami, którymi kierował instynkt. A wszystko, co ona robiła, stanowiło efekt świadomej decyzji.

Trzeba ją było powstrzymać.

Obojczyk Kat wskoczył na swoje miejsce, noga się wyprostowała, ona sama zaś rozejrzała się po laboratorium, wyraźnie zagubiona.

– Gdzie jestem? Co się dzieje? – Jej spojrzenie spoczęło na mnie, oczy rozwarły się szeroko. – Ali! Jesteś ranna.

– Przejdź do fazy drugiej – poleciła pani Smith.

Posługując się pilotem połączonym z czujnikiem na obręczy Kat, człowiek w skafandrze zmusił ją do opuszczenia klatki.

– Co się dzieje? – powtórzyła Kat, próbując zaprzeć się nogami o podłogę. – Dlaczego nie mogę się zatrzymać?

– Przestańcie! – Moje łańcuchy zagrzechotały, kiedy się szarpnęłam. – Puśćcie ją!

Kat podeszła do łóżka stojącego z boku. Leżało na nim przywiązane do niego ciało – jej ciało. Wyciągnęła rękę, dotknęła go. Kiedy nic się nie stało, znowu wyciągnęła rękę... I znowu.

– Proszę pani? Doktorze? – spytał człowiek w kombinezonie.

– Nie działa – oznajmił Doziz.

– Ali! – załkała Kat. – Pomóż mi!

– Puśćcie ją! – krzyknęłam.

Pani Smith westchnęła, nie zwracając na mnie uwagi.

– To rozczarowujące, ale nie koniec świata. Zbadamy świadków i znajdziemy sposób, by się nimi posłużyć.

Kat, zdeterminowana i oszalała, zdołała oprzeć się impulsom i człowiekowi w kombinezonie; kopała i wymierzała ciosy, wykorzystując to, czego ją nauczyłam; mężczyzna upuścił pilota, który roztrzaskał się na podłodze, a obręcz rozsunęła pośrodku. Kat zdarła ją z siebie i odrzuciła. Nagle moja najlepsza przyjaciółka uniosła się w stronę sufitu. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja wyciągnęłam rękę do niej.

– Ali!

Nasze spojrzenia spotkały się po raz ostatni – a potem zniknęła.

Poczułam druzgocący smutek. Osunęłam się na kolana. Odeszła. Znowu. Ale przynajmniej była teraz bezpieczna. Anima nigdy nie zdołałaby jej skrzywdzić.

– Idiota! – rzuciła wściekłym głosem pani Smith.

– Przepraszam – odparł człowiek w kombinezonie, pochylając głowę.

– Oszczędź sobie. Nie da się sprowadzić dziewczyny z powrotem. – Przyłożyła dłoń do czoła, jakby chciała sprawdzić, czy ma gorączkę. – Przyrowadź następnego zombi i tym razem bądź ostrożniejszy.

Oddalił się pospiesznie i wrócił niebawem ze starszym zombi. Rodzaju męskiego. Drzwi klatki otworzyły się i stwór w obręczy wszedł do środka.

Ruszył w moją stronę, a ja nie miałam żadnych skrupułów, by walnąć go w głowę. Gdy się zatoczył do tyłu, kopnęłam go w pierś. Zatoczył się ponownie. Próbowałam opuścić ciało i przywołać ogień, ale nie udało mi się ani jedno, ani drugie.

– Jesteś zbyt słaba, panno Bell! – zawołała pani Smith. – I nie marnuj naszego czasu, próbując wykorzystać inne umiejętności. Odebrałam je. Helen nie była jedyną, która potrafiła kraść.

Nie. Nie!

Kiedy zombi znów na mnie ruszył, wpakowałam mu dłoń prosto w nos. Wbicie chrząstki w mózg nie powstrzymało go. Kłapnął na mnie zębami. Obróciłam się i walnęłam go łokciem w skroń, rzucając na ziemię, gdzie wylądował na czworakach.

– Złap go – nakazała pani Smith, a człowiek w kombinezonie wsunął do klatki metalowy hak i chwycił zombi za szyję.

Był już od jakiegoś czasu martwy. Nie miał żadnych włosów. Tak jak brwi ani rzęs. Oczy świeciły mu intensywniejszą czerwień niż u większości jego pobratymców, jakby dobrze i często go karmiono. Był wysoki. Albo byłby wysoki, gdyby nie garbiły mu się ramiona. Nosił stary garnitur, mankiety marynarki i spodni już się wystrzępiły. Złamałam mu szczękę, która zwiślała teraz pod nienaturalnym kątem.

– Dajcie jej środek uspokajający – poleciała pani Smith. – Nie na tyle mocny, by zasnęła, ale wystarczająco, by nie miała siły walczyć.

Wewnątrz klatki rozpylono rzadką mgiełkę. Wstrzymywałam oddech tak długo, jak mogłam... moje płuca, rozżarzone... wytrzymaj, wytrzymaj... nie dość długo; zaczerpnęłam powietrza. Załaskotało mnie, spływając w krtań; zakaszłałam. Czymkolwiek je nasaczyli, szybko przełamało barierę krew-mózg, pozbawiając moje kolana sztywności. Upadłam.

Zombi został uwolniony. Próbowałam go odepchnąć, ale oszołomienie i zawroty głowy rozmazały mi wzrok; nie trafiłam. Zatopił zęby w moim ramieniu i zaczął wściekle szarpać. Cierpiałam, kiedy Kat mnie ugryzła, ale to było nie do zniesienia. Jego kły przypominały brzytwy zanurzone w soli. Waliłam go po głowie, aż zdołałam się uwolnić.

Wił się konwulsyjnie na podłodze przez minutę... dwie... Znieruchomiał. Szary odcień zniknął z jego skóry, która przybrała naturalną barwę – tymczasem ja straciłam naturalny różowy odcień i pokryłam się szarością. Po każdej części mojego ciała rozlał się ogień, paląc mnie od środka; szarzyzna pokrywająca moją skórę też zniknęła.

Ogień, a jednak nie zobaczyłam płomieni.

Wciąż leżałam, obserwując ukradkiem wszystkich obecnych. Pojawił się uzbrojony strażnik. Miał przy pasie kaburę z czterdziestkączwórka. Doziz trzymał w kieszeni pióro. Pani Smith nosiła naszyjnik. Gdybym mogła zdobyć jedną z tych rzeczy, reszta byłaby historią.

Jęknęłam, udając, że tracę świadomość.

– Weźcie ducha mojego ojca do specjalnej klatki, którą kazałam zrobić, potem umieście

jego ciało w chłodni – nakazała pani Smith. Wydaje mi się, że nacisnęła jakiś guzik. – I zwięźcie dziewczynę.

Znów wdała się w rozmowę z Dozizem. Nie zwracałam na nich uwagi, nasłuchując charakterystycznego brzęku zamka, zbliżających się kroków...

No. Sygnał dla mnie.

Na miejsca...

Strażnik przewrócił mnie na plecy czubkiem buta. Gotowi.

Podniósł mnie z podłogi. Start!

Chwyciłam jego broń, odbezpieczyłam i przyłożyłam mu lufę do piersi. Proste pociągnięcie za spust i jego serce rozpadło się na strzępy. Sapnął głośno, padając i pociągając mnie za sobą.

Doziz działał szybko – zgodnie z przewidywaniami – i skoczył do drzwi klatki, i zatrzasnął je, żeby zamknąć mnie w środku.

Błąd.

Podniosłam broń, nacisnęłam spust po raz drugi. Klik. Zaciął się nabój. Szybko przeładowałam, usłyszałam, jak problematyczna łuska upada na podłogę. Doziz pędził teraz w stronę drzwi, pani Smith w stronę kontuaru po prawej stronie; zaczęła rzucać na podłogę papiery i długopisy, szukając... czego? Broni?

Strzeliłam do niej, ale uchyliła się w ostatniej chwili. Pudło!

Zaciskając zęby, wymierzyłam do Doziza, który lada chwila miał wybiec z pomieszczenia.

Bum! Kula prosto w mózg. Runął na drzwi, zatraskując je.

Poczucie zwycięstwa. Jedno z dwojga załatwione.

Pani Smith kucała, odgradzając się kontuarem od moich kul i celując jednocześnie z broni półautomatycznej. Chwył miała pewny, co mi przypomniało, że była niegdyś zabójcą. Walka na śmierć i życie stanowiła nieodłączny element jej pracy.

– Zrób to – powiedziałam z zimnym uśmiechem, kierując lufę w jej stronę. Czy pokój był dźwiękoszczelny? Niemonitorowany? Na pewno. Nikt jej nie pospieszył na pomoc.

– Odlóż broń – rozkazała.

– A jeśli nie?

– Zrobię to – rzuciła chrapliwym głosem. – Zabiję cię, przysięgam.

– Nie, nie zabijesz. Obie wiemy, że wydałaś za dużo pieniędzy i zużyłaś zbyt dużo środków, żeby mnie tu ściągnąć.

Wysunęłam dłoń poza kraty i uporałam się z zamkiem.

Wyjrzała zza kontuaru. Jej oczy zrobiły się okrągłe, kiedy wydostałam się z klatki.

– Jak to zrobiłaś?

– Magiczne palce. Potrzebujesz dowodu? No to patrz. – Wystrzeliłam jej broń z dłoni.

Krzyknęła, gdy pistolet pofrunął przez cały pokój. Oddałam jeszcze jeden strzał, tym razem przeznaczony dla jej mózgu. Odturlała się w bok i zniknęła mi z oczu.

Klik. Skończyły mi się naboje.

Okay. Załatwimy to w sposób klasyczny.

Ta myśl przyprawiła mnie o niejaką radość.

Ruszyłam przez pokój. Cofała się, jej ręka krwawiła. W chwili gdy znalazła się w moim zasięgu, wymierzyłam cios. Zablockowała moją uzbrojoną w pistolet rękę i rąbnęła mnie w mostek, jakby chcąc zatrzymać mi serce. Może jej się to nawet udało. Straciłam oddech, zgięłam się wpół, a ona rąbnęła mnie kolaniem w szczękę. Ujrzałam w oczach gwiazdy, lecąc bezwładnie do tyłu.

Rzuciła się na mnie, próbując przygwoździć mnie do podłogi. Ale ja wciąż trzymałam broń i uderzyłam ją. Kolba wylądowała na jej skroni. Zajęczała i osłabła. Przewróciłam ją na plecy i usiadłam na niej okrakiem. Chciałam znów rąbnąć ją kolbą w skroń, ale zablokowała mój cios. Spróbowałam znowu, jednak znów zablokowała. Poruszyła się gwałtownie, zrzucając mnie z siebie, ja zaś musiałam się podeprzeć rękoma, żeby nie wylądować na twarzy, i wypuściłam broń z dłoni.

Wymierzyła mi kolejny mocny cios w mostek. Nie zważając na ból, chwyciłam jeden z długopisów, który spadł na podłogę, i wycelowałam w jej tętnicę. Znów zablokowała mi rękę. Koniec przedmiotu wbił się w jej przedramię, prześliznął po mięśniu i uderzył w kość. Jej krzyk odbił się echem od ścian. Zdołałam przysiąść na piętach, chwycić ją za kontuzjowane ramię i wbić długopis głębiej, do końca.

Znowu krzyknęła, wyginając plecy.

Idealna pozycja, pomyślałam z uśmiechem. Patrz tylko, jak Ali potrafi dokopać. Łup, łup, łup. Jej twarz wchłaniała każdy cios, zdrowa ręka była przygnieciona moimi kolanami, nie mogąc stanowić tarczy. Łup, łup. Kiedy jednak podniosłam pięść, żeby uderzyć ponownie, ktoś unieruchomił mi nadgarstek w żelaznym uścisku i postawił jednym szarpnięciem na nogi.

Nadciągnęła kawaleria.

Walczyłam z całym sił, ale do mężczyzny dołączył wkrótce drugi, potem jeszcze jeden; unieruchomiono mi ręce, podniesiono z podłogi. Ktoś pomógł wstać pani Smith. Jedno oko kryło się pod opuchlizną, dolna warga była rozerwana. Przykuśtykała do mnie.

– Będiesz tego żałować – warknęła głucho, a potem położyła mi dłoń na skroni.

Zmarszczyłam brwi, zaskoczona. Naprawdę myślała, że sprawi mi tym ból? Potem poczułam pięć małych pajaków drepczących po moim mózgu i już po chwili wiedziałam. To nie były pająki. To były palce. Zamierzała zakryć moje wspomnienia.

– Przestań! Przestań! Nie rób tego! Możemy...

Nie... nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Znieruchomiałam i zamrugałam. Dlaczego widziałam przed sobą pobitą, pokiereszowaną kobietę? Dlaczego trzymali mnie jacyś ludzie?

– No, teraz lepiej – powiedziała.

Kim była? Nie mogłam sobie przypomnieć. Nie mogłam sobie przypomnieć niczego. Coś tu było nie tak. Koszmarnie nie tak.

– Gdzie jestem? Co się dzieje?

Uśmiechnęła się bez humoru.

– Nie martw się. Poskładają mnie i wtedy ci wszystko wyjaśnię.

KIEDY ZDERZAJĄ SIĘ DWA UMYSŁY

„Nazywam się Samantha Conway i żyję od osiemnastu dni. No cóż, tylko tak daleko sięgam pamięcią. Moja przyjaciółka Rebecca mówi, że oberwałam w głowę podczas walki z zabójcami i że oblużowało to kilka klepek, powodując amnezję. Zasugerowała, bym prowadziła ten dziennik, zapisywała wszystkie odczucia i wszelkie wspomnienia, które się pojawią. Na razie czuję się po prostu sfrustrowana. Niczego sobie nie przypomniałam! Jedyna rzecz, nad którą nie muszę się zastanawiać, jest dziura w moim sercu. Wiem, że tam jest – nie ma chwili, bym nie była jej świadoma. To jak bezdenne dziura rozpaczy, tak bardzo nielukrowa.

Hm. Naprawdę napisałam właśnie: nielukrowa? Najwyraźniej cierpię na coś więcej niż tylko na amnezję.

Przypuszczalnie stanowią coś w rodzaju bardzo złego mordercy. Chwytam i morduję ludzi, którzy zabijają moje zombi. Ale nie uczestniczyłam w żadnej misji od czasu Incydentu – co nazywam najgorszym w świecie mózgowym pierdnięciem – ponieważ oczyszczanie zombi mnie osłabia, ale Rebecca mówi, że dzisiaj to się skończy. Na jakiś czas, w każdym razie.

Najwidoczniej zabójcy polują na mnie, gotowi unicestwić... MNIE. Mam ich uprzedzić. Powiedziano mi, że wyruszę jutro. Problem jednak polega na tym, że nie pamiętam, jak się walczy. W jaki więc sposób mam ich powstrzymać?”

Dosyć! Rzuciłam pióro i dziennik przez cały pokój i wstałam. Miałam serdecznie dość pisania. Dość niepamiętania. A przede wszystkim dość bezradności. Potrzebowałam...

Nie wiedziałam, czego potrzebuję. Czegoś. Czegokolwiek.

Pukanie. Do pokoju weszła Rebecca, nie czekając na pozwolenie z mojej strony, jak zwykle zresztą. I jak zwykle cholernie mnie to zirytowało.

– Doskonale – oznajmiła. – Nie śpisz. Twoja obecność jest wymagana w laboratorium.

Ton jej głosu był rzeczowy. Jak zawsze. Nie miałam pewności, czy lubi mnie tak bardzo, choć twierdziła, że znamy się od lat. I, szczerze powiedziawszy, nie miałam pewności, czy ją lubię. Patrzyłam na nią, a dziura w moim sercu pulsowała.

Tak samo pulsowała, ilekroć patrzyłam na tatuaże na moich rękach i na ten jeden, na karku.

– Chodź. – Pomachała na mnie zdrową ręką. Na drugiej, przez pierwszy tydzień mojego pobytu w tym miejscu, nosiła gruby bandaż; teraz, kiedy już go nie było, mogłam dostrzec duży czarny strup.

Ogarnął mnie gniew – nie na nią, tylko na zabójców. Skrzywdzili ją, tak jak skrzywdzili mnie. Ich grupa zaatakowała nasz budynek, nasz dom, mając nadzieję, że uda im się mnie porwać, ale ona uratowała mi życie, przyjmując na siebie ciosy przeznaczone dla mnie.

Mogłam się tylko domyślać, dlaczego chcą nas powstrzymać przed oczyszczaniem zombi i ulepszaniem świata. Dla własnych korzyści.

Zaprowadziła mnie do wind na końcu mojego korytarza. Budynek miał trzydzieści jeden pięter, a każde stanowiło istny labirynt pasaży, biur i laboratoriów. Moi strażnicy i ja mieliśmy jedno wyłącznie dla siebie. Na wyższym znajdowały się klatki i roило się od zombi.

Zombi, które miałam ratować.

Była to jedyna rzecz, jaką lubiłam w życiu robić. Ratować straconych.

– To jest Ethan – powiedziała Rebecca, kiedy weszliśmy do pomieszczenia pełnego sprzętu medycznego. – Poznałaś go przed swoim wypadkiem. Bardzo go lubisz.

Odrobinę starszy ode mnie, mógł liczyć około dwudziestu lat. I był tylko nieznacznie wyższy i szczupły. Miał ciemne włosy i dziwny wyraz twarzy. Jakby chciał powiedzieć, że jest mu przykro, nie wypowiadając przy tym żadnych słów. Walczyliśmy? Pewnie tak, bo dziura w moim sercu znów pulsowała.

Tak bardzo chciałam sobie przypomnieć.

– Ali. – Skinął mi głową.

Ali? Przez mój umysł przemknął jakiś obraz, potem zniknął w mgnieniu oka. Ale wciąż mnie prześladował. Ten chłopak, ten Ethan, siedział na ławce obok niesamowitej kilkunastoletniej dziewczyny o ciemnych włosach i oczach. Patrzył na nią z taką czułością, z taką miłością. Obok niej siedziała inna dziewczyna. Ta miała włosy kasztanowe, o jaśniejszym odcieniu, proste jak strzała, i figlarne orzechowe oczy.

Patrzyła na mnie i się śmiała.

Pulsowanie w moim sercu sprawiło mi takie cierpienie, że niemal zgięłam się wpół.

– Ma na imię Sami – rzuciła gniewnie Rebecca. – Chcę, żebyś usiadła na krześle. Proszę, nie każ mi tego powtarzać.

– Bo co? – rzuciłam.

Nienawidziłam jej słuchać. Ale posłuchałam. Usiadłam. Bo choć tego nie znosiłam, uwielbiałam rezultaty. Dwaj ludzie w kombinezonach ochronnych przytroczyli mnie do krzesła za nadgarstki i kostki u nóg.

Rebecca i Ethan weszli do ochronnego pomieszczenia, które znajdowało się w pokoju. Ściany były przezroczyste, dzięki czemu mogli obserwować wszystko, co dzieje się na zewnątrz.

Obaj osobnicy w kombinezonach wyszli i wrócili niebawem z młodą dziewczyną zombi. Nie była długo martwa, jak mi się wydawało. Skórę miała szarą, ale nie ciemną, i wciąż większość włosów. Na szyi nosiła metalową obręcz.

Im bardziej się do mnie zbliżała, tym bardziej się próbowała wyrwać, wyciągając do mnie rękę. Przejechała paznokciami po moich udach, a ja wzdrygnęłam się gwałtownie.

Pochyliła głowę i ugryzła mnie w ramię. Sapnęłam odruchowo, gorący ból nadchodził szybko. Nie zdążyła jednak zrobić nic więcej, bo ją natychmiast odciągnięto. Osunęła się na podłogę i zaczęła wić. Jej skóra straciła swój szary odcień, z oczu zniknął czerwony blask. Podniosła rękę do światła, przyjrzała jej się, obróciła nią i po chwili na jej ustach wykwitł uśmiech.

Do pomieszczenia weszli Rebecca i Ethan.

Rebecca, dumna jak paw, klasnęła.

– Mówiłam ci.

Ethan skupiał uwagę wyłącznie na dziewczynie.

– Izzy – powiedział i ruszył pospiesznie w jej stronę.

Z ust dziewczyny wyrwało się pełne szczęścia i podniecenia westchnienie.

– Ethan!

Wtedy jeden z ludzi w kombinezonach stanął między nimi, nie dopuszczając do jakiegokolwiek kontaktu.

– Zejdź mi z drogi – rozkazał Ethan.

Tamten nawet nie drgnął.

Krzywiąc się wściekle, chłopak zwrócił się do Rebekki:

– Powiedz mu, żeby się odsunął. Natychmiast.

– Twoja siostra została oczyszczona, tak jak obiecałam – odparła Rebecca. – Teraz jest

świadkiem, jak się to określa. A nie możemy pozwalać, żeby świadkowie hasali sobie na wolności, prawda? Wykluczone. Musimy ją przebadać, dowiedzieć się, co może robić i jak może to robić.

Rebecca mówiła to samo o wszystkich innych, których oczyszczałam. Sprzeciwiałam się, i to nieraz, ale bezskutecznie.

Ethan pokręcił głową.

– Nie pozwolę ci przeprowadzać na niej żadnych badań. Miała tego dosyć w swym pierwszym życiu.

Rebecca, nie okazując nawet odrobiny lęku, spytała:

– I jak zamierzasz mnie powstrzymać?

Widziałam, jak się sprężył.

Zmagałam się z więzami. Zamierzali walczyć, a ja... co? Co miałam z tym zrobić?

Nagle rozdarł się przeraźliwy alarm. Znieruchomiałam, rozglądając się wokół.

Poblada Rebecca rzuciła strażnikom szczekliwe rozkazy:

– Niech jeden zamknie świadka w klatce, którą przygotowałam, a drugi zaprowadzi Ali w bezpieczne miejsce.

Znowu ta Ali. Dlaczego?

– A ty – zwróciła się do Ethana – jeśli chcesz wyjść stąd żywy, nie będziesz się odzywał i pójdziesz ze mną. I masz pilnować mojego tyłka, bo jeśli nie, to wpakuję kulę w twój.

Zaraz.

– Nie zostawiajcie mnie! – zawołałam.

Ale oni już zdążyli wymaszerować z pokoju. Jeden z tych w kombinezonach zabrał świadka w obroży do innego pomieszczenia, a drugi uwolnił mnie z krzesła. Chciałam wstać sama, ale chwycił mnie za nadgarstki i zaciągnął do tych samych drzwi, za którymi zniknął pierwszy.

Nagle komputerowy głos obwieścił: „Intruzi na parterze. Intruzi na pierwszym piętrze. Intruzi na drugim piętrze. Ogień na trzecim piętrze”. – I tak dalej, ciągnąca się w nieskończoność litania.

Serce zabiło mi szybciej, ale chyba nie ze strachu. Czy była to... ekscytacja? Radosne wyczekiwanie? Ale dlaczego?

– Co się dzieje? – spytałam.

Mój opiekun zerwał maskę.

– Zamknij się i chodź.

Zacisnęłam zęby, zastanawiając się, czy go nie rzucić na ziemię – i ta chęć wprawiła mnie w zakłopotanie. Przecież byliśmy po tej samej stronie.

Popędziliśmy korytarzem, skręciliśmy przy najbliższym narożniku. I natknęliśmy się na grupę kilkunastoletnich chłopców walczących jednocześnie ze strażnikami i zombi. Stanęliśmy jak wryci.

Patrzyłam zafascynowana. Puls, puls, puls. Nie jestem pewna, czy widziałam kiedykolwiek coś równie niesamowitego. Najwyższy i najbardziej muskularny z chłopców miał czarne włosy i... Czy te oczy były fioletowe? Wielkie nieba. Budził grozę. Minikusza w jednym ręku, sztylet w drugim. Uwolnił swego ducha z ciała, ciął zombi, obrócił się, wszedł z powrotem w cielesną powłokę i ugodził strażnika bełtem. Ruchy miał płynne, przypominały powiewy wiatru i były naturalne niczym oddech.

Jego spojrzenie przesunęło się – tak, fiolet! – i spoczęło na mnie. Znieruchomiał. Po prostu znieruchomiał...

...świat wokół mnie runął i oto nagle leżałam na łóżku, płasko na plecach. Ciemnowłosy

chłopak przygniatał mnie. Nie zamierzał robić mi krzywdy. Jego dłonie obejmowały delikatnie moje policzki, kiedy się do niego uśmiechałam. Opuścił głowę, zamierzając mnie pocałować. Ja...

...straciłam go z oczu i krzyknęłam rozpaczliwie. Człowiek w kombinezonie musiał dojść do wniosku, że byłoby nierozsądne pomagać swym towarzyszom, ponieważ szarpnął mnie za rękę, odciągając od chaosu walki. Odwróciłam się z powrotem, pragnąc znów spojrzeć na chłopca o fioletowych oczach.

– To zabójcy – powiedział mój opiekun.

To oznaczało... O cholera. Przyszli, by uporać się z tym, co zaczęli – uporać się ze mną.

Kombinezon potknął się i runął, pociągając mnie za sobą. Upadek bolał. Kiedy dźwignęłam się, wspierając na kolanach i dłoniach, uświadomiłam sobie, że nie przewrócił się sam. Zawdzięczał to czyjeś pomocy – beltu, który przebił mu szyję. Wokół mężczyzny rozlewała się kałuża krwi. Jednak brutalność tej sceny... nie zaszokowała mnie.

Dźwignęłam się z bijącym szaleńczo sercem, żeby spojrzeć na chłopca o fioletowych oczach, który zmierzał teraz zdecydowanie w moją stronę. Wibrowała każda komórka w moim ciele. Ze strachu. To musiał być strach.

– Nie rób mi krzywdy – wysapałam. W mojej głowie odezwał się dzwonek ostrzegawczy. A może to wciąż rozbrzmiewał alarm w budynku. Cofnęłam się i oparłam o ścianę. – Będę się z tobą bić. I zranię cię. Naprawdę. Jestem podobno niezła w sztuce walki.

Zatrzymał się w niewielkiej odległości ode mnie. W tych olśniewających fioletowych oczach tańczyły ulga, szczęście i zmieszanie. Zrobił jeszcze jeden mały krok w moją stronę.

Podniosłam rękę, żeby go powstrzymać.

– Nie zbliżaj się!

Zmieszanie na jego twarzy stłumiło inne emocje.

– Wiesz, kim jestem?

– Oczywiście. Zabójcą. Walczyłam z twoimi ludźmi i teraz pragniesz odwetu. No cóż, nie pójdzie ci łatwo. – Uniosłam pięści. Mogłam nie pamiętać, jak się walczy, ale nie zamierzałam się od razu poddawać.

Stanęli obok niego dwaj chłopcy. Jeden posłał mi szeroki uśmiech. Drugi, blondyn o pełnych tragizmu ciemnych oczach, ani na chwilę nie przestał się zimno krzywić.

– Idźcie – rozkazał Fiolet. – Zajmę się nią.

Odeszli i niemal natychmiast usłyszałam jazgot strzałów za plecami.

– Posłuchaj mnie – poprosił Fiolet, przykuwając moją uwagę.

Westchnęłam głęboko. Zbliżył się jeszcze bardziej. Wyczuwałam teraz jego ciepło, zapach mydła i truskawek. Przysięgam, że niemal stanęło mi serce.

– Mam na imię Cole i jestem tu dla ciebie. Żeby cię zabrać. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

Chciałam mu wierzyć, ale przez mój umysł przemknęło nagle ostrzeżenie Rebekki. Rzuciłam pogardliwie:

– Kłamca!

– Ali-gator – powiedział, w jego głosie pobrzmiwała czułość. – Ali.

Znowu to imię... Zmarszczyłam czoło. Uderzyło mnie to z siłą godną jego strzał, pulsowało mi w piersi, tak intensywnie.

– Jestem Samantha.

Czyż nią nie byłam?

– Schwymano cię, sprowadzono tutaj. Potrwało to jakiś czas, ale w końcu cię odnaleźliśmy. Nie wiem, co ci zrobili, ale zapewniam cię, że nie są twoimi przyjaciółmi. My

nimi jesteśmy. Żaden z nas nigdy by cię nie skrzywdził.

Zaczęłam przesuwać się powoli za narożnik, cofając się przed nim.

– Wielu ludzi się o ciebie martwi. – Mówiąc, podchodził do mnie powoli. – Babcia, mój tata, Reeve. Pamiętasz Reeve?

Próbowałam sobie przypomnieć, ale na próżno, i pokręciłam głową.

Pierś pulsowała coraz dotkliwiej...

– Emma, twoja młodsza siostra, pomagała nam cię szukać. Niestety Anima uruchomiła impulsy wokół budynku, więc Emma nie mogłaby przedostać się do środka, dopóki byśmy ich nie wyłączyli. Zresztą i tak nie pozwoliłbym jej tu wejść. Wiedziałem, że byłabyś niepokieszona, gdyby cokolwiek jej się stało.

Emma... Emma... To imię sprawiło, że pulsowanie w mojej piersi przyspieszyło o wiele bardziej.

Czy mogłam wierzyć temu niebezpiecznemu chłopcu?

– W porządku. Nie zostawiasz mi żadnego wyboru. – Nim zdążyłam podjąć decyzję, podszedł do mnie i przerzucił sobie przez ramię. – Czas, by wizja się spełniła. Przynajmniej zrozumiałem ją w końcu.

Odpowiedź: nie. Nie mogłam mu ufać.

– Puść mnie! – Tłukłam go pięściami po plecach i waliłam kolanami w tors.

– Nigdy więcej. – Wziął broń i ruszył przed siebie.

– Mówię poważnie. Puść mnie – zażądałam.

– Nigdy więcej.

– Wciąż to powtarzasz. Czego chcesz ode mnie?

– Tego, czego zawsze chciałem. Wszystkiego.

– Nie możesz tego mieć.

W tej scenie było coś znajomego...

Przelotny obraz tego chłopca, który mnie całuje.

Przelotny obraz tego chłopca, który mnie rozbiera i dotyka.

Przelotny obraz tego chłopca, który się do mnie uśmiecha, fioletowe oczy migoczą.

Przelotny obraz tego chłopca, który ogląda sobie paznokcie, podczas gdy ja zabijam zombi.

Zabijałam zombi, zamiast je uzdrawiać?

Nie inaczej. Jeśli te przelotne obrazy były wspomnieniami. Ale to by oznaczało, że Rebecca mnie okłamała.

Dlaczego miałyby to robić?

Cole zatrzymał się na końcu korytarza. Wił się tu dym przesycony wonią rozkładu, prochu i krwi. Po lewej chłopiec z pełnymi tragizmu oczami walczył z kilkoma strażnikami – sam jeden. Miał pistolety w obu dłoniach, celował, strzelał, celował, strzelał. Wokół niego rósł stos ciał.

– Mamy zabójców w całym budynku – wyjaśnił Cole. – Jest z nami drużyna Rivera, zdobywamy każde piętro. Nic nie zostanie z Animy, kiedy już skończymy.

Wykręciłam głowę. Zza narożnika wybiegło dwóch ludzi w fartuchach laboratoryjnych. Dostrzegli Cole'a i od razu się cofnęli. Strzelił im obu w nogi. Potem ruszył dalej swobodnym krokiem, jakby nic się nie stało.

– Wiesz, gdzie jest Smith?

Smith. Rebecca. Moja przyjaciółka, która tak naprawdę nie była przyjaciółką.

Przełknęłam z trudem. Nie mogłam mu powiedzieć. Zabiłby ją. I choć nie byłam pewna, czy ją lubię, choć nie wiedziałam, czy jest przyjacielem, czy wrogiem, nie pragnęłam jej śmierci.

Naprawdę?

Znów pulsowanie...

Nigdy jeszcze nie czułam się taka zagubiona.

Z naprzeciwka wyłonił się inny chłopak o blond włosach.

– Nie mogę znaleźć Smith. Ale widzę, że ty znalazłeś moją babeczkę.

– Moją – warknął Cole.

Hm, babeczka to miałam być ja? Dziwaczne przezwisko dla domniemanego wroga.

– Ali – zwrócił się do mnie Cole. – Teraz cię puszczę. Nie uciekaj. Jeśli to zrobisz, będę cię ścigał, a kiedy cię złapię, dam ci klapsa.

– Słucham? – Nie podobał mi się ten pomysł z klapssem. Absolutnie.

– Dlaczego miałyby uciekać? – spytał Blondyn.

Cole postawił mnie na ziemi, ja zaś zaczęłam rozważać, czy nie uciec. Miałam teraz szansę. Jednak ciekawość pętała mi kończyny. Ci chłopcy mogli mnie skrzywdzić. Nie zrobili tego. Zwracali się do mnie serdecznie i ciepło.

– Mogę wam pomóc – oznajmiła jakaś kobieta. Wysoka, szczupła blondynka o oczach tak niesamowicie niebieskich, że moje wydawały się przy nich blade.

Puls.

Cole zeszywniał.

– Nie potrzebujemy twojej pomocy, Helen. – Stał przede mną... chroniąc mnie?

Puls, puls.

Nie podobało mi się, że jest wytracony z równowagi. Dlaczego?

– Jak myślisz, kto przez cały czas dostarczał Emmie informacji? – rzuciła gniewnie kobieta o imieniu Helen. – Ja. Naprawdę chcesz stąd wyjść, nie zajmąwszy się wpierrw Rebecą? Wybór należy do ciebie. Gdyby zależał ode mnie, wolałabym, żebyś coś zrobił. Kocham swoją córkę i nie chcę po raz drugi przechodzić przez coś takiego.

Córkę? Puls, puls, puls.

Cole poruszył nerwowo szczęką, skinął głową.

– Dobra. Prowadź. Ale jeśli to pułapka...

– To co? – przerwała mu ostro. – Nawrzeszczysz na mnie?

Kłapnął na nią zębami. Naśladował zombi?

Ruszyła korytarzem, którego nie rozpoznałam. Cole trzymał mnie mocno za rękę. Potem w górę, windą, którą musiała uruchomić, spinając przewody na krótko, bo alarm przeciwpożarowy wyłączył zasilanie wszystkich dźwigów. Potem w dół schodami. Potem w dół drugą windą.

W końcu Helen zatrzymała się na końcu ciemnego korytarza.

– Ali. Twoja dłoń.

Co...?

Cole przesunął mnie do przodu, wziął moją rękę i przycisnął ją do czytnika. Ciepło. Klik. Drzwi się otworzyły i niebawem znaleźliśmy się w kolejnym pokoju, którego nigdy nie widziałam. Przebywało w nim zamkniętych w specjalnej klatce ze dwudziestu świadków, których oczyściłam; po metalowych prętach przebiegały impulsy elektryczne.

Zabójcy przystanęli i patrzyli osłupiali.

– Co u diabła? – spytał blondyn.

– Byli kiedyś zombi. Jak ci. – Wskazałam drugą klatkę z nie-martwymi. – Ale ich oczyściłam.

– Oczyściłaś? – powtórzył Cole.

Wyrwałam dłoń z jego uścisku i podeszłam do klatki ze świadkami. Kolejny czytnik. Po

chwili, ot tak, byli wolni. Wyfrunęli na zewnątrz, drżąc z podniecenia i ulgi, unieśli się i wkrótce przeniknęli przez sufit, by zniknąć na dobre.

Podeszłam do klatki z zombi.

– Nie, Ali – zawołał Cole, ruszając za mną. – Nie rób tego.

– Ale ich też mogę oczyścić – powiedziałam, odwracając się do niego. Nie chciałam, żeby stał mi za plecami.

Jeden z zombi sięgnął między prętami i chwycił mnie. Ponieważ miał obręcz na szyi, był w postaci cielesnej i zdołał zatopić zęby w moim ramieniu. Bolało, więc krzyknęłam, ale nawet nie osunęłam się na kolana. Tak było nawet lepiej niż wtedy, gdy mnie krępowano.

Cole pojawił się nagle przede mną, odciągając od klatki. Krzywiąc się z odrazą, walnął zombi w twarz.

Potem obrócił się do mnie i położył mi delikatnie swe duże dłonie na policzkach. Tak jak we wspomnieniu.

– Za minutę będę tu w dwóch postaciach. Moja dłoń się zapali. Wsunę płomień w twoją ranę. Zaboli, ale...

– Nie ma potrzeby – odparłam. Ślad po ugryzieniu już się goił, żar w moich żyłach już przygasał. – Toksyna na mnie nie działa.

– Niemożliwe.

– Cole, popatrz na zombi – powiedział Blondyn.

Cole odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak szarość znika ze skóry stwora, a z oczu zombiczna czerwień.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Halo. Ktoś pamięta w ogóle o Rebecce? – Helen klasnęła w dłonie, żeby zwrócić na siebie naszą uwagę. – Zombi mogą poczekać.

Ale...

Cole pociągnął mnie następnym korytarzem. Zatrzymaliśmy się przed stalowymi drzwiami. Leżał pod nimi Ethan, bez ruchu, niemal unosząc się w kałuży krwi.

Uświadomiłam sobie, że nie odczuwam smutku, i znów wprawiło mnie to w zakłopotanie. Helen machnęła ręką w stronę drzwi.

– Kiedy unieszkodliwiliście te pulsy wokół budynku, poszłam prosto do Ali. Gdy sobie uświadomiłam, że jej wspomnienia zostały zakryte, od razu pojęłam, że Rebecca ukradła jej umiejętności zabójcy, i ruszyłam za nią. Tak więc, Cole, stoisz przed kolejnym wyborem. Zabić Rebeccę od razu i położyć kres jej rządóm terroru, ale jednocześnie sprawić, że Ali nigdy nie odzyska swoich umiejętności, albo zabrać Rebeccę ze sobą i zamknąć ją w klatce. Kiedy Ali przypomni sobie swoją przeszłość, będzie w stanie odzyskać też umiejętności.

Ukradzione umiejętności? Zakryte wspomnienia?

– Kod to... – Helen wymieniła szybko zbyt wiele cyfr, by dało się je spamiętać.

Cole patrzył na nią gniewnie przez kilka chwil, potem zaczął uderzać palcami w klawisze. Podniósł kuszę, gdy drzwi otwierały się z wolna.

Czekałam, bardziej niepewna niż kiedykolwiek. Co znajdowało się po drugiej stronie? Rebecca, jak obiecano? Czy pułapka?

Co bym wołała?

Jeśli Rebecca tam była, to zabójcy by wygrali. Jeśli zastawiono pułapkę, to mogłam spróbować ucieczki.

Ale czy naprawdę chciałam uciec?

Cole uniósł kąciki ust w uśmiechu.

– Witaj, Rebecca.

ODCIĘTE GŁOWY ALBO SPLĄTANE OPOWIEŚCI

Krążyłam po swoim nowym pokoju. No cóż, nie swoim, ale jego. Cole'a. To była jego sypialnia. Pozwolił mi z niej korzystać, choć wiedziałam, że chce tu pozostać ze mną. Zeszłej nocy, kiedy mnie tu przyprowadził, powiedział to z tysiąc razy. Ja powiedziałam „nie”. Oczywiście.

Wciąż stanowił niewiadomą.

Mogłam mu zaufać?

Wcześniej moje „nie” byłoby bezwarunkowe. A teraz? Sama nie wiedziałam. Kiedy akurat nie zabijał ludzi na korytarzach, był całkiem słodki. I czarujący. I dowcipny. I taki gorący, że się śliniłam.

Przyniósł mi tego ranka śniadanie. Wskazał szufladę komody z moimi rzeczami, żebym się nie krępowala i korzystała z nich. Powiedział, że planuje naszą „trzecią randkę”, że chce iść ze mną na kurs szydełkowania albo coś równie pokojowego, bo potrzebujemy w życiu mniej ekscytacji.

I bardzo się troszczył o moje samopoczucie. No, niemal obsesyjnie. Klócili się zawzięcie ostatniej nocy, on i Helen. Żądał, żeby przywróciła mnie do poprzedniego stanu. Odparła, że próbuje i że byłoby miło, gdyby i on spróbował. On na to, że robi wszystko, co mu każe, opowiadając mi historie z mojej przeszłości.

Była to prawda. Opowiadał. Godzinami. Te historie wydawały się wręcz nieprawdopodobne.

Może nie. Kiedy zasypiałam, nachodziły mnie tak wyraziste sny.

Widziałam w nich wszystko, co opisywał. Jak stałam w korytarzu pomalowanym na czarno i złoto, dostrzegając go po raz pierwszy. Opierał się o rząd szafek szkolnych, objając się z przyjaciółmi. Jego oczy kryły się w cieniu daszka czapki, ale potem podniósł wzrok i oboje zostaliśmy uwięzieni, połączeni wizją, w której się całowaliśmy.

Przeniknął mnie dreszcz.

Widziałam, jak walczyliśmy z zombi, chroniąc się nawzajem. Troskę na jego twarzy, ilekroć zostałam ugryziona...

Tak. Znowu dreszcz.

Nie mogłam zaprzeczyć, że było coś między nami. Ani temu, że moje serce reagowało na niego, nawet jeśli umysł tego nie czynił. Nie mogłam zaprzeczyć, że pragnienie, by rzucić mu się w ramiona, przywrzeć ustami do jego warg i przytulić się do niego, jakby od tego zależało moje życie – jakby był jedyną tratwą na sztormowym morzu – narastało z każdą upływającą chwilą. Rebecca została uwięziona w podziemnym bunkrze za jego domem... Czy powinnam ją ignorować?

Nawet jeśli kłamała i była wrogiem, nie pochwalałam przemocy. Czyżby?

Drzwi się otworzyły i weszła kobieta, którą miałam nazywać babcią. Lubiłam ją, i to bardzo, i nie irytowało mnie, że tak wtargnęła, jak działo się to w przypadku Rebekki. Czekala tu na mnie, kiedy Cole mnie przywiózł, a jej niedźwiedzi uścisk sprawił mi wtedy ogromną przyjemność.

– Ali – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Jak się masz, kochana?

– No cóż, dobrze.

Uściskała mnie, a ja poklepałam ją niezgrabnie po plecach.

Na jej twarzy malował się smutek, kiedy się wyprostowała; strasznie mi się nie podobało, że nie spełniałam jej oczekiwań.

– Zaprowadzę cię do jadalni.

Więc czas na obiad. I on miał tam być.

Wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy przez cały dom. Było mnóstwo gości, ale nigdzie nie dostrzegłam Cole'a. Głębokie i dojmujące rozczarowanie. Macki strachu. Dom pełen zabójców – dlaczego? Zostałam już wszystkim przedstawiona, oni zaś chyba mnie lubili, ale wciąż się ich bałam. Co nie znaczy, bym zamierzała przyznawać się przed nimi, że jestem zaniepokojona.

– Cześć – powiedziałam, kiwając głową. Zmarszczyłam czoło, uświadomiwszy sobie, że na stole nie ma jedzenia. Zabójcy, ale nie obiad?

Gavin mrugnął do mnie.

Mackenzie posłała mi całusa.

Reeve pomachała do mnie.

Bronx skinął mi głową.

Szron patrzył przez okno.

Justin i Jacklyn uśmiechnęli się do mnie.

River poklepał się po kolanach, milcząca prośba, bym na nich usiadła.

Wielkie nie, dzięki.

Wzruszył ramionami, niezrażony moją odmową.

Pan Holland, tata Cole'a, wskazał wolne krzesło. Babcia zaprowadziła mnie do stołu, a ja usiadłam posłusznie.

Prócz Cole'a brakowało jeszcze tylko Veroniki i jej młodszej siostry Juliany. Jak wszystko na to wskazywało, Juliana zrobiła coś, co wszystkich rozwścieczyło, zwłaszcza Szrona, więc obie wróciły do rodzinnej Georgii, gdzie miały pozostać.

Na drugim końcu pokoju pojawiła się Emma – świadek. Tak jak Mackenzie, posłała mi całusa. Kiedyś, w dawnych czasach, tylko ja i Cole potrafiłszy widzieć moją młodszą siostrę – naprawdę była moją siostrą? Teraz jednak, dzięki jakiejś wspólnocie ognia, wszyscy mogli ją zobaczyć.

Obok niej zmaterializowała się Helen i wszyscy ją też zobaczyli. Posiadała umiejętność kamuflowania swej postaci, ale nie robiła już tego.

Co się tu działo, u licha?

Zabójcy, po kolei, opowiadali mi historie o czasie, jaki ze mną spędzili. Jednak te pierwsze nie poruszyły mi serca. Słuchałam, ale nie widziałam. Potem przemówiła mała Emma i wtedy puls powrócił do mojej piersi. Dwie siostry, które łączyła głęboka miłość. Rozdzielone za sprawą wypadku, a jednak zdolne odnaleźć się ponownie.

Pulsowanie nasiliło się jeszcze bardziej, gdy przemówiła Helen. Matka, która wyrzekła się jedyne dziecko, by je chronić. Matka, która oplakiwała tę stratę każdego dnia, przez resztę swego zbyt krótkiego życia. Matka walcząca uporczywie o drugą szansę.

Kiedy przyszła kolej na Szrona, wstał i wyszedł z pokoju. Nie mówiąc ani słowa.

Pulsowanie... niepowstrzymane teraz, pochłaniające mnie bez reszty, sprawiające ból. Zgięłam się, próbując złapać oddech. Przez mój umysł przemknął obraz. Ciemnowłosa dziewczyna o orzechowych oczach... pomagała mi przywiązać balonik z życzeniami do przejechanego na drodze zwierzęcia. Kochała mnie, gdy wszyscy inni odwrócili się do mnie plecami. Roześmiana, zawsze roześmiana. Żywa.

Gdzie była? Jak to się stało, że nie miałam okazji z nią porozmawiać? Bo uosabiała

radość i miłość, a ja tak bardzo chciałam...

Przywołać ją.

Tak. Przywołać. Ale nie mogłam. Nie żyła, odeszła.

Jej oczy – pozbawione wyrazu. Jej ciało – nieruchome. Całe we krwi.

Kat!

To imię rozbrzmiało krzykiem w mojej głowie, a wraz z nim pojawił się ból... zbyt wielki. Poczułam łzy na policzkach.

– Kat. – Powiedziałam to. Musiałam.

– Jej pogrzeb jest jutro – wyjaśniła Mackenzie, pociągając nosem. – Chciałaby, żebyś była obecna.

Jej imię. Nie pomyliłam się.

– Sądźmy, że Szron widział jej ducha, co znaczyłoby, że Kat jest świadkiem jak Emma albo Helen, ale nie chce potwierdzić ani zaprzeczyć – powiedziała Reeve, ocierając łzę.

Złapałam się za serce. Gdzie był Cole? Potrzebowałam Cole'a. Nie bardzo wiedziałam dlaczego.

Jakbym go właśnie przywołała, wyłonił się zza pozostałych. Może naprawdę go przywołałam. Istniała między nami więź. Ani na chwilę nie odrywał ode mnie wzroku. Wyciągnęłam do niego ręce, a on wziął mnie w ramiona, żeby zanieść do swojej sypialni. Posadził na brzegu łóżka. Kiedy podniosłam głowę, zrozumiałam, dlaczego nie uczestniczył w seansie opowieści. W całym pokoju porozwieszał nasze zdjęcia wielkości plakatów.

Uśmiechaliśmy się na nich. Śmiałyśmy. Całowaliśmy.

Moje i tak już wrażliwe nerwy doznały wstrząsu, kiedy klęknął przede mną i odgarnął mi włosy z czoła.

– Żadnych więcej opowieści – powiedziałam. – Nie teraz.

– Przepraszam, kochanie, ale zamierzamy cię nimi raczyć, aż twoje wspomnienia zostaną całkowicie odkryte. A jeśli się nie uda, to, no cóż, zaczniemy tworzyć nowe. Od tej chwili. – Zacisnął palce na kołnierzu podkoszulka i ściągnął go przez głowę.

Sapnęłam na widok pięknego bufetu, który ukazał się nagle moim oczom. Siła i żywotność – życie. Był opalony na brąz i umięśniony. Wytatuowany – wielkie nieba! To było moje imię na jego piersi, litery biegły od jednego sutka do drugiego. Ali Bell, nie Sami. I w jednym z tych sutków miał kolczyk!

Nie mógłby być bardziej seksowny.

Wyciągnęłam rękę, nim sobie to w ogóle uświadomiłam, i musnęłam opuszkami palców srebrny krążek. Metal był chłodny, twardy. Cole naprężył mięśnie klatki piersiowej i syknął.

– Gavin zaczął cię nazywać królową martwych serc – powiedział. – I wiesz co? Ma rację. Pasuje do ciebie. Nim się pojawiłaś, nie żyłem tak naprawdę. Egzystowałem. Przeskakiwałem od dziewczyny do dziewczyny. Zabijałem zombi. Byłem jak martwy, ale ty przywróciłaś mnie do życia. I jesteś zdecydowanie królową mojego serca.

Roztapia mnie...

– Wiesz, co jeszcze sobie uświadomiłem? – spytał. – Nigdy nie byłaś „nią”. Twoja matka nią była.

„Nia”?

– Nie rozumiem.

– Dzięki niej, dzięki temu, co dla ciebie zrobiła, umierając, mieliśmy szansę. – Ujął garść moich włosów. – Nie mogę tak naprawdę żałować przeszłości, bo w przyszłości mam ciebie.

– Cole.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Jego wargi przywarły do moich, jego język wdarł

się do moich ust, a ja poczułam smak truskawek, których woń mnie otaczała, ilekroć był blisko.

Stwierdziłam nagle, że moje ręce, jakby obdarzone własną wolą, objęły go, że przechylałam głowę, by go powitać i przyjąc w siebie jeszcze głębiej, rozsunałam nawet nogi w niemej prośbie bliskości. Prośbie, którą musiał usłyszeć. Zsunął dłonie na moje pośladki i przyciągnął mnie bardziej i teraz jego twardość stykała się z moją miękkością.

Krew grzała się we mnie coraz mocniej... Zaczęłam się poruszać bez jakiegś świadomej myśli. Moje palce, zaplątane w jego włosach; potem zsunęły się niżej, zaczęły gładzić krawędzie jego twardości. Moje dłonie, bawiące się paskiem jego spodni; potem rozpięły zamek błyskawiczny, nim zdołałam przeanalizować w głowie to, co się dzieje.

Kiedy to zrobiłam, nie poczułam się wystraszona. Poczułam się podniecona.

Cole zerwał ze mnie koszulę, rozpiął stanik. Całował odsłoniętą skórę – a w moim umyśle mignął obraz. Z minionego czasu, kiedy rozbierał mnie na chodniczku, a ja otworzyłam się przed nim, on zaś zabrał mi dziewictwo.

Odcisnął na mnie wtedy swe piętno. Na duchu, na duszy i na ciele. Nie pozostawił na mnie ani jednej nietkniętej cząstki. Byłam wówczas jego dziewczyną i byłam nią teraz. Ta świadomość, ta wiedza wzbierała we mnie, nie mogąc pozostawać dłużej zakrytą.

– Cole! – wykrzyknęłam, a on znieruchomiał. – Już to robiliśmy.

Pomyślałam chwilę wcześniej, że znieruchomiał. Teraz zdawało się, że w ogóle nie oddycha.

– Tak.

Zamknęłam oczy, nie zwracając uwagi na chłodny dotyk powietrza na skórze. Miałam wrażenie, że przez każdy centymetr mojego ciała przebiega przewód pod napięciem, a pocałunek Cole'a, za sprawą tego przewodu, przebija mroczne chmury i zagłębia się w ocean pamięci. Dobry, zły, brzydki. Burza w mojej głowie. Pierwsze sześć lat życia z Helen. Nowa miłość do taty i Mirandy. Emma. Wypadek. Spotkanie Cole'a. To, jak się w nim zakochałam. Niewola w Animie po raz pierwszy, tortury. Kat, och, radość, jaką dawała Kat. Ból wywołany przez jej stratę. Niewola w Animie po raz drugi.

Wreszcie zwycięstwo.

Fala emocji. Szczęście, żal, smutek, przygnębienie, więcej radości, więcej bólu, gniew – triumf. Ciemne chmury przeredziły się... przejaśniały.

– Wygraliśmy – powiedziałam, wstrząśnięta do głębi.

Cole zeszytniał, jakby nie śmiał żywić nadziei.

– Pamiętasz?

– Tak. Naprawdę. – Po policzkach ciekły mi łzy. – Pamiętam wszystko.

– Dzięki Bogu! – Przysunął się błyskawicznie i rzucił mnie na łóżko, biorąc w objęcia, przygniatając swoim ciężarem. Pocałunek w czoło, w czubek nosa. W naznaczone łzami oczy i wreszcie, och, cudownie, w usta. – Rebecca... ma twoje...

– Umiejętności. Jestem tego świadoma. – Teraz. – Odbiorę je... a potem jej wspomnienia. – Decyzja nabierała wraz ze słowami mocy. – Nigdy już nie będzie mogła nas skrzywdzić. Wojna się zakończy.

Raz na zawsze.

I będziemy mogli żyć, uświadomiłam sobie. Naprawdę żyć. Będziemy mogli oczyszczać zombi. Nowy cel. Większy. Dar, w którym jest życie, zamiast końca, w którym jest śmierć.

Czy dziewczyna mogła pragnąć czegoś więcej?

– Kocham cię, Cole'u Hollandzie.

– Ja ciebie też kocham, Ali Bell. A teraz... chyba czas, żebyśmy przestali gadać i wykorzystali usta w inny, lepszy sposób.

– Hej! Ja ci to kiedyś powiedziałam.
– I była to zdecydowanie najmądrzejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem.
Roześmiałam się, kiedy mnie pocałował.

*

I oto uczestniczyłam w celebracji życia Kat. Straciłam ją już dwukrotnie i powinnam być przygotowana na emocjonalny wstrząs. Ale nie byłam. Płakałam jak dziecko i nie wstydziłam się tego.

W głębi duszy wiedziałam, że nie chodzi o to, jak długo żyjemy, tylko jak żyjemy. A ona żyła dobrze. Zaznaczyła swą obecność. Kochała. Zmieniła mnie nieodwracalnie na lepsze.

Detektyw Verra znalazła jej ciało wewnątrz budynku Animy, wraz z setkami innych. Potem wydała oficjalne oświadczenie – firma porywała ludzi, żeby przeprowadzać nielegalne testy leków, które miała sprzedawać na czarnym rynku.

Świat był poruszony do głębi.

I słusznie.

Tata Kat stał przy jej trumnie, jego ramionami wstrząsał szloch. Od chwili narodzin córki wiedział, że pewnego dnia ją straci, ale tak jak ja nie był na to przygotowany. Zdmuchnięto jasny promyk światła w bardzo mrocznym świecie. Potrzebowaliśmy takich promyków więcej.

Wren i Poppy też się zjawily. Obie mnie uściślały i choć nie wspomniały słowem o zombi, wiedziałam, że zaakceptowały prawdę. Wykazywały się teraz czujnością, traktując nieufnie tych, którzy je otaczali.

Choć świeciło słońce, powietrze było przenikliwie zimne, włosy, porywane przez wiatr, chłostały mnie po policzkach. Słyszałam mgliście, jak ludzie rozmawiają o Kat, o tym, jak naznaczyła ich życie, ale nie docierało to do mnie. Tkwiłam zbyt głęboko we własnych wspomnieniach.

Wspomnieniach o tym, jak się śmiałyśmy i dokuczałyśmy sobie. Jak bardzo byłyśmy związane. Nawet śmierć nie mogła przerwać tej więzi. Była zbyt silna. Zbyt cenna.

Mimo to tęskniłam za tą dziewczyną.

Tylko jedna myśl nie pozwalała mi się załamać. Znów mogłyśmy mieć to wszystko. Jej ciało było martwe, tak, ale jej duch żył nadal. Przebywała tam w górze i pewnego dnia miałam się z nią połączyć. Objąć ją i nigdy nie wypuścić z ramion. Byłoby lukrowo.

Szron stał z boku, z dala od tłumu. Nosił ciemne okulary, za którymi ukrywał oczy. Głowę miał spuszczoną, dłonie zaciśnięte w pięści. Jego widok łamał mi serce.

Szybko jednak poskładało się na nowo, gdy dostrzegłam dwie dziewczyny stojące ramię w ramię kilka kroków od niego. Emma i Kat. Były tutaj!

Chciałam do nich podbiec, ale nie zrobiłam tego. Zakłócenie uroczystości byłoby niewybaczalne. Stałam w miejscu i czekałam, ściskając rękę Cole'a, by nie ulec pokusie. Pocałował mnie w czoło; zawsze mogłam liczyć na jego pociechę i wsparcie.

W końcu wszyscy zaczęli się z wolna rozchodzić.

Kat obserwowała Szrona z troską na twarzy.

– Gotowa, kochanie? – spytał mnie Cole.

– Porozmawiajmy z dziewczynami.

– Są tutaj?

– Tak.

Puściłam jego dłoń i podeszłam do nich szybko. Obie się uśmiechnęły, a ja mogłabym przysiąc, że słońce zaświeciło mocniej.

– Rany. Zauważyłaś, ilu ludzi tu było? Całe tony! – zawołała Kat. – Ożywiłam pogrzeb.

Nieźródlna Kat.

Uniosła brwi i powiedziała coś, co mówiłam wcześniej wiele razy Cole'owi.

– Za wcześnie na żarty?

– „Na zawsze” to za wcześnie – mruknęłam.

Cole stanął za mną i objął mnie.

– Dziewczyny wciąż tutaj?

– Nie widzisz ich? – spytałam.

– Nie.

– Dlaczego nie może was zobaczyć? – zwróciłam się do dziewczyn. – W przeszłości zawsze widział Emmę.

– Helen nauczyła nas, jak się kamuflować – wyjaśniła Emma z niekłamaną dumą. Potem dodała szeptem: – Wolno nam rozmawiać tylko z tobą.

Pocałowałam Cole'a w policzek.

– Daj nam chwilę, dobrze?

Ścisnął mi rękę i poszedł do samochodu. Nie usiadł za kierownicą, tylko oparł się o drzwi, czekając na mnie, zawsze troskliwy i czujny.

Kat spojrzała na mnie z błyskiem w oku, który jednak szybko przygasł.

– Martwię się o Szrona.

Szczerze?

– Ja też.

– Zaopiekuj się nim – poprosiła.

– Obiecuję.

– I sobą też. – Jej uśmiech był pełen smutku, ale też nadziei. – Choć bardzo chcę wyprawić ci tam w górze przyjęcie pod hasłem „witaj na zawsze”, pragnę, byś żyła bardzo, bardzo długo. Żebyś robiła to, do czego się urodziłaś. Żebyś odcięła się od przeszłości, bólu i smutku, bo one stoją ci na drodze, i podążyła naprzód. Ty, panna Ali-kot Bell, możesz dokonywać wielkich rzeczy. I nie mówię tylko o twoich umiejętnościach zabójcy. Zmienisz świat i zaprowadzisz zombi do światła. Nie pozwól, by cokolwiek ci w tym przeszkodziło.

Poczułam w oczach łzy.

– Spróbuję.

– Nie próbuj – wtrąciła Emma. – Zrób to.

Skinęłam głową, bo odebrało mi nagle mowę. Te dziewczyny wiedziały, jak pominąć bzdury i dotrzeć od razu do sedna.

Uśmiechnęły się do mnie po raz ostatni, a potem zniknęły.

Stałam w miejscu długą chwilę, już tęskniąc za nimi. Znowu. Bardziej. Ale Kat miała rację. Był już najwyższy czas odciąć się od przeszłości i podążyć naprzód. Miałam mnóstwo do zrobienia – mnóstwo mnie czekało. A wraz z Cole'em i innymi zabójcami mogłam dokonać wszystkiego.

Zrobić wszystko, do czego się urodziłam. Wciąż nie wierzyłam w przeznaczenie, w to, że wszystko, co się wydarza, jest nam pisane. Wierzyłam jednak, że każdy z nas ma jakiś cel i że każdy musi ruszyć tyłek i zrobić to, co konieczne, by ten cel osiągnąć.

Byłam gotowa.

Uśmiechałam się, podchodząc do Cole'a, a on uśmiechnął się do mnie. Wiedziałam, że to nie jest dla nas koniec, ale zaledwie początek.

Od Cole'a

Niech zgadnę. Przeskoczyliście na koniec książki. Czytacie to, zanim zdążyliście rzucić okiem na choćby jedno słowo opowieści Ali, bo jesteście zbyt niecierpliwi i musicie się koniecznie dowiedzieć, czy dla wszystkich jest ten sam finał: żyli długo i szczęśliwie.

Kiepsko.

Nic wam nie powiem. Taki ze mnie drań.

Albo taki był. Słyszycie, jak gderam? Ali ma na mnie dziwny wpływ. Wzięła serce twarde jak gład i oplecione drutem kolczastym, a potem obtłukiwała je tak długo, aż znalazła coś w rodzaju środka, miękkiego jak ciążutka.

Nigdy nie będę już taki sam.

Nie chcę taki być.

Więc w porządku. Okay. Chcecie odpowiedzi. Oto one.

Czy każdy żył długo i szczęśliwie? Przykro mi, ale nie.

Witajcie w świecie.

Minęły cztery tygodnie od celebracji życia Kat, jak nazywa to Ali, a Szron jest wciąż w rozsypce. Nawet gorzej. Jego ból jest... Brak słów, by to oddać. Serce mi się kraje, ilekroć na niego patrzę. Zamienił się w kogoś, kogo nie znam, wszystko, co robi, jest obliczone na zniszczenie własnego życia w ciągu najbliższych minut. Nie mam pojęcia, jak mu pomóc, i nie jestem pewien, czy upływ czasu ukoi jego cierpienie. Potrzebuje czegoś, czego nie mogę mu dać.

Potrzebuje spokoju.

Uważa, że Ali może mu go dać. Codziennie błaga ją, by zakryła jego wspomnienia.

Ona codziennie odmawia.

Zaczął o to prosić nawet mnie... jeśli nie mnie, to innych. Za sprawą swego ognia Ali podzieliła się z nami swoimi umiejętnościami. Nawet umiejętnością oczyszczania zombi. To dziwne – pomagać istotom, które niegdyś niszczyliśmy z taką zjadłością. Ale to też jest poniekąd wspaniałe. Mają przed sobą przyszłość, tak jak my.

Teraz ja, Ali. Tak, mamy przed sobą przyszłość. Najwspanialszą na świecie.

Cole kreśli plany. Skończy szkołę średnią, a ja rok później. Pójdziemy razem na studia.

Wstąpi do policji, może zostanie nawet największym pogromcą przestępczości, a potem agentem FBI, ja natomiast zajmę się psychoterapią. Pobierzemy się – mówi, że może nawet jeszcze przed studiami. Nie ma mowy, by innym facetom przychodziło do głowy coś na temat jego Ali-gatora, bo będzie musiał dać sobie spokój z marzeniami o zwalczaniu zła i stać się przestępcą. Doszłoby do łamania kości. Do rozlewu krwi. Nie miałabym jednak nic przeciwko masakrze. Znam bestię, z jaką się złączyłam, i kocham go takim, jakim jest.

Teraz ja, Cole. Zabieram swój list.

Wcale nie chciałeś go pisać.

Narzekasz? Bo brzmi to tak, jakbyś narzekała.

Świetnie. Weź pióro, a ja pokażę ci swój ulubiony palec.

Chcesz mi powiedzieć, że jestem numerem jeden w twoim sercu? Kochanie, już to wiem.

No dobrze, Smith też nie żyła długo i szczęśliwie. Ali zakryła jej pamięć i posłała do diabła. Moja dziewczyna wyznała, jak bardzo pragnie zabić kobietę odpowiedzialną za tyle zła, ale wie, że musi uwolnić się od nienawiści, nim pod jej wpływem zmieni się w kogoś, kim nie jest. Kogoś takiego jak Smith. Zimnego, bezdusznego. Kogoś, kto nie przejmuje się stratami ubocznymi.

Jestem z niej dumny. Nienawiść byłaby łatwa.

Wciąż zmagam się ze swoją. Ale to w porządku. Uświadomiłem sobie, że nienawiść... a nawet miłość... to coś więcej niż emocje, coś więcej niż słowa. Stanowią wybór. Ja decyduję, co powiedzieć, co zrobić. I zdecydowałem postawić na miłość. Na Ali. Zawsze była i zawsze będzie morałem mojej opowieści.

Niechaj świeci wasze światło.

Cole i przyszła pani Cole.

Ali i przyszły pan Ali.

PS Ten list ulegnie za dziesięć sekund autodestrukcji.

PODZIĘKOWANIA

Miłość nigdy nie zawodzi. Wiem, że to prawda, bardziej teraz niż kiedykolwiek. Dziękuję Bogu, Temu, który mnie pobłogosławił, dodał mi sił i bez względu na to, co działo się w moim życiu, zawsze wskazywał mi drogę. Każdego dnia mówisz: „Jesteś moja”, a ja każdego dnia odpowiadam: „Jestem Twoja. Zawsze”.

Dziękuję Natashy Wilson, redaktorce, którą trudno wręcz opisać – mimo to spróbuję. Genialna. Oddana. Zdumiewająca. Wspaniała. Zabawna. Dowcipna. Utalentowana. Lukrowa (wiesz, że nie mogłam się w tym wypadku oprzeć). Dzięki tobie ten cykl stał się radością pod każdym względem, ja zaś będę ci zawsze wdzięczna za celne uwagi i wsparcie!

Dziękuję blogerce Book Rock Betty, która nieraz zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Jest bardzo niewielu ludzi, których uważam za duchowo mi bliskich, a ty jesteś jedną z nich. Sprawiasz, że się uśmiecham. Sprawiasz, że się śmieję. Sprawiasz, że jestem szczęśliwa (wyczuwasz temat? Przesyłam całusy). Znajomość z tobą jest dla mnie błogosławieństwem! PS Cole + Betty = WIECZNA MIŁOŚĆ.

Dziękuję T.M. Penningtonowi, człowiekowi rozlicznych talentów, dyrektorowi marketingu i pisarzowi, który poświęcił część swego ograniczonego czasu na swą mistrzowską ocenę. Dzięki, dzięki, po tysiącakroć dzięki!

Dziękuję Katie McGarry, niezwykłej kobiecie i autorce, którą podziwiam i uwielbiam. Jesteś inspiracją, skarbem i jeszcze jedną bliską mi duchowo osobą. Słowa wdzięczności za wsparcie!

Dziękuję Jill Monroe, która towarzyszyła mi na każdym etapie tego cyklu. Kiedy jestem smutna, podnosisz mnie na duchu. Kiedy jestem szczęśliwa, śmiejesz się ze mną. Kiedy pracuję, zachęcasz mnie. Moje życie jest lepsze, bo ty w nim jesteś!

Dziękuję Bo, Nikole, Izabelli, Abrielle Pham i Brook LeFlore z Cafe Bella w Oklahomie. Wasza kawa i lunchy są tak cholernie pyszne, że powinno się je zaliczyć do narkotyków – jestem uzależniona!

I dziękuję wszystkim, którzy zakochali się w Ali, Cole’u i pozostałych z gangu. Dziękuję wam! Dziękuję za to, że zaprosiliście moich bohaterów do swoich domów, że ich wspieraliście, nawet czasem mieliście ochotę walnąć ich w gardło, że rozmawialiście o nich jak o prawdziwych ludziach – bo są totalnie prawdziwi! – i że wybraliście się w tę szaloną podróż wraz z nimi. Niechaj światło jest zawsze obecne w waszym życiu i niechaj odegna ciemność!

BONUS

Od Geny

Witajcie, wszyscy! Mam dla Was w prezencie dodatkową scenę: wielkie zerwanie w rozdziale piątym *Alicji i lustra zombi* opisane z punktu widzenia Cole'a.

Zauważcie, że chociaż *Alicja w krainie zombi*, *Alicja i lustro zombi* i *Królowa martwych serc* są napisane bez wyjątku w czasie przeszłym, nie dotyczy to tej właśnie sceny. Kiedy zasiadłam do pracy, czas teraźniejszy pojawił się sam; nie mogłam się jakoś zmusić do tego, by to zmienić. Spójrzmy prawdzie w oczy. W tym momencie opowieści Cole żyje chwilą obecną. Poza tym jest moim książkowym chłopakiem, więc daję mu to, czego żąda.

Jak się zapewne domyślacie, kreślenie tej sceny po raz pierwszy rozdzierało mi serce, ale szczerze powiem, że za drugim razem było jeszcze gorzej. Cole nie owija w bawełnę.

Mam nadzieję, że ta wizyta w jego głowie sprawi wam taką samą przyjemność jak mnie!

Cole

Wojna jest wszystkim, co znam. Urodziłem się, gdy trwała, i umrę w jej trakcie. Pogodziłem się z tym. Do diabła, nie chciałbym, żeby było inaczej. Zabiorę ze sobą niezliczone zombi.

I uczynię to z uśmiechem na ustach.

Wcześniej ginęli moi przyjaciele. Wielu przyjaciół. Po jakimś czasie człowiek obojętnieje. Myślałem: kolejna ofiara. W mordę, nienawidzę tego. A potem znów robiłem swoje.

Musiałem. Na wojnie, w przeciwieństwie do meczu, nie ma przerwy. Zresztą dla zabójców jest lepiej, jeśli nie ulegają za bardzo uczuciom. Wiem o tym. Zawsze wiedziałem. A jednak tu jestem, gotów rozwałać gołymi rękami ściany tej sypialni. Nie obchodzą mnie codzienne napięcia, które mnie ostatnio prześladowały. Na łóżku leży moja dziewczyna i umiera. Trwa to już od wielu dni. W każdej minucie, w każdej sekundzie staram się nie tracić nadziei.

To, czego się dowiaduję: jestem silny, ale moja siła jest niczym w obliczu „tego”.

Co, u diabła, mam robić?

Ali wierzga nogami i ściąga z siebie pościel. Kiedy zaczyna dzwonić zębami, ponownie przykrywam ją grubą i ciężką kołdrą. Ale po krótkim czasie znów robi się jej gorąco i znów się odkrywa. Próbuje nawet zerwać z siebie ubranie.

– Ali...

Chwytam jej rękę, przytrzymuję. Resztki obojętności, jaka we mnie jeszcze pozostała, znikają. Ogarniają mnie bezbrzeżne panika i strach.

Ta dziewczyna pojawiła się w moim życiu niczym tornado, którego nie mogłem powstrzymać. Teraz jestem uzależniony od gwałtowności wiatru. Zaprzeczyc uczuciom, jakie wobec niej żywię? Niemożliwe. Złamała mnie i poskładała na nowo; niech mnie wszyscy diabli, jeśli pozwolę, by mi ją zabrano.

– Nakarm mnie. – Jej głos to urywane chrypienie.

Gdyby mogło to pomóc, nakarmiłbym ją. Nic by mnie nie powstrzymało. Ale ona nie łaknie jedzenia. Jest zainfekowana zombiczną toksyną i pragnie mojego ducha.

Doświadczyłem na sobie efektów ukąszenia zombi i wiem, że Ali jest zanurzona w oceanie bólu i agonii, że próbuje wydostać się z wody, ale szybko tonie. Odciałbym sobie rękę, gdyby oznaczało to, że mogę wchłonąć jej cierpienie i walczyć z nim dla jej dobra.

Drży, znów pogrążona w lodowatym zimnie. Głaszczę ją po policzkach, żeby ulżyć jej w jakiś sposób. Jakikolwiek.

Cofa się przede mną gwałtownie.

– Nie. Nie rób tego.

– Ali. – Jej imię to modlitwa, żądanie. Ulecz się. Musisz się uleczyć.

Odwraca głowę w moją stronę i próbuje mnie ugryźć. Oczy ma zamknięte. Instynkt zombi. Pogardzam bezgranicznie pożeraczami dusz, do głębi własnego jestestwa, a mimo to walczę z pokusą, by dać jej to, czego pragnie; to potrzeba. Jej odmowa jest dla niej torturą.

Do pokoju wchodzi mój tata i z przekleństwem na ustach przyciska głowę Ali do poduszki. Ten widok jest trudny do zniesienia. Osoba, którą kocham, stara się obezwładnić drugą osobę, którą kocham.

– Nie wytrzyma długo – mówi ojciec.

Wiem.

– Zaaplikowałem jej wiele godzin temu podwójną dawkę antidotum. – Wsuwam dłoń we

włosy i szarpie je odruchowo. – Dlaczego nie ma poprawy?

Widzę, jak drga mu szczęka.

– Daj jej następną dawkę.

Następną? O ile się orientuję, żaden zabójca nigdy jeszcze nie przyjął tak dużej ilości antidotum w tak krótkim czasie. Nie znamy długofalowych efektów.

– Może tyle zażyć?

Jego spojrzenie jest posępne.

– A mamy inne wyjście?

Nie, nie mamy. Jeśli będzie podążała tą drogą, to w końcu umrze, a jej duch wstanie z martwych, stanie się skorupą wypełnioną absolutnym złem. Ali odejdzie na zawsze, na zawsze ją stracę.

Wyobrażam sobie, że muszę walczyć z zombi o jej pięknej twarzy, i myślę sobie, że wolałbym prędzej umrzeć. Chwytam jedną ze strzykawek na biurku i wbijam igłę głęboko w jej szyję. Z początku wije się i kłapie na mnie zębami. W końcu, dzięki Bogu, osuwa się na materac, jej głowa opada bezwładnie na bok.

– Dobrze. To dobrze. Najgorsze minęło – mówi tata.

Ulga zalewa mnie jak niepowstrzymana fala. Z trudem trzymam się na nogach.

Tata umieszcza iPoda Ali w stacji dokującej, potem przysuwa sobie krzesło i opada na nie ciężko. Mówi coś, ale jestem zagłębiony w swoich myślach i jego słowa docierają do mnie zniekształcone. Wydaje mi się, że wychodzi. Nie ruszam się z miejsca. Nie dbam o to, kiedy Ali się ocknie. Będę tu, gdy otworzy oczy. Wezmę ją w ramiona.

Chcę ją wziąć w ramiona.

Ostatnio dochodziło między nami do napięć. Ukrywałem przed nią pewne rzeczy, spotykałem się z zabójcą, któremu nie powinienem ufać; wierzę mu, gdy mówi, że w grupie moich przyjaciół jest szpieg. Przedstawia niepodważalny dowód.

Ali zna mnie dobrze, wie, że coś jest nie tak. Nie chcę z nią o tym rozmawiać i to ją boli. Próbowałem się od niej odseparować, by ulżyć jej w tym bólu, podczas gdy sam będę poszukiwał prawdy. Jeśli się dowie tego, co podejrzewam, zechce mi pomóc. Będzie nalegała. Bo jest taka uparta. Jednak oskarżać niewłaściwą osobę to prowokować jej gniew, może nawet nienawiść. Już mi się to przytrafiło, więc nie zamierzam narażać Ali na coś takiego. Sam sobie poradzę z konsekwencjami.

– Ali, chcę, żebyś się obudziła, okay? – Nigdy jeszcze w moim głosie nie było tyle błagania.

Żrenice pod jej powiekami zaczynają się poruszać. Walczy z całych sił.

– Dobra dziewczyna – mówię. – Tak trzeba. Wróć do mnie, kochanie.

Choć zmaga się jeszcze przez chwilę, wysiłek ją męczy; znowu opada na materac.

Jakaś dłoń klepie mnie szorstko po ramieniu.

– Posiedzę przy niej, jeśli chcesz odpocząć i wziąć prysznic... Szczerze mówiąc, zalecam to.

Podnoszę wzrok. Obok mnie stoi Gavin. Znam go od dawna. Od lat. Zawsze go lubiłem. Kiedyś polowaliśmy razem na brunetki z takim samym zapalem, z jakim teraz polujemy na zombi.

– Nie, ja...

...świat wokół mnie blaknie, pojawia się nowy, który z wolna przybiera kształt.

Po raz pierwszy w naszej historii usidla nas wizja. Zdarzały mi się jedynie z Ali, ale nie ma czasu, by się zastanawiać nad tym, dlaczego dzielę ją z kimś innym.

Wchodzimy, ja i Gavin, do jakiegoś pomieszczenia w domu pana Ankha. W tym domu.

Na parterze. Pokój zabaw. Szczegóły uderzają mnie niczym pociski. Przyjęcie dobiega powoli końca. Ali stoi w odległości kilku kroków ode mnie. Jest coraz piękniejsza, ilekroć ją widzę. Wysoka i szczupła, z burzą bardzo jasnych blond włosów okalających twarz wprost z książeczki dla dzieci. Jest księżniczką, która ocali całe królestwo. Dziewczyną z misją, którą dopiero teraz zaczyna rozumieć.

Dziewczyną, na którą warto czekać.

Ali jest wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem, wszystkim, czego potrzebowałem, nawet o tym nie wiedząc. Nie chodzi tylko o wygląd zewnętrzny. Jest dowcipna. Chcę całować nawet słowa, które padają z jej ust. Jest mądra i silna. Silniejsza, niż sobie dotąd uświadamiała. Silniejsza ode mnie. Lojalna, dzielna. Uczciwa. Nie toleruje kłamstwa. Czy zdaje sobie sprawę, jakim jest darem? Jest pociechą, jest spokojem.

W tym życiu wypełnionym od początku wojną jest smakiem spokoju.

Dostrzega nas i uśmiecha się z radością. Promienieje dosłownie, ja zaś przystaję jak wryty. Jak mogłem bez niej w ogóle istnieć? Ona jednak wpada w jego ramiona. Jego. Gavina. Nie moje.

Ona... chce być z nim?

Będzie z nim?

Wprawia mnie to w osłupienie.

Gavin obejmuje ją, ona kładzie mu dłonie na policzkach, jak ja z nią tylekroć robiłem, potem wspina się na palce i całuje go miękko w usta.

Chcę temu zaprzeczyć każdą cząstką ciała. Chcę ją oderwać od niego, samemu wziąć ją w ramiona, tam gdzie jej miejsce, i domagać się, by przywarła wargami do moich warg. Tylko do moich, zawsze. Chcę nią potrząsnąć. Tak bardzo, by pamięć o Gavinie została raz na zawsze wymazana. Chcę jej powiedzieć, żeby trzymała się z dala od tego faceta. Żeby nigdy z nim nie rozmawiała. Nawet na niego nie spojrziała. Nie jest dla niej odpowiedni. Złamie jej serce.

Nie pomoże mi to, jeśli jej powiem. Wizje zawsze się sprawdzają...

...pokój zabaw znika w morzu czerni. Mrugam i oto znajduję się z powrotem w sypialni. Znajdujemy się z powrotem w sypialni. Gavin odsuwa się ode mnie niepewnym krokiem. Jest blady, najwyraźniej roztrzęsiony. Wiem, że dzielił ostatnio wizję z Ali. Nie tylko się całowali; obmacywali się. Usłyszałem o tym od Gavina; Ali nie chciała mówić na ten temat. Próbowałem przekonywać samego siebie, że błędnie zinterpretowali to, co widzieli.

Nie mogę tego teraz zrobić.

– Wyjdź – rzucam gniewnie, zaciskając dłonie na oparciach fotela, żeby nie rzucić się na tego chłopaka. Mam ochotę go zabić. I dysponuję umiejętnościami, które na to pozwalają. Potrafię nawet upozorować wypadek. Wiem, gdzie ukryć ciało. Ali nigdy się nie dowie, co się stało. Ale mogłaby za nim tęsknić, opłakiwać go, a ta myśl doprowadza mnie do obłędu. – Wyjdź. Natychmiast.

Wychodzi. Ratuje mu to życie.

Próbuję oddychać. W moim umyśle jest teraz tysiąc min przeciwpiechotnych, a ja wchodzę na każdą z nich. Ali mnie zostawi. Bum! Ali zakocha się w Gavinie. Bum. Ali będzie całować i dotykać Gavina. Bum! Gavin ją zdobędzie, a ja... ja ją stracę. Bum, bum!

Nie jestem nawykły do bezradności. Jeśli pojawia się jakiś problem, zaczynam działać. Naprawiam. Sprawy przedstawiają się lepiej. Ale z tym nic nie mogę zrobić i wiem o tym. Nie mogę zmusić kogoś, żeby mnie kochał.

Porusza się na materacu, unosi powieki, ukazując oczy koloru doskonałego letniego poranka, czyste i niebieskie, olśniewające.

– Cześć – mówię. Sięgam do jej ręki, ale nieruchomieję, nim jej dotykam.

Nie może się do końca skupić.

– Cześć. – Jej głos jest inny. Chrapliwszy. – Cieszę się, że znów ze mną rozmawiasz.

Powinennem się do niej uśmiechnąć, dodać jej w jakiś sposób odwagi, ale marszczę czoło. Cieszysz się, że jestem tutaj w tej chwili. Ale jak długo to potrwa? Kiedy zaczniesz się radować obecnością Gavina?

– Nie zdarzyło się nigdy, żebym nie chciał z tobą rozmawiać – mówię.

– Wobec tego mnie unikałeś.

Nie mogę jej okłamywać... Nie będę.

– Tak.

Jej spojrzenie napotyka moje i, jak w przypadku Gavina, rodzi się wizja...

...jesteśmy w pokoju zabaw pana Ankha. Stoję naprzeciwko niej, uśmiechając się z powodu tego, co mówi mi Veronica. Ledwie jej słucham, pochłonięty bez reszty faktem, że Ali znów znajduje się blisko Gavina i dotyka jego policzków.

Pomimo dzielącego nas dystansu, słyszę, co do niego mówi.

„Jesteś lepszym człowiekiem, niż byłam gotowa kiedykolwiek przyznać”.

„Wiem” – odpowiada Gavin. Uosabia buńczuczną pewnością siebie, a ja mam ochotę wpakować mu pięść w nos i wbić mu chrząstkę w mózg.

„I taki skromny” – dodaje Ali.

Gavin parska śmiechem.

„Jesteś zadowolona, że sprawy przybrały taki obrót?”

Ali zerka w moją stronę, nieporuszona tym, że przy boku mam Veronicę.

Nieporuszona. Jakby nie obchodziło jej, że jestem w towarzystwie byłej dziewczyny. Jakbym ja jej nie obchodził.

„Tak – odpowiada. – Tak, jestem...”

...wizja urywa się, nim Ali ma czas powiedzieć cokolwiek, i znika w jednym przerwany uderzeniu serca.

Chowam twarz w dłoniach, przesuwam palcami po włosach, które i tak są już zmierzwiłone. Dodatkowy dowód. Koniec jest blisko. Zegar odmierzający sekundy naszego związku zamiera z wolna.

Wypełnia mnie gniew. Nie. Gniew to za delikatne słowo. Wypełnia mnie wściekłość. Jest mroczna, ciężka i kolczasta, przygniata mnie, tnie na kawałki. Dlaczego Gavin? Dlaczego on, a nie ja?

– Gavin to podrywacz, wiesz o tym. – Napęlam swój głos lodem, by ukryć wściekłość.

– Nigdy nie był z jedną dziewczyną dwa razy. I nigdy nie lubił blondynek. Nie zostanie z tobą długo.

– Nie interesuje mnie Gavin – mówi pospiesznie. – Cole, musisz...

– Nic nie mów. Po prostu... nie mów.

Jej zapewnienia tylko pogorszą sprawę. Pewnego dnia będę musiał patrzeć, jak zakochuje się coraz bardziej w jednym z moich przyjaciół. Będę zdruzgotany.

Jestem zdruzgotany.

Chwytam dwie poduszki i układam je za jej plecami. Kiedy sadowi się wygodnie, biorę ze stolika nocnego szklankę wody i przysuwam do jej warg.

– Pij.

Słucha, a jej policzki odzyskują naturalną barwę.

– Dziękuję.

Kiwam głową i odstawiam szklankę.

– Porozmawiajmy o tym, co stało się z Justinem. – To powód, dla którego tu się znajduje.

Konkretna sprawa. Pozwoli mi zyskać na czasie, umożliwi odzyskanie nad sobą kontroli.

– Wyzdrowiał? – pyta.

– Tak, i to znacznie szybciej niż ty.

Justina ugryzł zombi, a toksyna podziałała w jego przypadku tak szybko, że ugryzł Ali. To on ją zainfekował. Ale podczas gdy pojedyncza dawka antydotum uzdrowiła go, Ali wymagała trzech. Dlaczego?

– Hej, nie wiń mnie. Ja tu jestem ofiarą.

– Tak. Wiem. – Masuję się po karku. – Przepraszam. To było stresujące... patrzeć, jak cierpisz, i nie móc nic zrobić.

Między innymi.

Napięcie ją opuszcza, a ja nie mogę zmusić się do tego, by powiedzieć jej resztę.

– Czy jakiś zabójca ugryzł w taki sposób innego zabójcę? – pyta.

– Nic o tym nie wiem. Nie wtedy, gdy obaj byli w ludzkiej postaci.

– Czy próbowałam ugryźć kogokolwiek, kiedy byłam... nieprzytomna?

– Tylko mnie – mówię.

Znowu błędnie.

– Przepraszam. Wiem, że zawiodłam. Zaraz. Zawiodłam, tak?

Jej pragnienie, by mnie chronić, to jedna z rzeczy, jakie zawsze w niej uwielbiałem.

Kiwam głową.

– Tak.

Jej ulga jest niemal namacalna.

– Tak mi przykro, Cole. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło, ale wiem, że nie zrobię tego więcej. Obiecuję.

Jest coś dziwnego w tym, że w ogóle próbowała to zrobić, ale nie potrafię zdobyć się na żadne słowa i tylko wzruszam ramionami.

– Mówię poważnie – zapewniam.

– Próbowałaś mnie ugryźć więcej niż jeden raz.

– Tak mi przykro – powtarza, najwyraźniej przerażona. – Nie zdawałam sobie sprawy...

Tak.

– Wiem.

Przełyka nerwowo, uosobienie niepokoju.

– Myślisz, że Anima skłoniła Justina, żeby mnie zranił? Wywołał coś w rodzaju reakcji, żebyśmy zniszczyli się nawzajem?

– Może, ale tak jak ty, nie sądzę, by Justin wiedział, co robi.

– Gdzie teraz jest?

– Ankh trzymał go przez kilka dni w lochu, jak ty to nazywasz, by się upewnić, że antydotum działa i że nie spróbuje zaatakować nikogo innego. Przeprowadzono testy i w jego krwi odkryto dziwną toksynę. Nie zombiczną, lecz w gruncie rzeczy antytoksyczną. Inną niż to, co zawiera antydotum. Sądzimy, że dlatego wymiotował.

Unosi brwi w odruchu zaskoczenia.

– Kilka dni? Jak długo byłam nieprzytomna? Moją krew też sprawdziliście?

Jestem przyzwyczajony do tego, że wyrzuca z siebie milion pytań podczas jednej rozmowy. Jej ciekawość to jeszcze jedna rzecz, jaka mi się zawsze w niej podobała. Może dlatego, że czuję się jak bohater, kiedy udzielam odpowiedzi, których poszukuje.

Tego dnia jestem pełen urazy. Niebawem to Gavin będzie odpowiadał na jej pytania.

Zaciskam dłoń.

– Około tygodnia – mówię. – I owszem. Miałas... masz... tę samą antyzombiczną

toksynę, tyle że znacznie więcej, co każe nam przypuszczać, że podzieliłaś się nią z nim, kiedy cię ugryzł.

Nie bardzo wiem, co to oznacza dla niej i dla zabójców.

– Gdzie i jak wchłonęłam tę antyzombiczną toksynę? – pyta. – I dlaczego jest w mojej krwi, a nie w duchu?

Znowu wzruszam ramionami.

– To może być umiejętność, jak wizje. A jeśli nie jest w twoim duchu, to jest w twojej krwi. Musimy przebadać to, czym dysponujemy.

Zagryza wargę. Chcę, żeby przestała. Chcę scałować tę ranę, którą sobie zadała. Ale nie robię tego. I nie zrobię. Jeśli jej dotknę, nie będę mógł się od niej oderwać. Przyłgnę do niej. Jestem tego pewien.

– Tak do twojej wiadomości, powiedzieliśmy wszystkim, że przesadziłaś i otworzyła ci się rana. – Rana, którą sam jej niechcący zadałem. Muszę sobie to jeszcze wybaczyć. – Zresztą jedno i drugie jest prawdą.

Sprzeciwiłaby się, gdybyśmy skłamali.

– Dzięki.

Kiwam głową. Zmuszam się do tego, by wstać i ruszyć w stronę drzwi. Muszę ją zostawić. Teraz. Zachowanie jakiegokolwiek dystansu staje się z każdą chwilą coraz trudniejsze.

– Cole! – woła. – Musimy porozmawiać.

– Musisz przede wszystkim odpocząć.

– Cole.

Znam ją i wiem, że pobiegnie za mną, jeśli wyjdę. Przystaję, biorę głęboki oddech, by się wzmocnić. Odwracam się powoli i patrzę na nią. Staram się zachować obojętny wyraz twarzy.

– To się musi skończyć – mówi.

Zamierza mnie skłonić do podjęcia decyzji. Tutaj, teraz. Żebym ją uwolnił albo przeciągał rzecz do samego końca. Nie jestem jeszcze gotów.

– Próbowałam cię nie naciskać, ale coś mi się od ciebie należy – ciągnie. – Twoje milczenie doprowadza mnie do szału.

Krzyżuję ramiona na piersi, a przez głowę przebiega mi myśl, że to gest obronny, który ma mnie uchronić przed zbliżającym się ciosem.

– O pewnych sprawach nie da się dyskutować, Ali.

Pozwól mi odejść. Po prostu pozwól mi odejść.

– Nie chciałeś spędzać ze mną czasu w klubie. Dlaczego?

Szpiegowałem tamtego wieczoru swoich przyjaciół i wciąż się za to nienawidzę. Cieszę się, że nie wciągnąłem jej wtedy w to wszystko i nie zamierzam robić tego teraz.

– Powiedziałem ci już wszystko, co zamierzałem powiedzieć na ten temat.

Wzdycha ciężko.

– Prosiłeś, żebyś mi zaufała, a teraz ja cię proszę, żebyś mi zaufała i powiedział prawdę. Powtarzam pytanie: dlaczego?

Pragnienie, by dać jej to, czego chce, nabiera podwójnej mocy. Opieram się.

– Powiedziałeś mi, że chcesz, bym trzymała się z dala od Gavina – mówi. – A jednak to ty trzymałeś się ode mnie z daleka. Dlaczego?

Na dźwięk jego imienia powraca moja wściekłość i jest ona o wiele silniejsza niż moje pragnienie. Gavin i Ali. Ali i Gavin. Para. Zakochana. Tułają się do siebie. Całują. Dotykają się. W piersi wzbiera gniewny pomruk.

Ali uderza pięścią w materac.

– To, co zobaczyliśmy właśnie w tej wizji...

– Stanie się! – krzyczę. Te słowa dobywają się ze mnie z nieodpartą siłą. Nie potrafię ich powstrzymać. – Wiesz, że tak będzie. Zawsze tak jest.

– Może nie oznacza tego, co nam się wydaje.

Chcę żywić tę nadzieję.

– A sądzisz, że co oznacza?

– Nie wiem. A ty?

Nadzieja to mój wróg. Bo nic nie sądzę. Ja wiem.

Zostaw ją albo przeciągaj to do samego końca. Niech rana się zagoi albo niech się jątrzy.

Wybieraj.

– Sądzę, że oznacza... – W mojej piersi pulsuje przygniatający ból. Nigdy takiego nie doświadczyłem. Serce wali mi o żebra, jakby chciało wydostać się na zewnątrz. Staram się zdusić słowa, które będą ostatecznym gwoździem do trumny naszego związku, ale na próżno. – Koniec z nami.

Cofa się, jakbym ją uderzył.

– Nie. – Kręci głową. – Nie.

Mój instykt krzyczy to samo. Nie! Osuwam się niemal na kolana, chcąc błagać, by mi wybaczyła, że w ogóle coś takiego zasugerowałem.

Ból w piersi narasta.

Kim jestem, u diabła? Mam przecież być nieporuszony. Kiedy podejmuję decyzję, nic nie może zmienić mojego zdania. Mam być niezwyciężony. Zombi nie mogą mnie skrzywdzić, a jednak ta dziewczyna zabija mnie, i to dosłownie.

Znów ogarnia mnie całkowita bezradność. Nienawidzę tego uczucia, nienawidzę siebie. Nawet jej trochę nienawidzę.

– Okay, pozwól, że wyrażę się inaczej. Wiem, że to oznacza, że koniec z nami. – Każde słowo to sztylet, który mnie kaleczy, ale mówię dalej. – Musi tak być. Straciłem cię już niemal dwukrotnie i stracę cię na dobre, kiedy wizje zaczną się urzeczywistniać. Nie zamierzam trwać przy przegranej sprawie, Ali.

Widzę, jak ogarnia ją panika.

– Nie jestem przegraną sprawą. Nie jesteśmy przegraną sprawą. Gavin mi się nie podoba.

Chcę jej wierzyć, bo jest dla mnie wszystkim. Powodem, by budzić się rano. By walczyć o bezpieczniejszy świat. By oddychać. Jeśli to zrobię, jeśli od niej odejdę, to nigdy już nie będę taki sam.

– Ale ci się spodoba – mówię.

– Nie rób tego. Błagam. Musisz mi zaufać. Proszę. Są rzeczy, których nie da się cofnąć, i ta jest właśnie jedną z nich.

Do diabła, wiem o tym! Myśli, że to dla mnie łatwe? Że jestem z kamienia?

Nim sobie uświadomiam, że zrobiłem choć jeden krok, przemierzam pokój i walę pięścią w ścianę. W powietrze wzbija się pył, prawie mnie dławi, a skóra na kłykciach pęka. Rozlega się trzask kości, płynie krew. Boli.

Cieszę się. Wolę ten ból od innego.

– Nie zacznę patrzeć na Gavina i nagle go pragnąć – mówi bardzo łagodnie. – Tylko ty się liczysz. I to nie jest w twoim stylu. Nigdy się nie cofasz. Nigdy nie umykasz przed walką.

Właśnie. W tej chwili walczę o życie. Jestem uwięziony w bezdennym oceanie i nie mogę uciec.

Przyciskam czoło do zdewastowanej ściany.

– Cole – mówi szeptem. – Pragniesz Veroniki?

– Nie. Ani trochę.

– Widzisz!

– Ali, ja... – Chcę, żeby się udało. Zrobię wszystko, żeby się udało.

Prostuję się i patrzę na nią. W głębi duszy wiem, że „wszystko” nie wystarczy, i ta świadomość boli niemal tak jak kres naszego związku.

– Nie chodzi o nasze obecne uczucia. Mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczysz.

Wątpię, czy zdołam sam sobie wybaczyć. – Gdybym mógł włączyć przewijanie naszego życia i wrócić do czasu sprzed wizji, zrobiłbym to. Zostałbym z nią, nigdy nie pozwolił jej odejść, oboje zatracilibyśmy się w sobie. Byłbym szczęśliwy. Teraz jestem pewien, że nigdy więcej nie zaznam szczęścia. – Ale... koniec z nami.

– Cole.

– Koniec z nami – zmuszam się, by to powtórzyć. Dla niej. Dla siebie. Oboje musimy to usłyszeć. Oddalam się od niej, pragnąc dystansu i jednocześnie go nienawidząc. – Koniec z nami.

Jej oczy zachodzą szklistą mgłą, jakby zmagająca się ze łzami.

– Nie będę się za tobą czołgała.

Zrób to. Pójdź za mną – krzyczy coś we mnie. Nigdy nie pozwól mi odejść.

– Nie chcę, żebyś to zrobiła. – To coś we mnie to instynkt samozachowawczy i po tych wszystkich latach spędzonych w walce jest bardzo silny.

– Nie przyjmę cię z powrotem, nawet jeśli ty przyczołgasz się do mnie.

– Wiem – mówię cicho i czuję, jak wszystkie połamane kawałki mojej istoty przygasają.

– I nie zrobię tego... Nie mogę... – Kręcę głową, zbierając resztki sił, jakie mi jeszcze pozostały.

– Żadne słowa tu nie pomogą i jest mi z tego powodu przykro. Nigdy się prawdopodobnie nie dowiesz, jak bardzo. Ale to nie zmieni mojej decyzji. Musi być tak, a nie inaczej.

Zostawiam ją. Zostawiam, zanim padnę na kolana i będę błagał nie tylko o wybaczenie, ale też o drugą szansę. Właśnie zniszczyłem najcenniejszą część swego życia. Nigdy się z tego nie ulecę. Wiem o tym.

– Cole!

Słyszę, jak Szron mnie woła. Jest na końcu korytarza i czeka na mnie.

Mijam go bez słowa, nie zatrzymując się.

– Cole!

Ponownie go ignoruję. Pieką mnie oczy. Coś mi do nich wpadło. Udaje mi się wyjść z domu, nie zwracając uwagi pozostałych. Wsiadam do swojego dżipa, ale nim wkładam kluczyk do stacyjki, eksplodują we mnie wściekłość i bezradność. Tłukę pięściami w kierownicę. Metalowa obręcz wygina się, nie mogąc powstrzymać furii. Ale nie przestaję uderzać. Nie mogę przestać, nawet gdy pojawiają się smugi krwi. Nie mogę też oddychać i nie jestem wcale pewien, czy chcę.

Należało wydrzeć sobie serce z piersi i dać je Ali. Byłoby to łatwiejsze. Mniej bolesne.

Koniec między nami. Naprawdę koniec.

Ta świadomość przygniata mnie jak głaz. Koniec między nami. Uwolniła się ode mnie i może robić, co się jej tylko podoba... a ja bez niej będę już na zawsze stracony.

USUNIĘTE SCENY

Gena Showalter i wydawnictwo pragną przedstawić sceny, które usunięto z pierwszej wersji *Królowej martwych serc*.

Od Geny Showalter

Witajcie! Nim odsłonimy kilka usuniętych scen, parę słów o poprawkach tekstu. W przypadku *Królowej martwych serc* nie skreśliłam szczegółowych planów powieści, nim zaczęłam pisać. Miałam w głowie kilka zasadniczych wątków i scen, ale niewiele więcej. Spodziewałam się, że to bohaterowie zaprowadzą mnie tam, dokąd zechcą. I tak też zrobili. Zdarzyło się jednak parę razy, że zwiedli mnie na manowce – nawet postaci fikcyjne potrafią być tak słodkie. Dopiero po ukończeniu pierwszej wersji i po dyskusjach z redaktorką wszystko zaczęło pasować, ja zaś uświadomiłam sobie, że książka będzie przemawiała znacznie silniej, jeśli wprowadzi się pewne zmiany.

Mam nadzieję, że spodobają się wam te usunięte sceny!

Oto oryginalny tekst *Od Alicji*, który całkowicie przerobiłam. Pragnęłam czegoś, co by mnie wciągnęło od pierwszej chwili, czegoś, co nie pozwoliłoby mi się oderwać, i choć byłam zachwycona stylem, wiedziałam, że brakuje tego „czegoś”. Musiało to więc zniknąć.

Od Alicji

Gotowi...

Widzę to w swoim umyśle. Biegacze zajmują miejsca w blokach startowych, gotowi zacząć wyścig.

Do biegu.

Patrzę, jak oddychają głęboko, jak skupiają myśli na jednym celu, a świat wokół nich zanika. Jest tylko tutaj i teraz, zawieszony w czasie moment niewiarygodnego spokoju, gdy świeci słońce i tańczy chłodny wiaterek.

Start!

Wystrzał. Przez żyły zawodników przepływa niepowstrzymaną falą adrenalina; ruszają do przodu.

Zaczyna się wyścig. Czy raczej mordęga. Nagrodą jest zwycięstwo, warte więcej niż złoto.

Rodzina i przyjaciele czekają na finiszu, trzymając wielkie bukiety kwiatów. Czasem pojawia się osoba, której obecności najmniej się spodziewasz.

Choć jesteś zmęczony i obolały, to wielki dzień.

Jeśli tego dokonasz.

Niektórzy biegacze poddają się w trakcie wyścigu, zbyt wyczerpani, by go kontynuować. Niektórzy odniosą kontuzje i zostaną zdyskwalifikowani. Nie każdy dociera do celu, bez względu na wszystko.

Cóż za doskonała analogia z moim życiem.

W dniu, gdy straciłam rodziców i ukochaną siostrę w wypadku samochodowym, zostałam ciśnięta w sam środek walki dobra ze złem – walki zabójców z zombi – w sam środek maratonu. Nie, nie pomyliliście się, wzrok was nie myli. Napisałam: zombi. Te złe istoty żyją pośród nas, niewidoczne dla niewtajemniczonych. Pojawiają się nocą, złańnione ducha, esencji ludzkiego życia. Żerują i zatruwają, a gdy cię ugryzą, twój duch powstanie z twojego ciała, tak samo złańniony.

Od tej pory uczestniczę w biegu. Kilometr za nieskończonym kilometrem. W przenośni, a czasem dosłownie. Bywały chwile, gdy strach pętał mi nogi. Ból powalał na ziemię. Zdrada atakowała znienacka, a sekrety pozbawiały siły. Bywały chwile, gdy przygniatał mnie żal, zamieniając każdy krok w mordęgę. Ale parłam do przodu. U boku zawsze miałam przyjaciół, którzy biegli wraz ze mną, dodając mi odwagi.

Aż do teraz.

Od tyłu podkradli się wrogowie. I nie mówię tylko o zombi. Mówię o tych, którzy je kontrolują. O ludziach z Anima Industries.

Oto zimna, otrzeźwiająca prawda: ludzie potrafią być bardziej niebezpieczni od potworów.

Rzeczy, które robiła Anima, a które widziałam... Przerażające wydarzenia, których byłam świadkiem... Przyjaciele, których straciłam...

Czworo w ciągu jednej nocy. Potem, wkrótce, dwoje następnych.

Chwilami chcę osunąć się na kolana, wzniesć pięści ku niebu i krzyknąć: „Koniec! Mam dość! Nigdy więcej! Nie dam rady!”.

Ale nie mogę. Muszę wytrwać; jeszcze nigdy nie było to takie ważne. Po raz pierwszy widzę linię mety. Wiem, że nadszedł czas, by przyspieszyć.

Mamy plan. Albo zniszczymy Animę na dobre, albo ona zniszczy nas. Tak czy owak, przetrwa ona lub my.

Tymczasem,
Ali Bell

Następne trzy sceny stanowiły część pierwotnej charakterystyki, jaką stworzyłam z myślą o Helen, mamie Ali. W początkowej wersji Helen była narkomanką, ale kiedy już wszystko napisałam, nie spodobało mi się, bo tym samym postać ta straciła niejako świadomość wyboru. Chciałam, by sama podejmowała decyzje i odważnie ponosiła ich konsekwencje – tak jak Ali. A zatem, bez dalszej zwłoki:

Miałam najdziwniejszy sen. Siedziałam na wiekowym, wytartym chodniczku. Wokół mnie leżały porzucane zabawki.

– ...musisz przestać – usłyszałam tatę.

Rany, ale był młody! Niewiele starszy ode mnie. Poznałam go jednak po wzroście. Niewielu ludzi wyrasta na wysokość stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów. I te jego włosy. Piaskowy blond. Oczy. Granatowe.

Serce zabiło mi żywiej na jego widok.

W polu widzenia pojawiła się pospolita, ale elegancka kobieta, skupiając na mnie swe uważne spojrzenie. Wzrost więcej niż średni, szczupła. Delikatność sylwetki przywodziła na myśl jakąś księżniczkę z bajek dla dzieci. Miała faliste włosy do ramion, o niezwykle jasnym odcieniu, a oczy tak blade, że wydawały się niesamowite.

Widziałam je wcześniej. Wielokrotnie.

Za każdym razem, gdy spoglądałam w lustro.

Była moją krewną? Taką, której nigdy nie widziałam?

Niewykluczone. Ale dlaczego mi się śniła?

– Nie przestanę – warknęła, a jej ton miał ostrość brzytwy.

Właśnie dlatego żywiłam przekonanie, że nigdy jej wcześniej nie spotkałam.

Chciałam walnąć ją w twarz. Nikt nie odzywał się w ten sposób do mojego taty, nawet we śnie.

Wstałam i biorąc się pod boki, rzuciłam gniewnie:

– Masz pięć sekund, żeby przeprosić, księżniczko, bo potem się wścieknę.

Zignorowała mnie, zwracając się do mojego taty:

– Jak możesz? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?

– Jestem ci wdzięczny. Naprawdę. Ale...

– Ale to niczego nie zmieni – przerwała mu i odwróciła się do niego plecami, a na jej twarzy malowało się bezbrzeżne cierpienie, jakby kroilo jej się serce w piersi. – Mam prawa, wiesz o tym. Mogłabym z tobą walczyć.

– Nie będziesz – powiedział, nieporuszony w najmniejszym stopniu jej groźbą, cokolwiek ona oznaczała.

– Nie możesz być pewien.

– Jesteś ćpunką i wiesz o tym. Najważniejsze są dla ciebie narkotyki. Nie jesteś w stanie nic zrobić. Nie stać cię.

Musiała odczuwać jego słowa niczym ciosy pięścią, bo wzdrygała się przy każdym zdaniu.

Cokolwiek mu odpowiedziała, nie usłyszałam tego. Coś mną szarpało, wrywając ze snu. Coraz bardziej. Miałam co kilka sekund wrażenie, że ktoś wydrąży we mnie dziurę, pozbawiając mocy.

Ogarnęło mnie morze czerni. Szarpanie trwało, teraz jeszcze silniejsze, ciągnęło mnie

w dół... w dół... w dół... i przez chwilę zdawało mi się, że wyczuwam obecność Cole'a. Woń sosny i mydła. Miłość. Intensywność. Walczyłam z całych sił i zdołałam wydostać się na powierzchnię, ciągnąc za sobą to, co było do mnie przywiązane... Jego? Zaczepnęłam łapczywie oddechu.

Oto następna scena, która została usunięta, gdy zmieniłam charakterystykę Helen. Tak jak wcześniej, dotyczy ona snu Ali:

...otworzyłam oczy i okazało się, że siedzę w samochodzie ze smoczką w małej, pulchnej dłoni.

Oby to był sen, bo jak nie, to czekał mnie istny horror.

Mój młody tata siedział za kierownicą, a Helen obok niego. W szyby wozu uderzał deszcz.

– Nie możesz mi tego zrobić – rzuciła gniewnie.

– Mogę – odparł. – Znowu bierzesz i oboje o tym wiemy.

Bierzesz?

– Nie. – Chwyciła go za nadgarstek. – Nie. Ja...

Wyrwał rękę.

– Nie kłam. Bierzesz.

Krzycząc, uderzyła pięścią w deskę rozdzielczą. Wewnątrz samochodu rozbrzmiał przeraźliwy płacz i gdy spojrzała na mnie, żeby przeprosić za swoje zachowanie, uświadomiłam sobie, że to ja płaczę. Zwróciła się do taty już łagodniejszym głosem:

– Nie możesz mnie winić, Phillipie. Sam zobacz, co mi robisz. Na co mnie narażasz.

Spojrzał na nią złym wzrokiem.

– Nie mam wyrzutów sumienia.

– Powinieneś – wyszeptowała zawzięcie, patrząc na mnie ukradkiem. – Zniszczyłeś mi życie.

Tata, tracąc ochotę do kłótni, westchnął.

– Wiem i jest mi z tego powodu przykro. Przepraszam, że tak wyszło. Nigdy nie należało...

– Nie. Nie waz się przeproszać. Bo nie jest ci w ogóle przykro. Dostałeś wszystko, czego mogłeś kiedykolwiek pragnąć. Ode mnie, od swojej cennej Mirandy. Ale pewnego dnia – powiedziała, celując palcem w jego twarz – pewnego dnia wszystko to zostanie ci zabrane.

Zesztywniałam. Może Cole nie mylił się co do niej.

– To groźba? – spytał tata.

Roześmiała się gorzko.

– To obietnica. Potwory...

– Nie chcę o nich mówić.

– To fatalnie. Miranda ich nie widzi. Ja widzę. Nigdy nie zrozumie cię tak jak ja.

Miranda. Moja matka.

To musiał być sen. Ale... czy mogło to także być wspomnienie?

Czy mój tata znał Helen?

Jeśli tak, to jak się poznali? Kiedy się poznali? Jaki związek ich łączył?

– Ali, kochanie, obudź się.

Głos Cole'a mnie wystraszył, jakby wrywając z samochodu... ze snu... Wstałam gwałtownie z głośnym westchnieniem.

Otoczyły mnie silne ramiona, ciągnąc mnie w dół, zmuszając, bym położyła się na ciepłej, silnej i znajomej piersi. Na piersi Cole'a.

Kolejna usunięta scena snu:

Kiedy rozmawiali o wszystkim i o niczym, zaczęłam odpływać...

...i wkrótce stwierdziłam, że stoję obok matki, trzymając ją za rękę, a po policzkach płyną mi łzy. Patrzyłam, jak tata zaciąga Helen siłą do drzwi wejściowych i wypycha ją na ganek.

– Oddałaś mi ją, Helen. Słyszysz? Oddałaś. Powiedziałaś, że nie chcesz mieć z nią do czynienia. A potem, kilka miesięcy później, porywasz ją. Nie wiedziałem, gdzie jest ani czy z nią wrócisz. A po dwunastu godzinach pojawiaasz się, żeby ją oddać, i myślisz, że pozwolę ci znów ją zobaczyć? Nie!

– Jest moją córką!

– Naprawdę? Bo z pewnością cię nie zna – warknął. Nigdy nie słyszałam u niego tak okrutnego tonu.

Skrzywiłam się.

Helen skuliła się odruchowo.

I wtedy słowa ojca dotarły do mojej świadomości. „Oddałaś mi ją. Powiedziałaś, że nie chcesz mieć z nią do czynienia”.

„Helen oddała Phillipowi swoje dziecko” – powiedziała Veronica.

Wielkie nieba! A więc to prawda. Koniec z zaprzeczaniem.

Helen była moją biologiczną matką.

Chciałam szlochać. Chciałam krzyknąć. Oba te pragnienia uderzały mnie niepowstrzymaną falą. Byłam dziewczynką, której się wyrzekła, jakby miała do czynienia z czymś, co jest warte niewiele więcej niż śmieci. Między moim umysłem a sercem pojawiły się nitki żalu i zaczęły mnie oplatać mroczne uczucia, niczym pajęczyna. Nienawiść... gniew... wyrzuty sumienia... smutek...

– Oddałaś mi ją – powtórzył tata. – Jest moja.

– Zrobiłam to, żeby ją chronić – wyszeptala, a ja jej prawie uwierzyłam. Prawie.

– Więc chroń ją nadal – powiedział tata. – Tylko rób to lepiej. Żyje teraz z Mirandą i ze mną. Dlaczego nie chcesz jej na to pozwolić?

Jasnoniebieskie oczy zaszyły mgłą.

– Bo ją kocham.

Serce ścisnęło mi się boleśnie, a kilka tamtych nitek między moim umysłem a sercem zerwało się nagle.

Tata pozostał niewzruszony.

– Mówiłaś to wcześniej. Mówiłaś, że tego dowiedziesz, że nigdy więcej nie będziesz się szprycować.

Szprycować. Wielkie nieba. Helen jest... była... narkomanką!

Na jej twarzy pojawił się wstyd, nim zdążyła spuścić głowę i wbić wzrok w swoje stopy.

– Tak, zawiodłam, ale to był tylko ten jeden raz – powiedziała, w jej głosie pobrzmiwała błagalna nuta. – To się nigdy więcej nie powtórzy.

– Kłamiesz – warknął. – Mam tego dosyć, Helen. Nie wracaj tu. Nie kontaktuj się ze mną. Jeśli spróbujesz, przeniosę się tak daleko, że nigdy mnie nie znajdziesz.

Uniosła gwałtownie głowę i chwyciła go za koszulę.

– Błagam, Phillipie. Błagam, nie rób tego. Zapewniłam sobie pomoc. Naprawdę.

Pomagają mi się oczyścić i walczyć z potworami.

– Do widzenia, Helen – odparł, potem uwolnił się od niej i zamknął jej drzwi przed nosem.

Oto pierwotna wersja sceny, w której zabójcy chwytają i przesłuchują doktora Rangarajana. Kiedy to pisałam, Ali posiadała umiejętność wnikania swym duchem w inne ciała, ale potem wprowadziłam poprawki, jeśli chodzi o to, co moja bohaterka może, a czego nie – nie

chciałam, by stała się wszechwładna – więc opis ten musiał zostać całkowicie przerobiony.

Gdybyśmy sprawowali kontrolę nad wizjami, Cole i ja, to może udałoby się nam dzielić je z innymi ludźmi. Z kim tylko byśmy chcieli, w każdym momencie. Tak czy owak, warto było spróbować. Bo choć wizja nie ujawniłaby sekretów doktora Rangarajana, mogłabym się dzięki niej dowiedzieć, jakim był człowiekiem.

– Niech się pan nie opiera – poradziłam mu, kładąc dłonie na jego skroniach. Z Cole’em kontakt nie był wymagany, ale w tym wypadku nie chodziło o niego. Zamknęłam oczy, wciągnęłam powietrze w płuca i odetchnęłam. – To się stanie, czy pan tego chce, czy nie.

Miałam nadzieję.

– Co... co ty robisz? – wyjąkał.

Zignorowałam go, koncentrując się na naszym połączeniu, na dotyku naszej skóry. Dreszcze, które nim wstrząsały, przeniknęły w moje ciało, zwalając mnie niemal z nóg.

– Nie doznasz z nim wizji – odezwał się z boku jakiś słodki głos. Nie musiałam otwierać oczu, by wiedzieć, że jest tu Emma. – Nie możesz. Nie jest zabójcą, zresztą wzniosłaś już zbyt wiele murów, by się przed nim chronić. Możesz jednak uzyskać informacje, na których ci zależy. Musisz tylko uwolnić swego ducha i wstąpić w jego ciało.

Co!? Zesztywniałam. Nikt, kogo znałam, nie zrobił czegoś takiego ani o tym nie wspomniał.

– Zaufaj mi, Ali – powiedziała moja siostra. – Pracowałam niezamierzanie, żeby dopomóc w twojej sprawie, rozmawiałam z zabójcami, którzy zginęli, badałam i analizowałam różne możliwości. Kiedy już znajdziesz się w jego głowie, będziesz musiała tylko pomyśleć o tym, co chcesz zobaczyć, a pojawią się automatycznie jego wspomnienia.

Ufałam jej. Jak w przypadku Cole’a, było to tak oczywiste, że nie żywiłam żadnych wątpliwości. Zatem zrobiłam to, co sugerowała. Uwolniłam ducha ze swego ciała. Napierało na mnie zimno, gdy podążałam uparcie w głąb ciała Rangarajana. Po chwili znalazłam się w kokonie ciepła. Było to jednak dziwne, niedopasowane, jakbym włożyła zimowy płaszcz, który jest o numer za mały.

Teraz przynajmniej mogłam widzieć świat jego oczami. Otaczali mnie zabójcy, patrząc na mnie z nienawiścią i groźbą. Czulałam pulsowanie bólu w twarzy, nadgarstkach i kostkach u nóg, a moje serce biło zbyt szybko, jego rytm był nieregularny.

„...muszę się stąd wydostać” – usłyszałam, jak krzyczy. Nie, nie krzyczał – nie wołał głośno. Usłyszałam te słowa w swojej głowie.

Justin, pomyślałam, przysuwając jego twarz do swego umysłu.

Sekundę później zamigotał obraz. Na ekranie komputera zobaczyłam nieprzytomnego Justina. Justina w celi. Justina chodzącego nerwowo. Justina przywiązanego do stołu.

Potem komputer zniknął, a wokół mnie nabrał kształtu jakiś pokój. Duży gabinet. Biblioteka z drzewa wiśniowego na przeciwległej ścianie. Masywne biurko, za którym siedziała trzydziestokilkuletnia kobieta. W czerwieni. Mnóstwo czerwieni. Czerwona szminka. Czerwona sukienka. Włosy miała czarne, zaczesane do tyłu i spięte na karku w kok. Skóra blada. Jeszcze bledsza niż moja, ale nieskazitelna. Oczy były tak ciemne jak włosy. I zimne. Przerazająco zimne. Jakby nigdy w życiu nie doznała żadnych emocji.

– Ten chłopak, Justin, nastęcza problemów – powiedziała. Odznaczała się głosem równie lodowatym jak cała jej postać. – Doktor Andrews nie potrafił zmusić go do mówienia.

– A ten drugi zabójca, którego schwytaliśmy? – spytałam. Nie, nie ja. Doktor Rangarajan. Jego głos brzmiał trzeźwo i rzeczowo.

– Nie żyje.

Biedny River. Czekał go kolejny bolesny cios.

– Co mam zrobić? – spytał Rangarajan. – Wiesz, że wystarczy poprosić, a sprawa będzie załatwiona.

Wymień jej imię. No dalej, dalej.

– Bądź tylko pod ręką. Wdrażamy plan, którego celem jest zniszczenie zabójców. Wszystkich z wyjątkiem tej dziewczyny. Dostarczą ci ją. Zapoznałeś się z wynikami jej badań, prawda?

Jaki plan? Jaka dziewczyna?

– Tak. Jest nadzwyczajna.

– Wciąż przeklinam Ethana i jego ojca za to, że ją stracili. Będzie naszym najcenniejszym nabytkiem... albo ich.

Rozmawiali o mnie, jak sobie uświadomiłam, drżąc z przerażenia.

Zabrzęczał telefon na biurku.

– Pani Smith, zjawiła się osoba umówiona na czternastą trzydzieści.

Smith – najpospolitsze nazwisko w Ameryce. Ale pomyślałam, że dobre i to na początek.

Rangarajan wstał i wyszedł z gabinetu, nie czekając na pozwolenie, i to wspomnienie zbladło. Próbowalam skierować go ku następnemu, zostając w jego głowie, lecz coś szarpnęło niewidzialny łańcuch łączący mnie z moim ciałem i powróciłam gwałtownie do swojej postaci.

Otworzyłam oczy i zatoczyłam się, odsuwając od doktora. Nie mogłam złapać tchu, płuca paliły mnie nieznośnie.

– ...słyszysz mnie, Ali?

Głos Cole'a. Pełen niepokoju.

– Tak – odparłam, skupiając na nim uwagę.

– Dzięki Bogu. – Przywarł czołem do mojego czoła i westchnął z ulgą. – Zaczęłaś już sinieć.

Rozejrzałam się wokół, ale nigdzie nie dostrzegłam śladu swej siostry. Zniknęła. Zniknęła.

*

Mamy nadzieję, że lektura tych scen sprawiła Wam radość. Dzięki, że przeczytaliście wszystkie trzy części *Kroniki białego królika*.

